

ANNE McCAFFREY

NIEBIOŚA PERN

PRZEKŁAD: KATARZYNA PRZYBYŚ

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SKIES OF PERN

SCAN-DAL

*Książkę tę poświęcam doktorowi Stevenowi M. Beardowi,
w podziękę za to, że dał mi do rąk własny świat.*

WSTĘP

Nie nam osądzać, czy los szczodroblivy, Lecz z tym, co nam zsyła, będziem sobie radzić.

Odkrywcy Pernu, trzeciej planety w układzie słonecznym Rukbatu w gwiazdozbiorze Strzelca, nie zwrócili uwagi na nieregularną orbitę satelity krążącego w systemie.

Koloniści osiedlili się na planecie, przystosowali do jej specyfiki i rozproszyli się po najbardziej gościnnym kontynencie południowym.

Katastrofa spadła nagle w postaci deszczu grzybopodobnych organizmów, które żarłocznie pożerały wszystko z wyjątkiem kamienia, metalu i wody. Z początku straty były przerażające. Na szczęście dla nowej kolonii, „Nici”, jak nazywano zabójcze deszcze, nie były niezniszczalne; ginęły w kontakcie z wodą i ogniem.

Z pomocą inżynierii genetycznej i wrodzonej pomysłowości osadnicy odpowiednio przekształcili miejscowe formy życia, przypominające legendarne smoki. Te olbrzymie stworzenia, w chwili narodzin nawiązujące telepatyczną więź z człowiekiem, stały się najskuteczniejszą na Pernie obroną przeciwko Niciom. Po przeżuciu i strawieniu rudy zawierającej fosfemę potrafiły dosłownie ziać ogniem, spalając zabójcze pasożyty w powietrzu, przed opadnięciem na ziemię. Umiały nie tylko latać, ale także się teleportować, dzięki sprawnym manewrom unikając napowietrznych zderzeń podczas walki z Nićmi. Mogły telepatycznie porozumiewać się z jeźdźcami i innymi smokami, tworząc niezwykle skuteczne formacje bojowe, czyli skrzydła.

Od jeźdźców smoków wymagano szczególnych uzdolnień i całkowitego poświęcenia. Jeźdźcy stali się więc osobną grupą, zupełnie

różną od tych, którzy uprawiali ziemię i chronili ją przed zniszczeniami rozsiewanymi przez Nici, oraz od tych, którzy parali się rzemiosłem w różnych perneńskich cechach.

Z upływem stuleci osadnicy zapomnieli o swoich korzeniach i o rozpaczliwej walce z Nićmi, które opadały na planetę, gdy nieregularna orbita Czerwonej Gwiazdy przecinała elipsę Pernu. Zdarzały się także długie okresy Przerw, kiedy Nici nie pustoszyły ziemi, a perneńscy jeźdźcy dochowywali wiary swoim potężnym przyjaciom, czekając chwili, gdy znów będą potrzebni do ochrony ludzi, którym zaprzysięgli służbę.

Gdy po jednej z długich Przerw powróciła groźba Nici, liczba jeźdźców zdążyła zmaleć już tak bardzo, że zamieszkali w jednym jedynym weyrze: Bendenie. Bohaterska Władczyni Weyru Lessa, dosiadająca złotej królowej Ramoth, odkryła, że smoki potrafią

poruszać się w czasie tak samo jak w przestrzeni i podejmując rozpaczliwe ryzyko, cofnęła się w czasie o czterysta Obrotów, by sprowadzić pięć pozostałych Weyrów w przyszłość, do obrony Pernu.

W tej sytuacji podjęto próby zbadania Południowego Kontynentu, gdzie dokonano wielkiego odkrycia. Jaxom, jeździec białego Rutha, jego przyjaciel F'lessan, jeździec spizowego Golantha, czeladniczka Jancis z Cechu Kowali i Piemur, Harfiarz nieprzypisany do żadnej warowni, badając Ładowisko pierwszych osadników dokonali niezwykle ważnego odkrycia; natrafili na Assigi, czyli Audiosystem Sztucznej Inteligencji Gromadzący Dane.

W oparciu o miliardy plików z danymi, przywiezionymi na Pern przez pierwszych osadników, Assigi zaczął dostarczać informacje do wszystkich Cechów. Opracował także metodę uwolnienia Pernu od okresowego zagrożenia wywoływanego przez wędrownego satelitę, nieprawidłowo określanego jako Czerwona Gwiazda.

F'lar i Lessa, odważni i dalekowzroczni przywódcy Weyru, pierwsi zaczęli zachęcać Władców Warowni i Cechów, by skończyć z dominacją Nici i rozpocząć nową erę w dziejach Pernu. Uzyskali zgodę prawie wszystkich, zwłaszcza że dzięki Assigi każdy mógł korzystać z nowych metod pracy i technologii ułatwiających życie i poprawiających zdrowie.

Byli jednak i tacy fanatycy, którzy uznali Assigi za „obrzydlistwo” i próbowali położyć kres wspaniałemu projektowi. Ponieśli jednak klęskę. Młodzi jeźdźcy i technicy, wykształceni i przeszkoleni przez komputer, z pomocą smoków przenieśli ze statków pierwszych osadników, w dalszym ciągu krążących po orbicie Pernu, trzy silniki z napędem na antymaterię i umieścili je w potężnym uskoku na powierzchni Czerwonej Gwiazdy. Zaplanowaną z pewnym opóźnieniem eksplozję można było zaobserwować prawie na całym Pernie, którego mieszkańcy radowali się na myśl, że wreszcie pozbędą się Nici.

Rozwiązanie to nie położyło natychmiastowego kresu Opadom, ponieważ rój Nici przyciągnięty wcześniej przez Czerwoną Gwiazdę, jeszcze nie całkiem opuścił przestrzeń wokół Pernu. Jeźdźcy i harfiarze wyjaśniali wszystkim, którzy zechcieli ich wysłuchać, że jest to ostatnie Przejście Czerwonej Gwiazdy, a potem Nici nie będą już więcej trapić mieszkańców planety.

Nadszedł czas, by zacząć snuć plany na przyszłość wolną od tego zagrożenia. Można było przy tym wykorzystać informacje zawarte w banku danych Assigi, zawierającym wiele przydatnych a jednocześnie prostych rozwiązań technicznych, które przyczynią się do poprawy życia wszystkich mieszkańców Pernu. Nawet jeźdźcy, którzy przez całe wieki bronili planety, muszą znaleźć sobie nowe zajęcia. Pojawiają się nowe pytania: o wybór rozwiązań technicznych, które ułatwią życie nie niszcząc kultury Pernu, a także o miejsce

jeźdźców i ich wspaniałych przyjaciół w nowym społeczeństwie, wolnym od groźby Nici.

PROLOG

KOPALNIE W GROMIE, 5.27.30 OBECNEGO PRZEJŚCIA,

OBRÓT 2552 WEDŁUG POPRAWIONEJ RACHUBY ASSIGI

Dyżurny czeladnik w pomieszczeniach dla więźniów w Kopalni 23 u podnóża zachodniego łańcucha wzgórz pierwszy dostrzegł jasny, niebieskawy warkocz na południowo–zachodnim nieboskłonie. Miał wrażenie, że zjawisko zbliża się w jego stronę, więc krzykiem zaalarmował otoczenie i popędził w dół po schodach wieży strażniczej.

Jego krzyki usłyszeli górnicy wychodzący z szybów, brudni i zmęczeni po całym dniu wydobywania rudy żelaza. Oni również dostrzegli światło pędzące w stronę zabudowań. Rozproszyli się z hałasem, kryjąc się gdziekolwiek: pod wagonikami z rudą, za usypiskami urobku i pod suwnicą; niektórzy pobiegli z powrotem do szybu. Przetoczył się nad nimi basowy grzmot, choć na niebie nie było ani jednej chmurki. Niektórzy potem twierdzili, że do ich uszu dotarł wysoki świst. Wszyscy zgadzali się co do kierunku, z którego nadleciał obiekt — południowy zachód.

Wysoki kamienny mur wokół więziennego podwórka nagle się rozpadł. Wyrzucone do góry kamienie zaczęły opadać na cały teren kopalni. Górnicy rzucili się na ziemię, chroniąc głowy przed uderzeniami odłamków. Rozległ się drugi wybuch i okrzyki przerażenia dochodzące z więziennych kwater. Zaleciało rozgrzanym do białości metalem — znajoma woń w miejscu, gdzie wytapia się rudę żelaza i wysyła się ją w sztabach do siedzib cechów Kowali — tyle że zapach był dziwnie kwaśny. Niestety nikt później nie potrafił go dokładnie opisać.

Szczerze mówiąc, gdy rozległo się ostrzeżenie czeladnika, spośród kilkuset pracowników kopalni, tylko jeden człowiek nie stracił głowy. Shankolin, od kilkunastu lat odpracowujący wyrok więzienia w kopalniach Cromu, od dawna czekał na sposobność do ucieczki. Naturalnie usłyszał huk walącego się muru i przez ułamek sekundy widział białoniebieską poświatę w małym okienku wyciętym w ciężkich drzwiach, stanowiących jedyne wyjście z budynku. Skoczył na lewo i ukrył się pod drewnianą pryczą niemal w tym samym momencie, gdy coś dużego, gorącego i śmierdzącego przebiło ścianę w miejscu, gdzie ułamek sekundy przedtem była jego głowa. Jakiś przedmiot z sykiem przerył przejście między pryczami, przebił deski, zgruchotał narożny wspornik i wyleciał na zewnątrz. Pozbawiony podpory dach zawalił się częściowo. Ktoś zaczął krzyczeć z bólu i wołać o pomoc. Ktoś inny jęczał ze strachu.

Shankolin wypełził spod pryczy i krótkim spojrzeniem obrzucił dziurę wybitą przez meteoryt — jedyną prawdopodobną przyczynę takich zniszczeń. Dostrzegł w dali potrzaskany

mur więzienny i zareagował błyskawicznie. Przedostał się przez rozbitą ścianę i popędził w stronę muru, pilnie wypatrując, czy nie dostrzeże strażników na murze albo na wieżyczkach po obu jego końcach. Jednak wszyscy opuścili stanowiska, prawdopodobnie w chwili gdy dostrzegli meteoryt nadlatujący w stronę kopalni.

Podciągnął się na rękach na szczyt muru i co sił w nogach popędził przez pagórki ku najbliższej kępie rzadkich krzaków. Przycupnął za nimi i uspokajając oddech, nadśluchiwał odgłosów zamieszania dochodzących z kopalni. Ranny wciąż krzyczał z bólu; prawdopodobnie strażnicy najpierw się nim zajmą, a dopiero potem policzą więźniów. Pewnie będą chcieli przyjrzeć się meteorytowi z bliska, bo jeśli zawiera metal, może przedstawiać dużą wartość. Przynajmniej tak słyszał, kiedy ustąpiła jego głuchota. Nieraz słuch go zawodził, ale i tak dowiadywał się wszystkiego, co trzeba. Nigdy nie dał po sobie poznać, że ustąpiły skutki działania rozsadzającego czaszkę dźwięku, który wydał odrażający Assigi, kiedy Shankolin wkroczył do jego pomieszczenia na czele ludzi wybranych przez jego ojca, Mistrza Norista, by zniszczyć to obrzydlistwo i położyć kres jego szkodliwym wpływom.

Shankolin odzyskał oddech i stoczył się w dół po łagodnym zboczu. W końcu uznał, że jest na tyle bezpieczny, by zgiąć się w pół i przebiec pod osłonę rzadkiego lasu. Bez przerwy się rozglądał, nadśluchując odgłosów ewentualnego pościgu. Pochylony, popędził w dół niebezpiecznego urwiska; słyszał, jak żwir i małe kamyki spadają przed nim ze stromizny.

Cały był pochłonięty jedną myślą: tym razem uda mu się uciec. Koniecznie musiał odzyskać wolność, by powstrzymać nieuchronny postęp, jaki czyni Ohydny Assigi, niszcząc Pem, który przetrwał tak długo. Opowiadał mu o tym ojciec cichym, przerażonym głosem.

Mistrz Norist był przerażony, gdy władcy Weyrów Pernu uwierzyli, że ten bezcielesny głos naprawdę może im powiedzieć, jak zamienić orbitę Czerwonej Gwiazdy. Wówczas nie zbliżałaby się do Pernu na tyle blisko, by zrzucić na planetę zaborcze, nienasycone Nici. Nici pożerały wszystko: bydło, ludzi i rośliny; mogły w okamgnieniu pochłonąć grube drzewo. Shankolin dobrze o tym wiedział. Widział kiedyś podobny przypadek, kiedy pracował w załodze naziemnej w cechu Szklarzy. Nici rzeczywiście pożerały ludzi i wszystko co żyje, ale Ohydny Assigi był gorszy, bo zatruwał ludzkie umysły i serca, a jego bezcielesny głos rozsiewał zdradliwą zarzę.

Ojciec Shankolina był załamany i przerażony tymi wszystkimi nieprawdopodobnymi rzeczami, które Assigi opowiadał Władcom Warowni i Cechmistrzom: o różnych maszynach i metodach stosowanych jakoby przez przodków, o procesach i urządzeniach — nawet do wytapiania szkła — mogących znacznie ułatwić życie Perneńczyków.

Już wtedy, gdy wszyscy wychwalali cudowne możliwości tego Assigi, ojciec Shankolina wraz z kilkoma innymi ważnymi osobistościami dostrzegł niebezpieczeństwo ukryte w tych wszystkich gładkich, kuszących obietnicach. Tylko głupcom może się wydawać, że byle głos zawróci Gwiazdę z jej toru.

Shankolin był dokładnie tego samego zdania co ojciec. Gwiazdy nie schodzą z orbit. Zgadzał się, że Władcy Weyrów to głupcy, którzy nie wiadomo dlaczego chcą zniszczyć jedyny powód, dla którego smoki przydają się jako obrońcy planety. Zgadzał się też dlatego, że nadchodził koniec jego terminowania. Bardzo pragnął, by ojciec go zaakceptował i wyznaczył swoim następcą, ucząc tajników barwienia szkła na przepiękne kolory, które potrafi uzyskać jedynie Mistrz Szklarz. Trzeba wiedzieć, który piasek barwi masę szklaną na niebiesko, a który nadaje jej kolor połyskliwego, głębokiego karminu.

Zgłosił się więc na dowódcę grupy, która miała zaatakować Ohydneho Assigi i skończyć jego władzę nad umysłami skądinąd inteligentnych osób.

Nawet nie zauważył, że idzie po dnie strumienia. Prawy but natrafił na oślizły kamień; Shankolin upadł na ostrą skałę i rozciął sobie twarz. Otumaniony upadkiem, z trudem podniósł się na kolana.

Od lodowatej wody zaboląły go kostki nóg i nadgarstki, to go otrzeźwiło. Spostrzegł, że do strumienia spadają krople krwi i odpływają z prądem, barwiąc wodę na różowo. Zbadał palcami rozcięcie i skrzywił się, kiedy wyczuł, że zaczyna się na skroni, idzie z boku nosa i zagłębia się w policzek, poszarpany jak krawędź kamienia, o który się skaleczył. Krew spływała mu z policzka. Wstrzymał oddech i zanurzył twarz w zimnej wodzie. Powtórzył tę czynność kilka razy, aż lodowate zimno nieco zahamowało upływ krwi. Później oddał dół koszuli i tym prowizorycznym bandażem przewiązał sobie czoło. Przechylił głowę sprawdzając, czy nie nadchodzi pogoń. Nie słyszał nawet ptaków ani szelestu węży. Gdyby rzucił się do biegu, mógłby je wypłoszyć. Wstał ociekając wodą i wciągnął w nozdrza łagodny wiaterek.

Głuchota, trwająca wiele obrotów, wyostrzyła inne jego zmysły. Węch już raz ocalił mu życie, choć nie zdołał uratować czubka jednego z palców u rąk. Poczul cuchnący gaz kopalniany na chwilę przed zawałem. Zginęło wtedy dwóch górników.

Z policzka kapąca mu krew. Oddał następny kawałek koszuli i przycisnął do rany. Rozglądał się na wszystkie strony, zastanawiając się, co robić.

W górniczej warowni byli ludzie, którzy się chlubili, że wytropią każdego zbiegłego górnika. Krople krwi ułatwiłyby im zadanie. Rozejrzał się z niepokojem, ale woda wszystko

splukała. To dobrze, że upadł na środku strumienia; tu nikt nie znajdzie śladów.

Może meteoryt opóźnił pogoń. Może było więcej rannych i nie zwołano więźniów na apel. Może meteoryt okazał się ważniejszy. Podobno Cech Kowali dobrze płaci za takie znaleziska. A więc pewnie zmarnują trochę czasu na wysłanie wiadomości do najbliższej siedziby Cechu. A on w tym czasie zdąży dotrzeć do rzeki.

Jeśli pójdzie wodą, nie zostawi ani krwawych śladów, ani zapachu. Strumień w końcu dojdzie do rzeki, a rzeka do Morza Południowego. Trzeba będzie jakoś utrzymać bandaż na policzku, aż się zrobi strup. W głowie kręciło mu się od upadku. Trzeba znaleźć kij, żeby się na nim opierać i sprawdzać głębokość wody. Nieco dalej na brzegu leżał solidny kawałek konara, na tyle gruby, by nadawać się do tego celu. Kilka ostrożnych kroków po dnie i dosięgnął drąga. Uderzył nim kilka razy w kamień, żeby sprawdzić, czy nie jest spróchniały. W porządku, nada się.

Wędrował przez bezksiężycową noc, od czasu do czasu ślizgając się w mulistych miejscach albo niespodzianie wpadając w wypłukane przez wodę jamy, których nie udało mu się wymacać kijem. Kiedy policzek przestał krwawić, wsadził bandaż do kieszeni. Płótno na czole przywarło do zaschniętej krwi, więc zostawił je w spokoju.

O świcie nogi w ciężkich, nasiąkniętych wodą górniczych butach zziębły mu do tego stopnia, że stracił w nich czucie i potykał się co chwila. Dzwonił zębami z zimna. W dodatku strumień był teraz szerszy i głębszy, woda sięgała Shankolinowi coraz częściej do pasa zamiast do kolan i nie dało się iść dalej jego korytem. Pochwyił zwieszające się nad wodą gałęzie jakiegoś krzewu, wygramolił się na brzeg i ukrył w gęstwinie. Zwinął się w kłębek, by zachować tę odrobinę ciepła, która tliła się jeszcze w jego ciele.

Nic nie zakłóciło jego spokoju, aż wreszcie obudził go ból pustego żołądka. Był późny ranek, słońce stało już wysoko. Zaszedł o wiele dalej niż myślał. Siermiężne robocze ubranie prawie wyschło, ale symbol górniczej warowni, jakim oznaczono materiał podczas tkania, zdradziłby go jako uciekiniera. Potrzebował czegoś do jedzenia i do ubrania, wszystko jedno w jakiej kolejności.

Ostrożnie wychynął z krzaków i ku swojemu niepomiernemu zdziwieniu dostrzegł chatę na drugim brzegu strumienia, który teraz stał się rzeką. Obserwował budynek przez długi czas, aż uznał, że nikogo nie ma ani w środku, ani w pobliżu. Przeszedł rzekę w bród, choć kamienie raniły mu posiniaczone stopy i znów ukrył się w krzakach. Wreszcie nabrał pewności, że nie dobiegają go żadne odgłosy świadczące o obecności ludzi.

Chata była pusta, ale zamieszкана. Mogła należeć do jakiegoś pasterza, bo na dużym legowisku były skóry, wytarte od długiego używania. Najpierw jedzenie! Nie tracił czasu na

umycie bulw, które znalazł w koszu przy palenisku. Potem zobaczył zimny, szary tłuszcz w żelaznej patelni ustawionej na brzegu kominka. Zanurzył w nim surowe warzywa, zadowolony, że osolony tłuszcz nadał im trochę smaku. Nasyciwszy na moment najgorszy głód, zajął się poszukiwaniem odzieży i jeszcze czegoś do jedzenia. W młodości za nic nie wykradłby jabłka ani nawet wiśni z cudzego ogrodu. Ale teraz sytuacja zmieniła się tak bardzo, że nic nie pozostało z moralnych zasad, które ojciec wpoił mu za pomocą kija. Miał obowiązek do spełnienia: trzeba było naprawić zło i sprawdzić w praktyce teorię — albo ją odrzucić.

Skręciło go w brzuchu od surowego, tłustego jedzenia. Trzeba żuć powoli albo wszystko przepadnie. Trudno jest ukryć specyficzną woń wymiocin. W szczelnym, zabezpieczonym przed owadami pojemniku znalazł trzy czwarte okrągłego sera. Wiedział, że nie na długo mu to wystarczy w czasie ucieczki, ale zależało mu, by zostawić jak najmniej śladów. Właściciel chaty może nie zauważyć zniknięcia paru bulw i odrobiny smalcu z patelni, ale ubytek solidnego kawałka sera to już inna sprawa. Znalazł więc na dnie szuflady stare ostrze od noża i odciął spory plaster, wystarczający na jeden posiłek, ale nie aż tak duży, żeby od razu zauważyć brak — przynajmniej taką miał nadzieję. Nieomal jako nagrodę za wstrzeźliwość znalazł następne metalowe pudełko, a w nim tuzin podróżnych racji żywnościowych. Wziął dwie. Pewnie znajdzie jeszcze więcej jedzenia, jeśli nie da się ponieść chciwości. W taką sprawiedliwość zaczął ostatnio wierzyć.

Zdjął z czoła bandaż. Zabolalo, choć przedtem namoczył go w zimnej rzecznej wodzie. W jednym czy dwóch miejscach pokazało się trochę świeżej krwi, ale nie było jej wiele, więc wystawił nieosłoniętą niczym ranę na działanie świeżego górskiego powietrza. Wrócił do chaty, żeby rozejrzeć się za ubraniem, ale nic nie znalazł, zabrał więc jedną starą skórę. Nie liczył, że po drodze znajdzie schronienie pod dachem, a nocami wciąż dokuczał chłód, mimo że piąty miesiąc był już za pasem.

Przed odejściem przyjrzał się ścieżkom, rozchodzącym się w kilka stron. Jego uwagę przykuł odblask metalu, skoczył więc w stronę rzeki pewien, że ktoś go wytropił. Niełatwo przyszło mu odnaleźć przyczynę odblasku, ale w końcu okazało się, że to dulki niewielkiej łódki, prawie niewidocznej pod krzewami zwisającymi nad powierzchnią wody. Przywiązano ją do gałęzi postronkiem, który od ciągłego ocierania się o kamień był już tak przetarty, że wystarczyło jedno szarpnięcie, by zerwać ostatnie włókna.

Szarpnął więc, ostrożnie wsiadł do łódki i wypchnął ją kijem na środek rzeki. Pewnie warto byłoby znaleźć wiosła, ale coś pchało go, by znaleźć się jak najdalej od chaty i odpłynąć w dół rzeki. Łódka była na tyle duża, że zginając kolana mógł się położyć na dnie i

ukryć przed wzrokiem ewentualnego obserwatora.

W nocy, gdy wypatrzył żary oświetlające gospodarstwo — spore, ale nie na tyle duże, by trzymać wher–stróża — wypchnął łódkę na brzeg. Przywiązał ją postronkiem, który naprawił podczas długiego, całodniowego spływu, używając pasków oddartych od koszuli.

Znowu miał szczęście. Najpierw znalazł kosz ptasich jaj wiszący na gwoździu nad bocznymi drzwiami do obór. Wypił zawartość trzech, a następnie trzy delikatnie wsadził pod koszulę, którą związał na brzuchu. Wtedy zauważył koszulę i spodnie suszące się na krzakach przy płaskich nadrzecznych kamieniach, gdzie prawdopodobnie kobiety chodziły prac. Wybrał pasującą na niego odzież i poprzesuwał pozostałe sztuki tak, by wydawało się, że kilka z nich po prostu wpadło do rzeki i odpłynęło z prądem.

Wszedł po raz drugi do obory. Zwierzęta wyczuły obcego i zaczęły się niepokoić, ale udało mu się znaleźć otręby i starą, pogiętą miskę. Jutro ugotuje sobie owsiankę, doda parę jajek i będzie miał dobry, gorący posiłek. Nagle usłyszał głosy i skoczył do łodzi. Odepchnął japo cichu na środek rzeki i położył się na dnie, żeby go nie widziano.

Noc pochłonęła głosy i słyszał teraz tylko bełkot rzeki, po której bezszelestnie płynęła jego łódź. Nad głową błyszczały gwiazdy. Stary harfiarz, który uczył młodzież w Cechu Szklarzy, powiedział mu kilka nazw. Wspominał też, że podczas Końca Obrotu na niebie pojawiają się jasne, hakowate smugi pozostawione przez meteoryty i Duchy. Shankolin nie dał się przekonać, że te smugi to duchy zmarłych smoków, ale kilkoro dzieci w to uwierzyło.

Najjaśniejsze gwiazdy nigdy nie zmieniały swojej pozycji. Rozpoznał Wege — a może był to Canopus? Nie pamiętał, jak nazywały się inne gwiazdy na wiosennym niebie. Próbował sobie przypomnieć nazwy i okoliczności, w jakich się ich uczył, a wtedy jego umysł nieubłaganie wrócił do Assigi i wszystkich krzywd, jakie ta... ta rzecz mu wyrządziła. Dopiero niedawno się dowiedział, że jego ojciec od dawna jest zesłańcem — znalazł się na wyspie na Morzu Wschodnim wraz z kilkoma gospodarzami i rzemieślnikami, którzy próbowali unicestwić Ohydę.

Teraz, gdy urządzenie umilkło, można będzie przekonać ludzi, żeby nabrali rozsądku. Czerwona Gwiazda przynosiła ze sobą Nici. Jeźdźcy smoków zwalczali Nici na niebie, a ludzie spokojnie żyli między Przejściami. Taki był odwieczny porządek rzeczy i powinno się go pilnować. Shankolin poczuł się zbity z tropu, gdy dowiedział się o porwaniu Mistrza Robintona, którego głęboko szanował. Minęło jednak kilka Obrotów do czasu, gdy stopniowo odzyskał słuch i mógł się dowiedzieć więcej o tym wydarzeniu. Nigdy nie zrozumiał do końca, dlaczego Mistrza Harfiarza znaleziono martwego w pomieszczeniu należącym do Ohydy. Ale Ohyda też nie żyła — „zakończyła działalność”, jak mówili górnicy. Czy Mistrz

Robinton odzyskał rozsądek i ją wyłączył? Czy też ona zabiła Mistrza Robintona? Shankolin koniecznie chciał dowiedzieć się prawdy.

Kiedy spłynie do końca rzeki Crom — może Warownia Keogh znajdzie się już wtedy daleko — będzie mógł wszystko zaplanować | i przekonać się, do jakiego stopnia Ohyda zniszczyła perneńskie tradycje i styl życia.

Wiosną, gdy śniegi stopnieją, a drogi obeschną z błota, zaczynają się Zgromadzenia. Łatwo będzie wmieszać się w tłum i może uda się znaleźć odpowiedź na te pytania. Słuch miał coraz lepszy, słyszał już nawet ostre krzyki ptaków. Kiedy pozna najnowsze wydarzenia, będzie mógł zaplanować następne posunięcia.

Na pewno nie wszyscy Perneńczycy chcą zagłady tradycji i wierzą w kłamstwa, które zrodziła Ohyda. Przypomnił sobie imiona osób, które odczuwały niepokój na myśl o tak zwanych udogodnieniach, podstępnie podsuwanych ludziom przez Assigi. Teraz, w jedenaście Obrotów po zakończeniu działalności przez Ohydę, wiele rozsądnie myślących ludzi na pewno zdaje sobie sprawę, że Czerwona Gwiazda nie mogła zejść ze swojej drogi tylko dlatego, że jakieś trzy stare silniki wybuchły w rozpadlinie na jej powierzchni! Szczególnie w sytuacji, gdy opady Nici wciąż trwały i trwać powinny, jednocząc Pern przeciwko wspólnemu zagrożeniu, tak jak to się działo od wieków.

ZGROMADZENIE, 6.15.30

— Nie wiem, na co komu te nieporządki, które toto porobiło z rachubą czasu — powiedział pierwszy mężczyzna, z ponurą miną rozmazując palcem rozlany sos.

— Lepiej zobacz, jaki nieporządek sam zrobiłeś na stole — wytknął mu drugi.

— Nie miał prawa mieszać się do rachuby czasu — upierał się pierwszy z naciskiem.

— Kto? — nie zrozumiał drugi. — Jaki on? Jakie toto?

— No przecież Assigi.

— O co ci chodzi?

— No bo się mieszał, nie? W trzydziestym ósmym, to znaczy ledwie w dwa tysiące pięćset dwudziestym czwartym — gospodarz wykrzywił się, aż grube czarne brwi spotkały się nad szeroką kolumną mięsistego nosa. — Ni z tego, ni z owego musielim dodać jakieś czternaście Obrotów.

— On tylko uaktualnił czas — poprawił go Drugi, zdziwiony gwałtownością swojego towarzysza, który z początku wydawał się całkiem sympatyczny. Chętnie słuchał muzyki i znał teksty wszystkich piosenek, które harfiarze grali na Zgromadzeniu, nawet tych najnowszych. Jednak trzeci bukłak wina źle widać wpłynął na jego humor i na zdrowy rozsądek, skoro zaczął go drażnić upływ czasu, czy też sposób, w jaki liczone Obroty.

— Przybyło mi przez to lat.

— Ale nie rozumu — pogardliwie wycedził Drugi. — Poza tym sam Mistrz Harfiarz powiedział, że wszystko się zgadza, bo to wszystko przez te roz... no, te roz... — przerwał i beknął, żeby zatuszować kłopoty z wymową i przypomnieć sobie właściwy zwrot. — No, pomylili się z liczeniem czasu, bo raz Nici opadały tylko przez czterdzieści Obrotów zamiast pięćdziesięciu jak zwykle i ludzie zapomnieli wziąć poprawkę na te roz...

— Rozbieżności — wtrącił trzeci mężczyzna i spojrzał na nich z wyższością.

Drugi strzelił palcami, rozpromienił się i posłał Trzeciemu dziękczynne spojrzenie.

— Nie chodzi o to, co kiedyś zrobił — ciągnął Pierwszy — tylko o to, co nam stale robi. Nam wszystkim — okrągłym gestem dłoni ogarnął roześmiany i rozśpiewany tłum na Zgromadzeniu, niepomny na zagrożenia, jakie nad nim stale wisały.

— A co nam stale robi? — stojąca nieopodal kobieta usiadła za stołem o kilka miejsc dalej, po przeciwnej stronie niż Pierwszy i Drugi.

— Zmusza nas do wszystkiego, nie patrząc, czy chcemy tych ulepszeń, czy nie — odpowiedział powoli Pierwszy, próbując przyjrzeć się jej przy tej odrobinie światła, która

docierała do ich stołu. Kobieta była chuda, brzydka, miała zaciśnięte usta, cofniętą dolną szczękę i wielkie oczy, w których lśnił ukryty gniew lub uraza.

— Jak na przykład lampy? — spytał Drugi i wskazał na najbliższe światło. — Bardzo przydatne. O wiele wygodniejsze niż ciągła biegania z żarami.

— Żary należą do tradycji — odparła kobieta nadąsanym głosem, który poniósł się daleko w ciemność za stołami. — Żary dano nam tutaj, by je hodować i chronić.

— Żary są naturalne i od wieków oświetlały nasze warownie i domy — powiedział głęboki, pełen niezadowolenia głos. Przestraszona kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze i obronnym ruchem osłoniła gardło dłonią.

Pierwszy i Drugi, przekonani że ich rozmowa nie dociera do niepożądanych uszu, przelękli się również. Odetchnęli dopiero, gdy z cienia wynurzył się potężnie zbudowany mężczyzna. Powoli podszedł do stołu, a rozmówcy z podziwem obserwowali jego ogromną sylwetkę. Usiadł obok Trzeciego — teraz było ich wszystkich pięcioro. Miał na głowie dziwaczny skórzany kapelusz, który zasłaniał czoło, ale nie maskował blizny biegnącej od nosa przez cały policzek. Brakowało mu czubka wskazującego palca lewej ręki. W tej naznaczonej blizną twarzy i stanowczym zachowaniu było coś, co zmusiło pozostałych do milczenia.

— Ostatnio Pern bardzo wiele stracił, a mało zyskał — mężczyzna wskazał lampę zdrową ręką. — I to wszystko tylko dlatego, że jakiś głos — tu zrobił pogardliwą przerwę — tego zażądał.

— Pozbylim się Czerwonej Gwiazdy... — Drugi poruszył się niespokojnie.

Piąty spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem z tak wielką ironią, że można było jej niemal dotknąć.

— Nici dalej opadają — powiedział głębokim, niepokojącym głosem bez śladu intonacji.

— No tak, ale to nam wyjaśnili — powiedział Drugi.

— Może tobie to wystarczy, ale nie mnie.

Dwóch mężczyzn siedzących przy sąsiednim stole popatrzyło na nich z zainteresowaniem i gestem spytało Pierwszego, czy mogą się dosiąść. Pierwszy potakująco skinął głową. Szósty i Siódmy pospiesznie zajęli puste miejsca obok gromadki rozmówców.

— Głos umarł — powiedział Pierwszy, gdy nowo przybyli usiedli i uwaga całej grupy ponownie skupiła się na nim. — Zakończył działalność.

— Powinien ją zakończyć, zanim zatruł i zdeprawował umysły wielu ludzi — dodał Piąty.

— Ale zostawił po sobie tyle rzeczy — rozpaczła kobieta — tyle rzeczy, z których można zrobić zły użytek.

— Chodzi wam o te wszystkie urządzenia i nowe metody produkcji, na przykład elektryczność, która rozprasza ciemność? — Trzeci nie mógł się oprzeć, by nie zażartować z tych ponuraków.

— To nie miało żadnego sensu, że ta... rzecz wyłączyła się sama w chwili, kiedy właśnie zaczynała się na coś przydawać — powiedział Pierwszy z urazą w głosie.

— Ale zostawiła jakieś plany! — w głosie Czwartego była podejrzliwość.

— Aż za dużo planów — zgodził się z nim Piąty, a jego głęboki głos przeszedł w złowieszcze, smętne rejestry.

— Jakie plany? — spytał Trzeci. Oczy Czwartej zaokrągliły się ze strachu i przejęcia.

— Chirurgia! — Trzy sylaby wypowiedziane głębokim głosem zabrzmiały dramatycznie, jak coś niemoralnego.

— Chirurgia? — zmarszczył brwi Szósty. — A co to jest?

— Grzebanie się w środku człowieka — odpowiedział Pierwszy, obniżając głos, by dopasować się do Piątego.

Szósty zadygotał.

— No wiecie, nieraz trza ciąć, żeby wyjąć żrebaka z kobyły, zanim go zdusi. — Inni popatrzyli na niego podejrzliwie, więc dodał:

— Tylko przy rasowych żrebakach, co ich szkoda stracić. A raz widziałem, jak uzdrowiciel ciął wyrostek. Powiedział, że bez tego kobita by umarła. Nic nie czuła, ani trochę.

— Nie czuła ani trochę — powtórzył Piąty, podkreślając to stwierdzenie z namaszczoną powagą.

— Mógł z nią wszystko zrobić, co tylko by chciał — szepnął Czwarty, wyraźnie wstrząśnięty.

Drugi odchrząknął lekceważąco:

— Nic złego jej nie zrobił, baba żyje i pracuje.

— Rozchodzi się o to — włączył się Pierwszy — że w Cechach różnych rzeczy się próbuje i to nie tylko u Uzdrowicieli, no i pomyłka może kosztować ludzkie życie. Wolałbym, żeby przy mnie nic nie robili i we mnie nie grzebali.

— Wybór należy do ciebie — odparł Drugi.

— Ale czy zawsze? — Czwarta tak bardzo chciała znać odpowiedź, że pochyliła się nad stołem i uderzyła palcem w blat, podkreślając pytanie.

— Trzeci również się pochylił.

— A jaki mamy wybór? Kto potrafi zdecydować, czego chcemy i czego nam potrzeba, mając przed sobą te wszystkie pliki, które podobno zostawił nam Assigi? Skąd można wiedzieć, że to wszystko zadziała z takim skutkiem, jak on nas zapewnia? Wiele osób powtarza, że musimy zrobić to czy tamto. To oni podejmują decyzje, a nie my. Nie podoba mi się to — podkreślił swoją nieufność pochyleniem głowy.

— A w ogóle skąd wiadomo, czy ta cała ciężka praca — sam ciężko tyrałem na Ładowisku przez parę dni — czy ta praca do czegoś

doprowadzi? — spytał Siódmy z pewną irytacją. — Znaczą, mówią nam, że to zadziała, ale żadne z nas nie dożyje tej chwili, żeby się przekonać, nie?

— Oni też nie dożyją — ponuro zażartował Trzeci. — A poza tym — dodał szybko, żeby uprzedzić Piątego, który już się szykował do nowej przemowy — nie wszyscy Mistrzowie i Władcy Warowni są przychylni tym nowym śmieciom. Słyszałem, jak sama Mistrzynie Menolly — nawet Piąty popatrzył na niego z ciekawością — mówiła, że powinniśmy poczekać i działać ostrożnie. Wcale nie potrzebujemy tych wszystkich rzeczy, o których mówił Assigi.

— W dodatku to, co już mamy — głęboki, dziwnie płaski głos Piątego wzniósł się ponad tenorek Trzeciego — zupełnie nam wystarczało przez setki Obrotów.

Trzeci uniósł palec ostrzegawczym gestem.

— Trzeba uważać na te wszystkie nowe rzeczy, robione tylko dlatego, że są nowe i ułatwiają życie.

— Ale masz u siebie elektryczność? — spytał z zazdrością Szósty.

— Tak, ale naturalną... mamy baterie słoneczne, zawsze u nas były.

— Zrobili je Starożytni — wtrącił Pierwszy.

— Ano jest tak, jak mówiłem — kontynuował Trzeci — Niektóre rzeczy będą przydatne, ale trzeba uważać, bo wpadniemy w tą samą pułapkę co Starożytni. Za dużo techniki. To jest nawet zapisane w Karcie.

— Naprawdę? — spytał zdziwiony Drugi.

— Pewnie, że tak — odpowiedział Trzeci. — Możemy zachować tradycje i nie gromadzić niepotrzebnych nowości.

— Ale jak?

— Zastanowię się nad tym — powiedziała Czwarta. — Nie chcę krzywdzić ludzi, ale te rzeczy, te niepotrzebne i niechciane rzeczy, można zniszczyć albo wyrzucić. — Popatrzyła na Piątego, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

Trzeci zaśmiał się w głos:

— Niektórzy już próbowali. I ogłuchli od tego...

— Ale maszyna nie żyje — przypomniał mu Pierwszy. Trzeci mruknął głucho, niezadowolony, że mu przerywają.

— Poszli na zesłanie, bo poturbowali Mistrza Harfiarzy.

— A ja słyszałem, że Mistrz zmarł w pomieszczeniu, gdzie było to urządzenie. Może doszedł do wniosku, że to zdradziecka maszyna. A może on sam ją wyłączył? — spytał Piąty.

Kobieta aż się zakrztusiła.

— To bardzo interesujący pomysł — powiedział cicho Trzeci i pochylił się nad stołem. — Są jakieś dowody?

— A skądże — w głosie Pierwszego brzmiało przerażenie. — Uzdrowiciele powiedzieli, że serce Mistrza Robintona przestało bić przez to, że go porwali i szarpali nim na wszystkie strony.

— Tak, nigdy potem nie doszedł do siebie — przyznał Drugi, który szczerze rozpacział po śmierci Robintona, podobnie jak wszyscy mieszkańcy planety. — Słyszałem, że na ekranie pojawił się jakiś tekst. Długo się wyświetlał, a potem zniknął.

— „Na każdy czyn jest czas wyznaczony”¹ — mruknął Szósty.

— Niemożliwe, żeby Mistrz Robinton to napisał. To musiał być Assigi. — Siódmy spojrzał gniewnie na Szóstego.

— Warto się nad tym zastanowić, co? — spytał Trzeci.

— Dokładnie — oczy Czwartej zalśniły dziko.

— Można by spytać jeszcze o niejedno: o to, co ta... maszyna Assigi — w bezbarwnym głosie Piątego zabrzmiała taka uraza, że wszyscy przy stole dostali gęsiej skórki — wsączyła w nasze życie, niszcząc tradycje, dzięki którym przetrwaliśmy tak długo. — Piąty bez trudu ponownie zdominował rozmowę. — Ja — tu przerwał — nie akceptuję krzywdzenia żywych istot. — Znow zrobił znaczącą przerwę, a potem dodał: — Ale ostateczne usunięcie przedmiotów, które mogą wywierać szkodliwy wpływ na niewinne osoby, to inna sprawa. Koniecznie trzeba spowodować, by takie nowo wynalezione materiały lub przedmioty nigdy nie ujrzały światła dziennego.

— O co nie będzie trudno w przypadku żarów albo elektryczności — skomentował żartobliwie Trzeci, ale nie doczekał się aprobaty nawet od Drugiego. Piąty i Czwarta posłali mu mordercze spojrzenia, aż skurczył się w sobie.

— Zgadzam się, żeby się pozbyć niektórych zabawek i nowości —mruczał Drugi,

¹ Księga Koheleta, 3,17, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań — Warszawa, 1990

choć nie był do końca przekonany. — Bardziej chodzi mi o to — potoczył wzrokiem po wszystkich twarzach — że niektórzy z nas zawsze dostają mniej niż inni.

— Zgadzam się z całego serca. Na przykład jeźdźcy smoków zawsze pierwsi biorą to, co chcą—poparł go Trzeci. — Teraz kolej na nas.

— Nie macie pojęcia, jak wielu jest ludzi — powiedział Piąty swoim przekonującym głosem — którzy autentycznie wątpią, czy te wszystkie rzeczy wymyślone przez Assigi prowadzą do dobrego. Maszyna nie powinna wiedzieć więcej niż istota ludzka. Pierwszy energicznie pokiwał głową i wstał:

— Wrócą i przyprowadzę jeszcze parę rozsądnie myślących istot ludzkich.

Pod wieczór przy stole zasiadło ponad dwadzieścioro „rozsądnie myślących” osób, które półgłosem dyskutowały nad tym, że być może maszyna Assigi, albo Ohyda, jak ją nazywali pierwsi przeciwnicy, nie miała na sercu ludzkiego dobra, będąc sama maszyną... i tak dalej.

Nikt nie wymieniał imion, warowni ani rodów, postanowili tylko, że jeśli będą mogli, spotkają się na następnym Zgromadzeniu. Umówili się, że poszukają innych osób chętnych do zorganizowania; protestów przeciwko niepożądanym i prawdopodobnie szkodliwym zmianom, które wprowadzano jako tak zwany „postęp”.

Pierwszy i Drugi — pseudonimy te stosowano później również w czasie następnych spotkań — dziwili się, że tylu ludzi ma małe i duże, prawdziwe lub wymyślone urazy, które do tej pory nie zostały ujawnione i nie znalazły zadośćuczynienia. Nie dziwiło to natomiast Trzeciego, Czwartej, Szóstego i Siódmego, a szczególnie Piątego. Piąty nie wspominał już nigdy więcej o jednoczesnej śmierci Mistrza Harfiarzy i Ohydy, ale tamta jedyna wzmianka przysporzyła jego sprawie wielu zwolenników, którzy nie przystąpiliby do niego z innych powodów. Mistrz Robinton był niezwykle popularny a przypuszczenie — samo przypuszczenie — że Ohyda była rzeczywiście w jakiś sposób odpowiedzialna za jego śmierć, stanowiło dla wielu decydujący argument. Jeśli ludzie mieli do czynienia z urządzeniami i procesami, których nie rozumieli, a które w ten czy inny sposób zostały zapoczątkowane lub zasugerowane przez Ohydę, to nieufność i strach oraz zabójcza pogłoska o tym, kto był jej pierwszą ofiarą — wystarczały, by rozhukane emocje przekształciły się w czyn.

Pojawiły się osoby, które realizowały się działając w grupie. Planowały z perwersyjną radością, w jaki sposób podminować „postęp”, dokonując drobnych aktów zniszczenia. Znaleźli się i tacy, którym nie wystarczały te rozproszone działania, w zasadzie nieistotne dla

Warowni i Cechów, bez poważnego wpływu na konstruowanie i rozsyłanie wciąż nowych i nowych ohydnych urządzeń.

To prawda, uzdrowiciele irytowali się widząc, że z półek nagle znikają najnowsze transporty leków z Siedziby Cechu, ale nikt nie wpadł na to, że tradycyjne leki pozostają nietknięte.

Jeśli któryś z Cechów Rzemiosł produkujących nowe urządzenia zorientował się, że jego wyroby zostają zniszczone dziwnym zbiegiem okoliczności albo że ktoś wylewa kwas na towary gotowe do transportu, zakładano lepsze zamki i uważniej obserwowano obcych kręcących się po terenie.

W Cechu Drukarzy z kosza przeznaczonego na makulaturę zaczynały znikać błędnie wydrukowane kartki, ale żaden z uczniów nie pomyślał, by kogoś o tym powiadomić.

Pewnego dnia kupcy Lilcampowie, przewożący wartościowe części z jednego Cechu do drugiego, zorientowali się, że ktoś skradł starannie zapakowane towary i donieśli o tym Mistrzowi Fandarelowi z Cechu Kowalskiego w Telgarze. Oburzony Fandarel napisał o tym notatkę do Mistrza Harfiarzy Sebella, informując go, że nie pierwszy już raz delikatne części maszyn znikają podczas transportu do siedzib Cechu Kowali. Jeden z czeladników — uzdrowicieleli złożył przy jakiejś okazji skargę, że musi dostarczyć nowe leki wielu uzdrowicielom, pracującym w oddaleniu od głównych szlaków. Fandarel, Sebell i Mistrz Uzdrowicieleli Oldive zaczęli wreszcie zauważać te drobne wykroczenia.

Dopiero Mistrz Harfiarski Mekelroy, lepiej znany Mistrzowi Harfiarzy jako Cabas, przyjrzał się bliżej tym wszystkim przypadkom kradzieży i wandalizmu i zaczął dostrzegać w nich pewną prawidłowość.

CZEŚĆ PIERWSZA
OBRÓT

ŚWIĘTO OBROTU NA ŁADOWISKU, 1.1.31 OBECNEGO PRZEJŚCIA,

OBROT 2553 WEDŁUG POPRAWIONEJ RACHUBY ASSIGI

Jeźdźcy smoków nierzadko przesiadywali nad księgami w obszernej bibliotece Assigi, więc F'lessan, jeździec spiżowego Golantha, wcale się nie zdziwił na widok pochłoniętej lekturą dziewczyny z zielonym naramiennym sznurem z Zatoki Monaco. Zaskoczyło go tylko, że ktoś chce pracować w czytelni głównego archiwum właśnie dzisiaj, w dzień Święta Obrotu. Cała planeta, wszyscy mieszkańcy północnego i południowego kontynentu obchodzili dzisiaj początek trzydziestego drugiego Obrotu obecnego i, jak mieli nadzieję, ostatniego Przejścia i opadu Nici. Nawet przez grube ściany budynku było słychać odgłos bębnow, a czasem przedzierał się przez nie odgłos instrumentu dętego z orkiestry na Placu Zgromadzeń na Ładowisku.

Dlaczego ta dziewczyna nie poszła na tańce? Przecież jest jeźdźcem zielonej smoczyce! A dlaczego ja sam nie poszedłem? Skrzywił się. Wciąż musiał pracować nad poprawą reputacji beztroskiego lowelasa, na jaką sobie zasłużył we wczesnej młodości. Wcale zresztą się tym nie wyróżniał spośród spiżowych i brązowych jeźdźców. „Po prostu łatwiej cię zauważyć” — powiedziała mu raz Mirrim, słodka jak zwykle. Mirrim zgotowała wszystkim, włączając w to siebie, nielichą niespodziankę, naznaczając zieloną smoczycę Path podczas wylęgu w Weyrze Benden. Została też towarzyszką weyru T'gellana, co nieco złagodziło jej wrodzoną pewność siebie, ale mimo to nikomu nie szczędziła ostrych słów.

Dziewczyna zagłębiła się w rozkładanej stronicy z rysunkiem systemu planetarnego Rukbatu. Rozłożyła ją sobie na pochyłym pulpicie— Mało kto interesuje się takimi rzeczami, pomyślał F'lessan.

Wielu młodych jeźdźców, którzy za szesnaście Obrotów mieli doczekać końca Przejścia, studiowało, by przygotować się do pracy w innej dziedzinie. Dzięki temu będą mogli się utrzymać, gdy skończy się dostarczanie tradycyjnych dziesięcin do Weyrów. W czasie Opadów Nici gospodarstwa i cechy utrzymywały jeźdźców w zamian za zapewnienie napowietrznej ochrony przeciw żarłocznym organizmom, które niszczyły wszystko z wyjątkiem metalu i kamienia. Jednak dostarczanie środków do życia skończy się wraz z Poadami. Wtedy jeźdźcy pochodzący z rodzin gospodarskich lub rzemieślniczych będą mogli do nich po prostu wrócić, ale ci z we tacy jak F'lessan, będą musieli poszukać innej drogi.

F'lessan miał szczęście, bo odkrył Honsiu u stóp wysokich Gór Południowych. Ponieważ Weyry wymogły na radzie, która stanowiła nieformalny zarząd planety, ustępstwo pozwalające jeźdźcom zajmować tereny na południowym kontynencie, F'lessan mógł zgłosić

swoje prawa do Honsiu. Uzasadnił je chęcią doprowadzenia tej siedziby Starożytnych do dawnej świetności, tak by każdy mógł cieszyć oko jej pięknem. W rozmowie z Władcami Weyrów, Cechów i Warowni wykorzystał cały swój urok osobisty i wdzięk, aby nadali mu prawo własności. Kiedy Assigi, czyli Audiosystem Sztucznej Inteligencji, oraz połączone siły wszystkich Weyrów Pernu odmienili orbitę groźnej Czerwonej Gwiazdy, F'lessan zaczął poświęcać na odbudowę Honsiu cały wolny czas po wypełnieniu obowiązków dowódcy skrzydła w Weyrze Benden.

W młodości nigdy nie pociągała go nauka — jego zainteresowania i zdolność koncentracji ograniczały się do wymyślania różnych sposobów wymigiwania się od nauki i wynajdywania sobie nowych zabaw. Kiedy nazaczył spiżowego Golantha, musiał narzucić i pewną dyscyplinę, bo w żadnym wypadku nie chciał zaniedbywać swojego smoka. Nowo nabyta determinacja i zdolność koncentracji uczyniły z niego jednego z najbardziej utalentowanych jeźdźców, wzór do naśladowania — przynajmniej w zakresie umiejętności jeździeckich — dla młodych weyrzątek.

Honsiu stało się jego pasją. Siedziba Starożytnych, z wielką salą ozdobioną pięknymi freskami, od początku przyciągała go z dziwną siłą; bardzo pragnął zachować odnalezione tu skarby Starożytnych i dowiedzieć się jak najwięcej o założycielach i mieszkańcach Warowni. Z właściwą sobie chłopięcą chępliwością mianował się strażnikiem i opiekunem Honsiu. Pracował ciężiej niż ktokolwiek inny i oczyszczaniu pomieszczeń ze śmieci i pleśni oraz przy przywracaniu naturalnego wyglądu tego miejsca. Dziś wieczór pragnął rozwiązać „ewną zagadkę. Specjalnie wybrał tę porę, bo chciał być jedynym gościem Assigi. Nie lubił dzielić się wynikami badań, tym bardziej że fascynacja Honsiu stała w sprzeczności z jego reputacją.

Chronisz Honsiu. Bardzo lubię to miejsce, powiedział Golanth z miejsca, gdzie wygrzewał się w południowym słońcu wśród innych smoków, które przywiozły jeźdźców na Święto Obrotu. *Dobre słońce, czysta woda i dużo tłustego bydła.*

F'lessan, wciąż stojąc na progu czytelnicy, uśmiechnął się do smoka.

Ty je znalazłeś. Zachowamy je dla siebie.

Tak, zgodził się spokojnie Golanth.

F'lessan wsunął jeździeckie rękawice do torby, którą dostał na Święto Obrotu. Musiał je wepchnąć siłą, bo szerokie ochraniacze ze skóry whera były jeszcze sztywne od nowości, mimo że wczoraj wieczorem porządnie je natarł oliwą. Torbę dostał od Lessy i F'lara. Rzadko myślał o nich jako o matce i ojcu; byli Władcami jego Weyru i to liczyło się o wiele bardziej. Niezależnie od wszystkiego, zawsze dostawał od nich prezenty na urodziny, na Dzień Naznaczenia i na Święto Obrotu. Nie był pewny, czy chcieli w ten sposób przypomnieć mu,

że ma rodziców, czy też samym sobie, że mają syna. W weyrze prawie zawsze oddawano dzieci na wychowanie przybranym rodzicom, więc o każdego malucha troszczyło się kilka osób, niekoniecznie będących jego biologiczną rodziną. Gdy F'lessan dorósł i spostrzegł, jak bardzo różni się swoboda panująca w weyrach od wymagań stawianych dzieciom w warowniach i gospodarstwach, cieszył się, że urodził się w Bendenie.

Wreszcie udało mu się wepchnąć rękawice w całości do torby, ale wciąż wahał się, czy wejść do czytelnicy. Nie chciał przeszkadzać samotnej dziewczynie, tak pochłoniętej lekturą, że nawet go nie zauważyła.

Jeszcze nikt nie odrzucił twójego towarzystwa, powiedział smok.

Nie chciałbym przerywać jej skupienia, odparł F'lessan. Skąd można wiedzieć, że nie pracuje nad czymś, co przyda jej się do pracy — gdy skończą się Opady?

Smoki będą zawsze potrzebne na Pernie, padła stanowcza odpowiedź.

Golanth powiedział to z satysfakcją, tak jakby i on musiał się o tym wewnętrznie upewniać. Może była to specyfika charakteru spizowych smoków, ale najprawdopodobniej zapożyczyły to od Mnemetha, ponieważ wielki spizowy smok F'lara w bardzo subtelny sposób szkolił wszystkie spizowe maluchy, które wykluły się na piaskach Bendenu. Naturalnie, F'lessan w ogóle nie myślał o zajęciu miejsca F'lara w przyszłości. Miał szczerą nadzieję, że F'lar sam triumfalnie doprowadzi Weyr do końca tego Przejścia; było to samo w sobie wielkim osiągnięciem, nawet jeśli nie brać pod uwagę tego, jak szczupłym oddziałem jeźdźców dysponował Władca Weyru w młodości. Stanowisko dowódcy skrzydła wystarczało beztróskiemu F'lessanowi, szczególnie teraz, gdy udało mu się objąć w posiadanie Honsiu. A poza tym gdyby Władcy Weyru, a raczej sam F'lar, wpadli na pomysł, że zamierzają przejść na zasłużony odpoczynek, nikt nie kwestionowałby praw F'lessana do ubiegania się o miejsce po ojcu.

W odróżnieniu od Warowni przywództwo Weyru nigdy nie było dziedziczne. Dobrym przykładem była niedawna rezygnacja R'marta i Bedelli z Telgaru. Nowym przywódcą obwołano jeźdźcę z Weyru, którego spizowy smok zwyciężył w locie godowym, parząc się z pierwszą młodą smoczycą, która osiągnęła dojrzałość płciową w tym Weyrze. Okazał się nim J'fery, jeździec spizowego Willertha, którego partnerką stała się Palla, jeźdźczyni złotej Talmanth. F'lessan znał ich oboje i wiedział, że będą z nich dobrzy przywódcy Weyru, gdy niebo stanie się wolne od Nici.

Jeśli nie będziemy tak arogancy jak Jeźdźcy z Przeszłości, dodał w myślach, i nie będziemy wymagać zachowania naszych praw i danin, które przysługiwały w czasie Przejścia.

Jakiś dźwięk wyrwał go z zamyślenia. To buty dziewczyny zaszurały po kamiennej posadzce, gdy skrzyżowała nogi. Pochyliła się nad pulpitem i oparła o niego łokciami. Łagodne, rozproszone światło pozwalało dostrzec jej profil. Pochłonięta lekturą, lekko zacisnęła wargi. Zmarszczyła czoło i westchnęła, przebiegając wzrokiem rozłożoną stronicę. Rozpogodziła się i F'lessan dostrzegł, jak regularne są jej ciemne brwi. Spodobał mu się też delikatny, długi nosek. W brązowych włosach, przyciętych na czubku, by głowa nie pociła się pod hełmem, błyskały czerwone ogniki przy każdym poruszeniu dziewczyny. Reszta starannie ułożonych loków spływała falą aż do połowy pleców.

Dziewczyna wyczuwając jego wzrok, gwałtownie odwróciła głowę.

— Przepraszam. Myślałem, że będę tu sam — tylko to potrafił powiedzieć, zanim ruszył ku niej; jego kroki w płóciennych trzewikach ledwo było słyszeć na kamiennej podłodze.

Zaskoczenie widoczne w jej zachowaniu świadczyło, że również miała nadzieję pouczyć się w spokoju i samotności. Już miała odsunąć krzesło, ale wyciągnięciem ręki nie pozwolił jej wstać. Był ogólnie znany, bo zwykle latał przeciw Niciom z dwoma południowymi weyrami. Bywał także na wszystkich Naznaczeniach, głównie dlatego, że dzięki temu obaj z Golanthem przeżywali na nowo tworzenie się więzi, która połączyła ich na całe życie.

Gdy dziewczyna odwróciła ku niemu twarz, przypomniał sobie, jak ma na imię.

— Jesteś Tai, prawda? Jeźdźczyni Zaranth? — spytał mając nadzieję, że się nie myli.

Nigdy się nie mylisz, mruknął Golanth.

Niespodziewanie Naznaczyła smoka prawie pięć Obrotów temu, w zatoce Monaco. Nie pamiętał, skąd przybyła na Południe. Od odkrycia Assigi w roku 2538 przez Ładowisko przewinęło się całe mnóstwo ludzi. Musiała mieć około dwudziestu pięciu lat, więc może pracowała tam w ciągu tych fascynujących pięciu Obrotów funkcjonowania maszyny. Przecież Assigi darzył niezwykłą sympatią zielone smoki i ich jeźdźców.

F'lessan postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę. Zawstydzona spuściła oczy, gdy wymieniali grzecznościowy uścisk dłoni. Jej uścisk był silny, choć tak krótki, że niemal obraźliwy. Na wierzchu dłoni i palcu wskazującym wyczuł jakieś stare zadrapania, może nawet blizny. Nie była ładna i nie zachowywała się prowokacyjnie jak większość zielonych jeźdźców, a w dodatku była od niego niższa zaledwie o pół głowy. Nie nazwałby jej chudą, ale smukłość figury nadawała jej chłopięcy wygląd.

— Jestem F'lessan, jeździec Golantha, z Bendenu.

— Tak — odparła i rzuciła mu ostre spojrzenie. Jej oczy miały dziwnie skośny

wykrójk, ale tak szybko odwróciła wzrok, że nie spostrzegł, jakiego były koloru. Zaskoczyło go to, że się zaczerwieniła. — Wiem — dodała i musiała nabrać tchu, żeby mówić dalej. — Zaranth mi właśnie powiedziała, że Golanth przeprosił ją za przerwanie drzemki na skale. — Rzuciła mu kolejne szybkie spojrzenie i, speszona, zacisnęła palce prawej dłoni na przegubie lewej tak mocno, że zbieleły jej kostki palców.

F'lessan posłał jej jeden ze swoich najbardziej urokliwych uśmiechów.

— Golanth jest z natury taki troskliwy — powiedział, skłonił się lekko i wskazał na księgę leżącą na pulpicie. — Nie będę ci przeszkadzał w czytaniu. Usiądę po tamtej stronie — wskazał ręką na prawo.

Mógł przecież spokojnie pracować w jednym z pokoi przylegających do głównej czytelnicy i nie zakłócać samotności dziewczynie. W jednej chwili odnalazł trzy tomy, w których spodziewał się znaleźć poszukiwane informacje i zaniósł je na małe biurko w przylegającej salce. Przez wąskie okno widać było wzgórze na wschodzie i skrawek lśniącego w słońcu morza. Usiadł wygodnie, położył na blacie kartkę papieru i zaczął kartkować pokryte cienkim plastikiem karty zapisów z wieży startowej. Szukał nazwiska Steva Kimmera, który w rejestrach osadniczych figurował jako właściciel osady na wyspie Bitkim, obecnie znanej jako Warownia Ista. Chciał się dowiedzieć, co łączyło Kimmera z Kenjo Fusaiyukim, który był pierwszym właścicielem Honsiu.

Podczas dokładnego sprzątnięcia starożytnej siedziby wypatrzył inicjały SK wyryte lub wytrawione w wielu różnych miejscach — na metalowym blacie w garażu, gdzie trzymano ślizgacz i na wielu szufladach. Żaden z pozostałych mieszkańców siedziby nie zostawił nigdzie inicjałów. Stev Kimmer był jedynym S.K., którego nie odnotowano w spisach osób emigrujących na pomoc podczas Drugiej Przeprawy, kiedy to przetrzebieni przez Nici osadnicy osiedlili się w Forcie. F'lessan dowiedział się już wcześniej, że Kimmer zniknął razem ze ślizgaczem wkrótce potem, gdy Ted Tubberman bezprawnie wysłał na starą Ziemię kapsułę z prośbą o pomoc. Potem Kimmer przepadł bez wieści. Z żalem odnotowano utratę sprawnego ślizgacza, ale po Kimmerze nikt nie płakał.

F'lessan dotarł też do ciekawej informacji, że Ita Fusaiyuki pozostała właścicielką Honsiu i nie opuściła tej siedziby, mimo że wielokrotnie proszono ją, by wraz z dziećmi przeniosła się na pomoc. Niektórzy koloniści, na przykład mieszkańcy wyspy Ierne i kilku małych gospodarstw w Dorado, także długo wytrwali na południu, ale w końcu wszyscy wyemigrowali, być może z wyjątkiem ludzi z Honsiu. Wczesne zapisy z Warowni Fort nie wspominały w ogóle o Honsiu ani o rodzinie Fusaiyuki.

Inicjały S.K. były wyraźne. F'lessan szukał próbek pisma Kimmera, by go ostatecznie

zidentyfikować jako autora tych napisów. Cała ta sprawa była bez znaczenia, robił to tylko dla zaspokojenia własnej ciekawości. Niejako wbrew własnemu charakterowi uparł się, by jak najdokładniej poznać historię Honsiu, dowiedzieć się kto tam mieszkał, kiedy opuścił swój dom, dlaczego to zrobił i dokąd się przeniósł.

Honsiu było doskonałym modelem samowystarczalności. Mieszkało w nim niewiele osób, choć siedzibę zaprojektowano dla sporej ilości mieszkańców — było tam całe piętro pokoi sypialnych, które nigdy nie zostały umeblowane. A potem wszyscy opuścili siedzibę nagle i w pośpiechu, jak to sugerowały powysuwane szuflady biurka w warsztacie, który poza tym był utrzymany w idealnym porządku. Sądząc z rozkładających się resztek tkanin, pozostawiono nawet odzież; półki, szuflady i szafy były pełne ubrań. W obszernej kuchni pozostały nietknięte, starannie poukładane przybory do gotowania, co oznaczało, że mieszkańcy siedziby nie odczuwali potrzeby zabrania ich ze sobą na wędrowkę. Nie wzięli też prawie żadnych zapasów żywności, bo różnego rodzaju pojemniki były pełne rozkładających się resztek. Znalaziono też wiele przedmiotów codziennego użytku, takich jak zardzewiałe igły, szpilki i nożyczki. Nigdzie nie było natomiast ludzkich kości, które wskazywałyby, że mieszkańcy zginęli w wyniku napadu lub choroby.

Choć wszystkie drzwi do siedziby pozamykano starannie, ciężkie wrota do pomieszczeń dla zwierząt zablokowano w pozycji otwartej, jakby Starożytni chcieli wypuścić inwentarz na swobodę, dając mu jednak możliwość schronienia.

F'lessan kartka za kartką zagłębiał się w rejestry przylotów i odlotów starannie spisane przez dyżurnych z Wieży. Ponownie natrafił na notatkę o ucieczce Kimmera, który zabrał niezbędny osadnikom sprawny ślizgacz: „S.K. wspierał odpalenie kapsuły przez Tubbermana. Wziął kurs na północny zachód. Prawdopodobnie nie zobaczymy już ani jego, ani ślizgacza. Z.O.”

F'lessan już przedtem szukał notatek sporządzonych ręką Kimmera w czasach jego gospodarzenia w Bitkim. Ani on, ani Avril Bitra nie zostawili ani słowa na temat działania kopalni, choć Cech Górników w dalszym ciągu wydobywał z tamtejszych złóż pojedyncze, piękne okazy kamieni szlachetnych.

Z rezygnacją i nieco za głośno zaniknął ostatni tom i natychmiast spojrzeniem przeprosił za hałas. Zauważył, że na blacie roboczym Tai piętrzą się oprawne tomiska. Ciekaw był, czy dziewczynie lepiej dopisało szczęście niż jemu. Wyciągając szyję, zdołał odczytać na grzbiecie jednej z książek tytuł: „Tom 35 — *YOKO* 13.20 —28”. Pozostałe cyfry, oznaczające Obrót, poprawiono niedawno czerwonym tuszem na 2520. Poprawkę naniesiono

tak starannym charakterem pisma, że mógł to zrobić tylko Mistrz Esselin.

Wsunął notatkę z kopią inicjałów z powrotem do kieszeni przy pasie, wstał energicznie, ale za to cicho, starając się, by krzesło nie zaskrzypiało na kamieniu. Zebrał książki i ustawił je na właściwym miejscu. Przez chwilę stał nieruchomo; wcisnął pięści za pas i gniewnie wpatrywał się w grzbiety książek, które nie potrafiły przynieść odpowiedzi na jego pytanie. Dlaczego uparł się, by zbadać, kim jest ten S.K? Kogo to obchodzi? Tylko jego samego, z powodów, których sam nie rozumiał. Starannie wyrównał książki na półce. Mistrz Esselin przywiązywał wielką wagę do tego, by jego cenne tomy zwracano w przyzwoitym stanie.

Słyszając, że Tai wstała i odsunęła krzesło, obrócił się na pięcie i zobaczył, że zamyka opasły tom, który czytała. Podniosła go i z wdziękiem stanęła na palcach, by odstawić go na specjalną półkę w szafce za swoimi plecami.

— Mam nadzieję, że miałaś więcej szczęścia — powiedział ze smutnym uśmiechem.

Przestraszył ją tak, że wypuściła z palców duży, ciężki wolumen. Zaklinował się rogiem okładki o niższą półkę. Chciała go znowu unieść i wsunąć na miejsce, ale wysliznął jej się z rąk. Wiedząc, jakie pretensje miał Mistrz Esselin, jeśli ktoś uszkodził jakikolwiek przedmiot pod jego opieką, F'lessan jednym skokiem znalazł się przy półce i pochwycił księgę tuż nad podłogą.

— Niezły refleks, że tak powiem — uśmiechnął się do dziewczyny.

Dlaczego popatrzyła na niego, jakby jej czymś groził? Albo chciał ją podejść?

— Złapałem. Można? — Z pogodnym (taką przynajmniej miał nadzieję) uśmiechem wyjął księgę z bezwładnych palców Tai i wsunął ją bezpiecznie na miejsce.

Właśnie wtedy dostrzegł niezagojone skaleczenia na wierzchu jej lewej dłoni.

— Paskudnie wygląda. Byłaś u uzdrowiciela? — spytał. Wyciągnął dłoń, by obejrzyć rany, jednocześnie grzebiąc przy pasie w poszukiwaniu mrocznika.

Szarpnęła, próbując wyrwać rękę.

— Tai, czy cię uraziłem? — spytał, natychmiast uwalniając jej palce. Pokazał jej zielony słoiczek w rodzaju tych, w jakich zwykle przechowuje się mrocznik.

— Och, to nic takiego.

— Nie oszukasz mnie — skarcił ją z udawaną powagą. — Powiem Golanthowi, żeby Zaranth wszystko nam doniosła.

Zaskoczona, zamrugła.

— To tylko zadrapanie.

— Jesteśmy na Południu, Tai, powinnaś więc już dawno wiedzieć, że nawet dobrze

opatrzone rany mogą się fatalnie goić. — Przekrzywił głowę, zastanawiając się, czy oczarować ją uśmiechem. Odkręcił pokrywkę słoika i przesunął dziewczynie pod nosem. — Czujesz? To tylko dobry, stary mrocznik. Świeży, zrobiony na wiosnę. Z moich prywatnych zapasów. Tym tonem ojciec mówił do synów, gdy byli małymi chłopcami. Znów wyciągnął rękę, dłonią do góry, przebierając palcami, by przełamać opór Tai. — W czasie tańców ktoś może cię złapać za rękę i naprawdę zrobić ci krzywdę. — Jak na zawołanie muzyka z placu napłynęła głośniejszą falą w donośnym finale.

Poddała się namowie i niemal pokornie wyciągnęła rękę. Oparł ją na swojej dłoni, by uspokoić jej palce, odwrócił słoiczek nad skaleczeniem i poczekał, aż spłynie na nie kropla półpłynnej maści.

— Wolę, żeby sama kapnęła — powiedział od niechcienia, aż nazbyt świadom jej zdenerwowania. Zauważył, że ranki nie były głębokie, ale biegły od kostek palców aż do nadgarstka. Powinna była je wcześniej opatrzyć. Wypadek musiał się zdarzyć przed kilkoma godzinami, powiedziało mu wieloletnie doświadczenie z różnymi skaleczeniami. Dlaczego nie opatrzyła zadrapań?

Wciągnęła powietrze, gdy zimny mrocznik spłynął na dłoń. F'lessan fachowo przechylił jej palce i oboje patrzyli, jak maść pokrywa skaleczenia.

— W dzień Świąta Obrotu częściej używa się fellisu na przepicie niż mrocznika — powiedział F'lessan i skarcił się w myśli za niemądrą uwagę. — Już dobrze. W ten sposób zapobiegiesz zakażeniu.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że jest takie głębokie. Widzisz, spieszyłam się. — Szybkim spojrzeniem ogarnęła czytelnię.

— Chciałaś popracować bez przeszkód — zaśmiał się w nadziei, że urazi ją to mniej, niż uśmiechy. — Mnie chodziło o to samo. Nie, poczekaj jeszcze chwilę, niech mrocznik zastygnie — dodał, widząc że dziewczyna zbiera się do odejścia.

Przysunął dla niej krzesło i zaprosił, by usiadła. Przyciągnął drugie krzesło dla siebie i odwrócił je. Usiadł na nim okrakiem i splótł ręce na oparciu. Tai oparła rękę o stół i obserwowała, jak mleczna maść staje się przejrzysta. Ponieważ chciał jej ofiarować wsparcie, a nie przytłoczyć swoją obecnością, pozwolił, by milczenie się przedłużyło. W tym czasie zastanawiał się, jakie pytania nie zrania jej jeszcze bardziej. Zwykle nie miał problemów z nawiązaniem rozmowy.

Zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby zostawić ją samą. Właśnie w tym momencie zorientował się, po co były jej te wszystkie tomy z zapisami z *Yoko*.

— Czy mogę zapytać, dlaczego interesujesz się Duchami? Popatrzyła na niego z takim

zdumieniem, że aż rozchyliła usta o ładnie wykrojonych wargach. Wskazała na półkę.

— Z jakiego innego powodu ktoś miałby przeglądać zapisy Obrotów pod koniec trzynastego miesiąca, kiedy spadają Deszcze Duchów?

Rozejrzała się po czytelniku, rozpaczliwie unikając jego wzroku, aż nagle wyrzuciła z siebie:

— Często robię różne wyliczenia dla Mistrza Wansora, a on dowiedział się, że Duchy, których u nas się nie da zaobserwować... ale sam o tym wiesz, bo jesteś z Bendenu... — przerwała i przełknęła ślinę, jakby powiedziała coś niestosownego.

— Tak, wiem, że nie są widoczne tutaj, na południowej półkuli i teraz są rzeczywiście niezwykle liczne i jasne. Też to zauważyłem. Właściwie spostrzegło to wiele osób — ciągnął zachęcająco — ale ponieważ od urodzenia mieszkam w Bendenie, widziałem już równie jasne i częste Deszcze. Trochę studiowałem astronomię, więc czy smoczy jeździec z Bendenu, nie całkiem nieobeznany z tamtejszą mapą nieba, mógłby ci się na coś przydać?

— Bezpośrednie obserwacje zawsze bywają przydatne — odparła z pewną rezerwą. — Zauważono także — na jej ustach pojawił się cień uśmiechu, gdy wskazała na pozostałe książki — że zmiany częstotliwości opadania i jasności Duchów zachodzą cyklicznie.

— Na pewno, bo pamiętam, że miałem trzy latka, kiedy zobaczyłem na niebie jakieś ładne światełka i o nie pytałem, a teraz widzę tak jasny i częsty opad po raz piąty. Poczekaj, pomogę ci odstawić te tomiska. Oszczędzaj rękę.

Zawahała się, ale oparł sobie na przedramieniu pięć tomów i poszedł ku właściwej półce. Pospiesznie zebrała następne.

— A ty znalazłeś to, czego szukałeś? — spytała, gdy skończyli sprzątać książki.

— Właściwie nie — powiedział. — Ale może tego nie da się znaleźć.

— Mimo tego całego bogactwa? — okrągłym gestem wskazała regały z książkami.

— Assigi nie był wszystkowiedzący — powiedział, zaskakując ją po raz kolejny. — Wiesz, to wcale nie jest herezja, bo przecież jego zapisy ustały po Drugiej Przeprawie.

— Wiem. — W tym prostym stwierdzeniu zabrzmiała dziwna nutka, ale nie odważył się o nią spytać.

— Moja zagadka jest prawdopodobnie bez odpowiedzi — dodał.

— Jaka zagadka? — lekko pochyliła się w jego stronę. Oho, zaciekawilo ją to. Dobrze.

— Inicjały — sięgnął do pasa i wydobyl kartkę papieru. — S.K. Wygladził kartkę i pokazal dziewczynie. Spochmurniala zaskoczona, ale niezupelnienie niechetna.

— Moim zdaniem, to inicjały Steva Kimmera — dodał. Zamrugala.

— Kogo? — spytała.

— Właściwie był przestępcą...

— Ach, ten człowiek, który uciekł na sprawnym ślizgaczu, kiedy Tubberman wysłał kapsułę?

— Niezła jesteś z historii.

Zaczerwieniła się i gwałtownie pochyliła głowę.

— Miałam szczęście. Przyjęto mnie do szkoły na Ładowisku.

— Naprawdę? Pewnie byłaś pilniejszą uczennicą niż ja.

— Ale ty już wtedy byłeś jeźdźcem — odparła zaskoczona i wreszcie spojrzała na niego wprost. Jej oczy miały niezwykle zielony odcień.

Uśmiechnął się.

— To nie znaczy, że musiałem być dobrym uczniem. Jeśli w dalszym ciągu się uczysz — wskazał gestem na półki — to znaczy, że wyrobiłaś sobie dobre nawyki. Zostałaś tutaj po ukończeniu nauki?

Odwróciła wzrok. Nie miał pojęcia, co w jego słowach mogło ją tak zaniepokoić.

— Tak — odparła w końcu. — Miałam szczęście. Widzisz — wyjaśniła z wahaniem — mój ojciec przywiózł tu nas wszystkich. Z Keroonu. Był czeladnikiem kowalskim i pomagał... tutaj.

— Aha? — F'lessan zachęcająco przeciągnął to słówko, kiedy Tai przerwała opowieść.

— Bracia uczyli się od niego, a matka zaprowadziła mnie z siostrą do szkoły, w nadziei, że będziemy miały szczęście i nas przyjmą. Siostra nie lubiła nauki.

— Nie każdy musi — F'lessan zachichotał samokrytycznie. Rzuciła mu szybkie spojrzenie, z którego wywnioskował, że dla niej nauka była jak powietrze dla jaszczurki ognistej. — No i? — podrzucił.

— Podczas zeszłego Obrotu, kiedy było tyle roboty, Mistrz Samvel przysłał mnie tu do pracy. Ojciec bardzo chciał znaleźć dobre gospodarstwo dla całej rodziny, więc odeszli.

I więcej nie miała od nich wiadomości, powiedziały F'lessanowi jej pochylone ramiona i wyraz samotności na twarzy.

— Ktoś ich szukał?

— Tak — odparła szybko, podnosząc wzrok. — T'gellan wysłał całe skrzydło. — Znów spojrzała w dół.

— I nie znaleźli ani śladu? — spytał łagodnie.

— Nic. Wszyscy byli bardzo mili. Zostałam uczennicą Mistrza Wansora, czytam mu

różne rzeczy. Spodobał mu się mój głos.

— Wcale się nie dziwię — odparł F'lessan. Już wcześniej zauważył, jak ekspresyjna potrafi być jej wymowa.

— Dlatego znalazłam się w Zatoce Monako podczas Wylęgu i Naznaczyłam Zaranth.

— Bo czytałaś coś Mistrzowi Wansorowi?

— Nie — powiedziała rozbawiona. — Chciał mieć obok siebie kogoś, kto mu będzie relacjonował wszystko, co się dzieje. Więc posadzono nas przy samej Wylęgarni.

— Aha, pamiętam — zaśmiał się F'lessan. — Mistrz Wansor musiał cię popchnąć w stronę Zaranth. Nie wiedziałaś, co masz zrobić najpierw, odpowiedzieć na wezwanie smoka, czy opowiadać Mistrzowi, co się dzieje.

Uśmiech rozjaśnił twarz i zielone oczy dziewczyny, gdy przypomniała sobie własne niedowierzanie i zdumienie, ogarniające każdego szczęściarza, który naznaczył smoka. Odpowiedział jej uśmiechem i oboje długo milczeli, zagłębiając się w radosnych wspomnieniach Naznaczenia.

— Dalej studiujesz? — spytał F'lessan, wskazując na jeden z tomów.

— Czemu nie? — odparła z kwaśnym uśmieszkiem. — Równie dobre zajęcie dla jeźdźca, jak każde inne.

Po przerwie spytała:

— Zaglądałeś do Karty?

— Do Karty? — zdziwił się.

Machnęła ręką w kierunku gablotki, gdzie trzymano oryginał Karty Założycielskiej Kolonii na Pernie.

— Kimmer był jednym z kolonistów, prawda? — powiedziała. — Musiał się gdzieś podpisać, nawet gdyby był tylko na kontrakcie.

F'lessan skoczył na równe nogi tak gwałtownie, że mało nie przewrócił krzesła. Jego nagły ruch przestraszył dziewczynę.

— Jejku, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? — wykrzyknął z przesadnym samokrytycyzmem. Prędko podszedł do zamkniętej próżniowo gabloty zawierającej to, co uznano za najcenniejszy i najważniejszy dokument na planecie.

Warownia Fort z wielkimi honorami zwróciła Kartę Lądowisku. Nikt przedtem nie wiedział, co znajduje się w solidnym pojemniku, który kurzył się w magazynie wraz z innymi skrzyniami, póki Assigi nie powiedział, czego mają szukać. Tylko Assigi znał właściwą kombinację otwierającą zamek cyfrowy. Karta, zamknięta w próżniowej kasetce, okazała się nienaruszona. Zresztą, przyjrząwszy się jej bliżej, Mistrz Benelek oświadczył, że zafoliowane

stronice były odporne na wszelkiego rodzaju zniszczenia, może z wyjątkiem pocięcia na kawałeczki bardzo ostrymi narzędziami. Kartę umieszczono za grubymi szybami wykonanymi przez Mistrza Moriltona, na specjalnym mechanizmie — również opracowanym przez Assigi — który pozwalał zdalnie przewracać stronice.

— Wielkie litery będą wyglądać tak samo, prawda? Niezależnie od tego, czy są wydrukowane, czy pisane ręcznie — pomrukiwał Flessan. — Jesteś lepszą badaczką ode mnie — uśmiechnął się z pewną dozą szacunku. — Aha, pracownik kontraktowy — szepnął do siebie, gdy doszedł do ostatnich stron, gdzie widniały podpisy. Niektóre z nich były zaledwie maźnięciem pióra. Podzielono je na trzy grupy: pierwsza obejmowała właściwych kolonistów—założycieli, druga pracowników kontraktowych, a trzecia dzieci powyżej pięciu lat, które wyruszyły na wyprawę kolonizacyjną wraz z rodzicami.

— Tutaj — powiedziała Tai i postukała palcem w szkło, wskazując miejsce, gdzie widniały wyraźnie wypisane słowa: inż. Stev Kimmer.

F'lessan starannie rozprostował kartkę na szkłe, dokładnie nad wyraźnym i czytelnym podpisem.

— To nie mógł być nikt inny — stwierdziła Tai, przejeżdżając palcem po całej liście. — Nikt inny nie ma inicjałów S.K.

— Masz rację. To jest to. To on — F'lessan z typowym dla siebie entuzjazmem objął dziewczynę w tali i zakręcił w kółko, zapominając, z jaką rezerwą traktowała poprzednio jego przyjazne zachowanie. — Ojej! — puścił ją i rzucił przeproszające spojrzenie.

W pierwszej chwili potknęła się, więc natychmiast pomógł jej odzyskać równowagę.

— Strasznie ci dziękuję, że tak szybko to znalazłaś. Ja tak bardzo chciałem zobaczyć las, że nie spostrzegłem go zza drzew — powiedział z lekkim ukłonem.

Ładny uśmiech ma ta dziewczyna, pomyślał, kiedy kąciki jej szerokich ust uniosły się do góry ukazując białe, równe zęby, lśniące w śniadej twarzy, której kolor był po części dziedzictwem genetycznym, a po części opalenizną.

— Dlaczego ci tak na tym zależało?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — spytał z charakterystyczną prostodusznością, która nieraz zaskakiwała jego rozmówców.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, aż w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Nie znał żadnej dziewczyny z dołeczkami na buzi.

— Jeśli dla jeźdźca coś jest ważniejsze niż... — tu skłoniła głowę w kierunku, z którego dobiegała głośna muzyka — jedzenie i tańce w Święto Obrotu, to zapewne jest to poważna sprawa.

Zaśmiał się cicho.

— Ty także jesteś jeźdźcem, a siedzisz w bibliotece.

— Ale ty jesteś F'lessanem i spiżowym jeźdźcem.

— A ty jesteś Tai i zieloną jeźdźczynią — odparował.

Dołączki zniknęły z jej twarzy. Odwróciła wzrok.

Jesteś spiżowym jeźdźcem, jesteś F'lessanem, a ona się wstydzi, powiedział Golanth. Zaranth twierdzi, że jej jeźdźczyni chce się uczyć, żeby znaleźć zatrudnienie, gdy przestaną opadać Nici. Nie chce już nigdy być od nikogo zależna.

Jak wszyscy jeźdźcy, odpowiedział F'lessan.

Od innych jeźdźców też nie chce być zależna, dodał Golanth, nieco urażony taką ostrą deklaracją samodzielności.

— Całkiem niezłe się bawiliśmy, kiedy znalazłaś dla mnie podpis Steva Kimmera — powiedział łagodnie F'lessan.

Uważaj, szepnął jego smok

— Mrocznik pewnie już wysechł — dodał jeździec. — Jestem głodny, chce mi się pić i choć wolałbym wrócić do Honsiu, muszę się tam choć na chwilę pokazać — kiwnął głową w kierunku muzyki.

— To tam pojechał Stev Kimmer? Do Honsiu? Dlaczego właśnie tam?

— No właśnie — F'lessan uniósł palec w górę — to jest część mojej zagadki. Znalazłem jego inicjały w różnych miejscach w mojej Warowni, choć nie ma o nim ani jednej wzmianki w zapiskach, które Ita Fusaiyuki prowadziła jeszcze przez kilka miesięcy po śmierci Kenjo.

— Umarła w Honsiu?

F'lessan pokręcił głową, a zamyślona dziewczyna wyszła za nim powoli z Archiwum.

— Nie wiem. Assigi zachował kopie wiadomości, które do niej wysyłano, namawiając, by wróciła na Ładowisko, a stamtąd przepawiła się na pomoc. To znaczy, że żyła w okresie Drugiej Przepawy. A w każdym razie żył jakiś mieszkaniec Honsiu,

— Obiecałam, że wszystko pozamykam — przerwała mu Tai i zatrzymała się w przedsionku, by włączyć alarm.

F'lessan kiwnął głową z aprobatą. Wszystkie materiały archiwalne w tutejszej bibliotece, w Warowniach i Cechach zabezpieczono na wypadek różnych katastrof — naturalnych i nienaturalnych.

Wyszli na zewnątrz i zatrzymali się u szczytu szerokich schodów. Gdy rozmawiali,

tropikalny zmierzch błyskawicznie ustąpił miejsca nocy. Poniżej rozpościerała się świąteczna feeria świateł, barw i dźwięków; świętowano Koniec Obrotu. Jednak najbardziej drażniły zmysły smakowite zapachy potraw czekających na uczestników zabawy. Oboje jednocześnie wciągnęli w nozdrza ich aromat i nagle, również jednocześnie, odwrócili się, by spojrzeć w błękitne, okrągłe ślepia gromady smoków usadowionych na wzgórzach. Błękit oznaczał, że bestie z wielkim zadowoleniem obserwują radosną zabawę. Muzyka wybuchła hałaśliwym *finale*. Napłynął ku nim wesoły śmiech i rozbawione ludzkie głosy.

— Harfiarze odkładają instrumenty — powiedział F'lessan, wskazując na estradę. Zatarł ręce. — To znaczy, że teraz będzie jedzenie, a ja jestem bardzo głodny.

Popatrzył na dziewczynę; doskonale pasowała do niego wzrostem. Ale czy zechce z nim zatańczyć, jeżeli ją poprosi?

— Ja też — przyznała i leciutko uniosła podbródek.

Skłonił się i eleganckim, okrągłym gestem wskazał w kierunku stołów.

— Masz długie nogi. Zróbmy wyścig do dołów z pieczystym — zaproponował i ruszył z miejsca. Najpierw usłyszał jej śmiech, a potem odgłos butów na żwirze ścieżki.

Tai, która wiedziała o dowódcy skrzydła z Bendenu F'lessanie znacznie więcej niż on sam mógłby przypuszczać, poczuła się zaskoczona tym, jak chętnie podjęła wyzwanie. Pomimo wszystkich opowieści Mirrim o spizowym jeźdźcu — włącznie z poważnymi ostrzeżeniami na temat jego skrajnego braku odpowiedzialności — w bibliotece był dla niej miły i troskliwy. Była zaskoczona tym, że doskonale wiedział, co gdzie stoi na półkach. Bez wątplenia oszczędził jej konfrontacji z Mistrzem Esselinem, który miał własne poglądy na to, czego powinni się uczyć jeźdźcy smoków. A szczególnie zielone jeźdźczynie. Po pierwszym nieprzyjemnym spotkaniu z zadufanym w sobie archiwistą, Mirrim uraczyła ją milutką historyjką o tym, jakie sama miała przykrości z Esselinem na początku odkryć na Lądowisku, zanim odnaleziono Assigi i w jaki sposób obronił ją Mistrz Robinton. To głównie lęk przed Esselinem sprawił, że Tai chodziła do biblioteki o dziwnych porach, kiedy nie ryzykowała spotkania z małostkowym staruszkiem.

Na szczęście od ich skrzydła Archiwum w kierunku otwartego terenu, gdzie trwała zabawa, wiodła szeroka ścieżka. Zaszło już słońce, j ale zapalono światła, więc nie trzeba było uważać na każdy krok. F'lessan wyprzedził ją i był już przy sekcji Assigi, ale zwolnił, popatrzył i w prawo i z respektem pochylił głowę. Tai wiedziała, że był bardzo ! zaangażowany w pracę z Assigi, niemal od dnia jego odkrycia, więc rozumiała powody jego zachowania. Sama też zwolniła, bardziej z powodu zaskoczenia niż dla wyrażenia szacunku. Po chwili mężczyzna przyspieszył kroku, więc i ona ruszyła prędzej, starając się go dogonić.

Nie była Kurierem, ale umiała narzucić sobie dobre tempo, a poza tym nie chciała przegrać. Jeźdźcy dbali o sprawność fizyczną — także ze względu na związek ze smokami — a bieganie bardzo w tym pomagało.

Nagle wpadła na F'lessana, który zatrzymał się gwałtownie na zakręcie, by nie nastąpić na parę tak zajęta sobą, że zapomniała o wszystkim na świecie. Skoczył w bok niemal jak akrobata, udało mu się też przytrzymać Tai.

Wbrew temu, czego zdaniem Mirrim można by się po nim spodziewać, F'lessan nie zatrzymał Tai w uścisku dłużej niż to było potrzebne, by odzyskała równowagę. Spojrzał na nią rozbawionym wzrokiem i ruchem głowy wskazał parę, tak pochłoniętą własnymi przeżyciami, że nawet ich nie zauważyła.

— Nie stawajmy na drodze prawdziwej miłości — szepnął i gestem wskazał, by ominąć kochanków. Jego oddech był tylko lekko przyspieszony po biegu, tak samo jak i Tai.

Obeszli parę łukiem, a potem, zapominając o wyścigu, zgodnie ruszyli ku dołom, gdzie przygotowywano pieczyste. Wokół dołów już się zaczęli gromadzić pierwsi biesiadnicy.

Wieczorna bryza, zawsze wiejąca na lądowisku, ochłodziła jej rozgrzane czoło, gdy się zatrzymali. Zdążyli ustawić się przy kucharach, zanim napłynął tłum z placu tanecznego. Gdy dostali porcje pieczystego i drobiu z grilla, a potem nabrali bulw i warzyw z parujących kotłów, kolejka do jedzenia wydłużyła się trzykrotnie.

— Gdzie siadamy? — spytał F'lessan, rozglądając się wokół.

— Pewnie chcesz przyłączyć się do swoich znajomych?

— Niekoniecznie. Chciałem tylko mieć trochę czasu na pracę w Archiwum. Zobacz, tam po prawej, na skraju polany jest spokojny stolik. — Podniósł głos: — Hej, Geger! — jeden z winiarzy popatrzył w ich stronę. — Obsłuż nas, dobrze? — F'lessan pokazał wybrany stół, wziął Tai wolną ręką pod ramię i poprowadził ją w tamtą stronę. Winiarz podszedł do stołu w tym samym czasie co oni.

— Białe? Czerwone? — zapytał F'lessan dziewczynę, zanim zwrócił się do swojego znajomego: — Masz tu coś z Bendenu, Geger?

— Dla ciebie, F'lessan, coś się znajdzie — mężczyzna wsadził dwa palce do ust i ostry gwizd przeszył wesoły rozgwar tłumowi, zwracając uwagę drugiego winiarza stojącego po drugiej stronie placu, przy bukłakach z winem. Geger zamachał rękami w sekretnym kodzie winiarzy, a tamten w odpowiedzi dał mu znak dłonią.

— Trzy marki, spiżowy jeździec.

— Ile? — zdziwił się F'lessan.

— Zapłacę za siebie — powiedziała szybko Tai, sięgając do kieszeni w pasie.

— Geger, to rozbój w biały dzień. Mógłbym kupić to wino w winnicy za półtorej marki.

Tai rozbawiło oburzenie w jego głosie.

— To trzeba było przywieść własne, F'lessanie. Dobrze wiesz, że trzy marki to wcale nie za wiele za chłodne białe wino z Bendenu — trzy ostatnie słowa wyśpiewał powoli i kusząco.

— Aż trzy marki?

— Ja dam... — zaczęła Tai, ale F'lessan uciszył ją gestem.

— Znamy się z Gegerem nie od dziś — powiedział z błyskiem w oku, ale jego głos zabrzmiał twardo. — Prawda, stary druhu?

— Nawet dla starego druha trzy marki za trzydziesty rocznik białego z Bendenu to niezła cena, szczególnie na Koniec Obrotu — Gegera nie wzruszały wzmianki o przyjaźni.

— Ale marki z Bendenu — upierał się F'lessan, wysuwając dolną szczękę.

— Pewnie, marki z Bendenu są najlepsze. Prawie takie dobre jak harfiarskie.

F'lessan podał mu pieniądze w chwili, gdy podszedł do nich drugi winiarz z dużym bukłakiem.

— Dobry rocznik — powiedział Geger, zartobliwie zsalutował F'lessanowi i puścił oko do Tai.

—No cóż, dobrze schłodzone. — F'lessan pomacał skórę, odetkał korek i gestem polecił Tai, by podsunęła kieliszki stojące na stole. Napełnił je zgrabnie, zatkał bukłak i położył go pod stołem. — Bezpiecznego nieba! — wznosił tradycyjny toast i lekko stuknął się z i nią kieliszkiem.

— Chyba to rzeczywiście trzydziesty rocznik — dodał po pierwszym ostrożnym łyku. Uśmiechnął się szeroko. — Wiesz, trzy i to całkiem niezła cena za markowe białe bendeńskie.

Właśnie wzięła do ust łyk wina, więc omal się nie zakrztusiła i te słowa. Nie byłoby ją na to stać nawet w Święto Obrotu, gdy lekką ręką wydawało się pieniądze. Nie wzięła ze sobą wiele gotówki. Po skończeniu pracy nad deklinacjami dla Erragona chciała tylko coś przegryźć, może przez chwilę posłuchać muzyki i zaraz wrócić z Zaranth do swojego weyru nad Zatoką Monaco. Poza tym miała tak miała niewiele marek, choć podobnie jak inni zieloni jeźdźcy czasem rozwoziła pakunki i listy po całym Południowym Kontynencie, gdy była wolna od obowiązków w Weyrze i nie pracowała dla Mistrza Wansora.

— Dzięki, spizowy jeźdźcze — powiedziała.

— Mam na imię F'lessan, Tai — skarcił ją zartobliwie, a w oczach zamigotały mu

wesołe ogniki.

Nie była pewna, co na to odpowiedzieć.

— Bierzmy się do jedzenia — zaproponował i wyciągnął nóż z pochwy przy pasie. — Sądząc po zapachu, kucharze z Ładowiska przyprawili jedzenie swoim specjalnym sosem. Czego więcej chcecie w Święto Obrotu?

Ja nie marzyłam nawet o czymś takim, pomyślała, biorąc sobie czysty widelec i delektując się swoim przysmakiem — pieczonymi bulwami. W życiu nie próbowała tak dobrego wina i jedzenia.

— Jak ręka? — spytał F'lessan po kilku minutach milczenia, gdy zaspokoili pierwszy głód.

— Ręka? — Tai spojrzała na skaleczenie. — Och, naprawdę nic mi nie będzie. Jeszcze raz dziękuję. Zwykle sama mam mrocznik pod ręką. Tylko dziś go nie wzięłam.

Tak naprawdę miała wielki słoć wśród swoich zapasów w weyrze, ale brakowało jej małego słoiczka, który mogłaby włożyć do kieszeni przy pasie.

— Jak to się stało?

— Pewnie przy czyszczeniu Zaranth dziś po południu. Polowała dzisiaj, więc trzeba ją było porządnie domyć.

Polowanie i mycie Zaranth zajęły Tai więcej czasu niż się spodziewała. Miała nadzieję, że Archiwum będzie puste w świąteczny dzień i od dawna planowała, że się tam wybierze. W pośpiechu nie zauważyła obrośniętej pąklami skałki i podrapała się przy czyszczeniu szczotki, którą szorowała skórę Zaranth.

— Zdarza się — zgodził się smętnie. — Masz swój weyr gdzieś na wybrzeżu, czy w głębi łądu?

Tai starała się ukryć niechęć, jaką napełniło ją to pytanie. Spiżowi jeźdźcy mający chętkę na nią i na Zaranth następnym razem, gdy smoczyca będzie „gotowa”, zawsze pytali, gdzie ją można odnaleźć. Zaranth miała jeszcze dużo czasu do rui.

— Na wybrzeżu — odparła szybko. Niemal za szybko. — Często bywasz w Honsiu? Zmusiła się, by się odprężyć. Przesadzała z tymi podejrzeniami.

— Aha, na wybrzeżu. Często widzisz się z delfinami z Monaco? Odetchnęła. Niepotrzebnie była taka podejrzliwa.

— Dość często — uśmiechnęła się. Zawsze uśmiechała się na myśl o zaprzyjaźnionych delfinach. F'lessan chyba odczuwał coś podobnego, bo również się rozpogodził. Miał taki radosny uśmiech. Mirrim też to mówiła.

— Natua ma małego delfinka. Pokazała go Zaranth i mnie — powiedziała zadowolona

z rozmowy o delfinach.

— Naprawdę? — F'lessan był żywo zainteresowany. Oczy mu zabłyśły, a twarz się rozpogodziła. — Musimy się tam wybrać z Golanthem i obejrzyć małego.

— Będzie się nim chwalić każdemu, jest bardzo dumna.

— Widzisz, lepiej znam te z Warowni nad Zatoczką i ze stada Readisa — wyjaśnił.

— Wiem — odparła.

— Pewnie, że wiesz — rzucił jej żartobliwe spojrzenie. — Delfiny to straszni plotkarze. Przenoszą wiadomości prędzej niż Kurierzy. Na tej planecie jest stanowczo za dużo zwierzaków, które potrafią odszczekiwać się ludziom.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, a potem pozwoliła sobie zachichotać.

— Powinniśmy się cieszyć, że chociaż jaszczurki ogniste nie mówią.

— Los był łaskaw — zgodził się. — Wystarczy, że śpiewają!

— Ale dodają takie piękne kadencje...

— To prawda — zgodnie przyznał jej rację.

Wiedziała, że jego matka, Lessa, nie lubiła jaszczurek. Mirrim mówiła, że nikt nie potrafił utrzymać tych stworzeń w ryzach, kiedy zjawiły się w Bendenie po raz pierwszy i że to irytowało Lessę. Czy F'lessan też był do nich uprzedzony? Nie wiedziała, co powiedzieć, żeby zmienić temat. Oszczędził jej zakłopotania, bo sam podjął rozmowę.

— Czego szukałaś na mapach systemu Rukbatu?

— Ach! — ucieszyła się, że zaczął rozmowę o czymś innym — Widzisz, mieszkam nad Zatoką Monaco, więc mam blisko, a byłam uczennicą... — zawahała się na moment.

— Mówiłaś o tym...

— Więc często proszą mnie, żebym sprawdzała różne rzeczy na oryginalnych mapach, które są zbyt cenne, by je przewozić.

— Stary, dobry Mistrz Esselin... Zarumieniła się.

— Tak naprawdę, to on mnie nie akceptuje, bo jestem tylko zielonym jeźdźcem, mimo że Mistrz Sitnar pozwala mi przewozić odczyty z *Yoko* do Warowni nad Zatoczką.

— Nie wolno mówić „jestem tylko zielonym jeźdźcem”, Tai. Zielonych jeźdźców nigdy nie jest za dużo w bojowym skrzydle — odparł tak twardo, że zaskoczona spojrzała mu prosto w oczy. — Mówię to jako dowódca skrzydła. A poza wszystkim innym Mistrz Esselin to stary, nadęty służbista, co dzieli włos na czworo! Nie zwracaj na niego uwagi.

— To niemożliwe. Poza tym sam też go unikasz, prawda?

— Staram się. On — zniżył głos do szeptu i pochylił się ku niej nad stołem — nie akceptuje mnie jako opiekuna Honsiu.

— Ale to ty odkryłeś to miejsce — odparła zaskoczona.

— Tak jest — kiwnął głową z przekorną satysfakcją. — I bardzo troszczę się o wszystkie tamtejsze skarby.

— Słyszałam.

— A więc słyszałaś też coś dobrego na mój temat? Wiedziała, że F'lessan sobie z niej żartuje; wiedziała też, że sama zachowuje się zbyt poważnie. Nawet Mirrim mówiła, że nie powinna być taka oficjalna, ale to było nie do przełamania. Po prostu nie wiedziała, jak reagować na dwuznaczne uwagi. F'lessan sięgnął po bukłak, jakby nie zauważając jej niepewności.

— Jeszcze wina? — spytał wesoło.

Nie zauważyła, że wypila już wszystko. Grzecznie podstawiła kieliszek.

— Czy Erragon bierze cię ze sobą na obserwacje w Warowni nad Zatoczką?

— Tak, bo dobrze pilnuję czasu.

Erragon nazywał ją pracusiem, podobnie jak Mirrim.

— Czas jest krytycznym czynnikiem w astronomii — odpowiedział F'lessan.

Zdziwiło ją, że o tym wie.

— Długo studiowałaś astronomię?

— Za krótko w stosunku do moich potrzeb, ale nadrobię zaległości. — Teraz już nie żartował. Mówił całkiem serio. — Bardzo mi się to przyda, bo musimy wyjść poza nasze tradycyjne obowiązki. Lubię ludzi, którzy myślą o przyszłości.

— Sam też taki jesteś, masz przecież Honsiu.

Spoważniał, jakby przyszedł mu do głowy myśli na temat własnej przyszłości — wyraźnie tkwiło w nim coś więcej niż okazywana na zewnątrz beztroska smoczego jeźdźca. Uśmiechnął się i impulsywnie nakrył jej dłoń swoją, dodając dziewczynie pewności siebie.

— Tak, mam plany co do Honsiu. — Nagle zmieniając temat, dodał: — Przyniosę nam dokładkę, bo zaraz skończy się pieczone.

Tai nie śmiałyby wrócić do kucharzy po drugą porcję jedzenia, ale F'lessan wziął jej talerz, zanim zdążyła zaprotestować. Z pewnym podziwem przyglądała się, jak gawędzi z kucharzem, który wykrawał dla niego solidne porcje mięsa.

Przy wszystkich stołach naokoło siedział tłum rozbawionych biesiadników rozkoszujących się doskonałym, świątecznym posiłkiem. Choć wielu z nich radośnie pozdrawiało F'lessana, gdy wracał z jedzeniem, nie zatrzymał się nawet na chwilę, by z nimi porozmawiać. W ogóle nie pasował do obrazu, jaki stworzyła sobie, słuchając opowieści Mirrim o jego psotach w Weyrze Benden. Ale Mirrim mówiła o jego wczesnej młodości,

zanim Naznaczył smoka. F'lessan miał też w sobie powagę, nie tylko ten zdumiewający błysk w oku. Powinna strzec się takiego psotnego spojrzenia. Mirrim mówiła, że z niego to dopiero spizowy jeździec! Może lepiej byłoby się wymknąć, póki czas? Ledwie umoczyła usta w drugim kieliszku wina.

Mocny akord muzyki popłynął ponad ludzkim gwarem. Zobaczyła, że na estradzie usadowili się gotowi do muzykowania harfiarze. Na pewno będą grać nowe utwory skomponowane na Święto Obrotu. Miała ochotę zostać i posłuchać. Sięgnęła do umysłu Zaranth, ale zielona smoczyca wyraźnie dobrze się bawiła z innymi smokami na wzgórzach.

F'lessan zgrabnie postawił talerz na stole. Nabrał tyle jedzenia, że zaczęła się zastanawiać, gdzie to wszystko pomieści.

— Przyniosłem ci to, co sam lubię. Prosto z pieca — powiedział: i dołął im wina, — A do tego muzyka! Nieźle, co?

Bez problemu poradził sobie z dokładką. Ona też, ale przecież rodzice zawsze powtarzali, że powinna zjadać wszystko z talerza i jeszcze być wdzięczna. Pospieszenie ryknęła wina; od dawna już nie myślała o rodzinie. Życie z nimi było tak odmienne od tego, co robiła ostatnio — nawet przed Naznaczeniem Zaranth. Teraz Zaranth i Weyr Monaco są jej rodziną, i to o wiele bliższą niż rodzice i krewni.

Zmusiła się, by odsunąć te myśli i skupiła się na muzyce. W którymś momencie, przed pierwszą przerwą, zniknął ze stołu jej talerz, zastąpiony misą południowych owoców, północnych orzechów” i słodkich ciasteczek. Podawano też klah. Spozstrzegła, że F'lessan pije go więcej niż wina, choć od czasu do czasu pociągał po małym łyżku ze swojego kieliszka.

Biesiadnicy dołączali się do śpiewaków w refrenach. Zdziwiła się, słysząc głos Flessana. I on miał śmiałość narzekać na ogniste jaszczurki? One przynajmniej śpiewały w harmonii i dodawały własne kadencje do muzyki i śpiewu. Za to F'lessan nie potrafił nawet powtórzyć linii melodycznej! Wprawdzie nie ograniczał się do jednego tonu, ale i tak miała nadzieję, że rozradowane głosy otoczenia zagłuszą jego fałszowanie. A on śpiewał — właściwie trudno to było nazwać śpiewaniem, choć znał słowa — no więc wykrzykiwał te pieśni, jak gdyby nigdy nic. Po prostu pomachał ręką do osób przy sąsiednim stole, które krzywiły się, słysząc jego popisy i pokazywały gestami, żeby albo się zamknął, albo poszedł sobie gdzie indziej.

A może go zagłuszyć? Śpiewała altem, ale przynajmniej czysto i dość dźwięcznie. A on szerokimi gestami uparcie zachęcał ją do śpiewu. Zajrzała w jego rozradowane oczy i ich psotny błysk powiedział jej, że F'lessan doskonale wie, że źle śpiewa i w ogóle się tym nie przejmuje. Zdumiało ją jego zachowanie: publicznie przyznawał się do takiej ułomności w

kulturze opartej na muzyce i kładącej wielki nacisk na umiejętności w tej dziedzinie. Mirrim mogła go sobie krytykować za płochość i beztroskę w stosunku do partnerów, ale dlaczego nie wspomniała o fałszowaniu?

Teraz, wciąż wydając te okropne dźwięki, przytknął dłoń do ucha, pokazując, że nadał nie słyszy jej głosu. Urażona, wzięła głęboki oddech i głośno włączyła się do chóru w nadziei, że go zagłuszy. Rozbawiony F'lessan uczył to, radośnie dyrygując rękami. Przynajmniej miał wyczucie rytmu. Pod koniec ostatniego refrenu zamilkł, a potem zaczął wesoło bić brawo.

— Dlaczego śpiewasz, skoro wiesz, że fałszujesz? — spytała go cicho.

— Bo znam wszystkie słowa — odparł niezrażony.

Musiała się roześmiać i machnęła na to ręką. Grupa harfiarzy skończyła występ i F'lessan wstał. Rozejrzał się wśród gości, zamachał ręką w odpowiedzi na czyjeś powitanie, ale nie zamierzał od niej odejść. Nagle ktoś zawołał go po imieniu.

— Tak mi się zdawało, że to był twój ryk, F'lessanie!

Tai rozpoznała znajome sylwetki T'gellana i Mirrim zdążające w ich kierunku. Och, nie mogła na to pozwolić! Kiedy spizowy jeździec zapraszał ich do stolika, Tai wstała, zatrzymała się na moment, by zabrać ze sobą kieliszek — biały Benden był zbyt smakowity, by go zmarnować — wtopiła się w cień i uciekła.

Słyszała, jak F'lessan wita się ze spizowym jeźdźcem i jego zieloną partnerką:

— T'gellanie, Mirrim, nigdy nie zgadniecie, kogo spotkałem w... — przerwał, bo spostrzegł, że dziewczyny nie ma.

Zatrzymała się w ciemności, czekając, aż padnie jej imię. Mirrim nie da jej spokoju...

— Geger — powiedział F'lessan po krótkiej przerwie — masz jeszcze trochę tego białego bendeńskiego?

Tai pospiesznie odeszła.

To było głupie, powiedziała Zaranth.

Wiesz, jaka jest Mirrim.

Dlaczego miałaby mieć coś przeciw temu?

Znasz Mirrim, odparła Tai.

Głupio zrobiłaś. Potem Zaranth spytała z żalem: Musimy już lecieć?

Nie, kochanie. Chciałabym posłuchać muzyki. Wybiorę sobie jakieś inne miejsce na Placu.

Będziesz musiała stać. Wszyscy zebrali się, by świętować na Lądowisku.

Nie mów Golanthowi, gdzie jestem, poprosiła Tai, przypomniawszy sobie, że oba smoki usiadły obok siebie na wzgórzach.

Dlaczego?

Po prostu nie mów.

Aha! Dobrze, zrobię jak chcesz. W głosie Zaranth zabrzmiało zakłopotanie.

Bardzo dobrze.

Tai znalazła sobie miejsce na skraju polany i słuchała wspaniałej muzyki. Kieliszek białego Bendenu starczył jej na cały koncert. Jeszcze nigdy nie piła tak dobrego wina.

Kiedy wracała na wzgórze, usłyszała jakiś trzask. Szkło? Dużo szkła, sądząc po odgłosie. Wypadek? Powinna sprawdzić, co się stało. Jeśli było tyle hałasu, musiało się zdarzyć coś poważnego.

WEYR BENDEN, 1.1.31

Lessa, jeźdźczyni Ramoth i Władczyni Weyru Benden, wyszła w zimową noc i zadygotała, gdy ogarnęła ją fala mrozu. Dobrze chociaż, że śnieżna burza, która szalała nad Dalekimi Rubieżami i sporą częścią Warowni Tillek, nie zakłóciła nocnych obchodów Święta Obrotu tutaj, w Bendenie. Mocniej owinęła się płaszczem na futerku i pomyślała, że trzeba było nałożyć rękawice, chociaż koszyk z gorącymi ciastkami, który Manora wmusiła jej na drogę, miło grzał jej prawą dłoń. Kiedy F'lar zamknął drzwi, spoza których dobiegł głośny, ostatni refren najnowszej harfiarskiej ballady, wsunęła mu pod ramię lewą dłoń, czując pod palcami szorstką skórę jego kurtki. Zarzucił sobie bukłak na drugie ramię i ścisnął jej rękę.

Jak zwykle spojrzeli w kierunku Niecki, która była dziwnie cicha. Naprzeciwno, na skalnej grani w pobliżu kwater Władczyni Weyru widać było smoki w świetle księżyca. Dwie pary błękitnozielonych smoczyc oczu zamrugały i popatrzyły w ślad za swoimi przyjaciółmi, którzy spacerowali po Krawędzi, by się rozgrzać.

— Nie ociągaj się, dziewczyno — mruknął F'lar, kuląc się pod kurtką przed zimnem i wydłużając krok.

— Ach, gdybym miała tyle harfiarskich marek, ile razy przeszłam przez Nieckę — powiedziała Lessa.

— Dodaj do tego moje, a będziemy oboje bogaci jak Toric.

Lessa prychnęła i przyspieszyła kroku. Jej oddech na mrozie tworzył małe obłoczki. Może trzeba było polecieć na Południe, gdzie świętuje się na ciepłych plażach, w łagodną, tropikalną noc? Ale Weyr Benden był jej domem od trzydziestu pięciu Obrotów, a dla F'lara od sześćdziesięciu trzech, od dnia urodzenia. Choć w pierwszy dzień Nowego Obrotu zgodnie z tradycją gościli w Warowni Benden, a w drugi słuchali przepięknej muzyki w Warowni Ruatha, woleli tu zakończyć obchody corocznego święta. Miło było zaznać nieco spokoju. Ostatnie Przejście wymagało od wszystkich szaleńczej pracy.

Ciekawa była, czy po zakończeniu Przejścia, albo kiedy już będzie po wszystkim, jak to określali ludzie, F'lar zechce ruszyć się z Bendenu. A może, jeśli będzie wolał pozostać w ogólnie szanowanym

Weyrze, będą mogli spędzać przynajmniej najzimniejsze miesiące na Południu? Może nie w samym Honsiu, choć F'lessan ciągle ich tam zapraszał, ale gdzieś w pobliżu?

Z jednej strony wiedziała, że myśl o przyszłości, „kiedy już będzie po wszystkim” nie była obsesją F'lara. Ich wspólne obowiązki dotyczyły raczej teraźniejszości. Najważniejszym

celem było godne doprowadzenie Weyru do końca Przejścia i pozostanie przy władzy, mimo świadomości, że Nici nie będą już więcej zagrażać Pernowi. Oboje nakłaniali młodych jeźdźców do nauki innych umiejętności, więc Lessa tym bardziej starała się w prywatnych rozmowach wyczuć nastawienie F'lara. Lenistwo na południowych plażach pewnie szybko znudziłoby mężczyznę, który aktywnie przeżył całe życie. Jeśli on nie zechce się nad tym zastanawiać, decyzja pozostanie w jej rękach. Tylko gdzie powinni szukać dla siebie miejsca?

Nagle obydwaj smoki rzuciły się do tyłu, wpatrując się w nocne niebo. Ich oczy błyskawicznie zmieniły kolor na pomarańczowy, co oznaczało strach. Przerażona Lessa obejrzała się i mocno ujęła dłoń F'lara.

— Ojej! — wykrzyknęła. Zimno było niczym w porównaniu z uczuciem strachu, jakie ją przeszło, gdy ujrzała smugę ognia na pomocy. Natychmiast skarciła samą siebie za prymitywną reakcję na meteoryty, spalające się w locie nad pomocną półkulą. Jako dziecko wierzyła w opowieści niańki, że ognie na nocnym niebie to Duchy Smoków z Pierwszego Przejścia.

— Erragon twierdzi, że w czasie tego Obrotu będzie dużo Duchów — F'lar zaśmiał się, używając starej nazwy. Z jego ust ulatywały białe obłoki. — Tylko niech się trzymają z dala od nas — powiedział na widok kolejnej smugi ognia, niemal długości palca. Westchnął i wydmuchał białą mgiełką.

— Podczas tego Obrotu jest ich naprawdę dużo więcej, zgodnie z tym, co wczoraj mówił Toronas. I rzeczywiście są bardzo jasne. A ten — wskazała palcem, śledząc drogę meteorytu, zanim zgasł, mrugając — wyglądał tak, że mógłby nawet spaść na ziemię.

— One nie spadają.

— Słyszałeś, co mówił Toronas. Zupełne bzdury. — Zmieniła głos, naśladowując lekko nosową intonację Władcy Warowni Benden — Wszystko to dlatego, że pozwoliliśmy Assigi zmienić orbitę Czerwonej Gwiazdy i teraz mamy skutki mieszania się do spraw, których w pełni nie rozumiemy.

F'lar zaśmiał się, bo niezwykle udatnie naśladowała Toronasa.

— Assigi opóźnił wybuch między innym i po to, by Czerwona Gwiazda znalazła się jak najdalej i nie mogła wpływać na żadną z planet naszego systemu. Wyliczenia przeprowadzono z dokładnością do dziesiątego miejsca po przecinku. A przynajmniej tak mnie wtedy zapewniał Wansor. Jak chcesz, spytaj Flessana, bo wciągnął się w astronomię, odkąd ma ten stary teleskop w Honsiu.

— Rzeczywiście, mogę spytać F'lessana — powiedziała. — Coś takiego może sprawić, że fanatycy zaczną wyrządzać jeszcze większe szkody.

— Myślisz, że to oni stoją za tymi dziwnymi aktami wandalizmu, o których doniósł nam Sebell?

— A kto inny mógłby się tak mścić, niszcząc tylko nowe leki i materiały albo przeszkadzając kupcom w przewożeniu podzespołów między Cechami Kowali?

— Porozmawiamy o tym w weyrze. Nie stójmy tak na zimnie, kobieto.

Pociągnął ją za rękę i ruszyli truchtem. Objął ją ramieniem, by nie pośliznęła się na lodzie. Wkrótce byli już przy schodach wiodących do jej pomieszczeń.

Wchodzicie do środka?, spytał smoki, które nie ruszyły się ze skalnych półek.

Będziemy patrzeć na Duchy, aż sobie pójdą, odparł Mnementh z cieniem rozbawienia w głosie.

Jak chcecie, odpowiedział F'lar.

— Głupie zwierzaki — mruknęła Lessa z uśmiechem, odsuwając wejściową kotarę. Czasami żałowała, że jej skóra nie jest równie odporna na pogodę jak smocza. A może po prostu ta zima była wyjątkowo mroźna?

Pomiędzy jest zimniej, stwierdziła Ramoth.

Gdy weszli, Lessa w jednej chwili znalazła się przy grzejniku, po drodze odstawiła na stół koszyk Manory, w którym ciastka jeszcze nie zdążyły ostygnąć i zrzuciła długie futro. Powiesiła je na wieszaku z lewej strony sypialni.

— Miałam nadzieję, że już nie trzeba będzie się martwić fanatykami — westchnęła ze znużeniem.

— N'ton sprawdził wyspę, na którą zesłaliśmy osoby skazane za napad na Robintona — powiedział F'lar z surową miną, zaciskając usta. Kopnął ciężką zasłonę mocniej niż było trzeba, by osłonić pokój przed lodowatymi przeciągami. — Widział nawet kilkoro dzieci, bo niektóre kobiety zdecydowały się towarzyszyć mężczyznom.

— Och! — Lessa przerwała. — A ta wcześniejsza grupa, którą przyłapano na demolowaniu Cechów? Którą zesłano do kopalni w Cromie?

— Ano, jest taka możliwość. — Zrzucił z ramion kurtkę i byłby ją zostawił na krześle, ale Lessa surowo wskazała palcem najpierw na nią, a potem na wieszaki, gdzie już znalazło się jej futro. Uśmiechnął się krzywo, zgarnął kurtkę i powiesił z przesadną troską.

— Mów dalej — popędzała go, bo zauważyła, że zebrało mu się nażarty.

Wziął z szafki dwa kieliszki i zgrabnie nalał wina z karafki, pięknie rżniętej w szkło przez Moriltona. Podał jej kieliszek i cofnął się o krok, by poczuć na nogach ciepło od piecyka.

— Ten metalowy meteoryt, wiesz, ten, który tak interesuje Kowali, wybił sporą dziurę

w pomieszczeniach dla więźniów. Jeden z nich złamał przy tym nogę. Dopiero wieczorem zwołali wszystkich na apel. Jednego brakowało. Jednego z tych — F'lar zacisnął gniewnie usta na wspomnienie minionych wydarzeń — którzy zaatakowali Assigi. Facet ogłuchł od tego. Kawał chłopca. Łatwy do rozpoznania. Brakowało mu czubka wskazującego palca lewej ręki.

Ze smakiem łyknął wina. Lessa pozwoliła mu się rozkoszować jego bukietem.

W końcu spytała:

— I co, nie znaleźli go jeszcze, prawda?

F'lar zbył jej pytanie machnięciem dłoni, w której trzymał kieliszek.

— Zaalarmowano Weyry w Telgarze, Dalekich Rubieżach i Forcie. Kurierzy rozpowszechnili wiadomość i ostrzegli kupców.

Lessa prychnęła cynicznie:

— Niektórzy z kupców całkiem chętnie zatrudniają włóczęgów.

— Mistrz Kopalni twierdzi, że ten człowiek trzymał się z dala od innych. Chyba nie lubił nowości.

— Wykonanych z pomocą Assigi, prawda? — stwierdziła kwaśno.

F'lar uniósł brwi:

— Oczywiście, z pomocą Assigi.

— Czy według ciebie on jest odpowiedzialny za wandalizm i wszystkie kradzieże? Za duży obszar.

— Słusznie, ale jest wiele ludzi, którzy żywią różne urazy przeciwko Warowniom i Cechom i z przyjemnością narobiliby szkód tu i ówdzie. — Kołysał się na piętach, chłonąc ciepło. — Moim zdaniem nie jest to aż tak poważny problem. Lepiej zastanowić się, jakie jeszcze udogodnienia możemy bezpiecznie wprowadzić — wskazał na piecyk. .

— Ludzie nie mają nic przeciwko lepszemu światłu i ogrzewaniu — stwierdziła Lessa. — W końcu panele na energię słoneczną są znane od czasów Starożytnych. Tak samo jak elektrownie wodne i generatory. Trzeba tylko przyspieszyć proces edukacji i wyprodukować konieczne udogodnienia, by nie trzeba było korzystać ze służby, kiedy już będzie po wszystkim.

— Nie chcę, by życie stało się za łatwe — zaprotestował.

— Nigdy nie byłeś sługą — stwierdziła z przekąsem, bo wyraźnie zapomniał, że ona przez dziesięć Obrotów pracowała jako posługaczka!

— Pamiętaj, że w tym Weyrze też raczej nie było luksusów, nim Nici nie zaczęły znowu opadać.

— Jak mogłabym zapomnieć? — uśmiechnęła się do niego, a oczy zabłysły jej radośnie. — Ale nie oznacza to, że będziemy bez zastanowienia stosować wszystkie dostępne rozwiązania techniczne. Choć Cechy chętnie idą w tym kierunku.

— To znaczy, że sprzeciwiasz się postępowi w chirurgii i farmaceutyce, który popiera Mistrz Oldive?

— Oczywiście, że nie — skrzywiła się. — Moim zdaniem, nie wszyscy akceptują niektóre zabiegi chirurgiczne. — Na myśl o nich przeszył ją lekki dreszcz.

— Zaakceptowałabyś, gdyby twoje życie zależało od tego, uzdrowiciel naprawi wewnętrzny uraz, na przykład kiedy wnętrzności zaczynają wpychać się pod samą skórę, bo osłabła wewnętrzna powłoka brzucha — w śmiechu F'lara było niewiele wesołości.

— Sharra powiedziała, że to przepuklina i że nie zagraża życiu — I odparła szorstko, a potem westchnęła, gwałtownie zmieniając temat. — Zgadzam się. Trzeba uczyć ludzi akceptacji dla takich rzeczy.

— Dokładnie. A w dodatku należy skłonić młodych jeźdźców, żeby zaczęli się przygotowywać do innych zawodów na przyszłość.

— Niektórzy nie będą mieli z tym kłopotów — powiedziała. — Wcale nie uważają, że dostarczanie listów i transportowanie pilnych przesyłek jest poniżej ich godności. Tagetarl przesłał nam egzemplarz słownika technicznego, który napisał w oparciu o dane Assigi. O wiele bardziej aktualny niż wszystko, co mają u siebie harfiarze. Sebell powiedział, że ma zamówienia ze wszystkich Warowni, prawie wszystkich gospodarstw i większości Cechów...

— Więc być może terminy techniczne będą lepiej rozumiane i znajdą się w powszechnym użyciu...

Uśmiechnęła się na ten żartobliwy ton.

— To nikomu nie zaszkodzi. Ale martwią mnie starsi jeźdźcy, którzy w ogóle nie interesują się znalezieniem dla siebie źródła utrzymania, kiedy będzie już po wszystkim. Dlaczego uważają, że jeźdźcom i smokom uwłacza wykorzystywanie ich możliwości w uczciwych sprawach? Wiedzą przecież, że życie na Południu nie polega na tym, by nakryć palmowym liściem chatkę na złotych piaskach i zrywać dojrzałe owoce z najbliższego drzewa. Nawet nie pomyślą o tym, by pomóc pasterzom w walce z kotowatymi drapieżnikami, które wprawiają bydło w nierozumny popłoch, tak że pędzi prosto w przepaście i rozpadliny. Dobrze, że chociaż smoki same zdobywają pożywienie. Ale nigdy nie dzielą się łupem, nawet z jeźdźcami.

Tym razem F'lar zaśmiał się, słysząc te kwaśne uwagi.

— Jeśli ktoś jest bardzo głodny, zasmakuje mu nawet pieczony kot.

— Sharra twierdzi, że ich mięso jest twarde i smakuje bardziej rybami niż pieczystym.

— Przed nami jeszcze Szesnaście Obrotów z Opadami, kochanie — powiedział i dołączył jej wina.

— A gdyby — rzuciła mu chytre spojrzenie — Władca Weyru Ben—den miał podjąć decyzję, co zrobi ze sobą, kiedy będzie już po wszystkim?

Zaśmiał się na całe gardło i podsunął jej koszyk ze smakołykami Manory. Rozszedł się korzenny aromat.

— Czym nas tym razem rozpieszcza Manora?

— Pachnie dobrze. Poczęstuj się.

Nadgryzła ciastko, rozkoszując się aromatycznym nadzieniem.

— Moim zdaniem, uparła się, żeby wypróbować wszystkie przepisy, które kazała sobie skopiować z zasobów Assigi.

— Szkoda, że nigdy nie porozmawiała z nim bezpośrednio. Pewnie by ją polubił.

Lessa skrzywiła się.

— Pamiętasz, proponowaliśmy jej to nieraz i zawsze odmawiała. Nigdy nie miała czasu. — Zlizwała okruszki ciasta z palców.

F'lar usiadł. Zauważyła z jakim znużeniem, powoli układał ciało w wygodnym, miękkim fotelu naprzeciw niej. Tylko w jej towarzystwie mógł się odprężyć — rzadki luksus dla Władcy Weyru. Gdyby przypadkiem nie zauważyła jego sztywnych ruchów spowodowanych reumatyzmem, Mnementh przypomniałby jej, by podać F'larowi lek przygotowany specjalnie na takie okazje przez Mistrza Oldive.

— A czy ktoś tu w ogóle miewa czas? — spytała.

— Będziemy mieć czas — zapewnił. — Gdy się skończą wreszcie Nici, cały czas będzie należeć do nas.

— Postanowiłeś już, gdzie zamieszkamy, gdy się to wszystko skończy?

Spochmurniał i zbył pytanie ruchem ręki. Niepokoiła ją ta niechęć. Na pewno powinni dostać zgodę na wybór dowolnego miejsca, oprócz pięknego Honsiu, które pominą, szanując zainteresowanie F'lessana. Ale co... nagle opanowała ją straszna myśl. Nie poddała się jednak nieuzasadnionemu niepokojowi; ukryła go głęboko w myślach. Co się stanie, jeśli Ramoth nie wystartuje do lotu godowego w jednym z nadchodzących Obrotów, jak Solth Bedelli? R'mart z radością przeniósł się ze swoją kobietą do Południowego Weyru. Ale Lessa jakoś zawsze wierzyła, że pozostaną z F'larem Władcami Weyru aż do końca Przejścia. Naturalnie nadejdzie czas, że Ramoth przestanie być płodna, ale jeszcze nieprędko. Lessa niecierpliwie potrząsnęła głową na wspomnienie tego, jak niedawno; Ramoth wzniosła się ku

niebu, rzucając spiszowym smokom wyzwanie, a Mnementh dzielnie wygrał wyścig do samicy. Uśmiech na twarzy Lessy pogłębił się, gdy smoczyca pochwyciła tę myśl. Ale Mnementh był stale zagrożony kontuzjami.

Jest silny i mądry w walce z Nićmi. Unika poparzeń i popiołów równie sprawnie, jak zielone smoki, odparła Ramoth z wielką pewnością. Nie zgodzę się na innego spiszowego, zresztą inne nie są tak śmiałe. Nawet jeśli Mnementh sypia dłużej niż w młodości. Bądź spokojna.

Silna więź między jeźdźcami zawsze pozwalała F'larowi odgadnąć, kiedy Ramoth rozmawia z Lessą. Uniósł brew.

— Co jej chodzi po głowie? — zaśmiał się. — Albo tobie?

— Kiedy się zdecydujesz, co będziemy robić po ustaniu Opadów? — spytała z lekkim niepokojem w głosie, jakby tego dotyczyła uwaga Ramoth.

Posłał jej długie, spokojne spojrzenie.

— Zamieszkamy, gdzie zechcemy. Jednego możesz być pewna: od nikogo nie będziemy zależni. — Na moment zacisnął szczęki z nieustępliwą miną.

— Cóż za miła odmiana — odparła najbardziej zdawkowym tonem, na jaki ją było stać.

— Zobaczmy, może nada się jedna z tych wysp na wschodzie?

— Co? — spytała gniewnie, a potem uświadomiła sobie, że dała się nabrać. Zachichotał. Przynajmniej był w dobrym humorze.

— Wiem, że pogoda jest tu okropna, ale całe życie spędziłem na tej kupie skał — rzucił jej krótkie spojrzenie, sprawdzając, czy się z nim zgadza.

— Latem w skałach jest chłodno — zgodziła się z rezerwą, a potem dodała z nostalgią w głosie: — Pomyśleć, że tu tworzyliśmy historię...

— No właśnie. Popatrz, ile się zmieniło, od kiedy zostaliśmy Władcami Weyru.

— A oprócz tego cholernie dużo strat w zeszłym Obrocie.

— „Każda rzecz ma swój czas i każde przedsięwzięcie ma swój czas pod niebem” — zacytował cicho.

W oczach Lessy wezbrały łzy na wspomnienie Robintona i Assigi. Dwa Obroty i kilka miesięcy to zbyt krótko, by pogodzić się z podwójną stratą.

— Bardzo mi brak Robintona.

— A komu go nie brak? — spytał łagodnie F'lar. Uniósł z rezygnacją dłoń i mówił dalej: — Myślałem raczej o Laudeyu i Warbrecie. I o dobrym starym R'gulu — westchnął ze smutkiem na wspomnienie.

— Trzeba umieć wybaczać — przypomniała mu z typową dla siebie ironią. Spizowy jeździec był dla nich obojga jak zadra, pomimo że pozornie akceptował przywództwo Weyru Benden. Zawsze jednak, gdy przyjmował polecenia F'lara, dawał mimochodem do zrozumienia, że on, R'gul, postąpiłby inaczej. — Ale przecież cię słuchał, a jego skrzydło uważało go za dobrego dowódcę.

F'lar mruknął coś, obracając w rękę nóżkę kieliszka, pochłonięty obserwowaniem rubinowego wina.

— Szkoda mi Laudeya — powiedziała, skubnąwszy kawałek ciasta — choć lubię Langrella, jest dobrym Władcą Igeny. Miły jest.

— I przystojny.

Lessa spojrzała na swojego partnera.

— Przydałaby mu się dobra żona.

— Znajdzie sobie kogoś bez trudu — F'lar pogrzebał chwilę wśród łakoci w koszyku, aż wreszcie wybrał trójkątne ciasteczko i wsadził sobie do ust. — Nieźle.

Znalazła drugie takie samo.

— Rzeczywiście — przyznała i oblizała wargi.

F'lar sączył wino, spoglądając na nią spod oka.

— Czy poprzysz Janissian jako Władczynię w Południowym Bollu? Trzeba będzie o tym zdecydować na następnej Radzie.

— Wiesz, że w Bollu była już władczyni, istnieje więc historyczny precedens.

Przytaknął ruchem głowy, czekając, co ona powie.

— Lady Marella bez wątplenia kierowała Warownią od dawna, ratując twarz Sangelowi. Dzięki niej Janissian kształciła się w szkole na Ładowisku.

— Groghe ją lubi. Dziewczyna jest też w odpowiednim wie. Wszyscy ją szanują.

Lessa wzruszyła ramionami. — Jaxom twierdzi, że jest równie dobrą organizatorką jak Sharra. Chętnie na jej rzecz zrezygnuje z bycia najmłodszym Władcą Warowni.

F'lar wyciągnął prawą nogę i skrzywił się, gdy ścięgno nie pozwoliło mu jej wyprostować. Westchnął.

Wszystko w porządku, powiedział Mnementh tylko do Lessy, budząc się na moment z drzemki.

— Tyle, że cały czas przekonywał mnie, że nie ma ochoty na tańce — odparła Lessa.

— Potrzebujemy młodych umysłów, które poradzą sobie ze zmianami.

Spojrzał na nią bursztynowymi oczami, rozbawiony i lekko protekcyjny.

— Młode głowy mogą być równie głęboko przekonane o własnej; nieomyślności, jak

stare. I w dodatku brak im doświadczenia. — Zjadł następne ciastko i oblizał palce. — Idarolan uczy się astronomii u jednego z czeladników Wansora. Poprosił Moriltona, żeby zrobił mu specjalne soczewki do teleskopu, który zamierza zamontować na tym swoim moście, przy Kostce Neratu.

— Bardzo mi odpowiada Curran na stanowisku Mistrza Rybaków, ale brak mi ostrego dowcipu Idarolana podczas obrad Rady — odgryzła kawałek ciastka, przełknęła i westchnęła. — Będzie mi brak ich wszystkich.

F'lar pochylił się nad stołem i przykrył ręką jej szczupłą, drobną, lecz niezwykle silną dłoń, ściskając palce.

— Oboje będziemy za nimi tęsknić, kochanie — powiedział i wznosił kielich. — Za nieobecnych przyjaciół.

Lessa również uniosła kieliszek, zabręczało szkło. Dopili wino.

Jednocześnie wstali z foteli. F'lar otoczył ramieniem jej szczupłe ramiona, przyciągnął ją do siebie i harmonijnym krokiem ruszyli w stronę sypialni.

Lessa jeszcze nie zdążyła zmrużyć oczu, a już obudziło ich trąbienie rozgniewanych smoków.

WAROWNIA POŁUDNIOWA, 1.1.31

Toric czuł się źle po wczorajszym przepiciu. Czerwone wino okazało się zdecydowanie za młode, ale przynajmniej pochodziło z jego własnej winnicy, więc było pod ręką i nie kosztowało ani grosza. Z wyjątkiem porannego kaca. No cóż, trzeba czasu, żeby dorobić się dobrych win, ale biorąc pod uwagę cenę sadzonek z Bendenu, chciałby, żeby poniesione wydatki zaczęły się już zwracać. Mistrz Winiarski Welliner przesadził też, oceniając ilość wina, jaką dadzą winnice na wzgórzach. Jeśli tegoroczne zbiory nie okażą się zgodne z obrazem, który odmalowano w tak zachęcających barwach, będzie musiał odbyć dłuższą rozmowę z Mistrzem Wellinerem. Przewyciężając ból pod czaszką, powoli otworzył oczy.

— Starzejesz się, tato — powiedział Besic i podał mu parujący kubek. — Z pozdrowieniami od mamy.

Toric stłumił jęk i wziął naczynie. Choć z doświadczenia wiedział, że lekarstwo na kaca Ramali czyni cuda, zapach płynu sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił głowę i spróbował przełknąć pierwszy łyk.

Besic usadowił się w bujanym fotelu, wyciągnął nogi i skrzyżował łydki, zatknął kciuki za pas i beznamiętnie spojrzał na ojca.

— Jest tu Hosbon. Przyplął w nocy z Largo. Przyszedł o świcie. Na tę złą wiadomość Toric o mało nie oblał się naparem. Czy Besic specjalnie powiedział mu o tym, gdy już przytknął kubek do warg? Obaj ledwie się tolerowali, nie ze względu na więzy krwi, ale darzyli się niechętnym szacunkiem. Toric mruknął coś i wypił lekarstwo tak szybko, jak na to pozwalały jego smak i temperatura.

— Powiedziałem mu, że jesteś zajęty.

— Bo jestem — odparł Toric. Odbiło mu się, a w ustach pozostał wstrętny smak. Stał boso na podłodze, starając się utrzymać równowagę; chciał dowieść, że równie łatwo jak zawsze potrafi przełamać złe samopoczucie po wczorajszych ekscesach.

Ramala przygotowała mu czystą odzież, włożył więc nowe szorty i dobraną kolorem luźną, odpowiednią na upały koszulę. Mruczał niechętnie, układając na ramieniu sznury, które oznaczały jego rangą. Zawracanie głowy. Jakby ludzie nie wiedzieli, kto jest Władcą Południowej Warowni. Prychnął gniewnie, przypominając sobie, jak go oszwabili Władcy Weyru. Kątem oka dostrzegł uśmiezek na twarzy Besica, jakby ten potrafił czytać w myślach swojego rodziciela.

— Nie pomyślałeś, żeby przynieść mi...

Besic przerwał mu gestem, wskazując tacę ze śniadaniem stole.

Chociaż łupanie w głowie zaczęło słabnąć, Toric wciąż był w fatalnym humorze.

— O co chodzi Hosbonowi? Zawsze liczył na jakieś ułatwień z mojej strony.

— To dobry gospodarz — powiedział Besic, choć wiedział, że jej opinie nie mają dla Torica żadnego znaczenia, a skrupulatna uczciwość nierzadko potrafi go zirytować.

Toric teatralnie zamachał rękami.

— Czy tego człowieka nie można niczym zadowolić? Najpierw chciał wieżę bębnow, potem molo, potem kuter z załogą.

— Ale ma wyniki.

— No więc czego chce tym razem? Własnego jeźdźca smoków? Choć Toric zawsze miał smoczego jeźdźcę do dyspozycji, przynosiny Południowego Weyru wciąż go bolały. Jeszcze bardziej irytował go fakt, że Władca Weyru K'van, ten impertynencki młokos wypełniał swoje obowiązki wobec Warowni tak drobiazgowo, że nie można się było do niego o nic przyczepić. Musiał przełknąć upokorzenie, tym bardziej że nie chciał, aby mu smoki ciągle latały nad portem... może nie trzeba było wyklócać się z K'vanem o pomoc Weyru w podporządkowaniu sobie buntowników i tego przeklętego Denola z wyspy Ierne.

— No cóż, chciałby świętować Koniec Obrotu ze swoim Władci, Warowni — powiedział Besic, wstając. — Pewnie też zależy mu, żeby wysłuchać Sprawozdania, niezależnie od tego, który harfiarz będzie je czytał. I namówić kolejnych rzemieślników, żeby zamieszkali w jego gospodarstwie.

— Mało mu jeszcze? — wściekł się Toric.

— Niektórym zawsze mało — mruknął Besic w odpowiedzi i wyszedł, celnie wymierzwszy tę pożegnalną złośliwość.

— Jazda stąd! I to już! — Toric rzucił się w stronę syna, zamierzając mu wymierzyć kopniaka. Besic nawet się nie obejrzał, więc Toric kopnął w ciężkie drzwi z żółtego drzewa, które huknęły zadowolająco, aż kamienny korytarz odegrzmiał gromkim echem. Besic aż j za dobrze znał swojego ojca.

Kulejąc, bo nieobute palce przeszył ból od zetknięcia z kantem j drzwi, Toric obrócił się na pięcie i rzucił najedzenie. Lekarstwo rozjaśniło mu myśli, a teraz burczało mu w żołądku z głodu i ze złości.

Gdzie ten Hosbon chce pomieścić kolejnych rzemieślników? I tak po Wielkim Wybuchu ściągnął do siebie część najlepiej wykształconych fachowców z Ładowiska. Ciekawe, czy Wielki Wybuch na zawsze zakończył opady Nici. Toric wcale nie był

przekonany, że Assigi wiedział, co robi: pomyślcie tylko, jak można zepchnąć z orbity całą planetę z pomocą jakiegoś paskudztwa tkwiącego w wiekowych silnikach! Ale jeśli za szesnaście Obrotów — a może za siedemnaście w czasie tego Przejścia? — Nici przestaną opadać, to znaczy, że będzie można dalej realizować plany rozwoju tej niewielkiej cząsteczki południowego kontynentu, który jemu, Toricowi, udało się wydrzeć tym podstępny Władcom Bendenu. Te nierówne proporcje zawsze będą go doprowadzać do szału.

Spróbował się uspokoić. Ramala twierdziła, że to napięcie jest przyczyną jego kłopotów z niestrawnością. Powinien jeść w spokoju i powoli. Był w końcu władcą ważnej Warowni, choć jego włości mogłyby być o wiele większe.

W głównej sali siedziała lady Ramala, pogrążona w rozmowie z Hosbonem. Na widok męża wstała.

— Może obaj napilibyście się jeszcze kłahu? — powiedziała. — Mamy trochę czasu do opowieści Harfiarza Sintary. Czy przywiozłeś ze sobą żonę?

Hosbon skrzywił się prawie niedostrzegalnie. Oznaczało to potwierdzenie. Jeśli przybyli o świcie, jego żona zdążyła już wydać kupę pieniędzy, pomyślał Toric i kłopoty Hosbona natychmiast poprawiły mu humor.

— Bardzo słusznie, napij się z nami kłahu, Hosbonie. Chodźmy na dwór. Piękny dzień na pierwsze Zgromadzenie tego Obrotu! — Toric serdecznie walnął go po ramieniu.

— Przyniosę świeży dzbanek — zawołała w ślad za nimi Ramala.

Toric wskazał mniejszy z dwóch stołów umieszczonych po obu stronach wejścia do Warowni. Nad obydwoma rozpościerały się niewielkie daszki osłaniające je przed słońcem. Lord jak zwykle usiadł na swoim krześle ustawionym tak, że jego rozmówcę słońce raziło w oczy.

— No więc, co ci chodzi po głowie, Hosbon?

Hosbon nie był głupi. Rozsiadł się wygodnie z łokciami na stole i pochylił do przodu. Szansę, że ich ktoś podsłucha, były raczej niewielkie, gdyż siedzieli nieco powyżej wejścia do Warowni i raczej z dala od tłumu.

— Ciekaw jestem, czy znasz, panie, tematy dzisiejszego Sprawozdania.

— Oczywiście że znam. Wiem też, nad czym będziemy głosować — odparł Toric z pewną irytacją. — Musiałem wysiedzieć na tym durnym zebraniu, nie? Same bzdury! Rada ciągle upiera się, by przestrzegać „oryginalnych intencji Karty”.

Toricowi nie odpowiadało powszechne zainteresowanie Kartą; tak stary dokument

powinno się traktować jak zabytek, a nie jak zbiór wskazówek określających potrzeby planety — przecież od podpisania Karty minęło już dwa tysiące pięćset Obrotów. W dodatku harfiarze prowadzili jakieś „grupy dyskusyjne”, wbijając postanowienia karty do głów dzieciom i służbie. Poza tym chętnie wykreśliłby parę paragrafów, a rozszerzył klauzule nadające prawa dużym właścicielom ziemskim. Wiedział, że dożyje ostatniego dnia tej Przejścia i bez dwóch zdań zamierzał odegrać niemałą rolę przy i wizji Karty. Miała się ona odbyć po ostatnim Przejściu Opadów i odpowiednio zmienić jej postanowienia w sytuacji, gdy smoczy jeźdźcy staną się niepotrzebni. Toric spędził wiele nudnych godzin na Radzie, tylko po to, by nikt nie spletał mu brzydkiego figla podczas jego nieobecności. Za to teraz sam miał w zanadru parę małych figielków.

— I to wszystko? — Hosbon był wyraźnie rozczarowany.

— Będą jeszcze zwykle sprawozdania z działań na Ładowisku, obiecanki cacanki — Toric podsumował je wszystkie lekceważącymi machnięciem ręki. — Dostępność drukowanych tekstów dla wszystkich, którzy zechcą pracować nad sobą — prychnął. A ja... — zatrzymał się w sam czas i zamiast tego powiedział: — Dobrze wiesz, że wszyscy ci „pracusie” zostaną tutaj, w Południowej Warowni i w Largo — uprzejmie pochylił głowę w stronę Hosbona, przypominając? sobie, co Besic mówił o celu jego wizyty. — Masz u siebie coraz więcej rzemieślników. Postarajmy się ich nie utracić. Udało ci się zwerbować kogoś nowego w czasie tego Obrotu?

— Nie śmiałbym ściągnąć do siebie nikogo stąd, Lordzie Toricu — natychmiast odrzekł Hosbon z przy pochlebnym szacunkiem. — Ale zawsze potrzeba nam nowych — dodał pospiesznie.

Toric tylko pokiwał głową. Właściwie podobał mu się ten człowiek. Pochodził z dobrego rodu, wśród którego potomków było wielu znakomitych gospodarzy. Wszyscy doskonale potrafili zachęcić swoich ludzi do wydajnej pracy. Ten Hosbon wyglądał jak młodsza wersja swojego ojca, Bargena; miał takie same jasne oczy w smagłej twarzy i łatwo wypacał nadmiar tłuszczu. Miał też starszych braci, a teraz, gdy posmakował gospodarzenia w bardziej sprzyjającym klimacie, nie będzie chciał wracać do mroźnych Dalekich Rubieży.

— Przekażę więc moim ludziom informacje o tym spotkaniu i o Sprawozdaniu — usta Hosbona lekko zadrgały.

— I bardzo dobrze — odparł Toric, opuszczając lekko powieki na znak, że zawarli porozumienie. W tym momencie z Warowni wyszła Ramala z tacą napoi, więc dodał tylko: — Porozmawiamy później.

Akurat zdążyli dopić klah i zjeść aromatyczne bułeczki, gdy rozległo się basowe

dudnienie harfiarskiego bębna, wzywające wszystkich na Zgromadzenie. Głęboki dźwięk odbił się echem od urwiska, zadźwięczał w kadłubach statków zakotwiczonych w pełnomorskim porcie, wprawił w wibrację kamienie, z których zbudowano Warownię, a słuchający go mieli wrażenie, że rezonuje nawet w ich stopach.

Wchodząc po szerokich, niskich, wyciętych w skałe stopniach, które wiodły ku polanie na wzgórzach, Toric przyglądał się zabudowaniom Warowni, rozciągniętym na kilku poziomach. Gospodarze w małych grupkach wędrowali w górę od pomostów, przy których podskakiwały liczne łódki kotwiczące przy palach i bojach. Zaczął przeciskać się przez tłum do estrady na południowym krańcu placu Zgromadzeń, gdzie siedział samotny harfiarz z tradycyjnym zwojem, z którego już wkrótce miał odczytać sprawozdanie. Toric rozglądał się na prawo i lewo, od czasu do czasu obdarzając krótkim uśmiechem osoby, które zasłużyły sobie na ten zaszczyt.

Od kiedy objął władzę w Warowni Południowej, trzydzieści jeden Obrotów temu, pod jego rządami rozkwitły dwadzieścia cztery samowystarczalne gospodarstwa, które składały mu daninę. Widział przedstawicieli każdego z nich — mniejsze grupki przybyły z odległych miejsc, większe z bliskich — spostrzegł też węzły naramienne, które oznaczały czeladników różnych rzemiosł. Chwilowa satysfakcja rozwiała się jednak szybko. Wszedł na estradę pokonując po dwa stopnie naraz, na przekór tym wszystkim — a szczególnie Besicowi — którzy uważali, że po takiej nocy rano będzie pewnie wykończony. Sam mistrz Robinton zaproponował Harfiarza Sintary na stanowisko Mistrza w Weyrze Południowym. Robinton był jednym z niewielu ludzi z Północy, których Toric darzył szacunkiem, Władca nie zgłosił więc sprzeciwu wobec tej nominacji. Szybko jednak tego pożałował, bo Sintary był subtelny i uparty, a poza tym traktował swoje harfiarskie obowiązki nad wyraz poważnie i nie zgodził się, gdy Toric zaproponował mu wprowadzenie kilku mało ważnych zmian do tradycyjnych ballad szkoleniowych. Stary Harfiarz był bardzo lubiany, a jego zgryźliwe poczucie humoru i umiejętność improwizowania zabawnych piosenek o tym, co działo się w Warowni i okolicach, sprawiła, że niezwykle trudno byłoby go zdyskredytować. Mimo to Toric podjął taką próbę. Miał nadzieję, że wkrótce nadarzy się po temu lepsza sposobność i będzie mógł bez sprzeciwów odesłać Sintarego z powrotem do Cechu.

Pozdrowiwszy nieugiętego harfiarza krótkim skinieniem głowy, Toric odwrócił się w stronę publiczności. Uniósł ręce, uciszając śmiechy i rozgwar. Nawet ogniste jaszczurki przerwały tańce i zniknęły w lesie wznoszącym się ponad polaną.

— Mistrza Sintary nie trzeba przedstawiać — powiedział Toric, podnosząc głos, którym niegdyś potrafił przekrzyczeć burzę. Widzę, że masz dziś dla nas zwój do

przeczytania, Mistrzu Harfiarzu.

Mistrz Sintary wstał, obrzucając Torica pustym spojrzeniem, obrażony za tak szorstką prezentację. Toric uwielbiał takie subtelne docinki, szczególnie jeśli ich obiektem byli harfiarze lub smoczy jeźdźcy. A właśnie, gdzie podzieli się wszyscy jeźdźcy, którzy powinni się zjawić? Wściekłym spojrzeniem obrzucił opalone twarze, szukając Władcy Weyru. Jeśli K'van nie przybył... W tym momencie Toric zauważył go po lewej, gdzie drzewa i pierzaste liście krzewów tworzyły mały zagajnik. Obok niego stało przynajmniej piętnastu jeźdźców i trzy jeźdźczynie królowych. Do licha! Tym razem nie uda się złożyć skargi, że jeźdźcy ociągają się z wypełnianiem swoich obowiązków.

Sintary wystąpił o dwa kroki naprzód i płynnym gestem dłoni zaprosił Torica do zajęcia drugiego fotela przygotowanego na estradzie. Prawą ręką zręcznie rozwinął tradycyjny zwój i zaczął czytać, przewijając tekst z wprawą znamionującą długoletnią praktykę.

Toric usiadł i skrzyżował ramiona na piersi. Był zdenerwowany, tak samo jak tego ranka zaraz po przebudzeniu. Jeźdźcy stawili się karnie. Teraz będą się objadać — tak samo jak i inni goście — tym i wszystkim, co on, jako Władca Warowni, musiał dla nich przygotować. Sintary bez wysiłku operuje głosem tak, że wszyscy go słyszą. Ciekawe, jak on to robi? Nawet nie podniósł głosu, musi stosować jakąś harfiarską sztuczkę.

Przeczytanie grubego zwoju zajęło Sintaremu sporo czasu, więc Toric z nudów zaczął przyglądać się uprzejmym minom na twarzach osób stojących poniżej estrady. Na widok swojego brata, Mistrza Kowalskiego Hamiana, rozplótł skrzyżowane ramiona, bo Hamian przyjął podobną pozycję. Hamian i jego nowy Cech Tworzyw Sztucznych. Tworzywa sztuczne! A powinien pracować w metalu, szczególnie w złożach tego — jak to się nazywało? — coś z bokem, z czego wychodziły bardzo lekkie i giętkie stopy. Nie po to Toric zachęcał brata, by zdobył stopień mistrzowski Kowali, by ten rozmieniał swoje umiejętności na drobne, zabawiając się bzdurami wymyślonymi przez Assigi. Wygnany Mistrz Szklarski Norist miał rację, gdy nazwał sztuczną inteligencję Ohydą.

Słońce dotarło już do szczytu nieboskłonu i mimo lekkiego ubrania Toric zaczął odczuwać upał. Tłum, zbity razem na placu, zrobił się niespokojny; wszyscy się wachlowali i przestępowali z nogi na nogę. Ci, którzy zabrali ze sobą dzieci, bo nie mieli ich z kim zostawić, przesuwali się ku skrajowi placu, zabierając ze sobą rozbeczanych smarkaczy.

Czyżby Harfiarz przyspieszył tempo? Ano, czemu nie? Po odczytaniu sprawozdanie i tak zawiśnie na tablicy ogłoszeń. Toric złapał rytm recytacji i usłyszał ostatnią uwagę Sintarego:

— Teraz zacznę przyjmować osobiste petycje i zapewniam, że każda z nich zostanie drobiazgowo rozpatrzona.

Ach, ten wredny cech Harfiarzy, miesza się w sprawy Warowni. Gospodarze Torica nie mają prawa wnosić skarg. Ciężko pracują i dostają to, na co zasłużyli.

Toric prędko przebiegł tłum wzrokiem, sprawdzając, czy ktoś wyciąga z kieszeni kartkę ze skargą.

Sintary skończył czytanie. Rozległy się okrzyki, piski, gwizdy i inne hałasy. Fala dźwięków połączona z rosnącym upałem sprawiła, że Toricowi znów zaczął dolegać ból głowy. Kiedy cholerny Harfiarz zszedł ze schodów, Toric wycofał się w chłodny cień po drugiej stronie estrady. Musiał odnaleźć Dorsego. Dorse obiecał, że tego dnia wróci ze swojej najnowszej eskapady na pomoc.

Zakończywszy publiczne obowiązki, Sintary zszedł z estrady. Wiedział doskonale, że Toric umknął, jak tylko nadarzyła mu się okazja. Bardzo dobrze. Dzięki temu nie będzie przeszkadzał przy odbieraniu petycji. Harfiarz otworzył worek zabrany na tę okazję i zaczął zbierać skargi, którymi go zasypano, gdy tylko zszedł po schodach.

— Zapewniam was, każda zostanie przeczytana. Słowo Harfiarza. Dziękuję. Tak, Rada się tym zajmie. Dziękuję. To potrwa, ale zostaną przeczytane — powtarzał i szedł przez tłum, by przyczepić sprawozdanie na tablicy. — Tak, tak, przeczytamy to... — Brzmiało to jak litania. „Każda zostanie przeczytana” na lewo, „słowo harfiarza” na prawo i „przepraszam, chciałbym przejść” na wprost. Wciąż to powtarzał, kierując się ku tablicy. Podał zwój uczniowi ubrane w harfiarski błękit i przytrzymał go płasko, by łatwiej było go zaczepić.

Minęły dni, kiedy tego rodzaju teksty kopiowali pracownicy uczniowie, aż im palce drętwiały. Sprawozdania z rady drukował obecnie Mistrz Drukarski Tagetarl na swoich szybkich maszyna i nowym grubym papierze, potem zwijano je w rolki i foliowano, by nikt nie mógł ich łatwo zniszczyć. Kopie rozsyłano do wszystkich większych i mniejszych warowni, gdzie odczytywano je w Święto Obrotu. Nawet Toric musiał się zgodzić na wywieszenie sprawozdania, przynajmniej do czasu, aż rozjadą się goście przybyli na Święto. Co, znając Torica, nastąpi nader szybko. Sądząc jednak z liczby małych łódek, wypłynięcie z portu zajmie im co najmniej dwa dni. Przy tym wszystkim Toric wcale nie był złym gospodarzem. Miał rację, upierając się, by każdy zapracował na prawo własności ziemi. Musiał znosić fochy Jeźdźców z Przeszłości i najazdy tysięcy ludzi dążących na południe w poszukiwaniu łatwego życia. Imigranci, którzy uciekli z Północy przed troskami i

zmartwieniami, mieli teraz nowe kłopoty — ale większość z nich nie dotyczyła poważnych spraw.

Sintary zostawił za sobą najbardziej gorliwych petentów, którzy zajęli się odczytywaniem sprawozdania i poszedł szukać cienia, jedzenia i picia. Po drodze do Cechu dostał jeszcze dwie pomięte kartki ze skargami, aż wreszcie schronił się w chłodnym wejściu do swojej siedziby. Zobaczył, jak Dorse i jeden z tych ludzi o zaciętych twarzach, których Toric zatrudniał jako strażników, pędzą w górę po schodach. Nie strzegli go, bo musieli patrzeć pod nogi, jemu zaś bardzo się nie spodobał przebiegły i uparty wyraz twarzy Dorsego. Sintary wiedział, że Dorse często wypełnia różne „specjalne polecenia” Lorda Torica.

Kiedy obaj mężczyźni zniknęli za zakrętem, Sintary ruszył swoją drogą. Właśnie wtedy usłyszał brzęk szkła i tępy odgłos topora uderzającego w drzewo. Ale przecież Dorse i ten człowiek biegli do góry. Więc kto tam rozrabiał na dole?!

Worek ze skargami był ciężki, postanowił więc najpierw zostawić go w Cechu, a dopiero potem zejść i sprawdzić, co się stało.

CECH UZDROWICIELI, 1.1.31

Mistrz Uzdrawicieli Oldive odsunął się od stołu roboczego, przymknął oczy zmęczone długotrwałym wpatrywaniem się w mikroskop i westchnął głęboko. Próbki były bardzo podobne, ale nie identyczne ze wzorami znajdującymi się w katalogach Assigi, więc nie sposób było ich zaklasyfikować jako tego samego wirusa. Ach, jaki wspaniały i przerażający jest ten nowy wymiar nauki i uzdrawiania.

Powoli, świadomy, że ciało zdrętwiało mu od nieruchomego siedzenia, wyciągnął jedną nogę jak najdalej od podstawy stołka. Kiedy zwisała swobodnie, zaparł się dłońmi o wysokie siedzisko i opuścił drugą nogę. Potem uniósł ręce tak wysoko, jak pozwalała na to jego ułomność i pokręcił głową, by rozluźnić obolałe mięśnie.

— Oldive?

— Och, słowo daję, Sharra! — obrócił się na stołku tak, by popatrzeć w kąt, gdzie tkwiła tak samo dawno jak on, równie uparcie wpatrując się w mikroskop. — Nie sądziłem, że jeszcze tu jesteś.

Praca w laboratorium była wielką przyjemnością, a dziś Oldive i Sharra mieli je tylko dla siebie, bo wszyscy pracownicy mający choć odrobinę oleju w głowach, poszli na zabawę na Placu Zgromadzeń w Warowni Fort. Przez szerokie trzyszybowe okno widać było sztandary wiszące w oknach Warowni, a w dodatku nie czuło się mrozu, który ogarnął cały pomocny kontynent. Pożałował, że nie może być w dwóch miejscach naraz — jako jedno z nich najchętniej wybrałby rozświetlone pomieszczenia Cechu Uzdrawicieli na Ładowisku — ale i tak cieszył się z nowych, luksusowych pomieszczeń Cechu w Forcie. „Kwatera główna” to taka sensowna koncepcja, zwłaszcza gdy słowo „kwatery” oznacza przestronne sale wykładowe, przewiewne sypialnie i więcej kandydatów na uzdrawicieli niż kiedykolwiek. I większe potrzeby ludzi, to także trzeba było przyznać.

— Ale nas to pochłonęło, prawda? — na twarzy Sharry pojawił się znużony uśmiech.
— Udało ci się rozpoznać tego wirusa?

Pokręcił skośną głową.

— A może to jedna z mutacji, o których mówi się w archiwum patologii? — spytała.
— Biorąc pod uwagę wszystko, czego się nauczyliśmy o tych rzeczach, miały mnóstwo czasu, by odejść od postaci zarejestrowanej przez Assigi.

— To by tłumaczyło fakt, że zaraza dziesiątkuje gospodarstwa, których mieszkańcy poza tym cieszą się doskonałym zdrowiem — dodał Oldive ze smutkiem. Otrząsnął się lekko,

odpędzając bezsensowne czarne myśli. — No cóż, takie rzeczy trapiły nas od bardzo dawna teraz na szczęście potrafimy je ukrócić. Ale mamy święto ostatnie dnia Obrotu. Chyba powinnaś być z Jaxomem i z dziećmi.

— Świetnie się bawią na festynie w domu — powiedziała z radością. — Jaxom musiał przeczytać Sprawozdanie i zebrać skargi. Dobrze wiesz, że tam bym tylko się nudziła, tu zaś mogę przydać się na coś więcej — wskazała przezrocza, które przed chwilą przeglądała. Rozmasowała sobie mięśnie szyi i barków, by rozluźniły się po napięciu spowodowanym długim ślęczeniem nad mikroskopem. — Czy doczekamy się jednego z tych mikroskopów elektronowych, o których mówił Assigi?

Oldive zaśmiał się ironicznie, powoli zsuwając się ze stołka Gdyby jego kręgosłup rozwijał się normalnie, byłby wysokim mężczyzną; miał długie nogi. Były równej długości, ale deformacja kręgosłupa spowodowała skrzywienie miednicy. Jednak gdy włożył nieco podwyższony but, prawie nie było widać, że utyka.

— Mistrz Morilton ma zatrzęsienie zamówień — powiedział z żalem i wskazał na półki wypełnione specjalnymi wyrobami szklanymi, milionem narzędzi wykonanych przez Cech Szklarzy na potrzeby uzdrowicieli.

— Naturalnie to dopiero początek, biorąc pod uwagę potrzeby wszystkich siedzib naszego cechu — stwierdziła Sharra kwaśnym tonem — szczególnie teraz, gdy Rada jednogłośnie, o dziwo, uznała, że Cech Uzdrowicieli ma pierwszeństwo. Naszym celem jest zdrowie i dobrobyt wszystkich mieszkańców Pernu, a nie zdobycie nowych zabawek, bez których wszyscy świetnie się obchodzili przez dwa i pół tysiąca Obrotów.

Choć Oldive zgadzał się z nią w zupełności, uniósł dłoń, strofując ją łagodnie. Przeszedł na drugą stronę przestronnej sali, gdzie pod ścianą stał piecyk, na którym grzał się dzban z klahem. Ktoś przyniósł też tacę z jedzeniem. Odchylił rogi serwetek i zobaczył solidne porcje smakołyków. Kiedy to wnieśli? Paszteciki były jeszcze ciepłe. Nie powinien tak całkowicie zapominać o otoczeniu.

— Ktoś przyniósł nam jedzenie — powiedział do Sharry.

— Tak, powinnam ci była powiedzieć — odparła krótko, zsunęła się ze stołka i podeszła do niego. — Chciałam tylko skończyć to pudełko slajdów — dodała i naląła klahu do obu kubków.

— Och, świetnie nam idzie, moja miła Sharro — powiedział, przełykając kęs jedzenia. — Osiągnęliśmy to wszystko — wskazał na laboratorium — a w dodatku Morilton rozważa, czyby nie wyznaczyć jednej z siedzib swojego Cechu wyłącznie na potrzeby Uzdrowicieli. — popatrzył na swoje stanowisko pracy i rozmarzył się z nieznanym wirusem. Potem uniósł rękę, bo

ciszę panującą w laboratorium zakłócił obcy dźwięk.

Sharra zaczęła nad słuchiwać. — Ktoś chyba tłucze szkło. Tłucze szkło! — powtórzyła, odstawiała kubek i skoczyła ku drzwiom. Gdy je otworzyła, okazało się, że dźwięk rozlega się blisko — właściwie o wiele za blisko.

— Meer, Talia! — wezwała swoje dwie jaszczurki.

— Co się dzieje? Co się stało? Co to za gapowaty uczeń tam rozrabia? — dopytywał się Oldive.

Mimo kalectwa potrafił się szybko poruszać, ale Sharra rzuciła zdumione spojrzenie na prawo, odsunęła go od progu i zamknęła drzwi na zasuwę.

Ruth!

Biały smok prawdopodobnie spał na wzgórzach ogniowych w Warowni Ruatha, ale takie wezwanie docierało do niego zawsze i wszędzie. W powietrzu pojawiły się Meer i Talia i już otwierały pyszczki, by wrzasnąć z przerażenia, gdy surowe polecenie Sharry pohamowało ich instynktowny odruch.

— Nie wiem, kto to, Oldive — powiedziała, zniżając głos do szeptu — ale ktoś rozbija szkło w destylarni tak głośno, jakby nie spodziewał się zastać tu nikogo innego.

Nieustraszony Mistrz Uzdrowicieli ponownie próbował wydostać się z laboratorium, ale złapała go za ramię.

— Nie powinno tu być nikogo poza nami — stwierdził surowo. Z okazji Święta Obrotu dał wolne wszystkim, nawet najmłodszym terminatorom.

— Ale ktoś jest — odparła, a jej oczy gniewnie lśniły, gdy znów otworzyła drzwi, zza których dobiegały odgłosy zniszczenia. Na wysokie okno laboratorium padł jakiś cień. Wskazała na niego i powiedziała z uśmiechem: — Sądzę, że raczej sobie z nim poradzimy. Oldive wstrzymał oddech na widok białego smoka z rozpostartymi skrzydłami, który zaglądał przez okno, jakby się przykleił do szkła. Jego oczy wirowały z gniewu, lśniąc czerwono i pomarańczowo.

Ruth!, powiedziała Sharra, czując wielką ulgę, że smok tak szybko zareagował na jej wezwanie. *Powiedz jaszczurkom z Fortu, by zaatakowały napastników.*

Ogniste jaszczurki darzyły Rutha pełnym podziwu szacunkiem i słuchały go bez zastrzeżeń. Sharra przekazała mu wyraźną wizualizację tego, co zobaczyła, wyrzawszy na chwilę z laboratorium. Meer i Talia wydały zduszony pisk i zniknęły. Kilka sekund potem Sharra i Oldive usłyszeli głośne krzyki, wściekłe trąbienie jaszczurek, jęki bólu, następne odgłosy uderzeń i brzęk tłuczonego szkła.

Sharra przez szparę w drzwiach wyjrzała na korytarz. Tłum jaszczurek ognistych

próbował się wcisnąć do destylarni. Po chwili maluchy podzieliły się na kilka grup, które z groźnym jazgotem mknęły klatką schodową na inne piętra Cechu.

W Cechu jest kilka grup ludzi, którzy rzucają rzeczami, potwierdził Ruth. *Źle robią. Przyleciały smoki z Fortu.*

Sharra i Oldive obserwowali, jak jaszczurki wyganiają z destylarni czteroosobową grupę wandalów. Z innych części Cechu dobiegły ich krzyki.

— Pożaluj, że w ogóle wpadli na taki pomysł — odezwała się gniewnie dziewczyna i szybko ruszyła korytarzem. — Gorzko pożaluj.

— Nawet nie pomyślałem o intruzach, kiedy budowaliśmy Cech — mruknął Oldive, potrząsając głową z goryczą na myśl o tym, co się stało. Był taki dumny z tego budynku, jego wspaniałego wyposażenia i przestronnych, dobrze zaprojektowanych pomieszczeń. Poprzednie zabudowania były bezpiecznie wciśnięte między Cech Harfiarzy a Warownię Fort. Ale u Uzdrowicieli panował zwykle taki ruch, że w zwykły dzień nikt niepowołany nie miał szans wejść do budynku.

Sharra pierwsza weszła do destylarni. Zapach porozlewanych płynów i mokrych ziół był niczym w porównaniu z przerażającym widokiem pustych półek, szafek z powyłamywanymi drzwiczkami i z okruskami szkła pokrywającymi każdą wolną przestrzeń. Połamano nawet marmurowe blaty robocze. Zatrzasnęła drzwi, żeby Oldive nie musiał na to patrzeć.

— Wszystko poniszczone — powiedziała szorstko i pociągnęła go ku schodom, uświadamiając sobie z przerażeniem, że krzyki i wrzaski z niższych pięter oznaczały dalsze zniszczenia i straty.

Jaszczurki ogniste wygnały intruzów z Cechu. Nagle grupa napastników stanęła jak wryta na widok tuzina smoków, których rozpostarte skrzydła tworzyły zaporę nie do pokonania, a oczy wirowały wściekłą czerwienią. Na niebie unosiły się kolejne smoki, których; skrzydła rzucały czarne cienie na rozgrywającą się w dole scenek Skalistym kanionem Fortu niosły się okrzyki i bicie w bębny, oznaczało, że posiłki są w drodze. Przerażonych wandalów zagnano w jedno miejsce. Zęby i pazury jaszczurek pozostawiły na nich tylko strzępy odzieży; pokrwawione ręce obronnym gestem zasłaniały twarze. Smoki nie byłyby w stanie skrzywdzić żadnego człowieka, ale jaszczurki nie miały takich zahamowań i pikowały ostro, dziobiąc i szarpiąc pazurami każdego z grupy intruzów, kto odważył się choćby poruszyć.

Odwołaj je, Ruth, poleciła Sharra, zatrzymując się na szczycie schodów dla złapania oddechu. I podziękuj, że przybyły tak szybko. Ci dranie muszą zostać przy życiu, żeby mogli

zeznać, dlaczego zbezczęścili Cech Uzdrowicieli.

Choć niektóre z dzikich jaszczurek wahały się, czy posłuchać, drugi gardłowy ryk Rutha sprawił, że zniknęły. Na straży jeńców pozostały smoki. Bestie trwały nieruchomo, więc jeden z mężczyzn wyprostował się i zmierzył Sharre i Oldivego wściekłym spojrzeniem.

— Po co tu przyszlście? — spytał Mistrz niezwykle surowo. Przed nim stało piętnaścioro mężczyzn i kobiet — wystarczyło ich z pewnością, by zrujnować o wiele więcej, niż tylko piękną nową destylarnię. Serce w nim zamarło na myśl o przypuszczalnych zniszczeniach.

— Dlaczego poniszczylście materiały i sprzęty, dzięki którym...

— Ohydę należy powstrzymać! — krzyknął mężczyzna, wyprężając się fanatycznie.
— Zetrzeć jej piętno z Pemu!

— Ohydę? — Na dźwięk tego słowa Sharra aż zadygotała. Tak niektórzy nazywali Assigi. Grupa podobnych fanatyków porwała Mistrza Robintona, by zmusić Radę do wyłączenia Assigi, utożsamianego z postępem. Fanatycy próbowali powstrzymać odtwarzanie rozwiązań technicznych stosowanych przez pierwszych osadników na planecie, choć bardzo, bardzo wiele ludzi pragnęło rozwiązań ułatwiających życie. Oldive pochwycił jej wzrok i jeszcze bardziej spochmurniał.

Pozostali wandalę zaczęli coś wykrzykiwać i bez skrupowania wygrażać pięściami, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę, że smoki ich nie skrzywdzą.

— Wykorzeńc wszeteczeństwo! — huknął przywódca głośniejsz, z większą odwagą. — Wymazać Ohydę!

Sharra zaczęła dygotać na zimnie. Twarz Oldivego ściagnął mróz. Choć spoza wzniesionych smoczyc skrzydeł nie było nic widać, usłyszała stuk kopyt na utwardzonej drodze, skrzypienie wozu i okrzyki z wielu gardeł. Lioth, spizowy smok władcy Weyru Fort N'tona przekrzywił głowę, jakby zrozumiał obelgi, a w jego wirujących oczach pojawiły się pomarańczowe ogniki.

Nadchodzą, Sharro, powiedział Ruth i groźnie pochylił łeb nad buntownikami. Okrzyki wyraźnie przycichły, gdy stuk kopyt stał się słyszalny wewnątrz smoczego kręgu. Przywódca zaczął podżegać swoich ludzi do głośniejszych okrzyków.

— Trzeba szanować tradycję! — wrzeszczał, wpatrując się w swoich kamratów, a jego trójkątna twarz i płonące oczy podrywały ich do wysiłku. — Precz z Ohydą!

— Wróćcie do Tradycji w nowym Obrocie! — zaskrzeczała jedna z trzech kobiet i zaczęła wymachiwać zakrwawioną ręką przed nosem Rutha, który zmarszczył brwi.

— Nie wysłuchano naszych skarg!

— Protestujemy przeciw Ohydzie! — I wszystkim jej dziełom!

— Ohyda! Ohyda!

Oldive i Sharra wysłuchiwali tego wszystkiego ze stoickim spokojem.

W miarę zbliżania się jeźdźców smoki zaczęły spokojnie składać skrzydła i odsuwać się na bok, by ich dopuścić do wandali. Lioth zbliżył się do Rutha; Sharra wiedziała, że jego jeździec, N'ton, będzie na przedzie. Ale pierwszy przybył jeden z dwóch synów Lorda Groghe, jadąc na oślep na szarym biegusie, bez wędzidla. Haligon zatrzymał wierzchowca o krok przed więźniami i niemal sfrunął z niego, stając naprzeciw buntowników. Jego twarz i ruchy wyrażały taką furję, że aż się cofnęli.

Czasem w momentach kryzysowych zauważa się zupełnie oderwane szczegóły; Sharra spostrzegła właśnie, że piękne, brązowe świąteczne ubranie Haligona całe oblaźło siwymi włosami. Horon, który z bojową miną stanął obok brata, miał równie nieporządną odzież.

Pieszono nadeszła grupa harfiarzy pod wodzą Mistrza Sebella. Mało ich nie rozjechał wóz, którym N'ton przywiózł grupę gospodarzy zbrojnych w pałki. Na widok tak szerokiej publiczności jeńcy zaczęli głośniej wznosić bezczelne okrzyki:

— Zniszczyć wszystkie twory Ohydy!

— Oczyszczyć Pern!

— Powrót do tradycji!

— Precz z Ohydą!

Gospodarze z wozu najpierw ich wygwizdali, a potem zeskoczyli na ziemię, grożąc im wzniesionymi pałkami. Uzdrowiciele w zielonej odzieży weszli na schody i zbliżyli się do Sharry i Oldivego.

— Keita, sprawdź, jakie są straty — powiedział cicho Oldive do czeladniczki, która do nich podbiegła. Jego ciało przebiegł konwulsyjny dreszcz. — Najpierw obejrzyj infirmerię.

Sharra współczuła mu głęboko.

— Podajcie płaszcz dla mistrza Oldive — poprosiła z naciskiem, uświadamiając sobie nagle, że zaczyna ją ogarniać zimno, mimo emocji, jakie wciąż nią targały.

— Harfiarze! — Sebell gestem polecił swoim ludziom wziąć się do dzieła. — Pomóście Keicie.

Przez cały czas więźniowie jak szaleni powtarzali swoje okrzyki, aż na miejsce dotarł lord Groghe. Dobrze, że jego koń był osiodłany i że ktoś narzucił mu na ramiona futrzaną pelerynę, pomyślała Sharra. W jego wieku nie powinien już jeździć na oklep jak jego

synowie.

— Precz z Ohydą!

— Przywrócić nasze tradycje!

— Cisz! — ryknął Groghe. Natężenie jego głosu było równie przerażające, co zachowanie potężnego biegusa, który o mało nie zwałił przywódcy buntowników z nóg. Mężczyzna musiał się gwałtownie cofnąć i wtedy dopiero Sharra spostrzegła, że podobnie jak pozostali niszczyciele, miał czelność ubrać się na zielono: nie w prawdziwą uzdrowicielską zieleń, ale w odcień na tyle podobny, że jasne się stało, dlaczego ci ludzie z taką łatwością dostali się do Cechu.

Groghe z twarzą ściągniętą wściekłością i z wybałuszonymi oczami był naprawdę przerażający, kiedy tak patrzył na przywódcę wandali. Wyglądał na większego niż był w rzeczywistości, a jego wspaniałe świąteczne ubranie poruszone wiatrem pięknie układało się na końskim grzbiecie.

Nagłą ciszę dało się niemal krajać nożem. Nagle przerwał ją żalony jęk.

— Ja krwawię — zapłakała jedna z kobiet głosem, w którym dało się słyszeć przerażenie, wstrząs i odrazę. Krew kapłała jej z twarzy na wyciągniętą dłoń.

— Jak dla mnie, możesz się wykrwawić na śmierć — warknęła wściekle Sharra.

— Rany głowy zazwyczaj krwawią obficie — dodał Oldive, schodząc po szerokich schodach. Sharra pospiesznie ruszyła za Odrzucając połę płaszcza, który ktoś zarzucił mu na ramiona, Oldive sięgnął do woreczka przy pasie, z którym nigdy się nie rozstawał i wyciągnął bandaż, by nim opatrzyć ranę. Choć kobieta cofnęła się, a w jej spojrzeniu malował się obłęd, udało mu się obejrzeć długie rozcięcie na czole. — Trzeba będzie szyć.

Twarz kobiety zbieleła z przerażenia, pojawił się na niej wyraz absolutnej hysterii, a ona sama, zemdlona, osunęła się na ziemię.

— Nie! — wykrzyknął przywódca i rzucił się na kolana, by zasłonić jej ciało. — Nie! Precz z Ohydą! Oszczędźcie jej tego!!!!

Groghe zaklął z pogardą, a jego wierzchołek zatańczył nerwowo. Wszyscy obserwatorzy tej sceny zareagowali tak samo jak Lord; rozległy się głośne, gniewne okrzyki:

— Wstyd!

Oldive obrzucił protestującego spojrzeniem, w którym współczucie walczyło o lepsze z naganą i westchnął z nieudawanym żalem.

— Niech sobie krwawi, Uzdrowicielu! — ktoś zawołał. Kilka osób w pobliżu zawołało z ironią:

— Nie, nie! Oszczędź ją, oszczędź!

— Uzdrowiciele zszywają rany od dwóch i pół tysiąca lat, jeśli zachodzi taka potrzeba — poinformował Oldive przywódcę ze spokojną godnością. — Zresztą prawdopodobnie nie wykrwawi się śmierć.

— Jaka szkoda — padła złośliwa uwaga jednego z widzów. Oldive uniósł rękę i tłum zamilkł z szacunkiem, by wysłuchać jego słów:

— Rozcięcie jest płytkie i długie. Jeśli się tego nie zszyje, pozostanie brzydka blizna. Trzeba obciąć włosy, by uniknąć zakażenia. Mrocznik zmniejszy ból — przerwał, a potem dodał sarkastycznie: — Mrocznik rósł na Pernie na długo przed przybyciem naszych przodków.

Na każde jego zdanie więźniowie reagowali jękami albo dygotaniem. Przywódca patrzył na niego z wściekłością.

— Udzielając ci rady, spełniłem swój obowiązek jako Uzdrowiciela — dodał beznamietnie Oldive. — Decyzja należy do ciebie.

— Oszczędź ją! Oszczędź ją! Precz z Ohydą! — zawołało kilku więźniów, błagalnie wznosząc ręce.

Oldive lekko kiwnął głową na zgodę.

— Sami zajmijcie się więc jej leczeniem — powiedział i odwrócił się, zachowując pozory spokoju. Sebell opiekuńczo stanął u jego boku, a Mistrz Uzdrowicieli skinieniem głowy podziękował mu za ten gest poparcia.

W tym momencie z cechu wybiegła czeladniczka Keita, a za nią inni uzdrowiciele, wyraźnie wstrząśnięci tym, co zobaczyli.

— Zniszczyli wszystko, co przyszło ostatnim transportem od Moriltona! — wykrzyknęła kobieta, mierząc winnych gniewnym spojrzeniem. Ręce zacisnęła w pięści. — Będziemy miesiącami odtwarzać zapasy. Destylarnia jest w ruinie. W pokojach zabiegowych opróżniono wszystkie worki, pojemniki i butelki, a to, czego nie spalili — tu przerwała opowieść, biorąc głęboki oddech — na to się wysikali!

Zanim Groghe zdążył powstrzymać najbliższego z gospodarzy, ten walnął pałką w głowę jeńca, zwalając go z nóg.

— Nie! — ryknął Lord. — Nie! — Tłum zafalował, ale przestał napierać na jeńców. — Jestem Władcą Warowni. Ja wymierzam kary. I oni zostaną ukarani! — Jego twarz nabrzmiała z dzikiego gniewu, że ktokolwiek mógłby uzurpować sobie jego prawa. Ścisnął boki wierzchowca i podjechał do przodu. — Ty! — wymierzył wyciągnięty palec w przywódcę, który przetoczył się na bok. Podkute kopyta biegusa o mało nie wylądowały mu

na twarzy. — Imię! Warownia! Cech!!!!

— Proszę zauważyć, że ubrali się w ciemną zieleń, Lordzie Groghe — powiedziała Keita głosem pełnym napięcia. Podniosły się gniewne okrzyki na tę dodatkową obrazę.

— Nie mają węzłów naramiennych ani oznak Warowni — Sebell przeszedł się wokół grupki niszczycieli, bacznie ich obserwując.

— Pytam ponownie! — huknął Groghe. — Nazwiska? Warownie? Cechy?

Przez chwilę i on, i tłum oczekiwali cierpliwie na odpowiedź. Więźniowie zachowali zacięte milczenie.

— Przeszukać ich! — stwierdził Lord i machnął ręką. Z tłumu wyskoczyło więcej chętnych niż było potrzeba. — Powiedziałem „Przeszukać”, nie „rozebrać” — dodał Groghe, gdy zauważył, że ktoś używa zbyt wiele siły.

— A dlaczego nie? Może zimno rozwiąże im języki? — zaproponował przysadzisty gospodarz z odznakami Fortu i węzłem czeladnika.

Wandale rzeczywiście zaczęli się odzywać, ale tylko po to, by gwałtownie zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu.

— Mamy swoje prawa! — zawołał przywódca, otoczony przez kilka rewidujących go osób.

— Właśnie je straciliście, nie odpowiadając Władcy Warowni, ryknął gospodarz i szorstkim gestem wywrócił kieszenie przywódcy. Kilka ćwierćmarek potoczyło się po zmarzniętej ziemi.

Nagle Keita wskazała na jedną z kobiet, której koszulę i kurtkę rozchyłono na piersi, tak że było widać czerwoną, rozognioną skórę.

— Poznaję ją — stwierdziła czeladniczka. — Przyszła do Cechu po maść na wysypkę.

— Chodź tu! — Groghe gestem wskazał kobietę.

— Nie dotkniesz jej swoimi ohydnyymi łapami — odezwał się przywódca i strząsnął z siebie przeszukujących go mężczyzn.

— Nie przeszkadzały jej moje ohydne dłonie, kiedy przyszła po lek przeciw swędzeniu — odparła Keita i odciągnęła kobietę z dala od grupy. — Sądząc po wyglądzie, w ogóle nie użyłaś maści, cóż, mam nadzieję, że będzie cię swędzieć do śmierci! — puściła ją i kobieta pospiesznie przyłączyła się do grupy.

— Keito — spytał Oldive — czy pamiętasz dokładnie, kiedy ta kobieta do nas przyszła? Może podała imię albo inne szczegóły?

Keita kiwnęła głową i szybko wspięła się po cechowych schodach.

— Pewnie przy okazji dobrze się u was rozejrzała — powiedział Sebell.

Przy wandalach nie znaleziono niczego, co stanowiłoby jakąś wskazówkę. Groghe rozkazał przerwać przeszukiwania. Więźniowie zaczęli poprawiać poszarpaną odzież.

— Łatwo rozpoznać, gdzie zrobiono odzież i buty — odezwał! Sebell. — Na Zgromadzeniu jest tylu tkaczy i garbarzy, że nie będzie z tym kłopotów.

Sharra roześmiała się głucho, wskazując na brudne, zdarte i poplamione w podróży buty.

— Nie ubrali się jak na Zgromadzenie, prawda? Chyba mają za sobą długą jazdę. A może zostawili wierzchowce w cechowej stajni żeby móc szybko uciec? A może w torbach przy siodłach znajdziemy coś interesującego?

Spostrzegła, że kilku jeńców się skrzywiło i znów się roześmiała, gdy Groghe ryknął na Haligona, by to sprawdził. Stajnie były na zachód od głównego wejścia. Za Haligonem poszło ze sześciu dzierżawców.

— Są tu, ojcze! — krzyknął po chwili Haligon. — Nierozsiodlane.

Jedzą, aż im się uszy trzęsą.

— Galopem do portu i hajda w na statek? — zapytał N'ton.

— Raz już tak zrobili — oczy Sebella zwięzły się z gniewu, a twarz przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz niż zwykle.

— Władco Weyru, czy mógłbyś przeszukać nasz port? — poprosił Groghe N'tona.

— Z przyjemnością, Władco Warowni. — N'ton obrócił się na pięcie i wybrał czterech jeźdźców stojących obok swoich smoków. Gdy tylko bestie uniosły się w powietrze, pojawiły się ogniste jaszczurki, wydając radosne wrzaski i wykonując wdzięczne ewolucje w powietrzu.

— Co za głupota — powiedział Groghe, poprawił się w siodle i spojrzał w dół na jeńców. — Nie wzięliście pod uwagę, że ktoś was zdemaskuje, co? Myśleliście, że napaskudzicie tu i zwiejecie, zanim ktoś zauważy?

Przywódca arogancko spoglądał w innym kierunku, ale brutalne przeszukanie w dużej mierze osłabiło ducha pozostałych. Już nie byli tacy butni jak przedtem. Z przerażeniem obserwowali, jak Haligon z towarzyszami prowadzą bieguny, by przejrzeć zawartość toreb. Chętne ręce wysypały na ziemię zawartość juków przy siodłach. W większości był to zwyczajny sprzęt obozowy.

— Było ich piętnastu, prawda? — spytał N'ton, trąc szczękę. — Jeden z moich jeźdźców widział parę dni temu taką grupę obozującą na polance kupieckiej nad Rzeką Ruatha.

— I nie doniósł o tym? — spytał urażony Groghe.

— Doniósł o tym mnie, Lordzie Groghe, podobnie jak o wszystkich grupach zmierzających na Święto Obrotu — odparł N'ton, wyzywająco wzruszając ramionami. — Powiedział, że są ubrani w zieleń, jak uzdrowiciele.

Słyszając to, Groghe chrząknął znacząco. Kto by odgadł, że nie są to uczciwi ludzie, którzy pokonują niewygody zimowej podróży w nadziei na wspaniałą świąteczną ucztę i tańce? Kto by pomyślał, że można zaatakować Cech Uzdrowicieli?

Sharra stojąca przy Oldivem poczuła, że Mistrz zaczyna dygotać. Zimno przenikało przez jej solidne buty, a on miał na nogach cienkie skórzane kapcie.

Musisz wejść do budynku, Mistrzu. Przeżyłeś straszny wstrząs szepnęła i zaczęła się wycofywać.

— Nie, muszę zostać. Zbeczczęścili mój cech. — Oldive zgiął się we dwoje i ściślej owinał się płaszczem.

Podszedł Sebell i podał mu małą flaszeczkę.

— To twoje wzmocnione winko — szepnął Mistrz Harfiarzy. i Oldive z wdzięcznością pociągnął solidny łyk.

— Ojczy! — zawołał Haligon triumfalnie, pokazując cienki portfel. Podał go Lordowi.

Tłum z zainteresowaniem patrzył, jak Lord Groghe z przesadną uwagą przegląda zawartość portfela.

Uniósł w palcach cienki kawałek papieru.

— Jak to, więc jednak korzystacie z Ohydry? — zwrócił się do przywódcy ze złośliwym błyskiem w oku. — To nic innego, jak mapa wydrukowana na ohydnej maszynie Mistrza Tagetarla. No, no, ależ przydatna jest ta Ohyda! — Sharra starała się nie śmiać, słysząc te słowa. Groghe zawsze był niezmiernie praktyczny. Rzadko posługiwał się ironią, ale dziś, w święto, bardzo się to spodobało zebrany. Taniec i jedzenie to miła rzecz, ale oto mieli rozrywkę co się zowie! Trzeba będzie zapamiętać każdy szczegół i opowiedzieć o wszystkim nieobecnym znajomym, rodzinie i przyjaciołom w domu.

— „B”? — Groghe przysunął pojedynczą kartkę do oczu. — To ty? — zmierzył przywódcę pytającym spojrzeniem.

— Jeden z nich pochodzi z Cromu, Lordzie Groghe — wykrzyknął dzierzawca, oglądający biegusa. — To zwierzę ma piętno na zadzie. Błoto je zatarło! — spojrzął na jeńców z pogardą za to, że nie zatroszczyli się o zwierzę.

— Ten też jest z Cromu — odezwał się jakiś harfiarz.

— Mogli je ukraść — zauważył N'ton. — Ale dzięki tej informacji możemy zacząć się rozpytywać o wierzchowce skradzione w tamtej okolicy.

— „B”?

— Ojcie — odezwał się Horon — jeśli jest B, może być i A, i C, i fanatycy atakujący inne cechy uzdrowicieli właśnie dzisiaj, kiedy nie ma tam nikogo?

Odgłosy odległego bicia w bębny zabrzmiały echem w wąwozie. Wszyscy zadrżeli i wszystkie głowy jak jedna zwróciły się ku Wieży Bębnowej Cechu Harfiarzy.

— Przykro mi, ale masz rację, synu — odparł Groghe ze znużonym westchnieniem, gdy wraz z innymi osobami znajdującymi kod bębnowy rozpoznał nadawcę wiadomości: Boll, oraz temat: akty wandalizmu.

Sharra aż zeszytniała z gniewu, gdy usłyszała szczegóły: Nadawca Janissian. Cech Uzdrowicieli zniszczony. Rannych dwóch czeladników i jeden terminator”.

— Nie pozwolę krzywdzić uzdrowicieli! — ryknął Groghe, w gniewie ścisnął nogami boki biegusa, wierzchowiec pod nim zatańczył i o mało nie skoczył między więźniów. Władca Warowni zaczął wyszczekiwać krótkie rozkazy.

— Wziąć ich na wóz i zawieźć do Warowni. Horon, wsadź ich do pomieszczenia na dolnym poziomie. — Jego twarz przybrała złośliwy wyraz. — Nie zapalać ohydnych świateł. Żadnych kontaktów z osobami z zewnątrz, nie ma wyjątków. Dać tylko wodę. W butelkach!

Widzowie odpowiedzieli gromkim okrzykiem.

— Jego...! — Groghe dźgnął palcem w kierunku przywódcy. — Jego wsadzić do małej celki. Przesłuchamy go z N’tonem i Sebellem. Czy przyłączysz się do nas, Mistrzu Oldive?

— Muszę nadzorować... — Uzdrowiciel machnął ręką w stronę Cechu. Sharra podeszła, by mu pomóc.

— Tak, tak, naturalnie, masz ważniejsze rzeczy do zrobienia — zgodził się Groghe, zatoczył łuk koniem i zwrócił myśli ku innym zadaniom do wykonania.

— Ale ona jest nieprzytomna — zaskowyczała kobieta z wysypką, wskazując raną, która wciąż leżała na ziemi.

— Tym lepiej, nie będzie jej przeszkadzać dotyk „ohydnych” rąk — stwierdził Groghe lekceważąco, ruchem ręki przyzywając najbliższych stojących mężczyzn, by wrzucili raną na wóz, na który już załadowano pozostałych jeńców. Wokół było dość rąk i pałek, co sprawiło, że żaden z więźniów nie odważył się protestować.

— Zabrać te graty do Warowni, chłopcy — rozkazał Groghe mężczyznom, którzy wciąż przeglądali rzeczy napastników. — Przyprawdźcie tu tę kościstą chabetę z Cromu. Haligon, przerzuć „B” przez jego grzbiet i zwiąż mu ręce. Nie zamierzam dłużej sterczeć na tym zwinie. Mam dziś inne obowiązki.

Spiął wierzchowca i obrócił go na tylnych nogach, by po raz ostatni rozejrzeć się po okolicy. Naciskiem kolan skierował go ku schodom, na które wchodzili Mistrz Oldive z Sharra i Sebellem.

— Dowód strasznej ignorancji. Strasznej — powiedział ze współczuciem, pochylając się w siodle. — Nic ci się nie stało, Mistrzu Oldive? Zajmę się tą hołotą tak, jak mi na to pozwolą prawa Władcy Warowni. Mieli nadzieję, że niszczą wszystko co się da i z powrotem skryją się tam, skąd przyszli. Ha! — wierzchowiec uskokzył w bok, wyczuwając gniew jeźdźca. — Ohyda! Ja im dam Ohydę! Znajdę i ukarzę wszystkich, którzy byli winni tych przestępstw!

Oldive ze smutkiem pokiwał głową: — Wątpię, czy na tym się skończy.

Sebell rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i mocno zacisnął usta.

Groghe potoczył dzikim wzrokiem.

— Myślałem, że się pozbyliśmy całej tej bandy po tym... po tym, co się stało na Zgromadzeniu w Ruatha. Czy mi się zdawało, widziałem Rutha? — spytał, rozglądając się wokoło.

— Pewnie poleciał po Jaxoma — odparła Sharra.

Groghe odchrząknął, ściągnął wodze i podjechał ku przywódcy buntowników, którego wrzucono na grzbiet kościstego biegusa. Haligon, na oklep na swoim gniadym, trzymał wodze. Władca Warowni stanął w strzemionach i przemówił do tłumu.

— Każdy, kto zechce pomóc uzdrowicielom w przywracaniu porządku w ich Cechu, zostanie sowicie nagrodzony — krzyknął i rozejrzał się, by mieć pewność, że wszyscy usłyszeli jego słowa, — Proszę się rozejść. Dziękuję wszystkim za pomoc.

Poprowadził konwój do Warowni Fort. Haligon jechał tuż za nim, a ci, których nie skusiła nagroda, rażno podążali ich śladem.

Smoki z jeźdźcami, którzy nie ruszyli na rekonesans, wystartowały w niebo i lekko poruszając wielkimi skrzydłami, przeniosły i z powrotem na plac.

Gdy byli w połowie drogi, na niebie zaroilo się od nowych smoków, przybywających ze wszystkich stron. Zaskoczeni Meer i Talla wbili szpony w ramiona Sharry.

— Co się znowu stało? — wykrzyknęła przerażona. Rozpoznała nie tylko Ramoth i Mnementha, ale również Golantha z F'lessanem i Hetha z K'vanem.

— Obawiam się, że Mistrz Oldive miał rację — mruknął Sebell — i że ataki w Forcie i Bollu nie były odosobnione.

Ostami nadleciał Ruth i sprawnie wpasował się między inne smoki, wciąż szybujące nad ziemią. Ryzykownym manewrem wylądował, a podmuch powietrza poderwał brzeg

płaszcz Sharry do góry. Wciąż jeszcze dygotała, gdy otoczyły ją ramiona Jaxoma.

— Czy Ruatę również zaatakowali? — wykrzyknęła, przerażona myślą o zniszczeniu jej troskliwie przygotowywanych i gromadzonych leków.

— Nie, nie — pospiesznie zapewnił Jaxom i objął ją mocniej.

— Ale napadli na Boll.

— Tak, słyszałem bębny — jego uścisk stał się jeszcze silniejszy.

Na widok kolejnych smoków najeżdżał galopem Groghe, w rozwianym płaszczu i z twarzą dzikszą niż kiedykolwiek. Zeskoczył z biegusa jak młodzik i dołączył do przybyszów. Sharra zaniepokoiła się przez moment, że Ruth niechcący ściągnął więcej pomocy niż to było potrzebne. F'lessana pewno nie zirytuje takie niepotrzebne wezwanie, ale władcy Bendenu mogą nie okazać się tacy wielkoduszni. W dodatku z bliska widać było ich poważne miny. Wyglądali na zmęczonych.

— Cech Uzdrowicieli także, co? — stwierdził F'lar, wyciągając aż nazbyt prawidłowe wnioski z tego, co zobaczył idąc w kierunku Sharry, Oldivego i Sebella.

— Co chcesz przez to powiedzieć, F'larze? — zdenerwował się Groghe.

— To samo zdarzyło się w Warowi Benden i na Lądowisku — poinformował ich F'lar.

— I w Południowym — dodał K'van z uprzejmym ukłonem w kierunku Lessy i Sharry.

— Ledwie uspokoiliśmy Toronasa, gdy skontaktował się z nami F'lessan — głos Lessy był równie znużony jak jej twarz.

— Tego nie można już dłużej traktować jako odosobnione przypadki wandalizmu — stwierdził F'lar. — To zaplanowany i skoordynowany atak!

— Wejźmy do środka — powiedział Oldive cichym, zmęczonym głosem.

— W jadalni jest ciepło. Tam nikt nie dotarł — zachęciła ich Keita, która pojawiła się u szczytu schodów.

— Przydałoby się coś gorącego — poparła ją Sharra i skierowała Mistrza Oldive w tamtą stronę.

— Napady miały zbyt szeroki zasięg, by uznać, że ich nie zaplanowano — stwierdziła Lessa, gdy napili się kłahu wzmocnionego nalewką regeneracyjną roboty tutejszego Cechu. — Zbyt dobrze wykorzystali rozluźnienie dyscypliny w dzień Końca Obrotu.

— Ale wykonanie pozostawiało wiele do życzenia — skomentował sardonicznie F'lessan. — Jeden z zielonych jeźdźców T'gellana usłyszał brzęk tłuczonego szkła i zapobiegł większym zniszczeniom. — Na jego łagodnej zwykle twarzy zagościł surowy

grymas. — T'gellan przesłuchuje trzy osoby złapane na gorącym uczynku.

— Uzdrowiciel z Bendenu nie miał tyle szczęścia — opowiadał F'lar — chociaż jego czeladniczka twierdzi, że z tego wyjdzie. Nasi ludzie będą przeszukiwać okolicę do późnej nocy.

— Sintary widział ich tylko przez moment — stwierdził K'van i dodał przeprasząco: — Dżungla jest zbyt gęsta i nie będzie ich łatwo pochwycić.

— Tych drani mamy wszystkich — w głosie Groghego dzwięczała niekłamana satysfakcja. Huknął pięścią w stół na podkreślenie swoich słów.

— Przywódca wyglądał na uparte go — zauważył Sebell. — To jeden z tych, co potrafią umrzeć za sprawę.

— Reszta raczej nie będzie aż tak twarda — odrzekła kwaśno Sharra. — Rana Głowy to maruda.

— Świąd wkrótce obejmie całe jej ciało — dodała Keita, podając im tacę z maleńkimi, gorącymi pasztecikami przygotowanymi przez Zgromadzenie.

Sharra cmoknęła z udawanym ubolewaniem.

— I do tego pragnienie, co?

— Spragniona, swędząca Rana Głowy? — spytała Lessa ze znaczącą miną.

Sebell wyjaśnił, ale pełen zrozumienia uśmiech Lessy zmienił się w szerokie ziewnięcie.

— Przepraszam, ale zeszłej nocy mało co spaliśmy — wyjaśniła.

— Mamy tu pokoje gościnne, Lesso — szybko zaproponował i Oldive.

— Nie jest z nami aż tak źle — odparł sztywno F'lar.

— Może z tobą nie, F'larze — stwierdziła Lessa podnosząc się powoli — ale ja już osiem godzin temu powinnam się była porządnie wyspać. Z radością powitam okazję. Gdziekolwiek.

— Ależ oczywiście, oczywiście — włączył się Groghe. — Zawsze jesteście mile widziani w Forcie.

— I w Ruatha — dodali zgodnie Jaxom i Sharra, wiedząc, jak bardzo Lessa lubi swoją rodzinną warownię.

Władczyni Bendenu pokręciła głową ze smutnym uśmiechem!

— Ramoth i Mnementh już się wylegują na słońcu na wzgórzach ogniowych w Forcie. A mnie jest potrzebny cichy pokój. Tutaj — wskazała na podłogę. — Żadnych świątecznych hałasów.

— Do diaska! Muszę wracać na Zgromadzenie, wyjaśnić to zamieszanie i zebrać

skargi — Groghe zerwał się na nogi. — Fanatycy mogą poczekać. Dobrze im to robi.

— Jeśli cokolwiek dobrze zrobi tym draniom — dodała znużona Sharra.

Keita rażno poprowadziła Władców Bendenu do ich kwater.

— Muszę wracać z raportem do Lorda Torica — oświadczył z żalem K'van, wstając od stołu. — Jestem pewien, że doceni fakt, iż był dziś tylko jednym z wielu obiektów ataku.

— Toric lubi być wyróżniany — F'lar podniesieniem dłoni dał do zrozumienia, że wie, dlaczego K'van utrzymywał ten chwiejny rozejm z Władcą Południowej Warowni.

— Będziemy go informować na bieżąco — oświadczył Groghe z krótkim skinieniem głowy. Też miał na pieńku ze skłonny do urazy Toricem. — Lądowisko, Benden, Boll, Południowy? Ile jeszcze mogło być celów ataku?

— Ciekawe, czy liczyli na burzę w Dalekich Rubieżach? — spytała ironicznie Lessa i wyszła za Keitą z jadalni.

F'lar zatrzymał się na moment:

— F'lessanie, idziesz z nami?

— Nie, ojczu, chociaż nie bez żalu. Chcę sprawdzić, czy z tą jeźdźczynią zielonej jest wszystko w porządku. Pobili ją, zanim nadleciała jej smoczyca.

Rozstali się bez zwyczajowych życzeń wszystkiego najlepszego na nowy Obrót — nikt nie okazał się na tyle bezmyślny, by je złożyć innym.

Groghe, Sebell i N'ton nie zdążyli nawet dojść do Placu Zgromadzeń, gdy na wieżę bębnową napłynęły nowe wiadomości.

— Ostrzeżenie — przetłumaczył Sebell i przygotował się na następną złą wiadomość. — Z Cechu Kowali — dodał.

— Ale chyba nie od Fandarela? Bardzo starannie zabezpieczył swoje pomieszczenia cechowe i magazyny przed niepożądanymi gośćmi. Aha, rozumiem... — twarz Lorda Groghe rozpoznała się pod koniec komunikatu. — Próbowali! Ciekawe, co mu się udało wydobyć z napastników. Ach, do licha, wszyscy z tym zwlekają!

Usłyszeli harfiarzy, wygrywających żwawą melodię nielicznym tancerzom na placu. Po bokach grupki ludzi grzały ręce nad piecykami, prowadząc ciche rozmowy i z niepokojem obserwując przejazd Władcy ich Warowni na wielkim wierzchowcu.

— Ojczu! — usłyszeli wołanie Horona, który o mało nie skręcił karku, zbiegając po szerokich schodach. Dopiero gdy był dostatecznie blisko, zaczął mówić zdyszonym głosem: — Ojczu, znaleźliśmy coś, co powinienes zobaczyć!

— Za chwilę, Horonie, za chwilę.

— To bardzo ważne.

— Przekłęci fanatycy! Myślałem, że już ich nie zobaczymy oczy — zniecierpliwił się Groghe. — Sebell, idź i sprawdź, co jest do cholery takie ważne. Ja się zajmę ludźmi — wskazał na oczekujący! tłum. — Paskudny początek Obrotu.

Ścisnął biegusa kolanami i pokłusował ku estradzie harfiarzy. Ci zakończyli melodię ozdobnikiem, który zyskał milczącą aprobatę Sebella. Tłum ruszył naprzód, by posłuchać Władcy Warowni.

Sebell poszukał wzrokiem najbliższej osoby odzianej w harfiarski błękit. Była to uczennica, która natychmiast do niego podbiegła.

— Worlo, będę w Warowni z Lordem Horonem. Przynoś mi wszystkie wiadomości, które nadejdą na wieżę bębnow, będę wysyłał odpowiedzi bezpośrednio do Mistrza Bębnow.

Wezwał swoją złotą jaszczurkę ognistą, Kimi, posadził ją sobie na ramieniu i razem z Horonem ruszyli po szerokich schodach na lodowato zimny górny dziedziniec Fortu. Słyszał okrzyki, którymi powitano Lorda Groghe.

— Cóż się stało takiego ważnego, Horonie? — spytał, gdy tylko znaleźli się w zacisznym miejscu.

Horon przełknął ślinę.

— To wprost... ohydne... — obrzydzenie wykrzywiło mu twarz.

— Jakieś oszczerstwa fanatyków? — Sebell był zaskoczony.

Horon zadrżał. Otworzył drzwi do pięciobocznego pokoju, w którym zwykle pracował Lord Groghe. Na stole rozłożono rzeczy wandalii. Grainger, zaufany zarządca Warowni Fort przeszukiwał jakieś juki.

— To! — Horon wskazał cienką broszurkę w brudnej okładce. Strony niedbale zeszyto nicią. Nozdrza młodego człowieka falowały ze wzburzenia i widać było, że najchętniej zapomniałby o tym, co przeczytał. Grainger również nie krył obrzydzenia.

Sebell pochylił się, by obejrzyć niefachowo wykonaną broszurkę. Najmłodszy uczeń Tagetarla zrobiłby to lepiej. Dużymi, grubymi literami, podobnymi do „B” na mapie przywódcy napastników, wypisano tytuł: „Jak Ohyda torturuje ludzi”. Tak, zdecydowanie pisała to ta sama ręka.

— Z-zajrzyj do środka, Sebellu! — Horon strzelił palcami, krzywiąc się ze wstrętem.

Sebell uniósł okładkę i tylko silna samokontrola nie pozwoliła mu jej natychmiast opuścić. Zrozumiał, czego Horon tak się brzydził. Rysunek był rzeczywiście odrażający. Widniały na nim ohydnie pokolorowane, dziwaczne rzeczy i coś, co wyglądało jak noże, przytrzymujące długie nacięcie. Podpis zamalowano. Pod spodem, tymi samymi czarnymi drukowanymi literami napisano: „Obnażone ludzkie ciało cierpiące na torturach. To samo

może spotkać ciebie”.

— Tam są same takie rysunki. Obrzydliwe — stwierdził Horon. — Skąd mogli wziąć takie... takie rzeczy?

Niewzruszony Sebell przewrócił kilka kartek i znalazł rysunek, który skądś znał. Skomplikowane złamanie ludzkiej piszczeli — ciało zabarwione na nierealistyczny różowy odcień, odrażająco kontrastujący z bielą kości. Wiele obrotów temu widział taki przypadek w górskiej warowni. Podpis brzmiał: „Strzaskane od uderzenia”. Sebell zauważył numery stron, niemal niewidoczne pod odciskami brudnych paluchów, a przy samym obramowaniu obrazka napisy: „Ryc. 10” i „Ryc. 112”. Po sprawdzeniu wszystkich rysunków okazało się, że nie są ułożone po kolei — doszedł do wniosku, że broszurkę ułożono ze zdjęć zebranych bez żadnej myśli przewodniej, ale niewątpliwie wyjętych z fachowego medycznego tekstu, uzyskanego prawdopodobnie z bezdennych zasobów Assigi.

— Kimi... — Sebell nakierował łebek jaszczurki ku sobie, delikatnie gładząc ją po szyi. Napisał krótką notatkę na kawałku papieru i włożył go do tuby zawieszanej przy obroży stworzonka. — Zabierz to do Keity w Cechu Uzdrowicieli. Znasz ją. — Wyraźnie wyobrazził sobie dyskretną czeladniczkę Oldivego. Malutka królowa zagruchała gardłowo i zniknęła.

— Dla nas może to być odrażające — powiedział Sebell i lekceważąco odsunął od siebie broszurkę — ale Uzdrowicielom się przydaje... kiedy nie służy do dezinformacji.

Horon zadrżał.

— Prawdopodobnie są to zdjęcia zabiegów chirurgicznych. Jeszcze ich dobrze nie rozumiemy — mówił Sebell, patrząc w oczy młodemu człowiekowi. — Twój dziadek umarł na atak wyrostka robaczkowego, który mógł zostać wycięty nawet w tamtych czasach przez Mistrza Uzdrowicieli. Znano wtedy takie operacje i zazwyczaj się udawały.

Poblady Horon kiwnął głową na znak, że rozumie.

— Uzdrowiciele odzyskali bardzo wiele zaginionej lub źle rozumianej wiedzy — ciągnął Sebell. — Mistrz Oldive szkoli najbardziej utalentowanych uczniów i uczennice, by wykonywali zabiegi chirurgiczne, które znacznie przedłużą życie i poprawią nasze zdrowie.

— Lekceważącym gestem wskazał broszurkę. — To napisano celowo, by rozpowszechnić fałszywe informacje. Po to, by podważyć jedno z podstawowych praw zagwarantowanych nam w Karcie: leczenie chorób i ran. Wiesz — wskazał palcem na Horona — że ta głupia baba odmówiła, gdy Mistrz Oldive zaproponował jej leczenie? Kompletnie zawrócono jej głowę. Nikogo nie zmusza się do korzystania z pomocy Uzdrowicieli. Nikogo nie torturuje się łamaniem kości! I to przez Uzdrowicieli?! — pogardliwie machnął rękaw stroną broszurki.

Ktoś zaskrobał w drzwi i uchylił je niemal natychmiast. Do środka zajrzał przysadzisty dzierżawca, który eskortował jeńców.

— Mistrzu Harfiarzu, Lordzie Horonie? — Horon zaprosił go do środka. — Pomyślałem, że wam powiem: zaczęli gadać.

— Gadać?

— Jeńcy. A przynajmniej nawzajem podali swoje imiona. Pomyślałem, że chcielibyście to wiedzieć.

Wpółotwarte drzwi uderzyły mężczyznę w plecy, gdy do pokoju wpadł ktoś inny.

— Mistrzu Sebellu! — Był to człowiek w autentycznych barwach Uzdrowicieli i z naramiennym węzłem oznaczającym mistrza.

— Ach, Mistrz Crivellan, najlepsza osoba do wyjaśnienia tej całej sprawy. Proszę spojrzeć, co znaleźliśmy! — I Sebell energicznie \ włożył mu do ręki broszurkę. Crivellan spojrzał na nią z pewnym niepokojem. Do pokoju wpadła Kimi i zajęła swoje zwykłe miejsce na ramieniu Sebella. — Crivellan specjalizuje się w chirurgii. Proszę nam powiedzieć, co właściwie jest na tych rysunkach.

Z POWROTEM NA LĄDOWISKU, 1.2.31

Dopiero gdy F'lessan poczuł powiew ciepłego, porannego powietrza na Lądowisku, poczuł jak bardzo jest zmęczony.

Powinieneś wrócić do Honsiu i spać. Przez dwa dni nie będzie Opadu, powiedział Golanth, krążąc nad rozciągniętymi w dole budynkami.

Chcę tylko sprawdzić, co z Tai. Strasznie ją skopali. Persellan powiedział, że będzie miała siniaki, a po tym rozcięciu na policzku nie zostanie blizna.

Nie ma jej tutaj. Golanth wyciągnął szyję ku niebu i machnął wielkimi skrzydłami, nabierając wysokości.

Pewnie leży w łóżku w weyrze?, spytał F'lessan.

Zaranth siedzi nad morzem.

Zaranth jest nad morzem?, spytał jak echo zdumiony jeździec.

Tai jest w morzu, oświadczył Golanth. *Lecimy tam?*

Bez dwóch zdań.

Słyszając, że dziewczyna czuje się na tyle dobrze, że poszła popływać, F'lessan zdenerwował się sam na siebie, że tak się nią przejął. Tak bardzo, że wcześniej wyszedł ze spotkania w Forcie, które na pewno okazało się fascynujące. Ciekawe, czy T'gellan miał więcej szczęście przy przesłuchiwanie ludzi schwytych na Lądowisku.

Golanth wszedł pomiędzy i pojawił się znów nad ziemią, zataczając koło i ślizgając się nad lśniącym, cudownie turkusowym morzem. Delfiny natychmiast stanęły na ogonach na powitanie, ćwierkając wysokimi głosami. Liczne stada pływające wzdłuż południowych wybrzeży prawie tak samo dobrze znały Golantha jak Rutha. Smok szybował ku brzegowi, aż F'lessan zobaczył pływaczkę: czarną plamkę w morzu.

Pływanie łagodzi ból, zauważył Golanth.

Bardzo możliwe, odparł F'lessan z nietypowym dla siebie sarkazmem.

Pływaczką okazała się Tai. Gdy przeleciał nad nią, miał wrażenie, że tylko przebiera rękami i nogami, a nie płynie.

— Chodź do nas! — zawołał przez zwinięte w trąbkę dłonie i wskazał na brzeg. Wykręcając głowę spostrzegł, że towarzyszą jej delfiny. Aha, to znaczy, że nie była aż tak nieostrożna.

Tak, pływa z Natuą i jej młodym.

To znaczy, że słuchałeś naszej rozmowy wczoraj w nocy?

Nie potrafił odgadnąć, kiedy Golanth słucha, a kiedy nie. Miał wrażenie, że od wczoraj minęło bardzo wiele czasu. Lubię delfiny. Jest tam Flo. Teraz idą inne z jej stada. Byli już blisko lądu i F'lessan zobaczył Zaranth, jak siedzi wyprostowana na brzegu i obserwuje swojego jeźdźca. Golanth wylądował, uprzejmie skłonił głowę w stronę dużej zielonej smoczy i tak sprytnie wymanewrował, że nie obsypał jej piaskiem. Tai zarzuciła Zaranth ręcznik na kostny wyrostek na grzbiecie, obok niego wisiały szorty i koszula. F'lessan zsunął się z grzbietu swojego smoka i w jednej chwili pozbył się jeździeckiej odzieży, żałując, że nie może rozebrać się do naga i popływać.

Przecież mógłbyś.

Golanth!, Nie wiedzieć czemu, jeszcze nie przyzwyczał się i docinków własnego smoka.

Zobaczył, jak Tai, kulejąc, wychodzi z wody, złapał ręcznik z grzbietu Zaranth i podbiegł do morza. Tylko świadomość, że jeździeckie buty schną godzinami, powstrzymała go od wejścia w fale. Sińce pokrywały całe ciało dziewczyny, jej ręce i nogi. Persell ładnie pozszywał jej ranę na prawej kości policzkowej

— Co się stało, F'lessanie? — spytała z niepokojem, rozbryzgując wodę na płyciźnie.

— Co ty wyprawiasz? — zdenerwował się, patrząc i zarazem nie patrząc, jako dobrze wychowany mężczyzna, na jej długą, szczupłą sylwetkę i śliczne nogi.

— Podziwiam młode Natuy — odparła cierpko, wzięła od niej ręcznik i okryła się nim. — Widzisz? — wskazała na dwie głowy delfinów, dużą i małą, podskakujące na falach, gdy zwierzęta upewniały się, czy bezpiecznie dotarła do brzegu. — Wiesz przecież, że słona woda leczy rany.

— I zmywa cały mrocznik. — Sięgnął do woreczka przy pasie.

Spostrzegł, że się skrzywiła, gdy przy wycieraniu uraziła jedno z bolących miejsc.

— Wzięłam go ze sobą — powiedziała, wskazując ubranie.

— I pewnie Zaranth by cię posmarowała? — pokazał na siniaki na plecach.

— Dlaczego się na mnie gniewasz?

Flessan westchnął, niby to załamany i rozejrzał się, szukając jakiejś odpowiedzi. Albo właściwej odpowiedzi.

— Przepraszam. Martwiłem się o ciebie.

Uśmiechnęła się lekko.

— Wystarczy mi, że Zaranth się o mnie zamartwia — obdarzyła ciepłym spojrzeniem smoczycę, koło której przysiadł Golanth, przyjmując tę samą pozę. Przewyższał ją wzrostem tylko o długość ramienia. — Bardzo źle było w Cechu Uzdrowicieli?

F'lessan zamrugał, zdezorientowany różnicą czasu. Lądowisko było o pół dnia przed Fortem.

— Daj mi ten mrocznik, posmaruję cię, gdy będę opowiadać.

I opowiedział jej, jak było — może trochę zbyt szczegółowo, ale w końcu była jeźdźcem, w dodatku zamieszany w tę sprawę i miała prawo wiedzieć, co się stało.

Tai była wdzięczna za dodatkową porcję maści. Słona woda szczypała ją w ranę na policzku i w inne zadrapania, chociaż przyniosła ulgę potłuczonym mięśniom. Obecność delfinów także działała kojąco. Kiedy szły na pomoc tonącym, nie zastanawiały się nad konsekwencjami, tylko działały. Wszyscy karcili ją, że zrobiła głupstwo, atakując wandali. Nie zamierzała oddawać się samoocenie. Pewnie, skąd miała wiedzieć, co tam zastanie: mężczyzn z młotami i łomami, a na ich twarzach taki dziki wyraz radości z dokonanych zniszczeń, że początkowo uznała ich za wariatów. Wyrwała jednemu z nich łom — tak zgłupiał na jej widok, że rozluźnił uścisk palców. Walnęła go w krocze, a kiedy opadł na kolana, zaczęła na oślep wymachiwać narzędziem. Była tak wściekła, że w ogóle nie myślała o sobie. Na samą myśl, że ktoś niszczy leki uzdrowicieli, które mogły być potrzebne choćby i tej nocy, doznała takiego przyływu sił i energii, że nie poznawała samej siebie. Ale co by było, gdyby jednemu z bandytów dano dokończyć ten cios? Aż zadrżała, przypominając sobie uderzenie, które minęło ją o włos.

— Przepraszam, nie chciałem cię urazić — natychmiast zareagował F'lessan. — Już kończę.

— Nie chodziło o ciebie, F'lessanie — odparła. — To na myśl, że wciąż są fanatycy, którzy powodują takie straszne zniszczenia z jakichś zwyrodniałych powodów. Wydawałoby się, że co jak co, ale Cech Uzdrowicieli uniknie ataków! Przecież to oczywiste!

F'lessan gniewnym ruchem zakręcił słoik po mroczniku i zapatrzył się w morze, zwracając głowę na pomocny wschód, gdzie zesłano pierwszych fanatyków po porwaniu Mistrza Robintona.

— Przecież to niemożliwe — pochwyciła jego spojrzenie i lękając się odpowiedzi, dokończyła: — Niemożliwe, by ktoś ich uratował i że te nowe zniszczenia to ich sprawka, prawda?

F'lessan potrząsnął głową i podwinął rękawy pogniecionej świątecznej koszuli. Słońce jeszcze nie stanęło wysoko na niebie, ale nawet tu, nad morzem, robiło się coraz cieplej.

— Pewnie jeźdźcy zaczną śledztwo. Czy T'gellan czegoś się dowiedział?

Tai pokręciła głową, a jej wargi zadrżały z rozbawienia.

— Zielonym nigdy nic nie mówią. Poza tym Persellan odesłał mnie do weyru. Odleciałam, ale źle się tam czułam.

— Hmm. Zrozumiałe, biorąc pod uwagę liczbę sińców, którymi przed chwilą miałem przyjemność się zająć. Masz fellis?

Oddał jej słoik po mroczniku i zaczął czegoś szukać w sakiewce.

— Mam — odparła i wstała. — Pomagam Persellanowi. Mam wszystko, czego mi potrzeba. — Uśmiechnęła się. — Tylko nie mogę zgiąć rąk, żeby posmarować sobie plecy. Dzięki. Teraz pewnie będę mogła się położyć.

— Obiecujesz?

Przechyliła głowę i spojrzała na niego z lekką naganą.

— To ty powinienes odpocząć, spiżowy jeździec. Dzięki za troskę — wyciągnęła dłoń do Golantha. — Zaranth zabierze mnie do domu.

A ja zabiorę ciebie, F'lessanie, dodał Golanth i wstał na cztery łapy. Do Honsiu.

Nieco skołowany F'lessan przyglądał się, jak Tai w ręczniku idzie po piasku do swojego smoka i zaczyna się ubierać.

Wszystko zrozumiesz, jak się prześpisz, stwierdził smok, gdy obaj obserwowali wdzięczne wzbicie zielonej w powietrze, eleganckie ruchy skrzydeł przy nabieraniu wysokości i szybkie wznoszenie się w nadmorskim kominie powietrznym. Zaranth jest spora jak na zieloną. Jesteś spocony. W Honsiu będzie teraz chłodniej i dużo przyjemniej.

F'lessan opuścił rękawy, włożył jeździecką odzież i skoczył na smoczy grzbiet.

No to lećmy, proszę.

Ledwie wznieśli się w powietrze, przyszło mu do głowy coś okropnego. Może jakaś banda fanatyków napadła na Honsiu, kiedy go nie było i poniszczyła jego kruche cacka?

Zmęczenie odbiera ci rozsądek, Golanth był poważnie zaniepokojony. Trzeba wędrować całymi dniami, żeby tam dotrzeć. Nie nawet szlaku kurierskiego, obcy tam nie trafią.

Kurierzy! — wykrzyknął F'lessan. — Trzeba spytać kurierów, czy w czasie pracy na szlaku nie widzieli jakiś podejrzanych band!

Ktoś inny tym się zajmie. My lecimy do Honsiu. Z tymi słowami Golanth zabrał ich pomiędzy.

WAROWNIA FORT, PÓŻNA NOC, 1.1.31

Władcy Weyrów Benden i Fort, wraz z Lordem Jaxomem i Lady Sharrą z Ruathy, spotkali się z Lordem Groghe, jego synami, Mistrzem Harfiarzy Sebellem i Mistrzem Uzdrowicielem Crivellanem późno w nocy na prywatnej naradzie w małej jadalni. Nie była może tak bogato udekorowana na Święto Obrotu jak Wielka Sala, bo znajdowała się poza ogólnodostępnymi pomieszczeniami Warowni, ale była ciepła, niewielka, częściowo wyłożona boazerią i ozdobiona gustownie dobranymi portretami i pejzażami z różnych epok i w różnych stylach.

Ponieważ kilka osób wpadło na pomysł, że fanatykom skazanym na zesłanie w roku 2539 udało się jakimś cudem uciec, N'ton wraz z jednym z bardziej dyskretnych ludzi Sebella polecili nad archipelag, by upewnić się, że wszyscy zesłańcy są na miejscu. Położenie wysepki, jednej z wielu należących do długiego wschodniego archipelagu, było znane jedynie N'tonowi; nawet najbardziej dokładne poszukiwania prowadzone przez innych buntowników nie doprowadziłyby do jej odkrycia.

— Wtedy wcale nie miałem pewności, czy pochwycono wszystkie osoby zamieszane w to godne pogardy porwanie Robintona — stwierdził ostro Groghe po wysłuchaniu sprawozdania N'tona.

— Osoby obwinione za pierwszy atak na Assigi i Cechy zostały skazane na przymusową pracę w kopalniach — dodał Jaxom z równie nieprzeniknioną miną, jak Groghe. — Czy wiadomo, że wciąż znajdują się pod strażą?

— Większość z nich pomarła — odpowiedział Sebell. — Pozostało dwóch; jeden uciekł, gdy meteoryt przeorał Warownię. Naturalnie, wszczęto poszukiwania, ale potem uznano go za zmarłego. Teren jest trudny dla piechura, mało tam roślin, większość z nich niejadalna. Był głuchy, uważano go za tępaka. Chyba nie ma co się nim przejmować — machnięciem ręki zbył temat.

— Zajmijmy się więc dzisiejszymi okropieństwami. — Lessa niespokojnie szukała najwygodniejszej pozycji; jej szczupłe ciało było pełne napięcia spowodowanego wielkością strat. Jak zwykle niecierpliwa, chciała uzyskać odpowiedzi, a potem ze spokojną głową wrócić do Bendenu. Odpoczęli z F'larem w Cechu Uzdrowicieli i zjedli smakowitą kolację w Forcie. Jednak jej umiejętność czytania myśli, a czasami zaciemniania ludzkiej percepcji siłą swojego umysłu mogła się przydać do potwierdzenia czyjejś prawdomówności lub do wydobywania z kogoś prawdy. Assigi twierdził, że Lessa jest telepatką na równi ze smokami.

F'lar nazywał to „opieraniem się” o ludzi, choć jego umysłu nigdy nie udało jej się nagiąć. Było to irytujące i nie lubiła korzystać ze swoich zdolności, ale nieraz musiała „naginać” tego i owego dla dobra sprawy. Dziś pewnie znajdzie się w podobnej sytuacji.

— Ile było napadów, Sebellu? — zapytała.

— W Bendenie, na Ładowisku, na Południu, tutaj, w Południowym Bollu... Crom uniknął kłopotów, bo tam uzdrowiciel szył czyjąś ranę i krewni pacjenta pobili „pijaków”. Złapano ich, gdy próbowali się ponownie zakraść do cechu — powiedział Sebell rozbawionym głosem. Uzdrowiciel z Bitry przegonił dwóch, a Nerat był za dobrze zabezpieczony, choć wyraźnie próbowano się tam włamać. Z Keroonu brak wiadomości. Zatrzymano razem dwadzieścia trzy osoby przy niszczeniu własności cechowej, a dziewięciu innych za zniszczenie trzech różnych siedzib Cechu Szklarzy. Mistrz Fandarel mówił że próbowano zaatakować Cech Kowali, ale bez skutku. Benelep pracował do późna w nocy. W obliczu innych napadów twierdzi: „być może próbowano zaatakować także jego Cech Komputerowy. Często się to zdarza.

— Nie wiedziałem, że było aż tyle przypadków — zdziwił się Groghe, obracając kieliszek w palcach tak, że wino o mało nie przeleżało się przez jego brzeg.

— Istnieje więc raczej niewielkie prawdopodobieństwo, że był to przypadki odosobnione i miejscowe — stwierdził F'lar.

— Nie, było ich za dużo i atakowano głównie Cechy Uzdrowilicielei — dodała Lessa, lekko marszcząc brwi. — Spróbuję przeanalizować przyczyny tych napadów, szczególnie w Święto Obrotu, gdy do tradycji należy wręczanie skarg, by pozbyć się uraz i zacząć nowy Obrót z czystym sercem. Napastnicy nie podali, skąd pochodzą; ani nazw Warowni, ani Cechów. Wiem, że jest wielu ludzi nieprzypisanych do Warowni. Ale to nie znaczy, że mają wyłączne prawa do napadów na Cechy. Czy dobrze rozumiem, Groghe, że więźniowie w końcu poczuli pragnienie i zechcieli przemówić?

— W pewnym sensie tak — Groghe na chwilę się rozpromienił, dumny, że jego taktyka odniosła sukces. — Mieli tylko butelkowaną, czyli ohydłą wodę i to podziałało, choć nie tak, jak myślałam. Zalla, czyli Rana Głowy — Groghe zaśmiał się na to przezwisko — zaczęła się bać, że zapach krwi przyciągnie węże tunelowe, które zjedzą ją żywcem. Tak nakręciła pozostałych, że powiedzieli nam więcej niż się spodziewaliśmy. Pomogło też odseparowanie przywódcy. Co za i niezdyscyplinowana banda — odchrząknął z niesmakiem na myśl o ich moralnej słabości i ciągnął opowieść: — „B” na mapie oznacza Batima, czyli przywódcę. Pochodzi z Cromu, był tam strażnikiem w warowni, ale wędrował też po innych miejscach, wynajmując się za pieniądze. Troje z napastników pochodzi z Bitry, pięcioro z

Igeny, inni zaś z Keroonu, Isty i Neratu. Łączy ich jedno... — przepraszająco kiwnął głową do Mistrza Crivellana. — Każdy z nich uważa, że ma powody do nieufności wobec Uzdrawicieli.

Viscula, ta ze świadem, uważa, że z ich winy nie może się pozbyć wysypki. Lechi stracił palec, twierdzi, że to błąd uzdrawiciela. Ktoś inny wini was, że nie uratowaliście jego rodziny, złożonej gorączką. Żadne z nich nie wie — uniósł w górę palec, by powstrzymać cisnące im się na usta pytanie — kto wydawał polecenia Batimowi.

— Równie ważne jest, w jaki sposób je dostawał — stwierdziła z urazą Lessa. — Na pewno nie działał na własną rękę. Było zbyt wiele takich przypadków, by uznać to za odosobnioną akcję.

— Lady Lesso — uniósł dłoń Haligon — poprosiliśmy Kurierów, by poinformowali nas, jakie wiadomości przesłali do Cromu, kto był adresatem, a kto nadawcą. Na odpowiedź trzeba poczekać.

— Wiadomość można zawsze przesłać za pośrednictwem jaszczurki i nikt nie zapisze, skąd przysłała i do kogo trafiła — prychnęła.

— Kochanie, nawet jaszczurki ogniste mają skrupuły — uspokoił ją sucho Flar. — Ponadto wiele osób podróżuje w okresie Święta Obrotu.

— Czy zaatakowano tylko Cechy Uzdrawicieli i Szklarzy? — spytał Jaxom.

— Nie, także kilka siedzib Moriltona. — Sebell postukał w stosik komunikatów z wieży bębnow. — Tych, które specjalizują się w wytwarzaniu urządzeń dla uzdrawicieli. Do tej pory powiadomiono by nas o innych napadach. Na Południu zaatakowano tylko Ładowisko i Warownię Torica.

— A Warownię nad Zatoczką? — spytała natychmiast Lessa.

— Przecież tam stoją na straży D'ram z Tirothem, kochanie — przypomniał jej F'lar. — Czy T'gellan dowiedział się czegoś, przesłuchując więźniów?

— Trzech mężczyzn miało pretensje do uzdrawicieli, podobnie jak u nas.

— Przecież niszczą leki i sprzęt, nie osiągną niczego poza wrogością pacjentów, którzy będą musieli czekać na leczenie — denerwował się Mistrz Crivellan. — I opóźnią nasze badania nad przyczyną ostrych wysypek. I zdobywanie wiedzy o tym, jak naprawiać pogruchotane palce. Jest tyle rzeczy, których jeszcze nie wiemy, a tu potępiają nas za to, że nie potrafimy leczyć wszystkiego — gwałtownie potrząsnął głową. — Przepraszam.

— Nie ma potrzeby, Crivellanie — mrukiwie zapewnił go Groghe. — Każdy, kto ma w głowie choć odrobinę zdrowego rozsądku, wie, że jesteście niezwykle lojalni i pracujecie z poświęceniem. W jedną noc nie zmieni się myślenia i podejścia niektórych ludzi a wiedza nie

rozprzestrzeni się po całym Pernie! Trzeba czasu.

— Za to takie oszczerstwa jak to — dodał Mistrz, wskazując leżącą na stole broszurkę — rozprzestrzeniają się w okamgnieniu. Widać było, że jest wstrząśnięty tym, jaki przewrotny użytek zrobiono z medycznych ilustracji.

— Tym więcej powodów, by postarać się o rozpowszechnianie! prawdy — Lessa celowo podkreśliła to słowo. — Powinno się też natychmiast przeciwdziałać takim podłościom — machnęła rękaw stroną broszurki.

— Taką szkodę łatwo zrobić, a trudno naprawić — skomentował Sebell.

— Kurierzy słyszą różne rzeczy, niemało ludzi liczy się z ich zdaniem — wtrącił z wahaniem Haligon. — Są też wszędzie mile widziani — wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, więc nerwowo odchrząknął. — Ludzie im wierzą.

— Do Cechu Harfiarzy często docierają plotki, niejasności i drobne pogłoski — powiedział Sebell — ale wolałbym nadmiernie nie angażować w to Kurierów. Są samotni na szlaku i równie łatwo ich zaatakować, jak uzdrowicieli.

— Ale są szybsi — na twarzy Haligona pojawił się uśmiezek. — I potrafią sobie radzić w niebezpieczeństwie.

— Gdyby zechcieli przez jakiś czas dokładniej się wszystkiemu j przysłuchiwać... — zaproponował F'lar, unosząc brew.

Haligon kiwnął głową.

— Poproszę ich.

— Zróbmy wszystko, by podobne napady już się nie powtórzyły — stwierdziła twardo Lessa.

— Wszelka pomoc będzie mile widziana — gorąco poparł ją Crivellan, pochylając się ku Haligonowi. — Mistrz Oldive będzie załamany, słysząc o tych podłościach. Miał takie ambitne plany, by rozszerzyć; działalność naszych uzdrowicieli. Jeśli takie bzdury zaczną krążyć wśród; ludzi, podważą zaufanie do uzdrowicieli i ściągną na nich niebezpieczeństwo. Przecież my podróżujemy samotnie na wielkie odległości.

— Jeśli komukolwiek z was będzie potrzebna pomoc Weyru, wystarczy dać znać — powiedział F'lar, zerkając na N'tona, który energicznie potaknął.

— Sęk w tym, że nieraz po wezwaniu nie sposób jest zorientować się, jak bardzo poważny jest uraz lub choroba — odparł Crivellan.

— Ilu z uzdrowicieli ma jaszczurki ogniste? — spytała Sharra, wiedząc, jak bardzo przydatni są jej mali przyjaciele.

— Tu, na pomocy, niewiele — odpowiedział z żalem Mistrz.

— Myślałam, że uzdrowiciele w pierwszym rzędzie dostają te małe urządzonka Mistrza Bassage — zwróciła się Lessa do F'lara.

Zrobił smutną minę.

— To prawda, a Mistrz Bassage pracuje pełną parą, ale materiały pochodzą z różnych źródeł i wszystko trzeba robić ręcznie. To kwestia czasu.

— Och, dostaliśmy kilka — pospiesznie wyjaśnił Crivellan — ale jest ich za mało, a poza tym — dodał lekko wzruszając ramionami — nie działają w głębokich dolinach i parowach.

— Korzyści z rozwiązań technicznych Assigi czasem stają pod znakiem zapytania — zauważył F'lar.

— To wymaga pracy — oświadczył zgryźliwie Groghe — poświęcenia i talentu. Mało kto z młodych chce pracować.

— Znamy problem, tylko rozwiązanie nam umyka — stwierdził Sebell bezbarwnym głosem. Na jego twarzy także malowało się znużenie.

— Zajmiemy się teraz tym Batimem? — spytał Groghe, patrząc prosząco na Lessę.

— Może przyjdzie z tego coś dobrego — poparł go Jaxom, otaczając ramieniem oparcie krzesła.

— Jest szansa, że puści farbę — stwierdził obojętnie F'lar. Groghe ostrym ruchem głowy dał znak Haligonowi, który wstał i wyszedł.

— Trochę go umyto. Zaraz zaczniesz wrzeszczeć o swoich „prawach”. Znam ten rodzaj ludzi,

— A reszta jego bandy? — zmarszczyła brwi Lessa.

— Jak tam Rana Głowy? — spytała Sharra, nie całkiem miłosiernie.

— Ach, słyszałaś, że odrzuciła pomoc Oldivego? Był wielkoduszny, jeśli weźmie się pod uwagę, co mu zrobiła ta kobieta. Jednak — Groghe uśmiechnął się złośliwie — dostali jeść, sprano im też zakrzepłą krew i brud z odzieży.

— Zrobiliście pranie? — spytała Lessa.

— Gwałtownie protestowali przeciw polewaniu ich węzami — wyjaśnił Lord Warowni — a Haligon twierdzi, że uskarżali się na zbyt słone jedzenie.

Lessa uśmiechnęła się do Sharry, która również uznała, że więźniom należą się pewne niewygody. Crivellan był wstrząśnięty.

W drzwiach stanął Haligon. Za nim dwóch strażników i pchnęło do pokoju więźnia. Ściągnięto z niego zieloną odzież, w której udawał uzdrowiciela, pozostał więc w połatanej koszuli i za krótkich spodniach, z których wyglądały owłosione łydki. By bosy, a pozlepiane

w strąki włosy błyszcząły od wilgoci. Minę miał arogancką i kwaśną, jakby spodziewał się najgorszego i był gotów na wszystko. Gdy zobaczył, przed kim staje, buntowniczo wyprostował ramiona i podszedł wprost do stołu. Nieświadomie pobiegł oczami do chleba, sera i owoców, a potem oblizał wąskie, wyschnięte wargi.

— Oddajcie mi ubranie. Żądam respektowania moich praw — powiedział bez żadnego wstępu

— Przykro mi z powodu tych ubrań, ojczy — przeprosił Haligon. — W żadnym razie nie można go było tu wprowadzić w tym, co miał na sobie. Nie dało się domyć.

— Mam swoje prawa — powtórzył Batim.

— W zakres których nie wchodzi — Groghe huknął pięścią w stół, aż zabrzęczały talerze i kieliszki — demolowanie Cechu Uzdrowicieli.]

— Ohyda! Zniszczyliśmy Ohydę! Mam swoje prawa.

— Nie w mojej warowni.

— Gdzie jest twoja warownia? — spytała Lessa niemal beztrąsko.!

— Jeśli któraś się do ciebie przyzna — oświadczył Groghe pogardliwie. — Wiemy, że przybyłeś z Cromu.

Batim szyderczo zacisnął usta.

— Czasem to, co nie zostało powiedziane, mówi samo za siebie powiedział Sebell przez stół do Lessy, która obojętnie wzruszyła ramionami.

Batim popatrzył na Harfiarza, który pociągnął łyk wina i ostentacyjnie rozkoszował się jego smakiem, zanim przełknął.

— Aha, a więc jesteś bez warowni? — zdziwił się Groghe. — Viscula zostawiła dom w górach Cromu, żeby pójść za tobą, co? Minsom, Galter i Lechi są z Bitry. Ci Bitrańczycy bywają tacy łatwowierni — z ubolewaniem pokręcił głową. — Nic dziwnego, że Zalla tak się boi węży tunelowych, przecież urodziła się w grotach Igeny. Bagalla, Yikling i Palol — przestał wymieniać nazwiska, bo ironiczny grymas na twarzy Batima tylko się pogłębił. Może i był przywódcą, ale nie kierowała nim lojalność wobec podwładnych. To również stanowiło pewnego rodzaju informację. — Ach, w końcu to nie ma znaczenia. Poszli za tobą z własnej woli.

F'lar odepchnął krzesło i niecierpliwie przeciął powietrze ręką.

— Groghe, tracimy czas. Zabiorę go na przejażdżkę na smoku. Jeśli *między* nie rozwiąże mu języka, to go tam zostawię i będzie po wszystkim.

To przstraszyło jeńca. Wstrząśnięty Mistrz Crivellan również wpatrywał się ze zdumieniem we Władcę Bendenu.

— Po co fatygować Mnementha, F'larze — zapytał Jaxom, lekceważąco machając dłonią — skoro rano będziemy wiedzieli, od kogo przyszły te wiadomości przez Kurierów?

— Kurierzy nie gadają — zaprotestował Batim.

— Może i nie — odparła Lessa z paskudnym uśmieszkiem — ale zapisują wiadomości przyjęte i dostarczone, prawda? Na wypadek, gdyby ktoś zechciał prześledzić bieg ważnych... wiadomości.

Batim wyraźnie nie wziął tego pod uwagę; widać było, jak jego buta topnieje w oczach.

— A kupcy pamiętają, gdzie sprzedano tyle zielonego płótna, by ubrać piętnaście osób.

Tego też nie wziął pod uwagę.

— Aż się skręcam na myśl, że tyle zła mogło się wziąć z Bitry — dodała Lessa bez cienia sztuczności. Nie była jedyną osobą, która pochwyciła błysk w oku więźnia. — Choć raczej podejrzewam — dodała z westchnieniem — że tym razem Nerat też jest częściowo odpowiedzialny.

Mężczyźnie zadrgał mięsień w twarzy, zanim Lessa uzupełniła z cierpliwym uśmiechem: — I Keroon. Wszyscy widzieli, jak Batim nerwowo przełknął ślinę.

— W tym Keroonie są takie tępaki! — Lessa poprawiła się na krześle i uśmiechnęła z zadowoleniem. — Naprawdę, Sebellu, musisz zdwoić wysiłki, by pokazać tamtejszym góralom, jak mogliby poprawić sobie warunki życia.

Sebell podniósł rękę w żalonym geście:

— Gdyby tylko było to możliwe. Górale są najbardziej zacofani. Wyraz twarzy Batima świadczył, że ten, choć nieświadomie, zgadza się z Sebellem.

— To zawęża obszar, prawda? — Władca Warowni z zadowoleniem zatarł ręce. — Wyprowadzić go, Haligonie.

— Mam swoje prawa! Zapisane w Karcie! Ciągłe trąbicie o tej swojej Karcie! — wrzeszczał ochryple Batim, gdy Haligon wezwał straż. Więzień rozpaczliwie rzucił się w stronę stołu, ale szybkonogi Haligon powstrzymał go w sam czas. Batim zaczął się szarpać i rozpaczliwie wyciągać ręce ku kieliszkom. — Wody! Cały dzień nie dostałem wody.

— Właściwie — rzekła zimno Lessa — Karta nie wspomina o wodzie pośród praw człowieka.

— Musi!

Haligon ze strażnikiem wyciągnęli opierającego się więźnia z pokoju. Zanim zamknęli drzwi, słychać było, jak dalej domaga się wody. Lessa z niesmakiem wzruszyła ramionami.

Mistrz Crivellan utkwiał nieruchome spojrzenie we Władcy Bendenu.

— Crivellanie — N'ton dotknął ramienia uzdrowiciela — F'lar tylko go straszyl, nie więcej. Wiesz przecież, że smok nie skrzywdziłby człowieka.

— Zastraszenie zwykle wystarcza — zauważył F'lar, z powrotem sadowiac się na krześle — ale winny musi być przekonany, że jest to rzeczywista groźba. Batima nie wrzuciłby przymus fizyczny... poza wycieczką na smoku, w jedną stronę. W ten sposób wytrąciliśmy go z równowagi — uśmiechnął się do Lessy — i uzyskaliśmy całkiem interesującą reakcję.

— Ach — Uzdrowiciel odetchnął z ulgą. — Wybaczcie, że zwątpilem w wasze metody.

— Jesteś niezwykle tolerancyjny, biorąc pod uwagę rozmiar szkód, jakie ten człowiek wyrządził twojemu cechowi — stwierdziła Lessa, porzucając obojętną pozę.

— Poświęciłem się ratowaniu życia, Władczyni Weyru — odparł Crivellan z wielką godnością — a nie odbieraniu go ludziom.

— Oraz nauczeniu się od Assigi wszystkiego, co mogłoby poszerzyć twoją wiedzę, podczas gdy fanatycy pragną powstrzymać postęp — odparła zimno. — Wiele dowiedzieliśmy się z tego, czego nie powiedział, choć czuję zniechęcenie na samą myśl o tropieniu jego śladów w Keroonie, gdzie ludzie nie chcą rozmawiać nawet o pogodzie — pochwyliła wzrok Sebella i wpatrzyła się w niego znacząco.

— Czy poprosimy o pomoc Lorda Kashmana? — zapytał Jaxom. — Wiem, że niedawno objął Warownię, ale powinniśmy się z nim konsultować w każdej sprawie, która dotyczy jego ludzi.

Sebell odchrząknął.

— Nikt nie powiedział, że ten typ pochodzi z Keroonu.

— Czy ktoś tu się tego spodziewał? — padło ironiczne pytanie Lessy.

— Czy ty dowiedziałaś się od Batima czegoś jeszcze, Lesso? — zapytał F'lar.

Jego towarzyszka otrząsnęła się z obrzydzeniem.

— Tylko tego, na czym skupiał swój umysł: zaparł się, by nie zdradzić swojego pochodzenia. Najmocniej zareagował na Keroon — powiedziała ze spojrzeniem pełnym niesmaku. — Bardzo się bał, że go złapano i starał się przygotować na wszystkie Ohydy, które na nim zastosujemy, by go zmusić do mówienia.

— Co za pomysł! — oburzył się Mistrz Crivellan.

— Komuś takiemu pewnie spodobałoby się na torturach — skomentował Jaxom.

— Jaxom! — skarciła go Sharra.

— Wiesz, on ma rację — poparła Lessa Jaxoma. — Nie zaprzeczaj, sama chętnie byś pomogła po tym, co spotkało Mistrza Oldive.

— Wtedy tak — odparła układnie Sharra. — Teraz już nie. Przykro mi, że tak im zamącono w głowach.

— Tacy zawsze mają do kogoś pretensję — przypomniał jej Jaxom. — Przypomnij sobie, jak zachowała się ta kobieta, kiedy Oldive zaproponował jej pomoc i pofatygował się wyjaśnić, że zastosuje tylko tradycyjne metody. Nie chciała tego słuchać. Czy to możliwe, żebyśmy nie wzięli pod uwagę, jaki stosunek będą mieli prości ludzie do nowinek technicznych Assigi?

Sebell odchrząknął.

— Czasem słyszy się to i owo. Można wywnioskować, że wiele osób ma wątpliwości co do tak zwanego „postępu”. Przeważnie dlatego, że wątpią, czy ich kiedykolwiek będzie na to stać.

— A może nie w pełni rozumieją korzyści? — spytała Lessa, myśląc o swojej własnej kwaterze, ogrzanej dzięki nowej technice. Od kamiennej podłogi w Warowni wiało chłodem. Zmarzły jej całe stopy i nogi do pół łydki.

— Zanim wszystko wyjaśnimy, trzeba będzie wiele czasu. Nie wystarczy tych parę Obrotów, które upłynęły od śmierci Assigi — stwierdził Sebell.

— Jeśli o to chodzi — zauważył Groghe — wielu z moich drobnych dzierżawców jest przekonanych, że jeźdźcy nie zawrócili Czerwonej Gwiazdy. Przecież Nici wciąż opadają.

— Niektórzy nigdy tego nie rozumieją — zgodził się Jaxom ze znużeniem w głosie.

— Bardzo się staraliśmy, żeby było to jasne dla jak największej liczby ludzi — powiedział Sebell, starając się nie przybierać obronnego tonu. Wyjaśnienia należały do obowiązków Cechu Harfiarzy. — Ale niektórzy mają ograniczoną zdolność rozumienia.

— I właśnie oni o wiele chętniej wierzą w proste kłamstwa niż w skomplikowaną prawdę — dodał Jaxom i poprawił się na krześle. — Większość moich ludzi odebrała przynajmniej podstawowe nauki, ale mimo to ciągle musimy walczyć z przekłamaniami.

Groghe położył ręce na oparciach fotela.

— Ale nie o tym mamy dziś rozmawiać. Trzeba zdecydować, i zrobić z tą banda i w miarę możliwości — kiwnął głową w stronę Sebella — dowiedzieć się, kto zaplanował napady na tak odległe od siebie miejsca. Musi być jakiś przywódca albo przywódcy koordynujący równoległe akcje.

— Postarajmy się też podjąć jakieś środki zaradcze — dodał Jaxom.

— Może od Kerończyka dowiemy się czegoś więcej — Sebell, przejrzał rozłożone

przed sobą notatki. — Ma na imię Tawer. Jest garbarzem, sądząc po odciskach i plamach z garbnika na dłoniach.

— Może też być introligatorem — mruknęła Lessa — choć tę broszurkę zrobił amator.

— To jego rodzina umarła na gorączkę? — spytał Crivellan. — Nasz cech w Wielkiej Zatoce prowadzi szczegółowe zapiski.

— Słuszna uwaga — ucieszył się Sebell. — Dowiem się też, co Tagetarl robi ze stronami, które wychodzą spod prasy zamazane albo uszkodzone.

— Chyba że w Wielkiej Zatoce zorientują się, że brak im niektórych medycznych tekstów — dodała Sharra.

— Tak, trzeba się dowiedzieć, kto wydał to świństwo — powiedział Crivellan zdecydowanym tonem.

— Może nam się nie udać — ostrzegł Sebell. — Ale powiedz słówko swoim uzdrowicielom, a my uczulimy na to harfiarzy. I kurierów — spojrzał na Haligona, który kiwnął głową. Sebell zaczął odliczać na palcach: — Na razie powinniśmy przeprowadzić dyskretne śledztwo w Keroonie, dowiedzieć się, skąd dokładnie wzięły się biegusy z Cromu; sprawdzić, czy ktoś tę bandę widział po drodze, może w Telgarze albo w Keroonie; dowiedzieć się, gdzie zdobyli płótno na ubrania i rozpowszechnić portrety Batima, Rannej w Głowę i Wysypki.

— I doradzić Cechom, by wystawiały straż w nocy — dodał F'lar.

— Groghe, masz prawo — tu Jaxom przerwał na moment z ironicznym uśmiechem — by zatrzymać tych ludzi na tak długo, jak będzie potrzeba.

— Potrzeba? — oburzył się stary Lord. — Wydalę ich z mojej Warowni, jak tylko będzie to możliwe.

Skrzywił się i rozejrzał wśród obecnych, oceniając ich wzrokiem.

— Wiem, co chcę z nimi zrobić. I co moim zdaniem powinno się zrobić z tymi wszystkimi buntowniczymi fanatykami — huknął pięścią w stół. — Na zesłanie!

Crivellan aż podskoczył, słysząc lekki trzask kości.

— Wydaje mi się, że do tego trzeba sądu i procesu — powiedział zaskoczony.

Groghe okrągłym gestem objął ich wszystkich:

— Mistrzowie, Władcy Weyrów i Władcy Warowni. Odpowiedni sędziowie. Wandali schwymano na gorącym uczynku. Cały tłum widział, co zrobili. Zniszczyli wartościowe przedmioty, pozbawiając mieszkańców lekarstw i usług medycznych. Nie tylko w Forcie — znów machnął ręką i mrużąc oczy wbił wzrok w niezdecydowanego uzdrowiciela. — Normalnie posłałbym ich do kopalń. Ale jeśli pójdą na wygnanie, da to do myślenia innym

łobuzom. Nie chcę, żeby ludzie uważali, że Cechy Uzdrawicieli można bezkarnie demolować. Prawda, Mistrzu Crivellanie?

— Prawda — przyznał uzdrawiciel z wahaniem. — Bardzo trudno będzie odtworzyć to, co dziś poniszczono i popsuto. Choć jeszcze ważniejsze jest powstrzymanie takich kłamstw — wskazał na broszurkę.

— Tak sobie myślałem, że w końcu się z nami zgodzisz — stwierdził Groghe. — Podejmiemy odpowiednie kroki.

Sebell wstał.

— Muszę wysłać wiele wiadomości przez Kimi.

— Jeśli chcesz, pomogą ci Meer i Talia.

— Tris też — dodał N'ton i również wstał, rozprostowując zdrętwiałe kończyny.

— Wiesz, wygnanie to odpowiednia dla nich kara — stwierdziła Lessa. — Nie będą mogli uciec sami przed sobą. Postaraj się, żeby wysepka była niewielka, dobrze, N'tonie? — ujęła rękę F'lara, wstała i zdjęła z oparcia krzesła grubą futrzaną kurtkę. — Podczas następnego Opadu, za dwa dni, będziemy mieć uszy i oczy otwarte.

— Jak szybko spodziewasz się wiadomości od kurierów, Haligonie? — spytał F'lar.

Młody lord wzruszył ramionami.

— Najpierw muszą rozesłać wiadomość. Kiedy wyjaśniłem wszystko Torlowi ze stacji w Forcie, dodał odpowiednie informacje do każdej przesyłki,

— Pern nieraz polegał na kurierach — oświadczył F'lar.

— I zawsze będzie — dodała Lessa, kierując się ku drzwiom.

Sharra była ciekawa, czy ktoś jeszcze spostrzegł ukontentowanie na twarzy Haligona, gdy usłyszał zapewnienie Lessy. Sama pragnęła dotrzeć wreszcie do domu, chyba równie mocno jak Władczyni Weyru. Miały za sobą długi i ciężki dzień.

— Zrobimy z tym porządek — oświadczył Groghe z entuzjazmem. — Dzięki wam wszystkim za pomoc w tej oburzającej sprawie. Miejmy nadzieję, że nadchodzący Obrót będzie coraz lepszy, choć zaczął się źle.

— Dobrze mówi! — poparł go gorąco Jaxom.

STACJA KURIERÓW W FORCIE, 1.2.31

— Nie mamy jeszcze wiadomości z Gromu — stwierdził Torlo w momencie, gdy Haligon wszedł do Stacji Kurierów. Torlo właśnie rozdysponował poranne przesyłki z wiadomościami do Cechów po tłumnym Zgromadzeniu. — Po zamarznętej ziemi ciężko się biega.

— Torlo! Weyry, Warownie i Cechy są ci wdzięczne — rzekł dwornie Haligon, zastanawiając się, czy przypadkiem w nocy nie złożył obietnic, których nie będzie w stanie dotrzymać. Etyka kurierów była nienaruszalna.

— To nie wykracza poza nasze obowiązki w kontrolowaniu przepływu listów — odparł stary człowiek z beztroskim machnięciem ręki — szczególnie wobec tych podłości w Cechu Uzdrowicieli.

Zmierzył porannego gościa bystrym spojrzeniem.

— Przyszedłeś za wcześnie, jeśli szukasz Tenny. Od dawna umiesz ocenić, ile czasu zajmuje jej powrót. Znacnie się już prawie cały Obrót.

Haligon odchrząknął, niepewny, jak wytłumaczyć, co naprawdę go tu przywiodło.

— A więc jest jakaś inna sprawa, co? — Torlo, choć szorstki, miał wiele delikatności. Wskazał na kąć pustego pomieszczenia: — Napijesz się świeżego klahu, Lordzie Haligonie?

Może powinno się tę sprawę załatwić mniej formalnie, ale to Torlo nadał rozmowie ton, podkreślając tytuł Haligona. Kryjąc frustrację, młody człowiek podziękował za gościnność i wsunął się za stół. Usiadł na miękkiej ławie, podczas gdy Torlo napelnił kubki, i przyniósł tacę z upieczonymi rano przysmakami. Wszyscy już wiedzieli o spotkaniu w małej jadalni w warowni. I o przesłuchaniu Batima. Niewątpliwie też zauważono, jak wiele jaszczurek wylatywało z Cechu Harfiarzy i do niego wracało. Kurierzy nigdy nie protestowali — a przynajmniej nie słownie — przeciwko używaniu jaszczurek do przenoszenia wiadomości. Zdawali sobie sprawę, że w pewnych przypadkach szybkość jest najważniejsza i że nie koliduje to z ich rzemiosłem. Na samym początku, gdy jaszczurcze jaja można było znaleźć na plażach w Bollu, Iście i Keroonie, Kurierzy również posługiwali się małymi posłańcami.

Młody Lord popijał klah — jak zwykle smakowity — i zastanawiał się, jak właściwie zwrócić się do Torla. Z wielu powodów nie chciał antagonizować starszego pana i biegaczy; sam też pragnął przyjść do niego z prośbą, którą omówiono na nocnym spotkaniu. Jednym z najważniejszych powodów był jego głęboki szacunek dla Tenny — choć jego młodszy brat

określiliby to uczucie raczej jako obsesję.

— Wydobyliśmy kilka informacji od fanatyka, który przewodził wandalom — zaczął, starannie dobierając słowa.

— A więc to jeden z nich? — spytał Torlo z głęboką pogardą. — Z tych, którzy porwali Mistrza Robintona?

— To podobne ugrupowanie, ale tym razem obraca się przeciwko Uzdrowicielom i Cechom Szklarskim.

— Cechom Szklarskim? — trójkątne brwi Torla uniosły się wysoko, czoło zmarszczyło, a głęboko osadzone oczy uważnie wpatrzyły się w twarz Haligona. Lekko pochylił się nad stołem. — A Cechy Kowalskie?

Coś w zachowaniu Torla wskazywało, że to powinien być główny cel. Haligon zaczął się zastanawiać, co jest tego powodem.

— Cechy Kowalskie postarały się o lepsze zabezpieczenia po pierwszych napadach dziesięć lub więcej Obrotów temu — odpowiedział.

— Hmm. Tak. Teraz sobie przypominam. — Torlo z namysłem potarł podbródek. — Ten Assigi sam się pilnował, prawda?

— Cech nie powinien być zmuszany do samoobrony — stwierdził Haligon.

— To prawda.

— Szczególnie Uzdrowiciele, cech, który najwięcej skorzystał z wiedzy, którą pozostawił nam Assigi.

— Zgadzam się. — Torlo zaprosił Haligona, by wziął sobie słodką bułeczkę z tacy. Sam też odłamał kawałek ciastka i włożył do ust.

Chce zyskać na czasie, domyślił się Haligon i mówił dalej.

— Mistrzu, pamiętasz, jak Mistrz Oldive usunął tę narośl z nogi Grollego? Przedtem by tego nie umiał. A kataraktę z oka Turora? Przywrócił mu dobry wzrok. Słyszałem, że potrafią wyleczyć przepuklinę. I nie ociągają się z pomocą. Czy nie powiedzieli Mistrzowi Hodowcy Frawlemu, jak zahamować konwulsje u tego ładnego żrebaka?

— Ano tak. Do czego zmierzasz, Lordzie Haligonie?

— Niektórzy z nich rozpowszechniają wstrętne kłamstwa o Uzdrowicielach, rozdają podle broszury...

— Kurierzy palą wszystkie, które dostają.

— Widzieli je? — Haligon był tak wstrząśnięty, że polał sobie klahem rękę.

— Nie rozpowszechniamy takich podłości.

— Ale gdzie to było? Kiedy? Czy to się często zdarza? A więc Crivellan miał rację, że

się tym tak przejmował. Torlo przez chwilę mierzył go wzrokiem.

— Wewnętrzna sprawa kurierów. Sami się tym zajmujemy.

— Ale gdzie to było? Trzeba to powstrzymać. Czy Kurierzy wiedzą, skąd pochodzą te broszury?

Torlo wzruszył ramionami:

— Nie pozwalamy ich rozpowszechniać.

— Tak, ale udaje się wam tylko częściowo — Haligon był coraz bardziej rozemocjonowany. — Ci wandalę mieli przy sobie coś wyjątkowo odrażającego. Mistrz Crivellan był wstrząśnięty.

— Nie on jeden.

Haligon aż zdrewniał, słysząc ironię w głosie Torla.

— Jakie urazy żywią Kurierzy wobec Cechu Uzdrawicieli? — spytał przyciszonym głosem, choć w sali nie było nikogo poza nimi.

— Żadnych — pytanie wyraźnie zdziwiło Torla.

— W takim razie wobec kogo?

Torlo przerwał, a kącik jego ust uniósł się w krzywym uśmiešku. Spojrzał Haligonowi prosto w oczy: — Nie jesteś taki, jaki wydajesz się na pozór, Lordzie Haligonie.

— Kurierzy są równie niezbędni jak Uzdrawiciele, Mistrzu. Na czym polega problem?

Torlo zastanawiał się przez chwilę, a potem, podjąwszy decyzję, znowu pochylił się ku niemu.

— Nie mamy nic przeciwko nowinkom w Cechu Uzdrawicieli: są z korzyścią dla wszystkich. Ale kiedy jakieś nowinki zagrażają istnieniu całego cechu, to schodzimy na zupełnie inny szlak.

— Któż by zagroził Kurierom? Władczyni Weyru Lessa wczoraj powiedziała, że Kurierzy zawsze będą potrzebni.

Torlo parsknął ironicznie.

— Naprawdę? A komu będą potrzebne smoki, jeśli prawdą jest to, co się mówi o Czerwonej Gwieździe?

Haligon zebrał myśli. Nigdy w życiu nie musiał lawirować pomiędzy tyłoma werbalnymi zasadzkami.

— Czerwona Gwiazda? Nie wierzysz, że zeszła z orbity? Ale przecież musiałeś to widzieć, tu, na Północy?

— Widziałem błyski na niebie, ale co to oznacza dla kogoś, kto chodzi po ziemi?

Haligon spróbował innej taktyki.

— Dobrze, Przejście zwykle trwa pięćdziesiąt lat. Tym razem Assigi zdecydowanie oświadczył, że będzie krótsze. Wiemy z ksiąg, że coś takiego zdarzyło się już przedtem. Tak więc do końca Przejścia pozostało szesnaście Obrotów. Jeśli za szesnaście Obrotów okaże się, że to koniec, będzie to dowód, że Assigi wiedział więcej niż sami byśmy się kiedykolwiek dowiedzieli. I że jeśli daje konkretne odpowiedzi, to mówi prawdę. Twierdził, że jeźdźcy osiągnęli cel, który im wyznaczył: zmienili orbitę Czerwonej Gwiazdy tak, że już nigdy nie zbliży się do Pernu i nie zrzuci na nas Nici.

Haligon sam się zdziwił swoją siłą przekonywania. Odegrał tylko marginalną rolę w olbrzymim wysiłku, który zjednoczył niemal całą planetę na prawie pięć Obrotów, ale całym sercem wierzył, że Assigi rozwiązał kłopoty Perneńczyków. Chciał w to wierzyć i potrzebował tej wiary.

— Może dożyję tych szesnastu Obrotów do końca Przejścia — odpowiedział Torlo. — Ty także, ale dopiero za kolejnych dwieście Obrotów przekonamy się, czy Assigi rzeczywiście miał rację.

— Sęk w tym, Mistrzu, że już teraz mamy do dyspozycji różne cudowne drobiazgi, które potwierdzają wiarygodność Assigi.

Cyniczny uśmieszek Torla jeszcze bardziej wykrzywił mu usta.

— Takich, które odbiorą sens istnieniu smoków? I kurierów? Jeśli smoki przestaną być potrzebne do walki z Nićmi, znajdą sobie inne rzeczy do roboty. Kurierzy staną się zbędni!

— Kurierzy staną się zbędni? — wykrzyknął Haligon, z oburzeniem podnosząc ręce ku niebu. Wiedział, że jeźdźcy ciężko pracują, chcąc zapewnić sobie przyszłość, ale przecież kurierzy i tak mieli ją zapewnioną.

— Dlaczego tak sądzisz? Przecież twój Cech zaczął działalność, jeszcze zanim założono pierwszy Weyr. Teraz tworzycie nowe szlaki i stacje na Południu. Twój Cech rozszerza działalność, tak jak wszystkie inne.

Torlo pochylił się nad stołem. Z oczu bił mu gniew.

— A co będzie, gdy jeźdźcy smoków zaczną przewozić wiadomości, ludzi i paczki?

Haligon odparował natychmiast:

— Ilu drobnych gospodarzy i cechmistrzów będzie stać na wynajęcie smoka? Przesłanie wiadomości przez Kuriera kosztuje tylko trzydziestkę dwójkę. Obecnie jest sześć tysięcy dwieście czterdzieści smoków, a połowa z nich to brązowe, spizowe i złote, które zniżą się do przewożenia listów. Macie tyle samo kurierskich rodzin, pracujących o każdej porze, wykorzystujących nawet dzieci do biegania na krótkie odległości, gdy jest wiele

zleceń... a pomyśl tylko, co się zacznie dziać, gdy na południu powstaną szlaki? Królowe rzadko startują do lotu godowego i znoszą mniej jaj, by było mniej smoków pod koniec Przejścia, więc nie sądzę, by zielone i niebieskie smoki stanowiły dla was konkurencję. Jaszczurki ogniste nigdy nie były dla was powodem do niepokoju.

— Mało której można powierzyć dostarczanie wiadomości parsknął Torlo.

— Prawda — zgodził się Haligon, choć królowa jego ojca, Merga, była doskonale wyszkolona przez Menolly i nigdy nie zawiodła. Nie zdarzyło się, by kurier nie dostarczył wiadomości. — Pomyślał o Tennie, biegnącej gdzieś po zamarzniętych szlakach.

Torlo spojrział na niego z namysłem. — I zawsze tak będzie.

— Więc co cię tak naprawdę dręczy, Mistrzu?

— Te zabaweczki Kowali... — Torlo złożył dłoń w łódkę i skrzywił się, szukając odpowiedniego słowa.

— Krótkofalówki?

— Właśnie! Widziałem taką! Ludzie zaczną rozmawiać, z kim zechcą. Nie będą potrzebować kurierów do przenoszenia wiadomości.

Haligon poczuł taką ulgę, że aż się roześmiał.

— Nie, Torlo. To niemożliwe.

— A dlaczego? — Zwięzłe pytanie zabrzmiało bardzo wojowniczo jak na Torla.

— Za drogie — wyrzucił z siebie Haligon poprzez śmiech. — Po prostu za drogie. Mistrz Bassage i jego ludzie w Cechu składają je całymi miesiącami. Muszą sprowadzać części z wielu innych cechów. A w dodatku na pomocy jest mały zasięg, bo nie mamy transmisji satelitarnej.

— Czego?

— Czegoś takiego jak *Yoko*, co przesyłałoby sygnał. Cech Uzdrowicieli musi postawić stację przesyłową tu na zachodzie, jedną w Tilleku i pewnie jeszcze jedną w Telgarze. A dwie na wschodzie, jak słyszałem. Na południu działają lepiej ze względu na *Yoko*, ale jest tam tyle nowych warowni i cechów, że przez długi czas mało kogo będzie tam stać na takie cacko. Mój ojciec będzie korzystał z kurierów jeszcze przez długi czas. Ufa wam. Chociaż jest bardzo otwarty w wielu sprawach, ufa ludziom bardziej niż maszynom. Nie, Mistrzu, kurierzy będą jeszcze długo potrzebni... tak długo, jak będą mieli nogi i zechcą biegać. Byli pierwszym Cechem, który znalazł się pod opieką Fortu. Na wiele Obrotów przed założeniem pierwszego Weyru. Zawsze będziesz potrzebny, Mistrzu Torlo.

Twarz Torla jaśniała w miarę jak Haligon wymieniał kolejne przeszkody, stojące na drodze nowego rozwiązania technicznego.

— Taki jest właśnie Assigi, co? Pokazuje, jak można coś zrobić lepiej, ale te ulepszenia same wymagają czasu. Może to najlepszy sposób. Po co robić rzeczy, nie wiedząc, czy w ogóle będą potrzebne? — Torlo wstał, taktownie kończąc rozmowę.

Haligon, wstając, sam nie był pewien, czy Mistrz wesprze Warownię, czy też nie.

— Pomożemy uzdrowicielom na każdym szlaku, Haligonie — rzekł Torlo podkreślając te słowa energicznym kiwnięciem głowy i poprowadził go przez wielką, wysoką salę. — Powiemy tym, od których to wiemy, że mądrzy ludzie uznali, że ktoś ich celowo niedokładnie poinformował i zamącił im w głowach.

— O to właśnie chodzi, Torlo.

— Powiadomię cię o tym sam albo przyślę Tենę. — Mistrz Stacji zsalutował dwoma palcami, nie dając Haligonowi innej możliwości, jak tylko się pożegnać.

Jak ci kurierzy mogli pomyśleć, że ich usługi mogą się kiedyś stać zbędne? — zastanawiał się Haligon, spiesznie krocząc przez mroźny świat, by poinformować ojca o wynikach rozmowy. Ale Weyry rzeczywiście staną się niepotrzebne. Potknął się, gdy jego wzrok instynktownie powędrował ku odległemu Weyrowi na wzgórzach nad Warownią.

Weyry może tak, ale nie smoki! Są powody, by smoki pozostały na niebie nad Pernem. Znajdą sobie zajęcie! Nie, Pern bez smoków byłby po prostu śmieszny!

Włoski w jego nozdrzach zeszywniały od mrozu. Czy tam w i okolicach Bollu, dokąd biegła Terma, jest choć trochę cieplej? Miał nadzieję, że tak. Wielce szanowny rodziciel miał pewne wątpliwości co do jego głębokiego zainteresowania Tենą, ale okazało się, że to bardzo dobry kontakt. Haligon chciałby przekonać Tենę, by zgodziła się na stały związek. W Forcie było dość dzieci z krwi rodu, by zapewnić ciągłość, chyba że zdziesiątkuje je zaraza. Może wola przenieść się na południe, kiedy Haligon nie będzie miał już synowskich zobowiązań wobec Lorda Groghe.

Powinien też powiedzieć Sebellowi o rozmowie z Torlem. Mistrz Harfiarzy musi dowiedzieć się o kurierskich obawach. Tyle jest jeszcze do zrobienia... strasznie dużo! Trzeba przeczytać skargi i brać te, którymi ojciec powinien zająć się ze szczególną uwagą. Cóż, dobry dzień na siedzenie w ciepłym domu. Wbiegł na schodach do Warowni, biorąc po dwa stopnie naraz.

CECH DRUKARZY W KEROONIE, 1.3.31

Tagetarl zmusił się, by zamknąć zmęczone oczy i uszczypnął w siodełko długiego nosa, zastanawiając się, dlaczego ma wraże że to poprawi mu wzrok. Sen by pomógł, ale musiał przejrzeć jeszcze erratę do słownika; niektórzy starzy harfiarze mieli za mało do rób więc podważali definicje i kwestionowali nowe słownictwo techniczne, niezbędne młodym studentom do zrozumienia języka podręczników. Możliwość wydrukowania wielu kopii tego samego tekstu na była niesamowitym ułatwieniem po dniach ręcznego kopiowania. Każdy harfiarski uczeń, który musiał odrabiać przymusowe godziny pracy w Archiwum, błogosławił wprowadzenie prasy drukarskiej, ale musi być przecież jakiś sposób, by w końcu wyłapać wszystkie błędy, jakie potrafią wkraść się w kaszty drukarskie. Za jego uczniowskie czasów błędy można było wykrobać czubkiem noża i napisać tek na nowo, najlepiej zanim wpadło to w oko Mistrzowi Amorowi.

Niełatwo było poprawiać błędy po wydrukowaniu kilkuset egzemplarzy. Wydawano bardzo wiele technicznych tekstów, które musiały być dokładne: wyjaśnienia i instrukcje jasne jak kryształ. Rosheen była w tym naprawdę świetna, a swoimi zręcznymi palcami potrafiła złożyć stronę o wiele szybciej niż on. Oboje uczyli się jak zarządzać skomplikowanymi sprawami nowego rzemiosła, Tagetarlowi zaś bardzo zależało, aby okazać się godnym dobrego mniemania, jakie miał o nim Mistrz Robinton. Z tego względu chciał, by drukarstwo okazało się najbardziej udanym projektem zainicjowanym przez jego Mistrza i przez Assigi.

Ciche skrzypnięcie drzwi do gabinetu zabrzmiało w ciszy nocnej jak wystrzał. Zerwał się na nogi. Noc? Spojrzenie w okno wychodzące na wschód powiedziało mu, że już prawie rano.

— Oto ja! — rozległ się szept.

— Błąd gramatyczny. Powinno się mówić: „to ja” albo „oto jestem” — poprawił Cabasa ze znużeniem. — Jak się tu dostałeś? Brama jest zamknięta.

Po fali ataków w dzień Końca Obrotu fanatycy przycichli, ale nie znaczyło to, że nie planują niczego więcej. Tagetarl nigdy się nie dowiedział, jak błędnie wydrukowane strony z tekstów medycznych, które wydał w zeszłym Obrocie, dostały się w ręce tych drani. Od tej pory, dla bezpieczeństwa, Cech zaczął niszczyć wszystkie odrzuty z prasy drukarskiej.

— Masz rację. Śliczna, solidna brama — stwierdził Cabas i wszedł w krąg światła rzucanego przez lampę na biurku.

Nie był wysoki, a jego twarz o wysokich kościach policzkowych, pokryta brudem i znużona, nigdy nie rzuciła się w oczy. Teraz udawał górala z Keroonu — nawet jego zapach o tym świadczył. Niesamowity talent do wtapiania się w otoczenie, imitowania akcentu i intonacji z dowolnego regionu w Pernie, na północy i na południu, czuły snach i bystry wzrok czyniły z niego idealnego obserwatora. Niezwykle sprawny, cyniczny umysł doskonale interpretował wszystkie wiadomości. Cabas przyciągnął nogą stół i usiadł sobie, jakby nie miał żadnych zmartwień. Pełen wdzięku uśmiech ukazał równe, ładne zęby, a brązowe oczy bystro spoglądały na rozmówcę.

— Nie skorzystałem z bramy. Myślałem, że o tej porze już śpisz, więc wszedłem...

— Znowu po dachu? Któregoś dnia wpadniesz do tkackiego warsztatu.

— Och, to całkiem solidny dach. Tak przy okazji, Ola Rosheen przyleciała sprawdzić, kto idzie, ale kiedy poznała, że oto ja...

— Że to ja — poprawił go bezlitośnie Tagetarl.

— ...i Bista, poszła z powrotem do łóżka — Cabas mlasnął językiem. — Bista, przywitaj się z Mistrzem Tagetarlem.

Złote stworzonko, owinięte wokół szyi harfiarza jak drugi szalik, podniosło głowę i mrugnęło do Drukarza zielonymi jak klejnoty oczami.

— Po co siedzisz po nocach? Tagetarl kciukiem wskazał korektą.

— Jeśli kiedyś w podróży trafisz na człowieka, który zna się na pisowni, składni i gramatyce, to mam pracę dla niego albo dla niego. A najlepiej dla nich.

Cabas krótko skinął głową.

— Rozejrzą się.

— Dzięki. A więc co cię sprowadza w moje progi o tej porze nocy?

— Już prawie dzień — poprawił go łagodnie Cabas. — Sprawdzalem to i owo, węszyłem po samotnych gospodarstwach i kupieckich składach, przesiadywałem u kurierów. W Keroonie po górach siedzą różni ludziska, sam wiesz. Niektórzy nie chcą, żeby harfiarze uczyli ich dzieci i żeby uzdrowiciele ich leczyli. Do tego są inni, właściwie wcale niegórale. Tacy, co przyjmują dużo gości i robią w czterech ścianach bardzo ciekawe rzeczy.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl kartkę papieru, wielokrotnie składaną. Rozwinął ją starannie i pokazał dwa szkice: en face i z profilu

— Pamiętaj, że nie byłem wśród zaproszonych gości, ale znalazłem sobie punkt obserwacyjny i zrobiłem też parę notatek. Zrobię lepszy szkic, jeśli dasz mi porządny papier i węgiel. — Popatrzył prosząco na Tagetarla: — Mistrzu, można papier? Ołówki? Najnowszą wersję atramentu opracowaną przez Assigi?

— Jacy górale?

— Nie, górale. Ludzie mieszkający w górach. Można papier? I ołówki? — podsunął stołek w stronę biurka.

Tagetarl w jednej chwili zebrał kartki, nad którymi pracował i złożył je w zgrabny stosik poza zasięgiem Cabasa. Wyciągnął z szuflady czysty papier i cały zestaw różnych narzędzi do rysowania.

— Siadajże, siadaj! Chcesz kłahu, jedzenia, wina?

Cabas złapał w rękę zaostrowany kawałek węgla, przesunął kartki na prawo — był leworęczny — i zaczął szkicować.

— Dziękuję, tak, tak i jeszcze raz tak. I coś dla Bisty. Przyjechaliśmy tu prosto, bez postojów, po kurierskich szlakach. Wiesz, pozwalają mi na to. I dają wskazówki. Porządne chłopcy, ci kurierzy. Daj mi coś do jedzenia i picia, stary, nie stój tak z otwartą gębą.

Gdy Tagetarl powrócił, dźwigając cienką tacę i miskę świeżego mięsa dla Bisty, Cabas mówił dalej, jakby Drukarz w ogóle nie wychodził.

— Powiedziałem kurierom, żeby się nie martwili o te maszynki. Nie zniósłbym, żeby coś takiego trzeszczało mi w kieszeni, daję. Łatwo by mnie było zauważyć, a ja nie mogą sobie na to pozwolić. Poza tym zawsze bardziej wierzę w nogi niż w części zamienne — rzucił Tagetarlowi złośliwe spojrzenie z ukosa. — Tradycyjne spojrzenie na życie, no nie?

Kiedy Mistrz Drukarski parsknął słysząc taką uwagę z niespodziewanego źródła, Cabas dodał:

— Ano, to prawda. Dlatego ryzykuję życiem i nadstawiam karku jako harfiarz.

Bista skończyła jeść i zwinęła się w kłębek na półce. Cabas skończył szkic i odłożył go na bok. Nakreślił pierwszą linijką na nowej kartce, zanim Tagetarl zdążył wziąć gotowy rysunek do ręki.

Harfiarz popatrzył na portret. Jego gość oszczędną, ale wyraźną kreską przedstawił dużego mężczyznę; prawe ramię miał uniesione do góry, a na wysokim czole, pod czarnymi brwiami ciągnęła się zygzakowata blizna — od prawej skroni po boku nosa aż do zgrubienia na policzku. Miał szeroki, gruby nos, zapadnięte policzki, wąskie usta, ostry podbródek i kościstą szyję z wyraźnie wystającą grdyką. U lewej ręki uniesionej, jakby mężczyzna grzał się przy ogniu, brakowało pierwszego paliczka wskazującego palca. Odzież — typowa, gruba, skórzana tunika i spodnie — była przetarta i połatana. Na łydkach miał ochroniacze przywiązane rzemieniami pod kolanem, co nadawało mu wygląd górala. Buty były długie i cienkie, popękane od częstego chodzenia po strumieniach lub bagnach.

Cabas wolną prawą ręką wsadził sobie do ust kawał chleba i sera i spłukał to solidnym

łykiem piwa, podczas gdy lewa dłoń wciąż śmigała po papierze. Co za talent, pomyślał Tagetarl, szczególnie ważny u kogoś, kto zajmuje się dyskretnym zbieraniem wiadomości. Ale przecież Mistrz Robinton, nieżyjący Mistrz Harfiarzy, miał niezwykłą umiejętność wykorzystywania talentów wielu ludzi. Na długo nim nadeszło Przejście i obudził się Assigi, w czasach kiedy pogardzano smoczymi jeźdźcami i nawet Cech Harfiarzy nie uniknął zagrożenia, Mistrz Robinton wykorzystywał niezwykle talenty harfiarzy i innych ludzi, którzy wiedzieli, jak poruszać się po małych i dużych warowniach i gospodarstwach. Tagetarl spotkał Łapsa, pierwszego wędrownego harfiarza, nieprzypisanego do żadnego miejsca i śpiewającego tylko od przypadku do przypadku. Dziś nikt nie pamiętał, jak Łaps miał naprawdę na imię. Wyszkolił on Smyka, następnego nonkonformistą i zabierał z sobą Sebella na niektóre Wyprawy. Sebell z kolei wykorzystywał niezwykle umysł i talenty Piemura. Teraz do zespołu przyłączył się Cabas i dwóch innych, o których Tagetarl wiedział, ale nie był pewny, czy ich kiedykolwiek spotkał.

Drukarz skupił się, by zapamiętać pierwszy rysunek. Dość kłótlivy typ, ogólnie rzecz biorąc, pomyślał. Jeden z tych, co tak długi będą wiercić dziurę w brzuchu, aż powstanie jaskinia.

Następny portret Cabasa przedstawiał kogoś, kto wydał się Tagetarlowi znajomy. Mężczyzna był młodszy niż pierwszy z portretowanych, wyższy i bardziej krzepki. Miał ciemną, ale nie czerstwą od wiatru twarz i blond włosy. Zaciśnięte usta sugerowały samolubstwo i upór, a w oczach malowała się chytrość. Twarz była na poły rozbawiona, na poły wyniosła.

Trzecia była kobieta: postać wyrażała skrepowanie — lewa ręka zacisnęła się na łokciu prawej. Szeroko otwarte, pełne gorliwości oczy wyrażały gotowość wysłuchania i wypełnienia poleceń. Ona również była ubrana jak górale, ale strój nie pasował, ani do figury ani do charakteru postaci.

— To byli goście, którym nadskakiwano i traktowano z szacunkiem. Zostali przez kilka dni i prowadzili bardzo poważne rozmowy przyciszonymi głosami. Pewnie spiskowali. Nie mogłem posłuchać o czym, choć się bardzo starałem. Chciałbym jak najprędzej dostarczyć to Sebellowi. Czy myślisz, że Ola by to dla mnie zrobiła? Bisti jest wykończona.

— Naturalnie — zgodził się z chęcią Tagetarl. Menolly pomogła Rosheen wyszkolić królową. Nie będzie to pierwsza dyskretna wiadomość przekazana przez Olę.

— Resztę narysuję, jak odpocznę — stwierdził Cabas. Wsadził do ust kolejny kawał chleba z serem i wstał. Śpiąca Bista pisnęła, reagując na gwałtowne poruszenie. Mężczyzna pogłaskał ją odruchowo. — Mógłbym prosić o luksus kąpieli? Muszę nosić to ubranie — z

obrzydzeniem odsunął od siebie fałdę kaftana. — Ale z przyjemnością prześpię nockę, a raczej cały dzionek, pachnąc czystością.

— Ależ naturalnie. Postaram się, żeby nikt ci nie łomotał nad głową — uśmiechnął się Tagetarł.

Cabas często nocował na stryszku nad magazynem, gdzie składowano papier i inne materiały. Gdy Cech się rozrośnie, zgodnie z najszczęśliwymi pragnieniami Tagetarła, będą tam sypiać uczniowie, ale na razie była to świetna kryjówka dla Cabasa, gdy nie strzeżenie składał wizytę Tagetarłowi.

— Będę wielce zobowiązany. — Cabas złapał następny kawał sera, kromkę chleba i wyszedł.

Tagetarł przygotował cylinder na wiadomość dla Oli, wypuścił jaszczurkę i poszedł do siebie. Rosheen westchnęła, gdy układał się obok niej i przez sen odwróciła się do niego, by się przytulić.

WEYR BENDEN, POŁUDNIE, 1.3.31

F'lessan spotkał się z innymi dowódcami skrzydeł na odprawie przed Opadem w jednym z zakątków Niższych Jaskiń.

— To wzór numer dziesięć, spotykamy się więc nad Morzem Wschodnim, a przez ostatnią godzinę nad południowym Lemosem leci z nami Igen — referował F'lar, jednocześnie lustrując szybkimi spojrzeniami każdego z zebranych wokół niego osiemnastu dowódców skrzydeł. — Pogoda zimna i ponura, ale widoczność jest dobra.

F'lessan kątem oka dostrzegł, że wszyscy starają się robić wrażenie czujnych i sprawnych. Cały Weyr postawiono na nogi, by odnaleźć czterech wandali, którzy zdemolowali bendeński Cech Uzdrowicieli. Opisy, jakie udało im się uzyskać od rannego czeladnika, pasowały do połowy męskiej populacji w dowolnej Warowni. Chłopak był pewien tylko jednego: że napastnicy nie pochodzili z Bendenu. Kurierzy zgodzili się rozpowszechnić wiadomość o napadzie i poprosić dzierżawców z samotnych gospodarstw, by donosili o pojawieniu się obcych. G'bol skrupulatnie poszedł śladem jednego z doniesień: trafił na uczciwych handlarzy.

Dwóm najstarszym dowódcom skrzydeł polecono nie walczyć w czasie tego Opadu; F'lessan wolałby, żeby F'lar też od czasu do czasu zrobił sobie wolne. Najprędzej posłuchałby G'bolą, ale nie w tej sprawie; ignorował nawet najbardziej ogólnikowe sugestie, że ktoś inny mógłby poprowadzić jego Weyr. Nikt by go o to nie winił, ale sam narzucił sobie taką dyscyplinę, z wyjątkiem kilku dni każdego Obrotu, kiedy Mnementh musiał kurować nadwreżone skrzydło.

F'lar podawał dowódcom poziomy lotu, więc F'lessan siłą zmusił się do koncentracji. Jego skrzydło znów miało lecieć wysoko; oznaczało to, że F'lar ufa jego zdolnościom przywódczym.

— Ostrzeżcie młodych jeźdźców, że złe warunki pogodowe mogą utrudnić dostrzeżenie Nici na dużej wysokości — ciągnął F'lar. — Jak najprędzej określcie siłę wiatru. Będziemy wiedzieli jak opadają Nici, kiedy nastąpi Opad. Zbiórka na Krawędzi za dziesięć Minut. Dobrego lotu!

Gdy wychodzili, dopinając kurtki, zakładając hełmy i wciągając rękawice, F'lessan nie mógł się doczekać Opadu; znajome uczuci, przyspieszało bicie jego serca i sprawiało, że głębiej oddychał. |

Na półkach skalnych siedziały błękitne i zielone smoki z jeźdźcami na grzbietach, z

workami pełnymi ognistego kamienia przerzuconymi przez szyje; niektórzy spiżowi i brązowi jeźdźcy jeszcze odbierali worki, transportowane z niecki na Krawędź. Spiżowe smoki dowódców skrzydeł opadały szybując ku swoim jeźdźcom pozorni niezorganizowaną grupą. Golanth unosił się po lewej. F'lessan sprawnie ocenił odległość, podbiegł i wskoczył mu na grzbiet. Smok nabrał wysokości i zakręcił w górze, a potem opadł na swoje miejsce na Krawędzi między zastępcami dowódcy, przed dwudziestoma dwoma jeźdźcami.

Rezerwowe zielone są gotowe, przylecą z workami na wezwanie, zameldował Golanth.

Dopinając pasy bezpieczeństwa i podciągając futrzane cholewy butów, bo pod koniec Opadu zawsze mu marżyły kolana, F'lessi_, pomyślał o Tai. Ciekaw był, jakby się sprawdziła w jego skrzydle.

Zaranth jest większa niż inne zielone, stwierdził jego smok, lekko przekrzywiając łeb tak, że lewe fasetkowe oko odbijało obraz jeźdźca na grzbiecie. *Proszę kamień ogniowy!* Golanth przysunął, głowę do nogi jeźdźca a F'lessan natychmiast podał mu grudę z wypełnionego po brzegi worka.

Smok zręcznie odrzucił głowę do tyłu i ułożył sobie kamień na potężnych trzonowych zębach. Następnie, bardzo uważając, by nie ugryźć się w język, zaczął żuć — tak jak pozostałe smoki na Krawędzi. F'lessan dał mu pięć kawałków — to wystarczało, by uzyskać porządny płomień.

Z niecki wzniosły się w górę cztery bendeńskie królowe. Gdy krążąc, wznosiły się w górę, wszystkie oczy zwróciły się ku Władcy! Weyru i Mnementhowi. F'lar uniósł rękę; F'lessan podniósł swoją jeszcze wyżej. Królowe skończyły krążyć, osiągnęły pełną wysokość i poleciały na północno-północny wschód.

Wiesz, gdzie masz lecieć? zadał F'lessan smokowi oficjalne pytanie.

Wszyscy wiemy! odpowiedział Golanth.

Mnementh ryknął i skoczył do przodu, F'lar zaś jednocześnie opuścił rękę, rozkazując smokom wzniesić się w powietrze. Wszystkie, jak jeden, wyrwały w górę. W chwilę potem wszystkie czterysta osiemdziesiąt cztery bendeńskie smoki zniknęły *pomiędzy*.

WEYR NAD ZATOKĄ MONAKO, PIĘĆ DNI PÓŹNIEJ, 1.8.31.

Słońce obudziło Tai — było naprawdę gorąco. Nie otwierała oczu, czekając, aż do końca oprzytomnieje. Jeśli słońce świeci jej na twarz, to znaczy że już jest południe. Leżała w hamaku zawieszonym między dwoma dużymi drzewami o długich, zwisających, pierzastych liściach, które zazwyczaj doskonale chroniły ją od słońca. Słońce już pewnie zbliża się do zenitu. Jak zwykle, ułożyła się z twarzą zwróconą w stronę zagłębienia, które Zaranth wykorzystywała jako swój weyr. Zielona smoczyca wyciągnęła się w pełnym słońcu — uwielbiała tak się wygrzewać z głową między przednimi łapami i z lekko opuszczonymi skrzydłami, które rozluźnione mogły wchłonąć więcej ciepła. Wielu jeźdźców zastanawiało się, czy smoki w ten sposób magazynują gorąco, które rozgrzewa je podczas pobytów *między...* Zaranth miała uchyloną powiekę. Sądząc po rażnym błysku oka, obserwowała coś z wielką uwagą.

Jedną z niedogodności życia pod gołym niebem były owady — miliardy stworzeń przeróżnych kształtów i wielkości: niektóre drapały, niektóre wgryzały się w ciało, jeśli miały okazję, inne zwyczajnie wędrowały wprost przed siebie, tak jak chrząszcz turlaj, któremu właśnie przyglądała się Zaranth. Turlaje zawsze szły po prostej — po ziemi lub prostopadle do linii gruntu. Potrafiły nawet wspiąć się na czubek pierzastego drzewa i zejść po drugiej stronie, byleby nie zboczyć z obranej trasy. Właśnie bardzo duży przedstawiciel tego gatunku — turlaje dorastały do sporych rozmiarów, jeśli naturalne zagrożenia nie przerwały życia — był obiektem wielkiego smoczego skupienia. Na odwołku owada tłoczyło się aż pięcioro młodych na różnych etapach dojrzewania, które u turlaja przebiegało w pokrętny sposób. Do ich pancerzy przykleił się pyłek z płożących krzewów i z pnączy — od czasu do czasu także i z drzew — i sypał się wszędzie tam, dokąd prowadziła turlajowa podróż w nieznanym nikomu celu. Tai nie miała pojęcia, czy chrząszcze spełniają jakąkolwiek inną rolę, ale nie były tak natrętne jak pelzacze, ciekawie było je też obserwować, jako uosobienie uporu w dążeniu do celu. Uważano, że w naturze występują jedynie osobniki płci żeńskiej.

Tai sypiała w hamaku między innymi ze względu na turlaje. Pnie drzew, budynki i przedmioty codziennego użytku oklejało się lepka taśmą. Większość domów budowano zresztą na palach, by powstrzymać inwazję wszystkiego, co pełza i się wije. Na nadbrzeżnych nizinach pale chroniły też domy przed załamem. Chatka Tai stała tuż za hamakiem. Wszystkie okiennice były otwarte, by wpuścić do wnętrza leniwe podmuchy wiatru; moskitiery zatrzymywały owady. Wieczorna bryza zwykle odpędzała stworzenia, które

przyczepiały się do tkanin od zewnątrz; nocne insekty były głośniejsze, ale wrażliwe na światło. Bateria słoneczna na długiej sztycy zapewniała Tai niezbędną energię elektryczną; dzięki niej dziewczyna miała światło, piecyk, lodówkę i od czasu do czasu ogrzewanie, gdy nadchodziły chłodne dni — ale dla niej, wychowanej u stóp gór Keroonu, na Południu nigdy nie bywało naprawdę zimno.

Na południu niektórzy jeźdźcy mieszkali w gromadach albo z partnerami, ale Tai kochała samotność. Sama zrobiła sobie meble: półki, pryczę, stół do pracy, wieszaki i skrzynię na ubranie. s

Zarant wiedziała, że Tai już nie śpi, ale dalej obserwowała turlaja. Nagle urwał się nieunikniony tor ruchu, który zaprowadziłby chrząszcza prosto w lewe nozdrze smoczy. Tai zamruła. Czy Zarant dmuchnęła i odepchnęła turlaja z potomstwem? Kątem oka spostrzegła, że chrząszcz maszeruje teraz na wschód, dokładnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni do poprzedniego kursu i przynajmniej o pełną smoczą długość od miejsca, gdzie był przedtem.

Jak to zrobiłaś? spytała Tai, niepewna, czy rzeczywiście widziała to, co widziała.

Nie chciałam, żeby mi wlaź do nosa. Przeniosłam go.

Tak po prostu?

Tak po prostu.

Często to robisz?

Od czasu do czasu. Toto... i Zarant wskazała podbródkiem w stronę przeniesionego turlaja *nie należało do miejsca, do którego szło.* Nagle smok porzucił leniwą pozę, otworzył szeroko oczy i jak za dotknięciem różdżki stanął na czterech łapach. *Koty! Jesteśmy potrzebne!*

Tai wygramoliła się z hamaka, skoczyła do domku, wciągnęła spodnie, wbiła się w buty, narzuciła kurtkę — do diabła z koszulą z długimi rękawami — i ze zwisającymi z rąk pasami bezpieczeństwa wyszła, by założyć uprząż na chętną głowę Zarant. Polowanie na kotowate było równie niebezpieczne jak lot przeciw Niciom. Zarant pozwoliła skózanym rzemieniom opaść na podstawę swojej mocnej szyi i uniosła Tai na nodze, by mogła wszystko pozapinać.

Kto potrzebuje pomocy?

Cardiff. Przez jaszczurki. T'gellan wzywa połowę skrzydła.

Tai podrzutem wskoczyła między dwa ostatnie wyrostki szyjne i zapięła pasy bezpieczeństwa na szerokim pasie.

Wiem, gdzie, powiedziała smoczyca i skoczyła w górę tak szybko, że siła odrzutu

szarpnęła głową Tai. Ledwie wyszły ponad drzewa, znalazły się w *poędzy*.

Były z powrotem w parnym południowym powietrzu, a obok zmaterializowało się sześć innych smoków.

Pasterz z Cardiff wytropił stado. Duże.

Zniżyli lot nad pagórkowatym płaskowyżem, gdzie Starożytni rozpuścili stada bydła i owiec, ponieważ na pomoc mogli zabrać tylko rozplodowe sztuki. Stada rozmnożyły się przez wieki i nieco zmutowały, różniąc się od pomocnych krewniaków — dzięki temu zyskały ochroną przed miejscowymi pasożytami i trującymi roślinami. Mistrz Hodowli określił te mutacje jako „fascynujące”. Tuż pod nimi wielkie stado złożone z różnych gatunków w szaleńczym pędzie oddalało się od granicy dżungli, gdzie kotowate urządziły zasadzkę na nieostrożne sztuki.

Cardiff, jako stosunkowo nowa Warownia, starał się jak najlepiej kontrolować sawanny, ale setka pasterzy nie zawsze była w stanie ogarnąć wędrowne stada bydła. Stada, których pilnowała nieraz zaledwie trójka albo czwórka pasterzy, wędrowały daleko w poszukiwaniu jadalnych traw. Grzmoty, błyskawice i zdarzające się czasami pożary dżungli wywoływały popłoch i szaleńczy pęd; nieraz przerażone masy bydła ginęły, spadając z urwisk do morza lub w szerokie rozpadliny. Tym razem przyczyną popłochu były kotowate. Wielkie drapieżniki — efekt błędnego eksperymentu zoologicznego jednego z pierwszych osadników — były przyczyną wielu kłopotów na tym kontynencie. Rozmnożyły się podobnie jak bydło i wędrowały beztrąsko przez dżungle i sawanny aż do południowych wzgórz. Ludzie unikali ich w miarę możliwości; smoki uwielbiały na nie polować, ze względu na ryzyko.

Zarant błyskawicznie i bezszelestnie poszybowała w stronę najbliższego stadka bydła, które sprytnie kotowate wyraźnie oddzieliły od głównego stada. Drapieżniki zwykle starały się tylko okaleczyć swoją ofiarę, by nie mogła uciekać; nie chciało im się zabijać. Tai nieraz widziała efekty takiej taktyki; wielkie pastwisko pełne beczących i jęczących zwierząt, czekających na śmierć w pazurach młodych, dla których kotowate urządziły takie polowania.

Tam! Podpalany cętkowany, jeden z tych szybkich, powiedziała Zarant.

Tai przez moment udało się pochwycić zarys żółtobrazowej sylwetki, rozciągniętej w skoku na przerażonego roślinożercę. Instynktownie złapała za pasy, gdy Zarant zawróciła na czubku skrzydła, które musnęło jedno z karłowatych drzewek porastających sawanną. Z cienia wyskoczył jakiś kształt, chybił o włos, nie sięgając skrzydła Zarant i w wielkich susach popędził ukryć się w dżungli. Ani jeźdźczyni, ani smoczyca nie widziały, jak czai się w cieniu. Naturalnie było też by go nie dostrzegło, zanim nie padłoby jego ofiarą.

Zarant syknęła, zła, że tego nie przewidziała; z pyska w ślad za bestią wyleciał jej

płomyk — pozostałość po ostatnim Opadzie.

Uważaj, kochanie! Skóra będzie mniej warta, jeśli ją przypalisz, zawołała Tai.

Zarant, choć rozmiarami przewyższała wszystkie zielone, nie straciła zwawości, która była najcenniejszą cechą smoków tego koloru. Zapikowała z taką szybkością, że dziewczynie zaparło w piersiach. Dostosowując się do rytmu skoków kotowatej bestii pochwyciła ją w połowie odbicia. Tai poczuła, jak potężne mięśnie Zarant naprężają się, a potem rozluźniają. Spojrzała przez ramię i bezwładne cętkowane ciało leżące na równinie ze złamanym grzbietem.

A teraz drugi! wrzasnęła Zarant, zwinęła w lewo i zawróciła ku pierwszemu drapieźnikowi, którego wypatrzyły. Właśnie dopadał bydła, nieświadom, że jego kompan — łowca już nie żyje.

Najskuteczniejszą i najbezpieczniejszą taktyką był atak od tyłu, jaki właśnie zastosowała Zarant. Nadleciała tak, by jej cień nie ostrzegł drapieźcy przed pościgiem. Nagle, w momencie, gdy wielki kot skoczył i wyrzucił łapy w górę, chcąc rozorać zad galopującego zwierzęcia, pazury Zarant schwyciły go szyję. Smoczyca jednym szybkim ruchem skręciła mu kark.

Nie najgorsze łowy, powiedziała Tai, zadowolona z upolowana pary. Miały dwa piękne okazy, które się dobrze sprzedadzą, chyba że Zarant przypaliła tego pierwszego. *Polujemy dalej?*

Monarh mówi, że już po wszystkim. Duże stado, ale pół skrzydła wystarczyło, powiedziała Zarant, krążąc nad drugim cielskiem a potem przenosząc je niemal z pogardą dokładnie tam, gdzie leża pierwsze. *Te są moje!* oświadczyła zazdrośnie.

Nikt temu nie zaprzeczy, ale ja biorę skóry.

Obdzieranie zwierząt ze skóry to ciężka praca. Tai przestało być tak wesoło.

Pomogą ci, ofiarowała się Zarant.

Jeśli obiecasz, że mnie dalej nie obślinisz ani nie będziesz ich przy mnie oblizywać, odparła Tai z udawaną surowością. W upalny dzień, na otwartej przestrzeni nie było gdzie się skryć przed wszystkimi szkodnikami, które zlecą się, gdy poczują krew. Ale dwie skóry będą warte niewygód, powiedziała do siebie.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie wrzucić zdobyczy na Zarant i nie przewieźć jej do podnóża gór, gdzie będzie chłodniej i mniej owadów. Ale kiedy znalazła się obok nich na ziemi, natychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. Bestie okazały się ogromne. Była silna, ale nie dałaby rady zarzucić tych bezwładnych ciał na smoczy grzbiet. Pierwszy był mniejszy, z innego gatunku, cały cętkowany. Drugi — podpalany, żółtobrazowy, z paskami na łapach.

Spostrzegła, że to dwie samice o nabrzmiąłych sutkach. Westchnęła na myśl, że więcej takich potworów dorośnie i będzie prześladować stada.

Zdjęła kurtkę, powiesiła na niskim krzaku i wyciągnęła zza cholewy ostry nóż.

Podnieś tę pierwszą, dobrze? powiedziała. I pamiętaj, dostaniesz mięso prędzej, jeśli nie będziesz nim poruszać i mnie nie obślinisz.

Wiem, wiem, padła odpowiedź, ale Zaranth miała mnóstwo śliny w pysku, gdy podnosiła pierwsze zwierzę za głowę, tak by Tai mogła je rozciąć u podstawy grubego gardła. Jednym ciosem noża doszła do tylnych nóg. Zaranth i tak śliniła się przy tej pracy. Tai cała się spociła. By skierować myśli w inną stronę, jeszcze raz zaczęła rozmyślać o F'lessanie i o jego zainteresowaniu astronomią. Czy wybierze sobie ten zawód, gdy będzie już po Niciach? Może jeszcze się kiedyś spotkają. Skarciła się za tę myśl. Był dowódcą skrzydła z Bendenu, synem Lessy i F'lara i mimo szczerych zapewnień, że zielone smoczyce są niezbędne w każdej formacji, ich drogi na pewno już się więcej nie skrzyżują. Skupiła się na robocie. Zielona powoli wachlowała skrzydłami, by przegonić chmury owadów zwabionych zapachem mięsa i krwi. Najbardziej natrętne atakowały między jednym a drugim ruchem skrzydła.

Pić się chciało przy tej pracy, było strasznie gorąco i Tai żałowała, że nie zabrała z domu butelki z wodą. Za bardzo się spieszyła, by zdążyć na zew T'gellana. Wzięła głęboki oddech, a Zaranth obróciła kota, by dziewczyna mogła ściągnąć skórę z bezwładnego ciała. Masa owadów okryła natychmiast skórę, smoka i człowieka, a Zaranth, warcząc i dziko wymachując skrzydłami, odrzuciła martwe zwierzę jak mogła najdalej.

Gdy smoczyca na chwilę przerwała wachlowanie, całe chmury owadów przypadły do krwi na ramionach Tai. Zerwała szeroki liść z płożącej krzewinki i wymachując nim wokół siebie wspięła się ma pagórek, by zobaczyć, jak udało się polowanie reszcie skrzydła. Chciała odpocząć przed ciężką pracą przy obdzieraniu ze skóry drugiego kota.

Przysłaniając oczy ręką, dostrzegła, że dwa smoki wciąż unoszą się w powietrzu, starając się wypłoszyć kotowate z bezpiecznych gęstych zarośli otaczających płaskowyż. Na ziemi naliczyła osiem smoków, czekających, aż smakowite jądło zostanie obdarte ze skóry. Trzy już jadły. Chmura kurzu osiadająca na pomocnym wschodzie oznaczała, że bydło, choć głupie, już się uspokoiło. Duże stado. Pochwyciła wzrokiem kolorowe plamy koszul i jeźdźców galopujących w ich stronę; to pasterze z Cardiff pędzą za spłoszonym bydłem. Dzielni ludzie, pomyślała, nie boją się, że zaatakuje ich któryś z niedobitków ze stada kołowatych. Jeden z jeźdźców pozdrowił okrzykiem Tai stojącą na wzgórzu i zwrócił wierzchowca w jej stronę. Na plecach miał krótki łuk i kołczan ze skóry whera, pełen haczykowato zakończonych strzał, używanych do polowania na kotowate.

— Dzięki za szybki ratunek — powiedział, zatrzymał się obok i zeskoczył z siodła. — Jesteś Tai, prawda? A to Zaranth? Szliśmy stadem od świtu. W nocy spłoszyła je burza i głupie bydlaki miały tylko tyle rozumu, by skierować się w stronę największego stada kotowatych w okolicy Cardiff. Polujemy na nie, ale i tak się mnożą. Widzę, że dopadłaś dwa. Wielkie samice!

— Ano, widzisz. Obie z małymi.

Zaklął pod nosem i przetarł czoło rękawem czerwonej koszuli, l

— Będzie więcej cholernych zabójców. W dodatku robią się coraz mądrzejsze.

— Ale nie od smoków — uśmiechnęła się Tai z dumą. Szybko jednak zamknęła usta, by nie wleciały do nich kłębiące się owady, które śmigały nad nimi i nad spoconym wierzchowcem. Energiczniej pomachała liściem, by rozproszyć rój.

— Ale paskudztwa, co? — skomentował mężczyzna z niesmakiem, powachlował się kapeluszem o szerokim rondzie, wyciągnął z kieszeni wielką, brudną chustkę i otarł nią opaloną, spoconą twarz. Nie znała go, ale nie zdziwiło jej, że on ją zna; gospodarze z Cardiff] bardzo starali się znać imiona wszystkich jeźdźców z weyrów nad Zatoką Monako.

— Jestem Rency, czeladnik z Warowni Cardiff— powiedział, zezując pod słońce. — To duża sztuka zatłuc dwa na raz, dodał z szacunkiem.

— Pierwszą dopadłyśmy przypadkiem — powiedziała swobodnie. — Zaranth jest szybka.

— To widać.

— Druga nie wiedziała, że współniczka nie żyje i pochwytyliśmy ją od tyłu.

Zaśmiał się, doceniając taktykę, ale lekceważący ton Tai nie umniejszył jego szacunku.

— Słyszałem, że z wandalami też potrafisz sobie radzić — powiedział, dotykając własnego policzka na znak, że wie, skąd się wzięło skaleczenie. Odczepił od siodła bukłak z wodą i podał dziewczynie. Wachlował ją, gdy piła.

— Dzięki — powiedziała, odświeżywszy się zimną wodą. To nie był bukłak, tylko jeden z tych nowych termosów. Marzyła, żeby taki mieć. Mnóstwo kosztowały i trzeba było zapisać się na listę oczekujących. Ale dzięki tym dwóm skórom jej szansę wzrosną.

— Wypij do dna, Tai. Woda jest niedaleko. Pomóc ci oskórować tę drugą? — uśmiechnął się szeroko. — We dwójkę pójdzie szybciej.

Kiwnęła głową, uśmiechając się z wdzięcznością. Kiedy zdejmował łąk i kołczan, pociągnęła drugi, dłuższy łyk, starannie zatkała naczynie i oddała właścicielowi.

— Wiesz, ile sztuk zabiła reszta smoków? — spytał, idąc przodem ku drugiej kocicy.

Zaranth nawet nie podniosła głowy znad jedzenia.

—Widziałam jedenaście smoków na ziemi. T'gellan wezwał pół skrzydła. Dwa jeszcze polują. — A ty załatwiłaś dwie! — powtórzył.

Rozciąła skórę na przednich nogach, a on sprawnie oporządził tylne.

— Próbowaliśmy dogonić tę część stada — wyjaśniał ze złością przez zaciśnięte zęby. — Chcieliśmy je zawrócić, zanim dojdą do granicy dżungli. Kotowate rzadko polują o tej porze dnia, ale jeśli te dwie miały małe, to zaatakowały z głodu, gdy tylko spostrzegły jedzenie na czterech nogach.

Westchnął z rezygnacją i odwrócił się, by spojrzeć na gęsty las, mieniący się różnymi odcieniami zieleni liści, pierzastych, gładkich i kolczastych otaczający płaskowyż. Lekki wiatr kołysał najwyższymi, giętkimi gałęziami. Mężczyzna otarł czoło i policzki. Pokręcił głową.

— No cóż, jakbyśmy nie mieli tu tyle bydła, wytropilibyśmy te małe i wyfluklibyśmy je, zanim same zaczną polować. — Przerwał. — Za to będą miały szansę, tak jak wszyscy inni.

— Może pomóc wam zawrócić stado w bezpieczniejsze miejsce? — spytała Tai, gdy oderwali skórę od nóg i kadłuba. Rency był niemał tak dobrym pomocnikiem, jak Zaranth.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni — odparł.

Bydło bało się smoków w powietrzu tak samo jak kotowatych na ziemi, więc zaganianie polegało jedynie na kierowaniu smokami tak, by ich cienie dodatkowo nie płoszyły zwierząt.

— Nie ma sprawy. Najedzone smoki i tak nie polecą *pomiędzy* — stwierdziła. — Dlaczegoż by nie pomóc wam zagnać stada tam, gdzie trzeba — dodała, wiedząc że dzisiejszy łup wystarczy Zaranth na cały siedmiodzień.

— Wystarczy, jeśli je dobrze nakierujesz, Tai — powiedział. — Tam jest wąwóz — wskazał na północny zachód — i woda. Pogoń je w tamtą stronę i tyle.

— Nie ma sprawy — odparła.

Bądź tak miła, przerwij na moment to obżarstwo i powtórz Monarhowi, o co chodzi, powiedziała do smoczycy.

Sam mi powiedział, odparła Zaranth, wsadziła sobie ogon pyska, wysssała go i oblizała wargi.

— Szybka robota, co? — zauważył z zadowoleniem Rency. Tai uśmiechnęła się.

— Monarth powiada, że chętnie wam pomożemy. Dziś pół skrzydła dobrze się najadło.

Tylko ja upolowałam dwa koty. Zaranth, której fasetkowe oczy lśniły pomarańczową barwą, oznaczającą zadowolenie, nonszalancko podeszła do nich, oczekując na drugie danie.

Rency i Tai oderwali resztę skóry od ciała. Kiedy ją zwinęli, czeladnik podszedł do swojego wierzchowca, którego przywiązał nieco dalej, by ten nie bał się smoka. Tai, pozwalając Zaranth zająć się krwawym posiłkiem, poszła za nim w nadziei, że oddali się od najgęstszego roju owadów. Rency podał jej wodę i ręcznik.

— Napij się, a potem spróbujemy zmyć trochę posoki. Mówiłem, woda jest blisko — poradził i Tai z wdzięcznością trochę się opłukała.

Nieco mniej oblepieni brudem poszli na szczyt pagórka. Choć zmyli większość krwi, falangi insektów rozpoczęły nową inwazję, tak że musieli zacisnąć zęby i zmrużyć oczy. Wymachując jak szalony kapeluszem, Rency z zadowoleniem obserwował, jak pozostali jeźdźcy ładują skóry na smocze grzbiety. Nagle masa owadów zniknęła w jednej chwili. To Zaranth skończyła jeść i szeroko rozpostarła skrzydła, rozpraszając rój.

Mogę już lecieć, czekam tylko na ciebie, oświadczyła smoczyca, po raz ostatni oblizując wargi.

— Pożyczyć ci linę? — spytał Rency.

— Będę bardzo wdzięczna — podziękowała. Rzemieni jeździeckich starczyłoby na jedną skórą, ale nie na dwie.

— Sprawdź, czy jakiś robak nie wgryzł ci się pod skórę — poradził.

— Na pewno sprawdzę — odparła przez zaciśnięte zęby.

Sprawnie zamocowali skóry po obu stronach drugiego wyrostka szyjnego Zaranth. Lot po prostej był czasochłonny, ale kiedy zagonią stado, będzie mogła się wznieść wysoko, gdzie jest chłodno i nie ma owadów. Tai wyciągnęła rękę do mężczyzny, dziękując mu za pomoc i pożyczenie linki, a potem skoczyła na smoczy grzbiet.

— Cała przyjemność po mojej stronie, jeźdźczyni smoka — powiedział Rency i odsunął się, wachlując kapeluszem i obserwując owady obsiadające skóry.

Zabierz nas stąd, zanim zjem jakiegoś robala, Zaranth, poprosiła Tai, wymachując rękami jak wiatrak.

Dobrze się najadłam, powiedziała z zadowoleniem smoczyca, a Tai poczuła, jak w jej brzuchu wzbiera pełne satysfakcji beknięcie, wędruje do gardła i wydostaje się na zewnątrz.

Co za brak wychowania, skarciła ją Tai z udawaną surowością. Zaranth skoczyła w niebo, a potem elegancko machnęła skrzydłami, aż wierzchowiec Rency'ego skoczył do tyłu w nagłym ataku przerażenia.

Zmykamy stąd, bo ten człowiek będzie musiał ścigać własnego biegusa. Nagle znalazły

się poza zasięgiem kąsających owadów, w chłodnym powiewie wiatru.

Monarth jest w powietrzu, Path też, poinformowała ją Zaranth i ruszyła w ich stronę. Mamy się szeroko rozproszyć i zaganiać bydło od tyłu.

Nie pierwszy raz robimy za pastuchów, mruknęła z urazą Tai. Żałowała, że w brzuchu ma tylko parę łyków wody; zapomniała o południowym posiłku.

Z tej wysokości było dobrze widać pastuchów w kolorowych koszulach galopujących po trawiastej równinie i zawracających bydło z drogi.

Dobrze będzie popływać, jak stado zawróci.

Oj, tak. Po drodze do Zatoki Monako było mnóstwo gościnnych zatoczek i drzew obwieszonych dojrzałymi owocami.

Zresztą dzień i tak był całkiem udany, nie licząc tych owadów, pomyślała Tai. Trzeba będzie poświęcić trochę czasu na czyszczenie i rozpinanie futer, ale kiedy do kupców dotrze wiadomość o dzisiejszym polowaniu, może uda się sprzedać je jeszcze przed garbowaniem. Któregoś dnia zostawi sobie najpiękniejszą skórę — podobały jej się takie srebrzyste, zaledwie z cieniem pasków — ale na razie jej łupy radowały oczy i ciała mieszkańców pomocy.

CZĘŚĆ DRUGA KATASTROFA

(WSZYSTKO WYDARZYŁO SIĘ TEGO SAMEGO DNIA)

WAROWNIA RUATHA, 12.04 RANO CZASU LOKALNEGO, 1.9.31

Sharra wyszła z chaty i ciasno owinęła się płaszczem. Było bardzo zimno, ale wiatr, który potrafił ciąć jak nożem na szerokiej drodze wiodącej do Warowni, przycichł wreszcie. Była zmęczona po całej nocy spędzonej przy chorym, ale zadowolona, że tkacz wyliże się z ran odniesionych po wypadku. Po raz kolejny dziękowała w myśli Assigi za wiedzę medyczną, która przetrwała w jego pamięci. Udało jej się naprawić ścięgno w ręce Possila — nie umiałaby tego pięć Obrotów wstecz — i zaszyć poszarpaną ranę. Mogła mu uczciwie powiedzieć, że będzie mógł posługiwać się tą ręką równie sprawnie, jak dwa miesiące temu.

Spostrzegła jakiś błysk. Na wschodzie! Przestraszyła się, bo instynktownie obawiano się wszystkiego, co nadchodzi ze wschodu. Ujrzała spadające gwiazdy, długie proste linie na czarnym niebie. Zatrzymała się w drodze. Nie przypominały Duchów Nowego Obrotu, mimo że te ostatnie były od niedawna niezwykle jasne. Duchy trwały na niebie przez sekundę lub dwie. Te smugi wyraźnie były dłuższe, prawie jak wstążki na niebie. Jedna jakby się zatrzymała, a potem eksplodowała.

Sharra mrugnęła. To nie zmęczenie oka po długim i trudnym zabiegu. Ale to nie mogą być Nici, powiedziała stanowczo do siebie. Jutro nie będzie opadu, a poza tym Nici są srebrzystoszare, jak deszcz i opadają w dzień. W żadnym wypadku nie przypominają ognistej smugi o pomocy.

Nie zdawała sobie sprawy, że biegnie, dopóki nie znalazła się w połowie drogi do Ruathy i nie dosłyszała niespokojnego skowytu wher–stróža.

— Mickulin! — zawołała, pamiętając, kto ma w nocy służbę: wieży strażniczej.

— Nie mam chyba omamów, prawda, lady Sharro? — w zachrypniętym szepcie Mickulina dało się słyszeć przerażenie, gdy mężczyzna wychylił się do niej zza blanków niewysokiej wieży.

— Jeśli widzisz długie białe pasma, to widzimy to samo! Pędem wbiegła na schody. — Zawołam Jaxoma. Ty obudź Branda. Ale to nie Nici, Mickulinie, i nie Duchy Obrotu. *Ruth! Ruth. Obudź się!* Obecność białego — bardzo sennego — smoka w jej myślach przepełniła ją poczuciem bezpieczeństwa. *Obudź Jaxoma. Powiedz mu, żeby zabrał lornetkę. Koniecznie musi to zobaczyć. Pospiesz się! I powiedz mu, że jest zimno.*

Mickulin przebiegł obok, uchylił wielkie drzwi do Warowni tylko na tyle, by móc się przez nie przecisnąć i ruszył budzić Zarządcę Branda. Sharra stanęła plecami do drzwi i spojrzała na wschód, w nadziei, że zdumiewające zjawisko potrwa na tyle długo, by Jaxom zdołał mu się przyjrzeć.

Znowu! Następne długie pasmo, tym razem zabarwione na żółto — Duchy były bezbarwne — i jeszcze jedno! Kolejny ślad, a potem nic.

— O co chodzi? — Jaxom z wysiłkiem pchnął drzwi. Za chwilę jak echo zabrzmiało skrzypnięcie drugich drzwi na dolny, wewnętrzny dziedziniec. To Ruth wysunął głowę ze swojego pomieszczenia w rej kuchni. Oczy białego smoka zawirowały, gdy przyjrzał się smugom na niebie.

— Do licha! — wrzasnął jego jeździec i uniósł lornetkę, by przyjrzeć się zjawisku z bliska.

— Co to jest? No, co to jest?

— To nie Nici — stwierdził zdecydowanie Jaxom — są też za jasne na Duchy, tym bardziej że według Wansora i Erragona ten deszcz meteorów jest od dawna poza nami. Wydaje mi się, że pochodzi z jednego miejsca na niebie. Trudno nakierować szkła — zaparł się plecami o skrzydło bramy i wstrzymał oddech. — Teraz trochę lepiej. Popatrz! Tylko weź się w garść, zanim spojrzysz.

Przez chwilę regulowała ostrość; lornetka była nowym nabytkiem, Jancis zaczęła je wyrabiać dopiero niedawno.

— Och, jakie piękne! I rzeczywiście promieniają z jednego źródła — dodała ze strachem.

Jaxom przyciągnął ją do siebie, dziwacznie przestępując z nóg na nogę. Zobaczyła, że jest boso.

— Przecież mówiłam, jest zimno! — wykrzyknęła.

— Jeśli nie chcesz obserwować, to ja popatrzę — odebrał jej lornetkę, którą odjęła od oczu. — Och, Wansor i Erragon będą chcieli wiedzieć o tym jak najwięcej. Ile widziałś smug?

— Nie liczyłam — odparła, urażona. Zdjęła szalik i rzuciła na kamienie. — Stań na tym. Drugi raz nie będę cię pielęgnować.

Jaxom nie patrząc stanął na szaliku.

— Osiem, dziewięć, dziesięć — szybko porachował następnych pięć błysków, obracając się, by śledzić trasę tego czegoś, co tak jasno płonęło na niebie. — Pewnie kolejny ogon komety.

— Czy Nici czasem opadają w nocy? — spytała go szeptem. Wzruszył ramionami.

— Szkoda, że nie mam kontaktu z Tippelem w Gromie. Obserwuje niebo z równym zapalem co Mistrz Idarolan i też ma lornetkę. Może też to widział. — Jaxom znowu spojrzął w instrument. — Poproszę Rutha, żeby porozmawiał z Tirothem D'rama. Trzeba powiadomić Warownią nad Zatoczką. Tam już jest świt.

Właśnie rozmawiał z Ruthem, kiedy drzwi się otworzyły i wyszedł Brand. Ujrzał długie smugi na niebie i stanął jak wmurowany, tak samo jak i pozostali.

— Jakie piękne! — powiedział.

— Tak, piękne — odparł Mickulin, wpatrując się w pięć osobnych smug, które jednocześnie zabłysły na niebie. Wyprostował się zawadiacko, różnym krokiem przeszedł przez próg, minął ich i wrócił na swój posterunek na wieży.

— Rzeczywiście — zgodziła się Sharra, która zdążyła przełamać początkowy lęk. Oparła się o Jaxoma, który przytulił ją mocniej i podał lornetkę Brandowi.

— Zanotowałeś czas, Brandzie?

— W przelocie, Jaxomie — odparł zarządca, skupiony wyłącznie na widowisku na niebie. — Co by to nie było...

— Pewnie meteoryty, jeśli dobrze pamiętam lekcje u Assigi — stwierdził Jaxom.

— Wygląda na to, że lecą ze wschodu na zachód, ale — Brand obrócił się, śledząc lot kolejnego deszczu — jak duże jest prawdopodobieństwo, że spadną na ziemię?

— Prawdopodobnie spalą się w atmosferze — oświadczył Jaxom niemal z żalem.

Ładne, powiedział Ruth z podwórka. Powiedziałem Jthroowi. Powtórzy D'ramowi, który biegnie w kółko i jest bardzo przejęty.

— Możliwe, że zjawisko ma szerszy zasięg niż nam się wydaje — powiedział Jaxom. — Brandzie, obserwuj dalej, dobrze? Chyba pójde się ubrać.

— Chyba się jeszcze nie rozebrałeś — zauważyła uszczypliwie Sharra, widząc, że ma na nogach spodnie, które nosił od rana.

— Nie do końca — rozchylił tunikę i pokazał jej, że nie ma koszuli. — Czekałem, aż wrócisz. Udało ci się z ręką Possila?

— Tak, dzięki Assigi.

— Być może polecę na Ładowisko, kochanie — powiedział Jaxom. — Ale ty potrzebujesz snu.

— Ty za to wcale? — zapytała z wyrzutem, gdy prowadził ją do wnętrza Warowni.

— Znasz mnie. Odpocznę dopiero, gdy dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Jeśli D'ram biegnie po Warowni nad Zatoczką, to znaczy, że widzimy coś więcej niż tylko

spadające gwiazdy.

WEYR TELGAR, 4.04 RANO CZASU LOKALNEGO, 1.9.31

H'nor i stary brązowy Ranneth pełnili nocną służbę na Krawędzi Telgaru, gdy jeździec dostrzegł malutkie światełka nisko nad horyzontem na południowym wschodzie. Zamrugał i odwrócił wzrok. To nie mogła być Czerwona Gwiazda; aż za dobrze wiedział, jak ona wygląda. Poza tym nie mogłaby zaświecić na wschodzie: kiedy zepchnięto ją ze starej orbity, znajdowała się na północno-północnym zachodzie. Już nigdy nie zrzuci na Pern tych przeklętych Nici. I nie sposób, żeby to draństwo przeskoczyło nagle z powrotem na wschód.

Podniósł do oczu lornetkę — obecnie obowiązkowe wyposażenie jeźdźca strażnika i zaczął dokładnie przyglądać się rozbłyskom. Przypominały deszcz; czy to możliwe, że tryskały z jednego źródła? Duchy Obrotu wyglądały zupełnie inaczej — były blade i przecinały całe niebo, a poza tym widać je było na północy, bliżej lodowej połaci. Poczuł się nieswojo.

Porzucił wygodną pozycję na górnej łapie brązowego Rannetha, ale nie przerwał obserwacji przez lornetkę. Znów kolejna jasna, długa smuga. To na pewno nie Duchy. Za długo świecą.

Co to jest? — dopytywał się wyrwany z drzemki Ranneth. Miał już wiele Obrotów i zasypiał kiedy tylko mógł, ale zbudził go ewidentny niepokój jeźdźca. Odwrócił głowę w tym samym kierunku co H'nor i był równie zdziwiony widokiem. Aż przysiadł na tylnych łapach. *To ogień, ale co może się palić tak wysoko nad Pernem?*

H'nor przełknął ślinę.

Nie wiem.

Czasem z nieba spadał metal, na tyle duży, by spowodować szkody. Kiedyś wybił wielką dziurę w Stacji Kurierów w Kole.

H'norowi nie było łatwo pogodzić się z faktem, że Siostry Świtu to statki, które ongiś przywiozły Starożytnych na Pern. Istnienie Assigi również go niepokoiło. Był za stary na takie skomplikowane sprawy. Nie chciał, by z nieba spadały płonące przedmioty, zanim on i Ranneth pójda na emeryturę do ciepłego, wygodnego weyru na Południu. Jako strażnik, miał obowiązek ogłosić alarm, gdy zauważy coś niezwykłego — a to wydarzenie z pewnością można było tak określić.

Zawiadom Willertha, poprosił swojego smoka. Cieszył się, że ostatnio zmienił się Przywódca Weyru i został nim młodszy spizowy jeździec, J'fery. Ze starym R'martem coraz trudniej się współpracowało i dobrze, że przeniósł się na Południowy, gdzie czekały go mniej

odpowiedzialne zadania. Towarzyszyła mu Bedella ze swoją królową, która od trzech Obrotów nie wzniosła się do lotu godowego. *Przy okazji powiedz też Ramoth. Benden powinien o tym wiedzieć.*

Powiem też Tirothowi w Warowni nad Zatoczką.

Tak, tak, jego też zawiadam. Wszyscy powinni wiedzieć o takich rzeczach.

WEYR BENDEN, 6.04 RANO CZASU LOKALNEGO, 1.9.31

Smok–wartownik przysiadł na tylnych łapach i zatrząbił ostrzeżenie, gdy błyszczące iskry pojawiły się na niebie niemal nad jego głową. Ponieważ w Bendenie prawie świtało, alarm zaskoczył sporą grupkę mieszkańców Weyru, którzy jedli śniadanie w Niższych Jaskiniach. W tym momencie Ramoth przekazała Lessie wiadomość od Willertha z Telgaru; Lessa zerwała się na równe nogi i pociągnęła F'lara za tunikę, by poszedł razem z nią. Wszyscy obecni wybiegli do Niecki w ślad za Władcami Weyru, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

— To nie Duchy! — zawołała Lessa i zatrzymała się tak gwałtownie, że F'lar musiał zrobić unik. Nic dziwnego, że smok–wartownik podniósł alarm: na niebie pojawiły się długie, płomienne wstęgi, niemal wprost nad Bendenem. Nagle wszyscy drgnęli; to wybuchła kolejna smuga — jakby od wielkiej kuli odpadł mały kawałeczek.

— Na pewno nie! — zgodził się F'lar, wpatrując się w niebo i jednocześnie rozcierając zmarznięte ramiona swojej towarzyszki weyru.

Willerth nie mówił, że to Duchy, przypomniała Ramoth i dodał; zaskoczona: *Ruth twierdzi, że nad Ruathą też coś jest i Jaxom uważa, że to nie Duchy*.

Teraz już wszystkie smoki w całym Weyrze wpatrywały się w niebo. Ich oczy zaczęły wirować z podniecenia — całe wnętrze wygasłego krateru znalazło się w kręgu barwnych, plam. F'nor i F'les przyłączyli się do przywódców Weyru, spoglądając na zjawisko, które wciąż strzelało płomieniami.

— Te wszystkie płomienne strzały — Lessa wskazała dłonią — pochodzą jakby z jednego źródła.

— Chciałbym wiedzieć, z jakiego — powiedział F'lessan, przyglądając gęste włosy z nietypową dla siebie nachmurzoną miną.

— To ty studiowałeś astronomię — oświadczył F'lar, zwracając twarz ku synowi, ale nie odrywając oczu od feerii kolorowych świateł.

— Ale nie zajmowaliśmy się takimi rzeczami — odparł F'lessan. — To może być meteor spalający się w atmosferze. Niejeden już do na dotarł.

— Tak, Stacja Kurierów w Kole to niezapomniany przypadek! — i mruknął kwaśno F'nor.

— Czy są szansę, że spadnie na nas? — spytała Brekke, zaciskając dłoń na ramieniu F'nora.

— Powinien się chyba poruszać? — w głosie Lessy zabrzmiało lekkie zdenerwowanie. — Mam wrażenie, że wisi wprost nad nami.

— To tylko złudzenie — odparł F'lessan, starając się, by jego głos brzmiał pewnie. Zobaczył, jak F'lar unosi w górę brew i wzruszył ramionami. — Pewnie za moment zniknie. Choć Duchy zwykle przelatują z zachodu na wschód. Kiedy je widać.

— Ale są bledsze — odparła Lessa. — A to jest coraz jaśniejsze! —zadygotała.

F'lar otoczył ją ramionami, by zapewnić jej choć trochę ciepła w zimowy poranek.

Jest bardzo wysoko, stwierdziła Ramoth. *Robi się coraz jaśniejsze*, dodała i opuściła na oko pierwszą ochronną powiekę.

Zgadzam się. Zimowe Duchy są jeszcze wyżej, dodał Mnementh.

Jak myślicie, czy z Yoko będzie to widać? spytała Lessa. *Czy jest za bardzo na północ, poza zasięgiem czujników?*

Tiroth mówi, że zabiera cztery osoby na Lądowisko na obserwację. W głosie Ramoth zabrzmiało zaskoczenie.

Lessa też była zdziwiona, gdy powtórzyła tę wiadomość otaczającym ją jeźdźcom.

— No cóż, Wansor koniecznie powinien tam być i ten jego czeladnik także. Jak on ma na imię?

— Erragon — odpowiedział jej F'lessan.

— Właśnie, Erragon. Powinni zobaczyć raporty z *Yoko* — dokończyła Lessa.

— Ja też pojedę, w imieniu Bendenu — szarmancko zaofiarował się F'lessan.

— Sellie — złapał za ramię swojego drugiego syna, Selessana; właściwie powinien nazywać go S'lan, bo chłopiec nazaczył brązowego smoka dwa Obroty wstecz. Sellie wybiegł na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje. Był równie ciekawski, jak F'lessan w jego wieku. — Pobiegnij po mój sprzęt. Pierwszy stół na lewo. — Chłopiec popędził, by wypełnić polecenie.

— Erragon ma ten wielki teleskop — stwierdził F'nor.

— O świcie przerywa obserwacje — skrzywił się F'lessan. — Na co najmniej dwie godziny.

— Czyżby miał nie widzieć takiego zjawiska? — Lessa wskazała w górę. Wydawało się, że smugi zniknęły, ale za chwilę przedświt rozjaśniła kolejna eksplozja. — Przecież to nie wzięło się znikąd, prawda?

— Mamy raporty o podobnych zjawiskach — powiedział F'nor z celową obojętnością, by nie denerwować Brekke, która stojąc obok niego cała się trzęsła. — Wejdzmy do środka.

— Pójdzie sobie, jak nie będziemy patrzeć? — spytała Brekke, uśmiechając się do

niego z uczuciem, ale usłuchała i weszła do Weyru.

— No cóż, sprawdzę, co to jest według *Yoko* — oświadczył F'lessan i wezwał Golantha ze skalnej półki. Zakładając uprząż, którą Przyniósł mu S'lan, nie odrywał oczu od długich wstęg na niebie. Wcisnął na głowę hełm.

— Ale to nie spadnie na Weyr, prawda? — spytał jego syn, nerwowo przełykając ślinę.

— Mnementh twierdzi, że nie — pocieszył F'lar wnuka. — Idź skończyć śniadanie, młody S'lanie.

Brązowy jeździec posłusznie wrócił do jaskini.

— Ciekaw jestem tego raportu z *Yoko*, F'larze — mruknął F'lessan. — Może to coś tylko przemyka się przez górną warstwę atmosfery i stąd te płomienie.

— Ale nie jesteś pewien — powiedziała Lessa, przechylając głowę, by zajrzeć w oczy synowi.

— Nie, ale nie wiem jeszcze bardzo wielu rzeczy o niebie nad Pernem — przyznał ze swoim zwykłym rozbrajającym uśmiechem.

— Myślałem, że jednak używasz tej nowomodnej lornetki, i dostałeś od Jancis — powiedziała.

— Ależ używam, Lesso, używam — potwierdził, gdy Golañth elegancko wylądował na czterech łapach w Niece tuż za jeźdźcami! — Ale zostawiłem ją w Honsiu! Polecimy więc na Ładowisko i tam dowiem się wszystkiego. — Odbił się sprężyste i wskoczył na grzbiet swojego smoka.

Lessa zamrugła.

— Aha! Arwith Talliny mówi, że T'gellan też leci na Ładowisko.

— Już mnie nie ma. Golanth będzie informować Ramoth. — F'lessan uniósł dłoń pożegnalnym gestem, wielki spizowy smok podbiegł kilka kroków, by wystartować i w jednej chwili zniknął.

— Musisz zamienić z nim słówko — krzywiąc się lekko, mruknęła Lessa do F'lara.

— Dlaczego?

— Nie powinien tak szybko startować i zniknąć na długość skrzydła od ziemi. To zły przykład dla młodych jeźdźców.

F'lar uśmiechnął się szeroko i konspiracyjnie rozejrzał się dokoła.

— Nie było ich w pobliżu, a poza tym jest jeszcze za ciemno, żeby go ktoś zobaczył.

Obdarzyła go gniewnym spojrzeniem:

— Nie sądzę, żeby zwrócił na to uwagę. A poza tym S'lan mógł go widzieć. Wiesz,

jak bardzo chce go naśladować.

— Chodźmy dokończyć śniadanie. Dopóki można.

— Kiedy to coś świeci nam nad głową?

— I co z tego? Widzieliśmy slajdy. Jeśli na nas spadnie, będziemy bezpieczniejsi w dolnych jaskiniach niż na zewnątrz. A poza tym jest zimno.

Lessa uznała, że ma rację. Rzucając ostatnie spojrzenie na trzy ogniste smugi, które właśnie się pojawiły na niebie, przytuliła się do niego szukając ciepła i weszli do jaskini.

CECH HARFIARZY, 1.00 RANO CZASU LOKALNEGO, 1.9.31

Sebella obudziły bębny z wiadomością z Telgaru. Leżąca obok Menolly jęknęła:

— Co tam znowu?

— Spadające gwiazdy, nieoczekiwane, potwierdzić. Co potwierdzić? — spytał Sebell, ściągając z krzesła ciężką szatę.

— O tej porze? Nie można poczekać do rana? — sennie narzekała Menolly.

— Pewnie można — odpowiedział Sebell, zaciągając mocno pas ze względu na zimno. — Ale Larad rzadko bywa nerwowy. — Podszedł do okna sypialni. Na wschodzie niczego nie było widać, bo skały wokół Warowni Fort zasłaniały perspektywę. W Warowni zapaliło się światło.

Groghe! Wypowiedział to imię w myślach. Stary lord źle sypiał po nocach, więc słyszał wszystkie komunikaty bębnowe i zawsze chciał znać szczegóły. Sebell westchnął.

— Śpij dalej, Menolly — powiedział cicho i z głębokim uczuciem, jakie żywił dla swojej utalentowanej partnerki, patrzył, jak wtula się w wygrzane miejsce, które właśnie opuścił. Wziął ręczną latarkę, znalazł futrzane kapcie i poszedł ku schodom.

Ronchin, który miał służbę, zapalał właśnie światła. Wskazał na okno. Sebell wyjrzał i zobaczył postać zbiegającą po schodach ku krótkiemu tunelowi, który łączył Warownię i Cech. Pewnie Haligon, posłaniec Groghego. Nie zdziwił się, widząc, że na wielkim dziedzińcu cechowym siada smok. Gestem pokazał Ronchinowi, by zdjął ciężką zasuwę z wielkich drzwi i uchylił jedno skrzydło, żeby wpuścić gości.

— Ruth i Jaxom wezwali mnie do Ruathy — powiedział gorączkowo N'ton. — Na wschodzie pojawił się meteoryt albo kometa i coś za nim leci. Widziałem przez lornetkę Jaxoma. To nie jest spóźniony Duch i na pewno nie jest to powrót Czerwonej Gwiazdy, bo widać to na wschodzie.

— Czerwona Gwiazda? — Haligon, który właśnie wszedł do Cechu, powtórzył te słowa z ironią i niewiarą. — Niemożliwe. Ojciec uważa, że to robota fanatyków.

— Ale przecież nie to — pokręcił głową N'ton. — Rozmawiałem z Sharrą, bo Jaxom z Ruthem polecili prosto na Ładowisko. Doniesienia o tych płomienistych smugach przyszły z Telgaru, Bendenu, Zatoczki i Ładowiska. Pewnie będzie ich więcej, Sebellu, więc postanowiłem cię powiadomić.

— W takim razie co to jest? — spytał Haligon, poprawiając pospiesznie włożone ubranie i starając się, by na jego twarzy czujność przeważała nad sennością i zeszywnieniem

z zimna.

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć — odpowiedział mu Sebell i zaprosił ich do swojego gabinetu. — Ronchin, przynieś nam klahu, dobrze? Jestem pewien, że Cech Harfiarzy pierwszy się dowie, co to za zjawisko nie daje nam spać dziś w nocy — przegarnął żar i dorzucił nieco czarnego kamienia.

— Ale to nie ma nic wspólnego z fanatykami, prawda? — spytał Haligon. — Mówiłem ojcu, że to niemożliwe.

— Jakim cudem? — spytał lekko zirytowany N'ton. Grogne we wszystkim widział robotę fanatyków. Jeździec podszedł do wielkiej mapy Pernu i wyjaśnił, wskazując palcem: — Widział to strażnik w Weyrze Telgar i w tym samym czasie pojawiło się wprost nad Bendenem, było też widoczne z Warowni nad Zatoczką i z Ładowiska. To znaczy, że zjawisko jest bardzo wysoko, prawdopodobnie pobad atmosferą. Wątpię, czy sam Assigi potrafiłby przygotować taki spektakl w tak ogromnej odległości. Powiedz więc Lordowi Groghe, by zapomniał o fanatykach. Ramoth powiada, że F'lessan z Golanthem polecili na Ładowisko. Będą ją informować na bieżąco. Dowiemy się o wszystkim jednocześnie z nią.

Haligon zamyślił się; pewnie zastanawiał się, jak uspokoić ojca.

W tym momencie weszła Menolly w szlafroku, niosąc tacę z parującymi kubkami pełnymi klahu.

— Nie chciałem cię obudzić — powiedział Sebell.

— To nie byłeś ty, ale buty Haligona — popatrzyła z udawanym gniewem na młodego lorda i zaczęła rozdawać kubki. — Bardzo troszczysz się o starego lorda, to widać — dodała spokojnie, z aprobatą.

— W takim razie zjawisko pochodzi spoza Pernu — zakończył Sebell. — Na pewno nie jest dziełem fanatyków.

— Niezależnie od tego, co to jest — stwierdziła radośnie Menolly, podając kubek do rąk Haligonowi — fanatycy i tak uznają, że Assigi w jakiś sposób wykombinował to przed wieloma Obrotami.

— Jak to? — spytali chórem mężczyźni. Wzruszyła ramionami.

— A może to powrót Czerwonej Gwiazdy? Wiecie, że mnóstwo ludzi uważa, że zrobiliśmy błąd, wpływając na jej bieg.

LĄDOWISKO, 10.12 RANO CZASU LOKALNEGO, 1.9.31

Pojawiwszy się nad Lądowiskiem, F'lessan przede wszystkim zobaczył całe chmary ognistych jaszczurek. Stworzonka zawsze były pobudliwe, ale tego ranka wprost oszalały i wyczyniały niesłychane napowietrzne akrobacje, a ich ostre, nieharmonijne krzyki zlewały się w przykry dla ucha zgiełk. Popisy jaszczurek nie przesłoniły jednak kolejnego wybuchu na niebie. F'lessana zdumiało, że ognista kula, która wydawałoby się zawisła wprost nad Bendenem, widoczna jest w tej samej pozycji tu, nad Lądowiskiem. Była jaśniejsza, więc pomyślał, że rzeczywiście musi się jarzyć ogniem, jeśli widać ją za dnia. Sprawiała też, że wszystko rzucało dziwne cienie, tym dziwniejsze, że padały z zachodu na wschód. Miał nadzieję, że *Yoko* wychwyci zmianę rzędu wielkości obiektu. Czy to kometa, która aż tak bardzo zbliżyła się do Pernu? Miał nadzieję, że porusza się po orbicie hiperbolicznej, dzięki której zapewni wszystkim piękne widowisko, postraszy, a potem zniknie, stopniowo pozbywając się swojej masy. Niezwykłe! Naprawdę, niezwykle zjawisko! A także podniecające, choć trochę straszne.

Zobaczył, że z *pomiędzy* wyskakują kolejne smoki. Rozpoznał Monartha i zieloną Path po jego prawej stronie. A wiać Monako też jest zainteresowane. Oho, kolejna grupa smoków. Przesłoniły mu widok na ognistą kulę rozjaśniającą północno-wschodni horyzont. Postanowił nie tracąc czasu dostać się do interfejsu i ekranów *Yoko*. Ciekawe, od kiedy ten obiekt jest w zasięgu czujników telemetrycznych starego statku. To będzie o wiele ciekawsze niż astronomiczne opisy zjawisk z dalekiej przeszłości.

Daj mi zejść, Golly.

Za dużo ludzi, powiedział Golanth i mocno uderzył skrzydłami do tyłu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca do lądowania w gęstym tłumie przed budynkiem administracji. Wokół nich nurkowały i wzlatywały zdenerwowane jaszczurki.

Posuną się.

F'lessan musiał zobaczyć ten obiekt, tę ognistą kulę czy co to tam było, podczas lądowania.

Nie mają gdzie, odparł Golanth.

Klnąc pod nosem, F'lessan popatrzył na morze głów i ciał, i na blokujący przejście krąg strażników przed drzwiami. Przebijanie się Przez tłum za długo by trwało, a on aż kipiał z ciekawości, chcąc zobaczyć odczyty telemetryczne z *Yoko*.

Ląduj na dachu, polecił smokowi.

Jestem ciężki.

Zatrzymaj się nad samym dachem, to zeskoczę. F'lessan przerzucił prawą nogę nad wyrostkiem szyjnym i lekko się kołysał, kiedy Golanth manewrował, chcąc znaleźć się wprost nad dachem. Smok uniósł przednią łapę. Obaj wyćwiczyli to do perfekcji — w ten sposób jeździec dostawał się na ziemię, kiedy smok nie mógł wylądować. F'lessan gładko zeskoczył na potężną łapę, zsunął się i zamachał nogami w powietrzu, gdy jego ręce zsuwały się wzdłuż łapy. W końcu zawisnął na szponach.

Nad samym wejściem, dodał. Zeskoczę na ziemię. Ktoś mnie złapie.

Poczuł coś twardego pod prawą nogą. Spadł na kolana i zaczął zsuwać po dachu, aż trafił na pionową rynnę. Zjechał nią i wylądował w poziomym odpływie.

— Skacz, jeźdźcze — zawołał ktoś z dołu. — Złapiemy cię. Poczuł ludzkie dłonie na cholewkach butów. Rozluźnił się i poleciał w dół. Natychmiast złapano go za kostki, potem za kolana, pozwolono mu opaść w dół, podparto uda. W chwilę później stał już na nogach i przyjmował gratulacje oraz entuzjastyczne walnięcia po ramieniu za swoją śmiałą ewolucję.

Udało się, przekazał z przechwałką w głosie smokowi, który szybował nad nimi.

— Dziękuję! Dzięki, dzięki — rzucił w tłum, odwracając się i tych, którzy stali za nim, a potem podszedł do drzwi. — Z rozkazu Weyru Benden — powiedział do dwóch strażników, którzy blokowali przejście. Tłum bombardował go tysiącem pytań. — Jestem F'lessan. Wpuśćcie mnie — huknął, by przekrzyczeć tłum.

Wpuścili i natychmiast przyjęli z powrotem pozycję obroną. F'lessan ruszył przed siebie, zastanawiając się, ile czasu stracił na ten skok. Po drodze rozpiął kurtkę i ściągnął hełm.

Ona tu jest, stwierdził Golanth.

Która „ona”? spytał go z rozbawieniem.

Obie. Wiesz, że ona studiuje gwiazdy, dodał smok. Dyżuruje w nocy w Warowni nad Zatoczką.

A więc proszę, powiadom Zaranth, że Flessan potrzebuje pomocy jej jeźdźczynie przy interfejsie.

F'lessan odwrócił się do strażników.

— Leci tu Władca Weyru Monako — musiał przekrzykiwać tłum — Wpuśćcie też zieloną jeźdźczynię Tai, jest pilnie potrzebna.

Następnie huknął do ludzi:

— Wszystko sprawdzimy i jak najszybciej damy wam znać. Monarth mówi, że widział, jak się dostałeś do środka, F'lessanie, zadudnił ze śmiechem Golanth. Oni też tak

spróbują.

Może Mirrim złamie nogę, mruknął F'lessan nielitościwie. Idąc, z udawaną beztróską pozdrowił skinieniem głowy grupę zaniepokojonych ludzi po drugiej stronie poczekalni i popędził korytarzem na prawo do interfejsu *Yokohamy*.

Za otwartymi drzwiami na końcu korytarza widać było pokój Assigi. Jak zwykle poczuł, że coś go chwyta za gardło na widok pustego ekranu, który jeszcze niedawno dał ludziom dostęp do najbardziej zdumiewającej inteligencji na Pernie. Przełknął gulę w gardle i wszedł do pomieszczenia po lewej, gdzie siedem Obrotów temu uczył się, jak zmontować komputer.

Pokój naturalnie bardzo się zmienił od tego czasu, bo zamontowano w nim urządzenia pozwalające przetwarzać wszelkie dane docierające z *Yokohamy*, ostatniego statku kolonistów. Zwykle trwał tam miły dla oka ruch; ludzie pracowali przy terminalach ustawionych w czworobok na środku przestronnej salki. Teraz panowała tam dziwna, pełna wyczekiwania cisza, a wszystkie oczy były utkwione w ścienny monitor, niewidoczny od wejścia.

— Nie możesz tu wejść — zaczął zwalisty strażnik, którym okazał się Tunge, jeden z ludzi zatrudnionych tu na stałe. Odsunął się i wyjaśnił spokojnie, ale z napięciem: — Przepraszam, spizowy jeźdźcze, ale pchają się tu wszyscy ludzie i wszystkie jaszczurki, od kiedy pojawił się ten obiekt na niebie. — W jego głosie brzmiał podziw i lęk.

F'lessan szybko sprawdził, kto jest w pokoju. Gdzie się podział Wansor? Lytol i D'ram na pewno go tu sprowadzili, by mógł zebrać dane na temat zjawiska.

— Mistrz Wansor? — szepnął do Tunego.

— Ach, on — twarz strażnika na moment rozjaśniła się w uśmiechu i szybkim ruchem głowy wskazał na korytarz. — Są w konferencyjnym, razem z Lordem Lytolem i spizowym jeźdźcem D'ramem. Tam też mają duży ekran, więc mogą mu czytać wszystkie dane po kolei.

Na małym monitorze, naprzeciwko nich mrugał napis PNO. F'lessan potrząsnął głową, próbując przypomnieć sobie, co oznacza ten skrót. Potencjalnie Niebezpieczny Obiekt? Dlaczego przyjął, że te błyski pochodzą od komety? Poniżej, pod hasłem „Analiza wstępna” widniały cyfry w ośmiu kolumnach, zatytułowanych: przybliżony czas do perigeum, odległość, prędkość, prawdopodobieństwo, wejście w atmosferę, szerokość geogr. zderzenia i długość geogr. zderzenia. Cyfry w kolumnach stale się zmieniały, malały albo w przypadku długości, rosły. W pewnym momencie wartość przybliżonego czasu do perigeum skoczyła do 5800.

Patrząc na ekran poczuł przyływ niepokoju. Kiedy ten zegar zaczął odliczać?

Przyleciał tu najszybciej, jak mógł, ale nie przenosił się w czasie. No cóż, nie spodziewał się, że nastąpił prawdziwy kryzys.

Ostrożnie przesuwiał się pod ścianą, przepychając się wśród ludzi, którzy z taką koncentracją wpatrywali się w dane na ściennym ekranie, że prawie nie czuli, jak ich odsuwa. Rozpoznał kilku techników, którzy akurat mieli wolne. Był wysoki, więc choć wcisnął się w kąt, i tak mógł obserwować monitor. Przed nim stał Stinar, oficer służbowy, a obok niego ciemnowłosa mężczyzna o baryłkowatej posturze i arystokratycznym nosie, w którym F'lessan rozpoznał Erragona, asystenta Wansora. Czemu jest tu, a nie w sali konferencyjnej? F'lessan skarcił sam siebie. Lytol i D'ram potrafią wszystko przeczytać Wansorowi, a Erragon jest potrzebny tutaj, gdzie może interpretować dane z *Yoko*. Kiedy to się skończy, złoży sprawozdanie Wansorowi, podając techniczne szczegóły tego niezwykłego zjawiska. Obaj mężczyźni ze skupieniem obserwowali transmisję telewizyjną przekazywaną przez *Yoko*.

Obraz był w maksymalnym powiększeniu: widać było jądro, otoczone chmurą pyłu. Pojawiło się okno z wyliczeniami początkowej orbity obiektu. Zamrugały kolejne dane:

<i>Wielka półoś</i>	= 33,172
<i>Okres</i>	= 195,734
<i>Niewspółśrodkowość</i>	= 0,971
<i>Perihelium</i>	= 0,953 AU
<i>Nachylenie</i>	= 103,95 st.

Ale F'lessan, wiedząc, że te liczby będzie łatwo uzyskać i później, skupił się na komecie, która wyrzucała strumienie gazu i kosmicznych śmieci. Tak, to na pewno kometa. To wyjaśnia mniejszą prędkość ruchu w porównaniu z gwiazdami. Wybuchy gazu mogą spychać kometę z kursu, dodatkowo utrudniając wyliczanie jej orbity. Co gorsza, jak to ocenić przy długiej osi biegnącej z północnej zachodu na południowy wschód? Kometa może prześliznąć się przez atmosferę i zniknąć na południu, pomyślał pełen nadziei.

Na ekranie utworzyło się następne okno zatytułowane *Przeszukiwanie*. Migwały w nim obrazy znanej F'lessanowi przestrzeni kosmicznej wokół Pernu, błyskały orbity pomniejszych planet na tle gwiazd widocznych na pomocnej półkuli.

— O co tu chodzi? — spytał Stinar Erragona, który gwałtownie mrugał, obserwując błyskawicznie zmieniające się obrazy.

— Domyślam się, że trwa poszukiwanie dawniejszych zdjęć komety. Wiesz, to

możliwe — ciągnął Erragon, marszcząc brwi z podziwu dla szybkości przeszukiwania danych — że kometa wzięła początek w obłoku Oort. — Zmusił się do uśmiechu. — Może nawet widzieli ją nasi przodkowie.

— Naprawdę?

Erragon westchnął i skupił się na jednym z bocznych pasków.

— Jest mnóstwo materiału archiwalnego. Nawet jeśli ograniczymy się do naszego systemu. Aha — wskazał na okno przeszukiwania — zdjęcia, które oglądamy odzwierciedlają kometę dwa, lub trzy tygodnie temu. Proszę bardzo — dodał i skupił się na najnowszych danych z paska.

Analiza zbliżenia

Przybliżone perigeum za	1800 sekund
Szacunkowa odległość perigeum	16 km, błąd ± 296 km
Prędkość zderzenia	58,48 km/sek $\pm 0,18$ km/sek
Prawdopodobieństwo zderzenia	48,9%
Prawdopodobieństwo wybuchu w atmosferze	1,3%
Błąd elipsy zderzenia	3698 razy 592 km
Lokalizacja i orientacja elipsy	9°pn, 18°wsch, nachylenie wielkiej półosi 130°

W tym momencie Erragon wyraźnie zdrętwiał i lekko zakołysał się na stopach, co potwierdziło złe przeczucia F'lessana po odczytaniu wartości prawdopodobieństwa zderzenia. Nie był pewien, czy wartość błędu elipsy zderzenia miała tu jakiegokolwiek znaczenie. Chyba, że kometa nagle weszłaby na parabolę wiodącą w przestrzeń. Przybliżony czas perigeum zmalał do 1500 sekund, czyli dwudziestu pięciu minut, przeliczył F'lessan. Był wściekły, że musi tu tak stać i patrzeć, w pomieszczeniu pełnym ludzi nieświadomych, co może się zdarzyć. Napięcie było niemal dotykalne, ale ludzie albo koncentrowali się na odczytach, albo bali się pytać, albo nie chcieli przerywać skupienia Stinara i Erragona.

Nowe dane z orbity synchronicznej *Yoko* nad Pernem, przy tysiącu dwustu sekundach do perigeum podały współrzędne w zakresie 71377 km, szerokości *Yoko* 45.EN, długości *Yoko* 118.4 m. Wielkość wynosiła — 5, co oznaczało dużą jasność — stale rosnącą w miarę poruszanie się ognistej kuli, która przemieszczała się teraz o jeden stopień na minutę.

F'lessan stanął obok Stinara i Erragona.

— Gdzie spadnie? — szepnął tak, by tylko oni mogli go słyszeć.

— Jeszcze nie wiadomo, czy spadnie — odparł cicho Stinar, niespokojnie przestępując z nogi na nogę i obracając głowę, tak, dotarło to wyłącznie do F’lessana.

— Błąd jest w granicach trzystu kilometrów — stwierdził Erragon, jakby to miało jakieś znaczenie.

— Gdzie? — chciał wiedzieć Stinar.

— Aktualne dane wskazują na drugi archipelag Wysp Wschodnich.

— Na wyspy czy w morze?

Stinar wyjął z kieszeni krótkofalówkę i wystukał polecenie na klawiszach. Na monitorze otworzyło się małe okno w prawym rogu i zaczęło podawać dane o prawdopodobieństwie zderzenia, które powoli przekraczało pięćdziesiąt procent, oraz elipsę błędu — wciąż malejący wąski pasek wokół wschodnich wysp, gdzie miał nastąpić nieunikniony upadek komety. Nowe okno pokazywało Morze Wschodnie i panoramę wysp obu wschodnich archipelagów widzianą z *Yoko*. Na górny archipelagu naniesiono szeroki pas.

— Raczej chyba w wyspy — Stinar lekko wzruszył ramionami.

F’lessan wiedział, że były niezamieszkane — zbyt daleko wysunięte w morze, by przyciągnąć kogokolwiek, nawet Torica. Z wyjątkiem jednej, na którą zesłano fanatyków — nikt zresztą oprócz N’toj na nie wiedział, która to wyspa.

— Nie podoba mi się to — oświadczył Erragon, którego wyraźnie przeszył dreszcz.

— Dlaczego?

— Wszystkie są pochodzenia wulkanicznego. Uderzenie może wywołać wybuchy wzdłuż całego łańcucha — stwierdził Erragon, wskazując na archipelag.

— Więc pozostaje mieć nadzieję, że to wpadnie do morza — odparł Stinar i zaśmiał się nerwowo.

— Wtedy przyniesie inne zagrożenia — powiedział Erragon.

F’lessan wstrzymał oddech. Widział wybuchy wulkanów; krater, który Piemur odkrył na najbardziej na zachód wysuniętym przylądku należącym do Warowni Południowej, ciągle wysyłał w powietrze chmury siwego pyłu, które przesłaniały słońce i zasypywały tropikalną roślinność mimo jej niezwyklej żywotności. Wulkan na wysepce należącej do bliższego Archipelagu Południowego, zwany przez Starożytnych Młodą Górą, wyrzucał w powietrze olbrzymie głązy, a po jego zboczach spływały potoki lawy, strzelając płonącymi odłamkami. Wyspy, w które miała uderzyć kometa, były o wiele większe, zadrzał więc na myśl, co się stanie, jeśli uaktywnią się wszystkie naraz. Wywoła to olbrzymie fale, które mogą zrujnować nadbrzeżne osiedla, takie jak Monako.

— Może jednak tylko nas liźnie — mruknął Erragon do Stinara, ale takim tonem, że

Flessan od razu wiedział, że to nierealne.

Spojrzał na odczyt, na którym migotały wciąż nowe konfiguracje liczb, uaktualniane przez pomiary *Yoko*.

— Ma tylko kilka minut na zmianę kursu — stwierdził F'lessan. Erragon popatrzył na niego mrugając, jakby zapomniał o obecności spiżowego jeźdźca.

— Wiesz, że twoi Władcy Weyru są w sali konferencyjnej z Mistrzem Wansorem?

A więc są tu też Lessa i F'lar? Kiedy — i dlaczego — przylecieli? Właściwie był z tego zadowolony, szczególnie że widział, co się zaczyna dziać.

— Nie wiedziałem, ale i tak wolę być tutaj i zobaczyć najgorsze. — Spostrzegł, że ramiona Erragona zadrgały, gdy zaskoczony usłyszał ostatnie słowo. — Gdzie spadnie?

— Jeszcze nie wiadomo. — Jednak F'lessan widział, jak oczy matematyka wędrują ku okienku z prawdopodobieństwem zderzenia, które wzrosło do sześćdziesięciu procent.

Wszyscy trzej wstrzymali oddech, gdy w jednej sekundzie prawdopodobieństwo skoczyło do stu.

— To w dalszym ciągu efekt małego kąta padania — stwierdził Erragon, ale zdaniem F'lessana sam w to nie wierzył. — Elipsa maleje. Czy możesz wyostrzyć obraz z *Yoko*?

W prawym rogu mapy błyskały zmieniające się współrzędne długości i szerokości, dostosowując się do skoku w dół, który kometa wykonała przed chwilą. Przy najsilniejszym powiększeniu ekran Wypełnił bulwiasty kształt komety, z gejzerami i strumieniami gazu strzelającymi w przestrzeń. Odrywały się od niej kawałki materii i powoli odlatywały w dal. F'lessan był zdumiony, mając świadomość prędkości, z jaką obiekt mknął przez przestrzeń — dziwaczne, jakby pełne godności odpadanie kawałków komety przypominało mu tańce na Zgromadzeniach.

— Nie trafi... — szepnął Stinar, nieświadomie układając obie dłonie w odpychającym geście.

— Tylko kilka stopni... — Erragon był także napięty, jakby woli mógł wypchnąć spadającą ognistą kulę na południe i wschód.

— Będzie za daleko... — F'lessan dodał swój wysiłek do mentalnych prób zepchnięcia komety z kursu, którego nikt i nic nie może już zmienić.

Nagle zorientował się, że zezuje w nagły rozbłysk na ekranie — blask komety przypominający rozbłyki słońca na powierzchni wodzie. Wielkość ogona komety miała oślepiającą wartość — dziewięć!

Na ekranie pojawił się duży napis: *120 sekund do perigeum — 105 sekund do uderzenia.*

Obraz na monitorze gwałtownie pociemniał, a napis na pasku głosił, że *Yoko* pokazuje obraz konfigurowany z wartości optycznych, podczerwonych, mikrofalowych i innych, które Erragon próbował kiedyś wyjaśniać F'lessanowi. Jądro komety nagle stało ciemniejsze, co przyniosło ulgę oczom.

Kolejny odczyt brzmiał: *20 sekund do uderzenia, kąt 12°, wielkość ogona — 9.*

Ludzie zaczęli zasłaniać oczy palcami. Przefiltrowany obraz oszczędził im oślepiającego rozbłysku, który monitor pospiesznie próbował zredukować. Na ekranie pojawił się nowy obraz — radar syntetyzujący; to *Yoko* próbowała patrzeć przez chmury.

Jeszcze chyba nie minęło dwadzieścia sekund, pomyślał F'lessan, a potem zdał sobie sprawę, że dane z *Yoko* docierają z pewnym opóźnieniem. Gdzie uderzyła kometa? W archipelag czy w morze.

Nikt się nie odzywał. Chyba wszyscy wstrzymali oddech. Ciszę przerwały drukarki wypływające egzemplarze raportów, które niezauważone wpadały do koszy i zsuwały się na podłogę. Tak jak kometa, rozrzucająca iskry nad morzem? Płonące, stopione odłamki nad archipelagiem?

Nawet obraz na ekranie jakby cofał się przed nieprawdopodobną jasnością. Zezując między palcami, F'lessan spostrzegł obraz radarowy pokazujący topografię powierzchni i kilkanaście kół na wodzie. W punkcie zderzenia powstały fale, a następnie o wiele wyższa od nich fontanna wody, gdy morze wlało się w krater, powstały przy uderzeniu. Następnie spostrzegł wyraźnie jakby ścianę poruszającą się z niewiarygodną szybkością i kolumnę czerwono-brązowej pary rozpościerającej się nad morzem, wirujące w niej i nad nią czarne płatki, a potem wielkie smugi dymu pędzące przez morze.

Ciszę w pomieszczeniu interfejsu przerywały tylko maszyny wykonujące pracę, do której je zaprogramowano; wypływały z siebie całe kolumny cyfr. Ludzie obserwujący zjawisko z trudem akceptowali to, co zobaczyli, jakby obrazy wnikały w ich źrenice były kompletnie niezrozumiałe: tworzenie się nieprawdopodobnie silnego sztormu, który rósł w górę i na wszystkie strony. Jego częścią była para wodna, opary gazu i wszystko to, z czego składała się głowa komety. Kometa najpierw zgasła, a potem wpadła w morze, powtarzał sobie F'lessan, zmuszając umysł, by uwierzył w to, co widziały oczy: kometa zrobiła dziurę, a z dziury wstała fala, która wpadła do środka i wytrysnęła fontanną wody. Nagle zmieniły się dane na ekranie:

Sumaryczne dane o zderzeniu

Prawdopodobne pochodzenie: kometa

<i>Prędkość zderzenia</i>	<i>58,51 km/sek</i>
<i>Wymiary</i>	<i>elipsoida 597 na 361 nad 452 metry</i>
<i>Objętość</i>	<i>51 milionów metrów sześciennych</i>
<i>Przeciętna gęstość</i>	<i>0,33 ± 0,11)</i>
<i>Całkowita masa</i>	<i>17 min ton</i>
<i>Pochodna energia zderzenia</i>	<i>229,7 exadzuli</i>
<i>Ekwiwalent siły wybuchu</i>	<i>7,4 gigatony</i>
<i>15" szerokości północnej,</i>	<i>12° długości wschodniej.</i>

— Wpadła do morza! — w westchnieniu ulgi Stinara zabrzmiała triumfalna nuta.

Ramoth też to widziała, powiedział Golanth do swojego jeźdźca stłumionym głosem. Wtedy właśnie F'lessan przypomniał sobie słowa Erragona, że Władcy Weyru Benden obserwują zjawisko razem z Wansorem na ekranie w sali konferencyjnej.

To wcale nie było dobrze, że kometa nie trafiła w jedną z wulkanicznych wysepek. Taka masa wpadająca w otwarte morze spowoduje mnóstwo kłopotów. Będzie fala uderzeniowa, prawda? Za ile minut? Ile szkód narobi? Czy Lądowisko jest wystarczająco daleko? Zatoka Monako leży na poziomie morza. Zaleje ją aż do linii wzgórz a to jest dość daleko i teren stale wnosi się do góry.

Próbował przypomnieć sobie wszystkie potrzebne informacje, których uczył się dawno temu. Zaczął przywoływać w myśli całe zdania, akapity i nieważne szczegóły.

W trzewiach z każdą sekundą narastał zimny strach. Popatrzył na ekran, gdzie kipiała olbrzymia, czerwonobrazowa chmura, zasłaniając szczegóły. Powinni wiedzieć, co tam się dzieje na morzu, pomyślał spizowy jeździec. Jest coś takiego...

Nagle wszyscy w sali odzyskali zmysły i mowę. Gdyby ludzie naokoło przestali jazgotać na temat tego, co widzieli, mógłby spokojnie pomyśleć. Gdzie jest Tai? Może ona będzie wiedziała. Powinna tu być. T'gellan też. Południowe wybrzeże nie uniknie skutków upadku ciała tak olbrzymiego, pędzącego z taką szybkością!

Nagle zmienił się obraz na ekranie; zniknęła podczerwień i pojawiła się nowa perspektywa, odległa od miejsca zderzenia. Teraz pędziła po nim wyraźna fala, czarny mur wody, szybszy niż płaskie chmury kotłujące się na niebie. Na marginesach pojawiły się kolejne dane.

F'lessan zamrugał, nie mogąc odczytać dramatycznych komunikatów.

Wpatrywał się w ekran. *Yoko* optymalizowała jakość transmisji i teraz obraz cofał się, mijając obły kształt jednej z porośniętych deszczowym lasem wysepek na północ od miejsca

zderzenia. Wysepka płonęła! Płonęła? Pamięć podrzuciła F'lessanowi informację, że temperatura ogona komety powodowała samozapłon w obrębie zbliżenia.

— Ale mamy szczęście — mruknął ktoś z tłumu. — Nie trafił w ląd.

— Nie, nie mamy szczęścia! — przerwał mu brutalnie F'lessan, obserwując jak rozszerza się czarny wał wody. — Ta wyspa płonie! — A potem wskazał na mapę widniejącą w prawym rogu ekranu: — Ta na południu prawdopodobnie też płonie. A spójrzcie na przerwę między nimi! Przez nią wleje się morze, wirując, ominie je, wstanie fala i ruszy na południowe wybrzeże jak wodna ściana... — przerwał, nie mogąc przypomnieć sobie odpowiedniego słowa.

— Tsunami!

Cichy, przerażony głos Tai za jego plecami w ciszy panujące w pomieszczeniu podrzucił określenie, które F'lessan na próżno próbował sobie przypomnieć. Stała pod ścianą, razem z T'gellanem i Mirrim. Nawet nie widział jak weszli. Przerażona i zafascynowana dziewczyna szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w monitor.

Odległa chmura rozproszyła się na boki i ku niebu, a potem nastąpiła reakcja morza, które wysłało z głębin złowróżbne fale we wszystkich kierunkach. Nagle coś wyrosło nad pokrytą dżunglą wyspą; kamera oddaliła się, by pokazać dalszy plan. Wyspa znalazła się pod wodą! Na powierzchnię wypłynęły liczne morskie śmieci: olbrzymie, rozrośnięte drzewa, niektóre po trzydzieści metrów drugie, unosiły się po powierzchni morza jak wraki statków; będą tak skakać po falach, aż wreszcie wylądują gdzieś na plaży. Czarny krąg wciąż się rozszerzał, kierując się na zachód. Na wschód zresztą też, uświadomił sobie F'lessan, choć chmury zasłaniały mu widok. Sprawdził to na ekranie radaru. Miał rację, kręgi wędrowały na wschód i na południe, prosto na bezbronne równiny. Prawdopodobnie dotrą aż do Hakowatych Wysp, a już na pewno wpadną w te wszystkie urocze zatoczki na wybrzeżu Monako, do samej Zatoki Monako, do Portu, zniszczą ruchliwą stocznię, hangary, nabrzeże i domy. A Warownia nad Zatoczką? Czy osłoni ją Przylądek Kahrain?

— To właśnie robi tsunami ze wszystkim, co mu stanie na drodze — powiedział, wskazując na morskie śmieci i na wstrząsające zniknięcie dwóch całkiem sporych wysp. Fala lodowatego strachu przeszła go aż do kości. Gwałtownym ruchem poleciał Tai, by do niego podeszła.

— Tsunami? — w głosie Mirrim brzmiało zaskoczenie, niewiara, lęk i uraza. Uniosła dłoń, by zatrzymać Tai, ale F'lessan rzucił jej ostre spojrzenie, przywołując jednocześnie jeźdźczynię zielonej.

— Sądziłem, że tsunami powstaje po trzęsieniach ziemi na morzu — powiedział wstrząśnięty T'gellan.

— Jego przyczyną może być również upadek z nieba czegoś bardzo gorącego i ciężkiego — objaśnił go Erragon tonem, który sugerował, że wolałby tego nie mówić. — Tak jak ta kometa! — wskazał na złowróżbne odczyty na ekranie.

F'lessan potrząsnął głową, nie mogąc pogodzić się z tak niewyobrażalnymi wielkościami jak masa siedemnastu milionów ton i wygenerowana energia zderzenia o mocy dwudziestu dziewięciu i siedmiu dziesiątych exadzula. To dopiero były typowo ezoteryczne sformułowania Assigi. Niemal z ulgą zaobserwował, że Erragonowi i Stinarowi również ciężko przychodzi umieszczenie tych wielkości w kontekście Pernu.

— Co to wszystko oznacza? — spytała Mirrim, pobladła pod opalenizną. Choć F'lessan znał ją od wielu Obrotów, jeszcze nie widział jej tak przerażonej. Zawsze emanowała pewnością siebie.

Erragon błyskawicznie obrócił się na pięcie i przeszył ją takim spojrzeniem, że wtuliła się w T'gellana. Jeszcze raz potrząsnął głową, wziął głęboki oddech i popatrzył na Władcę Weyru Monako.

— Nie znam wielkości tego tsunami. Zależy to od charakteru linii brzegowej i od tego, czy coś je rozproszy lub zahamuje, ale Monako — wskazał na mapę, wciąż widniejącą w prawym rogu wielkiego ekranu — znajdzie się pod wodą. Zostanie zalane. — Wskazał palcem na zachód, pomoc i wschód. — Siła tsunami pchnie fale we wszystkich kierunkach. — Znowu potrząsnął głową, ni to podkreślając swoje słowa, ni to buntując się przeciw nim. Potem złapał F'lessana za rękaw jedną dłonią, drugą mocno potrząsnął T'gellana za ramię i powiedział, pełen współczucia: — Musicie ewakuować nadbrzeżne osady, przenieść ludzi na wzgórze. Port także! — przyłożył dłoń do czoła, zbierając myśli. — Stinar, czy mamy pod ręką mapy terenów nadbrzeżnych?

— Mamy — odezwał się szorstki głos przybysza, wznosząc się ponad klekot drukarek i ciche, niespokojne szepty przerażonych ludzi. — Właśnie je przywiozłem. — W drzwiach stanął Mistrz Idarolan.

Mirrim nie była jedyną osobą, która tępo wpatrzyła się w jego postać. F'lessan poczuł przypływ ulgi. Emerytowany Mistrz Rybacki nigdy w swoim długim życiu nie był tak potrzebny ludziom jak teraz. F'lessan przelotnie pomyślał, że kapitan prawdopodobnie rano jak zwykle sprawdził pogodę; taras jego domu w Neracie wychodził w morze, na wschód, więc Idarolan mógł też widzieć kometa. Jeśli zauważyli ją w Bendenie, dostrzegłby ją prawdopodobnie każdy, kto! popatrzył we właściwą stronę. Rybak mógł więc wypatrzeć ją z

Kostki Neratu.

— Ale jak.. — zająknął się F'lessan.

— Mojej obecności zażądali Władcy Weyru — Idarolan mrugnął do F'lessana, a potem zwrócił się do T'gellana: — Masz dużo do zrobienia, Władco Weyru, nie będziemy ci przeszkadzać. Wy, spizowi jeźdźcy — zrobił znaczącą przerwę — będziecie musieli być wszędzie na czas — specjalnie podkreślił te słowa — żeby zdążyć ze wszystkim. Usłyszałem to od Władców Bendenu i wy pewnie zaraz usłyszycie to samo! — Szerokim gestem zachęcił jeźdźców do wyjścia. Kiedy ruszyli, dodał: — Przekażcie Mistrzowi Portu Zewe, by uderzył w dzwon delfinów i wysłał na morze wszystkie statki, które ma w porcie. Na wodzie będzie bezpieczniej niż przy brzegu! Od drzwi słyszeli jeszcze jego zachrypnięty głos:

— Potrzebny mi też wasz najlepszy matematyk i jakiś komputer, który aktualnie nie rozmawia z *Yokohamą*!

— Czy to znaczy, że będziemy manewrować w czasie? — spytała szeptem Mirrim T'gellana, jak tylko minęli Tungego, który jeszcze nie otrząsnął się z potężnego szoku.

— A jak chcesz inaczej? — spytał F'lessan, kroczący tuż za nimi i ciągnący za sobą Tai.

— Jak inaczej można zrobić to, co trzeba? — spytał T'gellan, poganiając ją tak, że niemal biegła. — Tak, Ramoth właśnie powiedziała o tym Monarhowi.

— Ale od czego zacząć? — pytała Mirrim przerażonym głosem.

— Monarth rozmawia z Arwith Taliny. Powiedziałem jej, żeby od razu wysłała cztery skrzydła do Zatoki Monako, powiadomiła Mistrza Portu Zewe i zaczęła ewakuować ludzi w bezpieczne miejsce.

— Czy delfiny będą bezpieczne? — spytała Tai.

Mirrim rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

— Myśl o Weyrze. Jest tak rozproszony! — Aż się zaczerwieniła z desperacji. — Tyle ludzi!

— Delfiny wiedzą, co mają robić — powiedział F'lessan i mocniej ujął dziewczynę na ramię, przynaglając ją jeszcze bardziej. — Jeśli pozwolą nam manewrować w czasie — uśmiechnął się, zadowolony, że mają na to zgodę — zdążymy ze wszystkim bez problemu.

— Ale nasz Weyr jest zaledwie pięćdziesiąt metrów od morza! — Mirrim podniosła głos ze strachu i jeszcze bardziej zbladła. — Na całkiem płaskich terenach.

— Ludzie z weyru są o wiele bardziej zdyscyplinowani niż mieszkańcy warowni i cechów — Tai raz w życiu mogła sama kogoś pocieszyć.

— A mieszkańcy nadmorskich osiedli? — Mirrim aż straciła dech na myśl o

czekającym ich ogromnym wysiłku.

— Mam u siebie mapy wszystkich osiedli powiązanych z Monako — zapewnił ją T'gellan, gdy niemal biegli ku tylnym drzwiom; zdenerwowanie sprawiało, że jeszcze przyspieszyli.

Strażnicy przy głównych drzwiach wykrzykiwali polecenia: sytuacja jest awaryjna, specjaliści przechodzą na prawo, ochotnicy na lewo. Lądowisko jest wysoko, nie grozi mu niebezpieczeństwo, oprócz fali uderzeniowej. A kiedy ta nadejdzie? Zostaniecie ostrzeżeni.

— Kiedy odleciałeś? — spytał F'lessan, gdy T'gellan energicznie otworzył drzwi na oścież, przepuszczając pozostałych. — Możemy wrócić w chwilę potem. Będziemy mieli trochę więcej czasu na starcie.

— Nie wiem — odparł, zaskoczony. — Do biura weszliśmy w chwili, kiedy do zderzenia pozostało cztery tysiące osiemset siedemdziesiąt sekund. Pamiętam odczyt!

— Półtorej godziny temu? Plus czas, który zmarnowaliśmy! gadanie — stwierdził F'lessan. To naprawdę było tak niedawno? A jednocześnie tak dawno... od chwili, kiedy śliczna ciekawostka na rannym niebie nad Bendenem zmieniła się w katastrofę planetarną na Lądowisku w samo południe.

Ramoth mówi, że tylko spiżowi jeźdźcy mają manewrować w czasie, powiedział Golanth z szacunkiem.

T'gellan zarechotał gardłowo i popatrzył przez ramię na bendeńskiego dowódcę skrzydła:

— To w końcu kto z nas ma więcej doświadczenia z czasem?

— Nie ma się co spierać — odparł F'lessan. — Bierzmy się do roboty. Potrzebne nam są tylko smoki.

Na podwórku przed tylnymi drzwiami nie starczyło miejsca na lądowanie dla czterech smoków, choć dwa z nich były zielone. Strażnik aż wybałuszył oczy, widząc tyle skrzydeł w ruchu.

Na następnej uliczce, powiedział F'lessan swojemu przyjacielowi. Powtórz to Zaranth.

— Tędy, Tai, między budynkami. Do zobaczenia na miejscu! — podniósł głos, by T'gellan dosłyszał go przez hałas schodzącego do lądowania Monartha. Path przycisnęła się do ściany, by usiąść jak najbliżej Mirrim. F'lessan rzucił okiem na zegarek, gdy naciągał jeździecką kurtkę. *Golanth! Zobacz kometę tak, jak widzieliśmy ją kiedy tu lądowaliśmy!*

Pobiegł razem z Tai między budynkami, w których urządzono klasy dla młodzieży studiującej na Lądowisku. Golanth właśnie siadał na ziemi, gdy Flessan skoczył mu na

przednią łapę a z niej na grzbiet. Smok nie tracąc czasu, zaczął się wznosić. Jeździec kątem oka dostrzegł Tai na grzbiecie Zaranth.

Golanth, podaj Zaranth współrzędne, polecił, nie fatygując się by zapiąć kurtkę albo włożyć hełm na głowę. Może tych parę sekund *pomiędzy* ochłodzi go po upale, który panował w pomieszczeniu z interfejsem? Do tej pory nawet nie czuł, jak tam było gorąco. Skupił się na myśleniu o właściwym czasie i Golanth zabrał ich *pomiędzy*.

SALA KONFERENCYJNA NA ŁĄDOWISKU, 1.9.31

Ładowisko znów stało się centrum dowodzenia, pomyślała Lessa. Choć wcale jej się nie podobały powody tej sytuacji, czuła się tu lepiej i mogła się bardziej przydać niż w Weyrze Benden. Pytanie, jakie Ruth zadał Ramoth, sprawiło że zaczęła się niepokoić, iż może ta jasna iskierka na niebie, wciąż wisząca nad Bendenem, okaże się niebezpieczna. Tiroth zabrał już Wansora, Lytola i D'rama na Ładowisko. Może i Władcy Weyru Benden powinni się tam znaleźć, choćby po to, by wysłuchać, co Mistrz Gwiazdny ma do powiedzenia na temat tego intruza. Stinar uprzejmie włączył ekran w sali konferencyjnej, tak by Lytol i D'ram mogli przekazywać Wansorowi wszystko, co się na nim pojawia. Wansor odróżniał światło od ciemności, ale nie dostrzegał już żadnych szczegółów. Mimo ślepoty, posiadał niesamowitą umiejętność wyczuwania, kto znajduje się razem z nim w pokoju, czasem nawet pozdrawiał te osoby po imieniu, jeśli się do niego zbliżyły.

Jego okrągłą twarz i przejrzyste oczy rozjaśnił niezwykle uśmiech, gdy oboje weszli do sali:

— Lessa!

— Skąd wiedziałeś? — spytała Lessa, podchodząc prędko, by ująć w dłonie jego rękę. Omal go nie ucałowała za to serdeczne powitanie.

— Moja droga Lesso, gdziekolwiek byś się nie znalazła, twoje vibracje są niepowtarzalne. A poza tym — zaśmiał się — masz oryginalne perfumy. — Wyciągnął rękę do F'lara i mocno uściśnieli sobie prawice.

Lytol o wyrazistych rysach i D'ram, którego osmagana wiatrem cera była niemal tego samego koloru co skórzana odzież, wstali na powitanie. Lytol podsunął Lessie krzesło naprzeciw ekranu z transmisją z *Yoko*.

— Czy to poważna sprawa? — spytała, zajmując miejsce. Jej uwagę przykuła oszałamiająca ilość informacji przewijających się w jednym z okien monitora. Ognista kula, która przedtem wydawała się niemal wisieć nad ludzkimi głowami, teraz zbliżała się prosto na nich, nawet widziana z pozycji *Yoko* nad powierzchnią planety.

— Całkiem możliwe — odpowiedział Wansor. — Erragon obserwuje to ze Stinarem, a teraz mamy was tutaj — uśmiechnął się. — Mów dalej, Lytolu. Jakies nowe dane na temat elipsy błędu?

— Niektóre informacje będą bardzo techniczne, Lesso — uprzedził Lytol, siadając ponownie. Pochylił się ku Wansorowi i zaczął sczytywać cyfry przewijające się przez

monitor.

Stojący obok F'lar również zaczął je obserwować, choć, jak zauważyła Lessa, lekko się skrzywił: skomplikowane dane astronomiczne przekraczały jego możliwości. Ktoś przyniósł na tacy i paszteciki z mięsem, ostrożnie popatrzył na ekran i czym prędzej zniknął. Dziewczyna okazała taki niepokój, że i Lessa się przestraszyła. Przyzwyczyła się kierować instynktem. Podając kłah D'ramowi, szepnęła mu do ucha:

— Co się stanie, jeśli ta kula na nas spadnie?

Spizowy jeździec wyraźnie przemyślał już tę możliwość.

— Może nie trafić — odparł równie cicho.

— O mało co? — zaryzykowała podzielenie się swoimi wraze mi.

— Miejmy nadzieję — odparł i poprawił się na fotelu. — *Yoko* nie podała informacji o wielkości tego obiektu, ale na pewno jest duży.

— I strzela płomieniami — odparła z przekąsem. — Zrobi dużą dziurę i wstrząśnie powierzchnią planety.

D'ram spojrzał na nią, zdumiony.

— Nie wiemy jeszcze, czy się z nami zderzy, lady Lesso.

— Rozważmy najgorszą ewentualność, a potem przeżyjemy przyjemne rozczarowanie.

— Na szczęście ma szansę trafić w morze.

— Najlepiej, gdyby wpadł do wody i nie narobił szkód. Nagle jej oczy rozwarły się szerzej.

— Ależ wtedy dopiero narobi szkód! Jeśli zatonie, powstaną fale przyboju o niespotykanej sile, zaleją wszystkie nisko położone tereny nadmorskie i wedrą się na ląd. Pamiętasz wysokie fale spowodowane przez niedawny wybuch wulkanu Piemura?

— Tak, ale huragan sprzed dwóch Obrotów spowodował dużo więcej zniszczeń.

D'ram zacisnął usta.

— Uwierz mi, tym razem będzie naprawdę ciężko. To znaczy poprawił się spiesznie — jeśli zdarzy się najgorsze.

Przerwał, zmarszczył czoło i zaczął skubać dolną wargę. Patrząc jej prosto w oczy, dodał:

— Ale jeśli będziemy o tym wiedzieli, przygotujemy się i ewakuujemy ludzi.

— My czyli jeźdźcy smoków? Przytaknął szybkim ruchem głowy.

— Ludzi można przenieść na wzgórze, zanim dosięgnie ich ściana wody.

Na ścianach za ich plecami wisiały mapy. Lessa obróciła się i popatrzyła na wielką płachtę, którą Assigi nazywał odwzorowaniem Mercatora.

— Jest błędna — przypomniała sobie jego wyjaśnienia — bo pokazuje obszary polarne większe niż w rzeczywistości, ale daje jasny obraz rozkładu lądów i obszarów wodnych.

Całą sobą pragnęła, by jakimś cudem z głośników rozległ się głęboki, spokojny głos Assigi i powiedział im, jak zaradzić katastrofie. Ale Assigi odszedł! Do nich należało rozwiązanie wszelkich problemów związanych z pojawieniem się ognistej kuli, a D'ram zaproponował awaryjne rozwiązanie, które mogło ograniczyć potencjalne zniszczenia. Mistrz Idarolan opowiadał jej kiedyś, że widział, jak wielka wodna ściana zatopiła wysepkę; nazwał to zjawisko tsunami.

— Jeśli mamy chronić wybrzeże, potrzebna nam wiedza i doświadczenie Idarolana — szepnęła D'ramowi. — Wciąż ma mapy portów pełnomorskich i kotwicowisk.

— O czym tak szepczecie we dwójkę, Lesso? — spytał F'lar głosem równie cichym jak oni.

— Będziemy musieli się przygotować na wypadek, gdyby to coś — wskazała na ognistą kulę, która nagle przestała ją bawić — miało jednak na nas spaść.

— Ale... — zaczął F'lar.

— Poza tym — ciągnęła, wpatrując się w niego z rosnącą intensywnością, a jednocześnie obojętnie wzruszając ramionami — nawet jeśli w nas nie trafi, Idarolan będzie zafascynowany, mogąc to poobserwować. Stąd będzie widział lepiej niż z werandy przy Kostce

Neratu.

— Mówisz — w jasnym głosie Wansora zabrzmiało podniecenie — że prawdopodobieństwo wynosi pięćdziesiąt osiem procent?

— Leć, F'larze. I daj mu dość czasu — podkreśliła ostatnie słowo — by zdążył zabrać wszystkie zapiski, które mogą mu być przydatne.

— Zaraz wracam — uśmiechnął się F'lar.

Lessa spojrzała na ścienny zegar: jedenasta trzydzieści pięć!

— Czy on... — zaczął D'ram i przerwał zaskoczony. — Ale ty niechętnie...

— Masz rację, ale jak mówiłam, jeśli przygotujemy się na najgorsze, przeżyjemy przyjemne zaskoczenie zamiast nieprzyjemnej niespodzianki. Coś mi mówi... — spojrzała na ognistą kulę — Kiedy smocze oczy są tego koloru, bestia staje się niezwykle niebezpieczna.

D'ram popatrzył na ekran:

— Tak, masz zupełną rację.

W siedem rzeczywistych minut później, gdy zegar wskazał, jedenastą czterdzieści

dwie, do pokoju weszli F'lar z Idarolanem. Uginali się pod torbami pełnymi map. Byli zdyszani jak po biegu. Idarolan ogarnął wzrokiem zebranych, a potem jego uwagę przykuł monitor. Rzucił swój ciężar na stół.

— Widzę, że zdążyłem na czas — zachrypnięty głos wilka morskiego pieścił to słowo — i że się tu przydam.

— Och, tak, Idarolanie, tak. Bardzo się cieszę, że jesteś. — W głosie Wansora brzmiało podniecenie. — Mam wrażenie, że ta kometa nas nie ominie — powiedział takim tonem, jakby to była jakaś nagroda. — Jaka jest obecnie wielkość obiektu?

— Ma jasność rzędu minus osiem — wykrzyknął Idarolan i ciężko opadł na krzesło, zapominając o tym, co przyniósł. — Cieszę się, że przed przyjazdem tutaj porobiłem pewne wyliczenia. — Odwrócił się.

— A gdzie Erragon?

— W interfejsie — powiedział Lytol możliwie najbardziej opanowanym tonem, próbując się skupić na odczytywaniu Wansorowi przynajmniej niektórych danych.

— To znaczy, że się z nami zderzy, prawda? — mruknęła Lessa. f

— Obawiam się, że tak — odparł Wansor, a jego początkowy entuzjazm i podniecenie wyparowały w konfrontacji z twardą rzeczywistością.

Zamilkli, patrząc na ekran, który przedstawiał nieuchronnie zbliżającą się katastrofę.

Mistrz Idarolan pierwszy odzyskał jasność umysłu.

— Będę potrzebował pomocy waszego najlepszego matematyka — powiedział, przeglądając paczki na stole. Wydobył starannie opakowaną rolkę dokumentów. — Najpierw trzeba ewakuować Monako. Nie wiem, ile mają czasu... dwie albo trzy godziny.

Lessa również wstała i przytrzymała jego dłoń, która zebrała już potrzebne papiery.

— Powiedz smoczym jeźdźcom, że chcę, by mieli dość czasu — przerwała, by podkreślić to słowo; oczy mu zabłyśły, gdy zrozumiał o co chodzi — by zdążyli zrobić wszystko, co trzeba.

WEYR MONAKO, 10.22 RANO. CZAS ZAOSZCZĘDZONY

Golanth i Zaranth unosili się na poziomie koron drzew nad szeroką polaną otaczającą duży, długi budynek Weyru nad Zatoką Monako. Mieści się tu mnóstwo smoków, pomyślał F'lessan. Skrzywił się. Tyle czasu marnuje się na te wszystkie „bezpieczne” starty i lądowania. Teraz szkoda każdej sekundy. Gdy Golanth usiadł na ziemi przed środkową częścią Weyru, F'lessan pochwyił widok morza, spokojnej, bladozielonej płaszczyzny przeciętej jasnym pasmem na pomocnym wschodzie zatoki.

Najpierw bardzo chciałem obejrzeć tę komętę, a teraz żałuję, że się w ogóle pojawiła, rzucił ironicznie.

To samo powiedziała jeźdźczyni Zaranth.

Powiedz Zaranth, by zapamiętała pozycję. Przyda się dziś do oznaczania punktu w czasie.

Pojawił się Monarth, także kilkanaście centymetrów nad ziemią. Tgellan, nie czekając, aż smok wyląduje, zsunął się i popędził po schodach na szeroką werandę otaczającą domostwo, wykrzykując rozkazy i waląc w drzwi. Path wylądowała jeszcze bliżej przy schodach, Mirrim skoczyła prosto na werandę i wpadła w najbliższe szerokie drzwi.

— Ale przecież dopiero odlecieliście! — wykrzyknęła jakaś kobieta, wychodząca z głównego budynku.

— Dilla, wróciliśmy i ogłaszamy alarm — powiedziała Mirrim, podeszła do dzwonu i energicznie pociągnęła za sznur. — Ruszaj, Tai, ewakuujemy dzieci. Pomożesz nam, F'lessanie, zanim Tgellan pozbiera mapy. — Wbiegła do Weyru i po chwili dobiegł stamtąd jej alarmujący głos.

Cała Mirrim, pomyślał; ale przynajmniej zwalczyła już panikę, która ją ogarnęła przy interfejsie. Natychmiast rozległy się wrzaski, płacze, jęki i wybuchło zamieszanie. Najgłośniej zabrzmiał krzyk:

— Ale trzeba upiec chleb...

— Gdzie na lądzie będzie bezpiecznie? — zawołał F'lessan, zatrzymując Tai, zanim zdążyła wbiec do Weyru w ślad za Mirrim.

— Wystarczy dwadzieścia minut szybkiego marszu pod górą. — Tai wskazała na dobrze wydeptaną ścieżkę, która zakręcała za Wyrem. — Mało czasu na pakowanie, ale można coś zabrać.

Przez moment zatrzymała się na progu, spoglądając w dal, potem westchnęła,

wzruszyła ramionami i wbiegła do środka.

Ostry głos Mirrim komenderował ludźmi wewnątrz, inni zaś, zaalarmowani biciem dzwonu wybiegli, by sprawdzić, co się stało. W tym momencie jedną z drózek nadbiegł tłum chłopców i dziewczynek. Dzieci przyłączyły się do przerażonych dorosłych.

— Ewakuujemy Weyr — powiedział im.

— Mówiłem, że ta kula przyniesie pecha — oświadczył pozostałym jeden z chłopców.

— Jak ona może spalić morze? — jedna z dziewczynek spojrzała na spiżowego jeźdźca, oczekując odpowiedzi.

— Nie spali — odparł autorytatywnie F'lessan. — Nie zawracajcie sobie tym głowy. Róbcie to, co wam każą — uspokoił ich uśmiechem. — To będzie wielka przygoda! Biegnijcie do swoich weyrów. Spakujcie jak najszybciej co się da, tyle, ile możecie unieść. Powiedzcie wszystkim, że mają iść na wzgórze — wskazał na ścieżkę, o której mówiła Tai. — Musicie znaleźć się przynajmniej dwieście metrów od brzegu, w gaju drzew fellisowych — dodał i ponownie uderzył w dzwon, by podkreślić wagę swoich słów. Słuchacze natychmiast rozbiegli się we wszystkie strony.

Z budynku wybiegła Mirrim, prowadząc przed sobą pełne maluchy z pomocą swojego krzepkiego synka Gellima. Za nią szły kobiety, niektóre obarczone tobołkami i workami. Tai miała pod jedną pachą jakąś paczkę a pod drugą wrzeszczącego dwulatka.

— Tai, wskakuj na Zaranth, podam ci dzieci. F'lessan, przywiąż je pasami bezpieczeństwa. Och, zamknij się, Yesso — skarciła Mirrim rozszochaną dziewczynkę. — F'lessan, wsadź ją na Golantha. Przytrzyma innego dzieciaka, gdy już będzie na grzbiecie. Potem wróćcie po następne. Same tani nie dojdą, to dla nich za daleko.

Oto Mirrim jako szefowa, w działaniu, pomyślał F'lessan, podsadził histerycznie płaczącą dziewczynkę na Golantha i zaczął podawać jej worki i paczki. Tai usadowiła ryczącego dzieciaka na szyi Zaranth i maluch natychmiast zamilkł. Sama również skoczyła na grzbiet smoczyicy i wzięła z rąk Mirrim kilkoro innych dzieci.

— Jestem gotowa! — zawołała.

Leć za Zaranth, Golfy!

Oczywiście!

— Wiem, że jesteśmy odpowiedzialni za całe Monako, ale będę lepiej pracować ze świadomością, że nasi ludzie są już bezpieczni — tłumaczyła się Mirrim. — Póki Golanth nie wróci, możesz mi pomóc wewnątrz budynku. Musimy zabrać też dzieci w kołyskach. Czy twój smok się zgodzi?

— Ależ naturalnie — odparł F'lessan; nawet smok nie zadarłby z Mirrim w takim

nastroju i w tej sytuacji. Na szczęście kobieta już się cofnęła do budynku i nie widziała, jak nisko nad ziemią były oba smoki, gdy weszły *pomiędzy*. Pomyśl lepiej, ile czasu zaoszczędziły, powiedział sam do siebie.

— Ty możesz lecieć na Path — usłyszał głos Mirrim, która prawie na niego wpadła, wracając z trzema kobietami, które ledwie było widać zza stosu niesionych przez nie przedmiotów — F'lessanie, potrzebna będzie lina, by przywiązać te kołyski do Golantha. Jest w schowku.

— Mamy trochę czasu, Mirrim — uspokoił ją, idąc, by wypełnić polecenie. Golanth i kołyski! No cóż, kto zrobiłby to lepiej?

— Te dzieci polecana Path. Ona zna drogę. F'lessanie, jak znajdziesz linki, połóż je na werandzie. Czeladnik garbarski potrzebuje twojej pomocy przy pakowaniu swoich rzeczy. A w magazynie są bele tkanin, które koniecznie trzeba zabrać.

— A Monarth nic nie robi — mruknął pod nosem F'lessan, ale przyniósł linki, położył na werandzie i poszedł pomagać rzemieślnikowi, który taszczył za dużo rzeczy naraz i co chwila coś upuszczał. Gdzie się podział T'gellan z mapami?

W momencie gdy zgromadzono i zapakowano najpotrzebniejsze dla Weyru przedmioty, pojawiły się błękitne, zielone i brązowe smoki, na które ładowano rzeczy i odsyłano w górę. Trzy błękitne zajęły się dziećmi w kołyskach. Brązowe obwieszono tkaninami i futrami do spania, a na ich pomocnych grzbietach znalazło się mnóstwo przedmiotów domowego użytku.

Dobrze, że smoki miały wrodzony instynkt, pozwalający im unikać zderzeń na ziemi i w powietrzu, bo nad Weyrem zapanował niesłychany ruch. Zaranth i Golanth bez jeźdźca odbyli trzy następne przejazdy w *pomiędzy*, przenosząc uzdrowiciela i pół tuzina jego pacjentów.

T'gellan w końcu poszedł na werandę, gdzie pracował F'lessan. Niósł jeden koniec ciężkiej skrzyni, którą z drugiej strony dźwigali dwaj brązowi jeźdźcy. Mapy wetknął sobie zapas. Jeźdźcy wsadzili skrzynię na grzbiet Monartha, a T'gellan gestem poprosił do siebie F'lessana, który zaczynał się już martwić, że marnują za wiele czasu.

Kucharka z Weyru, trzymając naręczę paczek, o mało nie spadła ze schodów. Za nią niesiono worki pełne szczękających garnków i rozsypujących się na ziemię zapasów. W tym momencie Golanth ponownie usiadł na ziemi. T'gellan ze znaczącą miną wyrócił oczami w stronę młodego jeźdźca, więc F'lessan zaproponował usługi Golantha. Kiedy na smoka nie dało się już upakować nic więcej, wznosił się nad ziemię tylko na tyle, by móc dać nura *pomiędzy*.

Wtedy Tgellan podszedł, rozwinął jedną z map, a trzy spiżowe smoki posadziły swoich jeźdźców na wolnej przestrzeni. Dwa brązowe smoki bez jeźdźców szybowały nad ziemią w oczekiwaniu na lądowanie.

— Podejrzewam, że lepiej znasz się na manewrowaniu w czasie niż ta trójka, mój przyjacielu — powiedział Tgellan z podziwu godnym spokojem — więc polecisz najdalej. Weź sobie do pomocy St'vena na Mealthu, i C'rela z Galuthem — wskazał na brązowe smoki.

Rozwinął rulon przy pomocy F'lessana, który spostrzegł, że są to napowietrzne mapy, które Assigi dostarczył do wszystkich Weyrów.— Byliśmy nad tym obszarem, kiedy ostatnio z nami latałeś. Na pewno zapamiętałeś to pomarańczowe urwisko! — T'gellan postukał palcem w płachtę mapy, wskazując łatwy do zapamiętania znak terenowy. — Długa, szeroka zatoka, łagodny piaszkowy stok do samego morza... — skrzywił się na myśl, jak łatwy dostęp do siedziby będzie miało nadchodzące tsunami. — Granitowe skały. Kontrastujące z nim białe piaski. Zatoka wygląda, jakby bezżębne morze wgrzyło się w linię brzegową — uśmiechnął się pokrzepiająco. — Nie daj się namówić na przenoszenie łodzi. Łodzie można zrobić na nowo. Ludzkiego życia nikt nie wróci!

F'lessan zgadzał się z tą filozofią, ale wiedział też, jak niechętnie gospodarze rozstają się z majątkiem całego życia.

— Domy skupiają się wokół tego strumienia... niestety będzie on dla tsunami dobrym wejściem, przez które woda wleje się na ląd. Dopilnuj, by ludzie weszli na sam szczyt. Nie potrafimy ocenić, jaka będzie wysokość fali. Będzie to dla niektórych trudna wspinaczka, ale do pewnej wysokości wykuto schody w skale. Sądzę, że wasza trójka jakoś da sobie radę z ewakuacją całej osady... tak czy siak. — T'gellan z ponurą miną wetknął mapę do rąk F'lessanowi. — Jesteś dobrym jeźdźcą — klepnął go z sympatią po ramieniu. — C'relu, St'venie, przywiążcie tę skrzynię do Monartha. Teraz F'lessan będzie waszym dowódcą.

— Wezwałem wszystkich wolnych jeźdźców, by zajęli się mieszkańcami Portu Monako i Warowni nad Zatoczką — ciągnął, marszcząc czoło ze zmartwienia. — Lotne patrole ostrzegaj ą gospodarstwa w głębi lądu, ale nie znamy ich wysokości nad poziomem morza. Ludzie sami muszą wejść jak najwyżej się da. Ale ostrzec trzeba wszystkich.

Zanim wsiadł na smoka, przestrzegł jeszcze F'lessana:

— Nie przesadzaj z bliskością w różnych czasach! Lessa mnie zabije, jeśli się zgubisz *pomiędzy*!

Potem wskoczył na Monartha, który wyprysnął w niebo i wszedł *pomiędzy*, zanim górna płaszczyzna jego skrzydeł znalazła się ponad dachem Weyru.

— C'reel, St'ven, wsiadajcie! Golanth! Golanth?— poczuł nagły ucisk powietrza na ciele i nie patrząc wiedział, że jego spizowy przyjaciel wylądował tuż obok. Nie potrafił powstrzymać pełnego dumy uśmiechu, widząc taką dokładność.

— Lecimy do Warowni na Urwisku Wschodzącego Słońca. Weźcie ode mnie współrzędne — dodał, wpychając mapę do kieszeni spodni. *Pamiętasz, gdzie była kula ognista, kiedy znaleźliśmy się tu za pierwszym razem, Golancie?*

Oczywiście.

Zawieś ją w tej samej pozycji nad Warownią na Urwisku Wschodzącego Słońca i lećmy!

F'lessan wyraźnie zwizualizował porośniętą trawą skalną ścianę i kontrastujące z nią białe piaski.

Golanth wyskoczył w górę i znowu wszedł w pomiędzy niemal nad samą ziemią. W zimnym *pośród* F'lessan miał chwilę, by zastanowić się, czy wszystkie smoki wyruszyły w podróż przypominającą Przejazdkę Morety. Jaki ona miała punkt odniesienia w czasie? A może jego brak spowodował jej śmierć?

SALA KONFERENCYJNA NA LĄDOWISKU, CZAS LOKALNY 1.10,1.9.31

Gdy Mistrz Wansor wyszedł, by razem z D'ramem i Lytolem lecieć do Warowni nad Zatoczką i zorganizować ewakuację, przez myśl Lessy przebiegły szczegóły wszystkich wcześniejszych uzgodnień. Potrzebowała czasu, by uporządkować myśli. Ależ F'lessanowi musi się podobać ta swoboda, pomyślała z przekąsem. Zaraz przyjdzie tu Erragon albo Idarolan, żeby wyjaśnić, jakie szkody może spowodować ta ściana wody, to tsunami. Wyłączyła monitor. Miała na jakiś czas dość oglądania cyfr, które przyprawiały ją o depresję. Pomacała dzbanek z klahem i uznała, że jest na tyle ciepły, by jego zawartość nadawała się do picia. Kto wie, kiedy będzie czas na jedzenie i picie w tym całym czasowym zamęcie, który właśnie zaplanowali? Piła małymi łydkami, analizując w myślach ostatnie, trudne pół godziny. Uznała, że nie najgorzej się spisali, ruszając do działania mimo początkowego wstrząsu.

F'lar ruszył zmobilizować Weyr Benden i wysłać lotne patrole do najbardziej zagrożonych gospodarstw wzdłuż wybrzeża Bendenu i Neratu. Reszta planety, z nielicznymi wyjątkami, nie będzie nawet wiedziała, co się zdarzyło na Wschodnim Morzu. Pierwsza olbrzymia fala pójdzie na Monako. T'gellan miał do dyspozycji trzydziestu czterech doświadczonych spiżowych jeźdźców, którzy przeprowadzą ewakuację. F'lar poprosi, by J'fer z Telgaru i G'dened z Igeny przysłali do pomocy swoich spiżowych. Manora i Brekke zgromadzą zapasy, jedzenie, leki i zorganizują uzdrowicieli. Ona, Lessa, zajmie się Lądowiskiem, tak jak kiedyś. Ramoth wezwała młodsze królowe z Bendenu, by kierowały ruchem smoków. Jaxom i Sharra przywiozą Sebella. Będą musieli zwołać konferencję z Mistrzami Cechów i Władcami Warowni, gdy tylko Lessa zbierze dość szczegółów.

Skończyła klah i odwróciła się, słysząc że ktoś otworzył drzwi. Pojawił się w nich Erragon, którego twarz wyraźnie mówiła, że „szczegóły”, które ma do zakomunikowania, na pewno nie będą mile dziane. Zdecydowanym ruchem zamknął drzwi i podszedł do mapy Mercatora, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu czerwonego pisaka.

— Obawiam się — powiedział — że chociaż Zatoka Monako znajdzie się bezpośrednio na kursie tylko jednej fali, zostanie też zalana przez kilka innych, odbitych od wybrzeży wysp Archipelagu. — Zaznaczył je na czerwono i poprowadził od nich śmiałą kreskę aż wybrzeża. — Według mnie, pierwsza fala...

— Pierwsza fala? — wykrzyknęła Lessa.

— Pierwsza z pięciu, mówiąc dokładnie. — Lessa zaniemówiła, a on ciągnął: —

Pierwsza fala uderzy w Zatokę o czwartej piętnaście czasu lokalnego, w trzy godziny i dwadzieścia pięć minut po upadku komety i w półtorej godziny później wleje się w ujście rzeki Jordan. I to dość widowiskowo — przerwał. — Nic na to nie mogę poradzić, lady Lesso.

— I to zaledwie pierwsza fala? — spytała chmurnie.

— Stinar próbuje zrobić diagram, tak abyś... abyśmy my wszyscy mogli się zorientować, jak fale będą rozkładać się w czasie i odbijać od brzegów. Jedna nadejdzie w prostej linii od miejsca zderzenia. Pozostałe będą naturalnie słabsze niż bezpośrednie tsunami — postukał w miejsce, gdzie równina schodziła do morza, na wschód od Zatoki Monako. — Przyłodek będzie stanowił pewną ochronę, ale port... — z żalem wzruszył ramionami. — Jestem pewien, że delfiny ostrzegą statki na morzu. Na pewno poczuły uderzenie. Są wyjątkowo zharmonizowane ze swoim środowiskiem. Statki albo wcale nie czują zawirowań, albo im to nie zaszkodzi. Tsunami spiętrza się dopiero, gdy trafi na ląd, płycizny czy mielizny i wtedy zalewa ziemię. Warownię nad Zatoczką, Lady Lesso, osłania wschodnia część wybrzeża i leżące pomiędzy nimi wyspy — pokazał to miejsce na mapie. — One ochronią ją od niektórych fal, których nie uniknie Zatoka Monako. Poza tym podwodne przedłużenie wschodniego cypla w miejscu, gdzie skupiają się oddolne prądy pionowe, rozbije napływające fale. Spory kawał na zachód wzdłuż wybrzeża można się spodziewać tylko pięknych grzywaczy, które będą niewiele wyższe niż zwykłe fale. Warownię nad Zatoczką czekają tylko takie widoki... wynik wtórnego rozbijania się fal — posłał jej przelotny, przymilny uśmiech.

Lessa niespokojnie kręciła się na krześle. Wstrząśnięta wiadomością o pięciu tsunami poczuła bezsensowne rozdrażnienie faktem, że dopiero niedawno przywrócili elegancki wygląd zniszczonej huraganem Warowni Monako.

— No cóż, sytuacja w Warowni nad Zatoczką jest dla nas pewną ulgą — powiedziała. Natychmiast zdała sobie sprawę, ile gorczy jest w jej głosie, podniosła rękę i dodała: — Naturalnie, to nie twoja wina. — Kiwnięciem głowy poprosiła go, by ciągnął dalej. Lepiej usłyszeć najgorsze i zyskać jasność umysłu, a potem zaplanować działanie.

— Ląd na zachód od Warowni nad Zatoczką zostanie zalany — pisak zaznaczył otwarty teren aż do wystającego wybrzeża Warowni Południowej. — Te dwa obszary również zostaną zalane — zamalował je także — ale być może nie do tego stopnia.

— A nowy Cech Delfiniarzy? — spytała w nadziei, że projekt młodego Readisa nie ulegnie zniszczeniu.

— Zdaje mi się, że jest po zachodniej stronie, więc ten brzeg go osłoni. — zaznaczył

miejsce po prawej od ujścia rzeki Rubikon. — Fala może być tam bardzo wysoka, ale delfiny na pewno go ostrzegą.

165

— Tak się umówiły z ludźmi — odparła sucho Lessa.

— Idąc dalej na zachód — kontynuował Erragon równie nieugięty jak to okropne tsunami — na Macedonię uderzą cztery różne fale. Rozumiem jednak, że na tym wybrzeżu nie ma zbyt wielu osadników

— Czyli że Monako nie będzie osamotnione? — spytała uszczypliwie. Musiała w jakiś sposób odzyskać równowagę w obliczu nieszczęścia; przez głowę przelatywały jej wszystkie rzeczy, które należało wykonać. Tym razem uda się przynajmniej uratować tych najbardziej narażonych, nie tak, jak wtedy, gdy huragan wszystkich kompletnie zaskoczył. Powinna skupić się na tej myśli.

— Och, nie — zapewnił ją Erragon — najszybsza fala dotrze Macedonii w dziewięć godzin po uderzeniu, około czwartej po południu czasu lokalnego. Następnie w jakieś jedenaście godzin uderzeniu bezpośrednio tsunami zaleje Warownię Południom o czwartej po południu czasu lokalnego. Druga fala dotrze tam mniej więcej w piętnaście minut później, a trzecia około czwartej pięćdziesiąt czasu lokalnego.

— Toric będzie szalał — skomentowała Lessa, ale na tę myśl wcale nie odczuła tego żalu, który rozdarł jej serce, gdy powiedziano jej o Zatoce Monako.

— Na kontynencie pomocnym — ciągnął Erragon, przesunawszy w górę pisak, stanowczo zbyt ruchliwy — tsunami uderzy w Stopę Neratu i pójdzie po całym wybrzeżu w górę. — Lessa wyprostowała się widząc, że zakreślił całe wschodnie wybrzeże.

— Ale mamy czas — zapewnił ją. — W trzy do czterech godzin po tym, gdy fale uderzą w południowe brzegi, inny odłam tsunami dojdzie do Wysokiej Płycizny przed Loscarem i zniszczy ją, co, ja twierdzą rybacy, może zmniejszyć groźne prądy, powstające na mieliźnie. Loscar trzeba będzie koniecznie ewakuować, ale mamy dość czasu, by przenieść ludzi na wzgórza, nie zapominając o sporej części ich rzeczy i o bydło. Widzisz, w zasadzie nic nie zatrzyma tsunami poruszającego się po linii prostej na zachód od miejsca upadku.

Lessa wpatrywała się w mapę, nie mogąc uwierzyć w zasięg tej „fali”.

— Zachodni Archipeląg zatrzyma sporą część fal, ale mieszkańcy wybrzeża od czubka Tilleku do końca Południowego Bollu mogą spodziewać się tsunami w jakieś szesnaście godzin po uderzeniu, około czwartej trzydzieści rano czasu lokalnego. Dotrze ono do zachodniego wybrzeża Fortu, które jest w większości skaliste, w mniej więcej dwadzieścia jeden godzin po uderzeniu, o siódmej rano czasu lokalnego. Jutro.

— Jutro? — powtórzyła jak echo.

— Nawet coś tak gwałtownego jak tsunami potrzebuje czasu, by przewędrować morze. Im dalej od punktu zderzenia i punktów odbicia, tym mniejsze będą szkody powodowane przez fale, które rozproszą się i zredukują amplitudę, chyba że natrafią na przeszkodę.

— Taką jak Zatoka Monako — mruknęła Lessa z goryczą.

— Na przykład — Erragon chciał zmienić nastrój na bardziej pogodny — zachodnie wybrzeże Południowego Kontynentu, od wyspy Ierne do czubka wybrzeża po wschodniej stronie Wielkiej Zatoki prawie nie odczuje uderzenia fali idącej na wschód. — Przyjrzał się mapie, sprawdzając długość i szerokość geograficzną, a potem zaznaczył krzyżykiem jakieś miejsce.

— Dwie fale, a raczej to co z nich zostanie po utracie większości energii, przetną się na otwartym morzu w punkcie o długości geograficznej równej dwa stopnie i szerokości piętnastu stopni, ale nie sędzę, by było to zauważalne.

Lessa wpatrywała się w niego bez wyrazu. Zaczął mówić dalej.

— Najgorsze będzie za nami w szesnaście do siedemnastu godzin — stwierdził zachęcająco.

— Mam nadzieję, że będziesz mógł to wszystko powtórzyć, Erragonie — odpowiedziała ze znużeniem. — Mam obowiązek poinformować Władców najbardziej zagrożonych Warowni. Teraz wiemy już, kto to będzie.

Skłonił się na znak zgody. Zamknęła na moment oczy, prosząc Ramoth, by powiadomiła smoki w różnych Warowniach. Na szczęście Benden miał prawo zwoływać nadzwyczajne zgromadzenia i wymagać natychmiastowej reakcji zaproszonych, co oszczędzało nieco czasu.

Szczególnie w obliczu tej okrutnej fali, która pędziła, by rozbić się o obydwa wybrzeża.

Gdy otworzyła oczy, na obliczu Erragona malowała się głęboka troska. To dobry człowiek, pomyślała, nie należy do tych, którzy szczerze się radują, przynosząc złe wiadomości.

— Siadaj, człowieku, a ja poproszę o coś do jedzenia. Musimy się wzmocnić. — Wyszła z pokoju, by zapewnić mu kilka chwil samotności.

W dwadzieścia minut później Mistrz Idarolan i Erragon zaznaczyli czerwonym pisakiem zagrożone miejsca wzdłuż wybrzeży obu kontynentów, wyliczając w przybliżeniu, jak głęboko w ląd wedrą się fale. Ku wielkiemu żalowi Lessy, cała siatka strzałek wokół

Monako odzwierciedlała przypuszczalne drogi ataku pięciu różnych fal na nową Warownię. Wrócił F'lar razem z F'norem. Gdy obaj jeźdźcy zasiedli do pospiesznego posiłku złożonego z produktów znalezionych przez Lessę, do sali weszli lordowie Ciparis i Toronas, tuż za nimi Haligon reprezentujący Lorda Groghe, Jaxom z Sharra, lord Ranrel z Tilleku z nowo mianowanym Mistrzem Rybackim Curranem, Fortine z Isty, Langrell z Igeny, Kashman z Keroonu, Jantssan z Południowego Bollu — bo lord Sangel był za stary na podróż, nawet na smoczym grzbiecie — i sześciu innych Władców Weyru.

— Co to za przekłeta fala, która ma zniszczyć całe wybrzeże? — zdenerwował się Fortine. — Przecież nie przeleci całej drogi z Morza Archipelagu na mój brzeg?

— Wejdźcie, wejdźcie — niecierpliwie zapraszał przybyszów Idarolan. — Siadajcie wszyscy — gestem poprosił Haligona, by podał im krzesła stłoczone w kącie.

— Żeby mi to była jakaś ważna sprawa, bośmy wcześniej wstali i musieli tu przylecieć na gwałt — denerwował się Toronas z Bende.

— Och, zapewniam cię, że to ważne — odparła Lessa takim tonem, że wszyscy zamilkli i pospiesznie zajęli miejsca przy stole.

— Przynajmniej u ciebie, Toronasi, było już rano — powiedział Jaxom, przysuwając krzesło dla Sharry, która mrugała, by zmusić zaspane oczy do pracy. — Nie musiałeś wstawać w środku nocy, a widzisz tu Ranrela, Haligona i Janissian, przytomnych i gotowych do działania.

Lord Toronas miał wyraźne zastrzeżenia co do obecności Janissian, która wyglądała zbyt młodo na swoje lata, choć to dziadek, Lord Sangel, przysłał ją w swoim zastępstwie.

— Siadaj obok mnie, Toronasi — zaprosiła go Lessa i uśmiechnęła się zachęcająco do Janissian, która trzymała się blisko Sharry i Jaxoma. Dziewczyna z Południowego Bollu słuchała z pozornym spokojem, ale oczy jej biegały od poznaczonych na czerwono map do twarzy osób zaproszonych na nadzwyczajne zebranie. Ranrel kiwnął jej głową na powitanie, a Kashman odpowiedział spojrzeniem.

— Proszę, powtórz to wszystko, Czeladniku Erragonie — odezwała się oficjalnie Lessa — aby każdy dokładnie zrozumiał, jak niezwykle ważne jest to spotkanie. Niektórym z nas pozostało mniej czasu niż pozostałym, zresztą nikt tu nie ma chwili do stracenia.

Zanim Erragon zaczął opisywać, w jaki sposób napływające i różnych stron fale zaleją południowe wybrzeże, rozległ się głęboki, huczący dźwięk. Czeladnik aż drgnął. Lessa kurczowo chwyciła oparcie fotela, gdy przerażająca vibracja przeszła ją aż po podbicie stóp.

— Co to było?! — zawołała. W korytarzu dały się słyszeć krzyki.

— To — wyjaśnił Erragon idąc ku drzwiom — była naziemna fala uderzeniowa

powstała w wyniku upadku kuli ognistej. Spojrzał na zegarek. — Dokładnie o czasie! Przepraszam na chwilę! — dodał i otwierając drzwi zawołał do przerażonych ludzi, tłoczących się na korytarzu: — Wszystko w porządku! Dotarła do nas fala uderzeniowa!

Zamknął drzwi, a Lessa zapadła w zadumą nad wszystkimi katastrofami, w które obfitował ten dzień.

WAROWNIA NA URWISKU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA. CZAS PRZESZŁY

Trzy smoki ostrożnie nadleciały nad Warownię na Urwisku Wschodzącego Słońca, pojawiając się nad pierwszym szeregiem wydym naniesionych przez wysokie przypyły. Wydmy pewnie wkrótce znikną, wchłonięte przez tsunami, pomyślał F'lessan. Smoki poszybowały nad brzeg, gdzie granitowa ściana pękła podczas trzęsienia ziemi, tworząc szeroką płytką zatokę i wąwóz, którym teraz do morza spływał strumyk. Za strumykiem skalna ściana wznosiła się znowu, tworząc wzgórze po wschodniej stronie zatoki. Widzieli łódki wyciągnięte na piaszczystą plażę. Nie daj się nakłonić do ratowania łodzi, powiedział T'gellan, ale może jakoś się uda wciągnąć... Najpierw ludzie, oświadczył surowo Golanth. Dziś ratujemy ludzi. Mieli wrażenie, że wszyscy mieszkańcy osady wylegli na wydmy, by obserwować coś, co się działo na północy. Białe piaski schodziły ku morzu, gdzie małe falki spokojnie były o brzeg szerokiej plaży, której uroda wkrótce zostanie zniszczona. Na ewakuację mieli zaledwie dwie godziny. F'lessan wyczuwał, że nie będzie to łatwe. Kto uwierzy w opowieść o nadchodzącej katastrofie? Powietrze było tak krystalicznie czyste!

W pomarańczowe urwisko, gdzie granit wyrastał z piasków, wtuliło się dwanaście gospodarstw. Rybacy nieźle sobie radzili przez piętnaście Obrotów, które upłynęły od czasu, gdy się tu osiedlili, pomyślał F'lessan. Niełatwo przyjdzie im się rozstać z tym dostatkim. Ludzie podnosili do góry dzieci, by mogły obejrzeć ognistą kulę, a gromadka brzdąców, ubranych i nieubranych, tłoczyła się wokół rodziców, zaciekawiona nowym widowiskiem. Prawie sto osób, szybko ocenił jeździec. Niektórym starszym ludziom trudno będzie się wspiąć tą stromą serpentyną do bezpiecznego miejsca na skale.

Delfiny! powiedział Golanth. Flessan, zaskoczony, przeniósł wzrok na morze. Zaledwie pięćdziesiąt metrów od brzegu, gdzie płycizna zsuwała się ku głębszej, bardziej błękitnej toni, pluskało się i wyginało w wodzie stadko ośmiu delfinów, które wciąż nurkowały i wyskakiwały, ale nie dla zabawy; ich przeszywające piski dochodziły aż do uszu F'lessana. Zdażył on już na tyle poznać wdzięczne ruchy tych stworzeń, by zorientować się, że dziś wyrażały one szaleńczy niepokój. Trzy z nich wynurzyły się na ogonach, a potem ciężko opadły w wodę; ich płetwy grzbietowe rozcięły fale powstałe przy skokach. Piszczwały tak wysokim tonem, że nie mógł pochwycić słów.

A więc wiedzą! Przynajmniej to jedno przestało go trapić, czuł ulgę, że Natua z małym i całe stado z Monako odpłynie w bezpieczne miejsce. *Nie słyszę, co mówią, ale wyraźnie starają się ostrzec ludzi z osady!*

Co z tego, kiedy i tak nikt na nie nie patrzy, stwierdził Golanti podchodząc do lądowania. *Nas będzie łatwiej zauważyć.*

Spójrz! Jedno z dzieci zauważyło delfiny.

— Tato, tato, delfiny! Piszczą, żeby nas ostrzec! Ale przecież nie ma sztormu! Co im się stało? — Ten sam chłopiec pierwszy spostrzegł smoki kątem oka i usłyszał szelest ich stóp po miękkim piasku, gdy sprawnie były skrzydłami w tył, by się zatrzymać.

— Ostrzegają was! — zawołał F'lessan przyłożywszy ręce do ust. Chodzi o ognistą kulę na niebie. Ona wylądjuje w morzu, podnosząc ogromne fale. Gorsze niż najgorszy sztorm, jaki znacie.

— Słyszemy cię, jeźdźcze — powiedział jeden z mężczyzn, odwracając się lekko w jego stronę. Nawet nie oderwał wzroku od fascynującej pomarańczowej kuli, która była ciekawszym spektaklem niż trzy smoki.

— Odplynęły! — zawołał rozczerowany chłopiec. Gwałtownie odwrócił się ku jeźdźcom, jakby to ich pojawienie się przestraszyło delfiny.

F'lessan odczuł wielką ulgę, że w polu widzenia nie pozostała ani jedna płetwa grzbietowa. Pewnie pędzą teraz przed siebie na bezpieczną głębinię. Po raz kolejny dotrzymały umowy z ludźmi i ostrzegły ich przed niebezpieczeństwem.

— Delfiny... ryby-towarzysze — mówił na tyle głośno, by dosłyszeli go ludzie, zafascynowani spektaklem na niebie — chciały was ostrzec. Na pewno wiecie, że uważają opiekę nad wszystkimi marynarzami za swój obowiązek — wskazał na mężczyznę, który próbował go skarcić.

— Ano tak, wskazują nam ławice ryb, ostrzegają przed szkwałami, ale tak jeszcze nigdy się nie zachowywały. — Jego rozmówca w dalszym ciągu wołał obserwować kulę niż rozmawiać z jeźdźcem.

— Słuchaj, człowieku, z nieba spadają nie tylko Nici! — powiedział F'lessan. — Przylecieliśmy, żeby was zabrać na urwisko, w górę, żeby nie zagarnęły was fale.

— Fale? — Do Flessana podszedł drugi rybak i objaśnił go łagodnie, po ojcowsku: — Jesteśmy tu dużo powyżej linii przyływu.

— Ale nie takiego — odparł F'lessan.

— No cóż, spiżowy jeźdźcze, widzę, że nie masz nawet oznak Monako. Co cię tu przyniosło?

— My jesteśmy z Monako! — zawołał C'reel, a St'ven energicznie pokiwał głową. — Wysłuchaj F'lessana, jeźdźca Golantha!

— Ewakuujemy was — dodał St'ven. — Wszystkie osady na całym wybrzeżu.

Pomagają nam wszystkie Weyry!

F'lessan przerzucił nogę przez grzbiet smoka i zsunął się na ziemię. Może jeśli zacznie rozmawiać z tymi ludźmi twarzą w twarz, nie z grzbietu spiżowego smoka, uda mu się ich przekonać, jak bardzo ważne jest jego przesłanie.

— Kto jest tu władcą osady? — spytał, idąc w stronę tłumu tak szybko, jak pozwalał na to miękki piasek.

— Ja! — pierwszy z mężczyzn dźgnął się grubym, pokrytym bliznami kciukiem w opaloną pierś. Miał na sobie tradycyjną koszulkę bez rękawów i szorty, spod których wyglądały krępe, owłosione nogi. Piasek oblepił mu bosc palce stóp. — Binness, Czeladnik, Cech Rybacki!

— Czeladniku Binnessie, działamy na polecenie T'gellana, przywódcy twojego Weyru oraz — F'lessan doznał nagłego przebłysku natchnienia — Mistrza Rybackiego Currana, którzy nakazali ewakuować wszystkich twoich ludzi na wzgórza. — Szerokim gestem wskazał na zachodni klif, wyższy o smoczą długość niż skały na wschodzie.

Binness zachichotał.

— Nie nabierzesz mnie, jeźdźcze. Mistrz Curran jest daleko na wschodzie, w Tilleku, tam gdzie jego miejsce.

— To, gdzie jest jego miejsce, nie ma znaczenia, czeladniku, zdenerwował się C'reel. — Ważne, że w tej chwili jest na Ładowisku i naradza się, jak ratować ludzkie życie.

— Binness, obudź się i posłuchaj! — huknął F'lessan. — Kiedy ta kula wpadnie do oceanu — wskazał na rąbek ognistej gwiazdy, jeszcze widoczny nad horyzontem — do tej zatoki wdrze się tak ogromna fala, o jakiej ci się nie śniło. Nie ma tu żadnego archipelagu, który by ją przełamał i cała ta osada zatonie! — złożył ręce jak nożyce, by podkreślić nieuchronność katastrofy. Jego wzrok padł na tarczę zegarka, widocznego spod podciągniętego rękawa kurtki. — Który wpadnie do oceanu za minutę. Być może zobaczysz chmurę pary, jaka podniesie się po uderzeniu! — ponownie wskazał na północ.

— Zniknęła! — zawołała jakaś kobieta, dramatycznie wymachując rękami na pożegnanie nieznanego zjawiska, które wzbudziło sensację w odizolowanej od świata osadzie.

F'lessan zamknął oczy, przerażony brakiem czasu. Dwie godziny na ewakuację setki ludzi i wszystkich rzeczy, które uda im się zgarnąć, a nawet nie udało się im dotąd wyperswadować ogromu zagrożenia.

— Masz dalekowiedz — powiedział, zauważywszy urządzenie w pochwie u pasa Binnessa. — Dobrze się przyjrzyj!

Binness przyłożył lunetę do oczu — po to, by spełnić kaprys jeźdźca, nie dlatego, że chciał cokolwiek zobaczyć. Stracił nieco cennego czasu na ustawienie ostrości. Zobaczył szczyt powstającej chmury tylko dlatego, że F'lessan dokładnie wiedział, gdzie jej szukać.

— Coś tam jest, Binness — powiedział jeden z rybaków przy sieciach. — Un chyba ma racje. Wiesz, że mam bystry wzrok.

— No, tak — przyznał Binness z urazą. — pewnie idzie sztorm. — Złożył lunetę i wsunął do pochwy.

— Ano, dlatego delfiny nas ostrzegły — spokojnie wyjaśnił jakiś rybak.

— Dlaczego... nie., chcecie... mi... uwierzyć? — spytał F'lessan z naciskiem, cedząc słowa, świadomy, jak szybko upływa cenny czas. — Pakujcie rzeczy! Najpierw zabierzemy dzieci, cioteczki i wujów.

Kobiety natychmiast przytuliły dzieci do siebie, nagle spłoszone obecnością jeźdźca. F'lessan walczył z narastającym gniewem. Czy przestali ufać jeźdźcom? T'gellan był dobrym Władcą Weyru.

— Słuchajcie, rozłóżcie sieć na ziemi — wskazał na najbliższego rybaka z siecią na ramieniu — Dużo się do niej zmieści.

— Jeździłeś już kiedyś na smoku? — spytał C'reel, przykucając przy chłopczyku, który pierwszy spostrzegł delfiny.

F'lessan ciągle popatrywał na zegarek. Może trzeba będzie poczekać na falę uderzeniową, by dowieść tym ludziom, że mówi prawdę. Warownia jest bliżej miejsca upadku kuli, więc fala nadejdzie prędzej i będzie znacznie silniejsza. Wytworzy się też reakcja sejsmiczna, naprężenia przeniosą się przez skalne dno morskie z dziesięciokrotną prędkością dźwięku. Ludzie najpierw poczują, co się dzieje, a potem to usłyszą.

W tym momencie poczuł przez buty — a większość ludzi przez bose stopy — jak zatrzęsała się ziemia. Rozległ się basowy huk, drażący bębunki uszne aż do bólu. Kilkanaście osób upadło na piasek. Nawet smoki musiały pomóc sobie skrzydłami, by utrzymać równowagę.

— A teraz mi wierzysz, Binnessie? — spytał F'lessan, otrzepując piasek z butów.

Dwie kobiety zaczęły jęczeć przeszywająco, prawie tak jak smoki obwieszczające śmierć jednego ze swoich braci.

— Czy ci wierzę, jeźdźcze?! — Czeladnik również zaobserwował niepokojące krótkie falki na zatoce. — Ruszajcie! Żywo! Pakować się! — szerokimi ruchami ramion rozesłał kobiety do domów. — Lias, rozłóż tę sieć. Dzieciaki, do matek. Zbierać wszystko, co wam wpadnie w ręce. Petan, przynieś więcej sieci. Jesteś pewien, że smoki są mocne, spiżowy

jeźdźcze?

— Uniosą tyle, ile trzeba, czeladniku — odparł F'lessan z uśmiechem. Gestem polecił Creelowi i St'venowi pomóc przy rozkładaniu sieci. — Będą nam potrzebne sznury...

— Liny... — poprawił go C'reel, widząc, że Lias nie rozumie, o co chodzi.

— No dobrze, liny, żeby zrobić węzły dla smoków. Łatwiej im będzie podnieść sieć. Binness, gdzie jest najbardziej osłonięte od wiatru miejsce na klifach? Jest tam jakiś las? Będziecie potrzebować schronienia. Oprócz fali nadejdzie wichura i ulewa.

— Na szczycie jest dużo dobrych miejsc — uspokoił go Binness, sprawnie rozkładając na piasku kolejną sieć.

Nadbiegł chłopiec z bujanym fotelem.

— Nie, nie — zawołał F'lessan, polecając chłopcu gestem, by odstawił fotel na bok. — Meble pójdą ostatnie. Przynieście garnki, patelnie, jedzenie, to co niezbędne — krzyknął, a przestraszony chłopak i fotel na piasek i popędził z powrotem do największej chaty.

— To fotel mojej pani — stwierdził wyzywająco Binness i przerywając robotę, zatknął pięści za szeroki pas, przy którym oprócz lunety wisiał także nóż w pochwie.

— A gdzie ona? — zapytał F'lessan.

— Idzie. Idzie lady Medda — Binness wskazał na największe domostwo, skąd szybkim krokiem nadchodziły dwie kobiety, dźwigając na splecionych w koszyczek dłoniach starszą panią. Siwe, splecione w dwa warkocze włosy podskakiwały jej na plecach. — Ma bóle stawów, ale sprawnie rządzi nami wszystkimi!

— Polecą pierwsza. — Jeśli to ona zarządzała Warownią, F'lessan zamierzał przenieść ją w miejsce, gdzie będzie przydatna.

— Pokażę wam miejsce! — odkrzyknął Binness ze złośliwym uśmiechem, a potem złapał kawałek liny i przywiązał ją do oparcia fotela. — Gdzie?

Do licha! Ale nie było czasu, by się z nim spierać. F'lessan i mahał ramieniem w stronę Golantha.

— Zrób pętlę na trzecim wyrostku szyjnym. Sam ją zabiorę, razem z tymi dwiema, które ją niosą.

Skończyło się na tym, że smok został obwieszony znacznie większą ilością ładunku oprócz zachwyconej perspektywą podróży lady Meddy, której pomarszczona twarz zdradzała dziewięć lub dziesięć dziesiątków lat życia. Z werwą usadowiła się na karku Golantha, wykrzykując polecenia do wszystkich, którzy obsługiwali ją biegiem.

— Jedzenie i drobiazgi powiązać w serwety. Przynieście bukłaki. Wrzucajcie wszystkie garnki, które wam wpadną w rękę. Jeźdźcy nie będą jeździć na pusto, wypełnijcie

sieci czym się da.

Brązowy Galuth C'reela miał na grzbiecie dwie młodsze kobiety. Każda trzymała w ramionach dwójkę dzieci. Z wyrostków na grzbiecie zwisały paki i paczki prawie do samego ogona. St'ven niebezpiecznie wychylił się z grzbietu Mealtha i obserwował, czy nic się nie wysypuje z pierwszej wypakowanej sieci, którą smok podnosił z ziemi.

Rozładunek na szczycie trwał o wiele dłużej. F'lessan z irytacją przekonał się, jak trudno rozwiązać węzły, którymi Binness umocował fotel starszej pani. Czekaając na swoje siedzisko, lady Medda przycupnęła wyprostowana na pniu zwałonego drzewa, a z jej ust dobywał się nieprzerwany strumień zwięzłych poleceń. Wymachiwała pierzastym liściem, odganiając od siebie owady. Z tyłu Mealth delikatnie położył sieć na ziemi i wylądował obok, by wysadzić pasażerów. Starsza pani wydała radosny okrzyk na widok tak precyzyjnego lądowania, F'lessan walczył z węzłem, dopóki nie podbiegł do niego chłopczyk, który pierwszy wypatrzył delfiny. Spojrzał na niego z politowaniem, pociągnął za jeden z wolnych końców, rozwiązał węzeł i odczepił fotel.

— Sam powinienes to wiedzieć! — rzucił oskarżającym tonem i biegiem zaniósł krzesło babci.

Flessan nie tyle żałował nieznamomości żeglarskich węzłów, ile czasu straconego na ich rozplątywanie. Czas! Czas! Skoczył — już nie tak lekko jak zwykle — na grzbiet Golantha. Spiżowy smok szeroko rozłożył skrzydła, podbiegł ku przepaści i po prostu spadł z jej skraju. F'lessan uśmiechnął się tylko, słysząc krzyki przerażenia wywołane jego techniką, dzięki której zaoszczędzili kilka chwil.

Binness z kolegami napełnili dwie kolejne sieci i unieśli do góry węzły, które pochwytyły oba brązowe smoki. F'lessanowi udało się zmieścić na smoczym grzbiecie pięcioro dzieci, dwie następne kobiety i całą girlandę worków. Lecąc, widział kobiety i dziewczęta, które wędrowały szeregiem po schodach przecinających zygzakiem skalną ścianę; były tak obładowane, aż dziw brał, że w ogóle mogą iść.

Wracając na plażę, spostrzegł, że mężczyźni taszczą jedną z łódek przez łańcuch wydm, naniesionych wysokim przyptywem. Czterech innych pędziło ku morzu, jakby chcieli przynieść drugą. „Nie daj się namówić na przenoszenie łodzi” — ostrzegał go Tgellan.

— Nie damy rady tego zabrać! — krzyknął F'lessan, zeskakując z grzbietu Golantha prawie wprost na nastroszonego wojowniczo Binnessa. Obok czeladnika stanął równie zdeterminowany Lias.

— Jeśli nie będziemy mieli łódek, nie złowimy ryb i pomrzemy z głodu.

— Przyplłynęliśmy na nich cały kawał z Wielkiej Zatoki, jeźdźcu smoka — wtrącił

Lias z dzikim wyrazem pomarszczonej twarzy. — Płynęliśmy całymi dniami. Nie możemy ich tak zostawić.

Pozostała czwórka, ciężko dysząc, przyciągnęła drugą łódkę.

— Wyjęliśmy maszty — powiedział Binness, jakby to mogło ułatwić transport. Łódki może zresztą rzeczywiście stały się poręczniejsze. — Możemy je olinować tak, żebyście je podnieśli jak te sieci. Marny dość liny.

F'lessan zwlekał z odpowiedzią, ocierając pot z czoła i szyi. Czy starczy czasu? Popatrzył na dwie małe łódki, a potem na zegarek.

Ci ludzie wkrótce mieli utracić domy, a żadna z łódek nie była dłuższa niż smocze ciało. Nie miały pokładów z wyjątkiem pokrycia ostrego dziobu w kształcie litery V. Niemożliwe, żeby dużo ważyły. Lias pochwycił poprzeczną listwę i błyskawicznie oplótł ją liną, jakby miał to być dowód, który rozproszy wątpliwości F'lessana.

— Powiedziałeś, że smoki mogą unieść tyle, ile trzeba! Czy na to wystarczy im siły, jeźdźcze? — W szeroko otwartych oczach i dzikim spojrzeniu malowała się prośba i wyzwanie, którym F'lessan nie potrafił się oprzeć. Przełknął ślinę.

— No to obwiążcie je linami. Spróbujemy. Tylko się pospieszcie.

— Trzy smoki? Trzy maleńkie, leciutkie łódeczki? — zawołał Binness, a w jego wzroku zabłysła nadzieja. — Z dziewięciu, które mamy w osadzie?

F'lessan jęknął. Nie mógł uwierzyć, że się na to zgodził.

— Szybko, zanim zmieni zdanie — zawołał Binness i posłał z powrotem na plażę czterech mężczyzn, którzy w dalszym ciągu nie mogli złapać tchu. Odwrócili się i potykając się zbiegli z wydmy. Binness z Liasem zaczęli przygotowywać liny. Binness przerwał na chwilę i rzucił jeden zwój do F'lessana. — Zajmij się tą drugą. Postaraj się, by liny były tej samej długości.

Zaskoczony F'lessan zaczął oplatać linami poprzeczki drugiej łodzi.

— Wszyscy wyszli z domów? Zabraliście wszystko, co potrzebne? — zawołał, gdy wyczerpani rybacy przydźwigali trzecią łódź, po czym padli na ziemię opierając się o jej burty. Dyszeli ciężko, a ich spocone ciała były oblepione piaskiem w miejscach, gdzie zetknęły się z ziemią, gdy się potykali.

— Ty idź sprawdzić! — polecił Binness. Jeden z rybaków z trudem wstał i powłókł się w stronę najbliższej chaty. — Lias, zaciągnij mocniej tę linę. Ty tam olinuj bakkburtę. Ty zaciągnij węzeł zaciskowy na wsporniku kotwicy. Tylko żeby mi był mocny!

Kiedy nadlecieli C'reel z Galuthem i zobaczyli pierwszą łódkę obwiązaną linami i gotową do transportu, brązowy jeździec najwyraźniej uznał, że F'lessan za dużo od nich

wymaga. Z łodzi sterczały przeróżne szpargały; wiadra, grabie, ręczne sieci, jakieś sandały, kłęby sieci, ościenie na ryby, małe bójki, pływaki i nawet poskładane żagle.

— Nic ciężkiego — powiedział F'lessan, popatrzył na nowy ładunek i zdziwił się, że do łódek wetknięto tyle różności, kiedy tylko odwrócił wzrok.

— Damy radę, C'reel. Galuth to podniesie. *W górę, Galuth!* — i dał sygnał do startu, używany przez dowódców skrzydeł.

Golanth poparł go rykiem, a Galuth wznosił się do góry tak szybko, że Creelowi aż głowa podskoczyła od pędu. Smok trzymał w pazurach węzeł, a łódka zawisła w powietrzu, kołysząc się gwałtownie. Galuth poczekał, aż przestanie się kołysać i wznosił się powoli, kontrolując przechyły. Widać było, że jeśli nie uda mu się nabrać wysokości, łódka roztrzaska się o skały. Jednak ładunek nawet nie musnął krawędzi. Rybacy wzniesli radosny okrzyk i Mealth już czekał na podanie mu drugiego węzła.

F'lessan nerwowo obserwował powierzchnię zatoki, w dalszym ciągu gładką i spokojną. Po chwili poczuł na ciele ziarenka piasku; to wrócił posłaniec, któremu polecono sprawdzić chaty.

— Wszyscy wyszli, Binness.

— A więc ruszamy na schody, jeźdźcze. Wsiadaj, a ja podam węzeł twojemu spizowemu.

W tym momencie morze jakby wpełzło na piaski, zostawiając za sobą białą koronkę piany.

Binness popatrzył zdumiony.

F'lessan przebiegł wzrokiem horyzont, ale nie spostrzegł niczego, co mogłoby przypominać grzywę tsunami. Mielizny sięgały co najmniej pięćdziesiąt metrów w głąb zatoki, tam, gdzie przedtem wyskakiwały delfiny. A mielizny oznaczały więcej zniszczeń na drodze tsunami.

— W górę, jeźdźcze — zawołał Binness, trzymając w jednej ręce węzeł, a drugą wymachując gorączkowo.

F'lessan usłuchał. Golanth wznosił się wyginając szyję w dół, żeby sprawnie podjąć węzeł. Jego jeździec poczuł, że smok pochwycił linę i naprężył ją, podnosząc łódkę. Gdy wzniesli się metr nad piasek, zobaczył, że Binness pędzi ku schodom, energicznie pracując rękami i nogami.

Nie jest wcale ciężka, zapewnił go Golanth, ale wznoszenie się potrwało dość długo. Wszystko przez to, że smok nie chciał rozhuścić łódki i wysypać ładunku ani też wypuścić z pazurów plecionki z lin. Na szczycie tłoczyli się ludzie i pełno było różnych przedmiotów,

więc nie mieli gdzie położyć łódki. Starsza pani wydała kilka poleceń ze swojego stanowiska na bujanym fotelu i ludzie zrobili miejsce. F'lessan z ulgą poczuł, jak jego spizowy przyjaciel rozluźnia mięśnie po opuszczeniu łódki. Golanth wzniósł się w górę, trąbiąc radośnie. No cóż, rybacy będą mieli problem, żeby opuścić te łodzie z powrotem na piasek.

Nie dzisiaj!

Golanth przechylił się i zakreślił na pomoc, przelatując nisko nad granitową krawędzią urwiska, widzieli więc, jak ostatni mieszkańcy osady dochodzą do szczytu po topornych schodach i mimo zmęczenia odsuwają się od jego krawędzi. Spostrzegli też Binnessa, który wciąż pędził ku schodom. Potknął się ze zmęczenia i z trudem uniknął upadku.

W tym momencie na całym wybrzeżu woda cofnęła się z plaży, wessana w głębinę.

Nie zdąży!

Golanth nie czekając na polecenie zanurkował skosem ku i mężczyźnie, który biegł z wysiłkiem; uniósł głowę do góry, ramiona przycisnął do piersi, gwałtownie pracował łokciami, by napełnić powietrzem znużone płuca i mocno odpychał się od piachu.

Spizowy smok pochwycił go i poprawił chwyt przednich łap.

Binness spojrział na rozcapierzone pazury, a na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

F'lessan kątem oka spostrzegł wodną ścianę, wznoszącą się wyżej, coraz wyżej i pędzącą wprost na nich. Nad nimi sterczał klif; jeśli nawet tsunami ich nie zatopi, to roztrzaskają się o skały, Goanth zwolnił, by pochwycić Binnessa, a teraz nie zdoła nabrać dość szybkości, by się wznieść w górę!

Pomiędzy nigdy jeszcze nie było tak chłodne ani tak bezpieczne. W osiem sekund, czyli w cztery gorączkowe oddechy znaleźli się nad kłębowiskiem wody, które o mało co ich nie pochłonęło.

Fale są prawie tak wysokie jak urwisko; w głosie Golantha brzmiało rozbawienie. Wychodząc z *pomiędzy* obrał pozycję w pobliżu miejsca, z którego po raz pierwszy zobaczyli Warownię na Skale Wschodzącego Słońca.

Spizowy smok wyliczył tę akcję w *czasie!* I to z własnej inicjatywy!

Oszołomiony Flessan spoglądał w dół na potężną falę tsunami, która według wszystkich praw przyrody powinna była ich zatopić. Woda wznosiła się wysoko, a grzbiety fal lizały zbocza urwiska tuż pod szczytem. Za chwilę na brzeg zwała się z rykiem druga fala,« obracając wybrzeże w perzynę i zabierając ze sobą schody, które jeszcze niedawno zapewniły ludziom bezpieczeństwo.

Postawię go w pobliżu innych, powiedział Golanth i zaczął bić skrzydłami do tyłu.

Unosił się nad przerażonymi ludźmi, którzy tulili się do siebie, obserwując drugą falę, która niemal dotarła do szczytu. Mealth i Galuth podniosły wysoko skrzydła, chroniąc przed niesionymi wiatrem rozbryzgami starszą panią, która siedziała sztywno wyprostowana w bujanym fotelu, kołyszącym się na wietrze.

Mam nadzieję, że go za bardzo nie podrapałem.

Ma szczęście, że przeżył i może czuć te zadrapania, odparł F'lessan słabym głosem. Z trudem dotarło do niego, że przeżyli podwójne zagrożenie. Jedna sekunda i cała trójka roztrzaskałaby się na skalnej ścianie.

Wiedziałem, że się nie pogniewasz, jeśli znikniemy, zanim to się stanie. Golanth obrócił wielki łeb na lewo, obserwując, jak kipiąca fala tsunami wlewa się korytem strumienia w głąb łądu. Smok wykonał niemal taneczny piruet na tylnych łapach i bezpiecznie postawił Binnessa na wilgotnej ziemi.

F'lessan spojrzął z góry na rybaka, który rozciągnął się jak długi na mokrej trawie. Na ramionach miał rzeczywiście czerwone ślady po smoczycich pazurach. Jeździec ciężko opadł na szyję smoka. Do jego uszu dotarł basowy huk, odmienny od fali uderzeniowej, ale również przerażająco głośny. Woda znów rozbryznęła się na skalnej ścianie, jakby chciała odzyskać swoją ofiarę, uratowaną jedynie dzięki szybkości i inicjatywie smoka. Flessan czuł, że Golanth ląduje; zdawał sobie sprawę, że smok układa skrzydła po bokach, widział ciemność, która przesłoniła słońce i słyszał krzyki ludzi, którzy nagle uświadomili sobie, że jezory tsunami o mało nie przelały się przez urwisko. Wszystkie te hałasy stanowiły jedynie mętne tło dla uderzeń pulsu i szumu krwi w ciele jeźdźcy. W gardle mu zaschło; czuł się kompletnie wyczerpany.

Oddychaj głęboko, odezwał się serdecznie pełen dumy smok. *Jesteśmy już wszyscy bezpieczni.*

— Kto ma bukłak z winem? — szorstki głos rozproszył myśli F'lessana skupione wyłącznie na sobie. — Pomóżcie mu zejść. Nie widzicie, że się wykończył, ratując nas wszystkich? Dajcie mu się napić. Cona, pomóż swojemu mężowi. Pewnie uznał, że się utopił na śmierć.

— Mało brakowało, babciu — odpowiedział czyjś młody głos. Ktoś pociągnął go za rękaw.

— Jeźdźcze, napij się wina.

St'ven i C'reel musieli mu pomóc zsiąść, a Golanth przycupnęła najniżej jak mógł, żeby to ułatwić. Brązowi jeźdźcy oparli go o smoka i przytknęli do ust szyjkę bukłaka. Otworzył usta i pociągnął łyk wina. Było podłego gatunku, ale bardziej chodziło o jego

działanie niż o jakość.

— Niech ktoś poda kubek! — poleciła lady Medda. — To nie, pomyślenia, żeby jeździec, który uratował nam życie, pił jak wółczęga prosto z bukłaka!

— Dajcie więcej kubków... — zawołał przez ramię St'ven.

— Znalazłam tylko jeden — powiedziała w chwilę później jakaś kobieta, podając naczynie brązowemu jeźdźcowi. — Wszystkie rzeczy się przemieszały...

— Ale je mamy — ucięła lady Medda. — Lias, Petan, wyciągnijcie Binnessa z tej kałuży. Potem wróćcie i zabierzcie mnie pod dach. Nie zamierzam siedzieć w tej wilgoci dłużej niż to konieczne. Jeźdźcy, jeśli chcecie tu jeszcze trochę zostać, to też się schowajcie. Jeszcze nigdy nie widziałam tak gwałtownej burzy.

— Przejdzie — szepnął F'lessan do C'reela, który powtórzył jego słowa głośno, by dotarły do wszystkich.

Wino pomogło F'lessanowi oprzytomnieć na tyle, że stanął na nogach i oparł się o smoka. Miał nadzieję, że tylko spizowy wierzchowiec zauważy, jak mocno dygoce jego jeździec.

Ramoth każe wracać na Lądowisko, powiedział Golanth. Rozkaz ten dotarł także do Mealtha i Galutha, bo obaj brązowi jeźdźcy wyprostowali się w tym samym momencie.

— Musimy wracać na Lądowisko — zaczął F'lessan.

— Dasz radę dolecieć tak daleko?

F'lessan obrócił się ku osobie, która zapytała o to z takim niepokojem.

— Tak!

Lady Medda stała, ciężko opierając się o laskę. Wyciągnęła prawą rękę gestem, który zachował wiele wdzięku z młodości.

— Jesteśmy wam zobowiązani, smoczy jeźdźcy. Wiele wam zawdzięczamy. — Na te słowa zmoknięci i utrudzeni mieszkańcy osady, którzy wciąż przynosili swoje rzeczy, zatrzymali się wszyscy i skłonili jak jeden mąż.

— Wiele wam zawdzięczamy, smoczy jeźdźcy — powtórzyli chórem.

To pełne godności, proste podziękowanie było dla trójki jeźdźców sowitą nagrodą za trudy poniesione przy ratowaniu łódek. Lias i Petan poczekali, aż babcia Binnessa usadowi się w fotelu, a potem zanieśli ją do leśnego schronienia.

— Wyślijcie dzieci, niech zobaczą, czy są tu jakieś owoce. Znajdźcie dużo chrustu i rozpalcie ogień... — po drodze lady Medda nie przestawała wydawać poleceń.

— Myślałem, że zginiesz, F'lessanie — mruknął C'reel z twarzą mokrą od deszczu. — Włóż kurtkę, bo zamarzniesz na kość *pomiędzy*.

Kiedy St'ven zobaczył, że F'lessanowi drżą ręce, sam pozapinał mu kurtkę na guziki, znalazł jego hełm i założył mu na głowę. Potem obaj z Creelem posadzili go na smoka.

— Nieży z ciebie dowódca skrzydła, F'lessanie, Jestem dumny, że z tobą poleciałem!

— Ja też, spizowy jeźdźcze — dodał C'reel, zasalutował i podbiegł do czekającego na niego smoka.

SALA KONFERENCYJNA, 2.12 CZASU LOKALNEGO, ŁĄDOWISKO, 1.9.31

— I ja mam to powiedzieć Toricowi? — zdenerwował się F'nor. Obrzucił spojrzeniem najpierw przyrodniego brata, a potem Idarolana, który stanowczo pokiwał głową.

— Logika wskazuje, że ty i K'van będziecie najlepsi — powiedział F'lar. — Posłałbym z tym G'bola, ale on oszczędza czas — Władca Weyru znacząco uniósł brew.

K'van wzruszył ramionami i uniósł ręce, niechętnie wyrażając zgodę. Jego opalona twarz o ostrych rysach nie wyglądała na szczególnie zachwyconą.

— Może zabierzemy ze sobą Sintariego? Umie sobie radzić z Toricem.

— Toric mnie szanuje — odezwał się Idarolan z groźnym pomrukiem. — Każcie mu się brać do roboty, a potem możemy się zająć Południowym Bollem. — Rzucił szybkie, ukośnie spojrzenie Janissian. Słyszał o niej dużo dobrego; pomagała babce w prowadzeniu Warowni, od kiedy Sangel stał się nieodpowiedzialny. Świetny moment, by wykazała się zdolnościami przywódczymi. Była najlepsza z potomstwa Sangela. — Chyba, że będziesz mnie potrzebował do czegoś innego, Mistrzu Curranie — skłonił się uprzejmie swojemu następcy.

— Ja cię będę potrzebował, Mistrzu Idarolanie — wtrącił szybko, niemal przepaszająco Ciparis z Neratu. — Nerat ma dłuższe wybrzeże i całe jest zagrożone — popatrzył na F'lara. — Potrzebujemy każdej pomocy.

— Już wyruszyły lotne patrole z wiadomością do gospodarzy i dzierżawców — powiedział F'lar. — Ale, Mistrzu Idarolanie, czy mógłbyś użyczyć nam swoich bezcennych map?

— Można je skopiować... oczywiście, że tak — Idarolan podsunął mu potrzebne mapy.

Jeden Idarolan przyszedł na to spotkanie doskonale przygotowany, pomyślał F'lar. Z natury był rannym ptaszkiem. Wstawał o świcie i miał zwyczaj obserwować niebo, by dowiedzieć, się jaka będzie pogoda. Dzięki temu zaobserwował ognistą kulę. Wiedział, co może zrobić tsunami i natychmiast przeanalizował mapy i log. Podobnie jak Erragon, oznaczył na czerwono najbardziej zagrożone miejsca; mniejsze zagrożenie zakreślił na pomarańczowo, a łatwo dostępne wyżyny — na niebiesko. Zanim jeszcze Władca Bendenu poprosił go o pomoc, Idarolan zdołał całkiem realistycznie ocenić powagę sytuacji.

— Proszę! — Emerytowany Mistrz Rybaków jednym ruchem wyciągnął potrzebną mapę i podsunął ją w stronę F'nora. — Toric lubi wykresy, mapy i szczegóły. Tu jest

wszystko, co powinien wiedzieć. Będzie miał... zaraz, zaraz — wznosił oczy, przeliczając coś w myśli.

— Jedenaście godzin, minus czas poświęcony na to spotkanie — włączył się Erragon, przepraszająco skłaniając głowę w stronę starszego pana — a potem tsunami zwali się na wybrzeże jego warowni.

— Da sobie radę bez trudu — oświadczyła Lessa z nieprzeniknioną miną. — Jeszcze będzie narzekał, że jest poszkodowany, bo nadejdą i ze wschodu, i z zachodu.

F'nor otworzył szeroko oczy i zmierzył ją długim spojrzeniem. Odpowiedziała pełnym wyższości uśmiechem, ale Erragon ją poparł.

— Nie będzie mu wcale tak łatwo. Ma dużo nadmorskich gospodarstw.

— Południowy Boll będzie bardziej poszkodowany — powiedział Idarolan i z powagą skinął głową w stronę Janissian. — Tillek też.

— Na tym naszym południowym wybrzeżu jest więcej skalnych ścian niż mielizn — odezwał się Ranrel po raz pierwszy; cały czas robił notatki. — Mamy szczęście, żeście nas tak wcześnie ostrzegli.

— Istnienie *Yokohamy* jest więcej niż usprawiedliwione — powiedział Idarolan nieco świętoszkowato, rzucając spojrzenie spod oka Kashmanowi z Keroonu.

— Ciekaw jestem, co na ten temat powiedzą fanatycy — rzucił Jaxom celowo beztroskim tonem.

Po jego słowach zapanowało pełne niepewności milczenie. F'nor hałaśliwie odsunął krzesło, sięgnął przez stół po mapy Idarolana i dopił ostatni łyk kłahu.

— Ruszajmy więc! Wyślemy jaszczurkę ognistą, żeby powiadomiła Sintarię o naszym przybyciu — oświadczył i spojrzął na Lessę i F'lara.

— Całkiem słusznie — odparł Idarolan i również wstał. — To nie potrwa długo, lordzie Ciparisie, a potem będę na twoje usługi. Chciałbym jednak cię pocieszyć, że Klucze i długa plaża u ujścia rzeki Nerat nieco osłabiają atak tsunami. Mimo to ucierpią Czubek Neratu, Zakręt, Grethe, Saluda i Berea, a rzeka może wylać, cofając się aż do Wanety. Zaraz wracam.

— Odwiozą Janissian do Południowego Bollu, kiedy tylko będziemy mieli kopię tych wszystkich map dla ciebie, Currana, Ranrela i dla mnie — powiedział Jaxom.

Z POWROTEM NA LĄDOWISKU, 3.40

Tylko instynkt, dzięki któremu smoki nie wpadały na siebie podczas Opadu, ocalił Golantha z jeźdźcem przed katastrofą, gdy wyszli z *pomiędzy* nad Lądowiskiem. Na pierwszy rzut oka cały teren był pokryty smoczymi skrzydłami, tworzącymi coś w rodzaju ogromnego, wielobarwnego parasola.

Ramoth poleciała nam wylądować na placu. Mamy odpocząć! Znużony Golanth, nie czekając na odpowiedź F'lessana, zakręcił na czubku skrzydła, szybując ku przestronnemu Placowi Zgromadzeń. Po drodze F'lessan zdążył zauważyć Ramoth, przycupniętą nad budynkiem administracji. Rozłożyła skrzydła i nerwowo kręciła głowę, obserwując teren poniżej. Dwie inne królowe — młode z Bendenu, przyzwyczajone do współpracy z Ramoth — przycupnęły po bokach nieco niżej. Również obserwowały teren, prawdopodobnie kierując przelotami smoków zmierzających na Lądowisko i startujących w różnych kierunkach.

Golanth kierował się ku dołom na pieczyste i najbliższemu wolnemu miejscu.

Ona tu jest.

F'lessan zamrugał ze znużeniem i spostrzegł na dole kilka zielonych smoczy.

Obie „one”? spytał, starając się, by jego głos zabrzmiał choć trochę żartobliwie. Był tak obolały, jakby poturbowało go tsunami.

Obie. Ląduję. Potrzebujesz uzdrowiciela?

Dojdę do siebie, kiedy odpocznę.

W smoczych myślach zagrzmiało gromkie echo niedowierzania, ale Golanth posłusznie wylądował, unosząc skrzydła tak, by ich czubki i szpony zetknęły się nad głową. Nawet nie dotknął zielonych po obu stronach wybranego na lądowanie spłachetka ziemi. Po prawej miał Zaranth, której zieleń bardzo pojaśniała od rana. Druga smoczyca wsadziła głowę pod skrzydło i zapadła w sen; jeździec skulił się w zagłębieniu jej łapy. Zaranth zwięzonymi, zamglonymi oczami obserwowała lądowanie Golantha. Gdy wyciągnęła głowę by dotknąć czule jego szyi, F'lessan, choć zmęczony, przeżył niemałe zaskoczenie. Gest oznaczał pieśczoć, a nie stwierdzenie czyjejś obecności.

Lubi mnie, potwierdził Golanth.

F'lessan spostrzegł Tai skuloną między przednimi łapami smoczy, okrytą dwiema pięknie całkowanymi kocimi skórami.

Aha, uratowała je, pomyślał sobie.

— F'lessan? — ktoś pociągnął go za nogę. Zdziwił się, widząc swojego syna S'lana

tu, na południu. Chłopiec i brązowy Norenth ledwie wyrosli z koszar weyrzątek.

— Co ty tu robisz?

Chłopiec z dumnym uśmiechem podał mu kubeczek.

— Wszyscy tu przylecieliśmy do pomocy. Uzdrowiciel mówi,; masz to wypić, zsiąść ze smoka i się najeść.

Chłopiec wspiął się na łapę Golantha i podał spiżowemu jeźdźcowi kubek. F'lessan wychylił go jednym haustem. Bardzo dobrze zrobił, bo gdyby wcześniej wiedział, jaki smak ma ten napój, za nic nie wzięłby go do ust. Co za paskudztwo! Gorsze niż wino w tej morskiej osadzie! Oprzytomniał jednak na tyle, że mógł zsiąść ze smoka — głównie po to, by coś zjeść i pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach. Golanth z jękiem opadł na brzuch i wyciągnął się na tyle, na ile pozwalały mu ciała leżących obok znużonych smoków. F'lessan usiadł, opierając się o smoczy bok.

— Pomóż mi zdjąć kurtkę, Sellie — poprosił. Muszę pamiętać, żeby teraz nazywać go S'lan, przypomniał sobie. — Powieś ją na Golancie, to wyschnie, dobrze?

Potem wziął od chłopca kanapkę. ,

— Masz odpoczywać — powiedział S'lan i spojrzał spod oka na ojca. Wyglądał w tym momencie dokładnie jak jego babka. Zdjął z ramienia dwie manierki. — W jednej jest woda, w drugiej klah. Klahu jeszcze nie pij. Niech ostygnie. Ramoth mówi, że wszyscy jeźdźcy i smoki mają czas na odpoczynek.

— Ramoth tak mówi? To dobrze. Czy dostanę z powrotem stracony czas? — żartobliwy pomruk F'lessana był bardziej przeznaczony dla niego samego niż dla uszu jego syna. — Dzięki, S'lanie — dodał.

Powoli obracał głowę, obserwując tłum smoków wylegających się na placu i obok. Ugryzł bułkę i położył manierki na ziemi. Czy Lessa zauważyła, że jego syn jest podobny do babci jak dwie krople wody? Ciemne włosy, ciemne oczy i to znajome zadarcie podbródka... A to łobuziak!

— Wiesz, z Ramoth nikt się nie spiera. Lecę! Jeszcze tu wrócę. Zabrzmiało to prawie jak groźba. F'lessan ugryzł kanapkę — bułka była chrupiąca i jeszcze ciepła. Drugą ręką ściągnął z głowy przepocony hełm i położył go na słońcu. Do licha! Ależ wody było przy tym tsunami! Zmęczony, popatrzył na Tai, ale dziewczyna spała. Miała szczęście. Ciekawe, pomyślał... czy jak zamknie oczy, zobaczy wznoszącą się nad nim ścianę wody? I siebie, Golantha i Binnessa, rozplaszczonych na skale? Koszmar, który może powrócić w snach! Golanth to naprawdę najlepszy smok na całym Pernie. Pewnie, że tak, oświadczył nieskromnie spiżowy. F'lessan zaśmiał się, mało nie wypluwając resztek kanapki, którą żuł z

trudem, taki był zmęczony. Przełknął ją w końcu i popił wodą z manierki. Oczy same mu się zamykały. Czy w tym uzdrawiającym napoju przypadkiem nie było fellisu? Pociągnął długi łyk wody.

Golanth jęknął i położył paszczę na przedniej łapie. F'lessan podniósł rękę, by pogłodzić go po wyrostku pod prawym okiem, umościł sobie wygodne miejsce na smoczej łapie i natychmiast zasnął.

CECH HARFIARZY, 5.00 RANO **WAROWNIA POŁUDNIOWA, 2.00 RANO, 1.9.31**

W smaganym wichurą Forcie Idarolan szczegółowo poinformował Sebella o wszystkich zagrożeniach. Miał ze sobą dużo kopii planu przypuszczalnego ataku tsunami na południu i na wschodzie, więc mógł oddać jeden z zestawów Mistrzowi Harfiarzy. W pomieszczeniach interfejsu była jedyna na planecie automatyczna kopiarka — cud techniki, który okazał się teraz niezwykle przydatny. Ponieważ wiadomości nadane do Cechu przez wieżę bębnową ze wszystkich małych gospodarstw, które miały ten rodzaj łączności, odzwierciedlały narastającą tam panikę, Sebell potrzebował dokładnych informacji, które mógłby rozesłać w odpowiedzi.

Na zachodzie była jeszcze noc, ale nieprzerwane bębnienie wyrwało wiele osób ze snu; światła paliły się i w domach, i w wielkiej frontowej ścianie Fortu. Z Cechu Uzdrawicieli przybiegł posłaniec z listą pytań od Mistrza Oldive, który chciał wiedzieć, gdzie wysłać uzdrawicieli do pomocy w sytuacjach awaryjnych. Potrzebował też szczegółowych informacji, by odpowiednio poinstruować swoich ludzi.

— Zdażyłeś coś zjeść i wypić? — spytał Sebell, gdy usłyszał: wszystkie podstawowe informacje.

— Nie, w Warowni Południowej jest jeszcze wcześniej. Nie opóźniajmy spotkania z Toricem — skrzywił się F'nor.

— Będzie chciał wiedzieć, dlaczego tak zwlekaliśmy z poinformowaniem go o tej kuli — dodał Sebell i zaśmiał się, aż mu oczy zabłyśły w świetle nocnych lamp zapalonych w cechowym korytarzu.

— Też chciałbym się pośmiać — stwierdził F'nor.

— Teraz pewnie Toric pożałuje, że ma aż tak wiele... jak by to powiedzieć... nieujawnionych gospodarstw na wybrzeżu — prychnął Sebell z rozbawioną miną. — Prawda

zawsze wychodzi na jaw. K'van pewnie o tym wie.

— Lepiej lećmy. K'van i Sintary będą na nas czekać w starym Weyrze.

— Postaramy się zastąpić pogłoski faktami — oświadczył harfiarz. F'nor wcale mu nie zazdrościł tego obowiązku. Idarolan uśmiechnął się złośliwie:

— Miejcie uszy otwarte na pogłoski o tych morskich gadach, tych fanatykach.

— Przecież to katastrofa naturalna, prawda? — zapytał F'nor.

— W dodatku ostrzegła nas *Yokohama* — dodał Sebell.

— Cholera, mamy szczęście, że zostało nam choć jedno oko na niebie — stwierdził Idarolan, jak zwykle uszczypliwy.

F'nor zastanawiał się, czy nie przenieść się w czasie; wiedział, że informatorzy Torica na pewno podadzą mu dokładny czas, gdy osoby zgromadzone na Lądowisku dowiedziały się, jakie zagrożenie niesie z sobą ognista kula, ale postanowił mimo wszystko trzymać się zwykłego czasu. W tym momencie Canth powiedział:

Ramoth zabroniła! Nie wiadomo, co nas dziś jeszcze czeka.

Dobrze, Canth, przyjąłem naganę.

Ależ skądże! odparł smok z łagodnym protestem.

Znasz mnie aż za dobrze.

Znów odezwały się bębny. Sebell pomachał im ręką na pożegnanie i pobiegł schodami, by się tym zająć. F'nor upewnił się, czy Idarolan wygodnie usadowił się z tyłu i podał Canthowi wyraźny obraz skalistych urwisk nad Warownią Południową — w nocy.

Nie tylko Ruth umie się orientować w czasie, stwierdził Canth na zakończenie.

Gdy znaleźli się nad Warownią Południową, F'nor doznał dziwnego uczucia obcości; panował tu taki spokój... w głębi zatoki migotały światła kotwiczne czterech przybrzeżnych statków i lampy w porcie. Na Lądowisku zostawili ruch i zamęt. Mieszkańcy Warowni Fort pracowali gorączkowo i w napięciu. Canth szybował przez ciepłe powietrze nad uśpioną Warownią bezszelestnie i niezauważony przez nikogo — przynajmniej F'nor miał taką nadzieję — i wylądował na terenie pierwszego Południowego Weyru. F'nor z żalem myślał, że właśnie teraz, po drugiej stronie planety, fale tsunami rujnują Weyr Monako. Czy starczyło smoków, by uratować wszystkich dorosłych i dzieci?

Wieści, które mieli zanieść Toricowi, nie były aż tak złowieszcze, choć Władca Warowni Południowej będzie miał pewnie na ten temat inne zdanie. Idarolan był prawie pewien, że wysokie urwiska Warowni powstrzymają rozszczerzone fale tsunami, które będzie musiało precyzyjnie się między wyspą Ista a kontynentem Południowym. Niestety, fale

zaatakują Warownię Torica po obu brzegach. Mapa Idarolana i wyliczenia Erragona wskazywały, że tsunami, idące wprost na zachód, może po prostu wytracić sporą część energii. Niezależnie od tego należało ewakuować przybrzeżne osiedla i przepędzić bydło z nizinnych pastwisk na wyżej położone tereny. Trzeba tylko pamiętać, że podczas tego złego wiatru, przed którym delfiny ostrzegły Torica, Władca Warowni działał zbyt wolno i nie zdołał ograniczyć potwornych zniszczeń spowodowanych huraganem.

Gdy Canth wylądował w przesyconej kwiatnymi zapachami nocy, z cienia wyszli K'van ze swoją partnerką Adrea, Mistrz Sintary i czterech dowódców skrzydeł w Weyrze Południowym. Gdy brązowy smok cicho zatrąbił na powitanie, zabłysło pięć par błękitnozielonych oczu. Smoki podeszły do zebranych. K'van i dał ręczne latarki.

— Dziś nie będzie księżyców — powiedział młody Władca weyru, a jego uśmiech zabłysł w świetle lampki. — R'mart też chciał przyjść, ale wyperswadowaliśmy mu, że emerytura oznacza zwolnienie od obowiązków.

F'nor uklonił się Adrei, kiwnięciem głowy powitał spizowych jeźdźców i ściągnął z siebie pasy bezpieczeństwa. Z zadowoleniem powitał podmuch świeżej bryzy nad płaskowyżu.

— Mam własną latarkę — powiedział Sintary i oświetlił wydeptany szlak prowadzący ze starego, otwartego Weyru do Warowni.

— Naturalnie, Toric może to wszystko zlekceważyć — powiedział F'nor przyciszonym głosem, gdy cała ósemka ostrożnie szła w stronę Warowni.

Zanim doszli do pierwszego zakrętu, osadził ich w miejscu groźny okrzyk:

—Stój! Kto idzie!

— F'nor, jeździec Cantha — odparł F'nor oświetlając sobie twarz.

— K'van, Adrea, M'ling, N'bil, S'dra, H'redan — dodał Władca Weyru i po kolei oświetlał twarze wymienianych przez siebie osób.

— Idarolan i Sintary — oświadczył Harfiarz.

— Mamy pilną wiadomość z Ładowiska do Lorda Torica — dodał F'nor.

— Bardzo pilną i bardzo ważną wiadomość — potwierdził Idarolan i wystąpił naprzód zdecydowanym krokiem. — Najlepiej natychmiast nas do niego zaprowadź.

— Przecież jest środek nocy! — zabrzmiał protest.

— A od kiedy to kłopoty przestały przytrafiać się nieoczekiwanie? — Idarolan nie zatrzymał się, a strażnik zszedł mu z drogi. Rzeczywiście mówisz jak Idarolan. — stwierdził z powątpiewaniem.

— Jeśli nie poznajesz z widzenia twojego Władcy Weyru — zauważył kwaśno Sintary

— to właśnie napytałeś sobie kłopotów.

— Proszę, Mistrzu Harfiarzu, proszę tędy, Władco Weyru — padła natychmiastowa odpowiedź strażnika, który poza tym odezwał się tylko raz, gdy przechodzili przez plac: — Ale to wy go obudzicie, nie ja!

F'nor nie był jedynym, który się roześmiał. Na szczęście na wezwanie odpowiedziała Ramala. Uniosła góry koszyk z żarami i oświetliła ich twarze.

— Złe wiadomości? — spytała prowadząc ich do wielkiej sali.

— Może nie aż tak złe dla Południowego, jak dla innych — odparł Idarolan. Na te słowa Ramala zatrzymała się i przyjrzała mu się badawczo w przyćmionym świetle lamp. — Będziesz tak miła i obudzisz Torica? — spytał.

— Chyba, lepiej, żebym to była ja — stwierdziła, zaprosiła ich gestem, by usiedli i otworzyła najbliższy kosz żarów.

Po chwili poszła do sypialni, gdzie rozległ się stłumiony okrzyk protestu. Zaraz wróciła, kiwnęła głową i poprosiła, żeby sami otworzyli więcej żarów, a ona przez ten czas przygotowuje świeży klah.

— Albo wino, jeśli uważacie, że lepiej pasuje do okazji.

— Jedno i drugie — odparł F'nor bez ceregieli. Chętnie sam wychyliłby szklaneczkę. Śniadanie w Bendenie było dawno temu, a nie liczył przekąski, którą dostali na alarmowym spotkaniu na Lądowisku.

Sintary z dwoma jeźdźcami otworzyli tylko tyle koszy, by oświetlić wejście do wielkiej sali. Ledwie zasiedli na końcu długiego stołu, gdy dało się słyszeć człapanie sandałów po kamieniach. Idarolan uśmiechnął się i poukładał na stole dokumenty, przygotowując się do sprzeczki z Toricem.

Władca Warowni w rozpiętej koszuli i spodniach na jednej szelce wszedł z ponurą miną do sali. Grymas na jego twarzy pogłębił się, gdy stanął w progu i zobaczył gości.

— Co się u licha stało tym razem? To nieodpowiedni skład Rady?

— Mniej więcej o dwunastej dwadzieścia czasu Lądowiska do Morza Wschodniego spadła kula ognista — powiedział F'nor bez ogródek.

— Siła uderzenia tego ciała, które naszym zdaniem jest fragmentem komety, spowodowała tsunami — dodał Idarolan. — Pamiętasz, co się działo, kiedy wybuchł wulkan odkryty przez Piemura?

Oczy Torica zrobiły się zupełnie okrągłe, a grube, wyblakłe od słońca brwi powędrowały do góry, nadając skwaszonej twarzy wyraz nieprzyjemnego zaskoczenia.

— Część twojej warowni znajdzie się na drodze tsunami... — dokładnie rzecz biorąc,

dwóch jego uderzeń. Możesz się spodziewać trzech różnych fal ze wschodu i przeciwnej z zachodu — wyjaśniał bezlitośnie Idarolan, posługując się mapą. — Zjawisko potwierdzili czeladnik Erragon i Mistrz Wansor — dodał, przerwał na chwilę, a potem powiedział szybko, jakby żałował swoich słów: — W tej chwili Zatoka Monako prawdopodobnie znalazła się pod wodą!

Adrea jęknęła, a S'dra i N'bil gwałtownie wciągnęli powietrze.

Toric zagapił się na emerytowanego rybaka a potem rzucił wściekle spojrzenie K'vanowi.

— To co wy tu jeszcze robicie, smoczy jeźdźcy, zamiast brać się do pomocy? — zamachał wściekle rękami. Spuścił oczy, by się przyjrzeć mapie, którą do siebie przyciągnął.

— Wszystkie Weyry wysłały skrzydła z pomocą— odparł F'nor. Jesteśmy tu, by poinformować cię, czego możesz się spodziewać mniej więcej za jedenaście godzin.

Toric zamrugął.

— Wyślę jeźdźców, by powiadomili mieszkańców przybrzeżnych osad, gdy tylko królowa Adrei wyda im polecenia — K'van skłonił się sztywno Toricowi. — Wiemy, że wolisz, by cię zawczasu informowano o działaniach Weyru. Właśnie wróciłem z nadzwyczajnej narady na Lądowisku.

— Sam powiadomię mistrza portu — zgłosił się Idarolan — i ostrzeżemy statki na kotwicy. Na pełnym morzu będą bezpieczne. Uniosą się na wypiętrzeniu tsunami, może nawet w ogóle go nie zauważą. Fala zagrozi wyłącznie lądowi.

Weszła Ramala z tacą pełną kubków i jedzenia. Za nią wkroczyły dwie bardzo śpiące i bardzo niezadowolone kobiety, jedna z wielkim dzbanem kłahu, druga z bukłakiem.

— Musicie mieć coś konkretnego w żołądkach, zanim zacnie organizować ewakuację! — powiedziała.

F'nor był ciekaw, skąd wiedziała, co mieli organizować. Dobrze było mieć Ramalę choć częściowo po swojej stronie.

— Zostawiam cię zatem w dobrych rękach, Lordzie Toricu — odezwał się dwornie — i wracam na Lądowisko.

— W dobrych rękach? Ja... — i Toric rzucił się na F'nora.

Zanim jednak zdążył go dopaść, Idarolan znalazł się między nimi.

Zadał lordowi dokładnie wyliczony cios w ramię, co go skutecznie przyhamowało.

— Jeżeli mamy uratować twoje nadbrzeżne osady, lordzie Toricu, to zacznij mnie słuchać — powiedział głośno i brutalnie, uspokajając awanturę i dając rozwścieczonemu Władcy Warowni czas do namysłu.

F'nor? Jeździec usłyszał w myślach zaniepokojony głos Cantha.

Zobaczył, że u boku Idarolana staje Sintary, a surowy Mistrz Rybak wciąż przygważdża Torica kamiennym spojrzeniem.

Władca Warowni Południowej jakby się otrząsnął. Obnażył zaciśnięte zęby, wypuścił powietrze z głośnym sykiem i obrócił się na pięcie w stronę stołu, zasłanego mapami jego włości.

Już się opanował, Canth, powiedział F'nor i odwrócił się także, starając się uspokoić siebie i smoka. Przeklęty dureń! Idąc odmierzanymi krokami przez salę, wyczuwał gniew pozostałych jeźdźców. Dzięki Pierwszemu Jaju, że Toric rzeczywiście czuł respekt dla Idarolana. F'nor powoli rozprostował pięści. Spokojnie przespacerował się przez noc do starego Południowego Weyru, by odzyskać samokontrolę i stanąć twarzą w twarz z innymi katastrofami, w które obfitował ten dzień. Choć obawiał się tego, co zobaczy w zalanym wodą Monako, był tam potrzebny albo w Bendenie. Zdaży na czas do innych obowiązków. W końcu na samym początku tego Przejścia, trzydzieści Obrotów temu, Lessa posłała go o pełnych dziesięć Obrotów wstecz, by wychowywał weyrzątka. Manewrowanie w czasie było o wiele bardziej męczące dla jeźdźca niż dla smoka. Zastanawiał się, czy zdaży zajrzeć do Brekke w Bendenie. Pewnie była strasznie zajęta, organizując masową ewakuację z bendeńskich wybrzeży. Może nawet by się zdenerwowała, że jej przeszkadza. Wiedział, że ta drobna osóbką dawała mu siłę i pociechę, a bardzo potrzebował pociechy teraz, kiedy musiał zmierzyć się ze straszną rzeczywistością zatopionego Monako.

Jest w Loscarze. Wysokie Piaski go osłonią, powiedział mu Canth, wychodząc z cienia i świecąc jasnyniebieskimi oczami. Jeźdźca obserwowały także pozostałe smoki.

— Wasi jeźdźcy zaraz tu będą — powiedział do nich, starając się, by jego słowa brzmiały pogodnie. — Lord Toric nie potrafił znaleźć argumentów przeciwko temu, o czym go powiadomiliśmy.

Włożył kurtkę i hełm, wspiał się na grzbiet Cantha i serdecznie poklepał go po grzbiecie.

Dokąd lecimy?

A jak myślisz, przyjacielu? Na Lądowisko.

Czasem najlepiej jest zacząć od najtrudniejszych rzeczy, pomyślał, gdy wchodzili w *pomiędzy*, by się tam udać.

A niektóre rzeczy są trudniejsze od pozostałych, pomyślał ze łzami w oczach i bólem w piersi. Canth wyszedł z pustki nad Lądowiskiem pyskiem na zachód, więc aż nazbyt dobrze

było widać lśniąca w słońcu, pokrytą wodą równinę, którą niegdyś porastały lasy Monako. Podał Canthowi taki czas, by zjawili się, gdy fale już zaleją wybrzeże, ale jeszcze nie dojdą do ujścia Rzeki Jordan. Nieświadomie zakrył rękami twarz, ale nie mógł całkiem zasłonić ani lśniącego przestworu wody, która wdarła się na ląd wraz z tsunami, ani małych stojących fal, które jedna za drugą przecinały zalew, przykrywając łukowato wygięte wybrzeże Monako.

Woda tu nie zostanie. Wkrótce się cofnie. W głosie smoka było tyle współczucia i zrozumienia bólu, który przeszył serce jeźdźca, że F'nor opuścił ręce. Wiatr osuszył mu łzy na policzkach. Pomyślał, o tych wszystkich czerwonych liniach na mapie Idarolana i miał nadzieję, że tsunami nie poszło głębiej niż przypuszczali z początku. Nieco się uspokoił, widząc zielone plamy po zachodniej stronie przylądka Monaco, gdzie kępy wielkich drzew przetrwały potop, na wzgórzach widać było jeszcze więcej zieleni.

Nagle jego smutek nad zalanim wybrzeżem rozproszył grzmot, poczuł, że Canth przechyła się i obraca. Na niebie pojawiły się inne smoki; wszystkie kierowały się na zachód, niosąc przynajmniej po dwóch pasażerów. Rozpoznał bez trudu Ramoth, Mnementha i pozostałe bendeńskie królowe, jeszcze dziesięć spizowych, dziesięć brązowych i wiele zielonych. Wszystkie unosiły się nad ujściem Rzeki Jordan.

Przyłączmy się! No cóż, obrócimy nóż w ranie, pomyślał F'nor z rzadkim dla siebie masochizmem.

Nie zdążyli zobaczyć pierwszego wypiętrzenia się fal; morze przypominało ramiona wielkiej, bezgłowej, ołowianej bestii. Widzieli za to białą pianę obrysowującą brzeg i gigantyczną falę — wysoką na wiele smoczyczych długości — która zderzyła się z urwiskami Jordanu. Bryzgi wodne niemal przewyższały bazaltowy masyw, a wiatr niósł ku nim odgłosy tej potwornej walki. Wtedy na skały wpadła druga fala. Widzieli, jak stare Ładowisko Oslo zalewa woda, a potem tsunami popędziło łagodnym skłonem wybrzeża by zaatakować Przylądek Kahrain. Kącikiem lewego oka F'nor dostrzegł, że część tsunami jakby spęczniała i pognęła wzdłuż bazaltowych ścian wąwozu rzeki Jordan, zwracając jej bieg i wpychając na powrót w przepastny jar. Z tej wysokości widział pędzące tsunami — jakby nakładające się na naturalny prąd morski — atakujące skaliste urwiska. Woda nie dała rady wdrzeć się do lasu, porastającego szczyt klifu.

Ucisk w piersi zelżał, gdy F'nor uświadomił sobie, że tsunami, choć potężne, nie jest w stanie zniszczyć całego lądu.

Pozostali obserwatorzy nagle zniknęli w *pomiędzy*. F'nor także zobaczył już dosyć. Poprosił Cantha, by spiralą zszedł nad Ładowisko. Ciężka praca to świetne remedium na niemile emocje.

LĄDOWISKO, PÓŹNE POPOŁUDNIE, 1.9.31.

F'lessan poczuł na ramieniu czyjeś niepewne dotknięcie. Po sekundzie następne, mocniejsze. W gardle Golantha wezbrał głęboki jęk. Do nozdrzy jeźdźca dotarła woń klahu i smakowitej pieczeni. Ktoś podsunął mu to pod sam nos.

Otworzył oko i zobaczył pochyloną nad sobą postać, która podawała mu kubek i talerzyk wypełniony jedzeniem pokrojonym na kawałki. Oparł się o Golantha i wyprostował. O mało się nie obsunął, bo jego prawa ręka jeszcze się do końca nie obudziła.

— F'lessan? Wypij to. Potrzebujesz płynów!

Sądząc po głosie, była to Tai. Otworzył oczy; wygląd dziewczyny dokładnie odpowiadał jego samopoczuciu. Jej twarz była brudna i pełna napięcia. O dziwo, ręce miała czyste. Usiadła przed nim po turecku, nie rozlewając klahu i nie rozsypując jedzenia na talerzu.

— Dali nam pospać dłużej. Nie wiem czemu, ale jestem wdzięczna.

Ja też! — ziewnął potężnie i odsunął kubek z klahem, żeby nie oblać siebie ani Tai.

Nagle zdał sobie sprawę, że się zachmurzyło. Słońce, zwykle tak jasne na Ładowisku, wyglądało teraz jak mglista żółta kula na nieprzyjaznym niebie.

— Ktoś mi powiedział, że to pył zawieszony w powietrzu — wyjaśniła Tai bezosobowym głosem. Ta dziewczyna niełatwo daje się ponosić emocjom, w odróżnieniu od Mirrim albo Lessy, pomyślał. Bardziej przypomina spokojną i zamkniętą w sobie Brekke; na pewno jest w niej wiele rezerwy.

— Co się teraz dzieje? — wskazał kciukiem na trzy bendeńskie królowe, nieustające w pracy.

— Tsunami idzie dalej — odparła z odwróconą głową.

— Czy zniszczyło Warownię nad Zatoczką? — wyrzucił z siebie pytanie. Zniósłby prawie wszystko, byle tylko nie to.

— Ach, skądże — odparła z nagłym uśmiechem, który w magiczny sposób dodawał pewności siebie. — Woda podeszła tylko do ogrodu. Mieli cztery godziny na spakowanie wszystkich rzeczy, ale morze nie dotarło nawet do werandy.

Poczuł, że ucisk w dołku zelżał i zastąpiło go uczucie ulgi. Zamknął oczy, przypominając sobie tę warownię, tak jak ją widział ostatnio. Ogrody można odtworzyć. Niezależnie od wszystkich innych zniszczeń, jakie wywołało tsunami, był głęboko wdzięczny losowi, że ostatni dom Robintona prawie nie został dotknięty przez katastrofę. Ale Tai nie

wyglądała na szczęśliwą. Przerwała, przez chwilę patrzyła nieobecny wzrokiem, a potem znów opuściła ramiona. Uśmiech zniknął; dziewczynę ogarnęła depresja. Złapał ją za rękę przekonany, że wie, co dręczy ją bardziej niż troska o Warownię nad Zatoczką.

— A obserwatorium?

— Szkody są mniejsze niż się spodziewano. Kopuła jest wodoszczelna. Cały napór wody skierował się na Półwysep Kahrain, który osłonił zabudowania. Napór fal na Urwiska Jordanu był wspaniałym widowiskiem. — Flessan zdrzął, przypominając sobie falę, przed którą ledwie zdążył uciec. — Podobno wiele osób to obserwowało.

Ożywienie na jej twarzy zniknęło niemal natychmiast.

— Przykro mi, Tai. Z Monako prawie nic nie zostało — mruknął, współczująco ściskając jej dłoń.

— Wiesz, było pięć fal — powiedziała głucho. — Jedna po drugiej. Tak jakby odbiły się od najbliższej wyspy w archipelagu i opadły na Monako. — Uniosła rękę i powoli, pięć razy uderzyła nią płasko w drugą i dłoń. Potem ramiona jej opadły. — Molo rozpadło się pod uderzeniem pierwszej fali, domki wzdłuż plaży tak samo. Udało się uratować mnóstwo narzędzi i materiałów ze stoczni. Dźwigi do przechylania statków trzaskały jak zapałki pod martwymi falami. T'lion mówił, że te fale są stałe, a główne fale się wycofują. Nie wiem, jak on mógł tam polecieć i patrzeć... poza tym, że chciał odnaleźć kolumnę dzwonu delfinów. Podobno jest z jakiegoś niezniszczalnego materiału. — Westchnęła ciężko, jakby wątpiąc, czy coś mogło przetrwać pięć w wypiętrzeń tsunami. — Wiesz, mistrz portu Zewe zabrał dzwon. T'lion mówił, że poleciał z Gadarethem daleko w morze, usiedli na falach i wydzwonili sygnał „do raportu”. Strasznie nimi kołysało, było pełno chmur, ale delfiny przypłynęły. — To ją trochę rozweseliło. — Żadnemu stadu nic się nie stało i wszystkie ostrzegły przybrzeżne osady. F'lessan uspokajająco pogładził ją po rękę.

— Wiem. Ostrzegły Urwisko Wschodzącego Słońca. — Zawahał się. — Czy Redis przetrwał? W Cechu Delfinów?

— Tak — udało jej się słabo uśmiechnąć. — T'lion to sprawdził. Redis wspiął się na Urwisko Rubikon.

Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Weyr Monako prawdopodobnie unosił się na falach w postaci roztrzaskanych przez wodę desek i drzew. Weyr Tai i Zaranth, gdziekolwiek był, został z pewnością zalany.

— Zjedz coś — poprosił ją łagodnie i podał jej kawałek pieczeni prosto do ust, bo sama nie zdradzała ochoty, by po nią sięgnąć.

Przyjęła jedzenie i żuła powoli, jak automat, nie czując żadnego smaku, nie patrząc na

niego, zupełnie obojętna. Niby dlaczego miałyby być inaczej, pomyślał.

— Są jakieś wiadomości z innych nadbrzeżnych warowni? Czy wszyscy znaleźli się bezpiecznie na górze?

Czy kiedykolwiek zapomni przerażenie na twarzy Binnessa, gdy rybak spostrzegł, że znalazł się w pułapce między falami a skałą?

Aż zaczerwieniła się ze złości. Przestała żuć i popatrzyła na niego. Malutka gniewna zmarszczka ściągnęła jej brwi.

— Słyszałam, że niektórzy nie uwierzyli jeźdźcom i...

— Wrócili po jakieś rzeczy, bez których nie wyobrażali sobie życia i potonęli — skończył za nią. — Weyry nie ponoszą odpowiedzialności za czyjąś głupotę!

— Ale przecież odwieziono by ich w bezpieczne miejsce! — zacisnęła pięści tak, że aż zbielały jej kostki palców.

— Podobnie jak delfiny, nic nie możemy poradzić, jeśli ktoś nie słucha naszych ostrzeżeń. — F'lessan ujął obie jej ręce i pociągnął ku sobie, chcąc, by na niego popatrzyła. — Tai, ile poświęciłaś dziś czasu na ratowanie i ostrzeganie ludzi?

Zamrugnęła ze złością, a spod powiek potoczyły się łzy prosto na jego dłonie.

— Ja... ja nie pamiętam. Ta kula ciągle była na niebie — rzuciła gorączkowe spojrzenie na północ.

Rozmasował napięte dłonie dziewczyny, ze wszystkich sił starając się ją uspokoić i uciszyć jej niewysłowioną żalność.

— Każdy smok zrobił dziś wszystko, co w jego albo jej mocy. Założę się, że odpoczywają tu setki wyczerpanych smoków. Zrobiliśmy wszystko, co było można! — Pomyślał o swoim synu, zaledwie piętnastoletnim, który wraz ze swoim smokiem odbył najdłuższą w życiu podróż pomiędzy, aby podawać zmęczonym jeźdźcom jedzenie i napoje.

— Nie straciliśmy ani jednego smoka, prawda? — zapytała. Nie, wiedziałby o tym wcześniej. Smoki żegnały umierających braci rozpaczliwym rykiem.

Potrząsnęła głową. Nie przerywając głaskania jej rąk, rozejrzał się wśród smoków; większość pochodziła z Monako, choć rozpoznał kilka z Telgaru i z Wysokich Rubieży.

— Czego jeszcze można było od nas oczekiwać?

— Kula spadła do morza i wywołała tsunami — powiedziała Tai z rozpaczą w głosie. Zaranth zagruchała ze współczuciem i zaciętą.

F'lessan zamknął zdesperowaną dziewczynę w ramionach. Czuł, że drży z zimna. Podniósł jedną ze skór leżących na ziemi przy Zaranth.

— Na Pierwsze Jajo, w jaki sposób smoki mogłyby zatrzymać spadającą kulę albo

piętrzące się tsunami? — spytał z goryczą. Zrobiliśmy wszystko, co się dało!

Znów oparł się o Golantha, sadowiąc się tak, by Tai było możliwie jak najwygodniej. Czuł współczujący pomruk spiżowego smoka. Zaranth opuściła nos i polizała swoją jeźdźczynię po ramieniu. F'lessan czuł, jak obydwaj smoki wspierają jego myśl. Tai leżała bez ruchu, a jej oddech powoli zwalniał, aż przeszedł w swobodniejszy rytm.

— Zobaczysz, Tai. Zdobędziemy większą sławę niż Moreta i jej przejażdżka. Były nas tysiące.

F'lessanie, nie wolno nam mówić, że manewrowaliśmy w i czasie, szepnął Golanth.

— Nie wolno nam mówić, że manewrowaliśmy w czasie — mruknęła Tai w tym samym momencie.

— Aha, będziemy ukrywać te wszystkie maleńkie cuda? — F'lessan poczuł wzbierającą urazę. Co by się stało, gdyby połowa ludności Pernu dowiedziała się, że smoki potrafią poruszać się *pomiędzy* nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie? Przecież nikt nie skopiuje tej techniki. Z drugiej strony, miał dość przenoszenia się w czasie w ciągu ostatnich kilku godzin. Czuł się, jakby minęły całe dni — z tą piekielną ognistą kulą wiszącą nad jego ramieniem.

Tai, która zaczęła już się odprężyć, nagle z powrotem spróbowała usiąść, cała spięta.

— Czy to ty je uratowałeś? — uniosła do góry łapę jednej ze skór.

— Ja? Nie. Czy to te, które oprowałaś w Cardiff? Prześliczne.

— No to skąd tu się wzięły?

Tai szeroko otworzyła oczy i wpatrzyła się w Zaranth. Smoczyca wyglądała na bardzo zakłopotaną. Zdjęła głowę z ramienia jeźdźczyni czyni i nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy.

Zaranth wyjaśniła, że przecież Tai bardzo chciała je mieć, ale nie było czasu, żeby je zabrać.

— Co ona u licha chciała przez to powiedzieć? — zdziwił się F'lessan, patrząc na nieodgadnioną minę Tai.

W TYM SAMYM CZASIE, CECH DRUKARZY W KEROONIE, 11.15 CZASU LOKALNEGO, 1.9.31.

— Panie Mistrzu Drukarski — odezwał się niepewny młody głos w okolicach Tagetarłowego łokcia.

— Momencik! — Zaniepokojony Tagetarl uniósł rękę, bo zamierzał wysłuchać aktualnego komunikatu z wieży bębnow. Nie chciał przeoczyć czegoś ważnego; wiele osób pragnęło zasięgnąć informacji. Telgar i Lemos doniosły, że na niebie widać kulę ognistą. Bębny z Bendenu potwierdziły, że wpadła do Morza Wschodniego.

Tagetarl, obudzony o świcie, poszedł do biura sprawdzić, czy uda mu się wyczytać coś uspokajającego z map. Morze Wschodnie było daleko od Keroonu. Rozbudził się na tyle, że powędrował na dół do kuchni i przygotował świeży klah. Miał przeczucie, że napój przyda się bardzo, zanim minie ten dzień. W kilka godzin później, kiedy nad Szeroką Zatoką przetoczył się grzmot fali uderzeniowej, Tagetarl beztriosko oświadczył, że to zjawisko naturalne. Większość ludzi wierzyła harfiarzom, ale były wyjątki. Jego żona Rosheen obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem.

Wiadomość nadana przez wieżę bębnow do Keroonu poinformowała i jego, i wszystkie osoby potrafiące odczytać kod, że „sytuacja jest pod kontrolą”. Dołączono do niej krótkie, czytelne tylko dla harfiarzy zaproszenie dla lorda Kashmana na spotkanie na Lądowisku. Nie wyjaśniono też, co dokładnie oznacza zwrot „pod kontrolą”.

Drukarnia Tagetarla mieściła się w przebudowanym magazynie na pomocnym brzegu Szerokiej Zatoki. Dobrze było z niej widać przyplływające i odpływające z portu statki, ale nie sposób było wy—patrzeć smoki lądujące w Warowni i startujące z niej w niebo. Tagetarl, obdarzony bystrym wzrokiem, dostrzegł gorączkową aktywność na nabrzeżu; przygotowane do załadunku towary przenoszono z powrotem do magazynów. Nie potrzebował cennej, składanej lunety, by spostrzec, że na tuzinie albo więcej statków wciągano barwne żagle; wiedział, że niektóre z nich nie zostały jeszcze załadowane. Przez cały ranek czuło się napięcie w każdej fali, która uderzała o brzeg. Wichury szalejące na wschód lub na zachód od Czubka Neratu nieraz pędziły z hukiem wzdłuż wybrzeży Igeny i w górę ogromnej Zatoki Keroonu. Tego dnia Tagetarl często znajdował preteksty, by przerywać pracę i obserwować co się dzieje na zatoce.

Statki odpływały na południe przez szerokie główki portu, wyraźnie kierując się w górę zatoki. W bezpieczne miejsce.

Szelest odzieży przypomniał mu, że posłaniec wciąż jeszcze tam stoi.

— Przepraszam... — ugryzł się w język; o mało nie powiedział „synu”, a przed nim stała dziewczynka. Jeszcze się nie przyzwyczał do tego, że zielonym jeźdźcem może być też kobieta. Wyglądała na bardzo niepewną siebie, a zarazem dumną; widział już taki wyraz twarzy, gdy młodemu uczniowi udawało się prawidłowo odegrać skomplikowany zapis muzyczny. W jednej ręce miętoszyła hełm do jazdy, a w drugiej trzymała cienką kartkę z

wiadomością. Na kurtce miała zielony węzeł oznaczający weyrzątko. — Przepraszam, zielona jeźdźczyni. Czy w Monako wszystko w porządku?

— Bardzo mokro, Mistrzu — zająknęła się dziewczynka. — Mam ci to przekazać.

Dziwne. Grzecznościowe pytanie wywołało lęk i niepokój na drobnej twarzyczce.

— To bardzo pilna sprawa, Mistrzu Drukarski. Muszę poczekać, aż skończysz.

— Aha, musisz poczekać? — uśmiechnął się dobrotliwie. Nie miała więcej niż szesnaście Obrotów. Ciekawe, czy to pierwsza dłuższa wyprawa tego weyrzątko. W dodatku chyba była bardzo zmęczona. No cóż, wiadomości z Monako wyjaśnia, dlaczego wokół panuje takie napięcie i dlaczego lorda Kashmana wezwano na Lądowisko. Naturalnie nowy Władca Warowni może nie znać procedur, stosowanych w przypadku poważnych katastrof.

— Proszę pana, gdzie mam zaczekać?

— Siadaj tu, panno, bo zaraz się przewrócisz — wskazał gestem stołek i otworzył kopertę. — Od F'lara? — wykrzyknął, rozpoznając nieporządny charakter pisma, choć jeździec wyraźnie bardzo się starał, by wiadomość dało się odczytać.

„Tag, pilna prośba o opublikowanie faktów. Powinna trafić w głąb lądu, tam gdzie nie dotarły lotne patrole jeźdźców z ostrzeżeniem. Dystrybucją zajmą się kurierzy. Daj posłańcowi na smoku sto sztuk dla Neratu. Proszę, poproś Mistrza Stacji w Keroonie o rozesłanie następnej setki. Po resztę przyślemy jeźdźców. Pospiesz się”. Ostatnie słowo kilkakrotnie podkreślono.

Irytacja, z jaką Tagetarl powitał te nie dopuszczające sprzeciwu rozkazy, natychmiast zniknęła, gdy przeczytał materiał przeznaczony do druku. Tekst napisano ręcznie, ale innym, bardziej czytelnym charakterem pisma.

— Rosheen! Włącz dużą prasę! — krzyknął w głąb hali.

— Coo?! — napłynęła odpowiedź.

Zaczął wykrzykiwać rozkazy głosem, jaki jego małżonka nazywała „harfiarskim”, tak że było go słychać w hali i poza nią. — Uczniowie! Będę potrzebował dużych arkuszy ogłoszeniowych. Sprawdzić pojemniki z tonerem! — zawołał, a potem zwrócił się do zielonej jeźdźczyni. — Gdzie twoja smoczyca?

— Ptath jest na dziedzińcu. F'lar powiedział, że się zmieścimy. Dlatego wybrali mnie jako posłańca. Kiedy dotarłam już nad zatokę, bez trudu znalazłam Cech Harfiarzy. Mam na imię Danegga. Chyba nikt się nie zdenerwował, że smok ląduje mu nad głową — dodała z uroczą naiwnością.

— My tu w Cechu Harfiarzy jesteśmy przyzwyczajeni do gości, Daneggo. Chyba jesteś zmęczona i powinnaś coś zjeść. Pomiędzy jest zimno — powiedział z zachęcającym

uśmiechem. — To twoje pierwsze zlecenie poza Monako, Daneggio? Niezła przejażdżka. Czy w Weyrze Monako były duże szkody?

Twarz dziewczyny wykrzywiła się z bólu, a do oczu napłynęły jej łzy, ale dumnie wyprostowała ramiona.

— Mówią, że woda się wycofa. Odbudujemy wszystko, Mistrzu Drukarzu. Uratowaliśmy wszystkich ludzi i tyle rzeczy, ile się dało załadować na smoki.

— Doskonale się sprawiliście, Daneggio. Naprawdę doskonale. Teraz biegnij do kuchni, nos cię zaprowadzi. Na ogniu zawsze jest zupa, a rano upiekliśmy świeży chleb. Może nawet uda ci się zdrzemnąć, gdy ja będę drukował. Monako będzie z ciebie dumne.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — Odwróciła się i prawie wpadła na Rosheen. Dygnęła, żeby ją przeprosić.

Rosheen podeszła do Tagetarla, który natychmiast złapał ze stołu wiadomość od Flara, nie dopuszczając, by ją przeczytała.

— Zabierajmy się oboje za składanie pierwszej wersji. Nagłówki najgrubszą i największą czcionką, jaką mamy — mruknął i pociągnął ją do właściwej hali maszyn.

— Kula ognista spowodowała zalanie wybrzeży! — powiedział, układając palce w kształt wielkiego nawiasu. Dobra okazja, by wypróbować tę dwudziestkę szóstkę, którą ostatnio dorobili.

Wyrwała mu z ręki tekst wiadomości.

— A więc to dlatego statki odplłynęły na pełne morze! Kula ognista? Co to takiego? Aha, jest wyjaśnienie w tekście. Esselin im to podpisał, prawda?

O mało się nie przewróciła z zaskoczenia. Tagetarl uśmiechnął się do niej. Każde z nich przygotowało swoją część tekstu, a on wszystko sprawdził.

— Dzięki temu tekst będzie bardziej oficjalny, co? — zaśmiał się na koniec. — Czeladnicy, przód i środek! Pakować to po sto sztuk!

— Czy ta dziewczyna miała odznakę Monako? — zapytała Rosheen, gdy ruszyli po schodach.

— Tak, a teraz wiesz tyle samo co ja. Robotę trzeba wykonać jak najszybciej. Plotka będzie naturalnie jeszcze szybsza, ale jeśli Kurierzy rozniosą wiadomość na piśmie, ludzie chętniej w nią uwierzą niż w słowa.

— Tym bardziej, że druki rzadko do nich trafiają... — stwierdziła Rosheen i poszła za nim.

Efekt był nie najgorszy, biorąc pod uwagę tempo, w jakim pracowali: nowa farba

szybko schła, więc tekst się nie rozmazywał. Pierwszą paczkę ulotek oddał Danedze; sam zaniósł drugą na wzgórze, gdy tylko pożegnał dziewczynę. Patrzył przez ramię, jak Ptath startuje i wznosi się tylko na taką wysokość, jaka była potrzebna do bezpiecznego wejścia pomiędzy. Po chwili znalazł się w Stacji Kurierskiej nad Szeroką Zatoką, przy głównej drodze. Zatrzymał się w progu; pełno tu było ludzi i tylko kilkoro z nich miało na sobie strój kuriera. Gdy w powietrzu robiło się gęsto od plotek, ludzie często zaglądali na Stację, by zdobyć wiadomości.

— Mistrzu Stacji — Tagetarl bez wysiłku przekrzyczał zgiełk. Po prawej stronie sali Arminet stanął na palcach, by zobaczyć, kto go woła.

— Przepuścić Mistrza Drukarzy. On będzie wszystko wiedział — odkrzyknął Arminet równie donośnym basowym głosem.

Ludzie rozstąpili się, by zrobić mu miejsce, ale na wypródki pytali go, gdy przechodził:

— Kula ognista? Wiesz coś o ognistej kuli? Tagetarl uniósł nad głowę paczkę ulotek:

— Tu jest wszystko.

O mało się nie potknął, widząc, jak Cabas usuwa się na bok. No tak, ten zawsze jest tam, gdzie się coś dzieje.

— Mistrzu Arminecie, osoby, które podpisały tę wiadomość, poprosiły mnie, by Kurierzy roznieśli ją do warowni i gospodarstw w głębi ładu. Lotne patrole ostrzegają osady nadbrzeżne. Zapłacę każdą wyznaczoną przez ciebie cenę.

— Ha! Dobrze wiesz, że wiadomości oficjalne roznosimy za darmo — w basie Armineta zabrzmiała rozbawiona ironia. — Co tam jest napisane?

Tagetarl zaczął recytować z pamięci tekst wiadomości, przepychając się przez tłum, by oddać pakiet Kurierowi. Natychmiast otoczyli go ludzie, dopraszający się o ulotki. Tagetarl umilkł, by nie przeszkadzać tym, którzy z trudem czytali małe literki pod wyraźnym nagłówkiem.

— To znaczy, że Assigi zapobiegł katastrofie? — spytał ktoś w tłumie. Tagetarl zorientował się, że był to Cabas, choć jego głos zabrzmiał niewyraźnie.

— A co mówią o tym fanatycy? — Tagetarl rzucił wokół gniewne spojrzenie i zatknął pięści za pas.

— Że Assigi spowodował katastrofę, bo narobił zamętu z tą Czerwoną Gwiazdą. A smoczy jeźdźcy ją przepuścili. Było ją widać w Telgarze, wiecie? — zawołał jakiś mężczyzna.

— I w Bendenie! — dodał czyjś sopran.

— Benden i Ładowisko rzuciły się do akcji! — odparł ostro Tagetarl. — Zrobili więcej niż którykolwiek fanatyk. Później będę miał nowe wiadomości. Wydrukuję wszystko na bieżąco. Zatrzymałem się tu, żebyście się dowiedzieli prawdy!

— Dopilnuję, żeby ulotki poszły ze wszystkimi przesyłkami. — Arminet musiał podnieść głos, by przekrzyczeć ludzi dopominających się o kartki.

Cabas nie poszedł za Tagetarlem, bo pewnie pierwszy popędzi rozpowszechniać informacje tam, gdzie się to najbardziej przyda. Albo będzie demaskował plotki...

Po powrocie do Cechu Tagetarl zdumiał się, widząc tłum oczekujący na ulotki. Rosheen z pomocą dwóch uczniów rozdawała je najszybciej, jak mogła. Mistrz Drukarski spostrzegł, że niektórzy ciekawscy krążyli wśród półek, gdzie trzymał korekty do zatwierdzenia.

— Hej, wy, poczekajcie na swoją kolej. Wyjdźcie stąd — zawołał i rozkazującym gestem zabronił im kręcenia się po drukami. — Nic tam po was.

Sprawdził, czy wszyscy wyszli i pomyślał, że chyba puści ten tekst drugi raz na maszynę. Trzeba nauczyć ludzi, by polegali na drukowanym słowie — wtedy znajdzie się więcej klientów na książki i podręczniki, które trzymał w magazynach.

PÓŹNIEJ; NIEZWYKLE JASNY WIECZÓR NA ŁADOWISKU, NAD URWISKIEM WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA I W HONSIU, 1.9.31

F'lessan i Tai kończyli jedzenie, kiedy wśród jeźdźców rozeszła się wiadomość, że można już zacząć rozwożenie transportów z pomocą dla ewakuowanych osadników. Jeźdźcom polecono zaopiekować się mieszkańcami warowni, które odwiedzili wcześniej tego dnia. Mieli sprawdzić, czy nie ma tam rannych i ocenić, czy ewentualnych chorych należy od razu przewieźć pomiędzy do Cechu Uzdrowicieli. Mistrz Oldive wyznaczył też wielu uzdrowicieli do pomocy miejscowym specjalistom. Jeźdźcy rozwozili apteczki z bandażami, mrocznikiem, sokiem fellisowym i wzmocnionym winem. Sami mieli zdecydować, czy sytuacja ewakuowanych jest na tyle krytyczna, że powinni z nimi zostać na noc.

— Czy po porannych przeżyciach jakakolwiek sytuacja może się wydać krytyczna? — skomentował żartobliwie F'lessan.

Tai rzuciła mu surowe spojrzenie.

— Myślę, że dziś będziemy nocować tutaj. — Wzruszyła ramionami. — Z naszego Weyru nic nie zostało.

Wiedział, że ona i kilku innych jeźdźców odważnie wyruszyło nad zalane tereny, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

— Możesz nocować w Honsiu — powiedział i zanim zdążyła odmówić, zaprosił też stojących obok C'reela i St'vena. — Byliście tam już? — spytał brązowych jeźdźców.

— Raz czy dwa polowaliśmy w pobliżu — odpowiedział C'reel. Usłyszawszy zaproszenie, rozchmurzył się na chwilę.

— Miejsca jest mnóstwo — żwawo dodał F'lessan. — Choć nie jestem pewien, czy wystarczy jedzenia. Zabierzcie coś ze sobą. Dla smoków jest całe urwisko.

— Ile osób się zmieści? — spytała Tai. F'lessan rozłożył ręce.

— No cóż, dla całego Weyru Monako nie starczy miejsca, ale na pewno zmieszczą się dwa, trzy skrzydła jeźdźców i smoków. I obsługujący ich mieszkańcy weyru.

Tai ruszyła, by przekazać zaproszenie, więc dodał:

— Powiedz, żeby zabrali ze sobą koce. Tam w górach jest chłodniej. Razem z C'reelem zdążyli włożyć ładunek na grzbiet Zaranth, zanim Tai wróciła.

— Wszyscy są ci wdzięczni — powiedziała, a F'lessan domyślił się, że i ona mu dziękuje.

— T'gellan i Mirrim muszą zostać tu, na Lądowisku, część jeźdźców dostała zaproszenia od mieszkańców pobliskich osad. Dziękujemy, F'lessanie. Tu panuje ogromny tłok.

— Zawsze zostają jeszcze Jaskinie Katarzyny — F'lessan chciał wprowadzić pogodniejszą nutę.

— Za małe dla naszych smoków — oświadczył C'reel z żartobliwą wyższością w głosie.

— Zmykajcie stąd, jeśli macie już ładunek — wrzasnął ktoś z obsługi.

Odeszli więc. Zaranth opuściła kolejkę czekających smoków i poszła za F'lessanem, Creelem i St'venem.

— Byłaś kiedyś w Honsiu? — spytał F'lessan Tai.

— Raz mnie zabrali. Och, Zaranth mówi, że Golanth właśnie przekazał jej punkty orientacyjne. Do zobaczenia!

Zaranth podbiegła klusem, aż worki podskakiwały jej na grzbiecie, do miejsca, z którego mogła wystartować.

Życz jej dobrego lotu, Golancie. F'lessan poczuł dziwny niepokój o zieloną jeźdźczynię.

Jest silna. Zaranth też jest silna. Im szybciej odlecimy, tym szybciej będziemy w

Honsiu. Tam jest spokój, stwierdził spizowy smok, a F'lessan zgodził się z nim.

St'ven i C'reel wsiadali na obładowane smoki. F'lessan był ciekaw, czy im też jest tak niewygodnie siedzieć na workach, kiedy kanty twardych przedmiotów wbijają się w uda. Włożył hełm, sprawdził, czy kamizelka jest dobrze zapięta i podniósł ramię, a potem je opuścił, dając towarzyszom sygnał do startu.

Nie przyzwyczajajmy się do płytkich skoków, brązowi jeźdźcy, powiedział, czekając, aż wszyscy wzbiją się wysoko nad ziemię. Potem wskazał ręką na południe. *Czy wszyscy wiemy, dokąd lecimy?*

Jeźdźcy i smoki potwierdzili.

To ruszajmy.

Gdy wynurzyli się nad niemal nieprzyzwoicie spokojnym morzem, które falowało tam, gdzie niedawno bielila się osada, Flessan przeżył równie silny szok, jak pozostali dwaj jeźdźcy; słyszał ich okrzyki, zagłuszone smutnym trąbieniem wszystkich trzech smoków.

Okolica wyglądała tak, jakby nigdy nie tknęła jej stopą ludzka istota. Fale leniwie biły o skaliste urwisko, zamiast lizać białe piaski pod trawiastymi wydiami. Muliste wody odpływały leniwie z wyrwy w skalnej ścianie, w której niegdyś szumiał strumień. Śmieci naniesione przybojem wskazywały, jak daleko morze weszło w głąb lądu. Jeszcze nie wycofało się tak daleko, by można było ocenić, czy domostwa zostały poważnie uszkodzone. Na falach leniwie podskakiwały pnie drzew, które woda powyrywała z przybrzeżnych wysepek. Większość z nich była skalista, nie sposób byłoby tam zamieszkać, ale rosły tam różne drzewa — owocowe i zdatne do obróbki. A ryby wracały tam, gdzie znajdowały dość pożywienia.

Mealth widzi dym, zawiadomił go Golanth i odwrócił głowę.

F'lessan wypuścił powietrze z płuc. Nie zdawał sobie sprawy, że do tej pory wstrzymywał oddech. Bolało go gardło. Nie wątpił, że lady Medda zorganizowała wszystko tak, jak chciała.

Dziwne, że na niebie wciąż było jasno — ta niezwykła poświata pewnie miała coś wspólnego z tą przeklętą kometa. Będzie musiał niedługo zrobić sobie powtórkę z astronomii — chyba nie będzie w tym osamotniony.

Poszukajmy więc ognia.

Ktoś macha chorągwią pod lasem, stwierdził smok i złożył skrzydła, zataczając łagodny hak nad szczytem urwiska.

F'lessan był zły, że zostawił lornetkę w Bendenie. Bardziej przydałaby mu się tutaj!

Ale i tak dojrzał kilka postaci, niektóre czymś wymachiwały — pewnie zdjętymi koszulami. Miał nadzieję, że mają trochę odzieży. W tej chwili przypomniał sobie wypchane sieci, które sam taszczył na szczyt.

Ona tam jest! powiedział Golanth, a F'lessan zaczął rozglądać się za zieloną smoczyką i jej jeźdźczynią. *Ta stara. W fotelu.*

I rzeczywiście była. Chyba nawet nie zmokła. Warkocze miała starannie zaplecione, kołysała się lekko do wtóru myślom, ale znieruchomiała na widok smoków. Bestie wylądowały wśród radosnych okrzyków — ludzie chcieli biec im na powitanie, ale ostre polecenie Binnessa nie pozwoliło im oderwać się od pracy. Kamienny krąg otaczał solidne ognisko, nad którym kołysały się dwa kotły na trójnogach. Jeden z nich już parował. Na skraju lasu dwóch mężczyzn oprawiało jakieś zwierzę, w siatkach wisiały zebrane owoce, a pod wodoszczelną płachtą piętrzył się stos chrustu.

Binness, z bandażem na ręku w miejscu, gdzie Golanth chwycił go pazurami, wyszedł im na spotkanie, lekko utykając. Był bosy, podwijał palce, gdy trafiał na ostre kamyki.

— Nie sądziłam, że wróciście, jeźdźcy — powiedziała lady Medda.

— Nie spodziewałaś się, pani, że przylecimy sprawdzić czy przeżyliście? — spytał z uśmiechem F'lessan.

Binness wzruszył ramionami.

— Jeźdźców widzimy głównie podczas Opadu, ale dziś uratowaliście nas przed czymś o wiele gorszym. Nas i trzy łodzie — poważnie skinał głową tam, gdzie trzy odwrócone do góry dnem łodki, oparte na grubych konarach, służyły jako schronienie dla śpiących dzieci.

— Ładowisko przysłała wodę, chleb, kłah, żary, latarki, lekarstwa i płótna na namioty — oświadczył radośnie F'lessan.

— Noce są ciepłe — odpowiedział Binness i zadarł dumnie brodę.

— Jest też wino. Pomyśleliśmy, że może wam się przydać — uśmiechnął się St'ven.

— Czy mi się zdawało, czy on mówił coś o winie, Binness? — huknęła lady Medda.

— Ale masz babcię, Binness — skomentował F'lessan.

— Przyrowadź go tutaj z tym winem. Mamy tylko napój ziołowy, ale mojego przepisu. Dodaje ducha ludziom i zwierzętom. Wino doda mu wartości leczniczej.

— Ktoś jest ranny albo chory? — spytał F'lessan Binnessa zsiadając ze smoka z buklakiem w wolnej ręce.

— Raczej zszokowany niż ranny. Jak masz na imię, smoczy jeźdźcze? — spytał Binness z pełnym szacunku ukłonem. — Myślałem, że zginę między tą falą a urwiskiem.

— F'lessan, jeździec Golantha, dowódca skrzydła z Bendenu.

Podeszli do fotela, który, jak spostrzegł F'lessan, stał na wytartym dywaniku. Był tam też stołeczek, na którym starsza pani mogła oprzeć spuchniętą nogę. Jeździec skłonił się z szacunkiem niepokonanej staruszce.

—Lady Meddo!

—Nie jestem żadna lady — skarciła go natychmiast, ale z kokieterijnym uśmiechem. — Ale mimo to czasem zdarzało się, że ten czy ów smoczy jeździec ogrzewał mi łóżko w nocy.

— Babuniu! — Binness był wyraźnie wstrząśnięty. — Jak ty się odzywasz do człowieka, który nas wszystkich uratował!

— A podziękowałaś mu za to? — przeszła syna ostrym spojrzeniem błękitnych oczu, zanim zwróciła się do F'lessana: — Podziękował ci grzecznie?

— Podziękował. Cieszę się, że zdążyliśmy z Golanthem na czas.

— Na czas? — obrzuciła go długim, zdziwionym spojrzeniem. — W życiu nie widziałam takiej walki z czasem. Tylko wariat ryzykowałby życiem swoim i smoka, żeby uratować mojego syna. Ale cieszą się, że wam się udało. To mój najstarszy — machnięciem ręki odprawiła Binnessa i bystro popatrzyła na F'lessana. — Jak tam stoją sprawy w Monako? Wiem, że tam jest płasko. Niech ktoś przyniesie kubek dla jeźdźca. I dla tamtych dwóch także.

— Monako jest zalane — powiedział szybko F'lessan, by oszczędzić bólu C'reelowi i St'venowi. — Mamy mnóstwo roboty. Wpadliśmy tylko na chwilę, żeby zapytać o materiały potrzebne wam do odbudowy osiedla.

— Ach!! — machnęła ręką. — Zobaczymy, co nam zostało. Kamienia będzie pod dostatkiem. Uratowaliście parę łódek. Mamy wszystko, czego nam trzeba.

Flessan ponownie ukłonił się jej z szacunkiem.

— Wrócimy za dzień albo dwa — obiecał C'reel, a St'ven kiwnięciem głowy potwierdził jego słowa.

— A ty, młody F'lessanie? — spytała starsza pani wskazując na niego laską i pochylając się w fotelu tak, że mało go nie dźgnęła.

— Obym miał tyle sił co pani — odparł z uśmiechem i cofnął się poza zasięg laski. Gdy podszedł do Golantha i wskoczył na jego grzbiet, usłyszał jej śmiech — prawdziwy donośny śmiech, a nie gdakanie starej ciotki. Pomachał wszystkim ręką, a potem poprosił Golantha, by wystartował. *Ale porządnie, nie na łeb na szyję z urwiska, dodał.*

Złożyli raport z sytuacji na Urwisku Wschodzącego Słońca zapracowanemu archiwście, który założył sobie prowizoryczne biuro w namiocie na skraju Placu Zgromadzeń na Ładowisku. Kiedy skończyli, pisarz gestem zaprosił ich do stołów, gdzie podawano jedzenie, i powiedział, że na pewno dostaną dalsze polecenia od królowych ich Weyrów.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie będą stacjonować pozostali jeźdźcy z Weyru Monako? — spytał C'reel.

— Nie, nie mam pojęcia. Królowa wam powie. — Archiwista machnął piórem w powietrzu.

— No cóż, przydałoby mi się czyste ubranie — powiedział C'reel, widząc, że w pomocnej stronie placu rozłożono stosy odzieży.

— Mnie też — oświadczył St'ven.

F'lessan miał co prawda trochę ubrań w Honsiu, ale wystarczyłoby ich tylko dla paru osób. W jednej chwili poczuł, że nie wytrzyma dłużej tego upału na placu, hałasu, stłoczonych ludzi i trudów, jakie przeżył tego dnia.

— C'reelu, St'venie, weźcie zmianę odzieży, dowiedźcie się, gdzie nocuje reszta waszego Weyru, a ja polecę do Honsiu i przygotuję dla was miejsce.

Ku jego wielkiemu niezadowoleniu zastał tam Mirrim, która zorganizowała pracę gospodarzy mieszkających na pomoc od Ładowiska. Liczył, że utkwiała na dobre w centrum dowodzenia. I to był błąd. W dodatku powinien jej być wdzięczny, a przynajmniej zachowywać się tak, jakby był — chociaż lubił ją nim komenderować, jak niegdyś. Jednak już po kilku chwilach zaczął się naprawdę cieszyć z jej obecności. To ona zorganizowała jedzenie; na werandzie piekło się soczyste mięso dla wszystkich, którzy skorzystali z jego zaproszenia. Była wśród nich i Tai. Bardzo chętnie oprowadziłby ją do Honsiu, z przyjemnością pokazałby jej obserwatorium i teleskop... jeden z jego najcenniejszych skarbów.

Natrafił na niego, gdy razem z Golanthem naprawiali baterie słoneczne na urwisku. Odkryli wtedy cienkie, proste konstrukcje, które na pozór przypominały litą skałę, w rzeczywistości zaś były połówkami kopuły teleskopu. Bardzo trudno było się do niego dostać, ale samo urządzenie, pokryte cienką błoną produkcji Starożytnych — opakowane próżniowo, jak to określił Assigi — było wciąż zamocowane na stelażu w kształcie litery U. Wansor z Erragonem, bardzo rozentuzjasmowani na wieść o odkryciu, ostrzegli F'lessana, że trzeba będzie długo pracować nad uruchomieniem teleskopu; potrzebny był komputer sterujący i ekran do wyświetlania obserwacji. Dziś zresztą i tak nie starczyłoby mu siły, by wspiąć się po

długich kręconych schodach. Był pewien, że Tai również nie chciałoby się tego robić.

Szerokie urwisko Honsiu, dwa tarasy i dwie skalne półki były tak zapchane smokami, że wszyscy następnicy przybysze będą musieli szukać sobie miejsca na skałach nad rzeką. Smoczy tłum powstrzyma bydło, które często szukało schronienia w grotach na dole, jak również kotowate pojawiające się tu w poszukiwaniu żeru.

Nawet tuż po odkryciu w Honsiu nie przebywało naraz tylu gości.

F'lessan zajął jedno z nielicznych krzeseł na głównym tarasie i beztrąsko zapraszał wszystkich nowo przybyłych, by zostawili swoje rzeczy tam, gdzie znajdują trochę miejsca i wrócili na taras, żeby się najeść. T'gellan przywiózł cztery bukłaki, a St'ven z C'reelem dołożyli do nich dwie baryłki lekkiego piwa warzonego na Lądowisku. F'lessan poświęcił się i wydobył z głębokich piwnic Honsiu kilka flaszek dobrego bendeńskiego, które odłożył sobie na specjalne okazje; to, że wszyscy dziś przeżyli, wydawało mu się wystarczająco wyjątkowym zdarzeniem. Starczyło po kubku wina dla każdego. W zupełności zadowolono to ludzi, którzy pracowali tego dnia dwa razy dłużej niż można byłoby przypuszczać, znając długość doby.

Nieprzyzwyczajony do takich tłumów w „swoim” Honsiu, F'lessan poszedł z kubkiem na drugi taras. Bardzo się ucieszył, „widząc tam Tai.

— Chyba wszyscy potrzebujemy czasu, by się uspokoić — powiedział, podchodząc do niej z tyłu. — Przepraszam — dodał, gdy odwróciła się gwałtownie, rozlewając wino. — Nie marnuj dobrego napoju.

— Przestraszyłeś mnie.

— Widzę. Jeszcze raz przepraszani.

Lekceważąco machnęła ręką. Wydawało się jednak, że jest pełna wahania.

— A więc też to zauważyłaś — powiedział, wskazując na północny wschód, gdzie lśniła łukowata chmura srebrzystej mgły, wygięta w stronę Monako.

Westchnęła i spojrzała w niebo, gdzie gwiazdy lśniły równie jasno jak zwykle.

— Tak, ale Rigel wciąż tu jest — wskazała na jasną gwiazdę tuż nad ich głowami. 1

— Trudno jej nie zauważyć — zaśmiał się cicho. — I Betelgeuza — subtelnie sprawdzał jej znajomość południowego nieba. Zaśmiał się znowu, gdy spojrzała w odpowiednią stronę.

— A do tego Acrux i Becrux — dodała szybko, podejmując wyzwanie. — A ta pod kątem czterdziestu stopni to Gacrux. Erragon mówił, że w gwiazdozbiore, zwanym przez Starożytnych Krzyżem Południa, jest też czwarta gwiazda, ale nie sposób jej dostrzec gołym okiem.

— Dołóż do tego Shaulę i Antares. — Położył jej ręce na ramionach i obrócił ją ku Adharze.

— Cieszę się, że zachowałeś starożytną nazwę Honsiu — powiedziała cicho, głosem zachrypniętym ze zmęczenia. — Myślę, że honor nakazuje nam używanie starożytnych nazw siedzib osadników i ich gwiazd.

— Czemu nie? Przywieźli te nazwy ze sobą. Gwiazdy nie przesunęły się zanadto, tyle że na naszym niebie jasno świecą te, które na ich starej Ziemi były przyćmione.

— To nie o gwiazdy powinniśmy się martwić — powiedziała Tai. W jej głosie i w pochylonych nagle ramionach dało się zauważyć zmęczenie.

— To prawda — przyznał jej rację. — Ale dobrze wiedzieć, że tak bardzo się nie zmieniły. Wiesz, mam lornetkę, możemy jutro w nocy obserwować przez nią niebo.

— Naprawdę? — w jej oczach na moment błysnął entuzjazm, ale potem westchnęła. — Dobrze, jutro, jeśli pozwolisz mi ją wziąć do ręki. Tak trudno je zdobyć...

Udało mu się skrzywić usta w ironicznym grymasie:

— Widzisz, od dawna znam Jancis i Piemura, więc wepchnąłem się na sam początek listy. Poza tym bardzo im zależy na uruchomieniu instrumentu tu, w Honsiu. Odrobina szantażu...

— Szantażu? — to ją zaniepokoiło.

— Taka mała przyjacielska przepychanka. Coś w rodzaju zabawy — uspokoił ją. — Więc jesteśmy umówieni na wieczór. Dzisiaj oboje powinniśmy się wyspać — lekko położył jej rękę na plecach.

W milczeniu opuścili taras i każde poszło w swoją stronę. Tej jednej nocy na straży stanęły wyłącznie jaszczurki ogniste. F'lessan dzielił pokój z tymi, którzy przybyli najpóźniej: z T'lionem, jeźdźcem spizowego Gadaretha i z jego bratem K'drinem, dosiadającym brązowego Buletha. Na szczęście żaden z nich nie chrapał.

CZEŚĆ TRZECIA PO KATASTROFIE

HONSIU, 1.10.31

Choć w Honsiu wciąż panowała noc, F'lessan obudził się o tej godzinie, o której w Bendenie zaczynało świtać.

Ramoth mówi, że mamy wracać do Bendenu, powiedział Golanth. Rybaków odwiedzą brązowi jeźdźcy. Oni są z Monako, nie z Bendenu.

F'lessan po cichu zebrał ubranie w nadziei, że zdąży się wykapać i przebrać, po czym wymknął się, nie budząc towarzyszy. Wziął szybki prysznic, pamiętając, że inni też będą chcieli się umyć. Dobrze, że naprawił cysterny. Gdy schodził po schodach, mijając śpiących jeźdźców, do jego nozdrzy dotarł korzenny, nieodparty zapach świeżego klahu — to znaczy, że jeszcze ktoś nie spał. W kuchni ktoś się z kimś kłócił, cicho ale zawzięcie. No cóż, to ich problem — nieważne kto to był, F'lessan chciał się tylko napić klahu.

Odsunął drzwi do kuchni i o mało nie zwiął z powrotem, gdy spostrzegł, że kłócił się ze sobą Mirrim i Tai. Ścisłe mówiąc, Mirrim atakowała Tai, która powtarzała tylko: „Nie zrobiłam tego”, „nie, najpierw poleciały dzieci” i „nie mam pojęcia, jak”.

Zdaniem Zaranth, powiedział Golanth, I

Skóry?

Futra kotów z Cardiff.

Uratowała przecież dzieci. Leciałeś razem z nią.

Zaranth mówi, że to ona zabrała skóry.

Jakim cudem? F'lessan spojrzał najpierw na gniewną twarz Mirrim, a potem na bladą buzię Tai. *Byłeś z nią. Polecieście i wróciliście razem.*

213

— Golanth mówi, że Zaranth cały czas wozila razem z nim dzieci — powiedział F'lessan i podszedł do wielkiego kotła z klahem. Musiał się napić, niezależnie od wszystkich kłótni świata.

Mirrim obróciła się jak fryga:

— Nie miała tych skór, kiedy przyleciała do Weyru. Miała je, kiedy odlatywała.

— Nie zabrałam ich.

— Mirrim, Golanth twierdzi, że Tai mówi prawdę, więc daj jej spokój.

— No to skąd je wzięła? — zaczęła od nowa Mirrim.

— Nie wzięłam! — Tai aż dygotała z gniewu i frustracji. — Gdybym miała czas, żeby polecieć do siebie, zabrałabym książki i notatki, a nie te przeklęte skóry.

— Za takie skóry mogłabyś kupić sobie nowe książki — odparowała Mirrim.

— Jasne, ale nie notatki, Mirrim. Golanth potwierdza, że dziewczyna mówi prawdę. Uspokój się wreszcie! — F'lessan rzadko odzywał się takim tonem. Mirrim zamilkła i przełknęła komentarz, jaki już zamierzała wygłosić. F'lessan skwapliwie wykorzystał moment ciszy, by napić się gorącego kłahu. — Chwała tej, która to zaparzyła — powiedział. Spojrzał na pobladałą, napiętą Tai i uśmiechnął się na znak, że wie, komu należy się podziękowanie.

— Nie mogłam spać — mruknęła.

— A poza tym, jeżeli... — zaczęła Mirrim.

— Kobieto, powiedziałem ci, żebyś się uspokoiła! — F'lessan z groźną miną zrobił krok w stronę Mirrim, która cofnęła się nieoczekiwanie. Zobaczył na stole za Tai kanapki, wyminął ją i złapał kilka. — Dzięki, Tai. Poza wszystkim innym, Mirrim, dopiero na Ładowisku zobaczyłem skóry przy siodle Zaranth.

Pospiesznie odsunął drzwi i wyszedł, słysząc za sobą gniewne parskanie Mirrim. Wpadł na T'gellana, który mimo przespanej nocy wyglądał mizernie, jakby gwałtownie schudł.

— 'Gell, niezależnie od tego, co mówi Mirrim, Golanth potwierdza, że Tai nie kłamie. Pomyślnych lotów.

Pędem zbiegł ze schodów i wypadł przez szerokie drzwi na główny taras. Usiadł, by założyć buty i kurtkę; dał Golanthowi czas, żeby nadleciał z miejsca, które tej nocy służyło mu jako weyr. Błękitne i zielone smocze oczy obserwowały go z górnych tarasów; smoki zasnęły ponownie dopiero wtedy, gdy Golanth wyskoczył za krawędź i machnął skrzydłami. Daleko na wschodzie niebo rozjaśniało się z nadejściem nowego dnia.

Co też on nam przyniesie? — zastanawiał się F'lessan.

Tai powiedziała prawdę.

Wiem.

To Zaranth uratowała skóry.

Pewnie dlatego, zażartował F'lessan, że nie wiedziała, które notatki i książki będą najbardziej potrzebne.

Pewnie tak. Ramoth mnie woła.

Z tymi słowami spiszowy smok skoczył pomiędzy.

Dzień był tak pracowity, że F'lessan nie miał czasu na zastanawianie się nad tą rozmową. Razem z Golanthem przewozili ludzi i dostawy do różnych bendeńskich siedzib nad morzem, obserwowali obsychanie zalanych obszarów, od czasu do czasu pomagając przy przenoszeniu ciężkich pni naniesionych przez fale. Wszędzie musiał wyjaśniać, że smoki nie potrafiłyby zatrzymać ognistej kuli ani tsunami. Ciągłe pytano go, dlaczego Nici jeszcze opadają, choć podobno nie ma już Czerwonej Gwiazdy. Mało kto rozumiał, że Czerwona Gwiazda tylko przyciągała Nici w pobliże Pernu, a to, co teraz opada, zostało już wcześniej przez nią przyniesione.

Na początku rysował wykresy na piasku, w błocie albo na kartce papieru: duży krąg oznaczał Słońce, mniejszy — Pem, a kropki symbolizowały księżyce. Potem zaznaczał orbitę Czerwonej Gwiazdy i pokazywał, w jaki sposób zakreślała w bezpośredniej bliskości planety, a potem oddalała się, ciągnąc za sobą chmurę Nici.

— Dlaczego to tak długo trwa? — pytano.

— Nici już zostały tu przyciągnięte. Pern przejdzie przez nie za czterdzieści pięć do pięćdziesięciu Obrotów.

Chciano też wiedzieć, dlaczego spadła ognista kula. Odpowiadał, że to kawałek jednego z Duchów Obrotu, który nie mógł nadążyć za innymi. Nie była to dokładnie prawda. Mistrzowie Wansor, Idarolan i nowo mianowany Mistrz Erragon, jeszcze nie podali oficjalnej wersji, ale ponieważ większość ludzi widziała Duchy, łatwo im przychodziło zaakceptować takie wyjaśnienie. Potem F'lessan wrzucał do wody kamyk udający Ognistą Kulę i z pomocą rozchodzących się po wodzie kręgów wyjaśniał zasadę powstawania tsunami. Wiedział, że to wyjaśnienie, a nie odpowiedź. Nie miał pojęcia, jakiej należy udzielić odpowiedzi, szczególnie osobom, które straciły wszystko w wyniku tych „wodnych kręgów”.

W Bendenie nikt nie miał chęci ani siły, by szukać lepszego wyjaśnienia. Albo odpowiedzi. Następnego dnia mieli lecieć przeciw Niciom. F'lessan zjadł więc szybki posiłek, zobaczył, jak się czuje S'lan i poszedł do swojego weyru. Sprawdził uprząż i zaczął się zastanawiać, czy stać go na nowe skórzane spodnie, bo stare mu się podarły przez ostatnich kilka dni. Przypomnił sobie piękne skóry Tai. No cóż, w pobliżu Honsiu jest mnóstwo kotowatych, na które można polować. Pewnie mógłby u garbarza w Weyrze wymienić ich skóry na spodnie ze skóry whera. Miło byłoby się wybrać na polowanie z Tai i Zaranth. Golanthowi też by się to spodobało. F'lessan czule pogłaskał drzemiącego smoka i wyszedł na skraj weyru. Objął się ramionami, czując zimny powiew. Na lekcjach z Assigi poznał nazwy niektórych większych gwiazd widocznych na zimowym niebie Bendenu. Canopus zawisł nisko nad horyzontem; Girtab Był od niego jaśniejszy.

Powinien wreszcie wziąć się do roboty, by uczynić z Honsiu element systemu ochrony, który jeźdźcy mogliby stworzyć na planecie. Przynajmniej to było dla niego oczywiste. Nie miał pojęcia, jak smok albo nawet wszystkie smoki Pernu mogłyby zatrzymać ognistą kulę. Nie mamy już silników napędzanych antymateria, które mogłyby zneutralizować zagrożenie, pomyślał kwaśno. Warto jednak wiedzieć, czy na planetę nie spadnie niedługo coś innego. Mało co zapamiętał z tych lekcji astronomii, ale wydawało mu się, że kosmiczne zderzenia miały miejsce dosyć rzadko. Udokumentowano kilka takich przypadków — na przykład meteoryt ze Stacji Kurierskiej w Kręgu i niedawny meteor na dziedzińcu więziennym w kopalni w Gromie.

Wansor, stary Lytol i D'ram prawdopodobnie pracowali teraz z Erragonem w Warowni nad Zatoczką nad uaktualnianiem orbit. Niebo nad Pernem zmieniło się od czasu, gdy koloniści spojrzeli na nie po raz pierwszy dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt trzy Obroty temu. Asteroidy zderzały się, rozpadały się i przeskakiwały na nowe orbity. Inne, tak jak ten błędny wędrowiec zwany mylnie Czerwoną Gwiazdą, wkraczały w system jako komety lub ich fragmenty. Kiedyś, gdy jeszcze miał wolny czas, przejrzał stare notatki z wykładów Assigi na temat astronomii. Na jednej z lekcji mówiono, że Yoko zbiera informacje z czegoś, co Starożytni określali mianem „południowej siatki satelitów”. Assigi wspominał raz, że nie ma pomocnej siatki, która dawałaby o wiele jaśniejszy obraz mniejszych planet, komet i innych orbitujących ciał. F'lessan przypomniał sobie, że w Grotach Katarzyny jest więcej teleskopów, które prawdopodobnie miały się znaleźć w obserwatoriach śledzących wędrowki kosmicznych przybłądów. Na Starej Ziemi wiedziano dokładnie o wszystkim, co wnikało do systemu słonecznego, ale nikt nie przewidział istnienia Czerwonej Gwiazdy i Nici opadających na Pern.

Nici z pewnością położyły kres wielu projektom osadników, pomyślał F'lessan.

Aby określić, co krąży w przestrzeni naokoło Pernu, trzeba by mieć grupę uczniów i czeladników większą niż zespół, który pracuje w Warowni nad Zatoczką. Teleskop w genialnym obserwatorium zbudowanym przez pomysłodawcę Kenjo wymagał komputera i ekranu, na którym pojawiały się odczyty. Luneta dziesięć na pięćdziesiąt milimetrów, którą wycygał od Jancis, też była całkiem niezła. Mógł przez nią obserwować ciała niebieskie, które Assigi określał jako pomniejsze planety, oraz co większe obiekty w pasie asteroidów. Ale gdyby miał sprzęt pozwalający na szczegółową analizę obserwowanych obiektów! To by ogromnie pomogło przy tworzeniu mapy nieba. Uśmiechnął się, rozcierając zziębnięte ramiona. Może uda się namówić Tai do pomocy.

Kiedy uspokoi się już całe zamieszanie wywołane powodzią, na pewno uda mu się

wydębić od Mistrza Wansora zgodę na pobranie z zapasów Administracji odpowiednich płytek i kryształków, żeby móc zogniskować główną soczewkę teleskopu. Assigi nauczył go, jak się składa komputery. Benelek, stary przyjaciel, a teraz Mistrz Cechu Komputerowców pewnie da się nakłonić do pomocy. Trudniej będzie zdobyć ekran, ale może uda się wycygnąć zapasowy od Stinara w zamian za obietnicę przesyłania odczytów z obserwacji wiekowego teleskopu Schmidta.

Starczy tego gapienia się w gwiazdy. Nadchodzi nowy, trudny dzień. Nawet nie pokazał Tai, gdzie jest luneta i statyw, nie mówiąc już o zwiedzeniu z nią wspaniałego obserwatorium w Honsiu. Obrócił się na pięcie i schował szybko do weyru, uśmiechając się na myśl, jak bardzo spodoba jej się to miejsce...

STACJA KURIERSKA W KRĘGU, 1.8.31.

— Nie pierwszy to raz na Pern spadło coś, co nie jest Nićmi! — powiedział Chesmic, gadatliwy Mistrz Stacji Kurierskiej w Kręgu, do dwóch mężczyzn, którzy poprosili go o przenocowanie. Zgodził się, bo mróz był tęgi, a w kociołku bulgotało dość stawy dla wszystkich. Poza tym lubił nowych słuchaczy. Wszyscy kurierzy, którzy zatrzymali się tu po drodze na ciepły posiłek, znali jego opowieści na pamięć.

— A jak myślicie, dlaczego to miejsce nazywa się Kręgiem? — spytał, przenosząc wzrok z jednego przybysza na drugiego.

— Opowiedz, jeśli łaska — odparł młodszy takim tonem, że Chesmic o mało się nie rozmyślił.

— Opowiedz! — Ten starszy, z blizną na twarzy, był uprzejmiejszy, choć jego głos brzmiał dziwnie głęboko i głucho. Kiedy odłamywał kawałek chleba z bochenka leżącego na środku stołu, Chesmic spostrzegł, że brakuje mu czubka wskazującego palca lewej ręki.

— Nie dlatego, że budynek jest okrągły — Chesmic podjął opowieść, przesywając wzrokiem wszystkich zebranych przy stole i uciszając inne rozmowy. — Bo nie jest. Ale dlatego, że mamy tu wielką dziurę! — wskazał w odpowiednim kierunku. — O dwadzieścia kroków od głównych drzwi i taką głęboką, że najwyższy człowiek na tej planecie dwa razy by się w niej schował! Wszystko to dlatego, że toto — pokazał na powyginany czarny przedmiot ustawiony w skalnej niszy — tu wylądowało!

Tylko starszy z dwóch gości popatrzył we wskazaną stronę. Jego towarzysz uśmiechnął się z wyższością i dalej napychał się gulaszem. No cóż, przynajmniej nie będą narzekać, że ich tu źle karmiono.

— To nic w porównaniu ze szkodami wyrządzonymi przez kulę ognistą — powiedział młodszy nie kryjąc pogardy. — Nie powinni mieszać się w sprawy Czerwonej Gwiazdy.

— To — Chesmic wskazał krater palcem — spadło na tysiące Obrotów, zanim Assigi powiedział jeźdźcom, jak zepchnąć Czerwoną Gwiazdę, by nie wyrządzała więcej szkód — oznajmił i dodał pospiesznie, zanim arogancki smarkacz zdążył otworzyć usta: — Więc logicznie wynika jakiś związek między tym tutaj a tym, co spadło na kopalnię w Gromie. Jedno i drugie to meteoryty — starannie wymówił poszczególne sylaby tego słowa. — Nie pierwsze, co tu spadły. A kula ognista to zupełnie insza rzecz. Prawda? — spytał kurierów.

Rozległ się potakujący pomruk.

— Czy w Cromie też pokazują ten meteoryt tak samo jak wy? — spytał ten starszy

swoim dziwnym głosem.

Chesmic nie potrafił odgadnąć po akcencie, skąd pochodzi. Na pewno nie z Keroonu, bo Keroończycy przeciągali sylaby, jeśli w ogóle się odzywali. I nie ze wschodniego wybrzeża. Kurierzy stamtąd mówili krótko i ucinali słowa. Podobnie jak ci z zachodu, tylko że tamtejszy akcent brzmiał nieco inaczej. No właśnie. Ten człowiek mówił bez akcentu, jego głos nie miał intonacji; po prostu wymawiał słowa, czasami zacierając t, d i n.

— Nie, sprzedali go Kowalom za więcej marek niż kopalnie potrafią zarobić przez parę Obrotów. — Chesmicowi nie za bardzo podobała się ta sprzedaż, ale przecież to był ich meteoryt. Swój też mógłby sprzedać, jakby miał ochotę, ale jakoś nie idzie pozbyć się rzeczy, która od tak dawna była w rodzinie. Nie, nie zrobiliby tego.

— Słyszałem, że ich zdaniem to jest część Czerwonej Gwiazdy! — powiedział młody z chytrym błyskiem w oku.

— Co za kupa bzdur — odparł Chesmic z pogardą i wskazał na niebo: — Jakby ta Czerwona Gwiazda wybuchła, to całą planetę obsypałoby skałami. Ale tak się nie stało, a zresztą Mistrz Erragon i Wansor i Stinar z Warowni nad Zatoczką wszystko obserwowali.

— Dość mamy kłopotów z tą ognistą kulą — stwierdził jeden z kurierów.

— Nie wolno było ruszać Czerwonej Gwiazdy — powiedział starszy z mężczyzn surowym głosem i z poważną miną. — Od wieków krążyła wokół Pernu. Zmiana jej kursu to był zły uczynek.

— Och, ale przecież dalej krąży wokół Pernu — zgodził się Chesmic. — Tylko na tyle daleko, żeby nie zrzucić już na nas Nici.

— Nici i jeźdźcy wypalający je ogniem w powietrzu to nasza tradycja. Zniszczono za dużo tradycji. Assigi skaził nasze życie i nasze tradycje.

Bezbarwny głos tego człowieka w jakiś sposób przykuwał uwagę, ale Chesmic wiedział swoje na temat tradycji. Kurierzy mieli swoje tradycje — byli przecież pierwszym Cechem, który powstał w Warowni Fort.

— Na perneńskich szlakach, na pomocy i na południu, nie znajdziesz kuriera, który nie przestrzega tradycji. A ponieważ obaj skończyliście jeść, dobrze byłoby, gdybyście zrobili użytek z łóżek, które tradycja — Chesmic przerwał na moment, by obcy dobrze zrozumieli, o co mu chodzi — nakazuje zapewnić wędrowcom w zimie.

Wstał i wskazał na schody wiodące na przygórek.

Starszy mężczyzna również wstał i skłonił się zebranym. Młodszy poszedł jego śladem, ale wyglądał na nadąsanego, gdy obaj szli w stronę pomieszczeń sypialnych.

Chesmic zamyślił się. Ta para wzbudziła jego niepokój. Przypomniał sobie, co Prilla

mówiła o mężczyźnie, który zatrzymał ją na szlaku prosząc, by zabrała wiadomość. To na pewno był ten starszy, bo Prilla wspominała o dziwnym, głębokim głosie. Miał pewnie kapelusz, więc blizna była prawie niewidoczna. Naturalnie zapłacił markę za przesyłkę, bo bez tego Prilla nie zrobiłaby nawet kroczku. Ale po co zatrzymywać Kuriera, kiedy można spokojnie przyjść na Stację i zarejestrować wiadomość jak należy?

CECH HARFIARZY

Upłynął prawie cały miesiąc, zanim zalane wybrzeża obeschły i prawie powróciły do swoich poprzednich zarysów. Jedzenie i inne towary przychodziły z większości małych i dużych osad w głębi lądu na obu kontynentach — dzięki temu powodzianie mieli dość jedzenia i materiałów do odbudowy swoich osad. Kurierskie torby pęczniały od wiadomości, a jaszczurki ogniste śmigały tam i z powrotem — w ten sposób dowiadywano się, czego ludziom potrzeba. Kapitanowie przewozili transporty za darmo, a jeźdźcy smoków służyli wszelką pomocą w okresach pomiędzy opadami Nici. Zapanowała atmosfera przyjaźni i wzajemnej pomocy, więc nieszczęśliwe wypadki, które zaszły pod koniec Obrotu, zostały zapomniane w nawale nowych zajęć. Wzmózone transporty i wędrówki ludzi obejmowały też sprawy leżące w kręgu zainteresowań Cabasa. Nikt z osób znajdujących się pod jego czujną obserwacją nie miał jaszczurek ognistych, co dowodziło, że te stworzonka nie służą każdemu, kto jest skłonny je karmić. Nie udało mu się zbliżyć do tych ludzi na tyle, by podsłuchać ich dyskretne narady. Wrócił do Cechu Harfiarzy z raportem, a także po nowe ubrania i trochę marek.

Znalazł Sebella w gabinecie, za biurkiem, na którym piętrzyły się papierzyska wszelkich rozmiarów, poprzciskane kamieniami.

— Co, przyszedłeś zająć się swoją porcją skarg? — spytał Sebell, wskazując na papiery.

Cabas jęknął i odwrócił wzrok.

— Ale się wpakowałem.

Zgodnie z tradycją, wszystkie skargi zebrane na koniec Obrotu przesyłano do Cechu Harfiarzy; czytał je specjalny zespół czeladników i mistrzów, którzy przesyłali najpilniejsze z nich do Rady w Telgarze, która odbywała się pierwszego dnia trzeciego miesiąca. Niektóre skargi można było rozpatrzyć bezpośrednio w Warowniach. Jeżeli zdarzało się, że zgłoszono wiele zarzutów przeciwko władcy większej lub mniejszej warowni, przedstawiano je Radzie, która decydowała, czy należy bliżej przyjrzeć się problemowi. Cabasowi często przydzielano zadanie zdobycia dodatkowych informacji.

— Przeczytam moją część. Zawsze czytani. Przejrzę wszystko z Keroonu, Igenu albo Bitry... znam tam wszystkich najgorszych mąciwodów.

Sebell zaśmiał się cicho.

— Jak na razie z Bitry prawie nic nie ma. Zdaje się, że wszyscy są zadowoleni z

Sousmala.

Cabas szeroko otworzył oczy, odsunął stosik petycji i przycupnął na biurku.

— Nie mów! A co z tymi szkicami, które ci przysłałem? Znacie kogoś z tej trójki?

— Kobieta jest z Tilleku. — Wiecznie niezadowolona i marudna, była uczennicą w tamtejszym Cechu Uzdrawicieli, ale po drugim półroczu zwolniono ją jako nieodpowiednią do tej pracy. Napisała do lorda Ranrela, żeby przekazał jej władzę w Warowni z pominięciem jej młodszego brata, mianowanego przez ojca. Zdaje się, że ojciec wydał taką decyzję, by się uwolnić od tej kobiety. Strasznie się pokłóciła z bratem i wyjechała. Nie widziano jej w Tilleku od jesiennego Zgromadzenia w zeszłym Obrocie.

— Czyli jest bezdomna?

Sebell wzruszył ramionami, zajrzał do wielkiej szuflady w biurku i wydobył trzy szkice.

— Jeden z tutejszych kupców z rodu Lilcampów rozpoznał tego człowieka — postukał w portret mężczyzny bez palca. — Dużo podróżuje. Poproszony, przykłada się do każdej pracy. Dużo umie i ciągle zadaje pytania. Ma dziwny głos — przerwał. — Młody Sev powiedział też, że te pytania były... jakby to powiedzieć... prowokacyjne.

— Prowokacyjne? Zadawał pytania kupcom? — Cabas był z lekka zaskoczony takim tupetem.

— Mają mnóstwo znajomych, nie są głupi, wiedzą, co i gdzie w trawie piszczy i czego można się spodziewać po ludziach. Są lepsi niż kurierzy, bo ci nigdzie długo miejsca nie zagrzeją.

— Ale nam pomagają — stwierdził Cabas. — Chesmic w Stacji w Kręgu powiada, że byli u niego obcy z wiadomościami. Na Kurierskim Przystanku też byli i zostawili pół marki więcej na opłaty.

Sebell uniósł brwi.

— Nadpłata? Łapówka?

— Przecież by się nie przyznał.

— Wie, że jesteś harfiarzem?

— Nigdy nie pytał — we wzroku Cabasa błysnęły wesołe iskierki. — A tak przy okazji — uśmiechnął się złośliwie — wiedziałeś, że fala uderzeniowa wytłukła tylko szyby produkcji Mistrza Norista? Szkło Mistrza Moriltona nawet nie drgnęło! Kolejny plus dla nowej techniki. — Przechylił głowę. — Wiemy coś, oficjalnie albo nieoficjalnie, czy ci wygnańcy przeżyli Potop?

Sebell wydał wargi i popatrzył na swojego towarzysza.

— Ktoś o to pytał?

— Nie dosłownie, ale czasem warto wiedzieć.

— Co, jesteś ciekawy?

— W pewnym sensie. — Wzruszeniem ramion zaznaczył swoją obojętność.

— O ile dobrze zrozumiałem, wygnanie polega między innymi i na tym, by żaden statek nie mógł nawiązać kontaktu z dysydentami;! wyspy nie nadają się do lądowania. Wybrzeża większości z nich to urwiska spadające do morza. Te, o których mówimy, zostały podmyte, ale nie zalane. A o co ci chodzi poza tym?

— Ach, słyszałem taki urywek rozmowy, właściwie dezinformację, i chciałbym ją — tu przyłożył rękę do serca — naprawdę, dogłębnie i całkowicie zdementować. Jak już mówiłem, podejrzewam, że nasi spiskowcy, a w szczególności ten sprytny drań, który sfabrykował broszurki, ukrywają się gdzieś na wzgórzach Keroonu, gdzie mieszka mnóstwo niedouków, za tępych, by mieć własne poglądy, nie mówiąc o tym, że ich nie obchodzi, co dzieje się na tej planecie. Rozpoznałeś tego trzeciego?

— Skądś go znam, ale nie potrafię powiedzieć konkretnie, kto to taki.

— Ja też nie. Przypomina mi pół tuzina różnych ludzi. Ma ten sam wzrost, ten sam wiek, te same rysy, ale żadnej moralności ani głębszych uczuć. Ma jakieś tam obowiązki i zajmuje się nimi od czasu do czasu, może więc musi się opowiadać jakiemuś przełożonemu. Może być też młodszym synem gospodarza albo władcy warowni, bez szans na dziedziczenie; strasznie zadziera nosa. Znasz takich ludzi, choć on świetnie się dostosowuje do otoczenia, lepiej niż Trzeci albo Piąty.

— Trzeci i Piąty?

Cabas zrobił dziwną minę.

— Używają numerów zamiast imion. Ta kobieta jest Czwarta. Myślę, że Drugi nie żyje. Jestem prawie pewny, że są z tego zadowoleni, bo sprzeciwiał się niektórym planom. Trzeci to ten duży, Czwarta, jak mówiłem, to kobieta. Jest ich siedmioro, a przynajmniej tylu przyjeżdża od czasu do czasu do tego schronienia w górach. Podejrzewam, że Szósty jest z Tilleku, bo ma taki płaski nosowy akcent. Trzeci, jak wiemy, dużo podróżował, a Czwarta była w tylu miejscach, że nie sposób rozpoznać, skąd pochodzi. Trzeci wszedł w to zdecydowanie dla pieniędzy i dla sportu. Dla Czwartej tradycja stała się sensem życia... jej sposób myślenia jest całkiem pokrętny. Chce przewodzić, ale nie nadaje się do tego. Za bardzo się upiera, by wszystko robić po staremu, jak się należy. Tak ją nauczono i uważa, że wszyscy powinni tak postępować. — Cabas przerwał. — Lasu zza drzew nie widzi, taka ograniczona.

— Planują coś nowego? — spytał Sebell.

— Tak się zachowują. Zostawiają listy w stacjach kurierskich tak, żeby nie można było zidentyfikować nadawcy.

— Więc jak odbierają te wiadomości?

— Podejrzewam, że robią to za nich tępi górale. Rozpytywałem się w Szerokiej Zatoce, bo Mistrz Arminet dobrze mnie zna i powiedział mi, że ostatnio dużo górali dostaje listy.

Sebell w zamyśleniu potarł podbródek.

— Muszą wiedzieć, że większość cechów uzdrowicielskich zamyka magazyny na klucz i używa szkła Mistrza Moriltona — rzucił Cabasowi znaczące spojrzenie. — Cechy Szklarskie wykonują teraz zlecenia dla uzdrowicieli w lepiej zabezpieczonych miejscach, a Cechy Kowalskie zaczęły stosować systemy cyfrowe...

— Tak to Assigi odniósł kolejne pośmiertne zwycięstwo nad wandalizmem — przerwał mu Cabas z typową dla siebie bezceremonialnością, unosząc dłoń triumfalnym gestem. — Nigdy nie wiadomo, czego nam jeszcze będzie potrzeba przez tych fanatyków.

— Benelek jest zachwycony. Okazało się, że łatwo te zamki zrobić i podłączyć do alarmów. Posłałem mu parę sprytnych uczniów na kilkutygodniowe przeszkolenie.

— Nie myślisz chyba, że włamią się tutaj, co? — Cabas był autentycznie wystraszony. Sebell zaśmiał się, na moment odrzucając zwykłą powagę.

— Nie ze smokiem — strażnikiem z Fortu!

— Który nie usłyszał włamywaczy w Cechu Uzdrowicieli...

— Bo weszli ukradkiem i ubrali się na zielono. Mieszka tu też mnóstwo ognistych jaszczurek, nie tylko należących do Menolly. — Sebell wskazał palcem wędrownego harfiarza. — Jeśli usłyszysz coś o ich planach, choćby jeden szept...

— Mam świetny słuch, a Bista jeszcze lepszy.

— ...to daj mi znać. — Sebell zamyślił się, marszcząc czoło. — To dziwne, że ludzie, którzy sprzeciwiają się technice i Assigi, zmuszają nas, by szukać nowych rozwiązań technicznych dla obrony przed ich atakami!

— Co za ironia — Cabas zsunął się z biurka, na którym przycupnął. — Przeczytałem wystarczająco dużo historycznych plików Assigi, by wiedzieć, że Pernowi nigdy nie zagrozi nadmierny rozwój techniki. Za dużo trzeba czasu, by rozwinąć wszystkie potrzebne umiejętności, z wyjątkiem przypadków szczególnych, takich jak te zamki cyfrowe. No i naturalnie nie mamy możliwości produkcyjnych na miarę Starożytnych. Jako społeczeństwo funkcjonujemy: w wolniejszym, bardziej metodycznym rytmie, więc zaledwie' niewielki

procent populacji odczuje potrzebę, by wspiąć się na techniczne wyżyny Assigi.

— Odwołujesz się do filozofii, co? — uśmiechnął się Sebell. — Ciekawe, czy takie zapewnienia wystarczą, by uspokoić buntowników.

— Wszyscy możemy wybierać — stwierdził Cabas i pełen oczekiwania zatarł ręce. — To za które zażalenia mam się zabrać? Spędzę tu co najmniej jedną noc.

Podczas gdy Sebell zastanawiał się, który plik papierów mu podsunąć, ktoś nacisnął klamkę drzwi gabinetu Mistrza. Mężczyźni usłyszeli zachwycony dziecięcy śmiech, a potem drzwi się otworzyły.

— Tata, nauczyłem się nowej melodii. Ale fajnie!

Dzieciak — Cabas bez trudu rozpoznał po czarnych, splątanych lokach najstarszego synka Menolly, Robsego — uwiesił się na klamce, wymachując nad głową drewnianym fletem.

— Oj, pseprasam. Nie wiedziałem, że ktoś jest.

— Chodź, chodź, — zaprosił go Cabas w nadziei, że uda się uniknąć góry skarg i zażaleń.

— Assigi ją napisał! — oświadczył Robse, jakby źródło miało tu niesłychane znaczenie.

— Assigi ją napisał? — Cabas jak echo powtórzył za nim pytanie.

— Tak, Assigi! — Robse przyświadczył tak energicznym skinieniem, że loki na jego głowie podskoczyły. Natychmiast spowaźniał.

— No, skoro Assigi ją napisał, to musi być dobra — stwierdził Cabas.

— Te, Mistrzu Mekelroy, będą do twojej wyłącznej dyspozycji — rzekł Sebell z ukłonem i wręczył mu jeden z największych stosików.

— Dzięki, dzięki, Mistrzu Sebellu. Jesteś dla mnie aż nazbyt szczodry. Zawsze się troszczysz, żebym miał co robić, kiedy tu przyjeżdżam. Moja wdzięczność nie ma granic. — Po tych uprzejmościach, mrugnawszy okiem do zdumionego Robsego, Cabas wycofał się z gabinetu.

— Pięknej muzyki trzeba rzeczywiście posłuchać od razu, gdy ktoś się nauczy ją grać — usłyszał jeszcze, zamykając drzwi.

Przekazał Sebellowi niezwykle ważne wiadomości, choć wciąż jeszcze pozostał do omówienia jeden temat. Mnóstwo ludzi chciało wiedzieć, co jeźdźcy zamierzają zrobić w sprawie rzeczy spadających z nieba.

WEYR BENDEN

Smok–strażnik zatrąbił sygnał, który oznaczał, że do Bendenu nadlatują Władcy innego Weyru. Mnementh i Ramoth podniosły się ze skalnych półek i zaryczały na powitanie; Lessa i F’lar wiedzieli już, że mają ważnych, choć niespodziewanych gości.

Tileth i Segrith, poinformowała Ramoth, podnosząc głowę opartą na przednich łapach.

— Naprawdę? — Lessa była równie zaskoczona jak F’lar. — Zapomniałeś, że mają przylecieć?

— Nie zapominam o tak wyjątkowych sprawach — skarcił ją, zdejmując pospiesznie miękkie trzewiki wykładane jagnięcym runem i wkładając długie buty, które grzały się przy piecyku. Zrzucił wełnianą kamizelkę, wstał, poprawił kołnierzyk i wysokie mankiety wełnianej koszuli.

Lessa, jakby nie zauważając jego przygotowań, zwinęła długi warkocz w bardziej oficjalną koronę i wygładziła fałdy wełnianych spódnicospodni.

— Mamy wino, prawda? I może niech Manora przyśle kogoś ze świeżym klahem i wypiekami prosto z pieca — powiedziała. — Ciekawe, po co tu przylecieli! — dodała.

— Niewątpliwie nam o tym powiedzą — odparł F’lar, podnosząc ciężką kotarę, która nie pozwalała, by zimno wniknęło do ich przytulnej kwatery. Zmarszczył brwi i wyjrzał na zewnątrz. — Powinni najpierw sprawdzić, jaka jest pogoda. Co za paskudny dzień.

Pytali, Ramoth?

Nie, przecież bym ci powiedziała. Ja też niczego nie zapominam. Ramoth odwróciła się i spojrzała z wyrzutem na jeźdźczynię.

— Oczywiście, że nie.

Usłyszała głosy na skalnej półce i wyjrzała za róg skalnej ściany. Pilgra akurat się pośliznęła i musiała się mocno przytrzymać kamienia, by odzyskać równowagę.

— Moja miła, trzeba było sprawdzić pogodę — powiedziała współczująco. Pilgra nie była jej ulubioną Władczynią Jeźdźców z Przeszłości, ale każdy, kto wybrał się na wyprawę przy takiej zamieci, i zasługiwał na troskę. — Chodźcie się ogrzać. Zabiorą twoją kurtkę. Widzę, że masz taką modną, dłuższą! Ciepłej w nich, prawda?

— W cieplejszy dzień by wystarczyła, ale nie spodziewałam się, że będzie aż tak źle. W Wysokich Rubieżach jest zimno, ale przynajmniej świeci słońce.

Przytrzymując mokrą kurtkę, Lessa zauważyła, że wełniane spodnie Pilgry są wypchane na kolanach i brzydko pogniecione na biodrach.

— Och, jak tu u was ciepłutko — powiedziała starsza kobieta, a jej wzrok pobiegł ku grzejnikom. — Dzień dobry, Ramoth — dodała witając oficjalnie królową, która obserwowała gościa spokojnymi zielonymi oczami.

Pilgra szybko podeszła do piecyka, udając, że trzęsie się z zimna.

— Są wspaniałe! My także mamy już ogrzewanie, ale nic nie rozgrzeje Wysokich Rubieży.

Nagle Lessa zrozumiała, jaki jest cel ich wizyty.

W Wysokich Rubieżach może i świeci słońce, ale nie grzeje, stwierdziła Ramoth. Powiedziałam Tiltethowi i Segrith, żeby się wygrzali na piaskach Wylęgarni. Lepiej im tam będzie niż na skalnej polce przy tej pogodzie.

Milo, że o tym pomyślałaś, odpowiedziała Lessa.

Odwróciła się, by powitać M'randę i spojrzała w jego ściągniętą z zimna twarz. Tak, zdecydowanie chcę porozmawiać o swojej rezygnacji. Nie muszą wprawdzie tego omawiać z Bendenem, bo Weyry są niezależne, ale M'rand bardzo przestrzega takich formalności.

— Wina? A może masz ochotę na likier Mistrza Oldive? — spytała go.

— Bardzo chętnie, Lesso — powiedział. Wstrząsnął nim atak kaszlu.

Dlaczego nie zauważyła wcześniej, jak się postarzał? Kiedy to widzieli się ostatnio? Królowe od czasu do czasu przekazywały sobie wiadomości, ale jeźdźcy się nie odwiedzali. Pamiętała Władcę Wysokich Rubieży jako pełnego życia, zwawego, krzepkiego, prosto się trzymającego mężczyznę. Zmienił się nagle i przygnębiająco. Stał przed nią przygarbiony człowiek, którego twarz — niegdyś przystojna — jakby skurczyła się i wyschła. Policzki pokrywała siatka czerwonych żyłek, na czubku nosa widniały plamy, a pod podbródkiem i na szyi obwisła skóra. Czarne włosy Pilgry nie przeblyskiwały wprawdzie białą, ale intensywność koloru sugerowała, że kobieta stosuje pewne kosmetyki według przepisów dostarczonych przez Assigi. Z perneńskich korzeni można było robić czerwony barwnik, ale efekt nie był aż tak naturalny jak nowe farby dostępne w wielu odcieniach.

F'lar podał wszystkim likier, a Lessa wypytywała o przyjaciół z Weyru i o lorda Bargena, który jeszcze nie pogodził się z faktem, że trzech z jego synów opuściło go i założyło własne gospodarstwa na południu.

— Hosbon nieźle sobie radzi — powiedziała Pilgra. — Ma nabrzeże, wieżę bębnow i jacht w Seminole.

— Aż tyle udało mu się wycygnąć? — zaskoczona Lessa wymieniła spojrzenie z F'łarem, który zaśmiał się pod nosem.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni, prawda? Byle kto nie wyciągnąłby tyłu różnych

rzeczy od Torica — odparł.

M'rand przytaknął z entuzjazmem.

— No cóż, Bargaen nauczył ich wszystkich ciężkiej pracy, bo chciał mieć wybór, gdy nadejdzie czas rezygnacji z władzy.

— My także jesteśmy tu w podobnej sprawie, Lesso i F'larze — powiedziała Pilgra, prostując się w fotelu. — Chcemy zrezygnować z funkcji.

— Mamy czterech dobrych dowódców skrzydeł, którzy wiedzą o Opadach tyle, co ja — pospieszył z wyjaśnieniami M'rand. — Weyr pójdzie za każdym z nich. Są trzy dobre, silne królowe i jedna młoda, jeszcze przed rują. A my chcemy jechać na południe. Znaleźliśmy sobie miejsce w Cathay, pomagaliśmy tam przy powodzi. Mała zatoczka, chroniona od wschodu i zachodu, nieduży teren, ale nam więcej nie potrzeba. Mamy cztery czy pięć osób z obsługi Weyru, które też chciałyby wygrzać sobie stare kości na słońcu i pójść z nami. Przybyłem, by was spytać, czy można?

— Czy można? — F'lar popatrzył na niego ze zdziwieniem. — Oczywiście, że można. Oboje z Pilgra wylataliście już swoje, teraz i przed wiekami.

— Nie pomyślisz, że to dezercja? — Pilgra skierowała pytanie do Lessy. Na twarzy starszej kobiety malował się niepokój.

— Ależ skądże, na Pierwsze Jajo! — Lessa przechyliła się i poklepała ją po ręce; zauważyła przy okazji brązowe plamy na skórze i spuchnięte palce zaciśnięte na szklance.

— Segrith nie ma już wcale ochoty na latanie — mówiła dalej Pilgra — choć składa jaja co dwa Obroty, odkąd tu przybyliśmy.

— Co najmniej piętnaście w każdym, i ze wszystkich wykluwają j się sprawne smoki. Dziw, że jeszcze macie miejsce w swoim Weyrze.

— Ano, teraz będzie miejsce dla młodej królowej — odparła Pilgra z cieniem urazy w głosie. — M'rand chciałby doczekać do końca Przejścia, ale... — machnęła bezradnie ręką.

M'rand odchrząknął i pochylił się do przodu z łokciami na kolanach.

— Miałem nadzieję, że tak będzie, F'larze, wiesz, mało kto ma taką szansę... W jego uśmiechu było wspomnienie dawnej żywotności i uroku. — Ale jak zobaczyłem to miejsce w Cathay i kiedy R'mart zrezygnował, pomyślałem sobie... no cóż, mam świetnych spizowych jeźdźców i trzy wolne królowe, więc może... może jechać na południe i wreszcie się wygrzać!

— Dobrze wiecie, że nie potrzebujecie prosić nas o pozwolenie — powiedziała łagodnie Lessa, uśmiechając się do nich z nieudawaną wdzięcznością. — Nie musieliście ruszać nam na pomoc z Przeszłości.

— Postanowiono dwakroć — mruknął M'rand, cytując starą Pieśń Zagadkę. — Przybyliśmy, bo robiliśmy to w przeszłości, więc musieliśmy to zrobić i zrobiliśmy.

— A my przez trzydzieści jeden Obrotów byliśmy szczerze wdzięczni za waszą niezwykłą szczodroliwość — dodała Lessa.

M'rand zaśmiał się przekornie.

— W czasie Przerwy były nudy na pudy. Byłem na tyle młody, by przyjąć to wyzwanie. A teraz jestem na tyle stary, by iść za przykładem R'marta. Pomogliśmy wam zacząć, a teraz możemy z czystym sumieniem udać się na odpoczynek. Naturalnie, R'mart dalej pragnie należeć do Weyru. A my byliśmy z Pilgra za długo w Weyrze i teraz chcemy pomieszkać sami. Co nie znaczy — podniósł szybko dłoń — że odmówimy pomocy, jeśli będziecie w potrzebie!

— No cóż, jeśli spodziewaliśmy się, że znajdziemy argumenty, które zatrzymają was w tym waszym lodowatym Weyrze, to się pomyliliście — odparł F'lar z rozbawioną miną. Podał dłoń M'randowi. — Jedź, przyjacielu, i ciesz się zasłużonym odpoczynkiem. Obyś w spokoju doczekał następnej Przerwy.

— Naprawdę tak myślicie? — Pilgra popatrzyła na Lessę szeroko otwartymi oczami.

— A kto mógłby pomyśleć inaczej? — spytała Lessa. A gdy oboje wymienili niepewne spojrzenia, dodała: — Niech zgadnę. G'dened?

— Cóż, on jest z nas najstarszy — stwierdziła Pilgra.

M'rand odchrząknął.

— A do tego uparty. Nie chce odejść z Isty, bo siedzi w tym Weyrze — przerwał i zaśmiał się cicho — od pół setki Obrotów i najlepiej ze wszystkich się zna na przywództwie i na Opadach.

— Takie poczucie lojalności jest naprawdę cenne — powiedziała Lessa po chwili milczenia. — A także nieustępliwość, poświęcenie, dążenie do celu, perfekcjonizm.

F'lar spuścił głowę, żeby nie patrzeć na Lessę, która kpiła sobie w żywe oczy, mówiąc to wszystko szczerym, poważnym głosem.

Pierwsza połapała się Pilgra; mrugała zdziwiona, gdy Lessa z namysłem dobierała odpowiednie przymiotniki. Po chwili M'rand ryknął śmiechem, który przeszedł w atak bolesnego kaszlu.

— Jedźcie, zanim ten kaszel cię wykończy i zanim ktoś sprawi, że się rozmyślicie — powiedziała surowo Lessa.

— Ale... ale...

— Macie czterech dobrych spizowych dowódców? Niech każdy po kolei dowodzi

podczas Opadu, póki któraś z królowych nie wzniesie się do lotu godowego — doradził praktyczny F'lar. — Jeśli pojawią się problemy, będziecie pod ręką. W końcu i tak nie od razu oddacie pełnię władzy. A gdzie jest ta śliczna zatoczka w Cathay? Pomyśleliście, żeby zabrać... aha, widzę, że pomyśleliście — stwierdził, kiedy M'rand wydobył poskładany papier.

— Poprosiłem Mistrza Idarolana, żeby zrobił dla mnie mapę. Dobrze mu to wychodzi. — M'rand podał arkusz F'larowi. Z powrotem stał się pewnym siebie przywódcą. Najwyraźniej mu ulżyło. — Nie wiem, co lepsze: pokazać mapę czy przekazać smokowi, dokąd ma lecieć.

Lessa poprosiła kiedyś stolarza, żeby zrobił jej komodę o długich, głębokich szufladach, odpowiednią do przechowywania map i dokumentów, na których naniesiono wybrane miejsca na Kontynencie Południowym. Wielu osobom nie podobało się, że Władcy Weyru kontrolują osadnictwo, ale musieli się na to zgodzić po gorącej debacie na Radzie. Postanowiono wtedy, że każda nowa osada ma być samowystarczalna i powinna zostać poinstruowana o zagrożeniach i korzyściach płynących z życia na Południu.

F'lar znalazł mapę, rozłożył na stole, zorientował mapę M'randa i odczytał współrzędne.

— Nie prosicie o wiele.

— Nam dużo nie potrzeba. I tak będzie to kłuło w oczy Torica — stwierdził M'rand.

Pilgra i Lessa podeszły popatrzeć, jak F'lar zaznacza nową siedzibę srebrnym ołówkiem, zarezerwowanym dla smoczych jeźdźców.

— Sto metrów kwadratowych? — wykrzyknęła Lessa. — Toż to chustka do nosa!

— Najpiękniejsza chustka do nosa, jaką możesz sobie wyobrazić — zapewniła ją twardo Pilgra i zaczęła opisywać uroki tego miejsca. — ; Możliwe, że kiedyś była tam siedziba Starożytnych. Pozostał stos kamieni, jakby dom się w końcu rozpadł i to w miejscu, gdzie jest przepiękny widok na morze w dole. Pełno wszelkiego rodzaju roślinności, no i tak tam ciepło... chociaż to dopiero Pierwszy Miesiąc!

— Właściwie to do tej pory przydzielono bardzo niewiele ziemi, prawda? — spytał zdziwiony M'rand. ;

— Osadników jest trochę więcej niż było... prawdziwy tłok zacznie się, kiedy pewni ludzie wreszcie podejmą decyzję — obrzuciła ; swojego partnera surowym spojrzeniem. j

— Więcej niż się spodziewałam — powiedziała Pilgra, przeglądając mapę. — Ale to nie cały Południowy.

— Naturalnie, że nie — F'lar postukał w szufladę. — To tylko okolice Cathay, osiem

do dziesięciu stopni długości geograficznej, pięćdziesiąt do dwudziestu stopni szerokości. Mapa według fotografii napowietrznych Assigi, skala na tyle duża, by zakreślić granice posiadłości. Przekazę oficjalną rejestrację do Administracji. — Otworzył inną szufladę i wyjął dokumenty rejestracyjne, schował je i z trzeciej, mniejszej szuflady wydobyl formularz. — To jest nadanie ziemi

— przekartkował papiery, żeby pokazać, ile jest stron. — Zaraz je wypełnię, podpiszemy z Lessa, weźmiemy na świadka naszego harfiarza... no, może jeszcze Manorę i G'bola i ziemia jest wasza. M'rand zamrugął.

— Tak po prostu? F'lar uśmiechnął się.

— Jesteście Władcami Weyru. Macie prawo wyboru bez konieczności akceptacji przez Radę.

Pochylił się nad biurkiem i zaczął wypełniać dokument szybko, lecz wyraźnie. M'rand go obserwował.

— Ale inni muszą czekać dużo dłużej? — spytała Pilgra ze zmartwioną miną, przechylając głowę na bok.

— Tylko tyle czasu, ile trzeba na spełnienie wymagań emigracyjnych — zapewniła Lessa. — Mają dostarczyć dowody z cechu lub warowni, że są odpowiedzialnymi ludźmi i mają wystarczające umiejętności, by przetrwać w warunkach możliwego zagrożenia na terenach, gdzie drapiezniki są większe niż największe węże tunelowe, które spotyka się na północy, i to w konkretnej okolicy, którą wybrali na założenie nowego cechu lub warowni. Tylko takie wymagania, jakie stawiała Karta. Między innymi z tego powodu wszyscy powinni wiedzieć, co jest jej treścią.

— Przypominałem ci o tym, Pilgro — M'rand spojrział na partnerkę z urazą. — Ludzie słuchają pijackich bzdur na Zgromadzeniach i potem różne dziwne rzeczy przychodzą im do głowy.

F'lar potwierdził mruknięciem, sprawdzając zgodność danych z formularza z mapą, aby nie pomylić się w określaniu długości i szerokości geograficznej, podanej z dokładnością do minut i sekund.

— Dlatego harfiarze czepiają się jak harpie — dodał — by każdy umiał czytać i rozumiał Kartę.

M'rand wybuchnął śmiechem, który znowu skończył się kaszlem. Zaniepokojona Pilgra oddała mu swój niedopity likier, a Lessa popędziła do swojego pokoju i wróciła z butelką z ciemnego szkła i łyżeczką.

— Proszę, wypij to. Oldive domieszał tu jakiegoś leku, który według Assigi łagodzi

takie napady kaszlu jak u ciebie. — Odmierzyła dawkę lekarstwa. — Jestem pewna, że kiedy poleżysz na słońcu, prędko ci to przejdzie.

F'lar skończył wypisywać oficjalny akt nadania ziemi, oderwał oryginał od kopii i włożył go razem z mapką M'randy do plastikowej koszulki. Gdy M'rand dochodził do siebie, Władca Bendenu podał Pilgrze dokument z ukłonem.

— Zabierz go tam jeszcze dziś — poradził.

— Jeszcze dzisiaj? — Pilgra też zaczęła szybciej oddychać, zaciskając w dłoni dokument.

— Oczywiście. A co innego można robić przy takiej paskudnej pogodzie? Niech wasi ludzie spakują wszystko, czego potrzeba na parę dni. Tam, w cieple, zastanowicie się, co jeszcze przyda wam się później.

— Lecieć? Dzisiaj?

— Pomyślcie, jaką miłą niespodziankę zrobicie waszym spizowym jeźdźcom i młodemu królowym — powiedziała Lessa, szeroko otwierając jasne oczy z podejrzenie naiwnym wyrazem twarzy. Kiedy Pilgra zrobiła nieszczęśliwą minę, Lessa dodała z większym współczuciem: — Och, będą za wami tęsknić, bo oboje jesteście dobrzy i sprawiedliwi. Ale na pewno nikt nie będzie miał nic przeciwko temu — dodała i położyła dłonie na ramionach starszej kobiety, która nabrała tchu, by jej odpowiedzieć. — Tylko nie mów mi o tym G'denedzie ze skórzaną gębą. Cosira ukoji jego urażone uczucia. D'ram w żadnym wypadku nie będzie marudził. Od kiedy mieszka nad Zatoczką, bardzo się postarzał. Jesteście oboje lubianymi przywódcami, ale nie wyobrażam sobie, by ktoś miał do was pretensję, że odeszliście na odpoczynek i że nie zwlekaliście z tym. .

F'lor mówi, że jeśli polecimy z nimi, G'dened nie będzie miał nic do gadania, powiedział Mnementh do Lessy. Jeszcze dodał, żebyś nie myślała, że on sam się tak łatwo podda.

Nie, bo jest o dwadzieścia Obrotów młodszy od M'randy i G'denedy. Oczekuję, że twój jeździec razem ze mną doczeka końca Przejścia! odparła twardo Lessa.

Ja też! dodała Ramoth.

— Polecimy z wami — stwierdziła Lessa żywo i wesoło, jakby właśnie wpadła na ten pomysł.

— Tak, rzeczywiście to świetny sposób na spędzenie deszczowego popołudnia, Lesso — oświadczył F'lar, wiedząc, że będzie musiał zapłacić za tę uwagę.

Ze względu na różnicę czasu między położonymi na zachodzie Wysokimi Rubieżami

a Ruathą na wschodzie, Władcy Bendenu pomogli M'randowi i Pilgrze w pospiesznej przeprowadzce na Południe i spokojnie zdążyli wrócić do Bendenu na późną kolację. W tym czasie pomogli starszym Władcom Weyru udzielić wyjaśnień spizowym jeźdźcom i jeźdźczyniom królowych, zorganizowali grupę osób z obsługi weyru, które również postanowiły się udać na Południe i poczekali, aż M'rand odbędzie krótką rozmowę z dowódcami skrzydeł, którzy z trudem ukrywali ulgę i niecierpliwość. Pilgra spotkała się z jeźdźczyniami królowych — najmłodsza zareagowała na wiadomość o wyjeździe z nieukrywaniem smutkiem, a starsze trzy spoglądały na siebie z wyrachowaniem, wiedząc, że Władczynią Weyru zostanie ta, której królowa pierwsza wzniesie się do lotu godowego. Lessa świetnie się bawiła, a F'lar miał okazję ocenić spizowych jeźdźców.

M'rand miał rację. F'lar zgadza się, że wszyscy są doświadczeni i mogą od razu przejąć władzę, powiedział Mnementh do Lessy.

Która królowa? zapytała spizowego smoka.

Yasith, odparła Ramoth tak stanowczo, że jeśli nawet Mnementh miał inną kandydatkę, to o niej nie wspomniał.

Lessa także zachowała swoje poglądy dla siebie. Jeźdźczynią Yasith była dwudziestopięcioletnia Neldama, pochodząca z Weyru Wysokich Rubieży, o dwanaście Obrotów młodsza od najstarszej kandydatki. Pochodziła zatem z ostatniego Obrotu, co w ocenie Lessy oznaczało o wiele mniej problemów. Nie była ładna, ale na tyle atrakcyjna, że zasłużyła sobie na długie spojrzenie F'lara. Jej zielone oczy patrzyły prosto na rozmówcę; była uważna i rozsądna — poznali to po sposobie, w jaki gromadziła rzeczy, które Pilgra chciała zabrać ze sobą. M'rand niepokoił się, j aktu poinformować o swoim nagłym wyjeździe Władców trzech głównych Warowni i najważniejszych gospodarzy na podlegającym mu terenie.

— Byłby to dowód uprzejmości, ale to tylko formalność. „Z powodu trwałego uszczerbku na zdrowiu, w najlepszym interesie Weyru i Warowni, które podlegają ochronie Wysokich Rubieży podczas Opadu Nici” — F'lar sypał frazesami jak z rękawa. — Zmiana przywództwa Weyru to nasza sprawa — objął ich wszystkich szerokim gestem dłoni.

— Przecież to nie Weyr idzie na emeryturę — powiedziała Lessa w chwili, gdy Neldama i Curella, najstarsza jeźdźczyni, przyniosły grzane wino i gorące zakąski, które podano w prywatnych pomieszczeniach Władczyni Weyru. — A poza tym nieraz podróżowaliście na tamten kontynent. Pilgro, M'randzie, przestańcie się przejmować. Wreszcie robicie coś dla siebie!

Z pozostałych Władców Weyru z Przeszłości, G'narish z Igenu był na tyle elastyczny,

by przyjmować sugestie innych przywódców, natomiast G'dened z Isty uporem coraz bardziej przypominał R'gula. Wszystkie weyry niecierpliwie czekały na koniec Opadów. G'dened sprawiał wrażenie, że nawet przez moment nie zastanawiał się, co będzie później. Ani razu nie zasugerował swoim jeźdźcom, że kiedyś będą musieli zatroszczyć się sami o siebie, bo gdy skończą się Nici, Warownie i gospodarstwa przestaną przysyłać weyrom zwyczajową dziesięcinę.

OSADA BENINI, NA WSCHÓD OD MONAKO I HONSIU, 1.20.31

— Jeśli jeszcze jedna osoba spyta mnie, co jeźdźcy smoków zamierzają zrobić w sprawie rzeczy, które spadają na nas z nieba albo jak oczyścić niebo z tych rzeczy — powiedział z goryczą F'lessan da Tai — każę Golanthowi, żeby jego albo ją wrzucił w *pojemny*.

Wstał i zaczął rozciągać mięśnie pleców, zmęczone pracą przy! sadzeniu roślin w osadzie Benini. Jedynej zamieszkałej tu rodzinie wichura pozrywała dachy. Z domu i stajni trzeba było wywozić nagromadzony muł, piach i śmieci; na szczęście solidne ściany, stojącej od dwunastu Obrotów, wytrzymały napór wody i nadawały się do naprawy. Liczna rodzina, zajmująca się głównie pasterstwem — sam i Benini był czeladnikiem — od świtu do nocy ścigała po okolicy bydło, które uciekło przed wodą w głąb łąd. Niegdyś domostwo ocieniały pąsy i pierzaste drzewa, niezwykle żywotne; można je było przycinać tak, by chroniły przed wiatrem. Osada nad Rajską Rzeką dostarczyła rodzinie nowe sadzonki, a także młode drzewka fellisowe.

Niewielu jeźdźców zgłaszało się do pomocy przy sadzeniu, ale kiedy F'lessan zobaczył na liście jedno jedyne imię — Tai, natychmiast dopisał swoje. Bez trudu udawało mu się przyłączać do zespołów roboczych, w których pracowała. Wybierała zwykle niewdzięczne roboty, wymagające dużego wysiłku. F'lessan najczęściej wstrzymywał się z wyborem pracy, póki nie natrafił na jej imię na którejś z list. Chętnie, a nawet z przyjemnością rozmawiała z nim o astronomii. Czasem bywali jedynymi jeźdźcami w grupie. Wyglądało na to, że dziewczyna zna wielu gospodarzy z małych osad i że wszędzie jest mile widziana. W Benini pokazano im, gdzie są narzędzia, skąd się teraz czerpie wodę do picia i co można sobie wziąć do jedzenia, a potem wszyscy mieszkańcy osady mimo upału pojechali na biegusach na kolejną wyprawę w poszukiwaniu bydła.

Gdy para jeźdźców o świcie odbierała sadzonki, których korzenie wraz z ziemią owinięto włókniną i przyczepiono do drewnianych listewek, zaskoczony Jayge przywitał się z F'lessanem i z powagą powitał Tai, zachwycając się jej piękną zieloną smoczyką.

— Nie sądziłem, że się tak szybko zobaczymy, F'lessanie — powiedział z uśmiechem do spizowego jeźdźca.

— Nie masz wyjścia, będziemy się spotykać, jak długo Rajską Rzeką będzie pomagać w zalesianiu Monako — odparł F'lessan i pogroził mu palcem. — T'gellan mówił mi, że byliście oboje z Araminą bardzo wielkoduszni.

— Przynajmniej tyle możemy pomóc — odparł Władca Warowni nad Rajską Rzeką. — Mieliśmy szczęście, bo ochronił nas przyłodek Kahrain — wskazał gestem za siebie, a potem w kierunku ujścia rzeki. — Pełno tu młodych drzewek i krzewów. Wyglądacie na zmęczonych. Jedliście coś?

F'lessan zbył go machnięciem ręki.

— Tak, tak, dziękuję. Odpoczniemy kiedy wszystko będzie mniej więcej w porządku — powiedział. Sprawdzał solidny węzeł na głównym sznurze, sieć z sadzonkami i liny po brzegach. Wszystkie smoki nabrały dużej wprawy w transportowaniu takich ładunków. Przede wszystkim należało dobrze napiąć liny i podnosić sieć niemal pionowo, by ładunek się nie huśtał; smoki długo dopracowywały ten manewr. Trzeba też było wejść w pomiędzy jak najniżej, również po to, by zapobiec rozhuśtaniu sieci. Pomoc smoków oznaczała, że sadzonki za kilka godzin znajdą się w ziemi, podlane i opaliskowane. Oznaczała ona również, że sadownicy będą mogli skoczyć pracę, zanim słońce zacznie palić ich grzbiety i nowo posadzone drzewka. F'lessan sprawdził, pod jakim kątem kładą się cienie; zegarek zostawił w kurtce. Ranek jeszcze się nie skończył, a oni posadzili prawie wszystko. Nie był pewien, jak długo jeszcze wytrzyma w tym tempie, choć oboje zostali tylko w koszulkach bez rękawów i w szortach.

— Zaczynasz się wyrabiać — powiedziała Tai, opierając ręce na kolanach, żeby się wyprostować. Zdjęła z czoła opaskę, otarła pot i na nowo zawiązała chustkę.

— Lubię przywracać porządek — odpowiedział, patrząc na zygzakowaty rząd sadzonek, które po wyrośnięciu powinny chronić dom od wiatrów ze wschodu. Gospodarstwo było na górcie i dzięki temu nie poniosło większych strat. Posadzili pąsy od strony domu, żeby łatwo było zbierać owoce, za nimi półkolisty rząd fellisów, a potem pierzaste drzewa. Kilka sadzonek bez nazwy, które nie przypominały ani pąsów, ani fellisu, postanowili wetknąć w żyzną glebę na wyczucie. Ktoś zaczął już urządzać ogródek. Na szczęście był środek lata, więc za kilka tygodni mieszkańcy osady będą mieli świeże warzywa. Przy niewielkim wkładzie pracy roślinny żywopłot wyrośnie na tyle wysoko, by chronić dom przed wichurami już tej zimy.

— Na przykład Honsiu? — spytała, schylając się po manierkę. Żona Beniniego zostawiła im do picia zimny sok owocowy.

— Tak, na przykład Honsiu — uśmiechnął się, odrzucając z czoła spocone włosy. Popatrzył z ukosa na dziewczynę. — To miejsce mnie fascynuje. Jest jeszcze kilka poziomów, których ci nie pokazałem.

Spędzili razem kilka wieczorów na górnym tarasie, na zmianę obserwując niebo przez

lunetą umieszczoną na statywie. Ustępował miejsca Tai, bo lubił patrzeć na jej skupioną twarz, gdy wpatrywał się w gwiazdy, notując czas i uwagi. Robiła notatki bardzo uważnie jak prawdziwa uczennica Erragona; starannie oznaczała pozycje gwiazd, prosząc go o sprawdzenie wyników. Żartował sobie nawet — choć musiał ją uprzedzać, że to żarty, bo inaczej wpadała w przyj gneńbienie — z tego, że podaje niezwykle dokładne pozycje, w minutach, a nawet sekundach, na przykład obserwując piątą planetę Rukbatu, widoczną na prawo w ascendencie wynoszącym dziewiętnaście; godzin, trzydzieści dwie minuty i pięćdziesiąt trzy i siedem dziesiątych sekundy, a deklinacji dwadzieścia siedem stopni, szesnaście! minut i dwadzieścia pięć sekund, tuż poniżej Acrux. Odparła, że nauczyła się robienia notatek podczas obserwacji w Warowni nad j Zatoczką. Erragon zbierał tego rodzaju informacje od innych obser watorów. F'lessan chciał zabrać ją wysoko na szczyt urwiska, w którym wykuto Honsiu, by mogła podziwiać szeroką panoramę lasu i wzgórz poniżej; czasem przez lornetkę obserwował tam kotowate, polujące o świcie. Jednak oboje byli zbyt zmęczeni, by odbyć długą wspinaczkę po spiralnych schodach.

— Naprawdę chciałabym obejrzeć to twoje sekretne obserwatorium, F'lessanie — powiedziała nieśmiało, podając mu manierkę.

— Nie martw się, pójdziemy tam kiedyś w nocy, kiedy nie będziemy tak potwornie zmęczeni. To długa wspinaczka.

— Tak, poczekajmy na sprzyjający moment — zgodziła się natychmiast i sięgnęła po następną sadzonkę do prawie pustej sieci. — Już kończymy. Posadźmy tylko te nieopisane roślinki gdzieś koło ogrodu — dodała z westchnieniem i rzuciła okiem na smoki wylegające się na wzgórzu za osiedlem na gęstej ściółce, której nawet tsunami nie dało rady zerwać.

F'lessan zauważył, choć o tym nie wspomniał, że smoki leżały tak blisko siebie, że się dotykały, co było raczej niezwykle. Miał na ten temat własne przemyślenia, ale mając do czynienia z tak zamkniętą w sobie osobą jak Tai, starał się zachowywać możliwie nieobowiązująco. Obserwacja nieba była świetnym pretekstem — napięcie zmalało i oboje znajdowali w tym wytchnienie. Nie mógł jednak poświęcać na to wszystkich wieczorów. Chętnie pozwalał jej pracować i odtwarzać notatki, które zaginęły podczas powodzi. Sam także miał kilka różnych powodów, by odświeżyć swoje zainteresowania astronomią.

Większość mieszkańców weyrów opuściła już tymczasowe kwatery; jeźdźcy oczyścili polanki dla smoków i zbudowali sobie domy. Na wzgórzach, w sporej odległości od brzegu morza, zbudowano nowy Ośrodek Monako. Dziś, najwyżej jutro ostatni bezdomni jeźdźcy przeniosą się do nowych kwater. O ile F'lessan wiedział, Tai nie znalazła nic dla siebie, choć może coś wypatrzyła, gdy był w Bendenie. Nie chciał stwarzać wrażenia, że jej pilnuje. Ani

Zaranth.

Teraz obserwował, jak Tai zastanawia się z powagą, gdzie wykopać dołki pod sadzonki. Wziął naręczę drzewek i zaniósł je w to miejsce. Kątem oka zauważył jakiś ruch w wysokiej trawie, tuż obok Zaranth. Przyjrzał się dokładniej i mruknął, zdziwiony:

— Turlaje! — Położył rośliny obok Tai. — Myślałem, że większość zginęła w morzu.

— One potrafią chodzić po wodzie i często to robią — odpowiedziała z uśmiechem, wbijając łopatę w ziemię.

— Naprawdę? — F'lessan obserwował nieubłagany marsz chrząszcza. — Jak długo potrafią wytrzymać?

— Nie wiem. Ale widziałam, jak przeprawiają się przez strumienie — powiedziała i wkopała się głębiej.

— Hmm.

Podala mu łopatę i uklękła, by zdjąć opakowanie z korzeni rośliny, a potem zręcznie rozprostowała jej korzenie, zanim wsadziła do dołka.

— Duża samica — stwierdził F'lessan, obserwując turlaję. — Z czwórką małych. Jeśli nie będzie uważać, zgubi największego.

Tai rzuciła okiem na chrząszcza, a potem szybko i dokładnie ugniotła ziemię naokoło drzewka. Uśmiechała się przy tym nie wiedząc czemu.

— Idzie prosto na Zaranth. Czy mam... — uniósł szpadel i zrobił krok do przodu, by przenieść turlaje. W takich przypadkach trzeba było przesunąć paskudnego chrząszcza, zmieniając jego linię marszu, ale tak, żeby najstarsze młode nie odpadło, bo wtedy matka w obronie potomstwa wydzielala odrażający zapach.

— Nie, nie! Poczekaj.

— Ale naprawdę idą prosto na nią. Nie wiem, jak Zaranth, ale Golanth nienawidzi, gdy na niego włożą. Jeśli się obudzi, to je rozgniecie.

F'lessan nie wspomniał, że Golanth wykazuje coraz bardziej zaborcze zainteresowanie dobrym samopoczuciem zielonej smoczycy. Był to jeden z powodów bardziej delikatnej natury, dla których cieszył się, że Tai woli unikać pracy z innymi jeźdźcami. Nie chciał, by obcy i zorientowali, że Golantha i Zaranth łączy coraz głębszy związek.

— Popatrz — powiedziała, a jej oczy rzucały zielone iskierki. Wstała z klęczek.

F'lessan przykucnął i zmrużył oczy, by w ostrym słońcu zaobserwować, pod jakim kątem zbliża się turlaj. Tai z uśmiechem podniosła dłoń: — Zaczekaj!

— Zaraz wejdą jej do nosa. Czy ona nic nie czuje? Golanth zwykle je wyczuwa.

— Poczekaj! — Tai w dalszym ciągu powstrzymywała go dłonią i uśmiechała się

przekornie od ucha do ucha.

Zespół chrząszczy maszerował niezmiennym kursem, nie jąc o to, co stoi na drodze. Nos Zaranth zadrgał, ale smoczyca nawet nie mrugnęła okiem. Nagle turlaje ruszyły pod kątem prostym do poprzedniego kierunku marszu, kierując się prosto w krzaki.

— Proszę bardzo! — Tai uśmiechnęła się szeroko do smoczy.

— Odrzuciła je dmuchnięciem? — zdumiał się F'lessan.

— Nie. W żadnym razie. Pozwala im podejść na pewną odległość, a potem ruszają w innym kierunku, tak, żeby ją ominąć.

Wyjęła mu z rąk łopatę i zaczęła kopać następny dołek.

— Wiesz, mamy dwa szpadle — przypomniała.

— Tak, tak, naturalnie, moja miła zielona — odparł, z przesadną pilnością ruszając po drugie narzędzie. Robił wszystko, by Tai niej zauważyła, że śpiąca Zaranth, wdzięcznie wyciągnięta obok spizowego smoka, jarzy się lśniącą zielenią. Ciekawe, jak długo Golanth będzie jeszcze udawał, że śpi? — zastanawiał się Flessan.

— Tai, mam pytanie — powiedział, kopiąc pracowicie. — Obserwowałem tę scenę. Zaranth nawet nie drgnęła, tylko zmarszczyła nos. W jaki sposób sprawiła, że chrząszcz zmienił trasę?

Tai otarła kroplę potu staczającą się jej po nosie, podniosła przedostatnie drzewko, zdjęła opakowanie i wetknęła je do dołka.

— Nie mam pojęcia. Ale jeśli turlaje za bardzo się do niej zbliża, nagle zaczynają iść pod kątem prostym do poprzedniego kierunku. Wiesz przecież, że one nigdy nie zbaczą z wybranej drogi.

— Zdumiewające! — Wylał spocone czoło, rozwinął ostatnie drzewko, stanowczym gestem wetknął je do dołka i ugniótł ziemię wokół korzeni. — Już po wszystkim. Teraz trzeba je podlać, prawda?

Prawdopodobnie pierwszą rzeczą, o jaką Benini zatroszczył się po powodzi, było wykopanie nowej studni i doprowadzenie wody długim korytem do miejsca, skąd można było ją bez trudu czerpać przy podlewaniu ogrodu.

— Czy Benini nie wspomniał przypadkiem, że ustawili prysznic przy stajni? — spytał Flessan, gdy skończyli pracę.

— Owszem. Podobno cysterna jest tak duża, że starcza dla wszystkich — odpowiedziała i wyczekująco popatrywała na świeżo malowaną osłonę. — Tak twierdzi jego żona. Umyjemy się pod prysznicem dużo lepiej niż w tym wiadrze — dodała, ustawiając swoje wiadro po zacienionej stronie studni.

— Zostaw dla mnie trochę wody — poprosił, zapraszając ją gestem, by wykąpała się pierwsza. — Przez ten czas odniosę narzędzia. — Zebrał je i ruszając w stronę szopy, oznajmił: — Chciałbym dziś wieczór wysłać Golantha na polowanie w Honsiu. Jak tam apetyt Zaranth?

Cóż, pomyślał sobie, to też można nazwać „apetytem”. Tai spojrzała przez ramię na śpiącą smoczycę.

— Ani trochę nie zbladła.

F’lessan zamrugał, a potem z uroczym uśmiechem, który Mirrim określiłaby jako przewrotny, dodał:

— Możemy zapolować na koty. Zauważyłem, że za bardzo zbliżają się do stad bydła w Honsiu. Będzie z tego parę ładnych skór.

Od kiedy morza wylały, większość zielonych jeźdźców zaczęło dostarczać przesyłki za darmo. Ale za dwa siedmiodni zapowiadano Zgromadzenie w Telgarze z okazji spotkania Rady; wystarczyłoby czasu, żeby wygarbować skóry na sprzedaż. Tai miałyby pieniądze na książki.

— Świetnie! — zawołała za nim Tai. Zanim weszła pod prysznic, przez moment widział jej nagie plecy i długie opalone nogi.

Zebrał uprząże i torby, a potem powoli zawrócił, dając jej czas na porządną kąpiel i wysuszenie.

— Hej, zostaw mi trochę wody — zawołał, przekrzykując pluskanie. Zrzucił zabłocone sandały. Co tam, wyczyści się je w Honsiu. Tymczasem otrzepał buty o mur, żeby pozbyć się zaschniętego błota.

— Zobaczysz, będzie jeszcze ciepła — uspokoiła go. — Możesz mi podać ręcznik?

Otworzył jej torbę i wyciągnął ręcznik razem z czystymi rzeczami.

— No, gdzie on jest? — spytała.

Zobaczył gołe ramię dziewczyny wyciągnięte zza osłony i celnym rzutem trafił ręcznikiem prosto w dłoń. Do ściany przykręcono błyszczące nowe haczyki; powiesił ubranie Tai na jednym, a swoje na drugim. Jeźdźcy nie wstydzili się nagości jak gospodarze albo rzemieślnicy, więc rozebrał się, zadowolony, że pozbył się brudnych przepoconych spodenek. Tai wyszła z kabiny wycierając się ręcznikiem i rzuciła mu przelotne spojrzenie. Uprzejmie przepuścił dziewczynę, wszedł pod prysznic i rozejrzał się za pachnącym piaskiem.: Kiedy już się dobrze wyszorował, szczególnie stopy, opłukał się i energicznie wytarł ręcznikiem, a potem wsunął się do przebierał: po czyste ubranie. Tai, ubrana w skóry, ale w rozpiętej kurtce oparła się o ścianę, korzystając z odrobiny cienia i przyglądała się z zadowoleniem efektom

ich porannej pracy.

Wezwali smoki i wystartowali, zanim zdążyli się na nowo spocić.

Gdy wyszli z *między* nad Honsiu, F'lessan pierwszy zauważył, że na głównym tarasie nie ma ani jednego wygrzewającego się smoka.

Będziesz dziś polować, Golanth?

Będę dobrze polować, sprostował Golanth, wpatrując się w Zaranth szybującą tuż obok i szykującą się do lądowania na tarasie.

Zaskoczony dziwnym tonem w głosie smoka, F'lessan przez chwilę się zaniepokoił, że za mało troszczył się o potrzeby Golantha. Kiedy to ostatnio polowali?

Dzisiaj będę bardzo dobrze polować!

Spizowy smok lądował powoli... powoli, niemal ukradkiem, tak, by znaleźć się tuż za Zaranth. Tai zdejmowała z niej pasy bezpieczeństwa, których nigdy nie zostawiało się na smoku wybierającym się na polowanie. F'lessan wyraźnie widział, w jakim stanie jest Zaranth. Lśnienie jej skóry oznaczało coś więcej niż dobre samopoczucie. Dlaczego Tai nie widzi, że zielona rozpoczyna ruję? Próbował sobie przypomnieć, które smoki widział w Honsiu tego dnia rano. Większość odleciała grubo przed świtem, podobnie jak oni, by wziąć się do pracy przy odbudowie Weyru Monako. W tradycyjnym weyrze, gdzie smoki wylegują się na skalnych półkach, gotowość zielonej zauważono by wcześniej niż ona sama. Smoki gościły w Honsiu od czasów powodzi, ale i one, i ich jeźdźcy byli znużeni; ludzie szybko jedli i szli spać, a smoki znajdowały sobie miejsce na nasłonecznionych tarasach i budziły się dopiero następnego ranka na wezwanie jeźdźców. F'lessan z Tai poleciełi prosto nad Rajską Rzekę, a potem do Beniniego; smoki wylegiwały się w pełnym słońcu przez kilka godzin. Jak wiadomo, gorąco wyzwala w bestiach instynkty rozrodcze. F'lessan zaklął, niepewny, czy którykolwiek inny smok orientuje się, że Zaranth wkrótce wejdzie w ruję. Jeźdźcy, jak wiadomo, zawsze pamiętali, kiedy która zielona ma okres godowy. Większość z gości Honsiu pochodziła z Weyru Monako. Czy teraz nadlecą hurmem ze wszystkich stron, wiedząc, co się dzieje? A może Zaranth ma opóźnioną reakcję? A może przedwczesną? On sam przecież, jako dowódca skrzydła, powinien był zauważyć oznaki. Ale skoro nawet Tai ich nie widzi...

Ja widzę.

Nagle Golanth niezdarnie podskoczył na tarasie, aż jeźdźcem rzuciło do przodu, jakby smok chciał mu pomóc zsiąść. F'lessan miał szczęście, że utrzymał się na nogach, ale musiał zrobić kilka kroków do przodu, żeby się nie przewrócić. Czyżby Golanth wyczuł w pobliżu inne smocze samce — konkurentów w locie godowym? Widać było, jak okazuje gotowość, wyginając szyję i dumnie dotykając głową piersi. F'lessan popatrzył na niebo, szukając na

nim smoków, szybko zdjął z Golantha uprzęż, rzucił ją na najbliższą ławkę i zaczął zdejmować skóry. Golanth podszedł ostrożnie do Zaranth, a jego oczy zaczęły wirować z niecierpliwości.

Tai stała na tarasie z uprzężą na ramieniu, naiwnie wpatrując się w smoczycę.

— Aż miło popatrzeć, jak ładnie wygląda. Przez jakiś czas po powodzi straciła blask — zauważyła dziewczyna, gdy F'lessan do niej podszedł. — Jak daleko są te koty?

— Ładnie wygląda? — F'lessan aż się zatrzymał, zdumiony jej słowami. Potem dramatycznym gestem wskazał smoczycę: — Na Jajo, przypatrz się jej, Tai!

Zaranth, której oczy lśniły pomarańczową czerwiecią, kokieteryjnie skłoniła głowę w stronę Golantha, który dumnie i ostrożnie zbliżał ku niej. Jego oczy miały bardziej czerwoną barwę.

Tai straciła oddech; oczy jej się rozszerzyły, a na twarzy odmalował się taki strach i obrzydzenie, że F'lessan zaczął się zastanawiać, co też mogło się wydarzyć podczas wcześniejszych lotów godowych Zaranth.

— Ale jesteśmy tylko we dwójkę! — zawołała ze zgrozą. Uprzęż upadła na ziemię, gdy oszołomiona dziewczyna uniosła ręce obronnym gestem.

Jak mogła pomyśleć, że to będzie bezpieczniejsze? Naturalnie, w okolicach Honsiu byli i inni jeźdźcy. Aż do dzisiaj! Ale gdy zielona smoczyca jest w rui, liczba smoków nie oznacza bezpieczeństwa.

Tai zrobiła gest, jakby chciała odepchnąć F'lessana. No tak, oczywiście; kiedy Zaranth przedtem miała ruję, pojawiały się wszystkie: niebieskie, brązowe, a nawet spizowe w potrzebie, pomyślał wściekły F'lessan. Ich jeźdźcy otaczali tłumem zieloną jeźdźczynię, czekając, który ze smoków dopadnie Zaranth. Zamknął oczy. Wiedział, jak intensywne napięcie panuje w takich chwilach. Ale przecież to zielona jeźdźczyni wybiera!

— Tai, czy ty nigdy nie wybierałaś? — zapytał przerażony, bo wyczuł jej poprzednie przeżycia. Podszedł do dziewczyny... i zatrzymał się. Nie może wywierać nacisku. Tak robili ci inni. Ile powinien jej dać czasu? Jak ją uspokoić?

Dygotała gwałtownie z szeroko otwartymi oczami, w absolutnym przerażeniu. Jakby zapadła się w sobie, odrzucając to, co miało j się wkrótce zdarzyć. Obronnym gestem skrzyżowała ramiona. Do diabła! Czyżby poprzednio jeźdźcy gwałcili ją, gdy smoki się parzyły? Próbował sobie przypomnieć, które niebieskie i brązowe mieszkały w Monako.

Tai cofała się, rozpaczliwie szukając wzrokiem jakiejś kryjówki.

— Wszyscy są tacy sami — mamrotała. — Nie ma przed nimi ucieczki. Od ich... — przerwała, próbując oblizać wyschnięte usta, biała i z obrzydzenia; w zielonych oczach

malowała się rozpacz.

— Tai, czy ktoś cię zmuszał?

Spojrzała na niego z takim przerażeniem i poczuciem winy, że poczuł się, jakby ktoś go uderzył w brzuch.

— Nie wybierałaś? — spytał bardzo łagodnie; sam był wstrząśnięty. To powinno być najpiękniejsze przeżycie; podwójna ekstaza, kiedy smok i jeździec doznawali rozkoszy. Miał nadzieję, że tak czuły się jego partnerki. Jeźdźczynie królowych zawsze wiedziały. To one go wybierały. Sądząc po zachowaniu Tai, ona nigdy sama nie wybierała partnera. — To nie powinien być gwałt. To powinno być wspaniałe przeżycie dla ciebie i dla smoka. Najpiękniejszy związek!

— Związek? — wybuchła, a jej przerażone oczy powiedziały mu, że do tej pory doznawała czegoś zupełnie odmiennego.

Ile razy Zaranth mogła mieć ruję? Ile razy oni ją... z trudem szukał odpowiedniego słowa... zgwałcili? Wiedział, że dziewczęta z cechów i warowni często padały ofiarą gwałtów; między innymi dlatego tak wiele z nich szukało ucieczki w weyrach. Jeźdźcy, z wyjątkiem tego jednego jedyne momentu w cyklu godowym smoka, byli zwykle troskliwymi i gorącymi kochankami; wiadano o tym powszechnie. Nie chwając się, on sam zdobył całkiem niezłą reputację. Może dlatego Tai traktowała go z takim dystansem? A on myślał, że jest z natury nieufna. Teraz zdał sobie sprawę, że kierował nią raczej strach niż rezerwa. Po wszystkim będzie musiał powiedzieć Mirrim parę ostrych słów — oczywiście jeśli teraz, w tym niezwykle ważnym momencie, uda mu się dotrzeć do Tai i ukoić jej lęk.

Zaranth zagulgotała w niezwykle sposób, jak tylko zmysłowe zielone potrafią, rzucając zew Golanthowi, po czym wystartowała pionowo w niebo. W odróżnieniu od królowych, które wykrwawiały zabita zwierzyne, bo potrzebowały pożywienia i energii na dłuższy godowy lot, zielone nie potrzebowały długich przygotowań. Golanth nie zawahał się ani chwili. Zatrąbił na zgodę tak, że obojgu jeźdźcom zadzwoniło w uszach.

Tai krzyknęła z przerażenia, na próżno wyciągając ręce, jakby chciała powstrzymać zieloną smoczycę.

— Tai, posłuchaj mnie — powiedział łagodnie. — Powiem ci, jak to powinno wyglądać. — Powoli, ostrożnie wyciągnął rękę, ale dziewczyna wycofała się na koniec tarasu.

Wpatrywała się w tę rękę, jakby sam jego dotyk mógł ją zranić i odsuwała się coraz bardziej, mierząc go przerażonymi zielonymi oczami.

— Tai, moja przyjaciółko, gdybym mógł, powstrzymałbym Golantha — powiedział

szczerze, bo oddałby wszystko, żeby móc ją lepiej przygotować na tę chwilę. Do tej pory wykazywał gruboskórność, bo nie zauważył, że jej rezerwa jest w istocie podyktowana lękami seksualnymi. — Nie mogę tego zrobić teraz, gdy Zaranth tak bardzo go pragnie!

— Jak ona może go pragnąć? Ja ciebie nie chcę! Nie w ten sposób!

To wyznanie można by prawie uznać za komplement, pomyślał, szukając sposobu, jak tu wykorzystać ich wcześniejsze koleżeństwo i rozwiązać nagły problem. Już wkrótce jeźdźcy zatracą się w smoczej pasji dzięki więzi, której nie sposób zerwać. Musiał dotrzeć do Tai, do ludzkiej istoty, zanim jej umysł zjednoczy się ze smokiem w godowym locie.

— Sama widzisz, że go pragnie. Właśnie rzuciła mu zew — powiedział cicho i dobitnie. — Odpowiedział jej. Zaranth mu się podoba. .. z różnych powodów. Tak jak ty mi się podobasz, Tai.

Zbita z tropu, zamrugła nerwowo.

Jest niezłe, pomyślał F'lessan, sam już mocno zdenerwowany. Wiedział, że jeśli do niej nie dotrze, dziewczyna nigdy się nie dowie, że to nie powinien być gwałt. Wiedział też, że potrafi kontrolować swoje emocje, choć bardzo pragnął przeżycia szczytu rozkoszy razem z Golanthem.

— Przecież, chyba już mnie trochę poznałaś — zawołał rozpaczą. — Czy cię kiedykolwiek obraziłem? Czy cię uraziłem jako przyjaciel, Tai?

Ponownie zamrugła i potrząsnęła głową, coraz bardziej zakłopotana i coraz bardziej poddana władzy smoczej pasji.

— Pozwól więc, że teraz także będę twoim przyjacielem... i kochankiem. Wezwij mnie, Tai, tak jak twój smok wezwał mojego. Wezwij mnie, żebym się z tobą kochał, z tobą jako Tai, a nie z jeźdźczynią. Wybierz mnie! — Wyciągnął do niej ramiona. — Wybierz właśnie mnie, Tai!

— Nie mam wyboru — zaszlochała. Załamała się całkiem.

— Tai, kochanie — nalegał, ale tak, by nie czuła, że wymusza na niej decyzję. Była prawie na skraju tarasu. Zdumiony, zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo jest mu droga. Czuł nie tylko pragnienia Golantha; F'lessan, mężczyzna, także jej pragnął.

— Proszę, Tai, wybierz mnie... proszę!

Nie wiedział, czy to Tai, czy jeźdźczyni podeszła jak we śnie i poszukała u niego oparcia. Czy zostało w niej jeszcze tyle człowieczeństwa, że mogła dokonać wyboru?

— Proszę, Tai, chodź ze mną — powiedział, delikatnie biorąc ją za rękę. Obrócił ją i poprowadził ku najbliższym drzwiom. — Moja miła, musimy wejść do środka.

Próbował jej nie przestraszyć. Prowadził ją powoli po schodach — nie mogła widzieć,

że drugą rękę trzyma za jej plecami, na wypadek, gdyby jednak chciała się wyrwać. Oczy jej błyszczały; nie pamiętała już, że stała na skraju tarasu... nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby nagle poczuła się w pułapce i chciała uciekać.

Szepcąc słowa zachęty, wprowadził ją do weyru. Starannie zamknął drzwi, zadowolony, że naoliwił zawiasy i Tai nie słyszała, że się zatrzasnęły. Uścisk jej palców był ledwie wyczuwamy, patrzyła nieobecny wzrokiem; była już na poły w jeździeckim transie. Chciał ją przytulić, zanim całkiem ją ogarnie fala zmysłowości Zaranth. To przerażające, że za pierwszym razem nie znalazł się ktoś, kto by jej wyjaśnił, co się właściwie dzieje. Powinien potraktować chłód Tai jako ostrzeżenie. Przeklinał się za brak wrażliwości. Od jak dawna był jeźdźcem?

Tai nagle napięła mięśnie. Zajrzał jej w oczy; źrenice rozszerzyły się w ciemności przedsionka. Zwolnił uścisk dłoni, ale ona trzymała go konwulsyjnie. Położył drugą rękę na plecach dziewczyny i prowadził ją delikatnie, by jej nie przestraszyć.

— Jestem zaszczycony, że mnie wybrałaś, Tai — powiedział. Ona musi w to uwierzyć. — Wiesz, nie wierzyłem, że mnie zechcesz. Podziwiałem cię za to, z jakim spokojem wyprowadziłaś dzieci z Monako — dodał. Trzeba teraz bardzo ostrożnie dobierać słowa. — Spokojnie, Tai, spokojnie. Pozwól, że ci pomogę.

Jak najdelikatniej zaprowadził ją do najbliższej sypialni. Czuł, jak rośnie pożądanie Golantha. Musiał się trzymać w ryzach. Musiał pozostać człowiekiem, jak długo się da. A to stawało się coraz trudniejsze. Nie mógł tak po prostu pchnąć jej na łóżko — to by ją przeraziło. Za nic nie chciał zmienić się w smoka i potraktować ją szorstko i brutalnie.

Łagodnie otoczył Tai ramionami. — Wybrałaś mnie, F'lessana, a ja będę cię gorąco kochał! Pocałował ją w czoło i mocno otoczył ramionami. Gdyby nie była całkiem pochłonięta pasją Zaranth... Ale czy ją ktokolwiek kiedyś czule całował? Pochylił głowę i delikatnie dotknął ustami jej warg. Och, miejmy nadzieję, że została jeszcze na tyle kobietą, by to poczuć! Nie spodziewał się, że przy tym pocałunku, który miał być niewymownie delikatny, przesyje ich taka iskra pożądania. Tai gwałtownie zadygotała. Instynktownie objął ją mocniej.

— Wybrałaś mnie, Tai. Wybrałaś mnie — zawołał, ale nagle zeszywniała w jego objęciach. Kołysząc ją, całował twarz, policzki, usta, szyję. — Wybierz mnie, Tai — błagał, czując, że nadeszło smocze, a nie ludzkie pożądanie.

I nagle sam stał się Golanthem.

Dobrze wystartowała, a potem nagle skręciła w bok, umykając przed nim niezwykle silnymi uderzeniami skrzydeł. Była duża jak na zieloną i podobało mu się to. Wolał zielone od złotych. Złote zawsze zachowywały się, jakby to był wielki zaszczyt dla spizowego. Za to zielone potrafią okazać wdzięczność. A już na pewno są bardziej namiętne od złotych. Może dlatego, że częściej mają ruję. Umknęła na prawo, a on leniwie poszedł w jej ślady. Niech się trochę zmęczy. Można poczekać. Warto poczekać. Dla niej naprawdę warto. Był taki ostrożny, nie zachowywał się wobec niej władczo, ale wyraźnie dał innym do zrozumienia, że wybiera tę zieloną dla siebie. Oszczędzał siły, kiedy tylko mógł, wiedząc, że inne smoki są bardzo zmęczone. Ale on jest przecież Golanthem! Z Bendenu! Synem Mnemetha, z jaja Ramoth! Godzien szlachetnych rodziców!

Złożyła skrzydła na plecach i zanurkowała łukiem. Pomknął za nią. Czy zdawała sobie sprawę, jak blisko jest do ziemi? O tak, dobrze o tym wiedziała. Wystrzeliła dumnie w niebo, sięgając głową niskich chmur gromadzących się nad wzgórzami.

Aha, chce się zabawić? Rozejrzał się błyskawicznie sprawdzając, czy do pościgu nie dołączyli konkurenci i śmignął jej śladem. W chmurach słońce odbijało się od lśniącej skóry Zaranth, więc szedł jej tropem, ciekaw, czy smoczyca wie, dlaczego tak łatwo jest ją odnaleźć.

Zakręciła na czubku skrzydła, a on, znając te okolice lepiej niż ona, zrobił to samo i wystrzelił w górę ponad wąską przełęczą. Jeśli myślała, że da się nabrać na tę sprytną sztuczkę, to go nie doceniała. Cóż, niedługo doceni.

Wzniosła się ponad mgliste czoło chmur, w rejony rzadszego powietrza, a potem runęła w dół. Bez trudu naśladował ten manewr. Prawie ją wyprzedził, ale zwolnił w sam czas, więc znów się jej nie udało. Wymykała się, wywijając i znów ruszała do góry, tym wdzięcznym ruchem, jakiego nigdy jeszcze nie widział u zielonej. Och, cóż za niezwykła zdobycz! Ależ ją kocha! A ona go wybrała!

Znów znaleźli się w chmurach; szedł jej tropem, kierując się czerwonymi rozbłyskami oczu. Potem, gdy znów dopuściła go bardzo blisko, tylko po to, by się wymknąć, potężnie uderzył skrzydłami, sięgnął po nią, pochwycił i związał. Spleceni razem bijącymi skrzydłami lecieli zawieszeni w powietrzu, a ponieważ był spizowym smokiem, mądrzejszym niż myślała, pokierował ich lotem tak, by szybowali równolegle do ziemi i mogli się kochać długo, bardzo długo. Tak też się stało; rozważnie pokierował ich nad morze, gdzie prądy termiczne pieściły ich lśniące skóry.

F'lessan wrócił do swojego ciała. Tai należała do niego. Oboje ciężko dyszeli,

wyczerpani cudownie przedłużającym się lotem. Odczuwał jednocześnie triumf i znużenie. Od dawna nie czuł się tak zaspokojony. Tai leżała pod nim bezwładna, z zamkniętymi oczami i przechyloną na bok głową, spocone kędziory przesłaniały jej twarz. Nie miał siły, ani — szczerze mówiąc — ochoty, by ją uwolnić, opuścić jej ciało. Przesunął się, by jej było wygodnie. Przeżył wiele przyjemności z innymi kobietami, ale tym razem było zupełnie inaczej. Nie wiedział, co ma powiedzieć, choć normalnie z dumą twierdził, że umie znaleźć właściwe słowa w każdej sytuacji.

— Och, Tai, naprawdę mnie wybrałaś — mruknął, opierając się na łokciach. Spojrzał na nią nieomal z czcią. — Tak było!

Te słowa zaskoczyły go prawie tak samo jak dziewczynę. Lekko odwróciła głowę; oczy miała szeroko otwarte, z powrotem ludzkie. Usta obrzmiały jej od pocałunków, a w oczach lśniły łzy.

— Proszę, powiedz, że tak było. — Potrzebował zwykłej, ludzkiej pewności, jednocześnie wiedząc, że ich związek był niezwykle głęboki, nawet według smoczej miary. Coś takiego zdarzało się tylko przy entuzjastycznej współpracy obojga partnerów. Gdyby to był gwałt, F'lessan nie czułby się tak, jak w tej chwili.

— Nie wiedziałam, że to może być... — coś takiego! — przyznała cicho dziewczyna i zawstydzona odwróciła głowę.

— Moja najdroższa zielona — powiedział czule, gładząc japo twarzy kciukiem nie bez poczucia wyższości, bo sam dobrze wiedział jakie „to” powinno być. — To niewątpliwie niezwykle intensywne doznanie emocjonalne i seksualne. Wiemy dokładnie, co czują smoki, a one idą za naszymi odczuciami. Miłość między ludźmi bywa oszałamiająca, ale wzmocniona więzią między smokami... — rozłożył ręce, nie umiejąc znaleźć właściwego słowa. Uśmiechnął się do niej czule. — Cóż — zawahał się — powinnaś to przeżyć dużo wcześniej, Tai. — Instynktownie zacisnął dłonie w pięści i wbił je w skotłowane futra, którymi przykryto łóżko. — Jestem wstrząśnięty i przerażony, że padłaś ofiarą takiego traktowania. Nie tak powinni się zachowywać smoczy jeźdźcy, nawet jeśli idą za emocjami smoka. Ja...

— Cśśś — powiedziała i położyła mu dłoń na policzku. Na jej twarzy malował się spokój, a na spuchniętych od pocałunków ustach igrał cień uśmiechu.

Żałował, że nie widzi wyrazu jej oczu, ale z przedsionka dochodziło bardzo niewiele światła.

— Cieszę się, że mogłam cię wybrać — powiedziała.

— Ja... — zaprotestował, zdumiony, że mimo całego jego wysiłku wyczuła podstęp.

— Dobrze cię znam, F'lessanie — powiedziała, dotykając jego twarzy obiema rękami.
— Jestem ci bardzo wdzięczna.

— Wsadź tę wdzięczność wężowi w zadek — zdenerwował się. Objął ją czule; zapragnął posiąść ją jeszcze raz, tym razem jako człowiek. — Nie chodzi mi o twoją zakichaną wdzięczność, moja droga Tai! — Zwolnił uścisk, gdy wyczuł jej opór i ślad paniki, jaką zaobserwował na tarasie. Zajrzał jej w oczy, żałując, że nie widzi ich wyrazu i barwy. — Spodobałaś mi się od razu, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, w Archiwum. Wiedziałem, że mnie rozpoznałaś i że Mirrim prawdopodobnie przekazała ci swoje uprzedzenia wobec mnie. Pewnie powiedziała, że jestem... lekkomyślny. A to nieprawda. Jestem dobrym dowódcą skrzydła. Jeźdźcy mi ufają. Ich smoki też. Chcę, żebyś mnie wybrała z własnej woli, Tai. Chciałbym też... wybrać cię jako kobietę, chciałbym cię poznać lepiej, nie tylko dlatego, że twoja smoczyca miała ruję i pod ręką był tylko Golanth.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, a potem z wahaniem otoczyła jego nagie plecy ramieniem.

— Jak ci się to udało? — zapytała beznamiętnym, chłodnym głosem.

— Jak co...? — przerwał, zaskoczony. Chodziło jej o to, że Zaranth wezwała Golantha! — Uwierz mi, czegoś takiego nawet ja bym nie dokonał! — wybuchnął śmiechem.
— To twój smok chciał mojego!

A potem zastanowił się. Smoki bywają bardzo chytre.

— Czy żaden ze smoków z Monako nie podobał się Zaranth? — spytał szybko. — Czy Mirrim nie powiedziała ci, że to ty wybierasz jeźdźca i masz być niedaleko niego?

Uniknęła oczami w bok i nerwowo przełknęła ślinę.

— Nie złość się na Mirrim, Flessanie. Coś takiego mówiła, ale ja... ja żadnego z nich nie chciałam.

— Wiesz, to nie musiał być jeździec z Monako.

— Znów się na mnie gniewasz — zeszywniała w jego objęciach.

— Na ciebie? Znów? A kiedy ja się na ciebie gniewałem, Tai?

— Kiedy wróciłeś z Fortu. Zamrugął zdumiony.

— Kiedy zobaczyłeś, że pływam, po tym... no, po tym, jak...

— Kiedy zostałaś poturbowana — podkreślił to słowo — bo chciałaś powstrzymać tych przeklętych wandalii! — Rozzłościł się na samą myśl o tamtym napadzie.

— Znowu się na mnie gniewasz — powtórzyła.

— Nie, ja... — zamknął usta, zanim powiedział coś więcej i spostrzegł, że Tai nieoczekiwanie się uśmiechnęła; ciało jej się rozluźniło, a ręce swobodnie objęły jego plecy.

Wziął głęboki oddech. — Mię gniewam się na ciebie, kochanie. Gniewam się na tych, co cię krzywdzą.

— Muszę się przyzwyczaić do tej różnicy.

— A postarasz się, moja miła zielona? — spytał bardzo cicho.

— O co?

— O to, żeby się przyzwyczaić do tej różnicy? I do mnie? — patrzył jej w twarz i czekał na odpowiedź, delikatnie obwodząc kciukami jej twarz. — Bardzo, bardzo chciałbym poznać cię lepiej. — Pocałował ją lekko w kącik ust i poczuł, jak drgnęły jej wargi. Potem delikatnie zsunął się z niej i przytulił dziewczynę do siebie, układając jej głowę na swojej piersi.

— One układają się tak samo, wiesz? — szepnęła. Odgarnął jej włosy do tyłu i przywarł do niej policzkiem.

— Hmm... Wiem. Na skalnej półce. I prawie zasypiają.

— A my nie?

— My też. — Spodobał mu się dźwięk tego słowa, a szczególnie myśl o spaniu. O zaśnieńcu z nią w ramionach.

Mówiłem ci, że dobrze dziś zapoluję. Wydawało mu się, że usłyszał głos smoka. Czy Golanth naprawdę zaplanował te subtelne zaloty? Tak jak i jego jeździec?

CECH HARFIARZY, 1.28.31

— Chciałeś się ze mną widzieć? — Sebell drgnął zaskoczony. Cabas zamknął drzwi, które otworzył tak cicho, że Mistrz Harfiarzy nic nie usłyszał. Uśmiechnął się.

— Tracisz stare dobre nawyki, co, Sebell?

— Na szczęście mam ciebie — odparł Sebell i pchnął po stole kartkę, kiwnięciem głowy polecając Cabasowi, by ją przeczytał. — Od harfiarza z Cromu.

— Od Serubila? Rozsądny człowiek. Zna niezliczone zwrotki Na dnie szybów... koszmarna piosenka, słowo daję. — Cabas otrząsnął się z obrzydzeniem i wziął kartkę. Przeczytał i oczy mu pojaśniały. — Rozumiem, ciała nie znaleziono, przerwano poszukiwania, więc zdaniem Serubila ten człowiek uciekł. Prawdopodobnie popłynął rzeką aż na równiny.

— Czytaj dalej. Są też złe wiadomości.

— Aha, więzień nie miał palca. Ale nie miał też i blizny. — Cab westchnął. — No cóż, mógł się jej dorobić podczas jednego z wcześniejszych napadów. Albo nawet podczas ucieczki, prawda? — Cabas przysiadł na skraju biurka, o mało nie zrzucając stosu papierów i czytał dalej.

— Przecież wysłaliśmy do wszystkich harfiarzy kopie moich szkiców.

— Tak mi się zdawało.

— No, no! — Cabas, nieco senny, nagle oprzytomniał, czytając dalszą część listu. — Więzień... czyżby on nie miał imienia?... został skazany na dożywotnią pracę w kopaniach w Cromie razem z grupą sobie podobnych. Za atak na Assigi.

— Kiedy czekałem, aż do mnie przyjdiesz — Sebell kpił sobie w żywe oczy z Cabasa, choć Mistrz Mekelroy z pewnością bardzo się spieszył do Mistrza Harfiarzy, zanim zatrzymał się przed drzwiami i ukradkiem wśliznął się do gabinetu. Cabas często przychodził w taki właśnie sposób: ukradkiem, po nocy albo w jakiejś innej nietypowej porze — zdążyłem przejrzeć sprawozdanie Mistrza Robintona na temat tamtego wypadku.

Sebell pogładził tom raportów oprawny w błękitną skórę i otworzył go delikatnie w miejscu, które założył skrawkiem papieru, i zaczął czytać:

— „Assigi odparł atak z pomocą czegoś, co określił jako «zapora dźwiękowa». Był to tak przenikliwy i donośny hałas, że pozbawił napastników przytomności. Assigi powiedział, że ten dźwięk mógł wywołać trwałe uszkodzenia słuchu. Kiedy się zdziwiliśmy, że potrafi bronić się przed atakiem, odparł, cytując: «Jednostki tego typu zawierają cenne informacje

polityczne i przemysłowe. Dostęp osób niepowołanych oraz działania destrukcyjne muszą być zatem czynnie odpierane. Jednak tego rodzaju funkcje zawsze były drugorzędnym elementem urzędzeń typu Assigi»,,.

Sebell podniósł wzrok znad otwartej książki i popatrzył na Cabasa.

— No cóż — ten podrapał się po potylicy — trwałe uszkodzenia słuchu... Według Serubila — Cabas pomachał trzymaną w dłoni kartką — więzień był głuchy. Może odzyskał słuch? Udawanie głuchego byłoby mu na rękę, jeśli planował ucieczkę.

— Tak, w następnym akapicie Serubil potwierdza, że to nie była pierwsza próba ucieczki. Zważ jednak — Sebell podniósł palec do góry — że ani nasz bezpalcy, ani żaden inny więzień nie podał swojego imienia.

— Skąd mogli wiedzieć, o co ich pytają, jeśli byli głusi?

Sebell skrzywił się.

— Jest wiele prostych sposobów na uzyskanie takiej informacji. Ja — postukał się kciukiem w pierś — Sebell. A ty? — wytrzeszczył oczy, zrobił pytającą minę i wskazał na Cabasa.

— Gdyby to mnie się nie udało zniszczyć Assigi, przede wszystkim chciałbym zataić swoje imię.

— Racja, ale... — Sebell zajrzał w notatkę, zapisaną drobnym, lecz niezwykle eleganckim pismem i wskazał palcem szukany fragment — „...choć nie sposób było zidentyfikować tych mężczyzn, bo nie mieli ze sobą nic, co mogłoby w tym pomóc, jeden z nich prawdopodobnie pracował przy dmuchaniu szkła, sądząc po odciskach od rurki na dłoniach i po oparzeniach na ramionach”. — Sebell spojrzał wyczekująco na Cabasa.

— A Mistrz Norist był jednym z najzjadlejszych przeciwników Assigi i nowych rozwiązań technicznych. Skazano go na wygnanie za udział w porwaniu Mistrza Robintona. — Twarze obu mężczyzn spochmurniały na wspomnienie Mistrza, którego szanowali, podziwiali i kochali.

— Trzej synowie Mistrza Norista byli czeladnikami Cechu Szklarskiego. Ojciec trzymał ich żelazną ręką.

Cabas zastanowił się nad tym.

— Pamiętaj, że po trzynastu Obrotach odciski mogą zejść z palców, ale blizny po oparzeniach gorącym szkłem nie znikają — przekrzywił głowę i zerknął na swojego Mistrza. — Zabiorę portret naszego przyjaciela do Serubila i popytam trochę strażników o te blizny po oparzeniach. Ktoś musiał je zauważyć przez trzynaście Obrotów.

— Postaraj się także sprawdzić na swój niezwykle subtelny sposób, kiedy zaczęli

poszukiwać uciekiniera. Podobno Cech Kowali dał im dwadzieścia marek za ten meteoryt.

Cabas gwizdnął z podziwem.

— Nic dziwnego, że najnowsze meteory wywołały tyle zamieszania.

Sebell niespokojnie poprawił się na krześle i wyjął usta z niezadowoleniem.

— Przyniosły zbyt wiele kłopotów w porównaniu z ich wartością dla Kowali.

— Naprawdę?

Sebell spojrział na niego surowo.

— Ten, który spadł na równiny Keroonu spowodował, że górale zaczęli się bać upadku następnej ognistej kuli. Teraz się dopytują, czy jeźdźcy zajmą się nią i wypalą na niebie, zanim spadnie na ich ziemię i zniszczy całą paszę.

— Myślałem, że ten nad Rajską Rzeką przeleciał tylko przez dach.

— Nie było żadnych szkód, a Jayge zarobił na nim piętnaście marek. Powiedział też — mina Sebella zdradzała niesmak — że delfiny widziały, jak do morza wpada kilka „syczących i gorących” obiektów i są gotowe je wyłowić.

Cabas obojętnie wzruszył ramionami.

— Z tego co pamiętam, meteoryty częściej spadają do wody niż na ląd, dlatego że tu, na Pernie, jest dużo więcej mórz niż stałych lądów.

— Nie o to chodzi. Nawet ci, którzy powinni zachować rozsądek, zaczynają żądać, żeby Weyry wysłały więcej lotnych patroli do walki z obiektami spadającymi z nieba.

Cabas wybuchnął śmiechem.

— Smoki są szybkie, ale nie dogonią meteorytu. A meteoryty w atmosferze rozgrzewają się do tego stopnia, że smoczy płomień, choć także gorący, nic im nie zrobi, nawet gdyby smoki zdołały je dopędzić.

— Wiem, wiem — westchnął ciężko Sebell.

— No dobrze — Cabas ponownie potrząsnął kartką od Serubila. — Może byśmy zrobili coś pożytecznego, na przykład wybrali się do Cromu?

— Poprosiłem N'tona, żeby cię tam zawiózł. Akurat zdążysz zabrać portret tego fanatyka i przebrać się w skóry do latania.

— Świetnie. Bista uwielbia podróże na smoku. — Cabas starannie złożył list Serubila i usunął go do kieszeni spodni. — Postaram się pospieszyć.

— Liczę na to.

Wrócił późnym wieczorem. Tym razem dyskretnie zastukał do drzwi gabinetu Sebella i wszedł, niosąc tacę z dzbanem kłahu, kubkami i talerzykiem ciasteczek.

— Nie przychodzę z pustymi rękami — oświadczył i postawił tacę na biurku. Jednym spojrzeniem ocenił wysokość stosu papierów: Sebell niewiele zdążył zrobić przez ten czas.

— Nie ruszyłeś dzisiaj tych skarg?

— Poprzekładałem je z kupki na kupkę. Czego się dowiedziałeś? Cabas nalał kłahu dla nich obu, a potem jak zwykle przycupnął na rogu biurka.

— Więzień nie miał blizny na twarzy przed ucieczką. Stracił czubek wskazującego palca lewej ręki w wypadku górniczym. Przedtem próbował już ucieczki, ale schwytano go bez trudu. Strażnicy byli przekonani, że nie usłyszał pościgu. Między innymi dlatego nie spieszili się tym razem.

— Kiedy podejmował te wcześniejsze próby?

Cabas zajrzał do notatek, spisanych na marginesie listu Serubila.

— Przez kilka pierwszych Obrotów po uwięzieniu... — wytrzeszczył oczy i skierował palec wskazujący na Mistrza Harfiarzy w chwili, gdy Sebell doszedł do tego samego wniosku.

— To znaczy, że odzyskał słuch i dopiero potem uciekł! — powiedzieli jednocześnie i uśmiechnęli się do siebie.

— Poczekaj, aż nadejdzie właściwy moment — dodał Sebell.

— A co mogło być lepsze niż upadek meteorytu, który wybił w murze drogę ucieczki? — Cabas skoczył na równe nogi. — Jasne! W łaźni więziennej są przegrody między przysnicami, więc nikt nie pamiętał, czy więzień miał blizny, czy nie.

— Nie podali imienia?

— Nazywali go Szklarz, z powodu tych odcisków.

— Mógł być czeladnikiem Norista? — spytał Sebell.

— Całkiem prawdopodobne.

— Miał więc wiele powodów, by zniechęcić Assigi. Norist uważał, że Assigi to Ohyda. Mamy wystarczająco dużo przesłanek, by uznać, że zbiegły więzień jest nowym przywódcą ruchu.

— Mój człowiek, Piąty — wtrącił Cabas. Westchnął i znów przysiadł na biurku. — Teraz trzeba go tylko znaleźć i sprawdzić, czy dostłysz nasze pytania i czy zechce na nie odpowiedzieć.

— Wolałbym, żebyśmy się skoncentrowali na najbliższych planach jego i reszty fanatyków — odparł ponuro Sebell.

Cabas przyglądał mu się przez dłuższy czas, po czym ze sztucznym entuzjazmem zapytał.

— Słyszałeś, że M'rand z Pilgrą przenoszą się do Cathay?

— Tak — odpowiedział Sebell — i cieszę się z tego, Ze względu na nich samych, bo dość już się nawalczyli z Nićmi, a także dlatego, że nowi Władcy Weyru są młodzi, więc będą stanowić równowagę dla starego G'deneda, który jest takim konserwatystą, że dziw bierze, skąd wzięł odwagę, by trzydzieści parę lat temu przenieść się w przyszłość.

WAROWNIA HONSIU, 2.1.31

F'lessan i Tai w dalszym ciągu latali przeciw Niciom, każde ze swoim Weyrem, ale F'lessan pojawiał się w Bendenie najrzadziej jak mógł. Najchętniej siedział w Honsiu i doprowadzał do porządku starożytną siedzibę. Choć wiedział, że większość jeźdźców z Monako ma nowe domy, Tai wciąż wracała do Honsiu i do niego. Udało mu się też namówić ją na zwierzenia. Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w Keroonie, o nauce u mistrza Sanwela, o pracy na Ładowisku i terminowaniu u Mistrzów Wansora i Erragona. W jasne wieczory zmieniali się przy lornecie, wypatrując kolejnych gwiazd na południowym niebie.

— Wiesz, często się zastanawiałem, po co w Grotach Katarzyny jest tyle teleskopów — powiedział pewnej nocy F'lessan, gdy leżeli obok siebie na wygodnym, szerokim materacu, rozłożonym wprost na tarasie.

— Nie wiedziałam, że o tym słyszałeś — wykrzyknęła, opuściła lornetę i popatrzyła na niego.

Zaśmiał się.

— Zapominasz, że byłem na Ładowisku prawie od samego początku i korzystałem z każdej nadarzającej się możliwości, by pomyszkować po tych grotach. Prowadziłem nawet niesamowite wyprawy badawcze — sprawdzałem zawartość kartonów, to znaczy zanim nauczyłem się czytać kody kreskowe i poznałem słowa używane na starożytnych fakturach. Skoro mowa o niesamowitych rzeczach... w jaki sposób Zaranth przesuwa turlaje? I jak właściwie ocaliła te twoje skóry? Te, o które Mirrim tak się wściekała w dzień po upadku ognistej kuli?

F'lessan zaraz zbeształ się w duchu za to, że przestraszył Tai tymi pytaniami. Dodał pospiesznie.

— Nie wątpię przecież, że to Zaranth je ocaliła, ale jak to zrobiła? Cały czas tam byłem, pomagałem przy ewakuacji weyru, a ty byłaś za bardzo zajęta, ładując na Zaranth te wszystkie przedmioty. .. Nie miałybyś nawet czasu na manewry w czasie.

Oparł się na łokciu i pieśczośliwie pogładził ją palcem po twarzy, która po jego słowach stała się nieruchoma i bez wyrazu.

— Zaranth mi powiedziała, że je ma — dodał. — Znam ją. Znam ciebie.

Napięte ciało Tai odprężyło się; dziewczyna przycisnęła twarz do jego dłoni.

— Wiem tylko, że je w jakiś sposób zdobyła. W którymś momencie między odlotem z Monako przed pierwszym uderzeniem tsunami a powrotem do Ładowiska. — Tai przetoczyła

głową po materacu i wykonała ręką nieokreślony gest. — Byłam wtedy strasznie zmęczona. Nie wiem, ile razy T'lion kazał nam manewrować w czasie, w przód i w tył... — mówiła coraz ciszej.

Pocałował ją w kącik ust i skubnął zębami wargi.

— Pytałaś ją o to kiedyś? To znaczy później, kiedy opadły emocje i można było zacząć normalnie myśleć?

—Nie.

— A możemy spytać ją teraz?

— Myślę, że ona sama nie wie. Ale dobrze, zapytam. — Oczy Tai przybrały nieobecny wyraz, jak zwykle u jeźdźców rozmawiających ze smokiem.— Mówi, że pamiętała, jak bardzo mi na nich zależy i po prostu przyniosła mi je, zanim odplynęły.

F'lessan zastanowił się nad tym, ale niewiele potrafił wywnioskować.

— A czy ona wie, w jaki sposób przesuwa turlaje? Tam u Beniniego?

— Ach, to? — napięcie w głosie Tai znacznie zmalowało. — Ona tak zawsze robi. Po prostu kieruje je w inną stronę. — Jak? Tym razem Tai zamknęła oczy podczas rozmowy z Zaranth.

— Mówi, że to samo robiła z węzami tunelowymi, kiedy za bardzo zbliżały się do mojego weyru.

— A mogłaby coś takiego zrobić tutaj? Zaraz? Teraz?

— Tu nie ma tylu turlajów, a węże pochowały się do dziur. F'lessan usiadł i rozejrzał się po tarasie.

— Poproś, żeby przesunęła te ławkę — wskazał na mebel stojący przy ścianie — w to miejsce. — poklepał w ziemię przed sobą.

— Ławka ci nie zagraża, nie wejdzie ci do nosa ani do łóżka.

— Aha, więc ona potrafi przesuwać tylko szkodliwe rzeczy? — spytał F'lessan, lekko rozczarowany brakiem zrozumienia ze strony Zaranth. Zaraz potem przypomniał sobie jednak, z jaką cierpliwością Assigi uczył ognistą jaszczurkę Farli przeskoku na mostek Yoko, wysoko nad Lądowiskiem.

— Nie tylko, także takie, które ją drażnią. Ławka jej nie drażni.

F'lessan błyskawicznie chwycił miskę z tacy z przekąskami, które pojadali podczas obserwacji gwiazd i cisnął nią w Zaranth, wylegującą się obok Golantha na górnym tarasie.

— Co... — zdążyła tylko powiedzieć Tai, zanim miska stanęła z powrotem na tacy.

Dziewczyna zacisnęła pięści i wściekłym wzrokiem zmierzyła swojego ukochanego. Nigdy nie widział, by okazywała taki gniew.

— Nie wolno ci niczym rzucać w mojego smoka!

— Przyznaję, rozdrażniłem ją, ale popatrz, jak zareagowała! Tai uspokoiła się dopiero po dłuższym czasie i po wielu czułościach — co okazało się niezwykle miłe, bo jej ciało odpowiadało na pieszczoty nawet wtedy, gdy tego nie chciała. Kiedy zrozumiała, co F'lessan chciał udowodnić, sama zaproponowała nowy eksperyment: narzutę z ich łóżka, bo na wietrze zrobiło się zimno.

— A może Golanth podałyby nam jakieś wino? — spytała.

Golanth popatrzył na nich z góry, a jego oczy wirowały niepokojem. *Nie wiem, w jaki sposób Zaranth przynosi rzeczy, które chcecie.*

Może powinien potrenować na turlajach? — Tai uśmiechnęła się przekornie do F'lessana. — Jeśli spróbuje naśladować Zaranth, chrząszcze nie będą tak cuchnąć.

U nas w Bendenie nie ma turlajów, powiedział Golanth do swojego jeźdźca, ale widać było, że sam jest ciekaw, w jaki sposób Zaranth przenosi przedmioty. Smoki cały czas podróżowały i przenosiły jeźdźców na wielkie odległości; ostatnio Golanth podróżował także w czasie, ale przenoszenie rzeczy było zupełnie inną sprawą — nigdy tego nie próbował i nie umiał.

— No to ich poszukamy tutaj — powiedział F'lessan głośno i powtórzył to w myślach swojemu zakłopotanemu przyjacielowi. Jakieś niejasne skojarzenie z czasów, kiedy Farli i Ruth polecili na Yoko nie dawało mu spokoju. — Będziesz miała jutro czas, żeby polecieć razem z nami? — spytał Tai.

— Może po południu, ale obiecałam pomóc Erragonowi przy wyliczaniu orbit. |

— No cóż, jeśli natrafisz na jakieś turlaje Nad Zatoczką, to nas zawołaj.

— A gdybyś tak pomógł mi z tymi orbitami?

— Świetny pomysł. Wiesz przecież, że powinienem zdobyć więcej doświadczenia. A jeśli mowa o doświadczeniu... — delikatnie zdjął z jej szyi rzemyk od lornety i zajął się pogłębianiem jej miłostnego doświadczenia. Właśnie po to wyniósł materac na taras i zaproponował, żeby na leżąc zrobili sobie zawody, kto zidentyfikuje więcej gwiazd.

Następnego popołudnia spotkali się po zachodniej stronie Warowni nad Zatoczką, gdzie Tai wypatrzyła kilka turlajów. Wylądowali właśnie w tym miejscu. Golanth wciąż miał wątpliwości, czy warto układać się dokładnie na trasie dużego turlaję z dwójką małych, ale Zaranth przysiadła obok w krzakach i zachęcała go do wysiłku. F'lessan i Tai stanęli w cieniu ogromnego pierzastego drzewa jako widownia.

Chrząszcze parły do przodu, choć najwyraźniej w jakiś sposób wyczuły, że na ich drodze wyrosła przeszkoda.

— Zaranth mówi Golanthowi, że po prostu trzeba go obrócić. F'lessan wziął Tai za rękę, uśmiechając się szeroko i przekornie.

— Moja miła zielona, przecież słyszę każde jej słowo.

— Naprawdę? — Tai popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Wiedziała, że Ramoth i Mnementh, a nawet Monarth i Path rozmawiają z partnerami swoich jeźdźców.

Nagle ich uwagę pochłonął niepowtarzalny smród turlaja.

Co ty zrobileś? — zawołali oboje i zatykając nosy popędzili do smoków, by wskoczyć na ich grzbieity i odlecieć, zanim zrobi im się całkiem niedobrze.

Obróciłem go, odparł Golanth i wyskoczył w powietrze w nadziei, że *między* pochłonie odrażającą woń.

W papkę, skomentowała Zaranth z niesmakiem.

Wyszli w powietrze nad Warownią nad Zatoczką, tak wysoko, że mogli obejrzeć całą panoramę brzegu, z obserwatorium stojącym na wzgórzu.

Nie czuję siebie, poskarżył się Golanth dziwnie pokornym tonem.

Mam nadzieję, że dziś ani jutro nikt nie wybierze się tam na spacer, powiedział F'lessan do Zaranth.

Tai mówi, że widzi następną polankę i że Golanth ma spróbować jeszcze raz. Myślę, że wiem, czego nie zrobił, odpowiedziała Zaranth.

Tai, lecąca po prawej przy samym skrzydle Golantha, uśmiechnęła się do jeźdźca i gestem wskazała ziemię. F'lessan energicznie pokiwał głową. Zaranth i Tai skrzyły ostro na lewo i pozwoliły się nieść wiatrowi. Oba smoki zatoczyły koło nad polanką w młodym, gęstym tropikalnym lesie, który zaczął odrastać po powodzi.

Golanth znów ulokował się na kursie turlaja, tym razem z piątką potomstwa na grzbiecie; najstarsze było tak duże, że mogłoby już zacząć samodzielne życie.

Teraz masz je obrócić tylko tyle, żeby poszły w inną stronę, tłumaczyła spokojnie Zaranth. Nie wbijaj ich przy tym w piasek. Tylko obróć je na wschód i lekko... powiedziałam LEKKO... Gdzieżeś ty je wysłał?

Na wschód, odparł nieśmiało smok.

Zielona smoczyca i jeźdźcy spojrzeli w tym kierunku. W ścianie zieleni widać było wyraźną ścieżynkę szerokości chrzaszca, wiodącą, jak okiem sięgnąć, prosto w wody zatoki.

— Mówiłaś zdaje się, że potrafiać chodzić po wodzie? — spytał F'lessan, równie speszony jak jego smok.

— Jeśli do tej pory nie umiały, to dziś mają szansę się nauczyć — odparła Tai. — Te chrzaszczce przetrwają wszystko.

On już rozumie, co ma zrobić, powiedziała Zaranth. Tylko że...okazał zbyt wielki zapał.

Moim zdaniem — oznajmił F'lessan, traktując to jako okazję, by otoczyć Tai ramieniem — praktyka pokaże, ile do tego potrzeba energii... czy też entuzjazmu.

WAROWNIA FORT, 2.13.31

Kiedy Terma wróciła z trasy i oddała Torlowi paczkę listów z Południowego Bollu, Mistrz nachylił się nad stołem pod pretekstem zanotowania czasu powrotu w swoim grafiku.

— Muszę się zobaczyć z twoim przyjacielem — przerwał, żeby zrozumiała, o kogo mu chodzi. — Dziś wieczór. Też masz tam być. Na ławce. O dziesiątej trzydzieści.

Terma przyzwyczała się już, że Torlo umawia się przez nią na spotkania z Haligonem.

— Terma, jutro biegiesz w góry — powiedział tak, żeby wszyscy słyszeli.

Skrzywiła się z rozbawieniem.

— No to idę do łaźni, pomoczyć się w wodzie.

— Cóż, skoro musisz — odpowiedział. Poszła najpierw do sypialni, którą dzieliła z kilkoma koleżankami. Okna wychodziły na główną ulicę. Przesunęła zasłony tak, by znalazły się dokładnie na środku. Haligon, który wiedział, że już wróciła do Stacji, dowie się w ten sposób, że chciałaby się z nim zobaczyć. Nie wiedziała, które z dzieci zanoszą mu wiadomości, ale nie zdarzyło się, by ten system zawiódł. Zabrała czystą odzież, potem zrobiła sobie długą kąpiel, solidnie rozmasowała nogi i zeszła na wieczorny posiłek.

Zapadł ładny, choć chłodny wieczór. Wiatr ze wzgórz jak zwykle hulał po głównej ulicy, więc miała pod ręką futrzaną kurtkę, kiedy Haligon stanął w drzwiach. Wszyscy wiedzieli, że zjawia się zawsze, gdy Terma wraca do Stacji, więc uśmiechnęła się do niego na powitanie i z radością zauważyła, że na jej widok się rozchmurzył. W tym Obrocie Lord Groghe powierzył mu dużo odpowiedzialnych zadań — Haligon twierdził, że został „osobistym kurierem Władcy Warowni”. Mimo to nie stracił humoru i był równie życzliwy jak dawniej. Przynajmniej tak twierdził Torlo... a raczej można to było wyczytać między wierszami tego, co Torlo mówił.

— Na spacer, Termo? — spytał Haligon, pozdrawiając uprzejmym skinieniem głowy Torla, jego żonę i wszystkich obecnych.

Żegnały ich zwykle dowcipy — twierdzenie, że spacer dobrze robi po biegu i rady, żeby nie schodziła sobie nóg do kości. Ale takie docinki były lepsze niż niechętnie milczenie.

Na słupach wzdłuż głównej ulicy rozmieszczono nowe elektryczne lampy, zrobione na wzór koszyków z żarami, więc mimo chłodu nie byli jedynymi spacerowiczami. Minęli oświetloną uliczkę i skręcili w bok, nieopodal stajni. W cieniu, z dala od ciekawskich oczu, mogli się do siebie przytulić. Nie widzieli się przez cały siedmiodzień i Tenna zaczęła już za

nim tęsknić. Sądząc po jego gorących pocałunkach i uściskach, Haligon żywił podobne uczucia.

Właściwie tak naprawdę nigdy nie rozmawiali o tym, co ich łączyło. Tenna uważała, że nie jest odpowiednią partią dla kogoś z jednego z najstarszych Rodów na Pernie i wiedziała, że Haligon zdaje sobie sprawę z jej oporów. On z kolei wyczuwał, że Tenna tęskniłaby za wolnością związaną z jej zawodem, więc nie chciał jej ograniczać. Miał starszych braci, więc ojciec nie musiał tak bardzo przejmować się jego ożenkiem. Upadek kuli ognistej, którą Haligon nazywał Kometa, sprawił, że oboje byli bardzo zapracowani. Warownia Fort nie poniosła żadnych strat, ale Lord Groghe wysłał Haligona, by organizował pomoc dla Południowego Bollu, który został w dużej części zalany. Tenna zastanawiała się, czy Lord Groghe przypadkiem nie sugeruje w ten sposób, by Haligon zainteresował się lady Janissian. Jej zdaniem taki związek mógłby być dla niego odpowiedni. Haligon powiedział na to, że będzie z niej dobra władczyni i że jest całkiem sympatyczna. Choć nikt w Warowni Fort nie mówił o tym głośno, oboje byli świadomi, że Lord Groghe utracił sporo swojej fenomenalnej siły życiowej. Nic dziwnego, miał już osiemdziesiąt dziewięć lat. Akty wandalizmu w Święto Obrotu tak nim wstrząsnęły, że poprzysiągł zapobiec ewentualnemu powtórzeniu się ich w jego Warowni i zawziął się, że odkryje, kto stoi za tym „powrotem do wszystkich fanatycznych bzdur”. Udało mu się zdobyć poparcie Torla i wielu innych Mistrzów Kurierskich, ale nie wszystkich kurierów. Byli tacy, którzy wciąż nie rozumieli, że minie bardzo, bardzo wiele Obrotów, zanim „ohydne” krótkofalówki zaczną naprawdę odbierać im pracę. Oczywiście byli oburzeni, słysząc o aktach przemocy i o brutalnym ataku na Cechy Uzdrowicieli. Tenna miała tylko jeden głos, ale robiła co mogła, powtarzając słowa Lessy, że kurierzy od wieków służyli Pernowi i będą mu służyć jeszcze długo.

Teraz, gdy Haligon czule trzymał ją w ramionach, mogła zapomnieć o obowiązkach i o odpowiedzialności — o wszystkim poza zmysłową radością z jego obecności. Tenna we wszystko angażowała się bez reszty, podobnie jak Haligon.

Kierując się wrodzonym wielu Kurierom poczuciem czasu, wysliznęła się niechętnie z jego ramion i poprawiła ubranie. Uśmiechnęła się, słysząc jego długie, zdesperowane westchnienie.

Przejechał palcami ciągle nieprzystrzyżone włosy, by tworzyły schludną czuprynę z tyłu głowy, podniósł kołnierz kurtki i wydłużył krok, by za nią nadażyć. Tenna bez wątplenia umiała maszerować, Torlo, a raczej cień, który mógł być człowiekiem, siedział już na umówionej ławeczce, tam gdzie budynek Stacji wychylał się z szeregu zabudowań. Często siadywała tam razem z Haligonem, z dala od ludzkich spojrzeń. Bez słowa usiedli po obu

stronach Torla.

— Kurierzy w końcu wysledzili trasę tych wiadomości przesyłanych do Keroonu — powiedział bez zbędnych wstępów. — Szeroka Zatoka i dwa gospodarstwa w głębi lądu, oba odludne. Spełnienie prośby Lorda Groghe zajęło nam tyle czasu między innymi dlatego, że wiadomości czasem oddawano Kurierom na szlaku.

— Naprawdę? — zdziwiła się Tenna. .

— Płacono im, więc nikt się nie sprzeciwiał. Tylko że to zdarzało się w Keroonie dość często, więc Chesmic zaczął coś podejrzewać. Przepytał po cichu kurierów i innych Mistrzów Stacji, żeby mu powiedzieli, jak często to się zdarza. W końcu po to mamy sieć kurierów, żeby wszyscy mieli blisko do stacji, w których zostawia się wiadomości i zapisuje w księdze nadawczej. Sporo czasu straciliśmy na skontaktowanie się z kurierami, którzy wpisywali tego rodzaju wiadomości w następnej stacji na trasie. Dziwne, że zdarzało się to seriami, na przykład dwunastego i trzynastego miesiąca minionego Obrotu. — Przerwał. — Potem dostałem potwierdzenie, że podobne rzeczy zdarzają się też gdzie indziej i w tym samym czasie. Tylko że teraz znowu to się zaczęło, wzdłuż całego szlaku w Keroonie. Trzy razy w ciągu dwóch ostatnich siedmiodni. Dwa razy kuriera zatrzymał mężczyzna, a raz kobieta. Może i Chesmic jest stary, ale wciąż ma pamięć do twarzy. Widywał jednego z nich często i w różnych przebraniach; mówił za każdym razem z innym akcentem, że chce odebrać pocztę dla jakiegoś tam ucznia albo gospodarza. Parę rzeczy też wysłał. My — tu wskazał kciukiem na siebie, co oznaczało, że ma na myśli wszystkich Mistrzów Kurierskich — uważamy, że w ten sposób fanatycy przekazują sobie wiadomości. Powiedz o tym temu całemu Cabasowi.

Tylko ciemność pozwoliła Haligonowi ukryć zaskoczenie, że Torlo zna imię Cabasa i coś niecoś wie o dyskretnej roli, jaką ten harfiarz odgrywa w swoim Cechu. W ciągu tego Obrotu Haligon nabrał sporego szacunku dla dyskrecji i osądów Torla. Jako syn Władcy Warowni bywał na wielu naradach zwoływanych przez ojca. Nieraz czuł się zaskoczony, ile Torlo wie o tym, co dzieje się w Forcie i na obu perneńskich kontynentach, a także jak dobrze rozumie te sprawy.

— Powiedz, że szczególnie powinien się pilnować Mistrz Drukarski. To w jego cechu wydrukowano ten papier, który tak zaniepokoił niektórych ludzi. Na twoim miejscu, Lordzie Haligonie, jak najszybciej wysłałbym jaszczurkę ognistą.

— Tak też zrobię.

— Natychmiast — podkreślił Torlo surowym tonem. — Odprowadź Tennę. Jutro biegnie.

Oboje posłusznie wstali. Gdy spacerkiem ruszyli do drzwi Stacji, Haligon objął Tennę

ramieniem, żałując, że już muszą się rozstać. Przed budynkiem objął ją szybko i zaraz puścił. Nie wiedział, ile oczu śledziło jego powrót do Warowni, ale na pewno nikt nie widział, jak skręcił na wąskie boczne schody po lewej stronie dziedzińca, prowadzące do Cechu Harfiarzy. Niedługo potem odlot jaszczurki w bezksiężycową noc z górnego okna Cechu zauważył tylko 1 smok—strażnik, który życzył Pięknej, jaszczurce Menolly, bezpiecznego lotu.

CECH DRUKARSKI W SZEROKIEJ ZATOCE, TEJ SAMEJ NOCY

Gdy Piękna obudziła Mistrza Drukarskiego delikatnym skubnięciem w ucho, harfiarz rozsądnie powstrzymał się od podskoczenia na łóżku ze strachu. Nieoczekiwane przybycie jaszczurki tylko potwierdziło opinię Rosheen, która trzy dni temu zwierzyła mu się, i że przeczuwa kłopoty. Na domiar wszystkiego Mistrz Kurierski Arminet przyszedł do Cechu poprzedniego dnia jakby nigdy nic, pod pretekstem, że chce wydrukować nowe cenniki usług kurierskich. Tylko jakoś o wiele bardziej interesowały go zabezpieczenia wielkiego budynku: pytał, czy szkło w oknach jest starego typu, czy robione przez Moriltona. Powszechnie żartowano, że fala uderzeniowa komety potłukła całe szkło z warsztatu startego Norista, podczas gdy wyroby Moriltona pozostały nietknięte.

— Naturalnie, od Moriltona — uśmiechnął się Tagetarl.

— Dobre zamki w oknach... — Arminet znacząco przymrużył jedno oko. — Brama i drzwi do budynku z drewna nieboszczotki.

Tagetarl uniósł brwi, ale Arminet od razu zmienił temat i zaczął rozmawiać o swoim zamówieniu. Tej nocy Tagetarl sam sprawdził bramę, drzwi i okna, a w otwory bramy wsunął solidną zasuwę z nieboszczotki, którą poprzedni właściciel składu zabezpieczał zapasy przeciwko złodziejazkom. Zasuwa miała na obu końcach sprytne blokady, które bardzo utrudniały jej usunięcie, jeśli ktoś nie wiedział, w jaki sposób się je otwiera. Twardego drewna nieboszczotki nie sposób było wyłamać ani pociąć, więc Tagetarl poczuł się bezpieczny.

Jednak niepokój Rosheen, dziwne uwagi Armineta, a teraz wiadomość przesłana w środku nocy z Cechu Harfiarzy, w dodatku przez Piękną, jaszczurkę Menolly, mocno go zdenerwowały. Ciekaw był, dlaczego Ola, jaszczurka Rosheen, nie pojawiła się natychmiast, by skontrolować, kto przyleciał. Ola rzadko znikwała, gdy była potrzebna.

Wyciągnął rękę, a Piękna na niej przysiadła. Zauważył cylinder z wiadomością na jej lewej przedniej łapce, ale było za ciemno, żeby przeczytać list. Cichutko, żeby niepotrzebnie nie zbudzić Rosheen, zdjął z wieszaka koszulę i spodnie z poprzedniego dnia i wyszedł z pokoju. Kiedy Piękna uniosła się w powietrze, wskazał jej schody. Ubrał się pospiesznie, poganiany jej alarmującymi piskami. Zimno mu było w stopy na cienkim chodniku, więc zaczął iść jeszcze prędzej.

Schodząc ze schodów wyjrzał przez okno na cichy, zacieniony dziedziniec. Może tam właśnie, gdzieś na dachu siedzi Ola? Nad budynkami Cechu wnosił się dach warsztatu

tkackiego. Tamtędy zwykle wchodził Cabas. Ale Ola go znała. Tagetarl zatrzymał się na podeście schodów, nadsluchując, czy coś się nie dzieje w korytarzu wiodącym na górne piętra Cechu. Nic tam się nie ruszało. Usłyszał karcący skrzek jaszczurki z drugiej strony i wszedł do przestronnej kuchni, która służyła również jako miejsce wypoczynku.

Skarcił się w myślach za to, iż zakładał, że wiadomość dotyczy jego cechu. Menolly mogła przysłać do niego Piękną w środku nocy z wielu różnych powodów — a wszystkie były mocno niepokojące. W Cechu Harfiarzy nie było jeszcze tak późno. Może po prostu chciała zapytać o partytury, które niedawno przesłała mu do druku? Mimo niecierpliwości Pięknej, zrobił kilka kroków w kierunku drzwi na ganek. Były wyposażone w dobry, solidny zamek z lanego żelaza i jeszcze jedną sprytną zapadkę, której nie otworzyłby nikt nie znający sposobu. Szkło pochodziło z warsztatu Moriltona, więc nie tak łatwo było je stłuc.

Wszedł do wielkiej, ciemnej kuchni. Ciepło biło jeszcze od rozgrzanych pieców i kominków. Pomarańczowe błyski z popielników rzucały niesamowity blask na kamienną posadzkę, ale nie dało się przy nich czytać. Okiennice zamknięto, by nie wpuszczać zimna, więc zapalił lampkę i zobaczył Piękną przycupniętą na oparciu krzesła. Wyciągnęła łapkę, by mógł zdjąć cylinder z wiadomością i spojrzała zezem, jakby karcąc go za powolność. Wziął głęboki oddech i rozwinął cienką kartkę.

Kurierzy potwierdzają kłopoty w Szerokiej Zatoce. Zabezpiecz Cech. Planujemy pomoc.

A więc Rosheen miała rację. Czy Arminet po prostu dzielił się swoimi podejrzeniami, które teraz potwierdzał Cech Harfiarzy? Kłopoty? Kto je spowoduje? Natychmiast pomyślał o fanatykach, ale... od początku Obrotu nie było o nich słyhać. Naturalnie wszyscy byli zapracowani przez tę ognistą kulę.

— Kłopoty? Jakie kłopoty? — machinalnie nalał wody do kociołka, postawił go na kuchni i podłożył czarnego kamienia pod blachę. — Pożar? — Z wysiłkiem przełknął ślinę. Papier palił się równie łatwo jak wysuszone zioła albo leki w proszku. A w Cechu było mnóstwo? książek, na wystawie i w paczkach gotowych do wysyłki na północ i na południe. Prasy drukarskie dawało się zniszczyć równie łatwo jak butelki i sprzęt medyczny, toner i atrament można było rozlać, no a w magazynach z papierem założył drewniane drzwi, bo nie było go stać na stalowe.

W notatce nie wspomiano o fanatykach. Dlaczego pomyślał właśnie o ich ataku? I

A dlaczego nie? Może reagowali na każdą wzmiankę o „procedurach z Assigi”?

— Jaka pomoc?

Może powinien poprosić kilku czeladników, żeby spalili w Cechu albo w magazynach?

— pomyślał. Ola. Przypomniawszy sobie o niej. Gdzie się podziała Ola? Wyszkoliła ją Menolly i jaszczurka bardzo poważnie traktowała polecenia Rosheen; kiedy wysyłano ją z wiadomościami, wracała najszybciej, jak mogła.

— Czy nie powinnaś już wracać do Menolly? — spytał jaszczurkę. Ostrzejszy niż zwykle ton jego głosu zdradzał zdenerwowanie.

Zamrugnęła zielonymi oczami. No cóż, przynajmniej ona się nie martwiła. Mówił o tym kolor jej oczu.

Zaszumiwały skrzydła i do kuchni wleciała złota królowa Rosheen, Ola. Wylądowała na jego ramieniu, ale zagruchała do Pięknej, przekazując jej jakąś wiadomość. Tagetarl przez chwilę się uśmiechał, rozbawiony jej władcym zachowaniem. Oczy Pięknej zawirowały i jaszczurka rzuciła młodziej koleżance kilka długich, melodyjnych fraz tonem, który bez wątpienia wyrażał jakieś polecenie.

Ola wyprostowała się na ramieniu Tagetarla, wbijając pazurki w koszulę i skórę.

— Spokojnie, Ola! — Na te słowa jaszczurka przepaszająco trąciła go główką w policzek.

Piękna jeszcze raz zagruchała i zniknęła.

— Czekala, żeby z tobą porozmawiać, co, Ola? A co ci powiedziała? i

Ola przymknęła pierwszą powiekę i popatrzyła na niego z taką miną, jakby chciała mruknąć: „Nie twoja sprawa”. Ale pod przymkniętymi powiekami jej oczy wirowały coraz szybciej, nabierając żółtego koloru. Tagetarl nie rozumiał się na wymowie jaszczurczych oczu tak dobrze jak Rosheen, ale wiedział, że taka barwa wyraża rosnący niepokój. Kolor pomarańczowy i czerwony oznaczał bezpośrednio niebezpieczeństwo. Jaszczurka przysiadła mu na ramieniu, wbijając pazury tak głęboko, że aż się skrzywił, i nagle zniknęła.

Tagetarl podszedł do okna i otworzył okiennice, ciekaw, czy Piękna kazała Oli pilnować Cechu. Jeszcze nie świtało — najjaśniejsze północne gwiazdy dopiero zaczynały błędnąć, mógł jednak odróżnić zarys nierównych dachów na tle ciemnogrnatowego nieba. Nagle zobaczył cień ognistej jaszczurki z rozłożonymi skrzydłami. Mrugnęło żółtozielone oko. Chciał wierzyć, że jego wyostrzony harfiarski słuch pochwycił jej zew; poczuł się lepiej, widząc, że nagle na dachach rozsiadł się tłum innych jaszczurek.

Napisali, że planują pomoc. Wiedział, że jaszczurki potrafią odważnie bronić ludzkich przyjaciół, ale Ola była jedna, a choć nad Szeroką Zatoką żyły całe stada jaszczurek, stworzenia te miały niezwykle krótką pamięć. Menolly na pewno miała na myśli coś poważniejszego niż opiekę ognistych jaszczurek.

Woda się zagotowała, nasypał więc klahu do dużego kubka i nalał do pełna wrzątku.

Czy to Benelek mówił mu na ostatnim Zgromadzeniu, że eksperymentuje z elektrycznym czajnikiem? Zaburczało mu w żołądku, więc zajrzał do pojemnika z chlebem, a potem odciął kilka kromek, by podpiec je na rozgrzanej blasze. Zaczął szukać słodzika, żeby je nim posypać, gdy nagle usłyszał cichutki dźwięk; to zaszurały czyjeś buty. Nie był chyba taki głupi, by odblokować okno, kiedy je oglądał? Wziął pełny kubek i ruszył w stronę korytarza, gotów oblać wrzątkiem nieproszonego gościa.

— Oto ja — szepnął znajomy głos.

— To ja... proszę cię, mów poprawnie, Cabasie — poprawił go z irytacją, opuszczając rękę z kubkiem.

Cabas jednym skokiem był na progu. Na jego ramieniu lśniła złota Bista, wczepiona pazurkami w kurtkę.

— Jak tu wszedłeś? Nie, nie mów mi. Przez dach. Cabas rzucił mu przepaszające spojrzenie.

— Jakżeś się tu dostał? — Tagetarl naprawdę się zdenerwował, kiedy przypomniał sobie, ile wydał na skomplikowany zamek do drzwi.

Cabas pokazał mu cienki kluczyk.

— Dałeś mi go i pokazałeś, jak odblokować zapadkę. Nie chciałem cię budzić. — Wsunął klucz z powrotem do wewnętrznej kieszeni. Coś zabrzęczało i Tagetarl zaczął się zastanawiać, ile podobnych kluczy nosi przy sobie ten harfiarz.

— Ale Ola siedzi na dachu ze stadem innych jaszczurek. Czy jaszczurki mogą cokolwiek pomóc przy obronie Cechu?

— Po pierwsze, Ola mnie zna. Po drugie, Bista za mnie zareczyła. Przyznam szczerze, że Ola o mało nie poszczuła na mnie całego! stada. — Cabas pociągnął nosem, czując zapach kłahu z kubka, który! Tagetarl wciąż trzymał w ręku. — Wiedziałaś, że przyjdę? — spytał lekko zaskoczony.

— Piękna przyniosła wiadomość. Czy to ty i Bista macie być pomocą?

Na znużonej twarzy Cabasa pojawił się uśmiech.

— Między innymi, ale cieszę się, że ostrzeżenie dotarło także do Cechu Harfiarzy. — Obejrzał się przez ramię i powiedział nieco głośniejszym głosem: — Można bezpiecznie wejść. Mają tu świeży klah. Tak przy okazji — te ostatnie słowa skierował do zdziwionego Tagetarla — podejrzewam, że każdy, kto zechce wejść do tego budynku w złych celach, także wybierze drogę przez dach tkacza. Ten człowiek tyle się nasłuchał stukotu krosien, że jest głuchy jak pień.

Cabas pewnym krokiem podszedł do kredensu i zaczął wyjmować kubki, wieszając je

sobie na rozczapierzonych palcach lewej ręki. Prawą zgarnął jeszcze cztery. Poustawiał je na stole, a jego towarzysze z powagą, jeden po drugim wsunęli się do kuchni.

— No cóż, mądrzej będzie pozwolić, żeby wykorzystali tę słabość, o której wiedzą i przygotować się na ich przyjęcie. Aha, przy okazji, jest tu jeszcze więcej takich „pomocników”. Nie gap się tak, Tag. Należ im klahu, a ja przedstawię ci gości.

W kuchni znalazło się pięciu młodych mężczyzn i trzy dziewczyny z plecakami. Niosły przykryte wiadra. Wszyscy kiwali głowami na powitanie i uśmiechali się nieśmiało.

— Zostawcie to przed drzwiami, bo tu zabraknie miejsca. — Cabas polecił im gestem odstawić wiadra, zanim rozdał im kubki. Nalewając klah, wymieniał po kolei imiona: Macy, Chenoa, Egara, Magalia, Fromelin, Torjus, Garrel i Niness.

— Dziękuję bardzo, Mistrzu.

— Dzięki, Mistrzu Tagetarlu.

— Bardzo miło, Mistrzu.

— Dzięki.

— Ósemka, Cabasie? — spytał Tagetarl, machinalnie przytrzymując kubki, gdy nalewał płyn. Próbował przyzwyczaić się do myśli, że oto właśnie przybył harfiarz z pomocnikami. Czy starczy dla niego klahu?

— Właśnie. Wyszło nam, że tyle ludzi trzeba, by pomalować całe drewno w tym Cechu — powiedział Cabas ze znużonym westchnieniem. Wyciągnął spod stołu taboret i gestem pozwolił młodym ludziom rozgościć się w kuchni. — Choć większość twoich zabudowań jest z porządnego kamienia, masz drewniane drzwi, podłogi i ramy okienne. Będą się palić równie łatwo jak papier. — Cabas wyciągniętą ręką powstrzymał wybuch Tagetarla. — Pomyśleliśmy więc o zabezpieczeniu przed pożarem. Pomalujemy specjalnym płynem wszystkie drewniane powierzchnie; skończymy przed świtem. Płyn jest bezwonny. A przynajmniej na tyle bezwonny, że zapachy portowe łatwo go zagłuszą. Szybko schnie, przynajmniej tak twierdzi Piemur, a fanatycy na pewno nie zagłębili się w katalogi Assigi na tyle, by dowiedzieć się o istnieniu tak pożytecznej substancji. Pomoże to zniweczyć ich plany.

— A więc to fanatycy? Wiecie, co planują? — wykrzyknął Tagetarl i o mało nie poparzył gorącym klanem ręki Macego.

— Możemy się tego domyślać z dużym prawdopodobieństwem, biorąc pod uwagę to, co zrobili przedtem — objaśnił Cabas z wyższością i skrzywił się pogardliwym grymasie.

— Ale dlaczego mieliby atakować Cech Drukarski? Przecież wspieramy program szkoleniowy i...

— No cóż, wydrukowałeś skrót sprawozdania z upadku kuli ognistej, podając

rzeczywisty zasięg powodzi — Cabas zaśmiał się, widząc, że Tagetarl niczego nie rozumie. — Domyślamy się, że chcieli rozpuścić pogłoskę, jakoby Assigi zaingerował w naturalny rytm Pernu, czego wynikiem była kula ognista. W związku z tym wszystko, co Assigi proponował, zalecał, planował i w czym pomagał, powinno być podejrzane, należy tego unikać, odrzucać i zapomnieć. Mamy wrócić do dni czystości, kiedy to musieliśmy się martwić jedynie o Nici... mniej więcej co dwieście pięćdziesiąt Obrotów.

— A więc o to im chodzi? Nie dbają, jakie korzyści przyniosła praca Uzdrowicieli, że nauczyli się wreszcie leczyć tyle chorób i zapobiegać plagom, które zabijały przedtem ludzi setkami? Nie wspominając o tym, że możemy teraz sięgać do książek, w których są wyjaśnienia i... no i...

Tagetarl był oszołomiony. Cabas nalał kubek klahu i włożył mu go w dłoń.

— Wypij. Jeszcze się do końca nie obudziłeś. Właśnie wymieniłeś niektóre powody ich ataku. Chcą położyć kres działalności tego Cechu.

— Powody ataku? Kres działalności?

— Słowo pisane ma potężną moc, plotka go nigdy nie pokona. Ty publikujesz prawdę. Fanatycy rozpuszczają plotki. Ktoś może przeczytać napisane słowa i wrócić do prawdy. Plotki nie można pochwycić, nie można znaleźć jej źródła. Może i przyjemniej jest; się nią dzielić, ale książka albo zadrukowany papier to dotykalne przedmioty, a sens ich przesłania nie zmienia się, gdy wędrują z ręki do ręki. Wypij ten klan, Tagetarlu — poradził łagodnie Cabas, unosząc rękę drukarza, by kubek trafił do jego ust. Mistrz Drukarski pociągnął łyk gorącego płynu.

— Co ja mam zrobić? Potrzebuję strażników. Moi uczniowie nie wystarczą!

Cabas uniósł ręce, by go uciszyć.

— Oczywiście, że nie. Mili chłopcy, ale nie mają przeszkolenia, choć moim zdaniem Marley potrafi się nieźle bić. Moi ludzie... — wskazał szerokim gestem młodzież, w ciszy popijającą klah — znają parę sztuczek i znają się na robocie. Przybyliśmy akurat na czas, skoro Piękna tu już była, a moje podejrzenia zostały potwierdzone przez kurierów — uśmiechnął się pogodnie do Tagetarla. — Nie tylko jeźdźcy smoków pojawiają się zawsze tam, gdzie są potrzebni.

Tagetarl rozdziawił usta, słysząc taką herezję z ust harfiarza.

— W porządku, dziewczęta i chłopcy, skoro skończyliście pić, bierzecie się do roboty. Musimy skończyć przed świtem. Macie pomalować tym impregnatem wszystko, co drewniane. W rękawiczkach będzie wam trochę niewygodnie, ale przynajmniej nie zniszczycie sobie skóry. Bardzo was proszę o ciszę. Nie chcę słyszeć nawet tarcia pędzla o

drewno. Wiem, że to potraficie.

Dwie osoby z grupki zebrały kubki i wstawiły do zlewu, pozostali zaś wyszli na dwór, zabierając narzędzia. Tagetarl wyjrzał przez okno. W mętym świetle przedświtu ledwie dostrzegał budynki po drugiej stronie dziedzińca.

— Impregnat jest ciemny, ale gdy wyschnie, nie będzie go znać. Nie martw się. — Cabas wstał, żeby napelnić czajnik wodą. Postawił go z powrotem na kuchni. Usiadł, przerzucając nogę nad stołkiem, wyjął z kieszeni kartkę i wygładził ją na stole przed Tagetarlem.

— Widziałeś go tu ostatnio? Drukarz zmarszczył brwi.

— To ten sam człowiek, którego namalowałeś podczas twojej ostatniej wizyty. Tak mi się zdawało, że skądś go znam. Wydawało mi się dziwne, że prosi o egzemplarz *Ballad instruktazowych*. Właśnie wysłałem transport do Lorda Kashmana i nie miałem nic w magazynie. Kazałem mu wrócić za siedmiodzień.

Cabas kiwnął głową, jakby spodziewał się to usłyszeć.

— Czyli jutro.

— Twoim zdaniem, on planuje tu wejść... — Tagetarl był wstrząśnięty, gdy przypomniał sobie spotkanie z tym człowiekiem. — Oprowadziłem go po Cechu. Wydawało mi się, że tego wymaga grzeczność.

Uśmiech Cabasa stał się ironiczny.

— Mam nadzieję, że pokazałeś mu tylko Cech.

— Tak, ale opowiedziałem mu też, ilu szkole uczniów. — Tagetarl klepnął się dłonią w czoło. Cóż za naiwność z jego strony! Czyżby zapomniał o wszystkim, czego uczono go w Cechu? Miał tu siedmiu chłopców, z których żaden, z wyjątkiem Marleya, nie osiągnął jeszcze dojrzałości i trzy dziewczęta, wszystkie delikatnej budowy, wybrane ze względu na sprawne paluszki. Plus ta ósemka, którą przyprowadził Cabas.

— Nie denerwuj się — uspokajał go Cabas. — Nie miałeś przecież wtedy powodu, by cokolwiek podejrzewać. Dlaczego nie miałbyś zachować się uprzejmie? Przecież w końcu oferujesz usługi o szczególnym charakterze. Nawet jeśli to się nie podoba fanatykom.

Tagetarl przełknął ślinę; gorący kłah zbyt szybko stygł mu w brzuchu i nie sprawiał tak dużej przyjemności jak zwykle.

— Ilu napastników zaatakowało Cech Uzdrowicieli? Dziesięciu?

Nie, piętnastu.

— Powiedziałbym, że na te robótkę wybierze się co najmniej dziesięciu — oświadczył Cabas obojętnie, jakby to nie miało znaczenia. — Miałeś ostatnio jeszcze jakiś ciekawskich

gości?

Tagetarl ukrył twarz w rękach, potarł skronie a potem przejechał po włosach zaciśniętymi pięściami.

— Bardzo możliwe. I pewnie każdy z nich wydał mi się całkiem sympatyczną osobą.

— Może i tacy są — zgodził się chętnie Cabas — niezależnie od tego, że uznają cię za podłe narzędzie w ręku Ohydy, bo potrafisz drukować całe książki w kilka dni, a nie miesiące.

Tagetarl jęknął

Cabas poklepał go po ramieniu.

— Ale dostaliśmy ostrzeżenie, a ja wiem, kogo... i czego... można się spodziewać.

— Te trzy portrety, które mi pokazałeś?

— Mam nadzieję, że cała trójka zjawi się na tej imprezie.

— Imprezce? — zdenerwował się Tagetarl.

— No dobrze, na wieczornej rozgrzewce, jeśli wolisz. Chcieli cię zaskoczyć, więc i my przygotowujemy dla nich parę niespodzianek.

— Wstał, a Bista przefrunęła z parapetu na jego ramie.. — Pójdę im trochę pomóc.

Tagetarl wstał, otrząsnąwszy się nieco z szoku wywołanego bezceremonialnym zachowaniem Cabasa. Harfiarz wskazał na czajnik.

— Będzie nam potrzeba mnóstwo kłahu. I nie zwracaj na mnie dzisiaj uwagi, kiedy mnie zobaczysz? Pozostali ukryją się na stryszku. Po prostu nie posyłaj tam nikogo, dobrze? Mamy ze sobą jedzenie i wodę. Nikt się nie zorientuje, że tu jesteśmy.

Ruszył do wyjścia, ale nagle się zatrzymał, unosząc rękę, by ognista jaszczurka na jego ramieniu nie straciła równowagi.

— Jeszcze jedno, Tag — dodał. — Może dostaniesz dzisiaj niespodziewany prezent, na przykład bukłak pełen dobrego wina. Nie bierz go do ust, nawet z grzeczności. Nie jedz też niczego, co ci ludzie przynoszą w zamian za książki.

Co takiego? — Tagetarl aż się najeżył. Rzeczywiście, w zamian za usługi brali nieraz świeże owoce albo mięso. Czyżby fanatycy mieli zniżyć się do trucizny? Przypomniał sobie, że Mistrza Robintona potraktowano oszałamiającym napojem na Zgromadzeniu i porwano na oczach setek ludzi. — Ile osób jest w to zamieszanych?

Cabas wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć, ale fanatycy zdaje się pracują w grupach. Ponieważ zamierzają zniszczyć Cech, zabiorą ze sobą narzędzia. Wciąż są takie osoby — podkreślił swoje słowa ciężkim westchnieniem — które zrobią wszystko za parę marek w kieszeni.

Tagetarl zadygotał. Przed oczami pojawił mu się obraz Cechu: płonący papier, bryzgi tonera na bielonych ścianach, młoty roztrzaskujące prasy drukarskie... co prawda Cabas twierdził, że pożaru nie będzie...

— Wcale mnie to nie uspokoiło, Cabas! — stwierdził kwaśno.

— Chcielibyśmy, żeby weszli do środka — tłumaczył Cabas — bo potrzebujemy dowodu na to, że mieli złe intencje, ale nie pozwolimy im wyjść — uśmiechnął się złośliwie. — Wiesz, tak nam będzie łatwiej.

— Nie, nie wiem, ale widzę, że dobrze się bawisz!

— Też się kiedyś tak bawiłeś, jak byłeś młodszy — odparł Harfiarz z łobuzerskim uśmiechem. — Póki nie zostałeś Mistrzem i nie założyłeś nowego cechu.

Wstał, zanim Tagetarl zdążył udzielić mu surowej reprimendy.

— Jeśli usłyszysz takie gwizdnięcie — tu dał mu przykład — to znaczy, że jestem blisko. Jeśli usłyszysz to — zagwizdał pięć nut ułożonych w dziwną melodię, jakby żywcem wyjętą z kwartetów, które Menolly pisała dla bardzo doświadczonych muzyków — to znaczy, że zbliża się ktoś podejrzany. Zapamiętasz?

— Pewnie — odparł lekko zirytowany Tagetarl. — Jestem Mistrzem Harfiarskim. Co mi przypomina o jednym: skąd ty zwerbowałeś tych ludzi? — Wszyscy oni mieli jakąś wspólną cechę, której Tagetarl nie potrafił zidentyfikować.

— Tu i tam — odparł enigmatycznie Cabas, ale potem dodał z nietypową dla siebie szczerością: — To głównie kurierzy, a kilkoro to marynarze czekający na statek. Bardzo pożyteczne towarzystwo. Zaręczono mi za wszystkich, nie martw się. Mało butów nie pogubiłem, żeby za nimi nadążyć, tak tutaj lecieli. Przez dach też przeszli w jednej chwili. — Wyjrzał przez okno. — I mają doświadczenie z pędzlami... różnego rodzaju.

Wysunął się z kuchni, zanim Tagetarl zdążył zadać następne pytanie. Oszołomiony spotkaniem z Cabasem i zbliżającym się atakiem na jego Cech, Drukarz rozejrzał się wokół, zastanawiając się, jak ma o tym wszystkim powiedzieć Rosheen. Cóż, jeśli pozmywa i schowa kubki, jego żona nie od razu się zorientuje, że mieli porannych gości.

WAROWNIA HONSIU, 2.9.31

— Chodź, moja miła Tai — powiedział F'lessan, gdy weszła do kuchni w Honsiu — zjemy coś, a potem do roboty. — Wstał i podszedł do niej.

Uśmiechnęła się ostrożnie. Miał zwyczaj mówić różne nieoczekiwane rzeczy, jakby chciał wytrącić ją z równowagi. Pewnie o to mu właśnie chodziło. Myślała, że po locie godowym Golantha i Zaranth F'lessan pozbędzie się jej, może nieco grzeczniej niż inni. Nic takiego się nie stało: uparł się, by zamieszkała w Honsiu, żeby wybrała sobie pokój — choć zwykle sypiali razem w jego ulubionym, dużym pomieszczeniu — a w dodatku pokazał jej wszystkie zakątki budowli, którą kiedyś zaprojektowano dla wielu mieszkańców. Nie wiedziała, że w kamiennej górze wykuto aż tyle pięt. Uwielbiała starannie wyposażony warsztat, a raczej pracownię na parterze, tuż nad garażem, gdzie stał przykryty brezentem ślizgacz Starożytnych. Prawdopodobnie w Honsiu nigdy nie mieszkało tyle ludzi co w tą noc po upadku ognistej kuli. Pewnie Weyr i siedziba nie były nawet w połowie zamieszkane.

F'lessan starał się wyciągnąć ją na rozmowy o astronomii; udało mu się też przywieźć z Archiwum potrzebne jej teksty, choć była pewna, że Mistrz Esselin nawet nie wiedział, że zostały wypożyczone. F'lessan zawsze skrupulatnie je zwracał.

— Myślę, że za długo to odkładaliśmy!

Błysk w jego oku był jedynym ostrzeżeniem; porwał ją w ramiona i zawirował z nią po kuchni. Przywarła do niego, nie żeby się bała, że ją upuści, ale po prostu chciała być blisko. Jeszcze się nie przyzwyczaiła do jego spontaniczności ani do tego, że ciągle chciał jej dotykać, ale coraz bardziej jej się to podobało. W szarych oczach F'lessana odbijał się uśmiech. Gdyby nie znała tak dobrze zmarszczek, którymi wiatry i zmartwienia poznały jego twarz, ten uśmiech zmyliłby ją całkiem; pomyślałaby, że jej partner jest o wiele młodszy. Taki otwarty, radosny uśmiech! f

— Co odkładaliśmy? — spytała, dopasowując się do jego nastroju. Widać było, że szykuje jakąś niespodziankę.

— Jest piękna, jasna noc... — przerwał, wystawiając na próbę jej cierpliwość. Domyśliła się, o co mu chodzi i nie zdołała powstrzymać pełnego emocji okrzyku. — Tak, tak... dziś w nocy, moja droga j zielona, ustawimy nasz teleskop.

Tai aż pisnęła z radości.

— Masz monitor!

— I dyskietki systemowe. Erragon je dla nas skopiował, dał też kilka czystych, do

zapisywania obrazu. Mamy też algorytm poszukiwań. Więc, jakby były idealne warunki do takich obserwacji... — w oczach błysnęła mu determinacja. — Cóż, potrzebne nam odpowiednie ustawienie, odpowiedni czas i odpowiednie miejsce na niebie...

Naturalnie miał rację, dobrze o tym wiedziała, ale ten radosny uśmiech i szeroko otwarte oczy zapowiadały, że uda im się, nawet jeśli szansę są niewielkie. Co za osobowość pełna kontrastów! Fascynowało ją to i miała do siebie pretensje, że kiedyś uważała go za: człowieka płytkiego. Przez kilka minionych siedmiodni zauważyła, jak poważnie traktuje swoje obowiązki i jak zaraźliwy jest jego optymizm. F'lessan nigdy nie wymigiwał się od pracy — choć przecież mógł ją zlecić innemu jeźdźcowi... weźmy choćby sadzenie drzewek w gospodarstwie Beniniego. Mirrim myliła się, przedstawiając go jako beztroskiego, obojętnego na wszystko syna weyru.

— Chętnie pomogę ci z algorytmem poszukiwań — powiedziała, wiedząc, że F'lessan zawsze znajduje dla niej miejsce w swoich planach. — Erragon powierzał mi porównania i skanowanie.

— Bardziej mnie interesuje przeskanowanie ciebie, kochanie — powiedział i pocałował ją w dółek na szyi; czuła jego gorliwe usta na swoim ciele, wciąż wyziębionym po przelocie pomiędzy. — Ale musimy pokazać Erragonowi wyniki z Honsiu, w przeciwnym razie będzie chciał cię zabrać do Warowni nad Zatoczką.

Powoli zwolnił uścisk. Lubiła dotyk jego ciała; F'lessan był tak pełen siły, energii — po prostu życia! Nie puścił jej jednak; serdecznym gestem otoczył ją ramieniem.

— Zrobiłem sobie coś, co Assigi nazywał „powtórką” — dodał z przekornym uśmiechem. — Zdaje mi się, że przedtem nie poświęcałem mu tyle uwagi, ile powinienem.

Zauważyła, że oczy mu pociemniały, kiedy pomyślał o straconej szansie. Pieszczotliwym gestem dotknęła jego policzka.

— Gdybyśmy wtedy wiedzieli to, co wiemy teraz...

— Właśnie. — Skrzywił się z goryczą.

Po raz kolejny zdziwiło ją, że F'lessan potrafi okazywać żal. Zawsze był taki pewny siebie. Poczula się speszona taką bezpośredniością. Zauważyła na kuchni parujący garnek.

— Gotowałeś? — Przyjrzała się bliżej. — To nie jest garnek z Honsiu.

— Nie — zaśmiał się, objął ją i poprowadził w stronę piecyka kuchennego. — Po drodze zatrzymałem się w gospodarstwie Sagassy. Miałem dla niej gwoździe od kowali z Łądowiska. Uparła się, żebym to wziął jako opłatę za przesyłkę. — Wzruszył ramionami. — Przypomnij mi, żebym jej oddał garnek.

— Przypomnę — odpowiedziała. — Kiedy go porządnie domyję. Wzięła drewnianą

łyżkę, zamieszała gulasz i nie mogła się powstrzymać, by mu nie dokuczyć!

— O mało co nie przypaliłeś!

— To znaczy, że już można go jeść, bo jest gorący.

F'lessan odsunął ją na bok, pokazał gestem, że ma usiąść za stołem nakrytym na dwie osoby i zaczął nakładać gulasz do szerokich, głębokich mis. Mirrim w życiu by nie uwierzyła, że jest taki gospodarny. Tai dotknęła bochenka; chleb był świeży. Była też i sałatka, bo ogródki warzywne w nadbrzeżnych gospodarstwach już zaczęły dawać plon. Nalała do kieliszków wina z bukłaka, a F'lessan postawił na stole kopiaste porcje.

— Sagassy mówiła, że Riller, Jubb i Sparling widzieli ślady kotowatych, które najwyraźniej powracają już w doliny — powiedział. — Nie liczyli, ile bydła brakuje, ale stada ostatnio łatwo się płoszą.

— Podmuchał na łyżkę, by ostudzić mięso i sos. — Te dranie znowu zaczęły polować po tej stronie wzgórz.

W dolinie rozciągającej się na północ od Honsiu osiedliło się osiem rodzin. Ludzie powoli zaczęli karczować ziemię, zakładaj pólka z podstawowymi uprawami i chwytąc dzikie bydło. Otoczyli zabudowania i zagrody dla bydła zaporą ze smoczego nawozu i kamienia ogniowego — najlepszego środka powstrzymującego insekty, z wyjątkiem turlajów. Serdecznie zachęcano smoki składające wizyty w Honsiu do podwyższania zapory — a ostatnia fala gości walnie się do tego przyczyniła. Gdy nawóz wysechł, stawał się prawie bezwonny dla ludzi, ale mimo to jego woń odstraszała wszystkie stworzenia oprócz najbardziej zdeterminowanych drapieżników.

Tai polowała tam z F'lessanem w czasie ich pierwszego wspólnego tygodnia. Zaranth nie udało się wtedy schwytać srebrzystego kota, którego futro było bardzo cennie. Mieli tyle do roboty, że od tego czasu nie wybrali się ani razu na polowanie.

— Musimy się kiedyś pokręcić wokół osady i odstraszyć drapieżniki — powiedział, odłamał kawałek chleba i podał jej, zanim wziął sobie następny. — Prawie skończyłaś wyprawiać te skóry, które zdobyliśmy poprzednio, prawda?

— Prawie. Ktoś musiał dawno temu przyczepiać skóry na ścianie, w tym miejscu, gdzie rozwiesiłam swoje — powiedziała.

— Pewnie tak. Z zapisków wynika, że mieszkańcy Honsiu byli samowystarczalni — stwierdził i pokręcił głową. — Nigdy nie zrozumieć, co przytrafiło się ludziom, którym się tu tak dobrze powodziło. Dlaczego po prostu zniknęli? — uniósł ręce do góry w geście zdziwienia.

Tai umazała się sosem w kąciku ust, więc starła go kawałkiem chleba i oblizała się.

— Może epidemia?

Choroby zmiotły z powierzchni Pernu tylu mieszkańców, że ta przyczyna zawsze pierwsza przychodziła ludziom do głowy. Pokręcił głową.

— Nie, nie ma szkieletów.

— Drapieżniki mogły je rozwłóczyć.

— Wszystkie rzeczy poukładano starannie.

— Jakby planowali powrót? — spytała zaskoczona, ale przecież F'lessan badał historię tego swojego Weyru.

— Nie, nie... po prostu jakby zwykle tak dbali o narzędzia i sprzęt — wskazał gestem kuchnię i przybory na blacie.

— Tak jak w warsztacie.

Półki i szuflady w warsztacie fascynowały Tai. Ich zawartość starannie opakowano w natłuszczony papier i próżniowe plastikowe torebki Starożytnych. Nawet machina latająca — F'lessan nazywał ją ślizgaczem — była owinięta w ten plastik. Nigdy nie miała okazji zwiedzić Grot Katarzyny, jak F'lessan, ale on twierdził, że zawartość tych grot nie została jeszcze dokładnie zbadana i że jest tam mnóstwo zapasów. Na Lądowisku zrobiono wystawę rozmaitych przedmiotów używanych przez Starożytnych. Niektóre rzeczy były wciąż jeszcze w opakowaniach, w których przetrwały podróż do systemu Rukbatu. Tai — podobnie jak inni — zastanawiała się nad przeznaczeniem niektórych przedmiotów.

— Dlaczego opuścili takie piękne miejsce?

— Możesz być pewna, że ja go nie opuszczę, kiedy skończy się to Przejście — powiedział zdecydowanie. — A teraz spędzam tu więcej czasu niż powinienem — dodał z tym pociągającym uśmiechem, który tak lubiła. — Jedz, kochanie.

— Nie powinienem tak się napychać — stwierdził w dwadzieścia minut później, gdy Tai szła jego śladem po stromych schodach wiodących do obserwatorium. Zauważyła, że F'lessan ciężko dyszy. — Dobrze, że nie musimy nic taszczyć po tych schodach. Tylko o jeden poziom niżej, gdy już dotrzemy tam, gdzie mamy dojść.

F'lessan objaśnił jej tajemnice obserwatorium w Honsiu; ale pozostało jeszcze kilka sekretów, dodał z chłopięcym zachwytem. Kenjo starał się utrudnić dostęp do teleskopu. Pierwszą przeszkodą były schody — sześć pięter wykutych w litej skale.

— Czy Golanth obserwuje gwiazdy razem z tobą? — spytała. Zaranth nie miała nic przeciwko temu, że Tai spędza na jej zielonym grzbiecie długie godziny, patrząc w nocne niebo.

— Udaje, że go to ciekawi — powiedział F'lessan z przekorą, ale serdecznie i

odwrócił się z uśmiechem, spoglądając w dół spiralnej, metalowej klatki schodowej.

Mam nadzieję, że nie uszkodzę tego wszystkiego, co będę niósł dla ciebie tak wysoko w górę, powiedział żartobliwie smok.

Golanth, masz to nieść tak uważnie, jak jaszczurcze jaja, powiedział F'lessan surowo i mrugnął do Tai. — Kiedy odkryłem to miejsce, panował tu straszny nieporządek. Wszystkie baterie słoneczne były brudne albo potłuczone. Gorzej niż w Administracji. — Wziął głęboki oddech i znów zaczął się wspinać. — Golanth bardzo mi pomógł przy naprawach i montażu. Naturalnie nie mieści się w obserwatorium, ale bardzo dobrze mobilizuje mnie do ciężkiej pracy — zaśmiał się i wspinał na następne stopnie. Jego buty dzwoniły o metal. Tai czuła, że mięśnie jej sztywnieją od wspinaczki. — Dobrze, że ten cylinder został opakowany próżniowo... to kolejny dowód na to, że chcieli tu wrócić! — Tai zobaczyła, że F'lessan podciąga się w górę z używając do tego poręczy. — Wyczyściliśmy i nareperowaliśmy wentylację i baterie słoneczne i poczekaliśmy, aż zaczną pracować. Wykorzystałem mały teleskop, żeby sprawdzić, czy system działa, i działał! — F'lessan westchnął głęboko, z zadowoleniem. — Musimy go ponownie kalibrować, ale mam katalogi dla gwiazd, nad którymi będziemy pracować. Kiedy uruchomimy komputer i będziemy pewni, że precyzyjnie steruje teleskopem, możemy zacząć przeszukiwanie dowolnej części nieba. Erragon chce, żebyśmy je skanowali. Program umożliwia przestawianie głównego lustra soczewki. Obrazy będą pojawiać się na monitorze i my zdecydujemy, co jest warte zapamiętania.

Przerwał, odetchnął głęboko i po chwili znowu ruszył w górę. Zastanawiała się, po co Flessan tyle mówi podczas wspinaczki, ale cóż był urodzonym gawędziarzem. Zresztą miał miły głos i nie przeszkadzało jej to za bardzo. Ona sama zwykle miała niewiele do powiedzenia.

— Uruchomiłem też generator, więc nie jesteśmy skazani tylko na baterie słoneczne — zaśmiał się mimo zadyszki. — Ci Starożytni umieli bardzo sprytnie zaprzęgać do pracy energię z odzysku. Kiedy powiedzieliśmy Assigi, że odkryliśmy dawne urządzenia, przysiągłbym, że się zaśmiał.

— Zaśmiał? — Tai nigdy by nie pomyślała, że Assigi może mieć poczucie humoru. O mało się nie potknęła, ale zdążyła uchwycić się poręczy.

— Och, Assigi miał niesamowite poczucie humoru. Znasz taki; rodzaj milczenia, który oznacza, że ktoś się bezgłośnie śmieje? No więc, Assigi potrafił nagle zamilknąć, odczekać moment, a potem mówił dalej. Piemur był przekonany, że to przerwy na śmiech, ale Jancis przerażała sama myśl o tym, że maszyna mogłaby się śmiać.

Tai nie widziała jego twarzy, ale słyszała, że choć żartobliwie opowiada o Obrotach,

które spędził pracując pod nadzorem Assigi, w jego głosie dźwięczy szacunek, jakiego nie budzili nawet Przywódcy Weyru. Kiedy jej rodzice przybyli na południe do pracy na Ładowisku, Tai była młoda i aż do bólu naiwna — prosto z gór Keroonu. Ciągłe jej powtarzano, jak niezwykle szansą jest nauka na Ładowisku, więc skupiła się na pracy, by nie rozczarować nikogo, włącznie z Assigi. Wtedy nie miała żadnych pytań. Teraz, w obecności F'lessana, poczuła, że wreszcie może o coś spytać.

— Dlaczego Assigi był rozbawiony, kiedy odkryłeś to cenne urządzenie i generator?

— Podejrzewam — F'lessan wspiął się o kilka stopni wyżej, zanim jej odpowiedział — że Kenjo bardzo sprytnie wszystko rozgrywał. Na przykład za każdym przelotem na Yoko oszczędzał paliwo w małych paczkach, żeby móc latać na zbudowanym przez siebie samolociku. Wykorzystał też maszyny do żłobienia w skale w o wiele większym stopniu niż reszta kolonistów. Spójrz, jakie piękne miejsce tu stworzył. Jego żona, Ita, była artystką. Prawdopodobnie to ona namalowała freski w głównej sali i utkała niektóre gobeliny. Jesteśmy na miejscu — dodał z ulgą w głosie. Jeźdźcy stanowczo woleli latać niż wspinać się na duże wysokości.

Tai się nie przejmowała, że wspinaczka wąską, stromą klatką schodową przyprawiła ją o zadyszkę. Uda miała ociążałe, bolała ją też lewa łydka. Rozmasowała ją pospiesznie, gdy F'lessan wkładał klucz do zanika w tych drzwiach, do których tak trudno było dotrzeć.

Na początku nie widziała nic poza gładkimi, kremowymi ścianami poziomego skalnego korytarza w niesamowitym świetle punktowych reflektorków. Czowała lekki przepływ powietrza ku górze — chłodziło jej nogi, ciało, a nawet spocone czoło. Potem otworzyły się jakieś drzwi na poziomie wzroku. Na chwilę zrobiło się ciemno, bo F'lessan przez nie przechodził. Przesunął się na bok; w świetle dochodzącym z korytarza zobaczyła kolejną skalną ścianę. Weszła na kilka ostatnich schodków i znalazła się we wspinałym pomieszczeniu. Oszołomiona, zastygła bez ruchu i tylko wodziła wokół zdumionym wzrokiem. Środek drewnianej posadzki zajmował duży, ciemny przedmiot, górujący nad wszystkim.

F'lessan dotknął panelu przy drzwiach i jedno za drugim zabłyśły światła, mniej więcej na wysokości ich głów. Tai poczuła silniejszy ruch świeżego powietrza.

W jasnym świetle zobaczyła rurę teleskopu z Honsiu, tak grubego, że nie objęłyby go ramionami, długością przewyższającego wzrost F'lessana. Podtrzymał go potężny statyw w kształcie litery U, a gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że statyw opiera się z kolei na potężnej metalowej płycie, umieszczonej na stalowym obrotowym blacie.

Teleskop był ustawiony równikowo — zupełnie inaczej niż azymutowy, poruszający

się w górę i w dół, w lewo i w prawo teleskop w Warowni nad Zatoczką. Teleskop z Honsiu zrobiono z matowego tworzywa o kremowym zabarwieniu. Był wydłużony z przodu i tępo zakończony z tyłu; wiedziała, że kryje się tam 620–milimetrowe zwierciadło refleksyjne. Teleskop z Warowni, też miał takie lustro ale było ono wyraźnie widoczne, wbudowane w oprawę teleskopu; Tutaj wmontowano je w przezroczysty cylinder. Wnętrze urządzenia można było badać tylko z pomocą podłączonych do niego czujników. Tai zauważyła rurki chłodzące i kable elektryczne wchodzące do tubusa w jego środkowej części. Wiedziała, że prowadzą do kamery, która jest sercem urządzenia. Mały teleskop pomocniczy był zamocowany na górze, między dwoma cylindrami o nieznannej funkcji. Teleskop nad Zatoczki, klasyczny starożytny model Cassegrains, był o połowę dłuższy od tego, miał metrową soczewkę, a jego działanie optyczne opierało się na systemie luster w szarej obudowie z jakiegoś starożytnego sztucznego tworzywa. Tutaj był również drewniany podest, który zapobiegał przenoszeniu wibracji na teleskop; dzięki temu operatorzy mogli poruszać się swobodnie podczas obserwacji. Skała, na której zamontowano całość, nie miała prawa drgnąć; w Warowni nad Zatoczką zabetonowano teleskop na skalnej wyniosłości, wysoko nad morzem.

Tai z wahaniem podeszła do cylindra, zobaczyła, że jest osłonięty i zwalczyła ochotę, by go obejrzeć. Rozumiała poczucie własności, jakie F'lessan żywił wobec tego urządzenia. Wcale się nie spodziewała, że zechce się z nią tym dzielić, więc kiedy zechciał, była zachwycona.

— Patrz teraz! — powiedział i z uśmiechem pełnym oczekiwania uniósł lewą dłoń. Palcami prawej naciskał jakies panele; zaciekawioną, oderwała się od obserwacji urządzenia i statywu.

Zaskoczona spostrzegła, że na suficie pojawia się szczelina. Zbliżyła się do F'lessana, bo wydawało jej się, że to pęka lita skała. Zaskrzypiały tryby, połówki kopuły obniżyły się i powoli rozsunęły się na boki, znikając po obu stronach sufitu. Zatrzymały się nieco powyżej pasa lamp.

— Pełne otwarcie — zawołał dumnie F'lessan, wskazując ręką ruchomy dach. — Golly znalazł zasklepioną szczelinę w ścianie, gdy naprawialiśmy baterie słoneczne. Żadna skała nie pęka tak gładko — prychnął. — Razem z Jancis i Piemurem spędziliśmy tu wiele dni, oliwiąc, czyszcząc i naprawiając mechanizm.

Tai wiedziała, że ma głupią minę, gdy tak się gapi na wspaniałą panoramę południowego nieba. Aż westchnęła, gdy dwa czarne cienie znienacka pochyliły się nad otwartą kopułą.

To my, powiedziała Zaranth i ćwierknęła głośno, zadowolona, że udało jej się nastraszyć jeźdźczynię. Zamknęła nawet oczy, żeby jej nie zdradziły, teraz, gdy je otworzyła, widać było, jak radośnie wirują zielenią.

Chciałaś mnie nastraszyć, powiedziała urażona Tai, wciąż trzymając dłoń na gardle.

Golanth uważał, że to nie zaszkodzi, odparła pokornie Zaranth, lekko przechylając głowę w niemej prośbie o wybaczenie, Golanth gulgotał z rozbawieniem i pokazywał białe zęby. — Niezła z nich para błaznów — powiedział F'lessan, objął ją opiekuńczo i poprowadził ją blisko miejsca, gdzie usadowił się Golanth. Potem, swoim zwyczajem przechodząc w odmienny nastrój, powiedział szorstko: — Golanth, tylko nie wleź na baterię, gdy będziesz opuszczał ładunek. Tai, poradzisz sobie z tym, co Zaranth ma dla ciebie? Chciałbym, żeby przed świtem cały system sprawnie działał.

Sięgnął w górę; był na tyle wysoki, że mógł ściągnąć w dół ładunek, który Golanth posłusznie opuścił z krawędzi. Tai otrząsnęła się z chwilowej paniki — była tak zdumiona widokiem nieba, że nie poczuła obecności swojej smoczyca — i przejęła dobrze zabezpieczoną paczkę, która zwisała z pazurów Zaranth.

— Rozpakujemy je tutaj, Tai. Tu jest więcej miejsca. Sterownia jest pod nimi, w dół po schodkach — wskazał na drugą ścianę, gdzie mogła teraz dojrzeć następną klatkę schodową.

Naprawdę cię przestraszyłam, Tai? spytała z poczuciem winy Zaranth, przepaszając opuszczając zewnętrzne powieki.

Oczywiście, że tak, odparła Tai, a potem dała spokój. *Czy to Golanth uczy cię takich psot?*

Tylko takich, które mi się podobają, odparła smoczyca, mrugając kokieteryjnie. Tai odchrząknęła.

— Co my tu mamy, F'lessanie? — zapytała, zmieniając temat. Spojrzał na nią znad pudła, które rozpakowywał.

— Monitor! — odpowiedział. — Zapalę tam światło — dodał i poszedł w stronę schodów, stukając po klawiaturze. — Sądząc po wyglądzie tego obserwatorium, Kenjo miał fioła na punkcie bezpieczeństwa. Jakby ktoś mógł ukraść to urządzenie albo gwiazdy.

Tai bez trudu zeszła do sterowni po dziesięciu dobrze oświetlonych, równych schodkach. Stoły niedawno wycierano, a na półkach j nad nimi były gniazdka do urządzeń elektrycznych. Pod schodami j stały dwa fotele na kółkach. Panel biegł pod kątem, od gniazdko do teleskopu na piętrze. Tai ustawiła płaski monitor na podstawce — pasował idealnie. Nieżyjący od dawna Kenjo miał podobny sprzęt, przez który obserwował to, co —

jak miała nadzieję — i oni zobaczą przez ten teleskop.

F'lessan zszedł na dół z klawiaturą, dekodерem i dyskami. Jego oczy błyszczały oczekiwaniem. Nie marnując sił, położył cały ładunek na stole, a dyski wsunął na półkę, tak by było widać ich opisane grzbiety. Wyciągnął z kieszeni spodni kable i zaczął wszystko podłączać, mrucząc cicho, gdy przypominał sobie, co gdzie ma wetknąć. W końcu połączył cały system. Westchnął głęboko i zatknął ręce za pas. Potem sięgnął po dyski, stojące w rzędzie na półce, znalazł program kalibracyjny i wsunął go do stacji.

— Zobaczymy, czy się zaświeci. Oj, najpierw trzeba odsłonić oko — powiedział, będąc już w połowie schodów.

Usłyszała, jak tupie po drewnianej posadzce i jak poucza smoki, by znalazły sobie gdzieś wygodne miejsce do siedzenia, z dala od baterii słonecznych.

Zbiegł na dół zacierając ręce, wyciągnął fotele spod schodów, popchnął jeden w stronę Tai, sam usiadł na drugim i przez moment zatrzymał dłonie nad tablicą sterowniczą.

— Teraz — oświadczył z uśmiechem i radosnym błyskiem oczu — niech się stanie światło!

Wystukał kilka kodów i westchnął głęboko; gdy monitor ożył, wpisał następny ciąg poleceń, a potem skrzyżował ramiona na piersi.

— Nie zapomnij o oddychaniu, Tai!

Uśmiechnęła się; rzeczywiście nie zwróciła uwagi, że wstrzymuje oddech.

Obraz na monitorze się wyostrzył. Mieli przed sobą panoramę pomocnego horyzontu; w tę stronę teleskop trwał wycelowany przez wieki.

— A teraz — F'lessan zatarł ręce — przeprowadzimy kalibrację punktową. Do pierwszego sprawdzianu posłużę się Acrux. — Zmrużył oczy w uśmiechu, gdy przypominał jej o gwiazdzie, którą wskazywała ich pierwszego wieczoru w Honsiu.

Tai westchnęła; to kolejny dowód na to, ile czułości miał dla niej Flessan, nawet gdy o tym nie myślał.

— Wezmę poprawkę na upływ czasu od momentu, kiedy po raz pierwszy określaliśmy pozycje — dodał, a Tai wstała i ustawiła się za nim, patrząc jak wpisuje polecenia. Odważyła się delikatnie położyć mu dłonie na ramionach. — To na dobry początek — stwierdził F'lessan.

Czekając, aż system zareaguje na polecenie, podniósł jej prawą dłoń do ust i lekko ucałował. Nie spuszczał oczu z ekranu, gdy teleskop zaczął zmieniać pozycję tak, by przyjąć współrzędne Acrux.

— Kiedy znajdziemy dość czasu, będzie można zautomatyzować tę procedurę, ale nie

mogę się oprzeć pokusie, by się tym trochę pobawić. Ty miałaś więcej okazji do pracy ze sprawnym teleskopem niż ja.

Ułożył sobie jej rękę z powrotem na ramieniu i przyklepał.

— Aha, już jesteśmy!

Teatralnym gestem wskazał mrugającą rytmicznie Acrux, która pojawiła się na środku monitora. Pochylił się do przodu, gdy kalibracja przesunęła się nieco i potwierdził punkt obserwacji.

— Brak zauważalnych aberracji optycznych.

Uśmiechnął się do niej; w szarych oczach igrały iskiereki, zarażając ją entuzjazmem. Zachowywał się jak chłopiec, zachwycony, że system w Honsiu działa — jakby sam go zbudował. Nie mogła się powstrzymać i zwichrzyła mu czuprynę. Zaśmiał się cicho, zadowolony z tej odruchowej pieszczoty.

— A teraz Becrux — powiedział, wpisując współrzędne. Teleskop przesunął się posłusznie. — Genialny pomysł! — zawołał i popatrzył na nią z zachwyconą miną. — Kiedy już przeprowadzimy tyle kalibracji, że potwierdzimy dokładność obserwacji, dajmy sobie spokój z resztą tutejszego katalogu i skupmy się na czymś, co pobudzi naszą wyobraźnię. Na przykład na kulistych skupiskach, o których ostatnio czytałem, albo na spiralnych mgławicach. Albo na czymkolwiek, byle było daleko od Pernu!

Wpatrywała się w niego oszołomiona i pełna emocji na samą myśl. Często chciała po prostu wyjść wzrokiem gdzieś dalej, sięgnąć poza ten ciemny kwadrat i zobaczyć chmurzaste kaniony pełne ciemnych dziur, koła o różnych płaszczyznach obrotu, podobne do duchów kręgi planetarnych mgławic i wstęgi gazu rozpalone przez supernowe. Gorąco pragnęła obserwować wieczną i zmienną magię wszechświata.

— I zapiszemy obrazy tych, które nam się najbardziej spodobają, dobrze?

Odpowiedziała uśmiechem. Ale zanim F'lessan zaczął pracować z teleskopem, ucałował dołeczki na jej policzkach.

NOC W SZEROKIEJ ZATOCE, 2.9.31

Tagetarl miał fatalny dzień; starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic wobec uczniów i klientów, chociaż przez cały czas zastanawiał się, jak takie zachowanie powinno wyglądać. Na przykład, w normalny dzień nie parzyłby całych dzbanków kłahu przed świtem i nie zmywałby niezliczonych kubków. Teraz jak zwykle zaparzył jeden dzbanek przed otwarciem bram dla uczniów, a potem otworzył podwójne wrota Cechu. Zauważył lekki połysk drewna, ale kiedy głęboko wciągnął powietrze — na co najstarszy uczeń, Marley, przyjrzał mu się ze zdziwieniem — poczuł zapach ryb i tonera, a nie farby. Rozdając uczniom codzienne zadania poczuł, że stopniowo odzyskuje równowagę.

Kiedy usłyszał gwizd, musiał się chwilę zastanowić, o co chodzi; wreszcie zobaczył dwóch obszarpańców wtaczających na dziedziniec solidne beczki.

— Zgodnie z zamówieniem, Mistrzu Tagutarlu — wycedził starszy z obdartusów, sprawnie ustawiając swoją beczkę w kącie przy drzwiach po prawej. Typowe dla Cabasa, pomyślał drukarz, słysząc swoje przekręcone imię, więc tylko kiwnął głową w odpowiedzi. Drugi łachmyta ustawił swoją beczkę po przeciwnej stronie drzwi.

— Tak się należy — powiedział i z tym krótkim zapewnieniem obaj mężczyźni odeszli.

— Tak jak ci mówiłem, Marley — Tagetarl postukał w egzemplarz książki, by zwrócić uwagę starszego czeladnika. ;

Próbował skupić się na codziennych czynnościach, wypisując; zamówienie dla Mistrza Bendarka na papier o nietypowej gramaturze — cóż, z tym można było właściwie poczekać. Sprawdził, jak dziewczęta radzą sobie z szyciem okładek, skontrolował, czy Delart uważa, żeby nie marnować skóry przy przycinaniu i czy Wil starannie obcina ostrym, szerokim nożem tylko kartki, a nie własne palce. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie dałoby się odczepić tego noża od maszyny i użyć go przeciwko fanatykom tej nocy, czy też w każdej innej porze, jaką wybiorą, by zaatakować jego Cech.

Za każdym razem, gdy przechodził przez dziedziniec, widział, że Ola przelatuje z dachu na okno kuchenne, pilnując Rosheen. Nie powiedział swojej żonie o niczym, bo wyglądała rano na bardzo zadowoloną i prawdopodobnie zapomniała już o złych przecuciach. Miała poza tym do zrobienia bardzo trudną korektę podręcznika dla Cechu Kowali. Nie rozpoznał bladej Bisty wśród tłumu jaszczurek kręcących się w okolicy, ale Bista była równie przemyślna jak Cabas. Miał wrażenie, że dzikich jaszczurek grzejących się

na dachówkach jest tyle samo co zwykle. Ale czy na pewno były dzikie? Nie potrafił tego ocenić, uznał zresztą, że to bez różnicy. Jaszczurki ogniste były zmienne i nieodpowiedzialne.

Nie miał ochoty na lunch; denerwował się, że Rosheen będzie się złościć, bo nie powiedział jej o zagrożeniu Cechu. Zwykle mówił jej wszystko. Ale po co miała się martwić przez cały dzień? Powinna się skoncentrować na tym podręczniku; on nie potrafiłby się tym dzisiaj zajmować. Nigdzie nie było widać pomocników Cabasa ani ich pryncypała, choćby w przebraniu. Nie wiedział, czy ma przenieść papier z magazynu do Cechu, jak to zwykle robił pod koniec dnia. Ale czy ktoś wtedy nie zauważy, że odstąpił od codziennej rutyny? Bez przerwy przesuwiał ręką po drewnianych drzwiach i framugach, ale nie wyczuwał żadnej różnicy, a tym bardziej substancji, która potrafiłaby się oprzeć płomieniom.

Denerwował się, bo w jego biurze nie pojawił się żaden nowy klient, ale odczuwał też z tego powodu pewną ulgę. Jak odróżnić fanatyka od normalnych ludzi? Chodziło przecież o stan ich umysłów: o samowolną misję, która odbierała innym ludziom prawo do podejmowania decyzji, o pragnienie zlikwidowania wszystkich ułatwień, które funkcjonowały od pewnego czasu. Assigi udostępnił ludziom ogromne zasoby wiedzy. Odświeżył też informacje, które uległy zniekształceniu przez setki Obrotów i stanowiły nieocenione skarby wiedzy dla Cechów; trzeba je było tylko odszukać w Archiwum. Każda rozsądnie myśląca osoba skorzystałaby z tego, co mogło się przydać na Pernie, jak na przykład druk. Ale Tagetarl nie wymagał od nikogo, żeby czytano albo kupowano jego książki; o tym mieli decydować klienci. Mimo całego bogactwa procesów i produktów, które Starożytni znali i stosowali, prawidłowe wykonanie urzędzeń i odtworzenie procedur wymagało tyle pracy, że nikomu nie chciało się brać za rzeczy niepraktyczne. Zgodnie z tym, co powiedziała Mistrzynie Menolly — a wiadomo, że Sebell się z nią zgodził — nie wszystkie nowe rzeczy były pożyteczne. Ale decyzja należała do ludzi — nie można im było niczego odbierać z jakichś tam względów.

Ostrzegawczy gwizd Cabasa, składający się z pięciu tonów, zaskoczył Tagetarla; miał wrażenie, że dźwięki napłynęły znikąd. Obrócił się na pięcie w stronę głównej bramy, starając się opanować. On, Mistrz Tagetarl, który nigdy nie spóźnił się z wejściem na scenę i nigdy nie zapomniał melodii ani słów, czuł się nienaturalnie spięty, przestraszony i niepewny swojego. Co ma im powiedzieć? Co się mówi do ludzi, którzy planują zniszczyć cudze życie? Przechodnie wędrowali drogą i mijali Cech. Nagle do środka wszedł mężczyzna znany mu ze szkicu Cabasa: brakowało mu czubka wskazującego palca lewej dłoni, a na czole widać było zygzakowatą bliznę, ukrytą pod wełnianą czapką. Zatrzymał się na moment obserwując dziedziniec zwięzonymi oczami; miał pogardliwą minę, a w spojrzeniu malowała się złość.

Jakby nie mógł się doczekać zmian, które wkrótce miały zburzyć spokój i porządek panujące w Cechu Drukarzy, pomyślał Tagetarl.

— Dobry wieczór — odezwał się do niego na tyle uprzejmie, na ile pozwalała mu niepokój. Sięgnął po książkę, którą przedtem położył na jednej z beczek.

— Przyszedłem po książkę. Powiedziałeś, że ma być za siedmiodzień — stwierdził mężczyzna, jakby nie pokładał wiary w tej obietnicy. Mówił obojętnie, jakby ta sprawa miała być tylko pretekstem.

Starął się nie otwierać warg, jakby chciał schować zęby. Na portrecie Cabasa nie było tego widać. Rysownik nie był też w stanie oddać zapachu tego człowieka; starego potu, dymu z ogniska i zwierzęcych odchodów. Nie miał dziś na sobie góralskiej odzieży. Czarna skórzana kurtka i spodnie wyglądały na nieużywane, buty też były zdecydowanie nowe, choć już ubłocone. Mężczyzna poszedł przed siebie, a Tagetarl ruszył jego śladem, starając się wcisnąć mu książkę i pozbyć się go z Cechu.

— Trzy marki — powiedział, zaskoczony spokojnym brzmieniem własnego głosu. Czy to był Blizna, przywódca fanatyków? Wygląda na to, że uparł się, by po raz ostatni popatrzeć na zabudowania. Tagetarl przerwał ten obchód, wepchnął mu książkę do ręki i wyciągnął otwartą dłoń.

— Trzy marki — oświadczył.

Blizna pogrzebał w kieszeni i położył mu na ręce dwie całe marki i dwie połówki, wszystkie stemplowane przez tkaczy.

— Marki tkaczy ci wystarczą, Mistrzu Harfiarzu? — spytał bez pytającej intonacji.

— Mistrzu Drukarzu — poprawił machinalnie Tagetarl. — Marki tkaczy mają dobre gwarancje.

Do licha, czyżby ten człowiek chciał sprowokować bójkę? Albo rozpowszechnić plotki, że Cech Drukarzy gardzi markami tkaczy?

Blizna wyjął *Ballady* z dłoni Tagetarla tak ostrożnie, jakby miał do czynienia z czymś brudnym albo odrażającym. Tagetarl kochał drukowane przez siebie książki do tego stopnia, że czasem żał mu było się z nimi rozstawać. Musiał mocno zacisnąć w dłoni marki, żeby nie odebrać temu człowiekowi tomiku. Mężczyzna wsadził sobie książkę do kieszeni.

— Mistrzu Drukarzu — powiedział z dziwnym uśmiechem. — Macie dużo roboty?

Strzelał wokół oczami, obserwując budynek i podwórko, gdzie prawdziwi uczniowie zmiatali bruk i robili porządki. Jego wzrok na moment zatrzymał się na ciężkich wierzejach głównej bramy; wargi mu zadrgały, obnażając zęby.

— Sporo — odparł Tagetarl, zastanawiając się, jak się go pozbyć. Usłyszał, że drogą

nadjeżdża wóz, który po chwili przejechał przez główną bramę, rozsypując żdźbła słomy, którą poprzekładano bukłaki z winem. Tagetarl doskonale pamiętał, że ostatnio nie składał żadnych zamówień u lokalnego dostawcy i już chciał odesłać woźnicę, gdy przypomniał sobie słowa Cabasa.

Gdy tylko odwrócił na chwilę wzrok, Blizna gdzieś przepadł.

— Dostawa dla Mistrza Harfiarza? — spytał dostawca win, podnosząc rękę, by zwrócić na siebie jego uwagę.

— Mistrza Drukarza! — Tagetarl już drugi raz tego dnia musiał kogoś poprawiać; zastanawiał się, dlaczego ludzie zapomnieli dziś o jego tytule.

— Eee... przepraszam, panie. Jesteś Mistrzem Drukarskim Tagetarlem?

— Oto ja — Tagetarl miał nadzieję, że Cabas kręci się gdzieś w pobliżu i to słyszy.

— Obiecałem, że sam dostarczę — powiedział życzliwie krępy sprzedawca.

— No, no, a któż to wymagał takich specjalnych względów od kogoś tak zapracowanego jak ty? — spytał Tagetarl, mając przed sobą drugi komplet czarnej skórzanej odzieży; dostawca miał na sobie taką samą kurtkę, spodnie i buty jak człowiek z blizną. Dla odmiany cuchnął kwaśnym winem, co bynajmniej nie działało na jego korzyść. Na ramieniu miał autentyczny sznur czeladniczy. Tagetarl udzielił sobie w myśli nagany, że nie zauważył, czy Blizna miał jakiś sznur, a jeżeli, to jakiego cechu.

— Nie powiadomiono cię o dostawie? — Kupiec wyglądał na niepokojonego; wciągnął brzuch, jakby miał za ciasne spodnie. Kurierzy się lenią.

Tagetarl usłyszał stłumione przekleństwo; to obdarty służący zbierał rozsypane po dziedzińcu żdźbła słomy.

— Jak widzisz, to dobre bendeńskie czerwone — winiarz pokazał etykietkę, żeby Tagetarl mógł ją sobie przeczytać.

— Ano, rzeczywiście — drukarz był pod wrażeniem. — Rocznik czterdziesty drugi! Doskonały. Bardzo się cieszę. A czyje zdrowie mam wypić dziś wieczór, skoro list ofiarodawcy jeszcze nie dotarł?]

— Naturalnie Władcy Warowni — odparł gładko mężczyzna. Tagetarl gestem polecił służącemu, by odłożył miotłę.

— Hej, ty tam, zabierz to wino do kuchni. Dziś będziemy je pili za zdrowie Władcy Warowni. Pewnie spodobały mu się moje ostatnie publikacje — dodał prowokacyjnie.

— Chlubimy się, że dostarczamy wino z piwnic do piwnic. Trzeba się z nim umieć obchodzić — kupiec winny wyciągnął rękę, by powstrzymać niechcianego pomocnika.

— Niewątpliwie bardzo to miło z waszej strony — odparł twardo Tagetarl i milcząco

nakazał słudze wypełnić polecenie; wołał, by obcy nie wchodził do środka. — Widzę, że masz jeszcze i inne bukłaki. Może jest wśród nich białe bendeńskie, z dobrego rocznika? — Podszedł do wozu, żeby popatrzeć na etykiety wiszące na szyjkach bukłaków na wozie.

— Nie, nie — teraz z kolei przebrany winiarz powstrzymał Tagetarla. Lepsza zabawa niż sztuki odgrywane na Zgromadzeniach, pomyślał rozbawiony drukarz i cofnął się. — Nie ma tu nic, co mogłoby się równać z tym, które wam przywiozłem.

Sługa z nieoczekiwaną zręcznością i wprawą wsunął się pod bukłak i założył go sobie na ramię tak by niepotrzebnie nie wzburzyć wina, a potem wyprostował się i zaniósł swój ciężar po schodach do budynku. Na twarzy winiarza wyraźnie odmalowało się rozczarowanie. Chciałeś się rozejrzeć w środku, co? — pomyślał Tagetarl.

— Cóż, trudno — odparł jowialnie. — Miałem parę marek do wydania. — Mocno zacisnął w dłoni marki tkaczy. — Zatrzymaj się u mnie po drodze, jeśli będziesz miał dobre białe z czterdziestego piątego — złośliwie wymienił rocznik, który uznawano za bardzo marny.

— Doskonały wybór, Mistrzu eee... Drukarzu.

Tagetarl twardo odprowadził dostawcę do bramy i tam pożegnał. Obserwował, jak popycha swój wózek pod górę. Potem popędził z powrotem do Cechu, by zobaczyć, co Cabas zrobił z bukłakiem — jeśli tym obdartusem rzeczywiście był Cabas. Nie znalazł go w kuchni — i bardzo dobrze, bo Rosheen akurat gotowała kolację, pewnie chciałyby wiedzieć, skąd wziął się ten brudas i ten bukłak. Usłyszał echo kroków w piwniczce i poszedł w tamtym kierunku. Kiedy zszedł na dół, zobaczył, że bukłak tkwi w jednym z kamiennych koryt używanych do prania, a sługa odwinął dziurawe szmaty i szuka czegoś przy pasie.

— Tag, nalej ostrożnie jedną porcję — powiedział Cabas, bo to on zrobił z siebie obdartusa, wyciągając flaszeczkę podobną do tych, w których przewożono bezcenny dla podróżnych proszek do sprawdzania, czy woda z przydrożnych strumieni nadaje się do picia.

Tagetarl wziął starą szklanekę, odkorkował bukłak i nalał trochę wina, Cabas ostrożnie postukał we flakonik, by wytrząsnąć do szklanki kilka grudek proszku. Wino spieniło się powoli.

— Zasnąłbyś jak nieżywy, a może nawet zszedł z tego świata — stwierdził Cabas. Zatkanął bukłak. — To zbrodnicza próba pozbawienia cię przytomności i możliwości obrony Cechu. Gdzie to schowamy??

— Pod tym korytem, za mydlami do prania — zaproponował Tagetarl i pomógł Cabasowi wepchnąć tam bukłak, upewniając się po drodze, czy korek mocno siedzi. — I co, mamy dziś w nocy wypić to wszystko?

— Zwykle pijasz coś do kolacji.

— Ale tylko jabłecznik — zaprotestował Tagetarl. — Wino jest u nas na specjalne okoliczności. Ano, właśnie... skąd oni wiedzą, że pijemy przy kolacji?

— Pewnie cię obserwują. Okna kuchni wychodzą na drogę. Nie zamykacie okiennic przed pójściem spać — Cabas wzruszył ramionami. — A poza tym prawie każdy chętnie pije wino, które dostaje w prezencie, sam wiesz. Powiedziałeś przecież, że wypijesz zdrowie Władcy Warowni.

— Chyba nie miał na myśli Lorda Kashmana? — spytał Tagetarl. Cabas wysunął podbródkiem i wzruszył ramionami.

— Nie wymieniał nikogo konkretnego, prawda? A może chcą zrobić Lorda Toronasa, bo wino jest z Bendenu? A może jednak zasugerować Kashmana? Interesujące — dodał i delikatnie pociągnął nosem, czując aromaty dobiegające z kuchni. — Kiedy ma być ta kolacja? Przyłóż się do was. Tyle darmowego wina!

Do piwnicy zeszła Rosheen,

— Wydawało mi się, że widziałam kogoś obcego. Cabas? — popatrzyła na harfiarza, który zrzucił zewnętrzną warstwę szmat. — A co ty tu robisz?

— Rozumiem, że nic jej nie powiedziałaś? — Cabas westchnął ciężko i żałośnie.

— Czego mi nie powiedział? — popatrzyła na nich gniewnie.

— Miałaś rację, Rosheen. — Tagetarl zrobił smutną minę. Będziemy mieli kłopoty.

— Fanatycy? — wykrzyknęła, gdy obaj na zmianę opowiedzieli jej o wszystkim.

Jak zawsze, zareagowała zupełnie inaczej niż Tagetarl się spodziewał.

— Chcesz powiedzieć, że nie powiadomiłaś mnie, że mam ugotować porządną kolację dla twoich przyjaciół, Cabas? I kazałaś im czekać tyle czasu na tym okropnym stryszku?

— Mają ze sobą jedzenie, poza tym przespali prawie cały dzień — stwierdził Cabas spokojnie, jakby to było wystarczająco interesujące zajęcie. — Nikt nie powinien wiedzieć, że tu są.

Rosheen gwałtownie usiadła na schodach; zbladła jak płótno, gdy dotarło do niej, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się ich Cech.!

— To znaczy — na białych policzkach wykwitły rumieńce gniewu — że przez cały dzień trwałam w nieświadomości?

— Spokojnie, Rosheen, jedno z nas musiało zachowywać się naturalnie — łagodził Tagetarl.

— Dobrze, dobrze... powiem ci na ten temat parę słów, mój ty Mistrzu Drukarski Tagetarlu.

— Później, Rosheen — uspokoił ją Cabas. — Powiesz mu wszystko co zechcesz, ale dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim.

Wycelowała oskarżający palec w swojego męża.

— Kiedy? — spytała przerażonym, cichym głosem.

— Dziś w nocy, jeśli będziemy mieli szczęście — odparł Cabas.

— To ma być szczęście? — zdumiała się. — To dlatego Ola przez cały dzień nie spuszczała mnie z oka?

— Prawdopodobnie — zgodził się ochoczo Cabas. — A teraz zjemy kolację i upijemy się radośnie jakimś nieszkodliwym napitkiem z twoich zapasów. Może trochę tego dobrego jabłecznika? — spytał z dobrze udawaną naiwnością.

Rosheen wzięła głęboki oddech, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała i wskazała korytarz prowadzący do piwniczki.

— Harfiarzu, już ty dobrze wiesz, gdzie trzymam ten jabłecznik! — burknęła, odwróciła się i ruszyła po schodach, tupiąc głośno, by wyładować gniew.

— Chyba dobrze to zniosła — powiedział Cabas do Tagetarla. Znów zawinął się w szmaty. — Teraz pewien sługa wyjdzie sobie z warowni i zniknie w labiryncie uliczek. A po chwili od strony nabrzeża przyjdzie poważny, elegancko ubrany dżentelmen ze zleceniem dla Mistrza Drukarzy, które będzie należało omówić przy kolacji, gdy wszyscy będą znacząco wznosić toast za zdrowie Pana Warowni.

Tak też się stało, gdy nad Szeroką Zatoką zapadł zmierzch. Tagetarl z Cabasem, gdy już odegrali dłuższą scenkę wznoszenia toastu i próbowania znakomitego wina, poszli zamknąć główną bramę na noc. Ciężkie drewno nieboszczotki wymagało nie lada siły, by je pchnąć na miejsce. Tagetarl zamknął nietypowe zapadki po obu stronach zasuw.

— Nie martw się teraz, przyjacielu — powiedział Cabas gdy szli z powrotem do kuchni. Poklepał go pocieszająco po ramieniu. — Może i wejdą do środka, ale zapewniam cię, wcale nie łatwo im będzie wydostać się na zewnątrz. Nie zdążą też narobić szkód. Teraz wejdziemy do środka, udając że nic nie wiemy i pozamykamy drzwi.

Choć w ciągu dnia Cabas powiedział Tagetarlowi o różnych środkach ostrożności, wskazując miejsca, gdzie ukryli się jego ludzie, Drukarz był realistą i wiedział, że Nici nieraz opadają w nieoczekiwanych splotach.

— Spróbuj się odprężyć, Tag — skarcił go Cabas. — Myślę, że na sygnał Oli nadlecą jaszczurki ogniste z całej osady.

— Jeśli nie zapomną — mruknął pod nosem Tagetarl i lekko zadygotał. Noc była dość

chłodna.

Cabas zachichotał cicho i złośliwie.

— Wiesz, Bista też tu jest. Ona będzie pamiętać. Teraz muszę się zająć jeszcze jedną sprawą. — Klepnął go na pożegnanie po ramieniu i podążył do środka budynku krótkim korytarzem.

— Odprężyć się? — szepnął do siebie Tagetarl.

— Jak mogłeś nic mi nie powiedzieć przez cały dzień, Tag? — ofuknęła go Rosheen, wychodząc z kuchni.

— Jesteś absolutnie pewna, że wolałabyś wiedzieć wszystko od samego rana? — spytał ostrzej niż zamierzał i przepaszająco otoczył ją ramionami. Poczul, że cała drży.

— Chyba nie... ale byłeś bardzo dzielny, Tag.

— Dzielny? Cały trzęsę się ze strachu. Szkoda, że nie zamontowaliśmy tych stalowych drzwi!

— Stalowe drzwi nie przeszkodziły fanatykom wejść do Cechu Uzdrawicieli, prawda? Sami się wpuścili. Cóż, tutaj nie będzie tak łatwo!

Wyciągnął rękę, by zgasić światło w kuchni.

— Mam chichotać jak pijana, czy co? Udawać, że mi posmakowało winko od Władcy Warowni? A m—może p—powiniśmy zataczać się na schodach? — zająknęła się, podkreślając żartobliwy sens swoich słów.

— Nie wysilaj się, kochanie — odparł, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt ponuro. — Brama zamknięta, więc nikt nas nie widzi.

Objął ją w pasie, gdy szli na górę do sypialni, gasząc po drodze światła. Potem cichutko wrócili na parter i zupełnie ubrani ułożyli się na długiej kuchennej ławie. Rosheen wymościla ją poduszkami, żeby było wygodniej czekać.

— Czy Ola stoi na straży? — spytał ją szeptem.

— Jeśli będzie się za bardzo wysilać, straci czujność — pokazała mu długi cień na szerokim parapecie.

Mimo poduszek ława wcale nie była wygodna. Po długim, pełnym napięciu dniu Tagetarl doszedł do wniosku, że najgorsze jest długie czekanie w ciemności. Mógłby przez ten czas nanieść poprawki na tekst, który dziś drukował — gdyby maszyna jeszcze działała. Miał nadzieję, że ludzie Cabasa ukryci w Cechu nie pozwolą ruszyć maszyn. Próbował przypomnieć sobie słowa najnowszych pieśni, które Menolly przysłała do składu i przekonał się, że lepiej pamięta melodię. Potem usłyszał senne pomruki żony i uświadomił sobie, że Rosheen zasnęła z głową na jego ramieniu. Niepokoiły go ciche nocne odgłosy słyszalne w

budynku. Próbował rozpoznać każdy z nich i zaakceptować jako normalny. Dźwięki z innych zabudowań także. Ale nie na zewnątrz.

Kiedy walczył ze snem, ciche syknięcie Oli postawiło go na nogi. Potrząsnął Rosheen, która coś zamamrotała, zanim uświadomiła sobie, że ma być cicho. Poczuł, jak jej ciało sztywnieje.

Nagle jaszczurka zniknęła. Czyżby dotarło do niej coś, czego on nie usłyszał? Czy może zaryzykować i wyrzucić przez okno? Nadsluchiwał z takim napięciem, że zaboląły go uszy.

Jakiś hałas na zewnątrz. Tępy odgłos zasuwy z nieboszczotki obracanej w otworach. Uśmiechnął się. Niełatwo przyjdzie im znaleźć zabezpieczenia. Błysk płomienia: pochodnia? Przebiegł skulony do drzwi i przykucnął pod ścianą, tak by samemu coś widzieć i jednocześnie nie dać się zauważyć. Jego wzrok przyzwyczaił się już do ciemności, więc spostrzegł dwie krępe postacie, które usiłowały podnieść kłodę zamykającą bramę do Cechu. Przyłączył się do nich trzeci cień, wyraźnie widoczny na tle jasnego dziedzińca. Trójka? Cabas ocenił, że właśnie tylu ich przedostanie się przez dach przedziałni. Będą mieli za zadanie otworzyć bramy i wpuścić pozostałych. Jeszcze raz usłyszał tępe uderzenie; widać zasuwa dalej nie dała się wysunąć z uchwytów. Stłumił złośliwe zadowolenie z ich nieudanej próby. Nagle ponad krawędzią bramy ukazały się trzy cienie — głowy i ramiona, wyraźnie widoczne na tle jaśniejszego budynku po drugiej stronie drogi. Cienie zniknęły po krótkiej chwili. Czy to były stłumione okrzyki? Trzy sylwetki na dziedzińcu na moment zbliżyły się do siebie, a potem kolejny raz spróbowały unieść zasuwę.

Znowu zabłysło starannie osłaniane światło. Przynięto je do jednego końca upartej zasuwy. Tagetarl zaśmiał się. Mechanizm można było rozszyfrować tylko w pełnym świetle; była to niezwykle stara sztuczka. Kolejna narada; jeden z intruzów zaczął badać zamek. Ktoś zapalił zapalną, która wędrowała od jednej pochodni do drugiej. W rym świetle widział wyraźnie, jak podpalacz przechodzi przez dziedziniec i podtyka pierwszą pochodnię pod wrota do szopy, a drugą pod inne drzwi, nieco bardziej odległe. Ogień buzował wesoło. Tagetarl wstrzymał oddech. Może ta farba wcale nie jest ognioodporna? Obserwował uważnie, póki się nie zorientował, że choć języki ognia lizały drzwi, paliła się tylko pochodnia, a jej światło odbijało się od farby powlekającej drewno. Podpalacz zdaje się tego nie zauważyć, bo wrócił do zasuwy, która wciąż nie pozwalała się odtworzyć.

Jakiś ruch z tamtej strony zwrócił uwagę Tagetarla. Ktoś próbował niezgrabnie zsunąć się po skrzydle bramy, jednocześnie unikając zetknięcia z czymś na jej szczycie. Strasznie niezdarna metoda pokonywania wysokich przeszkód. Czyżby kolejna „niespodzianka”

Cabasa? Kiedy on zdążył zabezpieczyć bramę? Tagetarl nic nie zauważył bo gęste liście zwisały na pół metra nad jego głową. Napastnicy kłócili się o coś; widać to było po gwałtownej gestykulacji. Jeden z nich wskazywał na bramę, a drugi nie wiedzieć czemu na swoje krocze. Niezależnie od tego, o co chodziło, po chwili wszyscy zajęli się zasuwą. Policzył ich — okazało się, że po podwórzu kręci się co najmniej dziesięć cieni. W końcu zrezygnowali z podniesienia zasuw i ruszyli w stronę cechu. Może uznali, że robi się późno wywnioskował Tagetarl.

Co jest w tych beczkach? Drzwi Cechu nie były tak widoczne jak brama wjazdowa. Usłyszał odgłos ciężkich butów na kamiennej ścieżce wiodącej na ganek. Ciemna sylwetka potężnie zbudowanego mężczyzny zarysowała się w świetle pochodni, bezużytecznie dopalających się na dziedzińcu.

Cabas powiedział, że Tagetarl ma zatrzymać tych napastników, którzy będą próbować dostać się do Cechu od strony domostwa. Drukarz ścisnął w rękę pałkę, żalując, że wybrał tę mniejszą. Mężczyzna wydawał się bardzo potężny. Tagetarl nie brał udziału w żadnej bijatyce od czasów terminowania w Cechu. Usłyszał dźwięk jakiegoś narzędzia uderzającego o szkło i uśmiechnął się. Trzeba dobrze się napracować, by stłuc szkło produkowane przez Moriltona. Byłoby przy tym mnóstwo hałasu.

Ale napastnik przytknął coś do szyby i uderzył po raz kolejny. (Zabrzęczało szkło: to odłamki upadły na dywan w pokoju. Kolejny tępy odgłos: pękł zamek wejściowy. Gdyby Tagetarl i Rosheen wypili wino ze środkiem usypiającym, nic by nie usłyszeli. Potem nie było już czasu na zastanowienie, bo mężczyzna otworzył drzwi i zatrzymał się w progu, nadsluchując. Tagetarl cofnął ramię, bo intruz ruszył przed siebie; drukarz podszedł jego śladem. Tamten nagle się potknął i zaklął, padając na ziemię. Tagetarl wycelował w głowę; i uderzył go pałką; nagle poczuł, że ma bezwładne ramię, bo pałka trafiła w coś bardzo twardego.

— Mam cię — powiedziała Rosheen cicho, ale z wyraźną satysfakcją, a potem zobaczyła pałkę Tagetarla leżącą na solidnej żelaznej patelni, którą przed chwilą znokautowała napastnika.

— Nie widziałam cię, Tag!

Tagetarlowi trochę kręciło się w głowie od wstrząsu, wywołanego uderzeniem w patelnię, które znieczuliło mu całe ramię. Usłyszeli trzepot skrzydeł i nadleciała Ola, sycząc na napastnika. Przez stłuczone okno wśliznęły się gładko trzy inne jaszczurki.

— Jak go przewróciłaś? — spytał szeptem.

— Podstawiłam mu miotłę — odpowiedziała. — Usłyszałam, jak rozbił szybę. Gdzie

byłeś?

Tagetarl ruchem głowy pokazał na drugą stronę kuchni.

— Zrzućmy go do piwnicy, żeby się nie plątał pod nogami. — Jej głos brzmiał tak obojętnie, że Tagetarl popatrzył na nią zdumiony. Nie spodziewał się czegoś takiego po tej najpocziwszej z kobiet. — Ola z przyjaciółkami go upilnują.

— Jeśli go nie zabiłaś.

— A jeżeli nawet? Po co się tu pchał? — spytała schrypniętym szeptem.

Żył jednak. Chwycili go pod ramiona, pociągnęli na podest schodów do piwniczki i zrzucili w dół. Syczące jaszczurki ogniste poleciały jego śladem.

Ukradkiem wrócili pilnować otwartych drzwi do kuchni.

Rosheen aż się zakrztusiła, wskazując dłonią pochodnie płonące na dziedzińcu. Zatrzymał ją, bo już chciała tam biec.

— Popatrz uważnie — szepnął jej do ucha. — Nie pali się nic poza pochodniami.

— Tak, ale co będzie, gdy się zorientują, że ogień się nie rozpala? — odparowała gniewnie.

Gdzie podziewał się Cabas?

Nagle usłyszał donośne skrzywienie drewna, dziwny zgrzyt śrub wrywanych siłą ze swojego miejsca i stłumiony okrzyk triumfu. W świetle pochodni zobaczył, jak podwójne wrota do Cechu padają na bruk. Napastnicy, głośno wiwatując z radości, przebiegli po leżących na ziemi wierzejach. Moment później uszy Tagetarla przeszył przenikliwy gwizd; z wrażenia aż drgnął i zamrugał. Nagle dziedziniec wypełnił się skrzydłami i płomykami, które skupiły się w pobliżu wejścia do Cechu. Okrzyki zaskoczenia i protestu przeszły we wrzaski bólu. Tagetarl skoczył na równe nogi i z uniesioną wysoko pałką zbiegł na dół po dwa stopnie. Za nim pędziła Rosheen, wymachując patelnią.

Na szczęście biegli po lewej stronie dziedzińca, bo w pewnym momencie na kamieniach wylądowało coś dużego i szarego, o mało ich nie przygniatając. Tagetarl przykleił się do ściany i pociągnął Rosheen do siebie, niezdolny wyobrazić sobie, jakie jeszcze dzieło zniszczenia planują napastnicy. Ale z wnętrza jego Cechu zaczęły dochodzić gniewne, zdumione okrzyki, jęki bólu i przekleństwa.

— Won z mojej twarzy! — wrzeszczał ktoś. — Złamiesz mi żebra! Moja twarz, moja twarz!

Od strony bramy Cechu zawtórowały im niespokojne okrzyki i walenie pięścią.

— Co tam się dzieje? Otwierać! Tagetarlu! Mistrzu Drukarzu! Mistrzu Tagetarlu, tu Venabil! Co tam się dzieje? Uwaga! Do licha, czy widzicie to samo co ja? Uwaga! Cofnąć

się! Zróbcie przejście! Odsuńcie się!

Między łukowatym przejściem a zewnętrzną bramą było jakieś półtora metra przestrzeni, którą nagle wypełniła para wirujących pomarańczowych ślepi.

— Tagetarlu! Otwórz tę bramę!

— Chwileczkę! Zaraz! — ryknął w odpowiedzi Cabas. — Kto ma latarkę? Torjus, Chenoa, zgaście te pochodnie! Macy, pomóż mi zdjąć zasuwę!

Nagle światło zalało dziedziniec. Ktoś w Cechu pomyślał rozsądnie i włączył główny wyłącznik. Duży szary przedmiot, przed którym Tagetarl chciał się usunąć, popatrzył na niego dużymi tęczowymi oczami; drukarz zorientował się, że to biały smok Ruth. Jego jeździec właśnie zsuwał się na ziemię.

— Ach, więc to ciebie Ruth chciał ratować — powiedział na przywitanie lekko rozbawiony lord Jaxom.

— Skąd wiedziałeś? — Tagetarl powitał jego widok z prawdziwą ulgą.

— Dowiedziałem się tylko, że mam pojawić się tu i teraz. — Jaxom odpiął kurtkę, pod którą miał codzienne ubranie, a nie jeździeckie skóry. — Ruth mówi, że wezwano także N'tona z Liothem. Czy to oznacza, że miałeś nieproszonych gości? — wskazał na wyłamana bramę i kotłującą się obok ciemną płataninę. — Złapałeś wszystkich w jedną sieć?

Tagetarl, oszołomiony błyskawicznym rozwojem wydarzeń, właściwie nie zauważył, co się stało. A więc w tych beczkach były sieci? Właśnie, czy Cabas nie wspominał, że niektórzy z jego pomocników to marynarze? Genialny sposób.

W tym momencie nadleciały stada jaszczurek ognistych, które kręciły się przedtem nad bramą buchając płomykami z pysków. Zaczęły dziobać i drapać nogi, ręce i wystające z sieci części ciała uwięzionych w niej napastników. Okrzyki bólu, przerażenia i protestu niemal zagłuszyły gniew tłumu ludzi na zewnątrz Cechu, którzy domagali się, by ich wpuścić do środka.

— Jest jeszcze jeden — powiedziała Rosheen niemal bez tchu, czując zarazem dumę i ulgę. — Chciał wejść do domu, więc go znokautowaliśmy i wepchnęliśmy do piwnicy.

— Bardzo rozsądnie — odparł Jaxom podniesionym głosem, żeby w ogóle było go słychać. — A co takiego zrobiłeś, Tagetarlu, że rozdrażniłeś fanatyków?

— Czemu jesteś taki pewny, że to oni? — spytała Rosheen.

— A któż inny chciałby zniszczyć Cech Drukarski, kiedy większość ludzi na Pernie nie może doczekać się na prawdziwe książki? Dlaczego jesteśmy tu z N'tonem świadkami nocnego napadu na bezbronną siedzibę?

W tym momencie Cabas i Macy unieśli zasuwę z nieboszczotki; otwarto zewnętrzną

bramę, przez którą wlał się tłum ludzi wymachując pałkami, nożami i pochodniami. Pognali prosto ku wyważonym drzwiom do Cechu, ale nagle zatrzymali się zaskoczeni i popatrzyli w górę, na wiszącą nad nimi sieć.

— Jaxom, wszystko w porządku? — jakiś głos przekrzyczał gniewny ryk tłumu. Między ludźmi przeciskał się wysoki mężczyzna w stroju jeźdźca. — Lioth odebrał rozkaz, żeby natychmiast zawieźć mnie do Szerokiej Zatoki. Tagetarl? Czy to przypadkiem nie twój Cech Drukarski? — N'ton zatrzymał się gwałtownie, gdy rozpoznał, kto stoi obok Jaxoma. Nagle zrobił wielkie oczy i spojrzał przez ramię na rozkołysaną sieć. — Jak tam połów?

— Trzeba sprawdzić — powiedział Cabas, który właśnie wyszedł z cienia. Uprzejmie się skłonił Władcy Warowni i Władcy Weyru. — Być może działałem pospiesznie, ale dowiedziałem się, że Cech Drukarski jest prawie bezbronny. A skoro ten ośrodek ma znaczenie dla całego Pernu, na pomocy i na południu, uznałem, że należy chronić jego urządzenia przed zniszczeniem. Dostałem wczoraj murowaną wiadomość.

Tagetarl spostrzegł, że N'ton z Jaxomem wymieniają się spojrzeniami, ale mimo harfiarskiego wyszkolenia potrafił wyczytać tylko dziwny żal na twarzy N'tona i smutek Jaxoma.

— Nie ma wątpliwości, że celem było zniszczenie Cechu? — spytał N'ton. Cabas potrząsnął głową.

— Trzech przeszło przez dach — wskazał kierunek i podniósł głos, by przekrzyzczeć tłum — żeby otworzyć główną bramę, podpalić pochodniami składy z papierem i wyrwać drzwi do Cechu z zawiasów.

— Ale drzwi nie zostały otwarte — stwierdził N'ton.

— Cóż, bardzo się o to starano — wyjaśnił Cabas.

— Jeden z nich zbił szybę, otworzył drzwi do domu, a Rosheen walnęła go patelnią — dodał Tagetarl. Wciąż odczuwał ból ramienia wywołany zderzeniem.

— Jest też sprawa zatrutego wina — uzupełnił Cabas.

— Zatrutego wina? — zdziwił się Jaxom.

— Złapaliście w sieć tych, którzy chcieli wejść do Cechu? — spytał N'ton.

— Dopiero gdy wyważyli drzwi — odparł Cabas, który starał się wyglądać jak uosobienie urażonej niewinności.

— Hej, patrzcie, ogniste jaszczurki odbierają nam całą zabawę! — zawołał ktoś z tłumu kłębiącego się przy wejściu do Cechu.

Widać było, że jaszczurki uniemożliwiają tłumowi zbliżenie się do jeńców. Jaxom zwrócił się do Rutha i poklepał go po białej łopatce.

— Odwołaj je, Ruth, i przekaz nasze podziękowania. Były wspaniałe.

Ruth uniósł głowę i wydał niezwykle gulgot. Nie tylko uciszył w ten sposób tłum, ale także sprawił, że wszystkie jaszczurki zniknęły, wykonawszy najpierw dramatyczny nalot na tłum, tak niskoj, że najwyżsi widzowie musieli się schylić. Jaxom ruszył przed siebie, zapraszając gestem towarzyszy, by poszli za nim. Ludzie rozstąpili się na boki, pozwalając mu podejść do zniszczonej bramy leżącej na bruku. Rozmowy ucichły. Nareszcie znalazł się ktoś, pokieruje rozwojem wypadków. 1

— Opuścić sieć! — rozkazał Jaxom. Pomocnicy Cabasa skoczyli, by spełnić polecenie.

— Poczekajcie! — zawołał ktoś po prawej stronie. Z tłumu wystąpił potężny mężczyzna w rybackiej czapce, z naramiennym sznurem oznaczającym Mistrza. — Lordzie Jaxomie, jeśli zostawisz ich w sieci, przyczepię sieć do rufy mojego statku i zaholuję ich na głęboką wodę! Oszczędzimy sobie fatygi!

Tłum ryknął, zachwycony taką surową sprawiedliwością.

— Niestety, kapitanie, jeszcze ja tu jestem — powiedział Jaxom, a na jego twarzy odmalował się głęboki żal. — Jest też Władca Weyru N'ton i Mistrz Drukarski. Musimy więc zastosować zwyczajową procedurę.

— Czyli? — spytał rybak, niezadowolony, że odrzucono jego rozwiązanie.

— Zgodnie z Kartą — powiedział Jaxom. Odwrócił się powoli w stronę publiczności, mierząc wzrokiem po kolei wszystkich ludzi stojących na przedzie. — Według Karty rządaliśmy się dobrze przez minione dwa tysiące pięćset Obrotów. Władca Warowni, Władca Weyru i Mistrz dowolnego Cechu mogą poprowadzić proces.

— No to do roboty! — ryknął kapitan, a tłum odpowiedział zachwyconymi okrzykami.

— Nie możecie tego zrobić! — zawołał jeden z pojmanyh, próbując wyrwać się z sieci. — Nie zrobiliśmy nic złego!

Z sieci wypadł kamieniarski młot; Tagetarl spostrzegł, że nie było to jedyne narzędzie napastników.

— Tylko dlatego, że wam na to nie pozwolono! — ryknął śmiechem kapitan, odrzucając głowę do tyłu.

Tłum zawył z zachwytu.

— Wolicie sprawiedliwość kapitana? — zapytał Jaxom.

— To nie jest sprawiedliwość! — krzyknęła jedyna w sieci kobieta. — Puść mnie! — dodała gniewnie pod adresem kogoś z tyłu, uwięzionego razem z nią. — Nie macie prawa

zrobić czegoś takiego.

Kolejny ciężki przedmiot zadzwonił o bruk.

— Cabas, sprzątnijcie ten złom i opuście sieć — polecił Jaxom, zły, że jego wysiłki zmierzające do zaprowadzenia porządku nie przyniosły efektu. — Zobaczmy, coście złapali. Proszę, proszę! Czarnogębe żelazne płetwy! Cała ławica! Znasz tego rybaka, Tag? — spytał drukarza na stronie.

— To kapitan Venabil — odparł Tagetarl. — Jest tu znany, ale nikt nie odważy się wejść na jego statek bez pozwolenia.

Sieć opadła gwałtownie na ziemię; dotkliwie potłuczeni napastnicy nie żalowali sobie jęków, przekleństw i okrzyków bólu. Kiedy bezceremonialnie wytrząsnęto ich z sieci, jak olbrzymie ryby, niektórzy upadli na twarz, inni na kolana. Wszyscy byli oszołomieni kołysaniem.

— Hej, wy tam! — Cabas przejął dowodzenie. — Wstawać! Do szeregu! — szarpnął jednego z mężczyzn za ramię i polecił swoim pomocnikom, by zmusili resztę do wstania. — Przeszukać ich.

Stopniowo na stosie narzędzi przybывало noży, łomów, zapalek i długich prętów. Cabas spacerował wzdłuż nierównego szeregu jeńców.

— Nic innego nie mieli przy sobie? — spytał N'ton, przypominając sobie Warownię Fort i podejrzany brak jakichkolwiek przedmiotów osobistych.

— Ubrania! — rzucił ktoś z tłumu, śmiejąc się głośno.

— Trochę podarte, przynajmniej niektóre — dodał ktoś pogardliwie.

— Co za żalosna banda! — stwierdził kapitan Venabil i pokręcił głową. — To jasne jak słońce, że te łotrzyki nie miały nic dobrego na myśli, gdy ukradkiem dostały się nocą do Cechu z uczernionymi twarzami i tak dalej. Szeroka Zatoka to nie dzika osada i nie chcemy tu takich łobuzów. Jakie są te twoje ustalone procedury, Jaxomie? Chciałbym przed świtem wrócić na statek.

Jaxom skłonił się lekko w jego kierunku.

— Czy nie powinniśmy wezwać lorda Kashmana? — zawołał ktoś z tłumu. — To nasz Władca i ma za zadanie rozprawiać się ze wszystkimi, którzy zakłócają spokój... ze złodziejami, włamywaczami i tak dalej.

— Ale tylko w sprawach Warowni — natychmiast odparował Cabas. — A to jest sprawa Cechu Harfiarzy. Jeśli jednak któryś z was —zwrócił się do pojmanych — jest z tej Warowni, może wystąpić. Jestem pewien, że lord Kashman zapewni wam wszelkie wygody.

Przerwały mu pogardliwe komentarze; zebrani stwierdzili, że sieć jest o wiele

wygodniejsza niż miejsce, gdzie się trzyma podobnych łotrzyków w Warowni Keroon.

— Jak mówiłem — ciągnął Cabasa z nikłym uśmiechem — jeśli któreś z was jest z tej Warowni, możecie zostać do niej przewiezieni i czekać na wyrok lorda Kashmana.

Nikt z więźniów nie zgłosił takiej chęci.

— Podać imiona, nazwiska i rangę, jeśli ktoś ją ma — powiedział N'ton władczo, stając obok Cabasa.

Nie było odpowiedzi. N'ton tylko wzruszył ramionami.

— Wnioskuje, że ci ludzie zostali złapani podczas próby nielegalnego wejścia do uprawnionego Cechu z zamiarem zniszczenia go. Jaki jest wasz wyrok, Mistrzu Tagetarlu i Mistrzu Mekelroy?

Tagetarl, sam zaskoczony falą gniewu i poczuciem krzywdy, które ogarnęły go w jednej chwili, przysunął się do Cabasa, wpatrując się w wandali. Od razu poznał fałszywego winiarza po podartych spodniach — nie pasowały na niego, kiedy go ostatnio widział — ale nie mógł wypatrzeć Blizny ani kobiety, sportretowanej przez Cabasa po pierwszej wyprawie do górskiej kryjówki fanatyków. Do bogatej gamy uczuć Tagetarla doszło więc także zmartwienie z tego powodu.

— Dlaczego chcieliście zniszczyć ten cech? — spytał z taką wściekłością w głosie, że najbliżej stojący napastnicy cofnęli się ze strachem. — Dlaczego?

Przycisnął zwinięte w pięści dłonie do ciała, bo miał nieodpartą ochotę wydusić siłą prawdę z ludzi, którzy z radością zniszczyliby to wszystko, co z takim trudem budował.

Postąpił krok do przodu.

— Kłamstwa! — Stojący przed nim człowiek uniósł ręce obronnym gestem i cofnął się, jakby chciał uniknąć ciosu. — Musimy niszczyć kłamstwa!

— Jakie kłamstwa? — spytał Tagetarl, nie spodziewając się odpowiedzi, a już na pewno nie takiej.

— Kłamstwa, które drukują harfiarze. Krążą po całym Pernie! — krzyknął mężczyzna, wymachując rękaw stroną Cechu i półek z wydrukowanymi książkami.

— O co chodzi z tymi kłamstwami? — spytał Tagetarla kapitan Venabil.

— Ja nie drukuję kłamstw! — zawołał głośno Tagetarl.

— Ale drukujesz książki. Stosujesz przewrotne sposoby Ohydy. Rozdajesz ohydne rzeczy!

Kapitan Venabil uniósł wielką pięść i podskoczył ku mężczyźnie, który aż przykucnął ze strachu.

— Ha! Ohyda, co? Ci ludzie to dopiero ohyda! — zwrócił się do tłumu. W jego

wzroku malowały się gniew i niesmak. — Tchórzliwe łajdaki, które zakradają się nocą, żeby niszczyć to, czego nie rozumieją, bo są na to za głupi!

— Musimy powstrzymać kłamstwa! Musimy oczyścić Pern! —zawołała stojąca dalej kobieta. — Musimy uwolnić Pern od Ohydy.

— Co za idiotyczne pomysły! — pogarda kapitana znalazła odbicie w głośnych pomrukach tłumu. — Teraz Pernowi potrzebna jest pomoc i jeszcze raz pomoc!

— Co by się z nami stało, gdyby Assigi nie ostrzegł nas przed upadkiem ognistej kuli i przed powodzią? — spytał jakiś mężczyzna, wymachując pięścią. — Kapitan miał dobry pomysł. Utopić ich!

Tłum zaczął rytmicznie powtarzać: „Utopić, utopić”. Brzmiało to coraz głośniej i groźniej.

— Z powrotem do sieci! Wrzucić rybki do morza!

— Zasmrodzą nam port!

Ruth zatrąbił z całej siły, zagłuszając ryk tłumu. Na zewnątrz Cechu odpowiedział mu Lioth. Zapadła głucha cisza.

— Jesteście wrogami Assigi? — spytał Jaxom dziwnie opanowanym głosem. Wpatrywał się w jednego z najwyższych mężczyzn, który spoglądał w dal nieobecny wzrokiem.

— Tak, jesteśmy! — śmiało zakrzyknęła kobieta jednocześnie z winiarzem, który zawołał.

— Nie przyznajemy się do niczego!

— Myślę, że w tym przypadku należy uwierzyć kobiecie — skomentował kapitan Venabil ironicznie i tak głośno, że słyhać go było nawet na obrzeżach tłumu.

— Działali razem, no nie? — spytał ten, który przedtem wymachiwał pięścią. — Razem wyrwali drzwi, razem próbowali podpalić składy.

— Właśnie, podpalić składy! — przez tłum przepchnął się drobny, przygarbiony człowieczek; gwałtownie gestykulował, wskazując na składy i na tylną część dziedzińca. — Mogliście przy okazji spalić i mój zakład! Jestem Colmin, czeladnik tkacki, a w tym magazynie jest wszystko, co wyprodukowałem przez zimę.. Stosuję tylko tradycyjne wzory, a przecież mogliście mnie zrujnować! Zrujnować!

— Nie lubimy tu podpalaczy w Szerokiej Zatoce! — zawołała jakaś kobieta, przykładając dłonie do ust, żeby było ją dobrze słyhać. — Mów ty, Harfiarzu! To na twój cech napadli!

— Osoby, którym dowiedziono przynależność do fanatyków, traktuje się inaczej —

krzyknął Cabas i zwrócił się do N'tona i Jaxoma. W ostateczności może być wygnanie — dodał ciszej.

— Cóż, miło to słyszeć — powiedział kapitan Venabil i zmarszczył czoło. — Ale co to ma znaczyć, Harfiarzu Mekelroy?

Widzowie ucichli, by usłyszeć słowa Cabasa.

— Rada sugeruje, by karą za przewinienia dokonane przez fanatyków było zesłanie!

Ruth i Lioth znowu musieli trąbieniem uciszyć dziki hałas, który zapanował po tych słowach.

— Nie możecie nas skazać na zesłanie! — zawołał winiarz i rzucił się na Cabasa. Natychmiast pochwyciło go dwóch pomocników, którzy sądząc po ich brutalnym zachowaniu tylko czekali na taką okazję, j

— Dlaczego nie? — spytał Jaxom.

— Bo wszystkie wyspy zatoneły.

— To nic — powiedział cicho N'ton — chyba znajdziemy dla was coś odpowiedniego.

— Nie możecie nas zesłać! My ocalimy Pern! To niesprawiedliwe!

Pojmani fanatycy porzucili milczenie. Zaczęli się szarpać i wyrywać, szukając drogi ucieczki. Niektórzy usiłovali przebić się przez tłum do wyjścia. Widzowie z radością powitali okazję do zabawy. Wołano o liny do krępowania jeńców i o szmaty na kneble.

— Gdzie są w końcu te twoje ustalone procedury, lordzie Jaxomie? — dopytywał się zdyszany kapitan Venabil.

— Władca Warowni, Dowódca Weyru i Mistrz Rzemiosła mogą wprowadzić w życie każdy dekret Rady — wyjaśnił Jaxom. — Tak jest napisane w Karcie, każdy może to sprawdzić. Musimy to zrobić w obecności odpowiednich świadków.

— Poświadczamy! Będziemy świadczyć! Byliśmy tu! Łatwiej ich potopić! Będzie szybciej! Na wygnanie! Precz z nimi!

Jaxom uniósł ręce i odwrócił się twarzą do tłumu.

— Ci, którzy nie chcą być świadkami sądu nad tymi ludźmi, mogą odejść bez żadnych konsekwencji.

Później Tagetarl przypomniał sobie, że nikt nawet nie drgnął.

— A zatem dekret Rady został zatwierdzony. Dowódco Weyru Atonie, proszę wezwać pomoc — rzekł oficjalnie Władca Weyru Ruatha.

— Tak po prostu zrzucicie ich z góry? — spytał kapitan Venabil z poważną miną, jakby oszołomiony wyrokiem.

— Nie zrzucimy — N'ton podkreślił ostatnie słowo. Widać było, że panuje nad wewnętrznym konfliktem. — Otrzymają zapasy, jedzenie i wodę w ilości wystarczającej — przerwał na moment — do przetrwania.

— Ale... ale...

N'ton uciszył go spojrzeniem.

— Ja — wskazał kciukiem na siebie — i tylko ja będę wiedział, gdzie ich zostawimy. A na Morzu Wschodnim i w archipelagu jest mnóstwo wysp, gdzie można... odizolować niszczycieli.

— Będzie im lepiej niż sobie zasłużyli, Władco Weyru. Lepiej niż zasłużyli — kapitan Venabil z pełnym szacunku ukłonem wmieszał się w tłum. Niełatwo jest decydować o życiu innych ludzi.

Emocje tłumu opadły. Zaczęły się przyciszone rozmowy. Cabas posłał dwóch ludzi po nieprzytomnego mężczyznę z piwnicy. Związano mu ręce na plecach i włączono do szeregu fanatyków, stojących w pobliżu wyłamanych drzwi do Cechu.

Tagetarl, widząc że Rosheen dygoce, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

— To zgodne z prawem, wiesz? — szepnął.

— Wiem. Czytałam Kartę. Nie myślałam tylko, że będziemy musieli się na nią powoływać.

— Może i dobrze, że zostaną odizolowani — mruknął Tagetarl. Przepętniony gniewem, gotów był atakować tych ludzi, ale w jego naturze nie leżała gwałtowność. — Z kopalni mogliby uciec, wrócić tutaj i zacząć wszystko od nowa. Chyba dobrze jest wiedzieć, że nic nam już nie zrobią, choć może kiedyś, później, zechcemy ich uwolnić.

Przytuliła się do niego, kręcąc głową. Nie powiedział jej, że nie udało się schwytać dwóch przywódców grupy obserwowanej przez Cabasa: Blizny i tej niezgrabnej kobiety z Tilleku. Oznaczało to, że z warowni i cechów nie zniknęli jeszcze ostami fanatycy.

Na niebie pojawiły się smoki; ich wirujące oczy wyrażały spokój, gdy bestie szybowały na dziedzińcem. Było ich pół skrzydła. Jakby znikąd pojawiły się jaszczurki ogniste. Krążyły wokół nich zataczając koła i nawołując się melodyjnymi, niesamowitymi głosami.

— Wylądują na nabrzeżu — powiedział N'ton, wskazując kierunek.

Nabrzeże leżało przy sąsiedniej ulicy; w tłumie nie brakowali osiłków, którzy ochoczo przenieśli tam wrywających się i szarpiących fanatyków. Więźniowie przez kneble błagali, by ich puścić wolno. Ruth przycupnęła opodal, obserwując, jak fanatyków wciąga się na smoki i wiąże razem z workami, które miały razem z nimi znaleźć się na wyspie.

N'ton skoczył na grzbiet smoka.

— Jeźdźcy, weźcie współrzedne od Liotha! — powiedział na tyle głośno, że słyszeli go wszyscy obserwatorzy. Uniósł ramię i dał sygnał do wzniesienia się w niebo. Dobrze go było widać w światłach portu.

Tagetarł pomyślał, że nigdy nie widział czegoś tak wspaniałego: dwanaście smoków skoczyło w ciemną noc, a za nimi pomknęły stada eskortujących je jaszczurek ognistych, które zniknęły w *pojemności* jednocześnie ze smokami.

Świadkowie niewiarygodnych wydarzeń tej nocy w milczeniu rozeszli się do domów albo na zakotwiczone przy nabrzeżu statki.

— Nie było innego wyjścia, lordzie Jaxomie, Mistrzu Tagetarlu — powiedział kapitan Venabil cichym, surowym głosem. Podał im rękę i ruszył wzdłuż nabrzeża.

— To prawda, nie było innego wyjścia — stwierdził Cabas, gdy wszyscy skierowali się w stronę Cechu.

Cabas podszedł do Jaxoma, który włókł się z tyłu ze spuszczoną głową.

— Był wśród nich Dorse, prawda, Jaxomie? — ciche pytanie było przeznaczone tylko dla uszu lorda. Władca Warowni zgromił go takim spojrzeniem, jakiego Harfiarz nie pamiętał od czasów uczniowskich.

— Bez cechu, bez warowni — odparł w końcu Jaxom. — Choć to mój mleczny brat, co mogłem zrobić?

— Szedłem jego śladem, Jaxomie — mruknął Cabas. — Od bardzo dawna.

— Może ty. Ja nie.

— Wiem — w głosie harfiarza zabrzmiało głębokie współczucie.

— Tkwił w tym od samego początku?

Cabas wzruszył ramionami.

— Nie wiemy nawet, kiedy odrodził się ruch fanatyków. Nie wszystkim uczestnikom dzisiejszych... wydarzeń zależy na czystości Pernu i na tradycjach. Nie wątpię, że część z nich kieruje się ślełą wiarą w to, czego nauczyli ich rodzice. Niektórzy to górale, którzy uczyć się raczej nie lubią, jak na przykład ci z lasów Południowego Bollu, ze szczytów w górnym Telgarze i Lemos albo nomadzi z pustyni Igeny. Oni po prostu boją się zmian. Może nawet drażni ich, że straciliśmy Czerwoną Gwiazdę, na którą zawsze można było zwalić winę, jeśli coś poszło nie tak. Niestety, dwie osoby, które moim zdaniem wzniecały niechęć do uzdrowicieli, a teraz do nowych technik drukarskich, umknęły nam dzisiejszej nocy. — Cabas pozostawił Jaxoma smutnym myślom i przyspieszył, by znaleźć się obok Tagetarla. — Mistrzu Drukarzu, dobrze byłoby wydać krótkie oświadczenie o wydarzeniach dzisiejszej

nocy. Kurierzy rozpowszechnią prawdziwą wersję.

Prawdziwa wersja i tak nie uwzględni imienia mlecznego brata lorda Jaxoma z Ruathy, który przystał do bandy niszczycieli, zesłanej na wygnanie tej nocy.

Przy otwartych drzwiach Cechu stała grupka ludzi. Był tam także Ruth, który posłusznie czekał na powrót swojego jeźdźca.

— Jeśli dziś lub jutro będzie ci potrzebna jakaś pomoc, Mistrzu Tagetarlu — powiedział jeden z mężczyzn, występując naprzód — chętnie pomożemy przy naprawach.

Tagetarl podziękował. Pamiętał, że trzeba zrobić nowe drzwi do Cechu. Czułby się pewniejszy, gdyby były stalowe, ale nie miał dość marek, a poza tym Kowale mieli na pewno co innego do roboty.

— Jeśli ktoś z was jest cieślą...

— Pięciu, Mistrzu. Tylko dlatego zwracamy ci głowę.

— Jestem wam bardzo wdzięczny. Przyjdźcie rano, kiedy wam czas pozwoli.

Ledwie odeszli, z ciemności nocy wychyliły się dwie jaszczurki ogniste i przysiadły na ramionach Rosheen i Cabasa.

Jaxom podszedł do smoka i wskoczył na jego grzbiet. Tagetarl uniósł dłoń na pożegnanie, ale Władca Ruathy chyba tego nie zauważył. Mistrz Drukarzy z Cabasem w milczeniu zamknęli bramę. Potem Cabas ruszył w stronę stryszku, gdzie niewątpliwie zadomowili się jego pomocnicy. Tagetarl i Rosheen skręcili w prawo i poszli po schodach do swojej kwatery.

Rano, kiedy pięciu cieśli wstawiło nowe słupki do bramy z drewna nieboszczotki, jak go dumnie poinformowali — Mistrz Tagetarl zaniósł do Stacji Kurierów dokument, nad którym razem z Rosheen spędzili bezsenną noc.

Mistrz Kurierski Arminet wydymając usta przeczytał tekst.

— Dobrze napisane, Mistrzu Tagetarlu. Dobrze napisane — chwalił. — Dołączę do każdej przesyłki przechodzącej przez naszą stację. Mogę nawet potrzebować więcej egzemplarzy.

Tagetarl chciał zaprotestować, ciekaw, ile jeszcze będzie musi wydać marek przez te nocne ekscesy.

— Zatrzymaj marki w kieszeni — dodał Arminet, odpychając dłoń z zapłatą.

— To ogłoszenie Cechu Harfiarzy...

— Nie, to ogłoszenie publiczne — odparł Arminet i wyprostował się z godnością, choć nie dorównywał wzrostem dobrze zbudowanemu Tagetarlowi. Rzucił mu pełne pasji spojrzenie. — To ja decyduję o tym, co będą rozpowszechniać kurierzy tej Stacji, a czego nie.

Ludzie z Szerokiej Zatoki ciężko przeżyli zniszczenia dokonane przez te wyrzutki z cechów i warowni, Mistrzu Tagetarlu, więc należy o wszystkim powiadomić także innych, by szczegóły całej sprawy nie wzbudzały niczyich wątpliwości. — Postukał palcem w ostatni akapit. — Ponieważ byłem jednym ze świadków, mogę potwierdzić, że wszystko odbyło się dokładnie tak jak piszesz. Dziękuję, Mistrzu Tagetarlu. Niech nikt nie mówi, że kurierzy uchylają się od pomocy w tej sprawie.

WAROWNIA RUATHA, PÓŻNY WIECZÓR, 2.9.31

— Rozpoznałeś jednego z nich, prawda, Jaxomie? — zapytała cicho Sharra. Przez cały dzień obserwowała milczącego męża. Wiedziała, że poprzedniej nocy wezwano go gdzieś, a gdy powrócił, próbował ukryć przed nią zmęczenie i troskę. Podczas południowego i wieczornego posiłku prawie nic nie jadł, grzebał tylko w talerzu widelcem. Pobawił się godzinę z synkami, ale nawet przy tym nie okazywał zwykłego entuzjazmu.

Czekała, nie narzucając się, w nadziei, że on zechce się podzielić smutnymi wiadomościami. Tylko raz widziała go tak przygnębionego: gdy przewodniczył sądowi, który skazał na wygnanie porywaczy Mistrza Robintona.

Kiedy poszli do siebie i Jaxom oparł się o parapet okna, gapiąc się w noc, o mało nie zaczęła go wypytywać, ale właśnie wtedy westchnął głęboko.

— Polecieliśmy z Ruthem do Szerokiej Zatoki, na pomoc Tagetarłowi. Próbowano zniszczyć Cech Drukarzy.

— Kolejni fanatycy?

A któż inny mógłby to być? — pomyślała. Przecież wszyscy rzemieślnicy z entuzjazmem powitali powołanie Cechu Drukarzy.

Kiwnął głową, nie rozwijając tematu.

Zapadło milczenie. Sharra obserwowała męża; w roztargnieniu gładził ciężką brokatową zasłonę, która w zimowe miesiące nie pozwalała, by chłód wnikał do ich sypialni. Czekała cierpliwie. Wiedziała, kiedy coś go dręczy.

— Dorse był wśród nich.

Poczuła, jak coś w niej drgnęło w odpowiedzi na tę spokojną, chłodną uwagę. Jaxom niespecjalnie miło wspominał swojego mlecznego brata, ale nie przesądzał niczego przez długi czas po śmierci przybranej matki. Dorse wyjechał, zanim kolejna jego sztuczka zmusiła Jaxoma do odesłania go.

— Myślałam, że przeniósł się na Południe. Że pracował dla Torica — dodała i gwałtownie odetchnęła.

Jaxom powoli skłonił głowę. Nie odezwał się ani słowem. Sharra podeszła i przytuliła się do męża, wyczuwając jego napięcie.

— Poproszono ich, by podpaliли cech lub warownię — Jaxom zacisnął rękę na zasłonie, aż napięła się na zaczepach i zaczęła się rozpruwać.

— Niepokoisz się dlatego, że nic nie powiedział?

— Nie jestem pewny... — westchnął z desperacją. — Nie jestem pewny! Ja... ja myślę, że on był przywódcą. — Jaxom ukrył twarz w fałdach tkaniny. — On mnie wyzwiał. Buntował się przeciwko mnie i przeciwko wszystkiemu, co za mną stoi. Czego ode mnie chciał? Żebym zesłał go tylko do kopalń?

Łagodnie ujęła jego dłoń i odsunęła je od zasłony, zanim zdążył ją zerwać.

— Moim zdaniem próbuje się odegrać na tobie, Jaxomie, w ten czy inny sposób — powiedziała spokojnie, bez emocji. — Czy ktoś inny poza tobą go rozpoznał? Ruth mówił, że nie byłeś sam.

Spojrzał na nią gniewnie.

— Nie, kochanie — zapewniła. — O nic go nie pytałam. Ale on dobrze wie, że czasami martwię się, czy obaj nie wpakowaliście się przypadkiem w jakieś kłopoty i nie staracie się tego przemilczeć. Próbowała mówić żartobliwie, by rozładować napięcie. Nie udało się; nawet się na nią oburzył, choć zwykle dokuczał jej, że niepotrzebnie się martwi.

— Cabas mówił, że jest na jego tropie. Możliwe, że N'ton też go rozpoznał, choć nie widział go od wielu Obrotów — Jaxom zamilkł na moment a potem dodał.

— Powiniennem znaleźć jakiś sposób, by z nim porozmawiać. Zobaczyć, czy nie uda mi się czegoś z niego wyciągnąć. |

— Na jaki temat? Nie wystarczy ci, że schwytano go przy próbie zniszczenia czegoś, co ma wielką wartość dla całego Pernu?

Jaxom zmierzył ją długim, zagadkowym spojrzeniem. Zadrżała. Zwykle bywali wobec siebie zupełnie otwarci we wszystkim, co dotyczyło ich życia.

— Myślałem, że znalazł dobrą posadę na południu u Torica — powiedział w końcu.

— Och! — Sharra musiała usiąść, gdy zrozumiała implikacje tych słów. Jaxom próbował ją chronić.

— Najlepiej byłoby uznać, że działał niezależnie od tamtych, może po prostu skorzystał z okazji zarobienia pieniędzy na tym, co najbardziej lubi robić. To nawet do niego podobne. — Jaxom odwrócił się od okna i zaczął przemierzać pokój, patrząc wszędzie, tylko nie na żonę.

— Mój brat, Toric — zaczęła Sharra tak samo napiętym głosem — od dziecka był zachłanny. Nikt rozsądny nie potrafił go namówić do rezygnacji z rzeczy, które uznawał za swoje, kierując się emocjami — tu przerwała na chwilę — albo swoistym rozumieniem prawa. Od tego czasu, jak wiesz, utracił zaufanie wszystkich swoich braci i sióstr. Nawet synów. Kiedy kilka Obrotów temu Władcy Warowni i Weyrów ukroćili jego knowania, myślałam, że zrozumie wreszcie, że są granice ludzkiej chciwości.

Jaxom nie mógł znieść jej desperacji. Wziął ją w ramiona i przytulił policzek do jej twarzy.

— Nie wiemy, czy to jego kolejny spisek, Sharro.

Wsunęła dłonie w jego włosy i przytuliła się mocno, szukając siły, która zawsze z niego emanowała.

— Dobrze widzę, że Toric gra przeciwko całemu Pernowi tylko dlatego, że chce dowieść, że to możliwe.

Role się odwróciły; teraz on ją pocieszał.

— Wkrótce będziemy wiedzieli, kto wydawał rozkazy prowadzące do tylu zniszczeń i zamieszek.

— Będziemy? Czy Cabas coś ci powiedział? — Sharra odsunęła się, by zajrzeć mu głęboko w oczy. — Wygląda na to, że ledwie otrząśniemy się po jednej katastrofie, nadchodzi następna.

— *Ćśśś*, kochanie — kołysał ją w ramionach powoli, miłośnie.

Ćśśś, Sharro. *Jesteśmy tutaj!* Choć była przyzwyczajona do tego, że Ruth do niej mówił, przez ułamek sekundy wydawało jej się, że jego głos został dziwnie zwielokrotniony.

WAROWNIA NAD ZATOCZKĄ, DWA DNI PRZED ZGROMADZENIEM RADY, 2.26.31

Ze swojego miejsca przy oknie w Warowni nad Zatoczką Lessa widziała ludzi nadchodzących świeżo wyźwirowaną ścieżką od plaży. Wciąż zdumiewało ją, że Dom Robintona przetrwał katastrofę, która nie oszczędziła tylu innych miejsc. Po Zimowym Sztormie troskliwie wymieniono poniszczone rzeczy na starannie wykonane duplikaty, zabrano je przed powodzią, obawiając się, że Przyładek Kahrain nie ochroni zabudowań przed falą. Teraz Warownia znowu wyglądała tak, jak przed śmiercią Harfiarza. Lessa mogła udawać, że Robinton tylko wyszedł na werandę albo poprawia tunikę w swoim pokoju i zaraz wyjdzie powitać gości. Aura otaczająca Robintona, Mistrza Harfiarzy Pernu, w subtelny sposób przeniknęła to miejsce, jakby wciąż tu mieszkał ze swoimi przyjaciółmi: Lytolem, starym Mistrzem Wansorem i z D'ramem. Cóż to była za czwórka!

Obserwowała smoki przybywające parami, szybujące w dół ku falom, które spokojnie — znów spokojnie — lizały plażę. To jak taniec na Zgromadzeniu, pomyślała, próbując myśleć o czymś przyjemnym, co pomogłoby się pozbyć uczucia dręczącej frustracji, które nie opuszczało jej od czasu powodzi. Z pomocy, z Wysokich Rubieży nadlecieli najnowsi Władcy Weyru — G'bear na Winlathu i Neldama na Yasith; bardzo szczęśliwy lot godowy, jedna z niewielu rzeczy, które ostatnio poszły jak trzeba. Nieco na zachód, z Telgaru, nadlecieli Pfery i Palla na Willerthu i Talmanth. Na zachodzie pojawił się pojedynczy smok z dwójką pasażerów — to Jaxom i Sharra na Ruthu. Lessa powinna zamienić słówko z Jaxomem i N'tonem na temat wydarzeń w Cechu Drukarzy. Koniecznie trzeba zbudować drugi ośrodek Cechu, i to jak najszybciej. Drukowane dokumenty są zbyt ważne; ludzka pamięć nie obejmuje wszystkich szczegółów, a pracochłonne odręczne zapisy stwarzają możliwość popełnienia błędów.

Wyraźne większe smoki z Fortu, Lioth i Ludeth z N'tonem i Margatą nadleciały tuż za Ruthem. Gyarmath i Baylith z G'narishem i Nadirą z Igenu pojawiły się ustawione pyskami na północ. Lessa słyszała trąbienie smoków unoszących się nad budynkiem; zapowiadały przylot K'vana i Adrei na Hethu i Beljeth. I jeszcze trzy ze wschodu: Tgellan, Talina i Mirrim. No cóż, należało się spodziewać przybycia Mirrim; Lessa nie lubiła jej za skłonności do dominacji i arogancję, ale żywiła też sympatię wobec swojego przybranego dziecka.

Nowo mianowany Mistrz Erragon koniecznie chciał widzieć na Radzie F'lessana i zieloną jeźdźczynię z Bendenu imieniem Tai, jedną ze swoich uczennic. Władcy Bendenu

pamiętali jej imię, bo odegrała rolę w odparciu ataku wandalii na Ładowisku; niestrudzenie pracowała też przy ewakuacji Monako.

Mistrz Wansor jako oficjalny gospodarz spotkania witał kolejnych jeźdźców. Stał spokojnie na progu sali, która we wszystkich budziła ciepłe wspomnienia. Witał nowo przybyłych ciepłym uśmiechem, tak jakby mógł ich naprawdę widzieć. Za nim stał Erragon z diamentowym wisiorcem, który był oznaką jego statusu, i to dobrze zasłużoną; Erragon doskonale poradził sobie z gromadzeniem informacji i ostrzeżeń przed powodzią, wywołaną upadkiem ognistej kuli. Przedstawiono go nowym Władcom Weyrów, z którymi jeszcze nie miał okazji się spotkać. Lytol i D'ram przekładali w kącie jakieś papiery. Dziewięć egzemplarzy — po jednym dla każdego Weyru, a kto dostanie ostatni? Lessa znowu popatrzyła na schody, by przyjrzeć się F'lessanowi, który właśnie wchodził pod rękę z wysoką, ciemnowłosą kobietą. Lessa zauważyła jej szerokie usta i oryginalne, skośne zielone oczy.

To jeźdźczyni Zaranth, powiedziała Ramoth niemal z aprobatą. Lessa nadała obojętny wyraz twarzy, którą na chwilę wykrzywił nieprzyjemny grymas. F'lessan nie był już dzieckiem. Po upadku kuli tak harował, że o mało się nie wykończył — podobno nawet przenosił łódki rybackie, jak z desperacją doniosła Ramoth. Jego dzielność, gdy uratował rybaka od pewnej śmierci w falach tsunami, została zauważona nawet tamtego dnia, który obfitował w bohaterskie wyczyny, jak mówili harfiarze. F'lessan zawsze miał niesamowite wyczucie czasu. Któregoś dnia trzeba go będzie zapytać, w jaki sposób udało mu się uratować tego człowieka wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Bywał w Bendenie tylko wtedy, gdy wymagały tego obowiązki dowódcy skrzydła; chyba wolał teraz mieszkać w Honsiu.

Jego wybór, wtrąciła dwuznacznie Ramoth.

F'lessan zauważył matkę siedzącą przy oknie, obdarzył ją swoim uroczym uśmiechem i zwrócił się do Wansora. Lessę rozbawiło ich nieformalne powitanie. Znacznie bardziej się zdziwiła, gdy stary Kowal chwycił w obie ręce wyciągniętą dłoń Tai i obdarzył dziewczynę szerokim uśmiechem. Uniósł brwi do góry, a jego przejrzyste oczy rozszerzyły się, jakby pragnął ją wyraźniej zobaczyć; ta zielona jeźdźczyni była wyraźnie bardzo mile widziana w Warowni nad Zatoczką. Erragon powitał ją tak, jak zadowolony nauczyciel wita swojego najlepszego ucznia.

— Atrakcyjna, choć niezbyt ładna — mruknął do niej F'lar, jednym spojrzeniem oceniwszy towarzyszkę ich syna. — Nic dziwnego, że ciągle siedzi w tym Honsiu.

Dobrze mu tam., powiedziała Ramoth tym samym tajemniczym tonem.

Po schodach wszedł T'gellan z Mirrim i Talina. Lessa pomyślała, że Władca Monako

jest za chudy, a w oczach ma niepokój. Zapracowywał się przy odbudowie Weyru. Właściwie ani Mirrim, ani Talina nie wyglądały o wiele lepiej, ale nie były aż tak wyczerpane, jak spizowy jeździec; to jego obciążała pełna odpowiedzialność za Weyr.

Lessa zorientowała się, że wszyscy już się zebrali. F'lar poprowadził ją na ich miejsca za długim, owalnym stołem.

— Jesteśmy już wszyscy, prawda? — powiedział ze znużonym uśmiechem. Poczekał, aż pozostali usiądą.

Dwadzieścioro dwoje jeźdźców, trzech mężczyzn, którzy powinni beztriosko spędzać ostatnie dziesiątki lat życia, dwóch Mistrzów i Władca Warowni; dwadzieścioro ośmiu ludzi, którzy mieli rozwiązać problem, zdaniem Lessy nie do rozwiązania. No cóż, zabicie Faksa też kiedyś wydawało jej się niemożliwe. Tak samo, jak położenie kresu Opadom Nici. Dlaczego ma uznać akurat ten kryzys za nierozwiązywalny? Lekko wzruszyła ramionami i usiadła obok swojego partnera. Usłyszała jego westchnienie. Wstał i lekko się wyprostował, przygotowując się do wygłoszenia mowy.

— Wszyscy tu obecni z pewnością słyszeli, że jeźdźcy smoków powinni coś zrobić w sprawie różnych obiektów spadających z nieba — powiedział i umilkł na chwilę, przeczekując gniewne i pogardliwe uwagi, jakie wywołały te słowa. — Wiem, jest to po prostu śmieszne, ale myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę, że tak zabrzmia pierwsze pytanie, jakie padnie pod naszym adresem za dwa dni na Radzie. Nie wiedzieć czemu uznano, że upadek ognistej kuli to nasza wina — zmienił głos, nadając mu płaczliwe zabarwienie: — Smoki potrafią latać *między*, a nie potrafią wypalić tych rzeczy na niebie? Nie mogłyby czegoś z tym zrobić?

— A co, za mało zrobiliśmy? — spytał F'lessan głosem tak pełnym goryczy, że Lessa poczuła zdziwienie. Potem wzruszył ramionami i przybrał obojętną minę, podczas gdy inni spizowi jeźdźcy mruzcili coś na temat niewdzięczności i niemożliwych żądań.

— Jeźdźcy zrobili więcej niż się spodziewano — stwierdził z gniewną miną Lytol, niegdyś lord Opiekun Ruathy.

— Wszystkie Weyry dały z siebie wszystko — dodał pełen dumy D'ram.

— I zmieściły się w czasie — stwierdził Jaxom z pokerową twarzą, nieznacznie zwracając się ku Lessie. Ta przewrotna uwaga w subtelny sposób rozproszyła niewypowiedziane na głos urazy. Niektórzy nawet się roześmieli.

— Nigdy do końca nie zrozumiem, w jaki sposób udało wam się dokonać tego wszystkiego — powiedział z podziwem i szacunkiem Wansor, całkowicie nieświadom sytuacji. — To, co zdziałaliście, graniczyło z cudem! Przecież wszystko mogło skończyć się

katastrofalnie. W porównaniu z tym, sztorm z dwudziestego dziewiątego Przejścia był marnym deszczykiem!

— Na szczęście nikt nie wymaga, byśmy brali na siebie odpowiedzialność za zmiany pogody — stwierdził ironicznie F'lar.

— Jeszcze nie — dodał kwaśno G'dened. Choć tsunami nie runęło na Istę z bezpośrednim impetem, wyspa bardzo ucierpiała od huraganu.

— Wiesz, są tacy, którzy uważają, że zawiedliśmy ich również w czasie tego sztormu — powiedział G'dened, kręcąc głową.

— Tym razem byliśmy ostrzeżeni zawczasu — wyjaśnił K'van — zanim wiatry uniemożliwiły loty.

— Wracając do twoich słów, F'larze... smoki nie są w stanie spalić niczego w próżni — powiedział N'ton. — Potrzebują tlenu, żeby buchać płomieniem.

— Meteoryty są za szybkie dla smoków — dodał K'van — nie wspominając o tym, że są gorące, więc zwykły smoczy ogień nie może uczynić im żadnej krzywdy. Byłaby to zupełna strata czasu i energii.

F'lar uśmiechnął się szeroko.

— O takich faktach Władcy Warowni i Mistrzowie Cechów zazwyczaj nie lubią pamiętać. Mimo to chciałbym przejąć inicjatywę.

Od czasu upadku tej przeklętej kuli ciągle jesteśmy na pozycjach obronnych.

— Chcesz powiedzieć, że możemy jednak coś zrobić? — spytał G'dened, poprawił się na krześle i rozejrzał dokoła.

— Och, naturalnie — odparł Wansor, uśmiechając się łagodnie do zebranych. — Mój cech nie zmarnował ani chwili. Wypracowaliśmy bardzo poważne zalecenia dla Rady.

— Zalecenia? — warknął G'dened, pochmurniejąc. — Oni chcą odpowiedzi! — stwierdził i huknął pięścią w stół. Był jednym z najmłodszych spizowych jeźdźców, którzy przenieśli się w przyszłość, do Dziewiątego Przejścia; Lessa widziała, że konieczność udzielania odpowiedzi Władcom Warowni i Mistrzom Cechów doprowadza go do białej gorączki.

— Oni zawsze chcą odpowiedzi — zgodził się G'narish. On również miał powody, by być równie znużony jak G'dened.

Lessa zastanawiała się, czy istnieje sposób, by skłonić tych dwóch starszych Władców Weyrów do rezygnacji. Na ich miejsce powinni przyjść młodzi spizowi jeźdźcy i złote jeźdźczynie, o bardziej elastycznych poglądach. Była i tak wdzięczna losowi za rezygnację M'randa i R'marta. Młodzi Władcy Weyrów udawali swobodą, ale widać było, że G'bear i

Neldana są po raz pierwszy na takim strategicznym spotkaniu.

— No cóż, należą im się te odpowiedzi, G'denedzie — odezwał się F'lessan cynicznie. — Tyle że tym razem będą w dodatku chcieli, żebyśmy coś zrobili! — uśmiechnął się wyzywająco.

— A cóż my możemy zrobić? — G'dened rzucił F'lessanowi takie spojrzenie, jakby młody człowiek podważał jego kwalifikacje jako Władcy Weyru.

Lessa, gotowa przywołać G'deneda do porządku, nagle poczuła na udzie uspokajający dotyk F'lara. Gdy F'lessan zgłosił prawa do Honsiu, dla wszystkich stało się jasne, że nie zamierza ubiegać się o władzę w żadnym z Weyrów.

— Naturalnie, niezbędna będzie współpraca wszystkich innych Cechów oraz Władców Warowni — ciągnął Wansor, uśmiechając się z łagodną zachętą — bo będziemy potrzebowali marek i wszystkich ludzkich umiejętności. Już poczyniliśmy wstępne pomiary i przygotowania, i z pomocą naszego nowo mianowanego Mistrza — tu stary Gwiazdny Mistrz skłonił się z szacunkiem Erragonowi — Mistrza Idarolana, F'lessana oraz Tai — obdarzył uśmiechem parą jeźdźców siedzących na końcu stołu — oraz trzech głęboko zaangażowanych osób, które są dziś nieobecne, możemy je tutaj przedstawić.

Czego dotyczą te wstępne pomiary? — Chciał wiedzieć G'dened.

— Jakie przygotowania? — spytał zaskoczony G'narish.

— Jakie trzy głęboko zaangażowane osoby? — zdziwiła się Mirrim, spoglądając na Tai z niemal oskarżającą miną.

— Pomiary, mające na celu wyznaczenie najkorzystniejszej lokalizacji dla kolejnego teleskopu z Grot Katarzyny, abyśmy mogli prowadzić całodobowe obserwacje w celu niezbędnego programu badania nieba! — Mistrz Wansor uśmiechał się szeroko, jakby to była jakaś odpowiedź.

Lessa przypomniała sobie, jak wiele Obrotów temu Wansor ucieszył się niezmiernie z odnalezienia w Grotach Katarzyny teleskopu o wysokiej rozdzielczości, typu Cassegrain — taka nazwa była wypisana na metalowej plakietce na komorze zwierciadła i na grubych instrukcjach dołączonych do urządzenia. Assigi nadzorował jego instalację i uruchomienie podczas pierwszego Obrotu pracy nad projektem Czerwonej Gwiazdy. F'lessan odkrył teleskop w Honsiu, wyremontował go nie szczędząc ciężkiej pracy i precyzyjnych napraw i doprowadził niedawno do stanu używalności. Lessa nie miała pojęcia, w jaki sposób trzeci teleskop mógłby powstrzymać następne komety — kawałki kamienia i metalu uderzające w powierzchnię planety. Wątpliwe, czy ten projekt uspokoi nerwowych, a w dodatku skąpych członków Rady. Czy to rzeczywiście obserwacje nieba zatrzymały F'lessana w Honsiu, w

towarzystwie Tai?

Tak było, padła natychmiastowa odpowiedź Ramoth.

— Bez systemu telemetrycznego na Yoko, który ostrzegł nas odpowiednio wcześniej o zbliżaniu się ognistej kuli — ciągnął Wansor — i bez niezwykłych umiejętności i zaangażowania smoczych jeźdźców mielibyśmy tutaj kompletną katastrofę zamiast zwykłego poważnego zagrożenia.

— Zwykłego? — wybuchnął T’gellan, podnosząc się z miejsca; na twarzach Talliny i Mirrim również odmalował się gniew.

— Przepraszam cię, kochany chłopcze — powiedział Wansor kręcąc w zakłopotaniu młynka palcami i mrugając szybko. Lessa wiedziała, że gdyby Wansorowi dane było zobaczyć Monako po powodzi, byłby bardziej taktowny. Próbował załagodzić sytuację, mówiąc.

— Nie chodziło mi o to, że ogromne zniszczenia w Monako to coś „zwykłego”, chciałem tylko podkreślić, jak wielkie byłyby straty, gdyby kula spadła bez ostrzeżenia. Wszyscy mi opowiadają, jak wspaniale poradziliście sobie z likwidacją prawie wszystkich szkód.

— Zrobiliśmy ile się dało, teraz czekamy, żeby ziemia się zregenerowała — mruknął T’gellan i usiadł. Widać było, że w dalszym ciągu jest zagniewany.

— W jaki sposób obserwacja nieba ma nam pomóc? — spytał F’lar, próbując powrócić do tematu.

D’ram odchrząknął.

— Po pierwsze, w ten sposób odbierzemy Radzie argumenty. Ponieważ wszyscy twierdzą, że jeźdźcy są odpowiedzialni za wszystkie zagrożenia z powietrza, udowodnimy, że poważnie traktujemy swoje zadania; teleskopy są niezbędne, by badać niebo. Po drugie — przerwał i potoczył wzrokiem wokół stołu ze sprytnym uśmieszkiem — jeśli obserwowanie nieba stanie się naszym rzemiosłem, to kiedy skończy się to przejście, będziemy mieli zawód, który szczególnie pasuje do smoczych jeźdźców.

Zapadło milczenie pełne zdumienia. Władcy Weyrów zastanawiali się nad tą sugestią.

Lytol siedzący obok D’rama uśmiechał się szeroko; Lessa pomyślała, że to chyba pierwszy prawdziwy uśmiech na jego twarzy, jaki widziała od wielu Obrotów. Jeździec z przeszłości rozwijał temat.

— Tworząc własny cech, w dużym stopniu zredukujemy napięcie pośród gospodarzy i rzemieślników, którzy obawiają się naszej dominacji w ich tradycyjnych dziedzinach.

— Dobra, dobra, ale do obserwowania nieba nie potrzeba aż tylu jeźdźców — zaczął

G'dened, najwyraźniej wściekły.

F'lessan wybuchnął głośnym śmiechem.

— Potrzeba, potrzeba. Jeszcze nas będzie mało, G'denedzie, jeśli zechcemy się tym zająć na serio. Prawdę mówiąc, Honsiu ma już zdjęcia pasa asteroidów, powstałe w wyniku pierwszego przeszukiwania — dodał z błyskiem w oku.

— Przeszukiwania? — skrzywił się G'dened. Patrząc na Erragona, FMessan wyjaśnił:

— Wiemy, które gwiazdy są stałe na naszym niebie. Szukamy czegoś, co się porusza pomiędzy tymi gwiazdami a nami. Popatrz! — rzucił na stół kilka zdjęć. — Widzisz to?

— Widzę pasek na czarnym tle i jakąś zmazę — odparł G'dened, lekceważąco machając ręką.

— Zidentyfikowaliśmy to jako asteroidę. Nazwaliśmy ją Aliana — pochylił głowę i uśmiechnął się bezczelnie, jak wtedy, gdy jako mały chłopiec starał się ukryć swoje prawdziwe uczucia. — Tai woli nadawać im imiona zamiast liczb, a ja pomyślałem, że możemy dać jej imię jednej z pierwszych jeźdźczyń smoków. Jest ich mnóstwo.

— Czego, asteroid czy jeźdźczyń? — spytała Lessa z uśmiechem, żeby pokazać, że podoba jej się ten pomysł. Widziała, że Errag i Wansor również go aprobują.

— Jednego i drugiego. t

— Skąd wiesz, że to asteroida? — niecierpliwie spytał coraz bardziej nachmurzony G'dened.

— Ta zmaza, jak ją nazwałeś, to gwiazda zwana Acrux. Acrux jest gwiazdą stałą... przynajmniej przy czterdziestominutowym naświetleniu... a asteroida porusza się na tyle szybko, że tworzy ten rozmaz. Znając jej pozycję na niebie, wiemy, że pochodzi z pasa asteroidów. Dzięki temu, że poznamy nasze niebo i będziemy robić tego rodzaju zdjęcia — Flessan postukał w wydruk — wypatrzymy asteroidy, które niebezpiecznie zbliżają się do Pernu.

— Jedna już się zbliżyła! — zdenerwował się G'dened. Miał wrażenie, że go obrażają. Odepchnął od siebie wydruk.

— Ale za to wiele w nas nie trafiło, choć mało brakowało — zaśmiał się Flessan.

— Och, nie wspominajcie tylko o tym Kręgu kurierów! — władca Weyru Ista machnął ręką.

— Jeśli można... — powiedziała Tai tak stanowczo, że wszyscy popatrzyli na nią ze zdziwieniem. — Kula ognista była pierwszym tak niebezpiecznym upadkiem, który zanotowała Yoko w całej swojej historii.

— Słusznie, Tai. I do ostatnich dziesięciu minut przed upadkiem — dodał Erragon —

nie byliśmy wcale pewni, czy trafi w Pern. A na pewno nie jest to jedyny meteoryt, którego orbita może stanowić poważne zagrożenie.

Te słowa były nowością dla Władców Weyrów położonych w głębi lądu. G'dened zmarszczył się jeszcze bardziej.

Lessa pożałowała, że nie zaprosili na to spotkanie M'randa. Zwykle udawało mu się równoważyć pesymizm i uprzedzenia G'deneda.

— Przy tej okazji przejrzelśmy dokładnie zapisy z Yoko — powiedział Lytol ze smętną miną — i okazało się, że kula ognista była zauważalnym światłem na tle pasa asteroidów już przy końcu Obrotu.

— Kiedy byliśmy zajęci zupełnie innymi sprawami — stwierdził ze znużeniem G'dened.

Lytol rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i ciągnął.

— Yoko prześledziła jej inklinację, wynika z niego, że nawet wtedy kula była potencjalnym zagrożeniem, nie stała się nim dopiero w momencie zbliżenia do Pernu.

— Na czym polega różnica, Lytolu? — spytała Lessa.

— Leży między setką a czterema setkami tysięcy kilometrów, Lady Lesso — odparł ze smutnym uśmiechem. — Gdyby Pern był nieco dalej na swojej orbicie wokół Rukbatu, kometa przeszłaby bokiem.

— Chodzi o to, Lady Lesso — podjął z zapalem Wansor, pochylając się w jej stronę — że gdybyśmy wtedy obserwowali niebo, zwrócilibyśmy na nią większą uwagę.

— A co można byłoby jeszcze zrobić, gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej? — spytał ze znużeniem Tgellan.

Po tym smutnym, płynącym prosto z serca pytaniu zapadła cisza

— Jeźdźcy byli niegdyś w znacznie gorszej sytuacji niż teraz — powiedział F'lar spokojnie, ale twardo. — Kiedy w Bendenie ledwie garstka jeźdźców szykowała się do walki z Nićmi, dopóki wy — wskazał gestem D'rama, G'deneda i G'narisha — nie przybyliście w czasie, by nas wesprzeć. Teraz mamy dostęp do bogatych archiwów Starożytnych, a jeśli dobrze pamiętam, Assigi mówił w swoich wykładach, że i na starej Ziemi były problemy z obiektami w najbliższej przestrzeni kosmicznej. Erragonie, w jaki sposób oni sobie z tym poradzili?

Erragon zaśmiał się sucho.

— Obserwowali niebo przez potężne teleskopy, mieli też siatkę zapalonych obserwatorów posługujących się instrumentami o mniejszej sile. Assigi twierdzi, że oznaczyli oni pozycje gwiazd w swojej części galaktyki i poznali obiekty w systemie ziemskim z

dokładnością do mikrosekund kątowych. Naturalnie wykracza to poza możliwości posiadanych przez nas teleskopów. Ale nam wystarczy obserwowanie układu Rukbatu.

— Tak, tak — przerwał G'dened, pochylając się ku niemu z przejęciem — ale co robili, kiedy coś zbliżyło się za bardzo ku Ziemi?

— Podejmowali, cytuję, „działania konieczne do odwrócenia biegu obiektów stanowiących potencjalne zagrożenie”.

— Ale w jaki sposób? No, jak? — nalegał G'dened.

— Tego nie powiedzieli — odparł sardonicznie Erragon.

— Ale musieli przecież coś robić! — G'denedowi drżał głos.

— Obserwowali niebo — stanowczy głos Flessana przykuł uwagę wszystkich. — Możemy prowadzić precyzyjne obserwacje i tak jak powiedział Erragon, dowiadywać się, co widać na naszym niebie oraz śledzić wszelkich nowych przybyszów.

— Z plików astronomicznych, które studiowałem, wynika jasnej że tego rodzaju zderzenia to rzadkość — dodał Lytol.

— No to po co w takim razie cały ten korowód z obserwowaniem nieba? — spytał G'dened, mocno już zirytowany.

— Po pierwsze po to, by pokazać Radzie, że robimy coś konkretnego — wyjaśnił F'lar. — Po drugie, będziemy wiedzieć, jeśli znowu coś zagrozi Pernowi. Weyry pokazały, że potrafią zapobiec śmierci i utracie majątku wielu ludzi oraz zredukować straty spowodowane, upadkiem ognistej kuli. Z pewnością będziemy potrafili powtórzyć” tego rodzaju akcją ratowniczą. Proponuję, żebyśmy zastanowili się poważnie nad drugim z wniosków D'rama: że jeźdźcy smoków mogą się stać doskonałymi obserwatorami nieba. A szczególnie ci, którzy jeszcze nie znaleźli dla siebie odpowiednich alternatywnych zajęć.

Astronomia, pomyślała surowo Lessa, powinna dobrze pasować do usposobienia spizowych i brązowych jeźdźców, który nie byli tak elastyczni. Niebiescy i zieloni przywiązywali mniejszą wagę do godności i tradycji.

— F'larze! — G'narish tak gwałtownie skoczył na nogi, że F'lar gestem poprosił go, żeby spokojnie powiedział, o co mu chodzi. — W Igenie zaczęły krążyć plotki, jakoby ognista kula spadła dlatego, że ruszono z posad Czerwoną Gwiazdę!

— Do licha, mam nadzieję, że sprostowałeś te bzdury — odparł F'lar z niesmakiem.

— Na Assigi, to jest absolutnie niemożliwe, G'narishu — gwałtownie zaprotestował Lytol. — Przeprowadziłem wyczerpującą analizę tego niezwykłego dokonania od strony matematycznej i fizycznej. Assigi był astrofizykiem perfekcjonistą. Ze szczególną dokładnością zbadał możliwość perturbacji i każde z równań opisujących możliwe reakcje

było absolutnie bezbłędne. Jednym z głównym powodów opóźnienia wybuchów była konieczność odczekania, aż planeta odpowiednio oddali się od Pernu, by zminimalizować margines błędu i osiągnąć możliwie najlepszy efekt.

Jaxom się nagle zakrztusił i kasłał dopóki Sharra nie uderzyła go w plecy. Potem mu przeszło.

— Poza tym potrzebowaliśmy czasu, by opanować wiele nowych technik potrzebnych do osiągnięcia naszego celu — dodał D'ram kwaśno.

— Ale jeśli Assigi wiedział, gdzie co jest w przestrzeni wokół nas — zaczął znowu marudzić G'dened — to dlaczego nie wystarczy posłużyć się jego informacjami, zamiast zawracać sobie głowę tymi korowodami przy obserwacji nieba?

— Dlatego — zaczął z naciskiem F'lessan, wyprzedzając pozostałych — że nadlatują wciąż nowe komety, z obłoku Oort i spoza niego. Także dlatego, że meteory i asteroidy zderzają się ze sobą i rozsiewają na wszystkie strony fragmenty materii, prawdopodobnie takie jak nasza kula ognista. Musimy więc wiedzieć, że coś nadlatuje i dokąd się kieruje! Nie ma w tej chwili znaczenia, czy wymyślimy jakiś sposób na powstrzymanie takich natrętów... najpierw trzeba się nauczyć ich wypatrywać!

Jaxom, N'ton i D'ram wzniesli entuzjastyczny okrzyk i zaklaskali w dłonie, Wansor się rozpromienił, Erragon spojrział wokół z wielką ulgą, nawet Lytolowi udało się ponownie uśmiechnąć.

— Myślę, że to wyjaśnia wszystko, G'denedzie — powiedział F'lar i uniesieniem ręki poprosił o ciszę,

— Ten projekt należy koniecznie przedstawić Radzie — stwierdził D'ram. — Dodałeś nam otuchy, F'lessanie! Masz może jeszcze jakieś wydruki oprócz tego, co pokazałeś G'denedowi? Może nieco wyraźniejsze?

— Tak, mamy — gestem wskazał na Tai. — Ma je też Erragon: pochodzą z Warowni nad Zatoczką i z łącza z Yoko, które utrzymuje Stinar. — F'lessan zebrał wydruki i przyglądał się każdemu po kolei, podając je Władcom Weyrów. — To są niektóre obrazy tego, co Tai zaobserwowała poza naszym systemem — zerknął na Erragona. — Wymyśliła, w jaki sposób robić to „nieostre maskowanie”, wykorzystując obserwacje znad Zatoczki. Jest to technika, która redukuje rozbłysk najjaśniejszych części gwiazd — pochylał się i postukał palcem w wydruk leżący przed T'gellanem — i wyostrza szczegóły. To jest mgławica... — wygląda jak plama, ale są w niej gwiazdy. Widzisz? Te plamki to właśnie one.

— Bywają takie różowe gwiazdy? — spytał zdziwiony i zaintrygowany Tgellan, pokazując wydruk Mirrim i Talinie.

— Mogą być i niebieskie, i fioletowe, i białe — zaśmiał się F'lessan i pokazał wszystkim kolejny wydruk. — Zrobiliśmy je po zamontowaniu monitora do teleskopu w Honsiu. To koło to bardzo odległa galaktyka. Właściwie niebo nad nami jest raczej ciemne, poza tym, co Assigi nazywał Drogą Mleczną i Obłokiem Magellana.

— A te spirale? — spytała Lessa, patrząc na leżący przed nią wydruk. — Jest ich strasznie dużo — dodała z podziwem.

— Czy te zlepki to wszystko gwiazdy? — spytał F'lar Tai, wskazując zdjęcie, które wziął ze stołu.

— To skupiska planetarne — odpowiedziała.

— Dobra robota — Erragon z zadowoleniem kiwnął głową. — notowałeś czas i współrzędne?

— Naturalnie, choć to były przypadkowe zdjęcia, bo wtedy eksperymentowałam z filtrami w Honsiu, chcąc uzyskać bardziej szczegółowy obraz — odparła Tai.

— I każdy może coś takiego zobaczyć? — Mirrim popatrzyła na z wyraźnym szacunkiem. — Patrzysz w gwiazdy w konkretnym celu?

— Między innymi — odparła Tai, a jej smagła twarz pokraśniała z zadowolenia i zakłopotania.

— Pomyślcie tylko, ile można zobaczyć i jak dobrze zrozumieć kosmos — oczy FMessana lśniły jak u wizjonera; Lessa rzuciła r pełne podziwu spojrzenie — gdybyśmy mieli więcej obserwatorów i więcej wyszkolonych ludzi.

G'dened mruknął coś niechętnie i strzelił palcami w stronę pięknych kosmicznych obrazów, po czym zwrócił się gniewnie do F'lessana.

— Mówiłeś, że to wszystko jest okropnie daleko. A przecież chodziło wam o obserwację tego, co jest bliżej nas, prawda?

— Och, na tym się naturalnie skupiamy — F'lessan pokazał następny plik wydruków. G'dened odsunął się podejrzliwie.

— Wygląda to jak bulwa nadgryziona przez robaki — powiedział podnosząc jedną z kartek i odrzucając ją z pogardą. — Więcej dziur niż w skałach archipelagu.

— Zaraz, zaraz — F'lessan pogroził mu palcem — te asteroidy wcale nie są tak daleko. Te dziury, jakby wygryzione przez robaki, to kratery po zderzeniu z innymi obiektami albo miejsca eksplozji gazów, które niegdyś znajdowały się we wnętrzu tej asteroidy. Ta pierwsza ma dziesięć kilometrów długości, a ta dziurawa pięćdziesiąt — dodał. — Zderzenie rozniósłoby Pern na kawałki.

G'dened przełknął ślinę i powoli zwrócił się w stronę Erragona, który przytaknął z

powagą.

— To jest właśnie cel naszego dzisiejszego spotkania — powiedział Wansor. — Chodzi o to, by rozpocząć obserwacje nieba i wyszkolić ludzi, którzy będą śledzić podobne do tej asteroidy.

— W Grotach Katarzyny są tylko cztery teleskopy — powiedziała Lessa, zmartwiona, czy ich wystarczy. ‘

— Co sugeruje — F’lessan skoczył na równe nogi — że Starożytni chcieli założyć sieć obserwatoriów, zanim Nici zmieniły ich plany.

— Też miałem takie wrażenie — Wansor z namysłem pokiwał okrągłą głową. — To wyjaśnia dlaczego nie ma siatki północnej. Choć, naturalnie, Starożytni osiedlili się na południu, więc przez wiele Obrotów nie potrzebowali niczego na północy.

— Pomocna siatka ostrzegłaby nas przed tym sztormem — stwierdził kwaśno G’dened.

— Czy wystarczą nam cztery teleskopy? — spytał K’van.

— Do obserwacji nieba nie trzeba dużego teleskopu, K’vanie — uspokoił go Erragon. — Mistrzynie Jancis robi lunety, którymi posługuje się już wiele osób — popatrzył na Jaxoma, który kiwnął głową.

— Mają je wszyscy jeźdźcy–strażnicy. Każdy z nas pełnił kiedyś straż na Krawędzi — dodał N’ton, szukając potwierdzenia wśród pozostałych jeźdźców. — Myślę, że jeszcze pamiętam nazwy jaśniejszych gwiazd.

— Niestety. N’tonie, to nie tych jasnych trzeba wypatrywać — odpowiedział mu Wansor — choć są ważne, bo według nich określa się pozycję tych, które śledzimy i rejestrujemy.

— Niebo jest wielkie, F’lessanie — stwierdził K’van.

— Dlatego dobrze byłoby, gdyby wielu jeźdźców nauczyło się je obserwować — powiedział F’lar, rzucając wyzwanie Władcy Południowego Weyru. — Ten wasz nowy weyr, położony na takiej wysokości, stwarza świetne warunki do obserwacji.

— Takim rzeczami powinniście zajmować się wy, młodzi — oświadczył z naciskiem G’dened. Po chwili, kiedy się połapał, co powiedział, dodał szybko.

— Możecie być pewni, że namówię do tego moich jeźdźców.

Palla podniosła rękę.

— Studiowałam astronomię zanim naznaczyłam Talmanth.

— Ano rzeczywiście — J’fery popatrzył ze zdziwieniem na swoją partnerkę.

— Przykro mi było tracić taką uczennicę, więc teraz chętnie powitam ją z powrotem

— oświadczył Erragon, kiwnięciem głowy dziękując za jej nieśmiałą propozycję.

Palla, świadoma, że wszyscy na nią patrzą, pochyliła głowę i wbiła wzrok w splecione dłonie. Lessa spostrzegła, że J'fery pochylił się i szepnął coś do niej, otrzymując w odpowiedzi cień uśmiechu.

Palla rozplotła ręce.

— Zdaje się, że to zajmie mnóstwo czasu — stwierdził G'dened, nadal niepewny, czy mu się to wszystko podoba.

— Naturalnie — zgodził się z nim Erragon. — Z waszą pomocą stworzymy doskonałe sprawozdanie dla Rady. Mistrz Idarolan powiedział mi, że chętnie się przeprowadzi tam, gdzie będzie potrzebny przy szkoleniu ludzi albo przy obserwacjach. Przypomniał mi, że większość rybaków pływa według gwiazd i że nie on jeden jest na emeryturze.

— Wracamy więc do pytania, w jaki sposób skutecznie obserwować niebo. Mistrz Wansorze, co oznacza całodobowa obserwacja i jeszcze jeden teleskop? — zapytał F'lar.

— Czas najwyższy — stwierdził stanowczo F'lessan.

— Mamy Warownię nad Zatoczką, mamy Honsiu — odparł Erragon — musimy więc ulokować przynajmniej jeden z teleskopów z Jaskiń Katarzyny jak najdalej na północ. — Zakaszał. — Jeżeli ma być prawdziwa całodobowa obserwacja, trzeba pomyśleć o założeniu pierwszego obserwatorium na Kontynencie Zachodnim.

— Ale tam nic nie ma! — wykrzyknęła Lessa.

— Za to nad głową są gwiazdy — przypomniał jej F'lessan i dodał pospiesznie.

— Później możemy się martwić o to, jak zagospodarować to miejsce.

— Trzeba jak najszybciej wybudować obserwatorium na Kontynencie Zachodnim — obstawał twardo Erragon, gotów do przeforsowania swoich poglądów.

— Pozwoli nam ono uzyskać potwierdzenia obserwacji z największą możliwą dokładnością. To nieważne, że znajdzie się z dala od głównych ośrodków społecznych — powiedział Wansor i klepnął otwartą dłonią w stół. Wszyscy drgnęli, zaskoczeni hałasem. Mistrz Wansor był najłagodniejszym z ludzi, więc jego gwałtowność zdumiała G'deneda i G'narlsha. — Jest to konieczność, inaczej cały projekt obserwacji nieba zawiedzie. Mistrz Idarolan stanowczo widzi tam możliwość założenia małej osady. Zaproponował nawet osłonięty od wiatru naturalny port między dwiema połówkami Zachodniego. Wie, skąd tam wziąć wodę do picia. Rosną tam nawet drzewa.

— Naprawdę? — spytała Lessa.

— Naprawdę — potwierdził Wansor i kiwnął głową w jej stronę. — Jeśli wśród obserwatorów będą jeźdźcy smoków, założenie obserwatorium, nawet w takim oddaleniu, w

ogóle przestanie być problemem. Przecież, na dzień mogą wracać do domu. Obserwacje prowadzi się tylko w nocy.

Jego pogodne uwagi rozbawiły zebranych; Palla i Mirrim musiały zamaskować śmiech kaszlem.

— A więc zlokalizowaliśmy już jedno obserwatorium ciągnął Wansor.

— Ale gdzie rozlokować inne? — spytał wciąż uśmiechnięty K'van, pochylając się do przodu z wyrazem żywego zainteresowania na opalonej twarzy.

Jaxom odchrząknął.

— W Warowni Ruatha jest doskonały punkt obserwacyjny w pobliżu Lodowego Jeziora. Można tam dotrzeć bez większego trudu. Chętnie go wam przekażę, włączając w to dziesięciny z pobliskich gospodarstw, by stworzyć całkowicie niezależny Cech Gwiazdziarski.

Wansor obdarzył go radosnym uśmiechem, a inni wymienili spojrzenia pełne podziwu dla jego szczodrości.

— Z całym szacunkiem, lordzie Jaxomie — powiedział z powagą J'fery — skoro Palla ma już niejaki przeszkolenie, niedaleko naszego Weyru też jest odpowiednie miejsce...

— Zarządzanie Weyrem zajmuje mi cały czas — stwierdziła Cosira, uciekając wzrokiem.

Lessa parsknęła pogardliwie i zbyła jej uwagę.

— Palla jest młodsza od nas obu, Cosiro. Ponieważ studiowała u Erragona, nie będziemy się sprzeciwiać, jeśli przekaze innym jeźdźczyniom królowym część swoich obowiązków w Weyrze.

— To możliwe — stwierdził F'lar, rzucając obu kobietom uspokajające spojrzenie.

— Tak, tak — powiedział Mistrz Wansor. — Dziękuję wam, lordzie Jaxomie, Władco J'fery, Lady Palio. Będziecie musieli odświeżyć i uzupełnić to, czego nauczyliście się wcześniej. Wprawdzie straciłem wzrok, ale pamięć w dalszym ciągu dobrze mi służy. Mistrz Samvel ma na Ładowisku całą klasę młodzieży, której wykładam podstawy astronomii. Przypuszczam — w jego przejrzystych oczach coś błysnęło — że może być wiele starszych osób, niezdolnych do wykonywania cięższych prac fizycznych, takich jak Mistrz Idarolan, którzy z radością podejmą się odpowiedzialnej pracy, nawet nocnej. Mnie na przykład potrzeba niewielu godzin snu — dodał z rozbrajającym uśmiechem.

— Razem z Tirothem możemy bez problemu przywozić uczniów do Mistrza Wansora — zaproponował D'ram. — Budowa obserwatoriów może potrwać długo, szczególnie w obecnej sytuacji, gdy nasi najlepsi ludzie są zajęci, więc musimy przedstawić Radzie dobrze

uzasadniony wniosek, by jak najszybciej zacząć pracę. Przez ten czas, Cech Kowali zwiększył produkcję lornet...

— Prawie o połowę — przerwał Wansor z przepaszającym gestem uniesionej dłoni — od upadku ognistej kuli.

— Znacznie zwiększył produkcję lornet — poprawił się spokojnie; D'ram. — Mistrzowie Jancis i Piemur zapewnią nam dostawy, a Mistrz Morilton zadeklarował w imieniu własnym i swojego Cechu gotowość eksperymentalnego wykonania zwierciadeł refrakcyjnych do małych teleskopów.

— A kiedy już odkryjecie te niebezpieczne obiekty, to wszyscy! będą chcieli, żeby smoki pozbyły się ich z nieba? — spytał sarkastycznie G'dened.

Lessa zauważyła, że F'lessan zamienił szybkie spojrzenie z Tai. W jego oku pojawił się błysk, który w dzieciństwie zawsze oznaczał, że szykuje jakieś szaleństwo.

— Nigdy nie wiadomo, G'denedzie — włączył się Jaxom — jeśli pomyśleć, ile dziwnych rzeczy dokonały smoki w ciągu ostatnich jedenastu Obrotów. Powtarzam swoją gotowość do zapewnienia miejsca na obserwatorium na wzgórzach Ruathy i utrzymania jego personelu.

— Podejmuję się założyć drugie w Telgarze. Mistrzowi Fandarelowi na pewno spodobają się skuteczne obserwacje nieba — J'fery uśmiechnął się szeroko — a lord Larad jest bardziej otwarty na takie projekty niż reszta Władców Warowni.

— Rozsądnie byłoby — Jaxom podkreślił pierwsze słowo — włączyć do obserwacji nieba jak najwięcej ludzi z warowni i cechów.

— Myślałem, że to ma być zadanie dla jeźdźców — zauważył G'dened.

Naprawdę, pomyślała Lessa, nie ujawniając swojej niechęci, ten człowiek powinien wkrótce ustąpić. Jest kompletnie zacofany.

— Potrzebni będą wszyscy chętni! Trzeba będzie wykształcić obsadę dla dwóch pełnych ośrodków cechowych — Wansor rozłożył ramiona. — Jak zauważył Władca Weyru K'van, niebo jest wielkie. Musimy zaobserwować na nim jak najwięcej obiektów. Po zbadaniu ich orbit większość z pewnością okaże się nieszkodliwa, tak jak warkocze naszych komet, Duchów Końca Obrotu. Wiele zbliży się do nas, ale potem podąży swoją drogą.

— Wszystko pięknie, Mistrzu Wansorze — G'dened był nie do końca przekonany — ale nie daje to odpowiedzi na ważne pytanie: co będzie można zrobić, jeśli okaże się, że następna kometa czy tam meteor zbliży się do Pernu tak blisko, że znów zagrozi nam zderzenie?

Zapadła tak głęboka cisza, że słycać było fale rozbijające się na plaży i pluski

delfinów, wyczyniających wieczorne harce.

— Coś wymyślimy... — rzucił F'lar w tej ciszy.

— O co wam wszystkim chodzi, wy... — huknął F'lessan wstając gwałtownie.

Lessa niemal usłyszała niedopowiedzianą końcówkę tego pytania: wy stare zrządy.

F'lessan zaraz doszedł do siebie, choć zająknął się przy następnym zdaniu.

— Dopiero zaczęliśmy się przekopywać przez masy informacji dostarczonych nam przez Assigi; gdzieś tam na pewno znajdzie się rozwiązanie tego problemu. Gdy Nici spadły po raz pierwszy, nasi przodkowie radzili sobie, jak umieli i stworzyli coś, co pomogło im przetrwać, czyli smoki. Nauczyli się dostosowywać do warunków, znaleźli schronienia dla rosnącej wciąż społeczności, która wyginałaby bez śladu już podczas pierwszego Przejścia, gdyby zabrakło im pomysłowości i optymizmu. Z całym szacunkiem dla ciebie, Erragonie, pamiętaj, że Assigi zawsze ukrywał informacje, tak że dotarcie do nich wymagało niemałej pracy. Postarajmy się radzić sobie z tym, co mamy... z tymi teleskopami i z mózgami, które mamy od urodzenia.

Lessa popatrzyła na syna ze sporym, choć zabarwionym wątpliwościami szacunkiem. Mimo wszystko mógł mówić prawdę. Assigi wspominał o broni masowego rażenia, a ona miała głęboką nadzieję, że takich szczegółów nie ma w jego plikach. Ale jeśli jest nadzieja...

— Musieliśmy się bardzo wiele nauczyć, by zepchnąć z orbity Czerwoną Gwiazdę. Wciąż nie znamy nawet połowy zawartości plików Assigi — ciągnął F'lessan.

— I wcale nie potrzebujemy nawet połowy tej wiedzy, F'lessanie — skrzywił się G'dened.

— Bardzo możliwe, że nawet jej większej części, G'denedzie, ale jako jeźdźcy smoków mamy obowiązek dowiedzieć się jak najwięcej, by zapewnić możliwie najlepszą ochronę naszej planecie.

F'lar kiwnął z aprobatą głową i wstał.

— Służba Weyrów nie ma końca. Jeśli pozytywnie zaopiniujemy Radzie obserwowanie nieba, jeśli stworzymy wspólny front — znacząco popatrzył na G'deneda i na zbitego z tropu G'narisha — to, na pierwsze Jajo, które pękło tu, na Lądowisku, my, smoczy jeźdźcy, nadamy nowy wymiar naszej przyszłości!

Huknął pięścią w stół i rozejrzał się błyszczącymi oczami, czekając, kto mu się sprzeciwi.

No, to się nazywa walić prosto z mostu, pomyślała Lessa, dumna ze swojego partnera. Dwóch nowych Władców Weyru, zdecydowanych sprostać swoim obowiązkom, pójdzie za każdym silnym przywódcą. Mają go teraz — wystarczy spojrzeć na F'lessana i F'lara. Oho,

wstali z za stołu i wiwatują. T'gellan wyraźnie się rozpogodził, Cosira wprawdzie wygląda na zakłopotaną, ale przynajmniej G'narish trochę odżył po porywających słowach F'lessana.

— No tak, najlepiej jest stworzyć wspólny front, — mruknął G'dened, niechętnie podporządkowując się większości.

— Cóż, to zachęcające, wielce zachęcające — powiedział Wansor, kiwając głową. — Podsumujmy więc nasze plany. Yoko, Warownia nad Zatoczką i Honsiu będą dalej przeszukiwać najbliższą przestrzeń; poprosimy Radę o wydanie pozostałych teleskopów; rozpoczniemy pracę nad niezbędnym obserwatorium na Zachodnim Kontynencie, a następne obserwatorium zostanie zlokalizowane nad Lodowym Jeziorkiem... serdeczne dzięki, lordzie Jaxomie. Trzecie postawimy w Telgarze, jeśli lord Larad wykaże się dobrą wolą i nie poskąpi pomocy. Lady Palio, Lordzie J'fery, dzięki za chęć współpracy. Naturalnie poprosimy również o bezcenne wsparcie Mistrza Fandarela. Będziemy też potrzebować ochotników... obserwacja nieba wymaga bystrych oczu i pracy po nocach... oraz uruchomimy przyspieszony kurs szkoleniowy. Jestem pewien, że pomoże nam w tym Cech Harfiarzy. Poproszę Mistrza Tagetarla, by wydrukował ogłoszenie. Dowie się o tym cała planeta! — rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się zaraźliwie.

— Myślę, że to doskonałe podsumowanie naszych jeździeckich planów — oświadczył F'lar. — Może teraz trochę się odprężymy i napijemy wina? Przywieźliśmy ze sobą trochę bendeńskiego, na wypadek, gdyby ktoś miał chęć.

Może z wyjątkiem G'deneda w sali nie znalazł się nikt, kto nie miałby ochoty na szklaneczkę. Mirrim ruszyła do kuchni, ciągnąc za sobą Talinę, Adreę i Sharę. Tai chciała iść z nimi, ale zatrzymał ją F'lessan, chcąc, by pomogła objaśniać obrazy nieba Palii, J'feremu i K'vanowi. Erragon prezentował stare zdjęcia z plików Assigi, które pokazywały, jakie ogromne przestrzenie nieba, dziś nie podlegające żadnym obserwacjom, zostaną zbadane przez obserwatorium na Zachodnim Kontynencie.

Lessa, zadowolona, że spotkanie, które zaczęło się beznadziejnie, zakończyło się takim wybuchem entuzjazmu, odczuła niesłychaną ulgę. Władcy Weyrów Pernu zajmą swoje miejsca w Radzie Pernu natchnieni pewnością siebie, która z kolei zrobi odpowiednie wrażenie na Władcach Warowni i Cechmistrzach. Nie mogła się doczekać, kiedy poinformuje ich o nowym zawodzie, który w czasie, kiedy już nie będzie Nici, stanie się idealnym zajęciem dla jeźdźców. Uśmiechnęła się do siebie. Sharra przyniosła jej kieliszek wina i tackę z przekąskami. Nagle z zadumy wyrwało ją pytanie G'deneda, skierowane do Wansora.

— Wspomniałeś o trzech innych osobach zaangażowanych w te plany. Kto to taki?

— Jeden z nich to Mistrz Stinar, a pozostali to moi dawni studenci z Telgaru, którzy są

teraz Mistrzami w swoich Cechach: Toppel z Cromu i Murolin z Południowego Bollu. Zbudowali sobie nawet teleskopy, wprowadzili refrakcyjne i o zaledwie stumilimetrowej średnicy, ale nadające się do obserwacji nieba. Toppel będzie do końca życia żałował, że nie widział ognistej kuli; było tak zimno, że schował się w domu. — Mistrz Wansor zrobił ubolewającą minę. — Mam dla ciebie propozycję, Władco G'denedzie. Popatrz dziś na niebo przez nasz teleskop.

Lessa wyprostowała się gwałtownie, rozbawił ją widok zmieszania G'deneda.

— Dlaczego nikt wcześniej o tym nie pomyślał? — zapytała i wstała z krzesła. — Sama bym chętnie popatrzyła. Czy to się da zrobić, Erragonie? — Zauważyła przelotne wahanie na twarzy Mistrza. — A może przeszkodzi to w twoim przeszukiwaniu nieba?

— W dobrym celu, Lady Lesso... — skłonił się z wrodzoną uprzejmością.

— A kto tam pracuje, podczas gdy wy jesteście tu z nami? — chciał wiedzieć G'dened.

— Lofton, zdolny czeladnik — padła odpowiedź. W tym momencie F'lessan podszedł do Lessy.

— Ja i Tai pokazemy też teleskop z Honsiu — powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. — Jadą z nami K'van, Adrea, Palla i J'fery.

Tylko G'dened i Cosira nie chcieli patrzeć w gwiazdy ani nad Zatoką, ani w Honsiu. G'dened zaoferował się za to, że popyta swoich jeźdźców, czy nie mieliby ochoty wziąć udziału w szkoleniu, by potem obserwować niebo.

— Mówiłeś, Erragonie — powiedział F'lar, przyłączając się do Lessy, — że masz więcej takich wydruków, które możemy pokazać na Radzie ku przerażeniu jej członków.

— A także większości gospodarzy i rzemieślników — mruknął K'van i dodał tak cicho, że usłyszał to tylko F'lessan: — Nie wspominając o jeźdźcach smoków.

Dopiero kiedy Lessa z F'larem wrócili do swojego Weyru, kobieta przypomniała sobie, że nie udało jej się porozmawiać z Jaxomem, który wymknął się z Sharą, gdy wszyscy pozostali dopijali wino. Nie zamieniła też ani słowa z F'lessanem, który pożegnał się nieco bardziej ostentacyjnie razem z grupką jeźdźców, których zaprosił do Honsiu. Nie miała więc okazji poznać tej jego zielonej jeźdźczyny. Nigdy nie widziała, żeby się tak o kogoś troszczył. A przecież Tai nie wyglądała na mimozę.

— Niezła jest — mruknął F'lear, jak zwykle odgadując jej myśli, otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie przed zaśnięciem.

CZĘŚĆ CZWARTA
NOWY WYMIAR

WEYR HONSIU, 2.26—.27.31

Tai obawiała się narady w Warowni nad Zatoczką, ale po spotkaniu zapalała takim samym entuzjazmem jak F'lessan. Jej partner musiał potraktować ją z wielką — jak na swoje możliwości — surowością, by tam pojechała; zgodziła się z oporami, ale tylko dlatego, że nalegał na to także Erragon. Na spotkaniu obaj mężczyźni tyle razy podkreślali jej zasługi, że poczuła się zakłopotana. Ale gdy stary G'dened okazał się taki uparty i wyniosły i kiedy tak... tak po prostu głupio zignorował możliwość zagrożenia, musiała się odezwać. Jej wypowiedź poparli Erragon i Lord Lytol, choć często spierali się między sobą. I zachęcali ją do mówienia. Była to dla niej chwila, kiedy całkowicie ją zaakceptowano, choć w ogóle się tego nie spodziewała. Władcy Bendenu wcale jej nie skrytykowali, nie okazali się nawet zaskoczeni uwagami F'lessana. Była z niego ogromnie dumna. Kiedy Mirrim chciała ją zabrać ze sobą do kuchni, F'lessan zatrzymał ją przy sobie, żeby pomogła objaśniać młodym Władcom Weyru, w jaki sposób zaprogramowali skanowanie nieba i ustawili zdalny przekaźnik obrazu na wyższe czasy ekspozycji. Wyjaśniła też, jak wyróżniać znaczące obiekty i po co potrzebne są wielokrotne obserwacje danej strefy nocnego nieba. Wyglądało na to, że Palla czuje się na tym spotkaniu równie niepewnie jak Tai; zerknęły na siebie ze zrozumieniem. Ze wszystkich młodych jeźdźców tylko Palla zrozumiała, na czym polegają zadania zaplanowane na najbliższy okres.

Potem F'lessan spytał, kto ma ochotę polecieć do Honsiu. Zgłosiło się jedenaścioro jeźdźców i tyleż smoków. Wtedy dopiero poczuła prawdziwą dumę i entuzjazm — tym bardziej, że była tam Mirrim. Pokazali wszystkim obserwatorium i obrazy pomniejszych planet, które już wzeszły. Kiedy uświadomili sobie z F'lessanem, że Palla wciąż dużo pamięta ze studiów, zaczęli ją zachęcać do udzielania wyjaśnień J'feremu, K'vanowi i Tgellanowi. Talina niby to słuchała, ale bez większego zainteresowania. Mirrim udawała zaciekawienie, ale Tai wyczuwała jej niepokój, więc gdy starsza jeźdźczyni zaproponowała, że sprawdzi, co jest do jedzenia w tym weyrze, F'lessan poprosił ją, by czuła się jak u siebie w domu i podała wszystko, co znajdzie. Potem złapał Tai za rękę.

— Ona doskonale wie, gdzie co jest... — mruknął jej do ucha i zrobił znaczącą przerwę — ... w kuchni. Niech się tym zajmie.

Pożywili się pieczywem, serem, owocami, zimną rybą, mięsem i klahem, które podała Mirrim. I tak spontanicznie zwołana pierwsza sesja Kursu Astronomii dla Władców Weyrów — jak żartem określił F'lessan — trwała jeszcze długo po zachodzie Rigela.

Pożegnawszy gości, Tai wzięła się za sprzątanie koszyków i misek, wrzucając resztki

do jednej, a F'lessan położył teleskop spać. Kiedy zabrała się do porządkowania wydruków, powiedział:

— Po prostu zbierz je na kupkę. Musimy się trochę przespać, moja miła zielona — dodał, otaczając ją ramionami. Przyciągnął ją do siebie, przerywając jej pracę. Wychyliła się z jego ramion i złapała jeszcze kilka wydruków.

— Nic im się nie stanie. A jeżeli będziesz je porządkować godzinami, pewnie popełnisz ze zmęczenia sporo pomyłek.

Pocałował ją w szyję.

— Polećcie z Zaranth wyrzucić śmieci. Ja zamknę dach i spotkamy się na dole.

— Ty wchodziłeś na górę, to ja za to zejść — odparła twardo.

— Nie, ja zejść. Schodzić jest łatwiej, a ty przez ten czas uporządkujesz kuchnię po Mirrim. Potem pójdziemy na chwilę popływać w rzece, bo właśnie mam taki kaprys.

F'lessan doskonale umie mną manipulować, pomyślała Tai. Weszła po drabinie na dach i wzięła kosze na śmieci od F'lessana, który uśmiechał się z radości, że znów mu się udało. Wsiadając na Zaranth, słyszała szum mechanizmu zamykającego kopułę. W ciemności zamrugały zielone oczy Golantha.

Lecę z wami, powiedział, a spod jego łap spadł ukruszony kawałek skały, na której siedział.

Zostawiła oba smoki na tarasie i ruszyła do kuchni. Palily się wszystkie światła i większość szafek była pootwierana. Nie sądziła, że zostanie tu aż taki nieporządek. Czyżby Mirrim zrobiła to celowo? Nie, Talina z nią tu była; może to i gapa, ale nie jest złośliwa. Mirrim dalej nie mogła uwierzyć w tę historię ze skórą. Choć Golanth nauczył się już z niewielką pomocą Zaranth przesuwac turlaje tylko tyle ile trzeba, na więcej eksperymentów nie starczyło im czasu. No cóż, trochę go potrzebowali dla siebie. Tai zaczerwieniła się, sprzątając i wycierając blaty szafek. Stwierdziła, że większość naczyń wystarczy tylko opłukać. Było jeszcze tyle pąsów, że starczyło na dzbanek soku — podejrzewała, że F'lessanowi będzie się chciało pić, a po jeszcze jednym kłahu oboje nie zasną. Może zresztą i tak by nie zasnęła — tyle się zdarzyło podczas tego spotkania. Wciąż miała w pamięci całe sceny, które chciała przemyśleć. F'lessan pewnie będzie miał ochotę porozmawiać — zawsze upierał się, by wyrabiała sobie własne zdanie i dzieliła się z nim swoimi poglądami.

Kiedy wszedł wreszcie do kuchni, wyglądał na zmęczonego, ale na widok soku oczy mu zabłyśły. Przewiesił sobie przez ramię ręczniki, dwa koce i czystą odzież dla obojga.

— Skąd wiedziałas, że całkiem zaschło mi w gardle, moja miła zielona? — spytał i nalał soku do szklanek.

Spojrzała pytająco na rzeczy, które zabrał ze sobą.

— Golanth powiedział właśnie, że musi splukać z siebie sól po kąpieli w Warowni nad Zatoczką, Zaranth zresztą też, ale ona uważa, że najpierw wszyscy powinniśmy się przespać. Więc pomyślałem, że jeśli polecimy nad rzekę, smoki się porządnie opluczą, a my możemy przez resztę nocy popatrzeć na gwiazdy. Naprawdę —jakoś udało mu się unieść ramiona do góry —jestem zbyt podniecony, żeby spać. Wypijmy!

Wypiła, śmiejąc się między łykami, bo kiedy F'lessan był w takim nastroju, nie sposób było się z nim spierać. Sama miała wrażenie, że tej nocy udało jej się przełamać kilka własnych blokad. Tak dużo się wydarzyło. Tak nieprawdopodobnie dużo. Była na zamkniętym spotkaniu Władców Warowni, zabierała głos i przekazywała informacje, pokazywała zdjęcia gwiazd, które sama zrobiła teleskopem z Honsiu — a przy tym wspierały ją zachęcające spojrzenia Lytoła, Erragona, F'lara, a nawet Lessy. Po raz pierwszy w życiu czuła, że jest smoczym jeźdźcem, a nie zwykłą jeźdźczynią zielonej!

Skończyli sok, wsiedli na smoki — F'lessan rzucił jej prosto w ręce ubrania i ręcznik — i poszybowali ze skał Honsiu ku rzece, lśniącej poniżej tarasów. W szerokim zakolu zmieściłoby się kilka smoków.

Od strony Honsiu była głębia, gdzie gęste zarośla wbijały korzenie w erodującą skałę, ale drugi brzeg tworzył szeroką łachę, która od wieków służyła za wodopój dla stad dziczającego bydła. Znad łachy wiodły w górę trzy skalne tarasy i dopiero za nimi roślinność znalazła dla siebie dość żyznej gleby. Od czasów powodzi wiele smoków z Monako wygrzewało się tu na słońcu. Z najwyższego poziomu widać było dachy zabudowań gospodarskich. Ale do świtu miało upłynąć jeszcze kilka godzin.

F'lessan zabrał ze sobą worek pachnącego piasku. Tai miała wielką ochotę się wykapać, choć woda w rzece pewnie była zimna. Nad Zatoczką było ciepło, zresztą spociała się ze zdenerwowania, a potem dodatkowo przy pracy, gdy w zatłoczonej salce pokazywała wspaniałe, wyraźne obrazy nieba uzyskane za pomocą teleskopu. Namydlili się nawzajem — okazało się, że mają dość energii, by traktować to jako zabawę. Ale wkrótce ogarnęło ich zmęczenie i pozwolili, by do rzeki weszły smoki, które tak harcowały, że woda pryskała aż na wysoki brzeg. F'lessan ze śmiechem przeniósł wszystkie rzeczy na najwyższą plażę, rzucił Tai ręcznik i sam też zaczął się wycierać. Ubrali się, bo przed świtem było już chłodno, rozłożyli koc na ziemi, przykryli się drugim i podłożyli sobie pod głowy zwinięte ręczniki.

Tai uśmiechała się, słuchając radosnych smoczych pisków. Poczwała wewnętrzny spokój, który rzadko bywał jej udziałem.

— Kiedy wydają takie dźwięki, trudno się zdecydować, czy brzmią jak delfiny, czy

jak jaszczurki ogniste — powiedział F'lessan, oparł głowę na ramieniu Tai i objął ją drugą ręką.

— W końcu są spowinowacone — odparła sennie, zadowolona, że leży obok niego i że ich palce splatają się ze sobą.

Usłyszała jego westchnienie.

— O tylu rzeczach powinniśmy porozmawiać — mruknął — ale chyba to wszystko może poczekać do jutra, prawda?

Zwrócił ku niej głowę. Widziała tylko zarys twarzy i białe zęby, odsłonięte w jednym z tych jego uroczych uśmiechów.

— Już jest jutro, wiesz?

— No to poczekajmy do późnego rana. Pochylił głowę i lekko ją pocałował.

Dlaczego te najdelikatniejsze pocałunki robiły na niej o wiele większe wrażenie niż te pełne pasji — które zresztą też jej się podobały? To właśnie jego czułość była najbardziej rozbijająca.

Obuzdziła się i natychmiast usiadła, jak podrzucona sprężyna, na sekundę zanim to się zdarzyło — zanim Golanth zaryczał, a Zaranth zareagowała na coś, co bacznie obserwowała w krzakach. Zapamiętała tę chwilę na zawsze, podobnie jak moment wybuchu Ognistej Kuli; leżeli z F'lessanem na najwyższej plaży, Zaranth tuż pod nimi, w napięciu obserwując coś, czego Tai nie mogła dostrzec. Golanth rozciągnięty na piasku warował na najniższym tarasie, z głową skierowaną ku rzece, z połową ogona ukrytą w gęstych krzewach.

Nigdy nie będzie wiadomo, czy to ten ogon je skusił, czy coś innego. O świcie tego dnia wiele kotowatych wybrało się na polowanie. Słońce już wzeszło, a nagrzana smocza skóra wydzielala specyficzny aromat. Smoki zwykle wygrzewały się na słońcu na wysokich półkach skalnych. Tego ranka, kiedy wszyscy spali głębokim snem, okazały się bezbronne.

Kotowate nadeszły ukradkiem. Może przyszły tylko do wodopoju i natrafiły na śpiące smoki. Może ich uwagę przyciągnął ogon Golantha, który zadrgał przez sen. To, w co wpatrywała się Zaranth, nagle odleciało do tyłu z niewiarygodną szybkością i jakby na ten sygnał ogromny kot w pomarańczowe pasy zatopił kły w ogonie Golantha. Rozległ się ryk i w tym momencie zaatakowała reszta polującego stada. Cętkowane, pasiaste i płowe bestie rzuciły się na niego z trzech stron i pokryły go futrzastą masą.

Golanth wstał na całą wysokość, wymachując w powietrzu pazurami przednich łap, by pozbyć się drapieznika, który wpił się w fałdę osłaniającą lewe oko. Smagnięciami ogona próbował uwolnić się od kota, który na nim siedział, kopnięciem odrzucić trzeciego, wgryzającego się w ciało między klatką piersiową a biodrem, a jednocześnie wierzgnięciami

tylnych łap odpędzić następne, pędzące od strony gęstych nadrzecznych zarośli. Kocie szczęki zacisnęły się mocniej — stworzenia nie zamierzały wypuścić łupu.

Inne wykorzystały ciało Golantha jako podest, z którego zaatakowały Zaranth. Walczyły z wyciągniętymi pazurami i zadartymi łbami, gotowymi zatopić kły tam, gdzie natrafia na ciało.

F'lessan błyskawicznie wy dostał się spod koca, zarzucając go na Tai. Jednym skokiem znalazł się na zadzie Zaranth, odbił się od niego i runął na najbliższego kota, dobywając noża — nieodzownego atrybutu każdego jeźdźca — choć jego ostrze było krótsze niż pazury każdej z tych bestii. Zaranth cofnęła się, wysyłając w powietrze koziołkującego kota, który próbował zaatakować jej głowę.

To NIE turlaje, krzyknęła smoczyca, ODRZUĆ JE PRECZ!

Golanth zdarł łapą kota uczeplonego jego pyska, ale zwierzę odwróciło się w locie, wyprostowało łapy i przejechało przednią prawą po plecach F'lessana. Upadło na ziemię, natychmiast się pozbierało i spadło na jeźdźca. F'lessan uchylił się, wbił nóż w pierś kota, i odturlał się na bok. Zwierzę warknęło z wściekłości i próbowało wyrwać sobie nóż. F'lessan złapał leżący obok kamień i popędził na odsiecz smokowi, mimo że krwawił z ran na plecach.

Golanth, przyciśnięty jednym bokiem do tarasowej plaży, nie; miał jak rozwinąć prawego skrzydła. Jego jeździec znalazł się w niebezpieczeństwie, więc nie chciał wejść *pomiedzy*, gdzie łatwo strząsnąłby koty w czarną, zimną czeluść. W takiej bliskości smoki nie mogły też użyć ognia, bojąc się, że poparzą swoich ukochanych jeźdźców. Jeden z kotów starał się rozedrzeć wewnętrzny płat lewego skrzydła Golantha, a inne, głęboko wbijając pazury w grubą smoczą skórę, rzucały się na niego gdzie popadnie. |

Nie tylko na Golantha, uświadomiła sobie Tai, gorączkowo uwalniając się z koca. Płowe ciała skakały również na Zaranth, ale nie potrafiły jej nic zrobić poza długimi krwawymi smugami od pazurów na skórze. Nagle zwierzę, które rozorało miękki bok Golantha, odleciało i wpadło do rzeki, w której natychmiast zatoneło. Zaranth zawyła i potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć jakiegoś ciężaru, a potem kopnęła tylną nogą, choć Tai nie widziała nic, tylko ciemnozielony płyn spływający po zielonej skórze. Z tyłu zaatakował ją płowy cień i natychmiast zniknął. Zwierzę, które chciało wskoczyć na grzbiet Golantha, nagle znalazło się w powietrzu ze zwisającymi luźno łapami, jakby coś złapało je pod brzuch i gwałtownie odrzuciło. To samo stało się z kotem, który wbił kły w lewą tylną nogę Golantha. Tai szarpnęła koc, wstała i zacisnęła go w dłoni, żałując, że to nie ostra broń. Chciała jakoś dostać się do F'lessana, którego okrążyły dwie wielkie bestie. Wciąż krwawił z ran na plecach.

Zapamiętała tylko, że nagle znalazła się u boku F'lessana, a koc łopotał za jej plecami od pędu. Trzasnęła nim jak z bicia prosto w pysk jednego z kotów, który odskoczył z charkotem, a potem cisnęła w drugą bestię, która wbiła pazury w tkaninę. F'lessan pchnął ją na ziemię i w tym momencie drugi kot rzucił się wprost na niego. W ułamku sekundy przed atakiem Tai mogła myśleć tylko o jednym: „Straciłam go! Straciłam!”

Nagle w powietrzu zrobiło się gęsto od buchających ogniem smoków z rozłożonymi skrzydłami. Tai przestraszyła się, że ich poparzą. Potężny smoczy płomień potrafił zwęglić ludzkie i smocze ciało.

PATRZCIE NA MNIE! — grmiący głos Zaranth rozdzwonił się gdzieś na dnie czaszki Tai. *ODRZUCAJCIE JE!* — w odpowiedzi rozległ się jeszcze potężniejszy wewnętrzny krzyk. Tai, ogarnięta skrajnym przerażeniem, przekonana, że straci i F'lessana, i Golantha, z trudem mogła zrozumieć przedziwny rozwój wydarzeń. Dlaczego Zaranth każe innym smokom patrzeć na siebie i coś odrzucać? Przecież nigdy nie zrobiła krzywdy turlajom! Koty śmigały na prawo i lewo, choć smoki nawet ich nie dotykały. Dlaczego jeden z nich rozprysnął się w powietrzu?

Nagle zniknęła bestia, która próbowała wyplątać się z koca zarzuconego przez Tai. Tylko pusty koc opadł na ziemię. Zniknął też drapieźnik, który już, już miał rozorać tylnymi łapami brzuch F'lessana. Ciężko ranny F'lessan zwrócił się ku swojemu smokowi, rozpaczliwie próbując go dosięgnąć, choć nie miał siły wstać i do niego podejść. Przez trąbienie smoków i kocie wrzaski Tai słyszała, jak F'lessan woła Golantha po imieniu.

Podeszła do niego, by mu pomóc podejść do smoka, ale potknęła się i zakreśliła jej się w głowie. A może to nogi się pod nią ugięły? W tym momencie zobaczyła, jak cztery drapieźniki rzucają się na nich jednocześnie z górnego tarasu, na którym spali razem z F'lessanem. Pewnie podkradły się od tyłu, kryjąc się w gęstych zaroślach. Zaranth uniosła się dokładnie w odpowiednim momencie — jakby dostrzegła je jedną z fasetek czerwonego oka — i zareagowała. Trzy drapieźniki rzuciły się na nią i poleciały do tyłu. Czwarty wciąż był rozciągnięty w skoku; kierował się prosto na barki Golantha, na ostatni wyrostek grzbietowy, tam, gdzie nic nie osłaniało kręgosłupa. Jeśli trafią tam kły lub pazury, wystarczy jedno cięcie, by uśmiercić smoka.

NIE! NIE! Później Tai zastanawiała się, dlaczego boli ją gardło. Wpatrywała się w tę scenę, niezdolna zrobić nic więcej, przerażona myślą, co się stanie, jeśli drapieźnik dopadnie grzbietu Golantha. Spiżowy smok zginie! F'lessan zginie! Ona zginie! *NIE! NIE! NIE!* Straci ich obu! Plama złota na spiżu.

CZAS! ryknął Golanth.

Ten krzyk pulsował w jej kościach i krwi; ciało dygotało gwałtownie, głowa o mało nie pękła. Serce pękło jej z pewnością. Wielka złota plama zsunęła się po spizowym boku. W ułamku sekundy dostrzegła, jak pazury na moment wbijają się w kłęb smoka i wyrywają bruzdy. Nagle kot wybuchł w powietrzu; krew, wnętrzności, odłamki kości i kawałki skóry rozbryznęły się aż do miejsca, gdzie stała, rozpryskując zakrwawione, nieruchome ciało F'lessana. Golanth zachwiał się. Czyżby umierał? F'lessan też pewnie będzie chciał umrzeć!

Upadła na kolana, zrozpaczona tą myślą, wpatrując się w zieloną posokę, która splamiła ciało Golantha. Jeszcze się chwiał od impetu tego skoku; z lewego oka sączyła się posoka zmieszana z czerwoną krwią bestii. Ale nie upadł. Czy smoki upadają, kiedy giną?; Czy są zbyt zszokowane, by wejść w *pomiędzy*? Drapieznik jakimś i cudem ominął czule miejsce. Golanth zwiesił łeb, przekrzywiając go w lewo, by nie forsować zranionego oka. Czy można w jakiś sposób złagodzić jego upadek? Nie była nawet w stanie zmusić własnych kolan do ruchu.

Nagle w powietrzu były tylko smoki. Oszołomiona patrzyła na otaczające ich kołem gniewne smoki, unoszące się skrzydło w skrzydło nad górnym tarasem: złotą, potężną Ramoth, Arwith, Mnementa, Monartha, Gadaretha, Hetha, Path, Rutha i inne, których nie знаła. Widziała Zaranth, wyprostowaną wysoko na tylnych łapach, rozłożone skrzydła lśniące od plam posoki — wtedy poczuła jej ból w swoich myślach. Smoki jednocześnie wyciągnęły szyje i zatrąbiły dziko i triumfalnie z powodu, którego nie potrafiła zrozumieć.

Żyją! Zapewnił ją smoczy chór z tak wielką pewnością, że oszołomiona Tai upadła, zdumiona tą odpowiedzią. Spróbowała dopełznąć do F'lessana, ale straciła przytomność.

Dryfowała między jawą a nieświadomością, widziała mężczyzn i kobiety porozumiewających się urywanym szeptem, czuła chłód mrocznika, który złagodził ból w nogach i innych częściach ciała, które właśnie zaczynały boleć.

— Nie, zostawcie, poczekajcie, aż obejrzą go Oldive i Wyzall.

— Zielona nie ruszy się ani na krok. Ale możemy przenieść jeźdźczynię.

— Do wygodnego łóżka w Honsiu nie jest w końcu daleko.

— Ile smoków będzie potrzeba, żeby go przenieść? Wiecie, że nie można go spuścić na gołą skałę!

— Czy ci wszyscy ludzie są tu naprawdę niezbędni? — Tai rozpoznała uszczypliwy ton Władczyni Bendenu. — Przynajmniej smoki mają na tyle rozsądku, żeby nie plątać się tu, póki nie są potrzebne.

Kiedy podnieśli ją żeby zabandażować poranione pazurami nogi, oprzytomniała z bólu.

— Nie, nie, Tai, nie rzucaj się na boki. Trzeba naprawić arterię. Chyba rozpoznała głos Sharry.

— Golanth nie żyje! F'lessan?

— Nie, nie, obaj żyją.

— JAK TO?

— Naprawdę żyją. Zaranth, powiedz jej!

Żyją, szepnęła smoczyca. Żyją! Żyją! Wszyscy żyjemy!

Poczuła ukłucie w ramię i znowu straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, w jej głowie wciąż brzmiały słowa: „Żyją! Żyją!”. Jak pieśń. Tak bardzo chciała w to uwierzyć. Czuła umysł Zaranth, bliski jak jej własna skóra.

Żyją. W głosie zielonej czuć było ogromne zmęczenie.

Odpocznij, Zaranth. Teraz i ty możesz odpocząć.

Tak, Zaranth, powiedział jakiś inny głos. Ty także powinnaś odpocząć.

Ktoś delikatnie obmył twarz Tai wilgotnym ręcznikiem, ktoś inny trzymał ją za rękę.

— Posłuchaj mnie teraz, Tai — zielona jeźdźczyni ze zdumieniem spostrzegła, że przy jej łóżku siedzi Władczyni Bendenu. — F'lessan jest ciężko ranny. Oldive, Crivellan Keita i jeszcze dwóch najlepszych chirurgów całkiem ładnie pozszywali go do kupy. Za to Golanth... — dłoń Lessy zacisnęła się na moment na palcach Tai; Władczyni musiała głęboko odetchnąć, zanim mogła mówić dalej — ...jest w gorszym stanie. Kiedy będzie silniejszy, trzeba go trochę bardziej pozszywać. Ale będzie żył. Tyle przynajmniej obiecał Oldive i najlepsi uzdrowiciele.

Przez myśl Tai przemknęło jak błyskawica wspomnienie spizowego smoka, poranionego, broczącego gęstą zieloną posoką, z powyrywanych kawałami ciała z ogona i nóg, z oślepieniem lewym okiem... i tego ostatniego skoku drapieznika.

— Ale nie będzie już taki jak dawniej — głos jej się łamał. Lessa uściśliła ją mocno.

— A kto jest taki sam jak dawniej po ataku drapieźników? Ale będzie latał. Z F'lessanem.

Tai z wysiłkiem uniosła się na łokciu, by spojrzeć w szare oczy, tak podobne do oczu F'lessana.

— Nie skłamałabyś mi?

Ze zdumieniem zobaczyła, jak oczy Lessy wypełniają się łzami; zirytowana Władczyni rozproszyła je mruganiem.

— Nie, zielona jeźdźczyni, nie skłamałabym ci. Ani temu twojemu nieprawdopodobnemu smokowi. Ani ja, ani Ramoth, ani żaden inny smok na Pernie. F'lessan

i Golanth będą potrzebować troskliwej opieki, ale Mistrz Oldive jest pewien, że obu wystarczy sił na rekonwalescencję po takich ranach.

W głosie Lessy było coś, co obudziło w Tai większy lęk.

Chciała zsunąć nogi z łóżka — musiała zobaczyć F'lessana, ale mięśnie jej nie usłuchały i drugi raz przeżyła ten straszny moment, kiedy nie mogła uwolnić się od koca, by pomóc F'lessanowi.

Ktoś pchnął ją powrotem na poduszki.

— Poczekaj, aż ci się zagoją rany, a potem będziesz sobie wyskakiwać z łóżka.

To był głos Sharry.

Co oni tu wszyscy robią? Gdzie jestem?

Jesteś w Honsiu. Tym razem był to głos Rutha. *Gdzie indziej mogłabyś być?*

— A ty mówiłaś, że zrobi, co jej się każe — powiedziała Lessa z charakterystyczną dla siebie irytacją. Ujęła twarz Tai w obie dłonie i zmusiła ją, by spojrzały sobie w oczy. — F'lessan śpi po zażyciu fellisu. Tak przy okazji, Zaranth nie rusza się ani na krok od Golantha. I dobrze. Nie zmieściłaby się tutaj, a pewnie chciałyby być z tobą.

— To gdzie oni są? — spytała Tai. Wielka sala w Honsiu nie pomieściłaby dwóch smoków.

— Na tarasie — odparła spokojnie Lessa. — Wiesz, o tej porze nie padają deszcze. Sięgnęła po szklanke. — Sharra cię podeprze, żebyś mogła to wypić.

— A co to jest? — spytała podejrzliwie Tai. Nie chciała już więcej spać. Chciała sprawdzić, jak się ma jej dzielna Zaranth, chciała zobaczyć F'lessana i Golantha, nawet jeśli byli w tak ciężkim stanie.

— Powiedz mi, moja miła zielona, jak zamierzasz opiekować się F'lessanem i Golanthem, jeśli opóźnisz swoją własną rekonwalescencję?

Łagodny ton Lessy i zwrot „moja miła zielona” do reszty oszołomiły Tai, więc wypła miksturę bez dalszych protestów

— Chyba mi uwierzyła — zamruczała Lessa. Tai poczuła, że sok fellisowy łagodzi szorstkość w gardle i promieniuje na ciało i umysł.

— Wiem, że tobie uwierzyła — odpowiedziała Sharra i to były ostatnie słowa, jakie Tai usłyszała przed zapadnięciem w głęboki, leczniczy sen.

Lessa powiedziała Tai prawdę o pozostałej trójce ofiar napadu i drapieżników, ale nie całą prawdę. F'lessan i Golanth byli w stanie krytycznym; ich życie zależało od siebie nawzajem. Wyzall, doświadczony uzdrowiciel z weyru, z brutalną szczerością zdiagnozował

okrutne rany Golantha: oko, w którym pazury przebiły wiele fasetek, może pozostać na zawsze niesprawne. Wyzal miał niezłe wyniki w stosowaniu żelu, który leczył oparzenia oczu od Nici, więc zastosował go w dużych ilościach, raczej by złagodzić objawy, niż w nadziei, że wywoła regenerację tkanki. Zszył jak najlepiej porwane skrzydło, wiedząc, że z czasem nastąpi częściowa lub nawet całkowita regeneracja membrany na jego powierzchni. Możliwe, że odpowiednie ćwiczenia i nastawianie stawu przywrócą mu częściową sprawność, ale szansę na „normalny” lot były nikłe.

Oldive i Crivellan mogli powiedzieć coś bardziej optymistycznego na temat F’lessana, którego rekonwalescencja fizyczna była prawie pewna; zeszyto uszkodzone organy wewnętrzne, choć utrata tkanki w lewej łydce, rozdarte ścięgno i zniszczona chrząstka prawdopodobnie utrudnią normalne chodzenie. Uważali jednak, że po takim szoku i utracie krwi, jeździec nie przeżyłby śmierci swojego smoka.

Też bym nie przeżyła, pomyślała Lessa, pogrążona w rozpacz pod maską spokoju i pewności, którą okazywała publicznie.

F’lessanowi i Golanthowi należało mówić, że ich partner przeżyje mimo ran, wzmacniając ich w ten sposób psychicznie. Zanim F’lessan stracił świadomość, mógł pomyśleć, podobnie jak Tai, że Golanth umiera z ran i jeśli zabrał tę straszną myśl ze sobą w otchłań nieświadomości spowodowanej gorączką, może teraz się wymknąć uzdrowicielom! Trzeba było również upewniać Golantha, na zmianę odzyskującego i tracącego świadomość z powodu wstrząsu i słabości, że jego jeździec nie odniósł śmiertelnych ran. Chociaż sama przeżyła wstrząs (mrocznik na szczęście całkowicie tłumiał ból), Zaranth stale zapewniała Golantha, że F’lessan żyje, że zapadł tylko w głęboki sen z bólu i wyczerpania walką. Ramoth powtarzała to samo, z pewną urazą, że Golanth bardziej ufał Zaranth niż jej, w chwilach, gdy był na tyle świadomy, że cokolwiek rozumiał.

— Nieważne, komu wierzy, ważne, by był przekonany, że F’lessan żyje — powtarzała Lessie Wyzall.

— Tak, tak, naturalnie — zgodziła się, ale poczyniła w myśli pewne przegrupowania, widząc, że Ramoth zajęła w umyśle Golantha drugie miejsce po zielonej smoczy.

— Dlaczego nie? Przecież dzielą ze sobą weyr — powiedział F’lar, przez moment rozbawiony, że Lessa wyraźnie tego nie rozumie. — Rozmawiają nawzajem ze swymi jeźdźcami.

Rzuciła mu długie, zaskoczone spojrzenie.

— Ale on... — zaczęła i przerwała, by się zastanowić. — No cóż, może już czas, by obudziły się w nim ludzkie emocje. Pewnie, jest bardzo dobry dla swoich synów, nawet jeśli

tylko S'lan mieszka w Bendenie. Myślałam tylko... F'lar otoczył ją ramieniem.

— Ramoth to akceptuje — szepnął jej do ucha. — Mnementh też. Biorąc pod uwagę to, czego ta zielona dzisiaj dokonała...

— Czego dzisiaj... — Lessa przerwała. — No cóż, nie będziemy jej teraz zawracać głowy pytaniami, w jaki sposób tego dokonała ani co to właściwie było. Zrobiła to i jestem jej za to bardziej wdzięczna niż umiem wyrazić.

— Ja też. — Mocniej objął Lessę ramionami, przycisnął ją do siebie, pocieszając ją i szukając u niej pociechy. Czekala ich długa, bezsenna noc.

Kiedy Oldive i Crivellan odeszli od nieprzytomnego FMessana, zostawiając przy nim czuwającą Keitę, stwierdzili, że czas, by oboje Władcy trochę odpoczęli. Sharra zaprowadziła ich do pokoiku naprzeciwko pomieszczeń F'lessana i Tai.

Oparli się na poduszkach, wiedząc, że nie zasną i próbowali odtworzyć kolejność zdumiewających wydarzeń podczas walki, chcąc wyjaśnić niezwykle zachowanie Ramoth.

— Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić — powiedziała Lessa — chociaż to przecież mój smok. Połączyłam się z jej umysłem w momencie, gdy uświadomiłam sobie, że odleciała, na pomoc Golanthowi. Widziałam to co widziałam: na nim i na zielonej aż roilo się od tych wstrętnych drapieźników. Zielona w jakiś sposób wylapywała je i odrzucała precz. Był to rodzaj ruchu, który Ramoth zaczęła naśladować. Podobnie jak inne smoki. Łapały te koty i odrzucały je od Golantha i Zaranth. — Potarła czoło, jakby to miało jej rozjaśnić niezrozumiałe obrazy, które przekazała jej Ramoth. — Flessan leżał na ziemi, atakowany o jednego z drapieźników. Wiesz, miał ze sobą tylko krótki nóż. Tai skoczyła z górnego poziomu, a coś za nią łopotało. — Lessa przerwała marszcząc brwi. — Myślę, że to Golanth zawołał „czas” a Ramoth zauważyła tego jedyne kota, którego Zaranth nie odrzuciła swoim ciałem. — Zmarszczki na czole Lessy pogłębiły się, mówiła teraz powoli, odmierzając słowa, jakby ta ulotna chwila była najważniejsza ze wszystkich. — Gdyby kot trafił w to miejsce, łatwo przerwałby kręgosłup Golantha. — Lessa zadygotała, a F'lar mocno ją do siebie przytulił, jakby chciał wygnać ten straszny obraz z jej myśli... i ze swoich również. — To musiał być Golanth.

Zielone nie znają mechanizmów manipulowania czasem i nie potrafią tego robić bez pomocy, a Golanth tyle zrobił w Monako i na Urwisku Wschodzącego Słońca — dodała cicho. — Pozostałe smoki właśnie nadlatywały. Nawet Ramoth nie od razu zrozumiała zagrożenie. Więc to na pewno Golanth zawołał: „czas”. Pewnie widział, co mu grozi, oczami Zaranth. Albo Tai. A Ramoth rozumiała, co należy zrobić. Zmienić kierunek skoku drapieźnika. Straciłam z nią kontakt... znasz przecież to uczucie pozbawienia zmysłów kiedy

się jest *po między!* — spytała, spoglądając na niego przez łzy. — Poczułam właśnie coś takiego. Nie da się tego pomylić. Ramoth cofnęła się w czasie, by wytrącić kota z równowagi na tyle, by chybił celu. I żeby nie zabił Golantha. Och, F'larze, gdyby to zrobił, Flessan by nie przeżył śmierci smoka. Nie chciałby. Stracilibyśmy ich obu!

Załamala się wreszcie, porzucając maskę spokoju, opanowania i skutecznego działania, którą nosiła od tylu godzin. Wtulała się we F'lara coraz mocniej i mocniej, by przegnać okropne słowa, które dopiero co uleciały z jej ust.

— To tylko reakcja — łkała. — Właśnie odreagowuję! — Łzy popłynęły strumieniem. Lessa z Ruathy i Weyru Benden, która nie zapłakała nawet wtedy, gdy Fax wymordował jej rodzinę i wszystkich w Ruatha, teraz wylewała łzy!

Poczuła, że na czoło kapią jej inne łzy, więc mocniej przytuliła się do swojego partnera, uświadamiając sobie, że to on płacze, gładząc ją pocieszająco po plecach; pozwolił się jej wyplakać i starał się ją ukoić. Nie mogła przestać. Nie dbała o to, czy słyszy ją całe Honsiu, czy nie.

Nikt nie słyszy, tylko my, odezwała się Ramoth głębokim głosem umysłu, w którym pobrzmiwało echo.

Oboje Władcy przez dłuższy czas dawali upust nagromadzonym emocjom. Wreszcie z trudem się uspokoili. F'lar znalazł w ciemnościach miednicę i dzbanek, a potem odszukał ręcznik, pozostawiony w czasach, gdy mieszkali tam jeźdźcy z Monako, więc oboje mogli obmyć twarz i race. Lessa, wciąż rozdygotana, spróbowała zapleść sobie włosy, a F'lar znalazł kubek.

— Zdumiewające! — powiedział, siadając obok niej, tak blisko, że dotykali się udami, jakby nie mógł znieść oddalenia od niej po tej burzy uczuć... podobnie zresztą, jak ona.

— W teorii zawsze wiedzieliśmy, że jeśli znamy czas, możemy odwrócić... śmiertelny wypadek — powiedział niskim, łamiącym się głosem. — Taki jak śmierć Morety.

— Teoria — odparła, pogardliwie wzruszając ramionami. Powoli popijała wodę, zmuszając ciało, by przestało dygotać. Golanth nie umarł, bo Ramoth temu zapobiegła. |

To nie teoria, powiedziała w jej myślach Ramoth obrażonym tonem. Wyliczyłam dokładny moment. Golanth pokazał mi, jak uratował F'lessana i siebie przed falą tsunami. Był bardzo sprytny i działał wyłącznie z własnej inicjatywy. Nauczył się wtedy czegoś ważnego, ale po powrocie na Lądowisko był zbyt zmęczony, by mi o tym opowiedzieć. Dzisiaj Zaranth pokazała nam, jak się popycha bez dotykania. Przyznaję, że nigdy nie myślałam, że zielone potrafią zrobić coś tak niezwykłego. Widziałam, jak to zrobiła. Bardzo sprytnie. We dwie nauczyłyśmy innych. Ale to ja wyliczyłam czas, ratując Golantha przed ostatnim kotem.

Tylko ja umiałam coś takiego zrobić.

Lessa zaśmiała się niepewnie. *Tylko ty, najdroższa.*

Przyznaję, że dziś nauczyłam się czegoś od zielonego smoka. — Lessa nigdy jeszcze nie słyszała takiego rozgoryczenia w głosie Ramoth. *Powiedziałam innym, czego nauczyła mnie Zaranth, pokazałam, jak ona odrzuca te koty, dodała spokojniej. Ta umiejętność wszystkim się przyda.*

Lessa, kompletnie zaskoczona komentarzami Ramoth na temat nowej umiejętności, zwróciła się do F'lara, na którego twarzy malowało się niedowierzanie, podobne pewnie do jej własnej miny. Chlipnęła ostatni raz.

— Jeśli chcesz wiedzieć — powiedział F'lar z uśmiechem — Mnementh się z tym zgadza. Assigi miał więc rację.

Wykrzywiła usta i ściągnęła brwi w chmurnym grymasie.

— Znowu miał rację i cieszę się z tego, ale jednocześnie mnie to niepokoi. Skomplikował nam życie.

— Może tak, może nie — odparł F'lar spokojnie. — Pamiętasz, jak próbował zrozumieć umiejętności naszych smoków?

Lessa skrzywiła się, nic nie rozumiejąc.

— Wiedział... to znaczy powiedzieliśmy mu, że porozumiewają się z nami w myślach.

— Nazwał to telepatią. A teleportacja to umiejętność przenoszenia się z miejsca na miejsce pomiędzy. Albo między czasami, choć jest to bardzo krótki moment — dodał, przeczesując sobie palcami włosy. — Dzisiaj smoki przećwiczyły trzecią z tych szczególnych umiejętności, czyli telekinezę. Assigi nie potrafił zrozumieć, dlaczego tego nie potrafią, jeśli znają telepatię i mogą się teleportować. Od dzisiaj potrafią. Ciekawe, w jaki sposób wykorzystałby tę umiejętność do bezkontaktowego przenoszenia różnych rzeczy.

— Smoki przeniosły drapieżniki, które zabiłyby Golantha, F'lessana, Tai i Zaranth — powiedziała Lessa cichym, zadumanym głosem.

Zamilkli, zastanawiając się nad tą nową, zdumiewającą koncepcją.

— Jak długo są przekonane, że potrafią... — powiedziała, ściskając jego dłoń.

— To nieodzowne — zgodził się przytakując i wyginając kącik ust w uśmiechu.

— To znaczy, że smoki jednak umieją coś zrobić z różnymi obiektami w przestrzeni.

Wyprostował się gwałtownie, zaciskając palce na jej dłoni.

— Tylko powoli, kochanie, dobrze?

— Bardzo powoli. — zgodził się.

Ktoś zastukał do drzwi i zawołał japo imieniu. Wzięła głęboki oddech czując, że F'lar robi to samo.

— Tak?

— Tu Manora. Właśnie przyleciałam do pomocy. G'bol przywiózł mnie na Mirreth.

— Zaraz idziemy — zawołała Lessa. Kiedy spojrzała błyszczącymi oczami, na F'lara przekonał się, że nie lśnią w nich już łzy, lecz nadzieja. Objął ją i przytulił policzek do jej policzka, próbując poprzez język ciała przekazać jej słowa, które miał w sercu.

Spokojni, wspierając się wzajemnie, wyszli na powitanie Manory po tym krótkim odpoczynku.

Kiedy Tai ponownie się obudziła, siedziała przy niej Manora, gospodyni Niższych Jaskiń Bendenu; ten zaszczyt o mało z powrotem nie odebrał jej świadomości, do chwili gdy poczuła mentalny dotyk Zaranth, z początku pełen niepokoju, a zaraz potem ulgi.

Czujesz się już lepiej! Ja też!

— Dobra nasza — potwierdziła Manora, spojrzawszy na jej twarz. — Oczy masz jaśniejsze i gorączka ci już przeszła.

— A F'lessan? — Tai chciała usiąść i zaraz tego pożałowała: wszystko ją bolało. Czuli się o wiele gorzej niż po pobiciu w Cechu Uzdrawicieli na Ładowisku. Nie opierała się, gdy Manora z powrotem ułożyła ją na poduszkach.

— Też ma już mniejszą gorączkę. Odniósł rozległe rany. Widzisz, były też obrażenia wewnętrzne — poważna twarz Manory nic nie ukrywała — ale Oldive i ten zręczny Crivellan zahamowali krwotok i zaszyli rany po pazurach. Wyzdrowieje. Tai usłyszała coś w jej głosie.

— A co poszło źle?

Manora dodała jej odwagi uściskiem. Na jej twarzy malowała się aprobata.

— Jesteś bystra, zielona jeźdźczyni Tai. Drapieżniki zdarty mięśnie lewej nogi F'lessana i mimo nowych umiejętności nabytych przez Uzdrawicieli nie da się ich uzupełnić. — Przerwała na chwilę. — Będzie miał też kilka blizn na twarzy, ale kiedy rany się wygoją, pewnie staną się niemal niezauważalne.

— F'lessan nie jest próżny — powiedziała Tai po chwili zastanowienia — ale będzie wściekły, że kuleje.

— Masz zupełną rację. Jak tam twoje nogi?

Musiała się dobrze zastanowić, bo poniżej kolan czuła tylko ogromny ciężar.

— Możesz ich prawie nie czuć — wyjaśniła szybko Manora. — Dopiero co obłożyłam je mrocznikiem. Będą blizny.

Tai zbyła tę uwagę prychnięciem.

— Jak bardzo pokaleczona jest Zaranth i kiedy będę mogła ją zobaczyć?

Manora obrzuciła ją długim spojrzeniem.

— Jestem pewna, że Zaranth powiedziała ci już, że ma się lepiej. Zupełnie słusznie — nie jest dziś taka zeszywniała. Została podrapana i pogryziona, ale nie tak bardzo jak Golanth i nie będzie trwale okaleczona. Tak o nią dbają, że natychmiast dostaje okłady z mrocznika, jeśli coś ją tylko zaswędzi. Karmią ją tłustymi, młodymi cielakami; to Gadareth je wybiera i przynosi. Może latać i chodzić, jeśli tylko zechce.

Tai zamknęła oczy, rozpaczliwie świadoma, że spizowy smok jest w znacznie gorszym stanie. Drapieżniki niemal rozdarły go na strzępy. Znowu widziała, jak walczy i jak Zaranth broni ich oboje. To dziwne, nie czuła urazy, że Zaranth przede wszystkim broniła swojego partnera. W końcu Golanth wziął na siebie prawie cały atak.

— A... a Golanth?

Wyraz twarzy Manory zmienił się na moment, ale potem uśmiechnęła się łagodnie i uspokajająco.

— Jego stan także się poprawił, ale na wyzdrowienie trzeba będzie długo poczekać. Odnosił... potworne rany.

— Zaatakowały go wszystkie naraz — Tai nie mogła mówić dalej.

— Drapieżniki zaatakowały obydwu smoki. Zaranth ma na ciele wiele śladów po pazurach, ale nie są tak głębokie jak te na skórze Golantha. Czy wiesz może — Manora zawahała się na moment — w jaki sposób Zaranth broniła siebie i Golantha?

Tai przez moment widziała, jak Zaranth ze skupieniem wpatruje się w coś w krzakach. Pomyślała o odwracaniu trasy wędrownych chrząszczy... taka drobna niedogodność. Pomyślała o skórach, która Zaranth przyniosła jej niewiadomym sposobem. Tamtej nocy, dawno temu nie potrafiła przesunąć niczego, póki F'lessan nie rzucił w nią miską. A przecież drapieżniki były największym możliwym zagrożeniem! Żaden ze smoków nie zawahał się, odrzucając je precz. Ale Zaranth miała o wiele więcej praktyki, zaś Golanth o wiele więcej przeciwników do walki. Póki inne smoki nie przybyły z pomocą. Przypomniała sobie teraz coś, co kiedyś powiedział przy niej Assigi: „Biały je prowadzi, ale dlaczego nie potrafią posłużyć się telekinezą, jeśli znają telepatię i mogą się teleportować?”

Wszystko to nastąpiło przed jej nieoczekiwanym Naznaczeniem. Nie rozumiała, o co wtedy chodziło a już na pewno nie odważyłaby się o nic zapytać. Od czasu do czasu zastanawiała się nad tą uwagą. Assigi bardzo interesował się możliwościami smoków. Był także nieco rozczarowany, nawet po niewiarygodnym osiągnięciu jeźdźców i smoków, którzy zmienili orbitę Czerwonej Gwiazdy. Nikt nie rozumiał, skąd to rozczarowanie, skoro plan

został przeprowadzony w najdrobniejszych szczegółach. Wszyscy widzieli wybuchy silników napędzanych antimaterią, osadzonych na Czerwonej Gwieździe.

— Sama się nauczyła zawracać z drogi turlaje.

— Turlaje? — spytała zdumiona Manora.

— Z tego co wiem, występują wyłącznie na południu — odparła. — Tylko utrudniają życie.

— I Zaranth zawracała je z drogi? To znaczy, że prawdopodobnie potraktowała koty w ten sam sposób.

— Było ich tak strasznie dużo... — Tai nie zdołała powstrzymać łez, które potoczyły się po jej policzkach. Manora ujęła jej dłoń i gładziła kojąco, zachęcając ją w ten sposób, by Tai wypłakała swój smutek. — Chciała pomóc Golanthowi. Na niego skoczyło więcej napastników. Potem przybyły smoki i zajęły się innymi. Z wyjątkiem ostatniego. Golanth powiedział Ramoth, żeby cofnęła się w czasie? — Tai otarła łzy i popatrzyła pytająco na Manorę. — Ale w czym to mogło pomóc? Tylko że pomogło. Golanth nie zginął — wzrokiem błagała Manorę o wyjaśnienie.

Manora pogłaskała ją uspokajająco.

— Moim zdaniem to paradoks manewrowania czasem. F'lar mówił coś o przyczynowości. Kiedy bestia już wycelowała i skoczyła, Ramoth, nawet przenosząc się w czasie, mogła w tym ułamku sekundy, który jej pozostał, dokonać nieskończenie małej zmiany, ale i tak udało jej się odwrócić śmiertelny cios. Mówisz, że wszystko zaczęło się od niechęci do turlajów?

Tai udało się lekko uśmiechnąć.

— Mają takie ostre pazurki, a kiedy się je uderzy, samica wydziela strasznie nieprzyjemny odór. Trzeba je więc przenosić bardzo ostrożnie, zanim się w ogóle zorientują. Wymaga to pewnej wprawy... — przerwała, a wspomnienie zabawnych wysiłków Golantha rozjaśniło jej twarz. — F'lessan z Golanthem zobaczyli, jak ona to robi w gospodarstwie Beniniego. To nie było nic takiego — Tai chciała wzruszyć ramieniem, ale poczuła ból. — Zaranth po prostu unikała niewygody. — Zawahała się. — A potem była ta historia ze skórami.

— Ach, tak, te skóry. Mirrim o nich wspominała. — Manorze jakimś sposobem udało się jednym zdaniem przekazać, że choć Mirrim jest gadułą, ona, Manora, nie daje wiary plotkom. Tai poczuła przypływ wdzięczności.

— Ja myślę... — zawahała się dziewczyna, starając się ostrożnie dobierać słowa, bo nie chciała, by Manora zmieniła o niej zdanie. — Teraz myślę, że Zaranth właśnie w ten

sposób zdobyła te skóry, zanim powódź zalała nasz dom.

— Zdobyła je? — zastanowiła się Manora, wykonując palcami gest chwytania czegoś i odrzucania.

— Bez latania do naszego weyru.

— Chyba rozumiem, jeźdźczynie Tai. Ty byłaś wtedy zajęta przy ewakuacji dzieci — Manora skrzyżowała ręce na piersiach i starała się przemyśleć to, czego się dowiedziała. — Wiem już, co się stało według przypuszczeń Władczynie Lessy — z szacunkiem pochyliła głowę. — Jest to przykład reakcji ślepego instynktu na właściwe bodźce. Wczoraj Zaranth zrobiła właśnie coś takiego.

— Wczoraj? — Tai usiadła wyprostowana mimo bólu. Manora musiała ją położyć. Choć mówiono, że jest najstarsza w Weyrze, miała całkiem sporo siły.

— Tak, wczoraj.

— Ale przecież mieliśmy dziś jechać na Radę! — próbowała wstać. — Poprzeć Mistrzów Wansora i Erragona.

Błysk w oku Manory, jej łagodny i niezwykle szeroki uśmiech zaskoczyły Tai, która nie spodziewała się takiej reakcji.

— Jeźdźczynie Tai, wczoraj zrobiłaś w tej sprawie o wiele więcej niż ci się wydaje. Dlatego zastępuję przy tobie Władczynię Weyru i pilnuję, byś dochodziła do zdrowia — pochyliła się, by lekko poklepać ją po ramieniu. — Dzięki tobie i Zaranth będzie to niezwykle interesujące spotkanie, które przyniesie szeroki oddźwięk i pewnie wiele zmian. Zmian na dobre, dla nas wszystkich.

Władcy Weyru zanocowali w Honsiu; Lessa od czasu do czasu zaglądała do F'lessana.

— Nigdy nie miałam specjalnego instynktu macierzyńskiego — przyznała się cicho Manorze, gdy usiadły razem przy kubku kłahu.

— A dlaczego miałaś mieć? — odparła łagodnie Manora. — Siedziałaś po szyję w sprawach Weyru, którymi nikt inny nie mógłby się zająć, a przez ten czas wiele innych kobiet z przyjemnością zajmowało się dzieckiem. Znacznie rozsądniejszy zwyczaj niż w gospodarskich domach, Lady Lesso — odparła Manora — szczególnie w przypadku tak żywiołowego dzieciaka jak F'lessan.

F'lar przesiadywał pomiędzy Golanthem a Zaranth, a Mnementh i Ramoth pełnili straż na górnym tarasie. W Honsiu znowu odpoczywało wiele smoków.

Dlaczego nie poodlatywały do swoich weyrów, Mnementhu?

Czekamy, aż Golanth i Zaranth poczują się lepiej.

F'lara zdumiał ton szacunku w głosie spiżowego smoka.

Wszyscy? wskazał na tłum smoków.

Tak jest. Potwierdzenie rozeszło się echem po całej dolinie.

Choć smoki zawsze bardzo troszczyły się o swoich współbraci rannych w walce z Nićmi lub trapiionych przez nieliczne smocze dolegliwości, takie czuwanie było czymś niezwykłym.

To Zaranth i Golanth zrobili coś niezwykłego. Czekamy razem z wami.

F'lar usiadł więc z zadowoleniem, w milczącym porozumieniu z wieloma istotami, które czuwały razem z nim. Cóż za niezwykła chwila.

Po pewnym czasie przyszła Lessa i burknęła, że mógłby iść coś zjeść. Pozwolił, by go zmieniła.

Śpią. Potrzebują snu, szepnęła Ramoth tak cicho, jakby nie chciała, by nawet te krótkie słowa zakłóciły panującą w dolinie ciszę.

Ramoth, opowiedz mi wszystko jeszcze raz. Od samego początku.

O niczym innym nie myślę. Będę mówić cicho. One tu wszystkie wiedzą, co się zdarzyło i jednocześnie nie wiedzą. Sama nie wiem, czy wszystko rozumiem.

Lessa kiwnęła głową. *Opowiedz. Będziemy się razem zastanawiać.*

Śpię. Budzi mnie rozpaczliwy krzyk o pomoc. Mnementh też się budzi. To Golanth ma kłopoty. Woła Zaranth, boi się o życie Golantha. Wzywa wszystkich. Wszystkich, których zna. Byłam tam pierwsza, a Mnementh o oddech później. Potem pojawiają się Heth, Gadareth, Monarth, Path, Arwith, Ruth i inni. Widzę jak Zaranth odrywa koty od Golantha, ale ich nie dotyka. W jej umyśle panuje furia, gorąca jak ogień w pysku. Jeszcze nie widziałam takiego gniewu u smoka. Widzę, jak to robi. Golanth też to robi. Ruth szybko się uczy. Nauczyły się wszystkie, które tam były. Odrzucamy futrzastych zabójców. Myślimy tylko o tym. Robimy to. Żadne inne stworzenie do tej pory nie zaatakowało smoka!

Przerwała. *To nie to samo, co palić Nici na niebie. Lubię, gdy kończy się Opad i okazuje się, że żadna Nić nie spadła na ziemię. To jest coś całkiem innego. Widziałam, jak te futrzaki skaczą od tyłu. Zaranth podnosi się najwyżej jak umie, by wziąć je na siebie — bardzo dzielna, żadna inna zielona nie jest taka odważna — ale jeden celuje w grzbiet, Golantha gdzie jeździec mógłby go obronić, ale nie ma jeźdźca do pomocy. Bestia nie chybi celu.*

Ramoth cicho warknęła. *Golanth mówi, żebym to rozegrała w czasie. Oczywiście wiem jak. I wiem o co mu chodzi. Tak zrobił nad Urwiskiem Wschodzącego Słońca. Ta sekunda jest krótka. Bestia już skacze. Za późno, by ją zatrzymać. Ale mogę zmienić miejsce,*

gdzie wyląduje. Odwracam uderzenie. Pazury nie trafiają w czule miejsce. Ale mało brakowało.

Uratowałaś wtedy życie Golantha, Ramoth.

Tak naprawdę to Zaranth uratowała mu życie.

Lessa nie od parady latała ze swoją królową tyle lat; świetnie wiedziała, kiedy coś nie zostało dopowiedziane.

Więc, ukochane złote serce mojego życia, teraz oddasz jej honory.

To dobra zielona smoczyca. Nie myślałam, że się czegoś nauczę od zielonej. Ale się nauczyłam. Ku rozbawieniu Lessy, Ramoth uznała, że źródło wiedzy jest niemal równie ważne, jak sama umiejętność. *A poza tym, dodała smoczyca, jakby wreszcie załatwiła tę sprawę, trzeba będzie to poćwiczyć już bez strachu i nauczyć się przenosić różne rzeczy.*

Lessa przemyślała jej słowa. *A będziesz pamiętać, jak się to robi?*

Przez chwilę obawiała się, że nowe umiejętności pojawiają się tylko w niebezpieczeństwie zagrażającym życiu.

Wolałabym mieć więcej czasu do namysłu, Lesso mojego serca, ale pamiętam, jak się to robi. Ta chwila jest żywa w mej pamięci. Nie stracę jej, póki nie utracę światła moich dni.

Lessa nie miała pojęcia, jak Assigi określiliby pojawienie się tej ostatniej z powiązanych ze sobą telepatycznych umiejętności smoków i jaszczurek. Ciekawa była, jakby ją wykorzystał w dniach, kiedy próbowali zmienić orbitę Czerwonej Gwiazdy. I tak ją zresztą zmienili. Więc czy miało to jakieś znaczenie?

A jednak miało, w pewnym subtelnym sensie. Wszystkie smoki wylegające się tak bez troski na urwiskach wokół Honsiu i na łąkach nad rzeką, a wkrótce wszystkie smoki na Pernie uświadomiły sobie, że są czymś więcej niż były do tej pory.

Spróbujemy? zapytała Ramoth.

ZEBRANIE RADY W WAROWNI TELGAR, 3.1.31

Lessa i Flar w końcu poszli spać, żeby jak najlepiej wypocząć przed tym, co czeka ich na Zebraniu Rady. Polecieli tam przez Benden, skąd zabrali niezbędne notatki i odzież, odpowiednią na taką okazję. Nikt nie zatrzymał ich po drodze, choć ludzie machali do nich, dodając im otuchy, a smoki trąbiły.

Choć Weyr Benden miał zupełnie zrozumiałe powody, by przełożyć to spotkanie, były inne niezwykle ważne sprawy, takie jak wybór nowego Władcy Warowni w Południowym Bollu, prezentacja rekomendacji przez Władców Weyrów (której wczorajsze wydarzenia bardzo przydały wagi, choć wiadomo było, że implikacje tej sprawy nie będą podlegać dyskusji), sprawa niedawnego ataku fanatyków na Cech Drukarski — wszystko to sprawiało, że nie sposób było odkładać Rady. Byłoby to zresztą bardzo nierozsądne. Lessa, mimo niepokoju o stan zdrowia czwórki pacjentów z Honsiu, za nic nie zrezygnowałaby z uczestnictwa.

F'lessan był w doświadczonych i utalentowanych rękach Crivellana i doskonałych uzdrowicieli Oldivego. Mistrz Uzdrowicieli zawsze mógł w razie potrzeby przylecieć do Honsiu, gdyby wymagała tego rekonwalescencja Flessana po skomplikowanej operacji chirurgicznej. Gdyby Lessa tam została, czułaby się zbędna, a nie była to jej ulubiona rola.

Golanthem i Zaranth zajęli się uzdrowiciele z Weyru. Spodziewano się, że zielona wydobrzej szybko, jak większość smoczyc tej barwy, szczególnie przy tak dobrej opiece. Oko Golantha wciąż było w stanie krytycznym. Martwiono się także o poszarpane nośne powierzchnie skrzydeł. Pęknięcie długiej kości lewego skrzydła, rozszczepionej pazurami, mogło utrudnić składanie skrzydeł, osłabiać uderzenia albo zawieść przy dłuższym szybowaniu. Jak długo oba smoki były smarowane mrocznikiem, nie odczuwały bólu. Bardzo pomogła obecność Persellana, który zajął się Golanthem już w pięć minut po ataku.

F'lar z Lessą wzniesli się ze swojej ulubionej Niecki Bendenu w *pomiędzy* i wychynęli z niego nad wzgórzami Telgaru. Na wielkiej równinie poniżej trójkątnych zabudowań Warowni zgromadził się gęsty tłum. Gdy Ramoth i Mnementh zakręcili na czubku skrzydła i szybowali nad tłumem, Lessa zauważyła sztandary licznych warowni i cechów. Zgromadzenia Rady zwykle przyciągały sporą publiczność, bo niektórzy byli ciekawi, w jaki sposób zostały rozpatrzone ich skargi — ale tym razem zgromadziło się naprawdę mnóstwo ludzi, choć przecież panowała zima.

Łapy Ramoth dotknęły ziemi i ludzie ruszyli na przód, by powitać Lessę i F'lara,

którzy zeskoczyli na ziemię przed zabudowaniami Warowni.

— No cóż, chyba byliśmy naiwni, sądząc, że nie dopuścimy, by pogłoski o tych wydarzeniach rozniosły się poza Weyr — stwierdził F'lar, gdy oba smoki szybko wystartowały szukać słońca na wzgórzach Telgaru.

— Jak zwykle, plotki rozeszły się dzięki jaszczurkom — powiedziała zirytowana Lessa. *Czy wszyscy na Pernie już wiedzą, co się stało w Honsiu?* spytała smoczyce.

O ataku kotów na smoki, tak, odparła Ramoth. *Resztę opowiesz sama.*

F'lar, rzucając podziękowania i krótkie odpowiedzi na pytanie o stan rannych — „dzięki za troskę” i Jeźdźcy oraz smoki wyzdrowieją” — wziął Lessę pod rękę. Z pomocą kilku strażników, którzy utworzyli dla nich przejście, Władcy dotarli do podjazdu wiodącego na dziedziniec Warowni. Stali tam lord Larad, jego lady Dulsay i ich wysoki, niezgrabny syn Laradian, witając oficjalnych członków Rady. Kolejni strażnicy, w nowych tunikach z tarczą Telgaru w białych, jasnoczerwonych i błękitnych barwach, poprowadzili ich z ukłonami na dziedziniec. W tym momencie triumfalne smocze trąbienie kazało im się odwrócić i popatrzeć na przybycie Władców Igeny.

— Na Jajo — stwierdził F'lar, rzucając partnerce rozbawione spojrzenie — co się u licha stało G'denedowi i Cosirze?

Lessa o mało co się nie potknęła. G'dened? Oczywiście na pewno już się dowiedział o Honsiu, ale Barnath od wielu Obrotów nie był taki łśniący. Po trzech dziesięcioleciach walki z Nićmi i po wysiłku związanym z niedawną powodzią trudno było utrzymać smoka w dobrej barwie. Może stary jeździec z przeszłości poczuł falę nowej energii i trochę się odprężył? Nie była pewna, czy G'dened zrozumie, jak ważna jest nowa umiejętność smoków, ale miała nadzieję, że doda mu to sił. Ta łśniąca skóra Barnatha, a nawet błyszczące ciała Ramoth i Mnementha — dopiero teraz zauważyła, jak bardzo pojaśniały — sugerowała, że wszystkie smoki na Pernie poczuły napływ nowych sił i poczucia sensu istnienia. Wzięła głęboki oddech. Teraz, jeśli nauczą się sprawnie posługiwać telekinezą...

— Czy smoki i jeźdźcy wyzdrowieją? — spytał Larad, podchodząc do nich i ujmując ich dłonie. Uświadomiła sobie, że autentycznie się tym przejął.

— Wyzdrowieją, choć tak naprawdę — powiedziała głośno, by słyszeli ją wszyscy żądni wiadomości gapie — gdyby nie bezcenne informacje, które Mistrz Oldive uzyskał od Assigi, utracilibyśmy ich obu.

— Uratowani przez Assigi? — spytał Larad z wdzięcznością, również podnosząc głos. — Nie rozumiem tylko, jak te koty dostały się do Honsiu?

— Nie weszły do weyru — odparł F'lar i podał uproszczoną wersję wydarzeń. —

F'lessan i Tai polecili na smokach nad rzekę, żeby się wykąpać. Tam zaatakowały ich drapieżniki. Do tej pory nie kręciły się w tamtej okolicy, ale gdy niedalekie gospodarstwa zaczęły chwytać i udomawiać coraz więcej bydła, przyciągnęło to kotowate. — F'lar wzruszył ramionami, jakby to było bez znaczenia. — Same zbiegi okoliczności. Odpowiednie miejsce, nieodpowiedni czas. Wylizą się.

— Och, wspaniale! Co za ulga — powiedziała lady Dulsay. Nagle na jej twarzy pojawiła się troska: — A ty, pani, musisz być na Radzie, kiedy pewnie pragnęłabyś siedzieć przy synu.

Lessa odczuła pewne zaskoczenie. Mało kto mówił o F'lessanie jako o jej synu. Urodziła F'larowi tylko jedno dziecko i przez krótki czas gorąco żałowała, że nie może ich mieć więcej. Ale to było dawno temu. Weyr okazał się ważniejszy. Dziś, jako jego Władczyni, koniecznie musiała być na tym spotkaniu.

— No cóż, bardzo tam o niego dbają, a ponieważ wychował się w weyrze, nie spodziewałby się, że opuścę Radę.

Lady Dulsay się cofnęła.

— Przepraszam, zapomniałam.

— Oto jedna z sytuacji, gdzie zwyczaje weyru są odmienne od zwyczajów Warowni — odparła Lessa uprzejmie, bo lady Dulsay chciała po prostu być miłą.

Nagle Larad podniósł lornetę do oczu. Ostatnio ludzie niemal się zrośli z tymi urządzeniami, pomyślała zirytowana Lessa.

— Nadlatują N'ton z Margattą, z prawej mają niebieskiego smoka—strażnika z Bollu, na którym leci lady Janissian. — Opuścił instrument i uśmiechnął się wstydliwie: — Mam ją dopiero od siedmiodnia — wyjaśnił.

— Przynajmniej na coś się przydaje — skomentowała sucho Lessa.

— I będzie się przydawać coraz częściej — odparł z uśmiechem pełnym zadowolenia.

Lessa przełknęła ślinę. Czyżby rozeszły się wieści o spotkaniu Władców Weyrów w Warowni nad Zatoczką? Nie, Larad chciał się po prostu pochwalić nowym nabytkiem.

— Nadlatują nowe smoki, co widać nawet gołym okiem — powiedziała lady Dulsay, wskazując na niebo. — Czy któryś wiezie może konkurentów do władzy w Południowym Bollu? — zwróciła się do Lessy. — To bardzo niedobrze, że większość członków tego rodu, w tym czwórka synów lorda Sangela, zmarła w czasie zarazy. Ojciec twierdził, że byli to obiecujący młodzi ludzie.

— Naturalnie teraz, gdy Cech Uzdrowicieli ma szczepionki, nie mielibyśmy takich potwornych strat — odparła Lessa. Zauważyła, że z pomiędzy wyleciała kolejna para

smoków. — To pewnie G’bear i Neldama, lady Dulsay. Czy już ich poznałaś?

— Och, tak. Przylecieli do nas już następnego dnia. — Lessa zaskoczona zauważyła, że lady Dulsay się rumieni. — Okazali nam wiele szacunku, powiadamiając o wyborze Władców Weyru.

— Ładnie z ich strony, że tak szybko się przedstawili — odparła Lessa, kryjąc uśmiezek. Dlaczego ci ludzie zawsze są tacy zakłopotani na myśl o lotach godowych? Przecież Dulsay i Larad byli ze sobą mocno związani na jakiś czas przed ślubem. — Czy zebrało się już wielu członków Rady?

Zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, rozległo się trójtonowe trąbienie. Był to niepowtarzalny tenor Hetha, który w ten sposób ogłosił przybycie Władców Weyru Południowego. Ich smoki również pięknie lśnią, zauważyła Lessa, ruszając po niskich schodach ku wejściu.

— Może chcecie się teraz przebrać? — zapytała Dulsay.

— Chętnie skorzystam z propozycji, skoro poznałaś już G’beara i Neldamę. Dzięki, Dulsay — odparła Lessa i zanim Władczyni zdążyła ją zatrzymać, skierowała się w lewą stronę ogromnej Sali. W sekundę zdjęła skóry do latania, włożyła spódnicę i bardziej oficjalną tunikę, a potem położyła swoje skóry na przygotowanej uprzednio półce. W tym momencie weszła Menolly.

— Czy ich stan w dalszym ciągu się poprawia? — spytała z niepokojem. Tuż za nią szedł Sebell, wyglądający niezwykle atrakcyjnie w harfiarskich błękitach, z szafirowym wisiosem oznaczającym jego rangę. Miał zmęczone oczy, ale malowała się w nich równie wielka troska jak u Menolly.

— Tak, tak. Mieliśmy wielkie szczęście, że i Oldive, i Crivellan studiowali pliki Assigi o perforacjach układu trawiennego... takie przypadki zdarzają się na tyle często, że się tym zajęli — odparła. — Znów mamy szczęście, że odzyskaliśmy wiedzę, dzięki której możemy ratować ludzkie życie.

Menolly zacisnęła usta.

— Ci podli, ograniczeni, przewrotni bandyci. Sami są ohydni!

— Czy harfiarzom też tak utrudniają życie, Menolly? — Lessa spostrzegła napięcie w ruchach Sebella. Może i Menolly żyła muzyką, ale równie źle znosiła napięcia Sebella jak przedtem Mistrza Robintona.

W tym momencie weszli G’bear z Neldamą. Starali się sprawiać wrażenie swobody, choć nie całkiem im się to udawało. Uśmiechnęli się z ulgą, widząc wokół przyjazne twarze i słysząc słowa gratulacji. Lessa po raz kolejny zapewniła, że chorzy dojdą do siebie, a w

chwilę później musiała to powtórzyć, bo weszli K'van z Adrea. Potem pojawili się G'dened i Cosira, a za nimi N'ton z Margattą, towarzysząc lady Janissian, która zatrzymała się i rozejrzała dookoła. Menolly podeszła i otoczyła dziewczynę ramieniem.

— Jesteś!

— Nie mogłam nie przybyć, prawda? — odparła Janissian, a potem spojrzała na Lessę i odprężyła się nieco pod wpływem jej zachęcającego uśmiechu.

— Nie, musiałaś tutaj być — uśmiechnął się N'ton — bo chcesz się dostać tam — pokazał na zamknięte drzwi za którymi miała się odbyć Rada. — Przyniosę nam wina. Lesso, co będziesz pić? Miałaś ostatnio parę trudnych dni.

— Poproszę klah. Chyba trzeba będzie zachować pełną przytomność na tej Radzie.

— I mnie tak się zdaje — zgodził się N'ton i jeszcze raz uśmiechnął się do Janissian, gestem polecając służącemu z napojami, by zbliżył się do grupy.

Ku wielkiemu zaskoczeniu i zadowoleniu Lessy już w piętnaście minut później cała Rada siedziała wokół stołu w kształcie litery U, ustawionego pod wysokim sklepieniem telgarskiej sali narad. Jak zwykle, ostatni przybył Toric. Zebrało się siedemnastu Władców Warowni, szesnastu Mistrzów oraz Mistrzyń Cechowych (ponieważ Joetta zastąpiła Zurga jako Mistrzyni Cechu Tkaczy, a Ballora była obecnie Mistrzynią Hodowców), ośmiu Władców Weyrów i sześć Władczyń Weyrów. Nadira i Talina rzadko pojawiały się na Radach. Po wejściu Torica drzwi z nieboszczotki zamknęły się z trzaskiem, który poniósł się echem po całym pomieszczeniu.

Władca Warowni Południowej minął Sebella i z zaciętymi ustami i pochmurną miną podszedł prosto do K'vana. Oparł ręce na stole i pochylił się ku niemu z agresywną miną.

— Dlaczego nikt mi nie powiedział, że kotowate poważnie poraniły smoki, co? — zapytał.

— Ponieważ nie ma to wpływu ani na Weyr Południowy, ani na twoje interesy — odparł obojętnie K'van, bynajmniej nie przestraszony.

— No i? — Toric zwrócił się ku Lessie i F'larowi.

Lessa rzuciła mu spojrzenie bez wyrazu. Toric pewnie ucieszył się na wieść, że F'lessan uległ wypadkowi, ale jak zwykle bezczelnie starał się udowodnić jakieś niedociągnięcie ze strony K'vana.

— Ta sprawa raczej nie musi być dyskutowana na Radzie — odparł F'lar. — Ale miło, że się przejąłeś.

— Chcę znać szczegóły. Mniejsze zwierzęta rzadko atakują smoki, a tym bardziej je ranią.

— Jak mi wiadomo, lordzie Toricu, reszta Rady została już poinformowana, że chorzy dochodzą do siebie. Proszę wreszcie usiąść — powiedział Larad grzecznie, lecz stanowczo. — Mamy wiele formalnych spraw do omówienia.

Toric wyglądał na rozgniewanego, ale ponieważ każdy omijał go wzrokiem, w końcu usiadł. Natychmiast powstał Sebell.

— Najpierw zajmiemy się przekazaniem władzy w Warowni Południowy Boll.

— Porozmawiajmy o anarchicznych występkach — wyrwał się lord Kashman, wyrzucając słowa gniewną kaskadą. Wstał tak szybko, że jego krzesło upadło na kamienie — lorda Jaxoma, Władcy Weyru N'tona i Mistrza Drukarskiego Tagetarla, którzy arbitralnie skazali na wygnanie dwanaście osób, posądzając ich o przynależność do fanatyków.

Zdumiony Larad podniósł wzrok; nieco zaniepokoiło całkowite zlekceważenie porządku obrad. Nowo mianowani Władcy Warowni nie powinni zachowywać się tak arogancko.

— Taaak — przeciągnął Toric z wielkim zadowoleniem — posłuchajmy o najnowszych występkach i zsyłkach, w których tak entuzjastycznie gustują lord Jaxom i Władca Weyru N'ton.

— Toricu, to fanatycy popełnili występki. Jaxom, Toric i Tagetarl kierowali się precedensem — powiedział Groghe i huknął dłonią w stół. — Brałem udział w dwóch takich sądach. Pod koniec Obrotu wydałem taki sam wyrok. Poza tym, Rada uchwaliła, a ty sam byłeś obecny na tym posiedzeniu — wskazał grubym paluchem prosto na Torica — i nie możesz temu zaprzeczyć, że wygnanie zastraszy wandali i powstrzyma ich przed dokonywaniem dalszych zniszczeń.

— O tej sprawie porozmawiamy później — stwierdził Sebell, podnosząc wyszkolony głos, by przekrzyknąć pojedynek na wrzaski rozpoczynający się między Toricem, Grogchem i Kashmanem. Wyglądało na to, że stary lord Corman przekazał kłótniwy charakter swojemu szóstemu synowi, który dopiero co skończył trzydzieści lat.

— A ja przyszedłem, żeby porozmawiać właśnie o rym — stwierdził Toric.

— Pierwszą sprawą jest i pierwszą sprawą pozostanie zatwierdzenie nowego Władcy Południowego Bollu! — huknął Sebell donośnym głosem.

— To może wszyscy zgódźmy się na tą dziewczynę i przejdźmy do poważnych spraw! — zaproponował Toric.

— Ale przecież to kobieta! — zaprotestował Kashman. — Nigdy nie było żadnej Władczyny Warowni, chyba że przejściowo...

— Od czasów lady Siccy w Iście — przerwał mu Groghe. — Mój dziadek miał dla

niej wielki szacunek. Poza tym, wszyscy członkowie tej Rady, z wyjątkiem osób, które od niedawna mają zaszczyt w niej zasiadać — podkreślił z naciskiem ostatnie słowa — wiedzą, że od pięciu obrotów lady Marella zarządzała Południowym Bollem, bo Sangel był już do tego niezdolny. Lady Janissian pełniła u niej obowiązki gospodyni i moim zdaniem zdecydowanie potwierdziła swoją wartość w czasie powodzi po upadku ognistej kuli. Jej kuzyni wyprowadzili się po prostu na wyżej położone tereny z całym dobytkiem i zostali tam, nie kiwnąwszy nawet palcem. Żaden z nich nie nadaje się na władcę.

— Tak przy okazji — stwierdziła Lessa — pierwszą osobą, która nabyła prawa do tych ziem, była Emily Boll. Widzę to tak, że władza zatoczyła pełen krąg i był na to już najwyższy czas.

Lady Dulsay, Adrea, Mistrzynie Ballora i Palla odważyły się ją poprzec.

— No to co, zatwierdzamy lady Janissian? — spytał Asgenar rozglądając się wokoło z przemyślnym uśmieszkiem. — Żeby zaoszczędzić czasu na ważniejsze sprawy? — rzucił Toricowi gniewne spojrzenie.

— Na przykład co zamierzają zrobić Władcy Weyru, żeby nas ochronić przed następnymi kulami ognistymi? — zdenerwował się Toric, rzucając Lessie i F'larowi gniewne spojrzenie przez całą długość sali.

— Zaraz, chwileczkę — włączył się zaniepokojony Bargaen — to nie jest taka paląca sprawa...

— A mnie się zdaje, że jest — przerwał Toric w swoim najgorszym stylu.

Bargaen rzucił mu wściekle spojrzenie i podnosząc ochryply baryton, ciągnął:

— ...jak wybór następcy spośród członków Rodu na lorda — zamknął usta, a widząc reakcję Sharry dodał czym prędzej: — Lub lady.

— Jest dwóch męskich potomków rodu, prawda? — poparł go Lytol, by trzymać się porządku obrad.

— Vormital, siostrzeniec Sangela w drugim pokoleniu — stwierdził Sebell, taksując Torica spojrzeniem i Warlow, kuzyn. Synowie Sangela zmarli podczas zarazy i nie ma żadnego bezpośredniego męskiego potomka rodu.

— W życiu nie słyszałem o Vormitalu ani o Warlowie — stwierdził Bargaen. — Musi być ktoś jeszcze.

— Nie przeżyli — odparł Sebell. Sprawdzanie takich rzeczy należało do obowiązków Cechu Harfiarzy.

— Był. Poznałem go w Weyrze Wysokich Rubieży. Hillegel. Potężny mężczyzna. Przyrodni brat Sangela — upierał się Bargaen.

— Pomyślał sobie, że wyjedzie na Południe — uśmiechnął się gładko Toric. — Słyszałem, że popłynął w górę jednej z rzek i od tej pory słuch o nim zaginął.

N'ton wstał i powiedział:

— Kiedy zwróciłem się w imieniu Weyru do Vormitala z prośbą o pomoc w ewakuacji zagrożonych osad na wybrzeżu, powiedział mi, że to problem Sangela, a nie jego.

— Zapomnijmy o nim — zaproponował Groghe i walnął pięścią w stół. — W mojej obecności, przy pięciu różnych okazjach, sam Sangel stwierdził, że to dureń i nie utrzyma w ręku kubka bez cudzej pomocy.

— Czy ktoś słyszał coś dobrego o tym Vormitalu? — zapytał Sebell.

— Nawet jeśli, to byłby wyjątkowy przypadek — stwierdził Groghe tak, żeby go wszyscy słyszeli.

— A ten drugi człowiek? — spytał Bergen z Wysokich Rubieży. Musiał ostro walczyć o to, by jego Warownia powróciła w ręce prawowitych właścicieli z Rodu po tym, jak zagarnął ją Fax, więc nie widział nic zdrożnego w walce o dziedzictwo Rodu — naturalnie, jeśli chodziło o mężczyzn.

— Warlow jest synem najmłodszej siostry Sangela. Ma małą farmę i pięciu synów. Trzech z nich służyło u lady Marelli na posługi.

— Jeśli służyli synowie, a nie on sam, to nie nadaje się do niczego — padła natychmiastowa odpowiedź Bergena. — Zostaje tylko dziewczyna?

— Lady Janissian pracowała jako gospodyni Warowni pod rządami swojego dziadka i babki — zaczął Sebell.

— Pewnie robota babki, jak znam życie — zauważył Langrell z Igeny.

— Ważniejsze, jaką robotę wykonywała ona sama — Groghe wykrzywił się w jego stronę. — Poza tym pochodzi z Rodu.

— Och, zatwierdźcie ją i lecimy dalej — niecierpliwił się Toric.

— W takim przypadku proszę o głosowanie — odparł Sebell.

— Jak to miło — mruknęła Lessa do F'lara po głosowaniu — że Janissian zupełnym przypadkiem ma odpowiednie kwalifikacje.

— Krew Władców Warowni rozrzedza się po dwóch i pół tysiącu Obrotów. A kiedy miną Opady... — odparł F'lar.

— System Władców Warowni zaczął się od Fortu i Paula Bendena. Ród z Fortu jest całkiem w porządku. Ale sam wiesz, że Karta nie wspomina o tego rodzaju dziedziczeniu.

F'lar spojrział na nią z pewnym zaskoczeniem.

— Właściwie masz rację. Władcy Warowni i wszystkie związane z tym tradycje to

późniejszy okres — popatrzył na Torica, który niecierpliwie postukiwał palcami po stole, gdy Sebell segregował kartki.

Mistrz Harfiarzy podniósł w górę dwa pliki — jeden cienki, drugi gruby. Trzy kartki pozostały na stole.

— Trzy wstrzymujące się, pięć przeciw i trzydzieści siedem za — powiedział. — Cech Harfiarzy głosuje za kandydatką.

Wyniki głosowania nie wywołały żadnej reakcji poza pomrukami ulgi, ale Sebell szybkim krokiem podszedł do wielkich drzwi, otworzył jedno skrzydło i wykonał zapraszający gest.

— Lady Janissian z Południowego Bollu, Rada zaprasza cię do zajęcia miejsca jako Władczynię Warowni zaczaj!

Poza salą narad rozległy się radosne okrzyki, gdy Janissian, lekko pchnięta przez uśmiechniętą Menolly, weszła do sali i zamknęto za nią drzwi. Stała, sięgając głową ledwie do ramienia Sebella. Elegancko ułożone ciemne włosy otaczały bladą, ładną twarz; rąbek czerwonej szaty pasował do białych tarcz i jasnych szewronów — insygniów Bollu. Założyła też przekazywany z pokolenia na pokolenie wisiołek z diamentami i rubinami w formie szewronu — podobno spadek po Emily Boll. Zachowywała się z wielką godnością. Sebell podał jej dłoń, a kiedy wszyscy wstali — nawet Toric, choć zrobił to z ociąganiem — poprowadził ją do pustego fotela obok lorda Groghe. Stary Władca Warowni zaczerwienił się z radości i ucałował ją w oba policzki, jak tylko usiadła.

Lessie podobało się, z jakim spokojem przyjęła ten wyraz uznania, a potem z godnością skinęła głową, witając resztę Rady.

— Dobra, bierzmy się teraz za poważne sprawy — powiedział Toric, który nadal stał, kiedy reszta członków Rady usiadła.

— Naruszono moją autonomię, lordzie Toricu — wrzasnął Kashman i wstał, a jego wąska twarz poczerwieniała ze złości. — Tych intruzów należało przyprowadzić do mojej Warowni i przed mój sąd. Chcę wiedzieć, dlaczego zignorowano moją władzę.

Zanim Mistrz Drukarski zdążył wstać z fotela, do Kashmana pochylił się Lord Lytol, ze spokojem na długiej, kościstej twarzy.

— Pozwolę sobie powiadomić cię, lordzie Kashmanie, o pewnym fakcie, który być może umknął do tej pory twojej uwagi — powiedział. — Otóż Cechy Mistrzów Rzemiosła posiadają autonomię wewnętrzną i mogą wyznaczać kary oraz grzywny w zależności od rodzaju przestępstwa popełnionego w ich granicach.

— Ale... ale Cech Drukarzy jest nowy... — zaczął Kashman.

— Nie wpływa to na jego autonomię ani wewnętrzną dyscyplinę — odparł Sebell.

Z kolei odezwał się Tagetarl:

— Przypomnę jeszcze lordowi Kashmanowi, że napastnicy odmówili wobec świadków podania nazw warowni albo cechów, do których przynależą i do których zostaliby przewiezieni na przesłuchanie z ramienia innej władzy.

— I co? — Kashman sarkastycznie zamachał ręką. — Lord Jaxom, zamieszkały w Ruatha i N'ton, który jest z Weyru Fort, dziwnym przypadkiem znaleźli się akurat w Szerokiej Zatoce o tak nieprawdopodobnej godzinie?

— To napastnicy wybrali godzinę — odpalił Tagetarl.

— Nasze smoki odpowiedziały na wezwanie o pomoc — dodał N'ton.

— A kto je wezwał? — wściekał się dalej Kashman, a nozdrza miał rozdęte z gniewu.

— W moim przypadku, Piękna. — odpowiedział Jaxom i zwrócił się do N'tona.

— W moim też.

— Piękna? — powtórzył Kashman, zbity z tropu tym imieniem.

— Piękna to królowa jaszczurek ognistych, która często przenosi pilne wiadomości z Cechu Harfiarzy — odparł N'ton.

— Zareagowaliście na wiadomość przyniesioną przez jakąś jaszczurkę? — Kashman nie potrafił w to uwierzyć. Toric aż parsknął, widząc taki brak doświadczenia.

— Kiedy tego rodzaju wiadomość nadchodzi z głównego Cechu — ciągnął Sebell — nierozsądnie byłoby ignorować jej znaczenie, szczególnie w sytuacji, gdy inne Cechy stawały się już celami wandalizmu. Dwanaście osób z osobna nie mogło wpaść na pomysł, by w środku tej samej nocy pobrać próbki wyrobów cechu, mając ze sobą pochodnie, łomy młoty i dzidy, lordzie Kashmanie. Zatrzymano ich na wewnętrznym dziedzińcu, przy próbie zniszczenia drzwi prowadzących do budynku Cechu. Jakie wyciągnąłbyś z tego wnioski?

— Tak, Kashmanie, jakie wyciągnąłbyś wnioski? — powtórzył lord Groghe.

— Coś trzeba zrobić w sprawie tych impertynentów — powiedział Bargen z wielkim przejęciem. — Bezmyślne niszczenie, kiedy zrobienie czegokolwiek wymaga tyle czasu i materiałów... na coś takiego nie wolno pozwolić. Jeśli wcześniej postanowiliśmy, że zesłanie może powstrzymywać takie akty wandalizmu, to niezależnie od tego, kto wydaje wyrok — jeśli tylko zbierze się odpowiedni sąd, czyli trzech sędziów i świadkowie — powinien mieć prawo, a właściwie obowiązek, orzeczenia takiego wyroku. A teraz zajmijmy się ważniejszymi sprawami.

Kashman rozdziawił szeroko usta, rozwścieczony do białości tym, że pozostali Władcy Warowni całkowicie zlekceważyli jego sprawę.

— W jaki sposób zamierzacie przeciwdziałać kulom ognistym spadającym z nieba? — spytał Bargaen, obrzucając Władców Weyrów krytycznym spojrzeniem.

— Mamy pewne zalecenia... — powiedział F'lar wstając.

— Nie chcemy zaleceń — odparował Bargaen. — Chcę konkretów i pewności, że tego rodzaju zjawiska nie powtórzą się w najbliższej przyszłości!

— W najbliższej przyszłości nie odkryto jak dotąd niczego takiego — odparł F'lar i przekonał się, że wszyscy zaczęli mu się ze skupieniem przysłuchiwać.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — dopytywał się Groghe.

— Badania obiektów znajdujących się w niewielkiej odległości od Pernu, przeprowadzone przez Mistrza Erragona z grupą chętnych obserwatorów wykazują, że w tej chwili nie ma ciał niebieskich, które mogłyby spaść na powierzchnię planety w najbliższej przyszłości.

— A potem? — podpowiedział mu nachmurzony Bargaen. — W dalszej przyszłości?

— Musimy umieścić więcej teleskopów w strategicznych miejscach i obserwować niebo, zmobilizować zespół entuzjastów, którzy obsadzą co najmniej pięć głównych obserwatoriów...

Toric skoczył na równe nogi:

— Chcecie, żeby Rada utrzymała pięć obserwatoriów? Dziesięciny są już w pełni wykorzystane. Skąd wziąć więcej marek na pięć obserwatoriów?

Bargaen też wstał, podobnie jak Langrell i Toronas. Wszyscy krzykiem sprzeciwiali się tak poważnym planom. Deckter pytał o szczegóły. Nawet lord Groghe wyglądał na zaniepokojonego. F'lar stał spokojnie nie dbając o krzyki i klótnie, aż Sebell uderzył młotkiem, żeby się uspokoili.

Potężny grzmot — ryk smoków — przeniknął mury Wielkiej Sali, uciszając wszystkich.

— Jak mówiłem, jeśli pragniecie uniknąć problemów w rodzaju niedawnego upadku Kuli Ognistej, trzeba poczynić odpowiednie przygotowania — ciągnął F'lar normalnym tonem. — Mamy już teleskopy Nad Zatoczką i w Honsiu, które utrzymuje Ładowisko z właściwą sobie szczodrością — skłonił się lordowi Lytolowi i Gwiezdnemu Mistrzowi.

— Część naszych dziesięcin — powiedział Lytol — zostanie przekazana także nowym obserwatoriom i na pensje dla nauczycieli.

— Cech Kowali nie jest w stanie wyprodukować teleskopów na potrzeby obserwatoriów... — zaczął Mistrz Fandarel.

— W Grotach Katarzyny są jeszcze cztery — odparł Mistrz Erragon i pełnym

szacunku ukłonem przeprosił Kowala za to, że mu przerwał.

— W takim razie nie ma problemu — Fandarel uniósł na zgodę zgrubiałą dłoń.

— Podejmuję się utrzymać jedną Gwiazdą Warownię — Jaxom uniósł się z miejsca — wypłacając odpowiednią dziesięcinę i ponieść koszty budowy obserwatorium nad Lodowym Jeziorkiem, zgodnie z zaleceniami Mistrza Erragona.

Toric nachmurzył się jeszcze bardziej, gdy zza stołu podniósł się lord Larad.

— Telgar zrobi tak samo. Władczyni Weyru Palla przeszła prawie całe szkolenie u Mistrza Wansora.

— Przedsięwzięcie będzie miało sens pod warunkiem dwudziestoczterogodzinnej obserwacji nieba — mówił dalej F'lar, Lessa zaś obserwowała, jak rozkoszował się faktem, że za chwilę zgotuje całej Radzie poważny wstrząs — więc należy w trybie pilnym zbudować obserwatorium w miejscu wyznaczonym przez mistrzów Wansora, Erragona i Idarolana na Kontynencie Zachodnim.

Rada oszalała. Nawet Mistrzowie Cechów, zwykle spokojni, zareagowali z podnieceniem, pytając o szczegóły i plany, podczas gdy Władcy Warowni gorąco protestowali przeciwko marnotrawstwu dziesięcin i pracy. Sebell przywrócił porządek dopiero po dłuższej chwili.

— Ale to Yokohama wypatrzyła ognistą kulę — wykrzyknął Groghe, gdy zamieszanie minęło.

— Po co wam tyle tych obserwatoriów? — pytał Langrell płaczliwie.

— Niebo jest duże — odpowiedział K'van.

— Najpierw trzeba znaleźć zbliżający się obiekt, żeby potem móc go zepchnąć z trasy — rzucił obojętnie F'lar.

— Zepchnąć z trasy? — wykrzyknął Groghe, a uśmiechy, które powitały początek zdania F'lara, zniknęły z twarzy słuchaczy, ustępując miejsca zdumieniu i oszołomieniu. — Ale już nie ma więcej silników, którymi dałoby się coś zepchnąć, od czasu gdy wysadziliśmy Czerwoną Gwiazdę!

— Nie ma silników, lordzie Groghe, ale pozostały smoki i ich jeźdźcy!

Toric skoczył na równe nogi. Twarz nabiegła mu krwią. Wycelował palcem we Władcę Bendenu i wrzasnął:

— Więc wymyśliliście, że zmusicie Warownie, żeby utrzymywały was bez końca?!

— W żadnym razie, lordzie Toricu — odparł F'lar z dumą i spokojem. — Nie wyobrażasz sobie nawet, jak gorąco wszystkie Weyry pragną niezależności — przerwał na chwilę, a obecni jeźdźcy poparli go cichym, ale pełnym przekonania pomrukiem i

kiwnięciami głowy — takiej samej, jaką mają inni mieszkańcy planety. Z konieczności uzależniliśmy się od Warowni, które są pod naszą opieką, ale kiedy skończy się to Przejście, pozakładamy gospodarstwa i warsztaty, które będą nas utrzymywać. Staniemy się czeladnikami, przyciągając uczniów do Gwiazdnych Warowni i studiując, by zdobyć stopień mistrzowski w Gwiazdnym Cechu. Będziemy badać gwiazdy i obserwować niebo nad Pernem, aż zdobędziemy wiedzę o wszelkich zagrożeniach naszej planety.

— A wtedy co? — rozdarł się Toric.

F'lar popatrzył na niego z uśmiechem i stwierdził:

— Zmienimy tor ich lotu.

— Ale jak? No jak? — Toric walnął pięścią w stół. — Nie umieliście zawrócić ognistej kuli.

— Ale coś takiego — F'lar zrobił znaczącą przerwę, bynajmniej nie przepraszając — więcej się nie zdarzy.

Mówił z ogromną pewnością siebie w słowach i zachowaniu, a pozostali jeźdźcy wyprostowali się dumnie, wyraźnie popierając jego stanowisko. Władca Południowej nie krył zdumienia.

— Chodzi o talent, którego rozwoju Assigi spodziewał się u smoków — zauważył Jaxom, jakby strofując słuchaczy, że powinni przypomnieć sobie o czymś, czego przedtem nie brali pod uwagę.

— Dokładnie tak, lordzie Jaxomie — zgodził się z nim F'lar. — Smoki miały tę umiejętność od zawsze. Teraz ją doskonalimy.

— Trzeba na to czasu i praktyki — dodał N'ton.

— Wiecie, smok im starszy, tym zdolniejszy — wtrącił K'van.

— W połączeniu z obserwatoriami i dokładną znajomością układu Rukbatu i naszego nieba — ciągnął F'lar — pozwoli nam to dokładnie poznać nasze otoczenie i obserwować wszystko, czym może nas jeszcze potraktować Obłok Oorta.

— Jak wszyscy właśnie przypomnieliście — włączyła się Lessa — jeźdźcy smoków są odpowiedzialni za niebo nad Pernem. Utrzymajmy więc tę odpowiedzialność.

— Będziemy ćwiczyć i przygotowywać się na moment wymagający wykorzystania tej potężnej umiejętności — zakończył F'lar.

Przedtem smoczy ryk uciszył kłótnie, teraz zaś wszyscy usłyszeli radosny hymn smoków zgromadzonych na wzgórzach Telgaru, potwierdzający jego słowa.

— No cóż, ja tam z wielką ulgą witam ten pomysł — powiedział Groghe, uśmiechając się szeroko do F'lara i pozostałych Władców Weyrów. — Choć nie pamiętam, żeby Assigi...

— Naturalnie, Assigi rozmawiał na ten temat tylko z jeźdźcami smoków — wyjaśnił Jaxom z powagą.

— Dziękujemy Władcom Weyru — podsumował Sebell. — W dużej mierze rozwialiście nasze obawy i myślę, że mogę w imieniu wszystkich rzemieślników obiecać wam znaczącą pomoc równie szczerą, jak Władców Warowni, dzięki którym powstaną nowe — skłonił się w stronę Jaxoma i Larada.

— Tillek jest najbliższym portem — powiedział Ranrel do Erragona, przechylając się przez stół. — Damy wam bezpłatny transport.

— Usługi zamiast dziesięcin? — wściekał się Toric.

— Och, usiądź wreszcie, Toricu — uspokoił go Groghe.

— Nie zagłosowaliśmy nad budową nowych obserwatoriów — narzekał Toric.

— Możemy zagłosować teraz — ucieszył się Sebell.

— Nie omówiliśmy w szczegółach, dlaczego trzeba zbudować aż trzy nowe obserwatoria — huknął Toric.

— Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym Zachodnim Kontynencie — powiedziała głośno Mistrzynie Ballora. — Nie wiemy, jakie tam występują formy życia i co się stanie, gdy nastąpi kontakt z naszymi rodzimymi gatunkami.

— Assigi niewiele o nim wspomina — stwierdził Deckter. — Czy w ramach projektu będzie duże zapotrzebowanie na rudy metali?

— Oczywiście, że tak, Deckterze — powiedział Fandarel i z niecierpliwością zatarł wielkie łapska.

— Czy możemy się teraz zająć niektórymi drobnymi skargami? — spytał Sebell, podnosząc cienki plik papierów.

— Nie, nie teraz — odparł Groghe. — Najpierw coś zjedzmy i odświeżmy się przed tą robotą.

— Co z tym Zachodnim Kontynentem? — upierała się Ballora. — Chcę się o nim dowiedzieć czegoś więcej!

— Porozmawiamy — odparł Erragon, a Sebell stuknięciem młotka zakończył poranną sesję.

Później zadawano tyle pytań na temat dokładnej lokalizacji obserwatoriów, ich kształtu, pracowników, szkoleń, że w końcu skargi przełożono na następny dzień. Toric zażądał głosowania nad budową jakiegokolwiek obserwatorium, nie wspominając o trzech, tym bardziej że żadne z nich nie miało powstać na Południu. Potem musiał wytrzymać długie wywody o obserwatorium na Zachodnim Kontynencie, które było podobno tak pilnie

potrzebne i o mało nie dostał ataku furii, gdy wszyscy inni z entuzjazmem deklarowali, że dostarczą inżynierów, budowlanych, transport, pracowników, materiały — nie podnosząc wysokości dziesięciny, co mógłby natychmiast zawetować. W końcu Gwiazdni Mistrzowie i ci cholerni jeźdźcy dostali wszystko, czego chcieli. Nie przyszło mu do głowy, że sam jest sobie winien. Był przygotowany na rozmowę o skargach i na zgłaszanie sprzeciwów w niektórych sprawach — dla zasady, ale w ogóle nie poruszono tego tematu. Gdyby nie został na Radzie, pewnie natychmiast pojawiłby się jakiś nowy temat, przegłosowano by nowe prawo i nie mógłby odgadnąć, co tam znowu knują. Trzeba było zabrać ze sobą Besica. Wreszcie by się na coś przydał. Bargen wziął ze sobą syna, Groghe tak samo. Zezwalano na takie zastępstwa podczas rozpatrywania skarg; na przykład Fandarela zastępowała Mistrzyni Jancis.

Wieczorem Toric wyszedł na Zgromadzenie. Musiał być na widoku, bo Dorse miał go tam znaleźć. Rano, gdy mężczyzna się nie pojawił, a Toric musiał już iść na Radę, zajrzał jeszcze do stacji Kurierów, pytając o wiadomości. Nic nie było, ale spotkał Kashmana i musiał wrócić do Warowni w jego towarzystwie. Kashman wciąż się wściekał z powodu procesu w Cechu Drukarzy. Nie było go tamtej nocy w Warowni, ale sprawa mogła przecież poczekać do rana. Gorzko narzekał na obecność N'tona, Władcy z Fortu, który zapuścił się daleko poza granice swojej tradycyjnej władzy, nie wspominając o Jaxomie, o którym nie należało mówić w obecności Torica, w żadnym przypadku! Corman kiepsko poinformował swojego synalka, przekazując mu władzę w Warowni, pomyślał Toric.

Późnym wieczorem Toric wałęsał się bez celu między namiotami, a potem zaczął krążyć wokół placu, trzymając się w cieniu, by Dorse mógł do niego dyskretnie podejść. Była jeszcze jedna sprawa: jakaś smocza umiejętność, o której wspominał Assigi. Z tego, co wiedział Toric, smoki potrafiły rozmawiać z jeźdźcami, wchodzić *pomiędzy* i żuć skały, wytwarzając płomień, który niszczył Nici. Trzeba kazać Esselinowi, by poszukał wszystkich wzmianek Assigi o smokach. Każde słowo komputera zostało zapisane. Esselin je znajdzie i doniesie.

Robił już drugą rundkę wokół namiotów, gdy zaczął się zastanawiać, kto właściwie był wśród tych zesłańców. Nikt nie podał warowni, cechu ani imienia, więc kim byli? Z drugiej strony, wśród sędziów był Jaxom. Rozpoznałby Dorsego. Podobnie jak N'ton i Mistrz Tagetarl.

— Lordzie Toricu!

Ktoś wypowiedział jego imię cichym, głębokim głosem. Dorse wspominał o niezwyklej barwie głosu Piątego. Mówił, że to niezwykle elokwentny mówca, który potrafi

rozpalać emocje.

— Tak? — Toric wszedł w cień. Bardzo chciał spotkać Piątego. Dorse opowiedział mu o niezwyklej obsesji tego człowieka: ciągle zastanawiał się, dlaczego, gdy Mistrza Robintona znaleziono martwego w pomieszczeniu Assigi, komputer wyłączył się niemal w tym samym momencie. Czyżby Mistrz Robinton rzeczywiście odkrył jakieś złowieszcze cechy Ohydy i próbował zniszczyć jej wpływy na Pernie? A może Assigi zabił Mistrza Robintona, podejrzewając, że ten odkrył jego podłe plany zatrucia i zniszczenia planety? Wiadomo przecież, że Assigi miał ukryte możliwości obrony.

Ten splot okoliczności fascynował Torica od chwili, gdy Dorse mu o nim powiedział. Teraz mógł dowiedzieć się czegoś bezpośrednio ze źródła.

WAROWNIA HONSIU, 3.01.31

W chwili gdy Tai otworzyła oczy, u jej łóżka pojawiła się Sagassy.

— Chcesz wyjść za potrzebą, jeźdźcy Tai? — spytała i nie czekając na odpowiedź odrzuciła kołdrę.

— Nie mogę iść sama? — spytała Tai, zdecydowana jak najprędzej pozbyć się słabości i zależności.

— Podeprę cię ramieniem, na wszelki wypadek.

Tai rzeczywiście potrzebowała pomocy przy wstawaniu, ale starała się z niej jak najmniej korzystać.

Kostki i kolana miała wciąż sztywne; łydki były ciężkie i pozbawione czucia, ale nie bolały; mogła nawet bez większej niewygody przenieść ciężar ciała na lewą nogę. Krótka wycieczka poszła całkiem niezle, Tai udało się nawet umyć twarz i ręce, opierając się na solidnej umywalce. Zjadła solidne śniadanie przyniesione przez Sagassy, a potem, jak zawsze, gdy ktoś do niej zaglądał, zapytała, kiedy może zobaczyć Zaranth, F'lessana i Golantha.

Sagassy, która ciągle słyszała z jej ust to pytanie, oparła ręce na biodrach i lekko pokręciła głową.

— Ano, ja tam se myślę, że to nie zaszkodzi ani im, ani tobie. Zostaw to na mojej głowie.

Tai o mało nie wybuchnęła gniewem i żalem, bo wszyscy jej obiecywali, że się tym zajmą i jak dotąd nikt tego nie zrobił. Ze zdziwieniem powitała więc wejście T'liona, jeźdźca spizowego Gadaretha. Za nim wsunęła się wielce z siebie zadowolona, uśmiechnięta Sagassy.

— Sagassy twierdzi, że mam dość siły i wystarczający wzrost — powiedział. — Dużo lepiej wyglądasz.

— Skąd wiesz? — spytała i sama odpowiedziała na to pytanie: — Och, Gadareth był tam tego poranka, prawda?

— Był, i od tej pory wygląda pięknie i lśni jak słońce. A teraz zarzuć mi ramię na szyję.

— Mogę chodzić sama, naprawdę!

— Mocno wątpię. Przeniosę cię, bo jeśli chcesz zobaczyć wszystkich naszych inwalidów... choć Zaranth właściwie już wydobrzała, będziesz musiała przejść spory odcinek. Sama nie dasz rady — chwycił ją w ramiona, zanim zdążyła zaprotestować i wyniósł z pokoju. Tyle osób przenosiło ją już z miejsca na miejsce, że przestała się krępować taką

intymną bliskością. — Pewnie chciałabyś się najpierw upewnić, jak się czuje Zaranth, ale zaproponuję ci inną kolejność: F'lessan jest tu blisko, więc zajrzemy do niego po drodze.

Przy ostatnich słowach radosny ton zniknął z jego głosu; wniósł ją do największej z sypialni, którą niegdyś tak często dzieliła z F'lessanem. Mruganiem rozpędziła łzy w oczach, gdy zobaczyła bladą twarz F'lessana, niespokojnie obracającą się na poduszce, drgające usta, zmarszczone brwi i blizny, którymi poznaczone były jego policzki. Pod kołdrą rysowało się nienormalnie obrzmiałe ciało — to pewnie bandaże, pomyślała cofając dłoń, którą instynktownie ku niemu wyciągnęła. Manora mówiła, że odniósł głębokie rany. Przez to rzucanie się w łóżku może sobie zrobić jeszcze większą krzywdę.

T'lion posadził ją na krześle przy łóżku. Zobaczyła, że ciemne włosy F'lessana przycięto z jednej strony, odsłaniając szwy na skórze głowy. Zbliżyła dłoń do jego twarzy; palce jej drżały, gdy przesuwiała je nad bliznami. Nie były głębokie, ale strasznie wyglądały na jego przystojnej twarzy.

F'lessan, wyczuwając, że ktoś mu się przygląda, jeszcze gwałtowniej potoczył głową po poduszce i próbował unieść obie ręce po kolei; lewa opadła bezwładnie z boku łóżka. Tai uniosła ją, ułożyła przy jego boku i delikatnie pogładziła go po ramieniu.

— Spokojnie, F'lessanie, leż spokojnie — zsunęła ze szwów na policzku pasmo ciemnych włosów. — Spokojnie. Golanth żyje!

— Golly? — było to bardziej tchnienie niż słowo; brwi zaczęły się zbiegać i zatrzymały się, gdy chory poczuł napięcie skóry. — Golly?

Otworzył oczy, zamrugał i z wysiłkiem skupił wzrok na twarzy Tai, jakby zdziwiony jej obecnością.

— Gdzie byłaś? — powiedział niemal swarliwie.

— Nie wpuszczali mnie tutaj.

— Też została ranna, F'lessanie — wyjaśnił T'lion, pochylając się nad nim z drugiej strony. — Ale obiecałem, że j ą przyprowadzę i oto jest.

Wydawało się, że powieki F'lessana bardzo mu ciążyą. Przymknął je, ale kącik ust zadrgał mu lekko.

— I oto jest. Nie odchodź, moja ukochana zielona. Nie odchodź ode mnie.

Te czułe słowa chwyciły ją za serce. Musiała moment odczekać, zanim odpowiedziała.

— Zobaczę się z Golanthem i zaraz wracam. Możesz teraz odpocząć.

— Mmmm, tak. Mogę, prawda? — odwrócił na bok głowę, westchnął głęboko i zapadł w ciszę, która przeraziła Tai, póki nie spostrzegła, że pierś mężczyzny unosi się w spokojnym oddechu.

— Zaniosę cię do spiżowego Golantha — powiedział T'lion, uniósł ją i zabrał z pokoju.

— Ano, spójrz tylko na niego, panie spiżowy — powiedziała Sagassy, zatrzymując się by popatrzeć na F'lessana — już się zrobił spokojniejszy.

Dobrze, że Tai najpierw zobaczyła F'lessana, a dopiero potem Golantha, bo na widok okrutnych ran smoka popłakała się serdecznie.

— Spokojnie, wygląda o wiele gorzej niż się naprawdę czuje — jeździec z Monako mocniej otoczył ją ramionami.

Czuje się o wiele lepiej, Tai. Jest dużo lepiej, odezwała się Zaranth, unosząc się z miejsca, gdzie leżała na słonecznym tarasie obok wyciągniętego na całą długość Golantha.

Och, Zaranth! Jak możesz tak mówić?, załkała Tai.

Bo to prawda.

— Hej, Tai, nie rozklejaj mi się tutaj — pogroził jej T'lion. — Odniósł ciężkie rany, to prawda. Oderwane ciało, wygryzione dziury, ale ogon udało się naprawić. Dlatego jest w łubkach. I nic go nie boli, bo na to nie pozwalamy.

Tai zauważyła, że na tarasie jest ktoś oprócz nich i dzielnie opanowała łkanie.

— Ach, zielona jeźdźczyni Tai — poprzez mgłę łez w oczach rozpoznała znajomą twarz Persellana. — Wiem, że rozmiary ran Golantha są przerażające — powiedział — ale dbamy o niego.

Wskazał gestem duże szare słoje z mrocznikiem.

— Dzięki Zaranth możemy przynieść mu ulgę, zanim zdąży ruszyć z bólu choć jednym mięśniem. Jest z nim tak blisko, jak puls jego serca.

Rozciągnięte na tarasie ciało Golantha wydawało się mniejsze niż w rzeczywistości. Wokół niego pozostało dość miejsca dla ludzi. Przy głównym wejściu leżały zapasy: słoje z mrocznikiem, skrzynie z bandażami i innymi lekami, krzesła dla pielęgniarzy, stół z jedzeniem — jeden z tych, które służyły gościom, gdy stacjonowała tu połowa weyru Monako.

Pod ciało Golantha podłożono liczne materace, by nie leżał na twardej skale. Nad nim rozpięto daszek — chyba żagiel, sądząc z wyglądu, pomyślała Tai. Wciąż wydawał jej się mniejszy teraz, gdy zabrakło mu charakterystycznej witalności. Jaki jeździec, taki smok. Pospiesznie odepchnęła od siebie tę myśl.

Cała skóra smoka po jej stronie była poznaczona śladami pazurów i zębów. Największe wrażenie sprawiał opatrunek na oku i łubki na końcu ogona, ułożonego wzdłuż ciała. Golanth złożył głowę między przednimi łapami; widziała nozdrza, poruszające się

lekką przy każdym oddechu.

Czuje się lepiej, Tai, powiedziała Zaranth z głębokim przekonaniem osoby, która obserwuje czyjaś rekonwalescencję. O wiele lepiej. Dotknij go. Poczujesz w nim siłę.

Zaranth nie poruszyła się ze swojego miejsca u boku Golantha, pochyliła tylko głowę w kierunku swojej jeźdźczyny.

— Zabiorę cię do niej — zaproponował T'lion. — Jest tam miejsce, gdzie będziesz mogła usiąść i побыć z nią sam na sam. Powiem ci tylko, że mimo własnych ran, niezwykle pomogła nam w pielęgnowaniu Golantha.

T'lion sprawnie wsadził ją sobie na barana. Tai o mało nie wybuchła płaczem, widząc straszliwe rany na zielonej skórze Zaranth, do tej pory zasłonięte ciałem Golantha. T'lion posadził ją na ławce, objął jej ramiona w serdecznym, dodającym pewności uścisku i zostawił je same. Zaranth postąpiła o krok dzielący ją od jeźdźczyny i przytuliła nos do kolan Tai.

Nie boli mnie, Tai. Opiekują się mną tak samo dobrze jak Golanthem, ale tylko ja go słyszę i mogę mu pomóc. Rozpacza z powodu ran F'lessana. To najgorszy ból. Zaranth podkreśliła te słowa lekkim naciskiem nosa.

To prawda. A ty mnie tak potrzebowałaś! Gorąco przepaszając za swoją nieobecność, Tai delikatnie objęła ramionami smoczy nos i przytuliła twarz do policzka Zaranth, czując ciepło smoka i szczególny zapach rozgrzanej słońcem skóry zmieszany ze szczypiącą wonią mrocznika. Potem czule i delikatnie położyła dłoń na pobliznioną pierś smoczycy i poczuła bicie potężnego serca; odprężała się u boku ukochanej partnerki. Poczwała, jak ten podstawowy rytm życia dodaje jej sił, sprawia, że z ciała odpływa napięcie, rozluźnia mięśnie i przywraca poczucie, że wszystko jest tak, jak powinno — ważną częścią więzi łączącej jeźdźca ze smokiem. Pozostały w milczącej bliskości, póki Tai nie odzyskała spokoju i nie odnowiła siły w sobie i Zaranth.

Jak ty to zrobiłaś, moje serce? spytała jeźdźczyny smoczycę. Jak nas uratowałaś?

Zawołałam. Szybko nadleciała Ramoth i inne. Powiedziałam Ramoth. Głos Zaranth brzmiał niemal piskliwie z wielkiego zadowolenia. Zrobiła to, co jej powiedziałam. Nauczyła się, jak, i powiedziała innym. Zrobiły więcej niż ja. Było ich więcej, wyjaśniła Zaranth i westchnęła potężnie w objęciach jeźdźczyny. Koty zagrażały naszemu życiu; całej czwórce. Ale nie dałyby nam rady. Ucieszyłam się, kiedy przyleciały inne smoki. Szczególnie Ramoth.

Pewnie, że tak. Ja też! przyznała Tai, czując, że łzy znowu wzbierają w jej oczach. Tym razem łzy wielkiej ulgi. Była przecież tak blisko swojej dzielnej i mądrej Zaranth.

F'lessan się niepokoi, powiedziała Zaranth z troską. Nie może odpocząć. Golanth dużo śpi. Mówię F'lessanowi, żeby się nie martwił, ale chyba mi nie wierzy.

Mnie uwierzy! Tai kojąco pogładziła wrażliwe wypustki pod oczami Zaranth, tak jak smoczyca najbardziej lubiła. Zaranth coraz mocniej opierała łeb na jej kolanach, póki nie zorientowała się, że sprawia to ból. Otworzyła oczy i uniosła głowę.

Wezwałam go.

Kogo?

Spizowego jeźdźca. Tego, który cię przyniósł. Najpierw pomyślałam, że sama cię przyniosę — tu smoczyca przeprasząco opuściła głowę — ale inaczej jest, kiedy to się robi dlatego, że nic innego nie można... nie mogłam zaryzykować, że cię upuszczę i jeszcze nie wychodzi mi to tak dobrze — nie umiem tego robić tak delikatnie. Więc najpierw on zanieś cię, żebyś dotknęła Golantha; z tej strony wygląda lepiej. Golanth wie, że tu jesteś. Dotkniesz Golantha i powiesz mu, że widziałaś F'lessana. Uwierzy ci!

Kiedy T'lion wrócił, przytrzymał Tai żeby mogła oprzeć dłonie na boku Golantha, unikając śladów po pazurach na prawej łopatce, które — gdyby były choć trochę głębsze i choć trochę wyżej — mogłyby zakończyć życie spizowego smoka. Razem z życiem Flessana.

Znów rozpędziła łzy mruganiem. Tym razem śmierć nie zabrała jej ukochanych osób. Nie była pewna, w jaki sposób uratował się Golanth: kot wycelował dokładnie we wrażliwe miejsce na grzbiecie smoka... skoczył z obnażonymi zębami i wyciągniętymi pazurami. Ale jakoś nie trafił i była za to głęboko wdzięczna losowi.

Rozsunęła palce, dotykając zdrowych miejsc na rozgrzanej słońcem skórze smoka. Znalazła miejsce, gdzie mogła dotknąć czołem do klatki piersiowej. Poczowała głębokie mruknięcie Golantha a potem jego myśl.

Przyszłaś.

F'lessan jest słabszy niż ty, więc nie mogą go tu przynieść, Golancie. Ale trzymałam go za rękę i rozmawiałam z nim. Teraz powiem mu, że dotykałam ciebie. I obaj zaczniecie zdrowieć jak najszybciej. Czy mnie słyszysz?

Słyszę. Ciało smoka drgnęło lekko; poczuła, że westchnął. *Słyszę F'lessana. Chce wiedzieć, czy do niego wrócisz.*

Zaraz wrócę, bo widziałam się już z tobą i z Zaranth.

— Tai, to chyba było za wiele dla ciebie — zaniepokoił się T'lion i wziął ją na rękę. — Przysięgnę, że jesteś teraz lżejsza.

— Tym lepiej dla ciebie — odparła.

— No wiesz, ja jestem silny — odparł twardo, niosąc ją powrotem do budynku, a potem korytarzem do pokoju.

— Muszę wrócić do F'lessana.

— Niosę cię tam przecież, najszybciej jak mogę. Musisz wypić napój, który upichciła dla ciebie Sagassy. Może nawet namówisz Flessana na łyceczek.

Tak też zrobiła, upewniwszy go najpierw, że Golanth czuje się lepiej. Od tej pory przesypiał większość czasu, ściskając ją za rękę — co czasem doprowadzało ją do łez, a czasem sprawiało, że czuła wielką dumę na myśl, że ze wszystkich ludzi wybrał sobie ją, by przy nim czuwała.

W TYM SAMYM CZASIE, W BENDENIE I GDZIE INDZIEJ

Pomimo zapewnień, jakie F'lar składał Radzie, pomimo obietnic, jakie Ramoth składała Lessie, nie wszystkie smoki potrafiły naśladować Zaranth i grupę, która przybyła jej na pomoc tamtego straszego poranka w Honsiu. Choć Ramoth powiedziała Lessie, że rozumie, w jaki sposób Zaranth posługuje się telekinezą, strach, gniew i wzburzenie odgrywały ważną rolę w całym procesie. Chłodna myśl, nad którą coraz bardziej brały górę gorące pragnienia, nie była tak skuteczna. A już na pewno nie tak bezpieczna.

Najpierw okazało się, że na trasie między początkową pozycją obiektu poruszanego smoczą myślą a miejscem jego przeznaczenia nie może być żadnych przeszkód. Odległość nie miała znaczenia w przypadku przedmiotów nieożywionych, a nawet niedużych żywych stworzeń, takich jak whery lub bydło. Ale na trasie nic nie mogło stać. Choć kamieniom nie przeszkadzały telekinetyczne podróże, mogły się roztrzaskać, jeśli się z czymś zderzyły i taki sam los czekał to „coś”. Kolejnym problemem była szybkość. Transfer był natychmiastowy, co mogło wywrzeć wpływ na to, co było przenoszone i rzeczywiście go wywierało.

— Wszystko albo nic — powiedział F'lar po pierwszych kilku godzinach nieudanych ćwiczeń z Mnementhem.

— Kontrola — odparła enigmatycznie Lessa, choć jej królowa nie mogła poszczycić się lepszymi wynikami.

W przypadku kotów bezpieczny tranzyt ani lądowanie nie miały znaczenia. Wystarczyły kawałki. Ramoth nie zgadzała się na ćwiczenia na kotowatych ani też na podchodzenie dużych grup, jakie mogłyby zapewnić bodźce, które dodawały sił Zaranth: zwykle przerażenie na widok zaatakowanego partnera i dwójki jeźdźców.

Smoki potrafiły wysyłać przedmioty w górę, poza zasięg wzroku. Poruszanie ich w linii poziomej wymagało silnej kontroli i bliskiej współpracy Mnementha i Ramoth, nawzajem spowalniających swoją myśl. Ćwiczyły codziennie, powoli podnosząc kamienie pionowo z ziemi, a potem odkładając je bez mielenia na piasek ani na żwir. Prawdopodobnie smoki potrafiłyby dorzucić kamieniem do Yokohamy, choć nie byłby to pożądanym celem. Jednak Lessa i F'lar ciekawi byli, czy by się to im udało. Tak czy siak, był to poważny krok naprzód.

Gdy Ramoth spytała o radę Zaranth, ta zaproponowała ćwiczenie na turlajach. Choć wielu jeźdźców uważało, że to dziwna metoda pobudzania telekinezy, okazało się, że działa — ale tylko w przypadku chrząszczy. Ramoth i Mnementh zaproponowali z powagą, że eksperymenty należy prowadzić w parach samiec — samica, najlepiej z dala od zabudowań,

za to w pobliżu jezior, strumieni, a nawet oceanu.

Potem, przy współpracy i wzajemnej kontroli Mnemetha i Ramoth, telekineza stała się bardziej praktyczna i mniej niebezpieczna dla przenoszonych przedmiotów.

Mało kto rozumiał, jaki jest cel tych ćwiczeń poza odpędzaniem — i niszczeniem — kotowatych i dyscyplinowaniem chrząszczy, choć nowo odkryty talent sprowokował wielu do myślenia i tworzenia różnych teorii. Przez ten czas smoki i jeźdźcy ćwiczyli równowagę energii kinetycznej.

Mistrzowi Esselinowi — który zaczął gorzko narzekać, że ma za dużo zajęć — powierzono sprawdzenie, czy pozostały jakieś zapiski z pierwszych szkoleń smoków: wchodzenia pomiędzy i żucia kamienia ogniowego. Stare kroniki przepisane przez Assigi nie zawierały żadnych czytelnych wzmianek; właściciele jaszczurek ognistych uważali, że smoki przejęły tę umiejętność od swoich mniejszych kuzynów.

Nikt nigdy nie widział, by jaszczurki przenosiły coś z pomocą telekinezy, chyba że uznać za telekinezę szybkość, z jaką pożywienie znikало w ich gardłach przy karmieniu.

Zajęto się wieloma ważnymi sprawami, między innym lokalizacją obserwatorium na Kontynencie Zachodnim. Właściwie ten tak zwany kontynent składał się z dwóch mas lądowych, niemal całkowicie rozdzielonych szeroką zatoką, z wyjątkiem skalnego łącznika na samej pomocy. Erragon miał plany, wydrukowane przez Assigi dla potrzeb Warowni nad Zatoczką. Posłużono się nimi niemal w całości, zastosowano tylko inną technikę zamontowania teleskopu; Erragon wolał podstawę w kształcie wideł. Okazało się zresztą, że budowniczowie pierwszego obserwatorium zgłosili się do pomocy przy konstrukcji nowego. Lord Ranrel dotrzymał słowa, wylądowano więc materiałami i ochotnikami trzy statki, pod wodzą Idarolana jako kierownika ekspedycji, która wyruszyła w kierunku najbardziej wysuniętego na południe przylądka większego lądu. Powszechnie szanowana przywódczyni delfinów zwana Tillek wyznaczyła stado, które miało towarzyszyć małej flotylli do wyznaczonego przez nią portu. Przed statkami dotarły tam zielone i niebieskie smoki, których jeźdźcy zbudowali obóz dla budowniczych.

Postanowiono, że ten sam ogólny projekt, z niewielkimi zmianami w zależności od lokalizacji, zostanie zastosowany nad Lodowym Jeziorkiem i w Telgarze. Teraz najważniejszym zadaniem stało się wyszkolenie zespołów do pracy w nowych ośrodkach, oraz do wspierania Cechów produkujących lunety, zwane kiedyś „dalekowidzami”, lornetki i małe teleskopy.

Drukarnia Mistrza Tagetarla pracowała pełną parą, drukując najpierw listy materiałów na potrzeby rzemieślników i dostawców, a następnie listy osób chętnych do podróży na

Zachodni Kontynent i budowania obserwatorium.

Było to znacznie łatwiejsze zadanie niż zaspokojenie popytu na instrukcje budowy małych teleskopów pozbawionych metalowych części; wystarczyło posłużyć się grubą skórą whera, którą malowano od środka na czarno i zaklejano tak, by do środka nie dostawał się kurz. Cech Gwiazdziarski musiał napisać podręczniki i przygotować mapy oraz diagramy obiektów, które poruszały się po orbitach nie zagrażających Pernowi, a także instrukcje, uczące jak wyszukiwać, rozpoznawać i notować współrzędne potencjalnych odkryć. Cech Szklarski dostarczał zwierciadła o średnicy od stu do czterystu milimetrów do budowy teleskopów. Naturalnie można było robić i większe, ale to wymagało wiele czasu.

Kiedy w końcu nastąpił opad Nici nad Honsiu, pielęgniarze postarali się, by oba ranne smoki zostały głęboko uśpione i nie zdawały sobie sprawy — chyba tylko w pokładach podświadomości — że na niebie odbywa się walka z ich odwiecznym wrogiem. Zaranth szybko dochodziła do siebie, ale urazy, które odniósł Golanth, wciąż budziły troskę wszystkich uzdrowicieli zajmujących się smokami i zwierzętami.

HONSIU — CZAS PLYNIE POWOLI

— O wiele więcej wiemy o każdym innym stworzeniu na tej planecie — powiedział Wyzall po długich wieczornych konsultacjach z Mistrzynią Ballorą, z najlepszym uzdrowicielem zwierząt Persellanem i Tai. — Brak nam tylko informacji o tych, od których jesteśmy tak bardzo zależni.

Odsunął się od stołu, rozcierając dłońmi twarz, by rozproszyć znużenie.

— To dlatego, że możemy przeprowadzać sekcje zwłok wszystkich innych stworzeń — odparła Ballorą. Była wysoka i mocno zbudowana. Zaczęła studia u mistrza Oldive, ale okazało się, że ma autentyczne zdolności empatyczne i potrafi radzić sobie ze zwierzętami, więc przeszła do Cechu Hodowców. Ludzie czuli się w jej towarzystwie równie dobrze jak zwierzęta, które leczyła i hodowała. Teraz westchnęła z głębokim żalem.

— No cóż, jedyne dostępne nam studia anatomiczne to wyniki sekcji nieżywych młodych jaszczurek ognistych, które znaleźli Starożytni. I te niekompletne notatki o niewyklutych wher–stróżach, które pozostały po Wind Blossom, choć i tak wiadomo, że to nie są nasze smoki.

— Z zapisków wynika, że były niewyklute smocze jaja... — zaczęła z wahaniem Tai. Wyzall machnął ręką.

— Wszyscy mieli silne uprzedzenia przeciwko takim badaniom — powiedział. — Rozumiem to, ponieważ niewyklute jaja oznaczały płód z wrodzonymi wadami. — Westchnął. — Przynajmniej żywe smoki potrafią powiedzieć jeźdźcom co je boli, nawet jeśli tego nie widać. W odróżnieniu od nas, ludzi, którzy jesteśmy mniej zestrojeni ze swoimi organizmami, dlatego, że... — przerwał, odchrząknął i zaczął kartkować książkę, którą czytał.

— ...że umieramy, kiedy zużyje się nasze ciało — dokończyła obojętnie Ballora. — Udało ci się kiedykolwiek zidentyfikować najstarszą żyjącą jaszczurkę, Wyzallu? — spytała z uśmiechem.

Zacmokał i potrząsnął głową.

— To niemożliwe. Potrafią powiedzieć smokom, jakie obrazy pamiętają, ale moim zdaniem jest to podobne do sposobu, w jaki Tillek zapamiętuje historię delfinów. Nie były przy danym wydarzeniu, ale przekazują sobie opowieść o nim w taki sposób — wskazał ręką na stada jaszczurek, które spały albo leniwie polatywały w łagodnych powiewach wiatru — że wnika ona w pamięć jednostkową.

— Nie wszystkie jaszczurki pamiętają statki kosmiczne na łące statków — przypomniała mu Tai.

— Ach — pogroził jej palcem — ale które to są? Wracając do terażniejszości — dodał, poważniejąc — moim zdaniem delikatny masaż tą maścią przywróci obieg krwi w zniszczonym stawie skrzydła Golantha. Przynajmniej nie odczuwa tam już takiego bólu.

— Nic dziwnego, skoro wmasowano w to miejsce pięć słoików mrocznika! — skomentowała Tai, która walnie się do tego przyczyniła.

— No cóż, nie zaszkodzi spróbować tej maści — powiedziała Ballora, wyjęła ją z woreczka i położyła na stole, jakby prezentowała coś niezwykle wartościowego. — Pomaga na bóle stawów biegusów, ale trudniej się ją robi niż mrocznik.

— Niemożliwe — powiedział Persellan, który zajmował się też zbiorami, gotowaniem ziół i przygotowywaniem maści z mrocznika w weyrze Monako.

— Ale to duży staw — stwierdziła Tai z powątpiewaniem.

— Wmasuj ją porządnie, a potem koniecznie dobrze umyj ręce. Lepiej, żeby nie wniknęła w twoją skórę.

Zdjęła zatyczkę ze słoika, podniosła go do nosa, ze wstrętem jakby chciała powąchać i odstawiła.

— Ta woń cię nie zabije — powiedziała. Tak więc chętnie dłonie wmasowały substancję w staw Golantha.

Ze smokiem były też inne kłopoty, którymi należało się zająć, i to szybko. Smok ranny podczas Opadu zwykle wchodził w *pomiędzy*, po pierwsze po to, by strząsnąć z siebie w zimnie Nici, a po drugie — by trafić do własnego weyru. W każdym z nich, także i w Monako, było pomieszczenie, w którym mógł zmieścić się chory albo ranny smok. Honsiu dysponowało jedynie szerokim tarasem, na którym królowe ułożyły delikatnie ciężko rannego spizowego. Ale Golantha nie można było przenieść w *pomiędzy*, dopóki jego rany całkiem się nie zagoją.

I znów minęło pięć dni w Honsiu, wśród tłumu ludzi. Tai nie mogła już tego znieść. Musiała pobyć w samotności, z dala od wszystkich napięć. Spędzała z F'lessanem tyle czasu, ile mogła, kiedy nie przeganiali jej uzdrowiciele — bo bez niej był bardzo niespokojny. Wiedziała, kiedy rozmawia z Golanthem, co zdarzało się często, wiedziała też, kiedy uzdrowiciele zmieniają opatrunki i trzeba sprawić, by nie myślał o bólu, bo jego spojrzenie traciło wtedy ostrość. Czasem martwiła się, że zbyt często ucieka w myślową więź z Golanthem. Co dziwne, uzdrowiciele o wiele lepiej radzili sobie ze znieczuleniem bólu smoka

niż jeźdźca.

Tak naprawdę, niewiele mogła zrobić dla F'lessana — co ją bardzo bolało — i równie niewiele dla Zaranth, która dużo spała, jak to mają w zwyczaju ranne smoki. Ósmego dnia smoczyca poczuła, że jest wyleczona — rany przestały ziarninować z wyjątkiem najgłębszych śladów po pazurach, choć zarastająca je skórka była jeszcze bardzo delikatna. Zaranth mogła bezpiecznie wchodzić *pomiędzy*. Rany na nogach Tai zmieniły się w czerwone szramy, z których schodziła skóra. Morska woda pomogłaby również i jej.

Polecimy, kiedy zasną, oznajmiła Zaranth swojej jeźdźczyni. *Nie będą wtedy za nami tęsknić.*

Morska woda pomoże i tobie, powtarzała Tai, by uspokoić sumienie.

Kiedy się już zdecydowała, z trudem wytrzymała do końca dnia. Martwiła się, że zostawi F'lessana; Golanth i tak nie zauważyłby jej nieobecności. Czuła się jak przewrotna oszustka, ale potrzebowała samotności. Widok F'lessana, który opadł z sił po przejściu zaledwie kilku kroków od łóżka niemal przyprawił ją o mdłości. Musiał ciężko wspierać się na lasce, bo lewa noga wciąż nie potrafiła unieść ciężaru ciała, a rany brzucha nie pozwalały mu się wyprostować. Na głowie zaczęły odrastać włosy, ale ten człowiek w niczym nie przypominał pięknego, beztroskiego, młodego dowódcy skrzydła z Bendenu.

Tak więc Tai i Zaranth powzięły plan i czekały, aż cicha, spokojna, ale nieustanna krzątanka pielęgniarki i uzdrowicieli przejdzie w tryb nocny. W końcu Tai wymknęła się na zewnątrz, krzywiąc się nieco, gdy kamienna posadzka podrażniła świeże blizny. Zostawiła laskę w pokoju, bo stukanie jej metalowej końcówki mogłoby ściągnąć ciekawskich; ci wszyscy pielęgniarze za bardzo się nią interesowali.

Cichaczem wdrapała się na grzbiet Zaranth. Zielona podeszła bez szmeru do urwiska, powoli rozciągnęła skrzydła nad głową, a potem, wykonując manewr, który obie uważały za krańcowo nieostrożny, zeskoczyła w przepaść. Powiew wiatru podpłynął pod skrzydła i smoczyca przez chwilę cicho szybowiała nad wierzchołkami drzew, zanim weszła w *pomiędzy*.

Wybrały małą zatoczkę na wybrzeżu Cathay. Zaranth precyzyjnie wylądowała na białym piasku, przelatując nad łagodnymi falami. Usiadła na plaży na krótką chwilę, by Tai mogła się rozebrać, — zostawić ręcznik i z powrotem wsiąść na jej grzbiet. Potem powoli weszła w spokojne morze, radosnym ćwierkaniem witając pieszczotę ciepłej wody, aż wreszcie uniosła się na falach. Tai po prostu zsunęła się z niej do morza, podniecona udaną ucieczką i przyjemnością czerpaną z kąpieli.

Potrzebowałyśmy tego, moje serce, powiedziała klepiąc Zaranth po mokrym kłębie.

Smoczyca zanurzyła się tak, że tylko jej oczy pozostały nad powierzchnią wody, lśniąc na niebiesko i zielono. Tai z żalem pomyślała o oku Golantha. Nagle pojawiły się delfiny, zachwycone ich przybyciem. Strofowały je — na ile to możliwe w przypadku delfinów — narzekając na długą nieobecność. A kiedy przyjdą popływać Golly i Fless? Tak, wiedzą, że byli ranni, ale morską wodą pomaga na wszystkie skaleczenia, pływanie leczy stłuczenia, no i muszą przyjść i opowiedzieć o tych futrzakach. W czasie całej tej rozmowy, gładkie ciała delfinów delikatnie masowały smocze ciało; Tai świetnie się czuła w ich bezpretensjonalnym towarzystwie. Księżyc już wschodził, gdy Tai, trzymając się dwóch płetw, odbyła szaloną przejażdżkę po zatoczce, wśród wyskakujących wysoko delfinów, które przepychały się, zmieniając te, które wysliznęły się niechcący z objęć pływaczki.

Dopiero gdy Tai kilka razy ręka zsunęła się z płetwy, zdała sobie sprawę, że jest zmęczona. Tyle niespodziewanego wysiłku.

— Odpocznij — nakazała jej jedna z delfinie imieniem Afri i zapiszczała ostro, by uspokoić swoich towarzyszy. Tai, otoczona i podpierana przez delfiny, zasłuchiwała się w kołysankę małych fal, pluskających w zetknięciu z ciałami i o mało nie zasnęła.

Uświadomiła sobie, jak łatwo byłoby teraz poddać się pokusie, znaleźć sobie weyr gdzieś przy brzegu i zapomnieć o bólu serca i tragicznej sytuacji w Honsiu. Ale to było niemożliwe, choć kuszące. Wybór został dokonany.

Koniec laby, Zaranth. Wracamy. Nadchodzi świt, a wiesz, jaki F'lessan jest niespokojny o tej porze.

Stanowczym ruchem odwróciła się w stronę brzegu, pozwalając by Afri, a może Dani, podholowała jaku plaży, aż wyczuła dno stopami. Wyszła z wody, znalazła ręcznik, wytarła się i ubrała. Potem zawołała Zaranth i sprawdziła, czy żadna z ran się nie otworzyła podczas nurkowania i harców w wodzie.

— Wróc, wróc. Dobre dla ciebie — powiedziała Afri, podskakując na ogonie. — Niech Golly przyjdzie. Bardzo dobre dla niego.

To prawda, pomyślała Tai, przeszkadza w tym tylko rana oka. Unoszony przez wodę mógłby ćwiczyć nogę i ogon — kości już się zrosły, ale mięśnie pozostały wiotkie. Może udałoby mu się też rozłożyć zranione skrzydło i spróbować poruszyć zeszywniałym stawem. Gdyby tylko udało się go jakoś unieść w powietrze i przetransportować nad morze. Golanth miał o wiele szerszy rozstaw skrzydeł niż Zaranth. Zeskok z krawędzi urwiska w Honsiu, taki jak tej nocy, mógłby mieć bardzo poważne konsekwencje dla cięższego smoka. Tai zastanawiała się, czy Ramom i Mnementh poczynili postępy w telekinezie. Po rozmowie o turlajach Zaranth nie usłyszała już ani słowa od Ramoth, oprócz informacji, że oboje pilnie

ćwiczą.

Wróciły do Honsiu, skapanego w księżycowym blasku. Cienie mogły dobrze ukryć ich przylot, więc Zaranth poszybowała na sam skraj dolnego tarasu. W weyrze panował zupełny spokój, więc pewnie nikt nie zauważył ich nieobecności. Nadleciały w taki sposób, że widać było główne wejście. Tai dostrzegła, że jakaś postać zbliża się bardzo powoli do śpiącego smoka i staje przytrzymując się stołu. F'lessan?

Co też robi ten wariat? Przecież dopiero rano wstał po raz pierwszy. Jeśli upadnie, zmarnuje dwa siedmiodni leczenia. Co on sobie wyobraża? Gniew spowodowany jego beztroską stopniał w jednej chwili, gdy Tai uświadomiła sobie, że F'lessan tego potrzebuje: on musi być ze swoim smokiem.

Ląduj powolutku. Upadnie, jeśli go przestraszymy, powiedziała do Zaranth. Myślisz, że potrafiłabyś go podeprzeć, jeśli się przewróci?

Spróbuję. W głosie Zaranth zabrzmiała niepewność. *Boli go.*

Pewnie, że go boli, odparła Tai niemal zadowolona, że ból spowalnia kroki F'lessana i przypomina mu o ostrożności. Nagle usłyszała ciche stukanie; a więc nie był tak beznadziejnie bezmyślny, bo zabrał ze sobą laskę. Niewątpliwie była to jej laska, bo on swojej jeszcze nie dostał.

F'lessan tak się skupił na osiągnięciu celu i dotarciu do smoka, że nie spostrzegł obserwatorek. Miał do pokonania jeszcze dziesięć metrów. Poruszał się powoli, z wielkim trudem.

Golanth wie, że nadchodzi Tai. Nie rusza się. Ktoś mógłby usłyszeć.

Ja słyszę... stukanie laski.

Może pomyśla, że to ty, Tai, że sprawdzasz, jak się czuje Golanth.

F'lessanowi udało się z bólem zrobić następny krok w blasku księżyca. Zachwiał się i przez chwilę z trudem łapał równowagę.

Może upaść. Och, do licha, Zaranth, przesun go, tak jak te turlaje. Przesun go do Golantha.

Ja... ja... Już prawie doszedł.

Ma za daleko. Przetaw go, Zaranth. Jazda! Wiesz, jak przestawiać turlaje.

Tai poczuła, jak Zaranth przetyka ślinę. Jeśli F'lessan nawet wydał jakiś dźwięk, stłumiła go smocza skóra, bo smoczyca wykonała polecenie.

Postaw mnie koło niego. No już!

I Tai — szybciej niż kiedykolwiek poruszała się bez pomocy — znalazła się obok F'lessana, który chwycił się luźnej skóry na szyi Golantha i odzyskał równowagę. Tai

podparła go ramieniem.

— Jak u licha się tu dostałem? — spytał niskim, pełnym napięcia głosem. — Skąd ty się tu wzięłaś? Wszyscy przecież spali!

— Zaranth! — mruknęła Tai tonem wyjaśnienia. F'lessan wtulił twarz w szyję smoka i ciężko dyszał.

— Mogły ci puścić szwy! Mogłeś upaść i zrobić sobie krzywdę! — strofowała go cicho, z ustami przy jego uchu.

— Dlaczego wcześniej nie poleciłaś Zaranth, by przeniósł mnie do Golly'ego? — Odwrócił głowę. Ciche, gwałtowne słowa były pełne gniewu, bólu i rozpaczliwej potrzeby fizycznego kontaktu ze smokiem.

Tai skrzywiła się.

— Z trzech powodów: po pierwsze, byłeś paskudnie ranny i trzeba cię było trochę podleczyć. Po drugie — pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiał gniew — bo pomyślałam o tym dopiero, gdy o mało co nie zmarnowałeś tego wszystkiego, co udało nam się osiągnąć zatrzymując cię w łóżku. Po trzecie, Zaranth jeszcze nie do końca potrafi się kontrolować.

— Turlaje, moja miła zielona, turlaje.

Odetchnął głęboko, wyprostował się i podparł łaską, a potem wyciągnął rękę. Trzymał w niej nóż — jedno z tych ostrych narzędzi, których Crivellan używał do zabiegów chirurgicznych.

— Co robisz?

Odepchnął ją. Potknęła się i syknęła, bo natychmiast odezwał się rwący ból w ledwie podleczonej nodze. Jak mu się udało pokonać taką odległość mimo o wiele poważniejszych ran?

— Chcę zobaczyć jego oko, Tai. Chcę je zobaczyć.

— Po co?

Nikt go przecież nie okłamywał na temat stanu smoka. Czyżby nie wierzył, że Tai mówi prawdę?

— On tego chce — odparł F'lessan ponuro, więc Tai natychmiast przestała protestować. — Zakryli je przepaską i zaszyli, ale pomimo mrocznika przeszkadza mu to. Chce, żeby było otwarte.

F'lessan szybko przeciął dolne tasiemki przytrzymujące przepaskę. Westchnął z bólu przy próbie usunięcia bandaża; był to dla niego zbyt wielki wysiłek.

— Daj mi ten nóż, zanim zmarnujesz mu oko do reszty — powiedziała znacznie ostrzej niż zamierzała, ale kierowała nią troska o jego zdrowie i o Golantha. Jako jeździec

wiedziała, że F'lessan musi dowiedzieć się najgorszego teraz, tej nocy, kiedy zebrał dość sił, by zaakceptować prawdę.

Oddał jej nóż bez słowa, oparł się o smoczy nos i ciężko oddychał.

Sięgnęła do góry, by przeciąć ostatnie tasiemki i zdjęła przepaskę. Wpatrzyła się wstrząśnięta w burą plamę widniejącą tam, gdzie powinno być smocze oko.

Zaszyl mi powieki, zachęcała ją Zaranth z cienia. Nic nie zobaczycie, póki nie przetniesz szwów.

Nie będzie bolało, powiedział Golanth. Zawsze lekko nacierają zewnętrzną powiekę, kiedy robią opatrunek na noc. Ale wewnętrzna strasznie swędzi.

Pusta, szarobiała, lekko wypukła plama była teraz oświetlona blaskiem Beliora.

— Oddaj mi nóż — zażądał F'lessan.

Przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę, wziął głęboki oddech, delikatnie odciągnął węzeł najbliższego szwu od powieki i przeciął nić.

— Dużo ich — mruknęła Tai.

Proszę. Drugi skalpel zabrzęczał na kamieniach u stóp Tai. Ojej, powiedziała Zaranth, trudniej się przenosi małe rzeczy niż duże.

Dzięki, odparła Tai, zastanawiając się, czy dobrze robi, zachęcając smoczyce do spontanicznego przenoszenia przedmiotów. Ale etyka może poczekać, zdecydowała. Zaranth przynajmniej wie, co jest potrzebne i skąd to wziąć.

Tai poszła za przykładem F'lessana, a ponieważ mogła szybciej pracować i sięgać wyżej, wkrótce usunęli szwy z otwierającej się pionowo pierwszej powieki.

Poczuła, że Golanth zadygotał. Łagodnym ruchem pogładziła go po szyi.

F'lessan nie powinien się tak wyciągać. Pomóż mi otworzyć powiekę. Ja nie mogę. Była długo zamknięta i wyschła.

Otworzyli ją więc, delikatnie przesuwając ją ponad szwami drugiej, poziomej powieki i łagodnie odsuwając z oka. Potem zdjęli szwy z drugiej powieki. Odciąganie jej trwało długo i wprowadziło ich w ponury nastrój. Odślonili pierwsze fasety; ich wewnętrzne kręgi nosiły czarne ślady po ostrych pazurach, które zniszczyły je nieodwracalnie. Ale gdy Tai uniosła górną powiekę, a F'lessan dolną, okazało się, że nie całe oko poczerniało. Zewnętrzny krąg, aż do trzeciej fasety lśnił zamgloną zielenią; cztery ośmioboki na górze były nawet jaśniejsze. Sześć kolejnych faset przy samym nosie też zaczęło błyszczeć. Golanth stracił co najmniej trzy czwarte wzroku. Widział wąskie pasmo przed sobą, mógł wychwytywać ruch z lewej i prawdopodobnie dostrzegać przedmioty nad sobą.

Teraz powoli przekręcił głowę w stronę swojego jeźdźca i Tai, skupiając na nich spojrzenie.

Widzę cię, F'lessanie. Widzę cię, Tai. Ja widzę!

Smoki nie płaczą, ale za to F'lessan się rozplakał. Wtulił się w szyję smoka i zacisnął dłoń na ręce Tai tak mocno, że łzy, które spłynęły z jej oczu, spowodowane były nie tylko radością, także bólem.

Ani Wyzall, ani Oldive, ani żaden z hodowców i uzdrowicieli, z którymi rozmawiali, nie wierzył, że Golanth będzie mógł się posługiwać lewym okiem. Nie wiedzieli nawet, czy zdrowe oko mu wystarczy. Choć smokom często wpadały w oko resztki zwęglonych Nici, a czasem nawet same Nici, potrafiły mrugać tak szybko, że zazwyczaj zniszczeniu ulegało tylko kilka faset.

Nie dostrzegam zbyt wiele. Ale widzę obojgiem oczu.

Tai o mało nie udławiła się łkaniem. F'lessan już nie szlochał głośno, ale z trudem łapał oddech, osuwając się na smoka. Ustawił przy tym okaleczoną nogę pod niebezpiecznym kątem.

— Musiałem zobaczyć, musiałem wiedzieć — mamrotał.

Tai próbowała go podeprzeć, ale wciąż się osuwał, wyczerpany wysiłkiem. Po twarzy płynęły mu łzy w cichej rozpacz, o wiele gorszej niż płacz spowodowany uczuciem ulgi.

Zaranth, zanieś nas do pokoju.

Gdzie?

Do łóżka!

Przeniesienie telekinetyczne w wykonaniu Zaranth wcale nie przypominało wejścia *pomiędzy*, a raczej przejście *pomiędzy pomiędzy*, pomyślała Tai.

Nie tak szybko! Głos Golantha dotarł do niej jak cichy, odległy dźwięk gdzieś na dnie ucha, a nie jak normalne słowa. I nagle zapierający dech w piersiach przelot korytarzem, nieco wolniejszy przed samym końcem, aż spokojnie wylądowali w łóżku. W tym większym, w którym zwykle sypiali razem — co było całkiem logiczne ze strony Zaranth, która z myśli Tai odczytała, że woli znaleźć się tam niż w wąskim łóżku, gdzie przedtem leżał F'lessan. Tai udało się złagodzić jego opadanie na materac.

Gdy pospiesznie sprawdzała, czy gdzieś spod bandaży nie przesącza się krew, F'lessan leżał bez ruchu. Wyciągnął bezwładne ręce po obu stronach głowy i oddychał urywanie; nawet w ciemnościach widać było, jaki jest blady. Lewa noga wystawała sztywno poza łóżko.

— Trochę było szybko, prawda, Tai? — powiedział, otwierając oczy. — Chce mi się pić — poprosił. I zaraz dodał zdecydowanym tonem: — Nie chcę już fellisu. Daj mi wody,

dużo wody. Zimnej.

Lekko kulejąc z powodu nadwężonej nogi, Tai przystanęła pod drzwiami, by posłuchać, czy na korytarzu nic się nie dzieje, a potem błyskawicznie przemknęła się do pokoju F'lessana. Zabrała ze stołu dzbanek i szklanę i wróciła. Może powinna znaleźć jakieś wino albo coś słodkiego, by złagodzić szok? Teraz, gdy zdążyła już się przyzwyczaić do widoku odsłoniętego oka, przyznała, że mogło być gorzej: Golly nie całkiem stracił wzrok. Dla F'lessana musiało to być okropne; do tej pory, mógł tylko leżeć w tym łóżku, oszołomiony mrocznikiem, i nic tylko myślał, myślał i myślał. Sama świadomość, że stan oka jest taki, a nie inny, niosła ze sobą ulgę.

Wróciła, niezauważona przez nikogo; cały weyr spał głębokim snem. Nalała wody F'lessanowi, który podciągnął się na łokciu i wypił do dna. Ułożyła poduszki i pomogła mu się oprzeć, a potem sama pociągnęła głęboki łyk prosto z dzbanka.

— Proszę o jeszcze — podał jej opróżnioną szklanę. Napelniła ją; tym razem popijał po trochu. Tai znowu napiła się z dzbanka. Woda prawie się skończyła. A może iść do kuchni po sok owocowy? Sagassy na pewno zostawiła dzbanek napoju, by się ochłodził. Tai była spragniona, nie tylko po kąpieli w morzu. Kiedy się ruszyła, złapał ją za rękę.

— Nie odchodź, Tai. Nie zostawiaj mnie, moja ukochana zielona.

— Powinnam z powrotem założyć opaskę Golanthowi. Złapał ją za rękę z nieoczekiwaną siłą.

— Nie, nie... jeśli będzie potrzebował osłonić oko, to znaczy resztkę oka, wystarczą mu powieki. Nienawidził tej opaski. Obiecałem mu, że się jej pozbędę.

— Szkoda, że nam nie powiedziałeś! Wyczerpany, zamknął oczy i uśmiechnął się słabo.

— Zrobiłabyś to, Tai? Stoczyłabyś walkę z Wyzallem, Ballorą i resztą?

— Tak!

Uśmiechnął się szerzej, ale z powątpiewaniem, odwrócił do niej głowę i poklepał ją po ręce.

— Tak, walczyłabym — powtórzyła twardo. Nagle zmarszczył brwi.

— A co ty robiłaś poza Honsiu w środku nocy, moja miła jeźdźczyni?

Uśmiechnęła się.

— Poszłyśmy popływać.

— Popływać? W środku nocy? — zawołał, zdziwiony.

— Belior już wszedł. Dobrze mi to zrobiło.

— Byłaś sama? — powiedział z lekką pretensją.

— Ależ skąd, z całym stadem delfinów — odparła i dodała, zanim zdążył odpowiedzieć.

— Wszystkie te korzyści mogłam utracić przez twoją nocną wycieczkę.

Westchnął i ze znużeniem potrząsnął głową.

— Myślę, moja droga zielona, moja kochana Tai, że po dzisiejszej nocy wszyscy pocujemy się lepiej.

Zmęczony, zamknął oczy, ale na jego twarzy pozostał lekki uśmiech.

Jemu jest lepiej, Golanthowi też, mnie też i tobie też, potwierdziła Zaranth.

F'lessan po raz ostatni poklepał ją po dłoni i rozluźnił palce. Sprawdziła jeszcze raz, czy na bandażach nie pokazała się krew. Typowe dla F'lessana — nic mu się nie stało mimo takiego desperackiego kroku. Kiedy przykrywała go cienką kołdrą, oddychał spokojnie, a twarz, poprzednio naznaczona bólem, odprężyła się nieco. Był coraz bardziej podobny do dawnego siebie. Gdyby nie ta blizna i wygolone włosy...

Śpi, powiedziały oba smoki. My śpimy.

Westchnęła zadowolona, nie dbając o bolącą nogę i posiniaczoną rękę, położyła głowę na poduszce obok F'lessana i przytuliła policzek do jego nagiego ramienia.

Obudziły ją podniecone szepty i odgłos pospiesznych kroków. Była jeszcze zawieszona między snem a jawą — słyszała hałasy ale nie miała siły, by zareagować na zamieszanie.

Na szczęście Sagassy wsadziła głowę w drzwi i popatrzyła na nich. Tai, pełna przekory, która zdziwiła nie tylko opiekunkę, ale i ją samą, przyłożyła palec do ust, prosząc, by jeszcze nie wołała poszukujących ich pielęgniarzy. Sagassy dała więc im parę minut spokoju. Wkrótce z korytarza rozległ się jej głos:

— Smoki śpią spokojnie, co nie? To i jeźdźcom nie dzieje się krzywda, bo byśmy słyszeli trąbienie. Spokojnie, ludziska.

Nagle ktoś głośno zawołał z tarasu. Sagassy pobiegła w tamtą stronę.

Obok niej poruszył się F'lessan i lekko się przeciągnął.

— Zauważyli, że Golanth nie ma opaski, idę o zakład.

Po chwili w korytarzu zabrzmiały pełne zdumienia komentarze. F'lessan powoli wysunął ramię spod głowy Tai i przytulił ją do siebie, tak że zetknęli się głowami.

— To już długo nie potrwa — mruknął leniwie i pocałował ją w skroń. Poczwała, że coś w niej pęka, jakby przedtem wszystko w środku tworzyło jeden splątany kłęb, który wygładził się dzięki temu pocałunkowi. — Od tej pory zażądam, byśmy razem zajmowali ten pokój.

Łóżko jest duże, więc nie będziesz na mnie wpadać. I tak zresztą sypiasz spokojnie. Przez całą noc ani razu się nie ruszyłaś.

— Muszą tu gdzieś być — usłyszeli wołanie Keity.

— To znaczy... jeśli ty tego chcesz, Tai — dodał F'lessan Przez ułamek sekundy chciała go objąć, poddając się fali ulgi, ale nie wiedziała, czy to bezpieczne, więc tylko milcząco przytuliła twarz do jego ramienia.

— Wybrałam ciebie. Wybrałam ciebie na każdą sytuację i na zawsze. Wybrałam ciebie.

Oczywiście zaraz odkryto ichkryjówkę i musieli przyjąć stosowną ilość oficjalnych, sarkastycznych uwag wyrażających niezadowolenie i niesmak. Tai podniesiono z łóżka, by Keita mogła się upewnić, że F'lessan nie zrobił sobie krzywdy.

Najważniejsza zagadka — mianowicie w jaki sposób dostali się do tego pokoju — była łatwa do wytłumaczenia.

— Zaranth nas przeniosła — powiedziała Tai. — Sami wiecie, że potrafi.

— Zaranth zniosła też F'lessana do Golantha? — dopytywała się Keita, wciąż zirytowana zdjęciem opaski.

Tai lekceważąco wzruszyła ramionami i pozwoliła im wierzyć, w co im się żywnie podobało. Potem uzdrowicielka kazała przenieść F'lessana z powrotem do infirmerii, gdzie były leki i bandaże, by sprawdzić, czy rzeczywiście nic mu się nie stało. F'lessan krzywo się uśmiechał, gdy zmieniała bandaże, badając, czy nie popękały szwy, ale bynajmniej nie spokorniał.

— Mam po uszy mrocznika — powiedział.

— Już dawno powinniście wiedzieć — odparła Keita z przyganą, robiąc srogą minę — że znieczulające działanie mrocznika jest mylące. Bardzo łatwo jest uszkodzić tkankę lub ścięgno, bo pacjent nie czuje, że zmusza je do większego wysiłku niż jest to możliwe. Jeśli rzeczywiście zielony smok pomógł ci w tej nierozważnej wyprawie na taras, której ci wszyscy zabraniali, F'lessanie, to może jednak nie do końca straciłeś zdrowy rozsądek.

— Oku Golly'ego nic się potem nie stało? — spytał F'lessan dość arogancko, ale z niepokojem. — Persellan je obejrzał?

— Macie wielkie szczęście, że powieki się już dobrze wygoiły — powiedziała Keita z największą dezaprobatą, na jaką było ją stać. — Po ataku drapieznika były całe w strzępach. Na szczęście tego rodzaju tkanka potrafi się regenerować, w odróżnieniu od delikatniejszych fasetek oka.

— Tak — odparł sucho F'lessan. — To jest dowiedzione. Golly wie, że będzie miał

ograniczone pole widzenia, ale przynajmniej coś widzi.

Keita musiała to przyznać.

— Mówi, że powieki bardzo wyschły.

— Takie uszkodzenia powodują między innymi zahamowanie wytwarzania płynu nawilżającego powieki. Myślę, że pomoże tu zastosowanie delikatnego żelu w razie potrzeby. Pokryliśmy nim oko przed zaszcyciem powieki, żeby słońce nie zaszkodziło fasetkom.

— Może więc ja przejmę ten obowiązek — powiedział F'lessan, podciągając się do pozycji siedzącej. Keita uniosła rękę ostrzegawczym gestem.

— Bardzo chciałabym wiedzieć, w jaki sposób zielona Zaranth posługuje się telekinezą — powiedziała.

Nie umiem tego robić powoli, Tai. Dziewczyna niemal słyszała, jak smoczyca niespokojnie przełyka śliną.

Ja przesunę powoli, odparł Golanth. *Ty podnieś.*

Tu jest krzesło, dodała Zaranth.

— Mistrzynie Keito, masz gdzieś ten żel? — spytała Tai, by odwrócić uwagę kobiety.

Keita skierowała się do skrzyni, gdzie trzymano leki.

Nie ruszaj się, usłyszała Tai głos zielonej i kącikiem oka spostrzegła, że F'lessan zniknął.

Nie tak szybko! powiedział Golanth. Serce zabiło jej ze strachu i zdążyła wyrzeć na korytarz akurat w porę, żeby zobaczyć Flessana na krześle z wielce zaskoczoną miną. Turlaje nigdy nie sprawiały wrażenia, że coś zauważają.

W nic nie uderzył, stwierdziła Zaranth z wielkim zadowoleniem.

Kwestia praktyki. Ty popychasz.

Nieprawda. Ja poruszam.

Ja zwalniam.

Możemy się zamienić. W głosie smoczycy zabrzmiała chytrłość.

Może poćwiczcie sobie na czymś innym, odezwał się surowo F'lessan do Zaranth i Golantha, ale w jego głosie słychać było rozbawienie.

Keita, z ręką wyciągniętą po słoiczek, zachwiała się i rzuciła Tai oskarżające spojrzenie. Westchnęła głęboko, doprowadzona do rozpacz.

— Mam wrażenie, że to jest podobne do przechodzenia *pomiędzy* — powiedziała.

— Raczej nie. To tak jakby wszystko działo się na raz, a nie stopniowo. Czy to ten żel? Zaniose mu.

Wybiegła z pokoju najszybciej, jak mogła.

— Tylko niech mu się przy tym nic nie stanie — zawołała za nią uzdrowicielka.

Kiedy weszła na taras, F'lessan siedział w fotelu i nachylony oglądał tylną nogę Golantha. Jeden z uzdrowicieli gapił się na niego. Zaranth na górnym tarasie mrugała nerwowo i wyglądała blado jak na sobie, pomyślała Tai.

Czy w wymaga wysiłku?

Nie, Golanth pomaga. Wczoraj w nocy bałam się, że zrobię mu krzywdę.

Ja go spowolniłem, powiedział Golanth. To też ważne. Nie jest kotem.

Nie jest też turlajem. Cięższy, odparła Zaranth.

Chyba przeżył, powiedziała Tai, szybko ruszając w ich stronę.

To może być kwestia kontroli. Trzeba sprawdzić, jak idzie innym smokom, dodał Golanth.

Tai podeszła do F'lessana.

— Jak się jechało?

— To nie przypomina wejścia *pomiędzy* — powiedział stanowczo, patrząc jej w oczy.
— Ale jestem tutaj, a noga Golantha nie wygląda aż tak źle, jak myślałem. Wczoraj w nocy właściwie jej nie widziałem.

— Miałeś za dużo czasu na myślenie. Mówiłam ci, że dochodzi do siebie.

— Musiałem zobaczyć.

— Wiem — odparła serdecznie, ale przytrzymała go, gdy chciał wstać.

— Chcę zobaczyć Golly'ego w całości — zaprotestował.

— Golly może się obrócić. Siedź na miejscu. Dobrze mu zrobi, jak się trochę ruszy.

— Ale jest wysmarowany mrocznikiem — odparł gorąco F'lessan.

— Słyszałaś wykład Keity.

— Nic mu nie będzie, jak się obróci w miejscu. Już to nieraz robił — powiedziała twardo Tai, trochę jak Keita.

Mogę to zrobić. Golanth zakończył sprzeczkę wstając na cztery łapy. Choć obrotowi brakowało wdzięku, siedzący jeździec mógł wreszcie obejrzeć całe ciało smoka, na którym lśniły podłużne i okrągłe plamy niedawno nałożonego mrocznika. Oprócz najgłębszych ran, ślady po pazurach zmieniły się już w ciemne blizny; blade płaty świeżej tkanki na membranie skrzydeł znaczyły ślady po rozdarciach. Na prośbę F'lessana Golanth posłusznie zwalniał tempo, by jeździec mógł przyjrzeć się z bliska tej czy innej głębokiej bliznie albo śladowi po pazurach. W momencie gdy głowa Golantha znalazła się na jednej wysokości z Zaranth, leżącej na górze, spizowy smok uniósł pysk i polizał ją serdecznie.

Tai próbowała odgarnąć, jak F'lessan widzi stan swojego smoka, ale jego twarz,

zwykle tak ruchliwa, nie miała teraz żadnego wyrazu. Rozpacz widać było tylko w zaciskanu i rozluźnianiu pięści, jakby jeździec chciał wymazać rany własnoręcznie. W końcu bezradnie oparł dłonie na oparciach fotela. Golanth zatrzymał się przed nim.

— F'lessanowi przydałaby się kąpiel — mruknęła Tai.

Zaranth wydała z siebie zabawny odgłos oznaczający zaskoczenie; jej wirujące oczy nabrały żółtej barwy; w proteście, uniosła do góry szyję.

Jestem tylko zwykłą zieloną. Muszę dużo ćwiczyć, by przenosić rzeczy jak Golanth.

Flessan wybuchnął śmiechem. *Po tym, jak żonglowałaś tymi kotami niby wherami?*

Byłam zła. Bałam się. Zaranth zrobiła tak przepraszającą minę, że F'lessan znowu się zaśmiał i pokręcił głową. *Tobą nie żonglowałam wczorajszej nocy.*

Pomogłem, wtrącił Golanth z godnością, rzucając jej serdeczne spojrzenie. *Kiedy będę potrzebował się ruszyć, sam pójdę. Mogę zeskoczyć z tarasu, jak ty wczoraj.*

Jeszcze nie teraz, Golly, ostrzegła chórem para jeźdźców.

Zaranth cofnęła szyję. *Nie mogłeś mnie widzieć. Ty nie możesz zeskoczyć z urwiska. Masz za szeroki rozstaw skrzydeł.*

Powiedziałem: kiedy będę potrzebował, powtórzył smok z jeszcze większą godnością. Wczoraj w nocy cię słyszałem. Słuch mam całkiem dobry. Pływanie pomoże mojemu jeźdźcowi. Musisz go dzisiaj zabrać. F'lessanie, powiedz uzdrowicielowi, że masz popływać.

Nie zostawię cię tu, odparł dzielnie F'lessan.

Czuję się dużo lepiej, dobrze o tym wiesz. Ty też się lepiej czujesz, odpowiedział Golanth, lekko dotykając nosem kolan F'lessana. Zdrowe oko wirowało spokojnie. Potem przechylił głowę, by popatrzeć lewym okiem.

— Keita dała mi ten żel do nawilżania powiek — powiedziała Tai, podając F'lessanowi słoik. Zaparło jej dech na widok zniszczonego oka w pełnym świetle dnia; wiedziała, że jeździec znosi to znacznie gorzej.

— Dobry pomysł — powiedział spokojnie F'lessan i odkręcił pokrywkę. Delikatnie rozsmarował żel czubkami palców. — Teraz zamknij tę powiekę, a ja zajmę się drugą.

— Pływanie bardzo dobrze ci robi — powtórzyła Tai, gdy skończył masaż. — Rany ci się zagoiły, więc lot pomiędzy im nie zaszkodzi. Jestem pewna, że możesz polecieć na Zaranth. Samo wyjście z weyru też ci pomoże.

F'lessan rozsiadł się w fotelu i przyglądał się jej spokojnie. Podeszła do nich Keita.

— O co chodzi z tym morzem? — spytała.

— Wspaniała terapia, dobrze o tym wiesz, Keito. Delfiny nam pomogą.

Dyskusja na temat pływania potrwała jeszcze dobrą chwilę. Keita w gruncie rzeczy nie

miała nic przeciwko temu, ale chciała, żeby poleciał z nimi uzdrowiciel, może nawet ona sama, z T'lionem i Gadarethem do pomocy, natomiast F'lessan upierał się, że w zupełności wystarczą Tai i Zaranth. W końcu Keita z pewnymi oporami przyznała, że wystarczy pomoc delfinów, jeśli Tai jest pewna, że przyplyną. Potwierdzili to oboje.

— Nie musi nawet wychodzić z wody na brzeg — tłumaczyła Tai niepokornie. — Może odpłynąć z grzbietu Zaranth i tak samo do niej wrócić, bez pomocy i nie brudząc się piaskiem. Dziś i tak dużo nie zrobimy, ale woda daje... daje tyle życia.

— Daj im trochę czasu dla siebie, pani Keito — powiedziała stanowczo Sagassy i puściła oko do Tai. — Dobrze im zrobi zmiana, wrócą na południe i będą wołać jeść. Golanth będzie ich stale trzymać myślami. Prawda, spiżowy smoku?

Mało kto poza jeźdźcami odważył się zwracać bezpośrednio do smoka, ale Sagassy bardzo się spoufalila ze spiżowym pacjentem. Kiwnął głową, a pozostałe fasetki lewego oka zaczęły wirować z entuzjazmem.

Ta pierwsza wyprawa, choć krótka, spowodowała zdecydowany zwrot w rekonwalescencji F'lessana. Tej nocy dzielili ze sobą łożo.

LĄDOWISKO, 3.21.31

Podczas ostatniego halsu po Zatoce Monako Shankolin znowu zobaczył przed sobą Lądowisko położone na wzgórzu, z trzema wulkanami w tle. Lord Toric nie uprzedził go, jak bardzo rozrosła się cała osada. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego zlecił mu przybyć wcześniej i ocenić, co należy zrobić, by spowodować całkowite zniszczenie Ohydy i wszystkich pomocniczych urządzeń. Potem Lądowisko zniknęło przy następnym halsie i w polu widzenia pojawiło się nabrzeże, gdzie planowano rzucić kotwicę.

Nawet podczas tej krótkiej rozmowy w Telgarze Shankolin niechętnie zgodził się na powrót na Lądowisko, ale Toric zapewnił go, że bez kłopotu zapewni mu możliwość wejścia do samego Budynku administracji, żeby mógł ocenić, w jaki sposób najskuteczniej osiągną wspólny cel. Dał mu jeszcze sporą sumę marek i zaproponował, że najlepiej będzie wyjechać z jednej z małych morskich osad na Stopie Neratu. Toric znał tam pewnego kapitana rybackiego kutra, który był mu winien przysługę i chętnie zgodził się zawieźć Shanko—ina do Zatoki Monako. Powiedział też, że rękawice zamaskują brak palca, a kapelusz naciągnięty na twarz ukryje bliznę.

— Ktoś cię widział i Cech Harfiarzy rozdał ludziom twoją podobiznę. Najlepiej dobrze się zasłoń i zmień ten ubiór.

Shankolin ukrył uśmiech na widok niesmaku Władcy Warowni. Sam był pewien, że zapach jest równie dobrym kamuflażem jak przebranie. Większość przygodnych obserwatorów brała go za górala — a do górali mało kto podchodził, między innymi ze względu na ich odór.

Na kilka godzin przed dotarciem do portu w Loscarze umył się w strumieniu i wyprał w nim śmierdzące ubranie. W portach łatwo było kupić używaną odzież, nadającą się na morskie podróże. Znalazł kapitana poleconego przez Torica i dał mu pierwszą z pospiesznie nabazgranych notatek, które wręczył mu Władca Południowej Warowni. Przedstawił się jako Glasstol z Cromu i nikt nie podał tego w wątpliwość. Przez całą podróż albo spał, albo jadł. Jeden z bardziej towarzyskich marynarzy opowiedział mu, że tsunami bardzo poprawiło wejście do portu w Loscarze, ale za całą odpowiedź otrzymał niegrzeczne mruknięcie. Nikt więcej nie próbował nawiązać rozmowy z pasażerem, który wyraźnie chciał trzymać się z dala od innych.

Kiedy przybili do nabrzeża w Monako, Shankolina zaskoczyła skala prac przy odbudowie; nawet stocznia rozpoczęła już działalność. Słyszał, że ten teren zalało pięć

potężnych fal tsunami i wiele małych, wdzierając się w ląd na odległość dnia marszu. Widać było, że całe nabrzeże jest też nowe — zdradzała to woń świeżo impregnowanego drewna. Z powrotem postawiono podniszczony słup z dzwonem na wysięgniku. Kapitan wskazał nowe boje od tej strony, gdzie na dźwięk dzwonu pojawiały się ryby-towarzysze. Czasem same wzywały Mistrza Portu. Shankolin wychował się w głębi łądu i nie wierzył w takie bajdy.

Jak niegdyś, znalazł woźnicę transportującego towary z portu na Ładowisko, który za pół marki pozwolił mu przysiąść się na jeden z wozów. Jechało się powoli. Pomógł przy pociągowych zwierzętach, ciągnących spory ładunek, a woźnica, z natury niezbyt ciekawy, częściej się odzywał do swoich bydła niż do pasażera.

Przewoźnik zostawił go na skraju rozbudowanego Ładowiska. Shankolin był zadowolony, że Toric dał mu mapkę, by mógł się skontaktować z jego człowiekiem na Ładowisku — niejakim Esselinem, którego należało szukać w Archiwum. Esselin także był dłużny Toricowi przysługę i dlatego miał zaprowadzić Shankolina do budynku administracji i pomieszczeń Assigi.

Gdy Shankolin odnalazł Mistrza Esselina, ten właśnie wychodził z Archiwum, w którym było mnóstwo okien. Owszem, dzięki temu w jasno oświetlonym pomieszczeniu było widać zawartość każdej półki. Tyle szkła łatwo będzie rozbić i zniszczyć to, co przetrzymywano w tym budynku. Shankolin spróbował ocenić, ile trzeba będzie na to środków wybuchowych. Może lord Toric zna jakiegoś dostawcę.

Mistrz Esselin wcale się nie ucieszył, widząc czyim charakterem zaadresowano kopertę, którą dostał od Shankolina; jeszcze mniej spodobała mu się jej zawartość. Zbladł, a na tłustej twarzy pojawił się wyraz irytacji.

— Lord Toric mówił, że tylko wy, Mistrzu — Shankolin znał się na subtelnych pochlebstwach — możecie spełnić moje głębokie, szczerze pragnienie, by zobaczyć pomieszczenia Assigi.

W tym stwierdzeniu zabrzmiała szczerą prawdą, a do tego Shankolin nadał swoim słowom ton głębokiego szacunku i podziwu.

— Wystarczy jedno krótkie spojrzenie, by spełniło się marzenie mojego życia — ciągnął Shankolin.

— Dobrze, dobrze... to cały lord Toric — powiedział Esselin i podarł kartkę na tak drobne kawałki, jak tylko pozwalały mu na to grube palce.

O tej porze, kiedy wszyscy już się rozeszli do domów na wieczór, mało kto kręcił się po starannie utrzymanych ścieżkach. Esselin postarał się jednak, by absolutnie nikt nie widział, jak kopie niegłębką jamkę w najbliższej rabacie. Kawałki papieru spływały z jego

dłoni do dziury. Natychmiast zdeptał ją, rozglądając się dookoła. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie pod nogi, by upewnić się, czy nie widać nawet najmniejszego skrawka białego papieru.

— Idź za mną — powiedział, poprawiając kłapy płaszcza. — I pamiętaj, nie więcej jak jedno spojrzenie. Mam dużo pracy w domu. Jak zwykle — powiedział ze skargą w głosie i podreptał w stronę budynku administracji tak szybko, jak pozwalały na to jego tłuste nogi.

Shankolin podskoczył, gdy zapaliły się lampy oświetlające ścieżkę. Poczuł się przygnębiony w otoczeniu tylu ohydnych wynalazków. Im prędzej to wszystko zniszczy, tym lepiej. Ale Ładowisko było o wiele większe niż się spodziewał. Ciężko będzie spełnić ambitny cel zniszczenia całej Ohydy na Pernie, ale na pewno znajdzie się na to jakiś sposób. Trzeba będzie zebrać więcej ochotników. Ciekawe, jak wielkie zobowiązania w stosunku do Władcy Warowni ma ten grubasek.

Ze zdziwieniem zauważył, że Esselin nie prowadzi go naokoło zwalistego budynku ku frontowym drzwiom, lecz do tylnego wejścia. Zobaczył strażnika, który na widok niewysokiego mistrza zrobił wielce niezadowoloną minę, ale natychmiast wstał i wpuścił ich do środka.

— Wejdziemy tędy i wyjdziemy od frontu — wyjaśnił Esselin i kiwnięciem ręki polecił Shankolinowi pójść w swoje ślady.

Strażnik odsunął się, by przepuścić solidnie zbudowanego mistrza. Na jego twarzy nie malowało się żadne uczucie, jakby wolał raczej uniknąć wszelkich rozmów z Esselinem. Na Shankolina nawet nie spojrzał.

Wszystkie drzwi wzdłuż korytarza, którym teraz szli, były pozamykane. Pewnie będzie można im się przyjrzeć z zewnątrz, gdy już wyjdzie z budynku. Dotarli do szerszego korytarza, który Shankolin pamiętał — tędy szedł poprzednim razem. Pograżeni w rozmowach ludzie rzucali Esselinowi badawcze spojrzenia i natychmiast odwracali wzrok.

Trzeba będzie zajrzeć do tych pomieszczeń po lewej. Może wrzucić płonąca pochodnię przez okno? Nie, najlepsze będą materiały wybuchowe. Ogień nie powoduje aż tak dużych zniszczeń.

Wreszcie na końcu korytarza Shankolin zobaczył pokój Assigi, skąpany w przyćmionym świetle. Nie czuł ani trochę szacunku, tylko wielką, podniecającą przyjemność. Nie przypuszczał, że tak łatwo uda mu się wejść do środka.

Kiedy planowali napad Batima na główny Cech Uzdrowicieli, też myśleli, że będzie ciężko się tam dostać. Niestety, na miejscu okazało się, że znacznie trudniej było wyjść.

Czy powinien nalegać, by Esselin towarzyszył mu również następnym razem? Fałdy

ubrania tego grubasa mogłyby ukryć dużo więcej niż jego tłuste ciało. Ale najpierw trzeba wejść do samego pomieszczenia. I rozejrzeć się w tym pokoju po lewo. Na korytarz padało stamtąd jasne światło, a sądząc po odgłosach, pracowały tam jakieś maszyny i całkiem sporo ludzi.

Nagle właśnie z tego pokoju wyszedł potężnie zbudowany mężczyzna, zmarszczył brwi na widok Esselina i rzucił szybkie spojrzenie Shankolinowi.

— Obiecałem, że dam mu tylko popatrzeć, Tunge — powiedział Esselin i machnął lewą ręką, polecając mu odjeść na bok.

Tunge chciał zaprotestować, ale Esselin już stał w progu pomieszczenia. Odwrócił się i pokiwał palcem, żeby Shankolin się pospieszył.

—Naturalnie teraz nie ma wiele do oglądania, od czasu, gdy Assigi zakończył...

Shankolin nie zwracał na niego uwagi. Smakował ten moment, a serce biło mu z niecierpliwości, tak jak poprzednim razem. Zesztywniał na przerażające wspomnienie tego straszliwego hałasu, który go ogłuszył. Ale Assigi przecież się wyłączył. Nie mogąc się doczekać, aż zobaczy miejsce, które wkrótce stanie się ruiną, Shankolin odepchnął zdziwionego Esselina na bok i zdecydowanym krokiem przestąpił próg.

Dalej nie dotarł. Z szybu po przeciwnej stronie wystrzeliły dwa wąskie promienie i trafiły go w pierś na wysokości serca. Umarł, zanim zdążył upaść na plecy.

Mistrz Esselin dostał ataku hysterii, starał się odsunąć jak najdalej od ciała. Tunge najpierw zawołał o pomoc, a potem przyjrzał się martwemu mężczyźnie i w zamyśleniu podrapał się po głowie. Zsunął nieboszczykowi kapelusz i zobaczył bliznę na twarzy, pochylił się i podniósł lewą rękę. Brakowało czubka wskazującego palca. Tunge popędził do głównej sali, pogrzebał w górnej szufladzie swojego biurka i wy dobył stamtąd harfiarski szkic, który kiedyś dostał. W korytarzu był już Mistrz Stinar, który przyszedł sprawdzić kto tak wrzeszczy i dlaczego.

Stinar wezwał uzdrowiciela, by zajął się Mistrzem Archiwistą. Gdy Tunge pokazał mu portret, Stinar natychmiast skontaktował się z D'ramem i Lytolem z Warowni nad Zatoczką i zwolnił do domu wszystkich pracowników w budynku poza niezbędną obsługą. Zatrzymał też strażnika pilnującego tylnych drzwi, który nic nie rozumiał i tylko powtarzał, że nigdy nie wpadło mu do głowy, żeby wypytywać Mistrza Esselina. Przecież on ciągle wchodził i wychodził z tego budynku, no nie?

Kiedy przybyli D'ram i Lytol, Stinar pokazał im ciało i poprosił, żeby Tunge opowiedział wszystko po kolei.

— Jak już mówiłem Mistrzowi Stinarowi, zobaczyłem jak z tych dwóch miejsc

wysoko na przeciwległej ścianie wychodzą dwa promienie światła — wskazał na punkty na ścianie, bojąc się przestąpić przez próg, choć zwykle robił to wiele razy każdego dnia, bo sprzątał i porządkował to pomieszczenie. — Z tego co słyszałem, nic tu nie działało od czasu, kiedy umarli Assigi z Mistrzem Robintonem.

Lytol i D'ram długo wpatrywali się w zwłoki, a potem spojrzeli po sobie.

— Raz już tu dotarł, pamiętasz? — powiedział Lytol swoim spokojnym głosem, w którym dźwięczał smutek. — Kiedy razem z tamtymi dwoma zaatakował Assigi. Wtedy Assigi powstrzymał napastników falą dźwiękową. Mówił, że ma wbudowane moduły obronne.

Zaskoczony Stinar przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

— Ale to musiało być ze dwanaście Obrotów temu.

— Trzyście i jeden siedmiodzień w tę albo w tamtą — odpowiedział Lytol. — Assigi rozpoznawał każdą osobę, która choć raz pojawiła się w tym pomieszczeniu.

— Chcesz powiedzieć, że system samoobrony Assigi jest w dalszym ciągu sprawny? — spytał Stinar z podziwem.

Lytol popatrzył na niego ze spokojem.

— Zaryzykowałbym stwierdzenie, że niektóre wewnętrzne obwody wcale się nie rozłączyły. Tak wyrafinowany system jak Assigi bez trudu rozpoznał tego człowieka jako napastnika. Jak wiesz, Mistrzu Stinarze, komputery mają dobre moduły pamięci.

Cech Harfiarzy poinformowano, wysyłając wiadomość przez jaszczurkę ognistą, a Cabas, jedyny człowiek, który kiedykolwiek rozpoznał przywódcę fanatyków, poleciał na Lądowisko, by go zidentyfikować.

— Nie wiesz, kto to był, Mistrzu Mekelroy? — spytał Lytol. Cabas powoli potrząsnął głową. Pseudonim „Piąty” przydawał się tylko dla wygody. W Kopalni 23 w Gromie nazwano go „Szklarzem”, ale to również nie było jego prawdziwe imię. Cabas miał nadzieję, że upłynie wiele czasu, zanim lord Toric się zorientuje, że Piąty też już nie będzie mu służył. Teraz, jeśli uda mu się znaleźć Czwartą i ją także wyeliminować, będzie można zapomnieć o fanatykach.

Esselin nie przeżył wstrząsu i zmarł po kilku dniach na udar mózgu. W każdym razie tak twierdził uzdrowiciel z Lądowiska. O incydencie szybko zapomniano i Tunge znów podjął swoje obowiązki sprzątacza w pomieszczeniu Assigi.

Gdy F'lessan zaczął codziennie pływać w morzu, nabrał chęci do życia, wróciła mu zdolność koncentracji i poprosił o podręczniki astronomii, żeby móc razem z Tai zająć się

studiami. Posłał nawet kogoś do obserwatorium po wydruki, które zabrał na spotkanie smoczycich jeźdźców. Oboje mieli wrażenie, że zdarzyło się to przed wiekami. Może i tak było, przemknęła mu myśl... ale Tai dostrzegła jakieś pasmo i chcieli to sprawdzić. Potem ich uwagę przykuła nową plama. Chociaż wydruk oznaczono jako zdjęcie czasowe i poświęcili cały ranek na wyliczenie orbity, okazało się, że to kolejna asteroida między pomniejszych planetami; nic specjalnego. W ten sposób spędzili poranek i przeciwiczyli sobie konfigurowanie orbit. Tai zaproponowała, że mogą pomóc Erragonowi, jeśli poproszą o najnowsze wydruki z Warowni nad Zatoczką. Stary Mistrz może nie mieć już czasu na analizowanie wydruków, bo przecież nadzoruje budowę trzech nowych obserwatoriów — to na Zachodnim Kontynencie nie zostało jeszcze nazwane — a poza tym prowadzi wykłady, których organizacji podjęła się jego Warownia.

Golanth zaczął chodzić, najpierw kulejąc, a potem z większą pewnością siebie, aż w końcu energicznie spacerował po całym tarasie. Próbował rozkładać poranione skrzydło, ale poruszało się niezgrabnie, pomimo wszystkich masaży i cuchnących smarowideł. Partner Sagassy, który przywiózł świeże jedzenie, przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— Mnie się zdaje, że coś można z tym zrobić. Tam dalej nie jest daleko do ziemi.

— Golanth nie zejdzie po schodach — odpowiedział F'lessan. — Jest za długi.

— Ale rampa by się nadała. Zakręcona i bardzo szeroka — powiedział Jubb, z namysłem trąc podbródek. — Mam drewno. Będzie mocna. Ile waży ten smok?

F'lessan i Tai wymienili spojrzenia, a F'lessan wybuchnął śmiechem.

— Co w tym śmiesznego?

— Waży tyle, ile mu się wydaje — wykrztusił F'lessan. Na te słowa Tai również się roześmiała.

Jubb przeniósł wzrok z jego twarzy na Sagassy, Keitę i na innych, a potem wzruszył ramionami.

— Nikt nigdy nie zważył smoka? My ciągle ważymy nasze bydło — mężczyzna wznosił ręce do nieba. — No cóż, myślałem, że to pomoże.

— Ależ pomoże, oczywiście, że tak — F'lessan poklepał go przepraszająco po ramieniu, starając się pohamować rozbawienie. — Nie śmieją się z twojego pomysłu, Jubb. Jesteś genialny. Golanth ma już dość tego, że musi tkwić na tarasie — z twarzy jeźdźca zniknęła cała radość. — Po prostu nie jest w stanie wystartować.

— Jak to dobrze, że wpadłeś na ten pomysł, Jubb — pospieszyła mu z pomocą Tai. — Ile czasu potrwa budowa?

Jubb posłał im długie, pełne namysłu spojrzenie.

— Zależy, ile ludzi znajdziecie do roboty — odpowiedział i uśmiechnął się.

Zajął im to trzy dni. Smoki znosiły drewno i przywoziły jeźdźców i ochotników, którzy jakimś cudem usłyszeli, że potrzebni są cieśle, przyleciały też trzy smoki z Telgaru obładowane pojemnikami z gwoździami, śrubami, nowymi młotkami, piłami i wszelkim innym potrzebnym sprzętem, jaki można było znaleźć w Cechu Kowali. Jubb, jego koledzy Sparling i Riller, dwaj Kowale i trzech najlepsi cieśle lorda Asgenara zaprojektowali rampę z zakrętem, wiodąc długie dyskusje na temat stopnia jej nachylenia, wielkości i umocnień, szerokości i grubości nawierzchni. Przez ten czas robotnicy ciął i piłowali, polowali albo przywozili jedzenie dla ochotników. F'lessan upierał się tylko przy jednym: nie zgadzał się zepsuć eleganckiej fasady Warowni Honsiu, nawet ze względu na jego ukochanego smoka.

Co ważniejsze, F'lessan natychmiast zaangażował się w pracę, odrywając się od niej tylko po to, by popływać. Dzięki temu szybko odzyskiwał sprawność nogi i ramienia, a także smagły kolor skóry. Uparł się też, że sam będzie robił jak najwięcej zabiegów przy Golancie i nie pozwalał nikomu, nawet Tai, zastępować się przy nawilżaniu powiek. Przy tym wcale nie dbał o własne kontuzje; zaczął tylko chodzić wolniej, by maskować utykanie. Podpierał się laską. Bardziej przypominał dawnego siebie, choć rzadziej się śmiał i uśmiechał. Jeśli od czasu do czasu Tai zauważała smutek w jego oczach, to wiedziała, że myśli o smoku, a nie o sobie. Kilka razy przyłapała go, jak przyglądał się urwisku, mierząc je wzrokiem. Pewnie zastanawiał się, czy Golanth mógłby rzeczywiście z niego zeskoczyć i czy wystarczyłoby mu siły zdrowego skrzydła, by wznieść się w powietrze.

Gdy rozeszły się wieści o budowie, przybyli z wizytą Lessa i F'lar. Gdy F'lar poszedł oglądać plany z Jubbem, kowalami i cieślami, Lessa opowiedziała im o Zachodnim — zachowali tę prostą nazwę w braku lepszej — i o tym, jak Mistrz Erragon odnalazł teleskopy w Jaskiniach Katarzyny.

— Zanim całkiem w nich ugrzęźnie — powiedział twardo F'lessan — potrzebujemy go tutaj, żeby zamontował na głównym poziomie konsolę sterującą teleskopem. Jedna sala od pomocy świetnie się do tego nada — przerwał na moment. — Musi też być jakiś sposób na uruchamianie mechanizmu kopuły. Te kręcone schody są po prostu śmieszne. Po co ten Kenjo wszystko tak ukrywał?

— Kto zgadnie, dlaczego Starożytni zachowywali się tak, a nie inaczej? — odparła Lessa, wzruszając ramionami. — Prosiłeś już Jancis i Piemura o pomoc? Czy nie przekonałeś ich kiedyś, by pomogli ci przy pierwszym remoncie? Erragon jest wam bardzo wdzięczny, że przejęliście analizę zaległych wydruków. Nie mam pojęcia, jak on nadaża ze wszystkim.

— Klnie się, że wystarczają mu cztery godziny snu — odparła Tai, sama w to nie wierząc.

— Jak na razie, żadne z was mu w tym nie dorówna — odparła sucho Lessa — przynajmniej na tym etapie rekonwalescencji. Rozumiem jednak, że obserwowanie nieba to coś więcej niż leżenie na plecach i patrzenie w gwiazdy. Twierdzi, że potrzebne mu jakieś współrzędne z Honsiu — przerwała i zapatrzyła się na dolinę. — Wiecie, tu jest bardzo pięknie, ale dziś nie mamy wiele czasu.

Wkrótce odlecieli razem z F'larem, obiecując, że wrócą, kiedy skończy się budowa.

Rzeczywiście wrócili. Rampa była na tyle szeroka, że Ramoth, największa smoczyca na Pernie mogła po niej spokojnie spacerować w górę i w dół, nie ocierając złożonymi skrzydłami o urwisko. Golanth bohatercko ruszył za nią na czterech łapach. F'lessan szedł obok niego.

Me bój się jej dociążyć, Golly, powiedział, uśmiechając się szeroko. Przechylił głowę, nadsluchując skrzypienia lekko uginających się desek. *Tylko mnie nie zepchnij.*

Widzowie zachęcali smoka i jeźdźca okrzykami. Oczy Ramoth wirowały, gdy obserwowała ich z górnego tarasu, stała tam z Zaranth i Mnementhem, którzy czekali z boku na urwisku, gotowi w razie czego interweniować. Golanth powoli nabrał pewności siebie i lekko uniósł ogon, co oznaczało kolejny postęp w rekonwalescencji. Na pierwszym podejście było tyle miejsca, że zakreślił bez trudu. Kiedy razem z F'lessanem zeszli na ziemię, Golanth wyciągnął szyję i zatraił z radości, a potem zaczął łazić w kółko po miękkim piasku. Wtedy właśnie spostrzegł wrota, które prowadziły do pomieszczeń dla bydła, z boku, nieco ponad poziomem ziemi.

Mógłbym sobie tu zrobić weyr, powiedział do swojego jeźdźca. Zmieszczą się, te drzwi są dość szerokie i wysokie.

F'lessan, który znał na pamięć wszystkie wymiary Honsiu, zauważył, że wejście jest szersze niż kiedyś. W hałasie młotków, hebli i pił nie słyszał, jak murarze poszerzali wejście. Wiedział, że pomieszczenia dla bydła są większe niż weyr Golantha w Bendenie, bo własnymi rękami sprzątał nawóz, który nagromadził się tam przez wieki. Dzięki rampie smok mógłby tam wejść i ukryć się przed zimowymi deszczami.

Deszczami, przypomniał sobie F'lessan i musiał oprzeć się o jeden ze słupków, czekając, aż minie nagły zawrót głowy.

— Co się stało, F'lessanie? — spytała Tai, która podeszła, by sprawdzić, co tak zainteresowało smoka. Natychmiast zmienił się wyraz jej twarzy, gdy pojęła, że F'lessan

przeżył szok.

Nici! Srebrny opad Nici był jak deszcz! Golanth już nigdy nie poleci walczyć przeciw Niciom. Co gorsza, podczas następnego opadu nad Honsiu trzeba go będzie zamknąć w tej oborze, żeby przypadkiem nie próbował polecieć; przecież najpotężniejszy smoczy instynkt każe mu się wznieść w powietrze na widok Nici. Może właśnie dlatego budowa rampy poszła tak szybko? F'lessan próbował przypomnieć sobie diagram opadów Nici w tej części Południa, ale nie mógł zebrać myśli. Uświadomił sobie, że właśnie przestał być dowódcą skrzydła i nie potrafił tego zaakceptować. Gdzieś w głębi ducha wiedział o tym od dawna. I odrzucał tę wiedzę tak samo, jak nie przyjmował do wiadomości, że Golanth jest ślepy na jedno oko i ma zbyt sztywne stawy, by poruszać lewym skrzydłem. Zajął się zaległymi wydrukami Erragona właśnie po to, by odegnać te myśli. A Tai go zachęcała. Zachęcała do pływania. Chciała, żeby robił coś innego! Chciał uwierzyć, że go celowo oszukiwała, ale nieuczciwość była cechą obcą jej osobowości.

Ani Lessa, ani F'lar nie powiedzieli słowa podczas poprzedniej wizyty. Powinien zauważyć, że unikają tematu, kierując rozmowę na obserwacje nieba i na zdalne sterowanie. Czy on sam o tym przypadku nie wspomniał? A może pomyśleli, że rezygnuje z dowodzenia skrzydłem na rzecz obserwacji nieba? Jak mógł być taki głupi? Rampa pozwalała Golanthowi na większą swobodę ruchów na ziemi. Ale w powietrzu? Golanth zachował być może umiejętność wchodzenia *pomiędzy*, ale żaden rozsądny smok nie wejdzie *pomiędzy* z ziemi, bo to zbyt niebezpieczne, i żaden rozsądny jeździec nie i poprosi o to swojego smoka. A nierozsądny jeździec?

Czuł, że Tai jest przy nim. Słyszał, że budowniczywie rampy wciąż wiwatują, zadowoleni ze swojego osiągnięcia, zachęcając j Golantha, by pokazał, z jaką łatwością może się wspiąć z powrotem do weyru. F'lessan wziął głęboki oddech i odwrócił się: wyczytał z oczu Tai, że wie, o czym on myśli. Wtedy przeżył następny wstrząs.

Smok musi unieść się w powietrze, by polecieć razem z partnerką. Nie potrafił ukryć, jakie przerażenie wzbudziła w nim tam myśl. Niełatwo było odrzucić przywództwo, ale dlaczego ma także utracić całą rozkosz?

Dopiero po chwili spostrzegł, że Tai nim potrząsa, a w jej zielonych oczach maluje się zaprzeczenie.

— Bzdura — szepnęła głosem tak pełnym wściekłości, że zabolowały go uszy. — Znajdziemy jakiś sposób. Na wszystko znajdzie się sposób. Chodź.

Złapał ją mocno i oparł się plecami o jeden z grubych filarów podpierających rampę od domu.

— Wiedziałaś o tym, prawda? I oni też? — miał na myśli Władców Weyru. Potrząsnął nią, gdy zawahała się z odpowiedzią.

— Myślałam — powoli dobierała słowa — że zdajesz sobie sprawę, iż ktoś przejmie dowodzenie twoim skrzydłem... na pewien czas.

— Nie chodzi tylko o skrzydło... — odepchnął ją od siebie. — Myślałem, że Honsiu będzie dla mnie schronieniem. Teraz uświadomiłem sobie, że będzie więzieniem dla Golly'ego! — wskazał na poszerzone drzwi do obory. — Trzeba go tam będzie zamykać za każdym razem, gdy na niebie pojawią się Nici. Smok, który nie może latać, dostaje fioła. Zawsze pomagamy rannym smokom oddalić się jak i najbardziej, aż do końca Opadu. Ale Golanth nawet tego nie zdoła zrobić!

— To jeszcze nie jest pewne! — obróciła się jak fryga i stanęła z nim twarzą w twarz. — Nawet nie próbowaliśmy zabrać go nad morze!

— Jak, na pierwsze Jajo, zabierzemy go na plażę, kiedy nie potrafi wznieść się w powietrze?

— Ano właśnie — spod rampy wyszła Lessa w towarzystwie F'lara — wiemy, jak unieść go w powietrze. A z powietrza będzie mógł wejść *pomiedzy*. Czy myślisz, że Ramoth i Mnementh, a także inne smoki, zapomniały, czego nauczyły się, wtedy w Honsiu?

F'lessan wpatrywał się w nią bez słowa. Zachowywała się niemal tak, jakby ją uraził. Ku jego zdumieniu ojciec wyglądał raczej na rozbawionego i chyba nie miał ochoty się sprzeciwiać. Przez udręczony umysł F'lessana przemknęły wszystkie te wstrząsające rewelacje, do których z braku odwagi nie przyznawał się sam przed sobą.

— Rampa to niezły pomysł, F'lessanie — powiedział F'lar — a z tego będzie świetny weyr — machnął ręką w stronę obory. — Ale nic poza tym. — Bursztynowe oczy wpatrywały się w F'lessana. — Zdecydowanie nie będzie to jego więzienie podczas Opadu. Zanim nad Honsiu nadejdzie Dziewiąty Opad, doprowadzimy do perfekcji unoszenie w powietrze tego twojego smoka.

— Ale jak?

— Trzeba to kontrolować, wiesz? — Lessa podeszła do syna i otoczyła go ramieniem. — O ile się nie mylę, twój smok ćwiczył to nie dalej niż wczoraj.

— Skąd ty o tym wiesz? — zdziwienie wyrwało F'lessana z ponurych myśli.

— Mało co potrafi się ukryć przed Ramoth, jeśli ona naprawdę chce wiedzieć — odparła Lessa i spojrzała mu w twarz z zachęcającym uśmiechem. — No cóż, wszyscy wokoło świętują. Zdaje mi się, że obejrzelśmy weyr Golantha wystarczająco dokładnie i uznaliśmy, że się nadaje. Lepiej uspokój swojego smoka.

Golanth trąbił z radości, a w jego wesołym głosie nie było ani śladu smutków, które dręczyły jeźdźca. Nic z nich nie przeniknęło do smoka, za co F'lessan był wdzięczny losowi. Golanth wesoło dreptał po rampie, zachwycony, że nareszcie może się ruszyć z tarasu. F'lessan skupił się na pozytywnych myślach, wspartych niedawnymi słowami F'lara. Praktyka? Tak, praktyka. Zaranth i Golanthowi całkiem nieźle poszły te dwa przeniesienia, których dokonały ostatnio. Mogą ćwiczyć. Poczuł, jak ziemia drży pod łapami Golantha.

— Chodź, F'lessanie, masz teraz coś innego do roboty — powiedziała cicho Lessa i pociągnęła go za rękę.

Wystarczyło kilka kroków i wyszli na słońce. Przez ten czas F'lessan stłumił czarne myśli, pełne gniewu i otepiałej rozpaczy i zmusił się, by korzystać z tego, co niesie nadzieja. Przyłączył się do braw, które powitały ponowne wejście Golantha na rampę. Smok tylko lekko utykał na tylną nogę. Udało mu się rozłożyć na całą szerokość prawe skrzydło. Lewe trochę zwisało w dół, ale i tak było bardziej wyprostowane niż poprzednio, gdy smok obawiał się, że uderzy w ścianę warowni.

Może pływanie i masaż delfinów rozluźnią ten staw na tyle...

— Nie wolno ci myśleć inaczej, jeźdźcze — powiedział cicho ojciec, przechodząc obok niego.

F'lessan odwrócił się i wyciągnął rękę.

— Tai? — spytał głosem pełnym nadziei.

Wyszła za nim z cienia rampy i podała mu dłoń. Podeszli do Golantha.

— Pamiętaj, F'lessanie, wybrałam cię. Teraz to potwierdzam — powiedziała i mocno ścisnęła jego palce, gdy zaczęli się wspinać na rampę.

WAROWNIA POŁUDNIOWA, 3.23.31

Toric nadzorował rozładunek kilku rasowych psowatych. Były to rosłe stworzenia o potężnej klatce piersiowej, grubych, mocnych kłach, silnych nogach i ciemnej albo podpalanej, krótkiej sierści. W tropiku nie utrzymałyby się zwierzęta o długim futrze, bo stwarzałyby ono zbyt dobre warunki życiowe dla pasożytów. Psy miały bystre, wyrachowane oczy, bez śladu lęku, mimo podróży w zatłoczonej przedniej ładowni.

— One nic a nic nie chorowały — powiedział treser, podkreślając zaimek. — Jestem Cabas, lordzie Toricu.

— Po co kagańce? — spytał Toric, strzelając grubymi paluchami na znak, że zapamiętał imię tresera.

— Jedna z suk jest bliska rui. Nie mogłem pozwolić, żeby się gryzły i walczyły.

— Nie są wyszkolone?

Treser, niewysoki mężczyzna o ostrych rysach, nieco zamazanych plamami brudu i smoły, rzucił Toricowi twarde spojrzenie brązowych oczu.

— Jeśli nie były wyszkolone, zanim weszły na pokład, to teraz są. Siad!

Wszystkie sześć psów usłuchało natychmiast, kierując pyski w stronę tresera. Choć nawet nie drgnęły, po oczach i gwałtownych ruchach nozdrzy widać było, że chcą wchłonąć tyle zapachów i obrazów, ile mogą w tej pozycji.

— Wstać! — w jednej chwili skoczyły na nogi. Wykorzystały to i zaczęły rozglądać się na wszystkie strony.

Cabas uśmiechnął się z wyższością, zadowolony z siebie.

— Reagują na głos i gest — powiedział i zademonstrował ich umiejętności, stanowczym gestem układając dłoń równolegle do ziemi. Psy natychmiast usiadły. — Proszę karmić je samemu z ręki, a zyskacie ich lojalność.

Toric nie miał czasu na karmienie psów, ale mogli to robić jego synowie.

— Tu są ich papiery — powiedział treser. Pogrzebał w kieszeni czystej, ale pocerowanej kurtki i podał Toricowi plik dokumentów. — Mistrzynie Ballora gwarantuje płodność albo przyjmie zwrot psów.

— Doprowadzisz je do mojej warowni? — spytał Toric, przyglądając się mężczyźnie. Każdy z psów sięgał mu powyżej kolan. Miały grube obroże i do tego kolczatki, przypięto je po trzy do mocnych smyczy.

— Prosto, druga ulica na lewo, w górę szerokimi schodami i domostwo lorda Torica

przed nami — powiedział treser urywanymi zdaniami a potem uśmiechnął się, obnażając białe, równe zęby.

— No to ruszaj. Jesteś odpowiedzialny, jeśli ci się któryś wyrwie albo narobi szkód — Toric gestem kazał mu się oddalić.

— Idziemy! — psy ruszyły za treserem, przepychając się trochę, by być jak najbliżej niego. Na jego polecenie przeszły do przodu.

Toric obserwował, jak psy prowadzą mężczyznę po schodach, nie naprężając smyczy. Spodobało mu się to. Trzeba będzie przypilnować synów, żeby się przyzwyczaili do tych stworzeń. Może zatrzyma jedną parę dla siebie. Całkiem rozsądne. Ballora zaproponowała wher–stróże, ale nie mógł na nie patrzeć, zresztą nadają się do pilnowania tylko w nocy. Trzeba je Naznaczyć przy urodzeniu, żeby rozpoznawały autentycznych mieszkańców Warowni,

Udawał, że czyta dokumenty psów, kiedy ze statku wylewała się rzesza pasażerów. W rzeczywistości oceniał nowe nabytki, świeżo przybyłe na Południe. Same obdartusy, które na pewno nie pójdą za nową modą, czyli obserwowaniem nieba. Jeśli coś spada z nieba, to trudno, zresztą na Pernie i tak jest więcej wody niż ziemi. Naprawdę potrzebne są tylko dokładniejsze satelity pogodowe. Ten statek ma tylko południową siatkę, a najgorsze wichury nadchodzą przecież z północy, jak ta sprzed dwóch Obrotów, która zrujnowała całe jego wybrzeże. Delfiny ostrzegły ludzi za późno i na nic nie starczyło czasu.

Przestąpił z nogi na nogę i rzucił wściekle spojrzenie na ostatniego pasażera, który prowadził za rękę dziewczynkę i poganiał trzech chłopców. Potem wyszedł kapitan z Mistrzem Kurierów, który taszczył na ramieniu ciężki wór z pocztą. Kapitan uśmiechnął się, Kurier coś mruknął i ruszył na molo. Zobaczył Władcę Warowni i uklonił mu się uprzejmie.

— Nic dla mnie nie masz, Kurierze?

— Nie, lordzie Toricu. Gdyby coś było, oddałbym ci pocztę natychmiast, kiedy wszedłeś na pokład.

Toric zaklął pod nosem i zacisnął usta. Kurier minął go, wszedł na nabrzeże i ruszył po schodach do nowej stacji kurierskiej na Południowym.

Przeklęty Piąty! Od spotkania w Telgarze nie przesłał ani jednej wiadomości. Sugerował, że wiele osób słucha jego poleceń, ale nie wymieniał żadnych nazwisk ani miejscowości; podzielił się poglądami na temat Ohydy i Mistrza Robintona tylko z najbardziej zaufaną grupką. Bardzo rozsądnie dla niego samego, ale Torica mało przez to szlag nie trafił. Pocięszył się myślą, że jest mnóstwo ludzi takich jak ten renegat z Ruathy i łatwo można ich przeciągnąć na swoją stronę. Niestety, trzeba będzie wszystko zaczynać od

nowa. Dorse był wart niemal każdej marki, którą mu Toric wypłacał.

Pewnie, zawsze mógł pójść do Kashmana! Ten człowiek miał uzasadnione pretensje do wielce potężnego jeźdźcy i władcy Warowni Jaxoma. Można nad tym popracować. Będzie następny niezależny członek Rady.

Nie miał również wiadomości od Mistrza Esselina na temat jego spotkania z Piątym. Stary dziad mógł się lepiej postarać. Chyba, że Piąty wolał zgarnąć marki i zniknąć. Ale chyba nie. Jego obsesja zbyt silnie popychała go ku zemście. Kashman pewnie też chętnie wesprze Torica, choć był tylko dzieckiem, kiedy żył jeszcze ukochany przez wszystkich Robinton.

W tym momencie spostrzegł na nabrzeżu chudą kobietę. Wpatrywała się w niego, choć wyglądała na zakłopotaną; jedną ręką ścisnęła łokieć drugiej. Ruszył w jej kierunku widząc, że chciałaby z nim porozmawiać. Mogła to być tylko jedna osoba: Dorse opisał ją z brutalną szczerością, ale przyznał niechętnie, że potrafi rozpracowywać szczegóły, jest bezgranicznie oddana Piątemu i zdecydowana zniszczyć wszelką Ohydę, nawet jeśli będzie to musiała zrobić sama.

I oto jest, pomyślał Toric. Sama mnie znalazła. Ciekawe, czy chce zająć miejsce Dorsego? A może Piątego? Wszystko jedno, może ją łatwo kontrolować, tak jak Dorsego. Kashman też nie będzie trudnym przeciwnikiem. Kobieta może się bardzo przydać, — Dorse powiedział kiedyś, że potrafi pozyskać dla sprawy każdą niezadowoloną osobę. Przynajmniej poda Toricowi nazwiska i adresy osób, które już przekonała. Przyda się też jako wysłanniczka do Keroonu.

Uśmiechnął się do niej. Popatrzyła mu prosto w oczy. Stała bez ruchu, z martwą twarzą, bez żadnej unizoności. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale pomyślał, że lepiej, by ta baba nie wyobrażała sobie, że równa się z Toricem, Władcą Południowej Warowni!

Żadne z nich nie zauważyło, że treser psów zatrzymał się u szczytu schodów i obserwował ich spotkanie.

Treser pozostał w Weyrze Południowym tylko tyle czasu, ile trwało nauczanie bliźniaczych synów Torica obchodzenia się z psami i przekazanie im komend, na które reagowały. Przez ten siedmiodzień nadśluchiwał pilnie, ale nie usłyszał żadnych niepożądanych wiadomości na temat nieoczekiwanego wypadku na Ładowisku ani o śmierci Mistrza Esselina.

Gdy Toric wyruszył z Czwartą na wybrzeże, w nieznanym kierunku, Cabas wezwał Bistę. Nie sposób było jej odróżnić w tłumie jaszczurek ognistych, które kręciły się w

powietrzu nad Południowym. Cabas spotkał się jeszcze z Sintarym w Cechu Harfiarzy na Południu i przekazał mu portret Czwartej, prosząc, by miał na nią oko. Następnie wysłał Bistę do Sebella z prośbą o smoka, który by go zawiózł do głównej siedziby Cechu.

WAROWNIA HONSIU, 3.27.31

Po zabawie leczyli się całe dwa dni. Lessa namówiła F'lara, by zostali na całą noc, bo nad Bendenem szalała śnieżycy z nad Morza Wschodniego, a ona nie chciała zmarznąć. T'lion, który pomagał przy budowie rampy, namówił jednego z harfiarzy z Monako, by przyleciał z nim świętować. Jubb miał gitarę, Sparling skrzypce a Riller bębenek. Keita śpiewała pięknym jasnym sopranem, Sagassy bogatym kontraltem i wszyscy, nawet Tai, zarykiwali się ze śmiechu, gdy F'lessan włączył się do refrenu. Nie próbował tańczyć, ale F'lar prosił wszystkie kobiety po kolei, nawet Tai, choć wymówiła się od innych zaproszeń tłumacząc się bólem nogi. Siedziała razem z Flessanem, kiedy tylko nie był zajęty uspokajaniem Golantha, który wciąż spacerował po rampie. Spędzili uroczy wieczór.

Tai trochę narzekała, bo następnego ranka i jeździec, i smok byli tak obolali, że zużyli we dwóch dwa słoje mrocznika, zanim ból zelżał. Keita stwierdziła, że na nic się już tu nie przyda i poprosiła T'liona, żeby zabrał ją do Cechu Uzdrowicieli. Obiecała przysłać więcej mrocznika.

Trzeciego ranka ostami uczestnicy zabawy zabrali się do domów. Sagassy powiedziała, że jedzenia starczy im obojgu na wiele dni, a ona chętnie wróciłaby do siebie. Tai zaproponowała, że ją odwiezie, zabierając jej ulubione garnki, które przywiozła z domu na okres, gdy pomagała w Honsiu. F'lessan nagle został zupełnie sam. Wyszedł na taras z kubkiem klahu i patrzył, jak Golanth chrapie z głową na przednich łapach.

Ma dobry kolor, pomyślał i twardo zmusił się do zastanawiania, kiedy Erragon przywiezie nową konsolę, by F'lessan mógł wreszcie zacząć zarabiać na życie. Natychmiast jednak wrócił myślami do tematu, którego chciał uniknąć. Prawda była taka — nigdy już nie polecą ze skrzydłem jako jego dowódca, a Golanth być może nigdy nie odbędzie lotu godowego z Zaranth. Bardzo mu to nie odpowiadało, tym bardziej, że Zaranth była młoda i potrzebowała dobrego samca, który by ją zadowolił. Natomiast on, F'lessan, zdecydowanie nie chciał dzielić się Tai z innym jeźdźcem ani żadnym innym mężczyzną. Teraz, kiedy polubiła jego towarzystwo, była swobodna, pełna entuzjazmu, nie zamierzał pozwolić, by zburzył to jakiś ciężkoręki brutal, któremu nie starczy wrażliwości, by docenić uroczą, skomplikowaną osobowość dziewczyny. Sama myśl o tym doprowadzała go do szału. Poza tym oboje mieli sporo pracy z tymi wydrukami; nie skończyli analizować nawet połowy. Powinien się na tym skoncentrować. Gwiazdy! Gwiazdy były ważne. Obserwacja nieba to poważna praca. Do tego nie trzeba latać. Do tego potrzebna była Tai. Prawdę mówiąc, znała

astronomię o wiele lepiej niż on, choć szybko nadrabiał zaległości. Trzeba będzie sprowadzić do Honsiu więcej osób chętnych do tej pracy. Nie nadaży za Erragonem, który przecież sypia tylko cztery godziny. Potrzebuje kogoś do pomocy w dzień, przy spisywaniu wszystkich współrzędnych i sprawdzaniu, czy Idarolan natrafił na inne ślady orbity. Czy w Cromie i Południowym Bollu nie ma przypadkiem jakiś współpracowników? Trzeba się z nimi spotkać. Powinien urządzić sobie życie na nowych zasadach, nie ma wyjścia.

Nagle doznał kolejnego objawienia. Lytol i jego twarz, poznaczona bliznami i szwami! Lytol jest bez smoka od wielu Obrotów, od kiedy jego brązowy Larth zginął podczas rutynowego lotu treningowego w Bendenie. R'gul pozwolił wtedy swojemu smokowi przeżuć kamień ognisty i buchnąć płomieniem. Tylko że trafił prosto w pysk Lartha... i w twarz Lytola. Smokowi udało się ostatkiem sił posadzić na ziemi ciężko rannego jeźdźca. Powinien to być koniec tego jeźdźca — jeźdźca bez smoka.

Zgodnie z tradycją jeźdźcy woleli popełnić samobójstwo niż żyć bez smoka. Ale Lytol odrzucił tę konwencję i stał się czymś o wiele więcej niż jeźdźcem. Gdy Jaxom był dzieckiem, Lytol przejął obowiązki Władcy Warowni. Potem zaczął pomagać Mistrzowi Robintonowi i D'ramowi w zarządzaniu Łądowiskiem jako Warownią, ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Teraz Lytol z D'ramem przyjęli na siebie kolejny obowiązek, oprócz towarzyszenia niewidomemu Wansorowi; wykorzystali swoje niezwykle kwalifikacje, by służyć radą różnym warstwom skomplikowanej społeczności planety. F'lessan zastanawiał się przez chwilę — choć jego serce zamarło na samą myśl — czy gdyby Golanth poddał się słabości, starczyłoby mu odwagi na zbudowanie nowego życia — a właściwie do odgrywania nowych ról w życiu — tak jak zrobił to Lytol?

Prychnął z obrzydzenia dla własnego egoizmu. Zmarnował tyle czasu. Tai miała rację, zawsze znajdzie się jakiś sposób. Lytolowi udało się to wiele razy... cichy heroizm tego człowieka podziałał na niego jak ostroga.

Golanth obudził się w połowie chrapnięcia i czujnie skierował głowę na pomoc. Kiedy nadejdzie Dziewiąty Opad? Już niedługo i Golanth jest pewnie tego świadomy.

Na niebie pojawiło się pięcioro jeźdźców, a szósty smok wyleciał prosto z dżungli. Była to Zaranth, która pierwsza dotarła do Honsiu, zawisła nad tarasem pozwalając jeźdźczyni zsunąć się na ziemię, a potem zawróciła na czubku skrzydła, jakby rzucając wyzwanie przybyszom. F'lessan wstał, zaskoczony jej niemal obronnym odruchem. Smoki zbliżyły się na tyle, że mógł rozpoznać Monartha, Gadaretha, Path, Galuth i Arwith, ale nie próbowały lądować.

Przyleciały poćwiczyć, powiedziała Zaranth. Tai, podam mu kurtkę.

— O co chodzi z tym ćwiczeniem? — chciał wiedzieć F'lessan.

Kurtka upadła mu na pierś; przytrzymał ją machinalnie.

— Chcą poćwiczyć to, czego nauczyły się od Zaranth, Ramoth i Mnementha — odparła Tai, jakby chciała przypomnieć mu coś, o czym zapomniał.

Poprzedniego wieczoru Lessa też wspominała o jakiś ćwiczeniach.

— Co poćwiczyć? I na kim?

To, co wydarzyło się w chwilą później, zaskoczyło Tai na równi z F'lessanem. Patrzyła tylko — a wstrząśnięty F'lessan zbladł i aż się zachwiał — jak Golanth podnosi się pionowo z kamiennej posadzki, sycząc ze zdumienia. Instynktownie rozłożył skrzydła, choć lewego nie mógł rozciągnąć równie daleko jak prawe. Ale unosił się w powietrzu.

— Co wy wyprawiacie z Golanthem! — wrzasnął F'lessan, kuśtykając pospiesznie w miejsce, gdzie smok unosił się poza zasięgiem jego rąk.

Nic mi nie jest, Flessanie. Nic mi nie jest.

— Ćwiczymy! — huknął T'lion.

— Ćwiczymy! — zawołał T'gellan, za którym siedział Persellan. C'reel i Mirrim wykrzykiwali to samo.

— Też powinienes poćwiczyć, F'lessanie. Potrzeba mu tylko wysokości — zawołała wesoło Mirrim z grzbietu Path. Path wpatrywała się w Zaranth, ale treści ich rozmowy nie słyszał żaden z jeźdźców.

— Wiedziałaś o tym? — zapytał Tai, przypominając sobie, jak szeptała mu słowa wsparcia pod rampą.

— Ja? — odparła z zaskoczeniem. — Jestem ostatnią osobą, której mogliby to powiedzieć. Zaranth nie ma tajemnic przed Golanthem ani przed tobą.

— Natychmiast postawcie mojego smoka na ziemi!

To nie boli, odparł Golanth utrzymywany w powietrzu przez pozostałe smoki, spoglądając w dół na swojego jeźdźcę. *Jestem na tyle wysoko, że mogę wejść w pomiędzy.*

Nie możesz bez jeźdźca, odparł Monarth i Golanth zaczął opadać.

Stop! — zawołał, czując nacisk, który spychał go w dół na kamienie posadzki. *Teraz lepiej. Uważajcie na mnie! Nie jestem kotem, którym można rzucać byle gdzie.* Smok potrzęsnał głową i popatrzył na F'lessana. *Dlaczego nie mogę tego sam zrobić?*

Nie wiemy... jeszcze! zawołała zawstydzona Arwith, mrugając powiekami z zakłopotaniem. Powszechnie sądzono, że królowe wiedzą wszystko.

— Mamy szczęście, że doszliśmy aż tak daleko — odparł T'lion. — Wskakuj!

Golanth przykucnął, by F'lessan mógł wsiąść, ale jeździec się zawahał.

— Spróbuję z lewej strony — powiedział i starając się ukryć kalectwo, wciągnął się w górę po wyrostku szyjnym, choć jego lewa noga zwisała bezwładnie i sztywno.

Jesteś gotów, F'lessanie? zapytał Monarth. *Tym razem podniesiemy Golantha tak wysoko, żeby mógł bezpiecznie wejść pomiędzy. Dokąd lecimy?*

Popływać. Mamy pomóc Golanthowi wylądować na wodzie, odpowiedziała Tai.

Czekają dziś na ciebie w Warowni nad Zatoczką, powiadomiła Golantha Path.

Nad Zatoczką też mogę popływać, odpowiedział.

A Erragon ma dla was coś do zabrania. Chyba nie będziemy tu wszyscy potrzebni, wiecie? — dodała Path na stronie do pozostałych smoków.

Ramoth mówi, że nie wolno z nim ryzykować, odparła Arwith. *W górę!*

F'lessan, znów na grzbiecie swojego smoka, wyczuwał ogromną radość Golantha. Jednak gdzieś na dnie czaił się strach, który podpowiadał jeźdźcowi coś innego: tak jak on ukrywał swoje lęki przed smokiem, Golanth ukrywał swoje przed nim — wyglupiał się na rampie, doprowadzając do tego, że ze zmęczenia żaden z nich nie był w stanie ani myśleć, ani rozpaczać. Nagle uświadomił sobie obecność Zaranth po lewej stronie. Czeką, by w razie potrzeby podać mu skrzydło? No cóż, sam wybrałby Zaranth i Tai jako skrzydłowe. Warownia Honsiu malała w dole, aż całkiem zniknęła. Widzieli przed sobą gromadkę chat, pola oczyszczone przed siewem, rzekę i nadbrzeżne tarasy.

Ale dobrze, westchnął smok z ulgą, wyciągając szyję w lewo, by zrekompensować osłabiony wzrok.

Lećmy do Warowni nad Zatoczką, Golancie, powiedział i przypomniał sobie błękitne wody, przechodzące w zieleń na płyciznach i obserwatorium po prawej. Nieświadomie uniósł rękę, dając znak dowódcy skrzydła, opuścił ją i polecił Golanthowi wejść w *pomiędzy*.

WEYR BENDEN, 3.27.31

Udało się! stwierdziła Ramoth radośnie. Potem dodała nieco bardziej krytycznie: *Lądowanie mogłoby im wyjść lepiej, ale w tych warunkach nie było najgorzej. Nie sądzę, żeby do podniesienia Golantha było potrzeba aż pięć smoków. Zrobilibyśmy to sami z Mnementhem.*

Naturalnie, zgodziła się Lessa, uśmiechając się z ulgą. *Ale jeźdźcy z Monako potrzebowali praktyki i zgłosiło się tylu ochotników, że trzeba było wziąć pięcioro, by kontrolowali się wzajemnie.*

Nigdy nie widziała, by F'lessan, zwykle tryskający energią, tak rozpaczął jak w chwili, gdy wreszcie uświadomił sobie, że Golanth nigdy więcej nie poleci przeciw Niciom. I że on z tego powodu przestanie być dowódcą skrzydła.

Wróciła myślą do tego magicznego dnia, gdy oboje z F'larem szaleli z radości, że ich syn naznaczył Golantha na pierwszym Wylęgu, gdy wiek pozwolił mu stanąć wśród kandydatów. Świetnie do siebie pasowali i bez wysiłku przechodzili wszystkie szkolenia. Gdy F'lessan miał szesnaście lat, bezczelnie zachęcił Golantha do godów podczas lotu młodej złotej królowej, otwartego dla wszystkich spizowych smoków. Tego samego Obrotu jego pierwsze dziecko ujrzało światło dzienne. W dwa Obroty później został dowódcą nowo sformowanego skrzydła — Benden niemal pękał w szwach, więc F'lar mógł zaryzykować, dając dowództwo pełnego oddziału młodemu jeźdźcowi.

Napad drapieżców na Honsiu o mało nie zakończył tej kariery, choć przeżyli obaj — F'lessan i jego smok. Jeźdźcom często z trudem przychodziło pogodzić się z tak ciężkimi, ograniczającymi sprawność ranami. Ci, którzy mieli zbyt miękki charakter i nie potrafili się pogodzić z rzeczywistością, po prostu wchodzili w *pomiędzy*. Władcy Bendenu pragnęli tylko, by F'lessan nie popełnił samobójstwa, uświadomiwszy sobie, jak poważne są obrażenia Golantha. Keita natychmiast rozpędziła ich obawy. F'lessan nie należał do osób o takim charakterze. Miał zresztą Tai. Szczerze mówiąc, Lessa nie przewidywała, że jej syn może się z kimś tak silnie związać, ale układ przetrwał już dość długo po godach, a Zaranth wspierała Golantha równie zdecydowanie jak jej jeźdźczyni F'lessana. Ramoth przez cały czas słuchała rozmów obydwu smoków. Pewnie tak samo, jak F'lar i Mnementh, pomyślała Lessa.

Teraz tym bardziej cieszyła się z tego, że F'lessan tak zainteresował się Honsiu i z wielką ulgą powitała wiadomość, że podczas rekonwalescencji powrócił razem z Tai do obserwacji nieba, F'lessan był zbyt ważny dla Pernu, nie tylko jako ich jedyny żyjący

potomek. A jak umiejętnie dodał wszystkim ducha na spotkaniu Władców Weyrów! Kiedy ona sama rozpacziała, że nie potrafi znaleźć dla jeźdźców miejsca w świecie, w którym nie będzie już Nici, jej jedyne dziecko znalazło rozwiązanie.

Lekko zadygotała, przypominając sobie swoje lodowate przerażenie, gdy Ramoth zniknęła bez jeźdźczyny, lecąc na pomoc Golanthowi i Zaranth.

— Minął już prawie miesiąc — powiedział F'lar, który zaszedł ją od tyłu i przytulił. — Wiem, że chciałaś tam być, ale Zaranth jest z Monako i poparcie jej własnego Weyru jest równie ważne, jak nauka, ile siły trzeba, by unieść Golantha w powietrze. Mamy zresztą dość ćwiczeń z telekinezą przy przenoszeniu tych kawałków teleskopu dla Erragona — dodał i uściskał ją mocno. — Świetnie to kontrolujecie z Ramoth.

— A potencjał Mnementha jest chyba nieograniczony — odparła odwzajemniając szczerzy komplement i oparła się o niego, przyjmując siłę, którą zawsze szczerze się z nią dzielił. — Tyle się trzeba nauczyć w tym nowym smoczym wymiarze.

Zaśmiał się sucho.

— Nic dziwnego, że niektórzy nie potrafią się z tym pogodzić.

— Nie było żadnych nowych kłopotów z fanatykami, prawda? — przestraszona, odwróciła się w jego ramionach, by sprawdzić, czy przypadkiem czegoś przed nią nie ukrywa.

— Na szczęście nie. I bez tego mamy dosyć pracy.

— Jak myślisz, czy już więcej nie usłyszymy, że ktoś zginął na Lądowisku?

F'lar westchnął.

— Cabas wyraźnie widział Czwartą w osadzie Torica. Kto wie? Tacy ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. Udają więc, że tym gardzą i że to odrzucają, bo brak im chęci i możliwości rozumienia. Próbują się zemścić bezczelnym zachowaniem i bezmyślnym wandalizmem. W dodatku twierdzą, że działają w czymś imieniu, z powodów, których nie rozumieją nawet ci, którzy jakoby ich powołali. Może to znak naszych zmieniających się czasów. A życie na naszej planecie rzeczywiście się zmienia.

— Na lepsze? — mruknęła.

Uniósł jej twarz jednym palcem i lekko pocałował w usta.

— Zdecydowanie na lepsze!

— Jesteś przekonany? — Lessa wyraźnie potrzebowała jego zapewnienia.

— Nie mówiłbym tego, gdybym nie był przekonany. Przecież wiesz po tylu Obrotach, że nie pozwoliłbym ci żywić nadziei na próżno, prawda, kochanie?

Położyła dłonie na ramionach męża, które ją otaczały.

— Kiedyś prawie cały Obrót żyliśmy nadzieją.

— A ja przeżyłem trzy dni bez żadnej nadziei — odpowiedział i pocałował ją, przypominając obojgu o jego strasznej rozpacz, kiedy Lessa przeniosła się wstecz w czasie, by zapełnić pięć pustych weyrów.

WAROWNIA NAD ZATOCZKĄ, TEGO SAMEGO DNIA I MNIEJ WIĘCEJ W TYM SAMYM CZASIE

F'lessan odliczył w myśli osiem sekund. Nie sądził, że można czerpać taką przyjemność z wejścia w czarny chłód. Nagle znaleźli się nad błękitnymi wodami. Golanth skrzył na prawo, obniżając płat lewego skrzydła, by zrekompensować skręt i poszybował ku lśniącej w słońcu powierzchni wody.

Ale dobrze! Brakowało mi tego, powiedział.

W porządku, przyjacielu, ale jak chcesz wylądować? F'lessanowi zachciało się śmiać na myśl, że trzeba się nad czymś takim zastanawiać, i to szybko.

Usiądę na wodzie tak ładnie jak zawsze, odpowiedział Golanth, ale z radości, że lata, zapomniał na chwilę, że sztywny staw nie zadziała normalnie.

Później Erragon i D'ram, którzy obserwowali całą scenę z zacienionej werandy, twierdzili, że biorąc pod uwagę utrudnienia, nie było to najgorsze lądowanie. Golanth, który szybował bez pomocy pozostałych smoków, bezskutecznie usiłował uderzyć skrzydłami do tyłu. Stracił równowagę i przechylił się, ciągnąc czubkiem lewego skrzydła po wodzie. Opór go obrócił, ale zanim lewe skrzydło wywichnęło się z powodu ciężaru po zanurzeniu, już unosił się w powietrzu z pomocą swoich przewodników, ledwo dotykając powierzchni wody. Zdażył złożyć skrzydła, zanim chlupnął do morza, odbił się z rozpędu i przeleciał całą smoczą długość. F'lessan, bez pasów bezpieczeństwa, puścił siodło, przeleciał nad prawą łopatką smoka i wpadł do wody. Udało mu się zresztą zmienić ten przymusowy wyskok w całkiem eleganckie nurkowanie.

Przepraszam! powiedział Monarth. *Powinienem cię złapać, F'lessanie. Nad tą sztuczką się nie zastanawialiśmy. Podnieść Golantha już umiemy. Opuścić go to co innego. Woda jest przynajmniej miękka.*

Wcale nie jest miękka! zdenerwował się F'lessan.

Choć jego ciężka jeździecka kurtka przemokła i hamowała mu ruchy, wypłynął na powierzchnię i ruszył w stronę smoka, który kołysał się na falach i rozglądał za nim z niepokojem.

Czy ze skrzydłem wszystko w porządku?

Chyba tak. Golanth udowodnił to, rozkładając skrzydło ostrożnie, najszerzej jak potrafił. Łaskotały je małe falki, a sztywny staw zanurzał się w cieplej wodzie. *Jak dobrze!*

F'lessan ledwie sześć czy siedem razy zagarnął wodę, gdy już poczuł pod prawą ręką delfinią płetwę. Chwycił ją z wdzięcznością i śmignął z delfinem ku Golanthowi. Zaraz

pojawiły się inne delfiny, piszcząc z radości na jego widok. Wykrzykiwały ich imiona i uśmiechały się, skacząc wysoko.

— Brzeg, Fless? Brzeg, Fless? — zapytała Alta. Z tyłu widział Dika i Toma. W pobliżu Golantha spacerowało na ogonach kolejnych pięciu członków stada. Słyszał ich podniecone cmokanie.

— Zajmiemy się Gollym. Zostaw ubranie na brzeg, Fless. F'lessanowi od rana nikt nie pozwalał decydować za siebie.

Widać taki dzień. Mógł przynajmniej poddać się z wdziękiem. W eskorcie piszczących i gwizdzących delfinów popłynął na płyciznę, złapał grunt pod nogami i wyszedł na brzeg.

Czekał tam już uśmiechnięty D'ram z ręcznikiem. Zdjął z niego kurtkę, proponując, że ją porządnie wysuszy. Zaranth wysadziła Tai na plaży, a Monarth przez chwilę kołował nad ich głowami, gdy wychylony w siodle T'gellan rozmawiał z zieloną jeźdźczynią. F'lessan zobaczył, że wyprostowała się, cała napięta, a potem kiwnęła głową na zgodę. Monarth wykręcił, nabrał wysokości i wszedł w pomiędzy razem z resztą smoków. Zaranth plusnęła w jasne wody zatoczki i popłynęła w stronę Golantha i chlapiących się wokół niego delfinów.

Tai pospieszyła do F'lessana, zdejmując po drodze kurtkę i hełm. Zorientował się, że rozmawiała z T'gellanem na jakiś poważny temat. Była głęboko zamyślona.

— Akurat ci goście, na których czekałem — zawołał Erragon, machaniem i zapraszając do siebie do warowni. — Mam całe wyposażenie potrzebne wam do zdalnej obsługi teleskopu.

Odmachali mu wesoło w odpowiedzi, potwierdzając, że usłyszeli dobrą wiadomość.

Potem na schodach zaszurały stopy i pojawił się Mistrz Wansor razem z Lytolem. Gdy Tai dotarła do F'lessana, wyżywał mokra koszulę, starając się nie stracić równowagi na pochyłej plaży.

— Sprytnie to wymyśliłeś z tym nurkowaniem — posłała mu nieśmiały, ale pełen dumy uśmiech.

— Tak myślisz? — przekomarzał się z nią. W tym momencie lewa noga puściła. Tai podparła go na moment, żeby mógł się wyprostować.

— Zapomniałem laski — wycedził przez zaciśnięte zęby. Euforia spowodowana lotem na Golancie rozwiała się gdzieś w jednej chwili. Spojrzał na Warownię po drugiej stronie plaży. Długa droga dla kaleki. Nie życzył sobie paść na nos przed Lytolem ani D'ramem. Szczególnie przed Lytolem. To by było poniżające. Był nadal niesprawny. Jego smok był nadal ranny. Nigdy nie będzie tym co kiedyś: beztróskim, spontanicznym spizowym dowódcą

Skrzydła z Weyru Benden!

— Przyznam, wyruszyliśmy dość nagle — zaśmiała się zachęcająco Tai, kładąc sobie na ramieniu jego nagą dłoń, jakby chodzili w ten sposób od zawsze. — Skóra ci wyschnie, zanim dojdziemy do werandy.

— Daj mi koszulę, F'lessanie — powiedział stary spizowy jeździec i wyjął mu płótno z bezwładnej dłoni. — Zdejmij też te mokre spodnie. Chodźcie do domu. Polecę przodem i wszystko przygotowuję.

F'lessan dostosował swój krok do Tai. Powtarzał sobie, że wędrówka po długiej plaży nad Zatoczką to po prostu kolejny krok do wyzdrowienia; w końcu razem z Golanthem o mało co nie zginęli zaledwie cztery siedmiodni temu.

— Co to za zamieszanie? Kto przyjechał? — pytał Wansor, szeroko otwierając niewidzące oczy. — Nie słyszę, co te delfiny wołają, są za bardzo podniecone. Fless? Fless, mówią? Przecież to chyba nie F'lessan? Czy nie mówiłeś, Lytolu, że został ciężko ranny razem ze swoim smokiem?

— Tak, byli ranni, Wansorze — powiedział Lytol stając u jego boku. — Przylecieli tu razem na spotkanie z tobą, porozmawiać o teleskopie w Honsiu.

Przylecieli tu razem. Słowa Lytola odbiły się echem w uszach F'lessana. Poczul, że do oczu napływają mu łzy — nie z żalu, ale dlatego, że zobaczył w nowym świetle zwycięstwo Lytola nad samotnością po utracie brązowego Lartha. Lytol odtworzył swoje życie nie raz, ale trzy razy.

Między jednym a drugim chwiejnym krokiem oszalałająca myśl, która zakwitła w umyśle F'lessana sprawiła, że musiał oprzeć się o Tai, która natychmiast go podtrzymała.

Wspierała go jak zawsze! I zawsze będzie go wspierać! Ona i Zaranth!

Dobrze się czujesz? spytał z niepokojem Golanth, przerywając zabawę w wodzie, gdzie harcował razem z Zaranth i Tirothem wśród stada rozbrykanych, skaczących delfinów.

Bardzo dobrze. Naprawdę bardzo dobrze! zapewnił go F'lessan.

Wkrótce Zaranth wyćwiczy się tak, że będzie umiała sama podnieść Golantha na wysokość potrzebną do wejścia w pomiędzy. Tai i Zaranth stały się ważną częścią nowej, zdumiewającej przyszłości, która właśnie się przed nim zarysowała — dla niego i dla wszystkich smoków, które zechcą wziąć udział w nowej, barwnej przygodzie.

Pełen wewnętrznej radości F'lessan z wielkim trudem utrzymywał spokojny rytm kroków — kiedyś po prostu popędzi przed siebie. Ból lewej nogi stał się nagle bez znaczenia, nawet jeśli spowalniał wędrówkę do Warowni nad Zatoczką.

— Już dochodzimy — powiedziała Tai, czując falę entuzjazmu przepelniającą jej

partnera,

F'lessan oparł się o słupek werandy, zatrzymał i uśmiechnął się do Lytola z szacunkiem. Zobaczył w jego oczach zaskoczenie, ale w tym momencie nadszedł D'ram, zachęcając gestem, by wdrapał się na schody.

— Chodź, chłopcze, jeszcze do końca nie wydobrzałeś, więc lepiej, żebyś nie chodził w mokrych rzeczach, bo się przeziębisz. Tędy — zaprosił go stary jeździec.

Gdy wreszcie zasiedli przy stole na werandzie, skąd jeźdźcy mogli mieć na oku rozbrykane smoki, F'lessan miał na sobie przyniesione przez Erragona ubranie, a jego własna odzież gdzieś schła. Przed nimi postawiono świeży klah i owoce. Pod ścianą stały pudła ze starannie opakowanymi elementami zdalnego sterowania, które miało kierować teleskopem w Honsiu z głównego poziomu warowni. Benelek gorąco polecił technika, który miał też zainstalować urządzenia i kable potrzebne do zdalnego otwierania i zamykania kopuły.

— Chciałbym wiedzieć, F'lessanie i Tai — spytał Mistrz Wansor z wielką, prawie arogancką niecierpliwością — co będzie z tymi kotowatymi.

Było to ostatnie pytanie, którego się od niego spodziewali. Popatrzyli po sobie. Lytol i D'ram aż się skrzywili na taki brak taktu ze strony ich niewidomego przyjaciela.

— No cóż, Mistrzu Wansorze — zaczęła Tai, która otrząsnęła się szybciej niż F'lessan — ostatnio nie widziano ich w okolicy Honsiu. Gospodarze chronią pola, otaczając je mieszanką smoczego nawozu i kamienia ogniowego, więc i my rozsypaliśmy tą mieszankę wokół naszego terenu. Zdaje się, że skutkuje.

— Rozumiem — powiedział Lytol, poprawiając się na krześle po tej niefortunnej uwadze Wansora — że Mistrzynie Ballora wysłała zespoły w celu zbadania zwyczajów i legowisk tych stworzeń na Południu. — Przerwał na chwilę. — Jej zdaniem, zwierzęta te zostały wyhodowane w nadziei, że będą polować na odmianę dużych węży tunelowych, które na początku okresu osadnictwa zabijały bydło. Eksperyment się nie udał, kotowate pouciekały, a ponieważ nie miały tu naturalnych przeciwników, rozmnażały się bez przeszkód, odkąd Starożytni udali się na pomoc. Likwidacja wszystkich byłaby niemożliwa, a do tego skrajnie niebezpieczna. Mistrz Oldive twierdzi, że można zmniejszyć ich liczbę za pomocą wyłożonych przynęt ze środkiem powodującym bezpłodność, ale najpierw trzeba przebadać gatunek. Mistrzynie Ballora nie jest jedyną członkinią Rady, która gorąco obstaje przy tym, by nie likwidować żadnych gatunków, które zamieszkują tę planetę.

— Z wyjątkiem Nici — mruknął F'lessan, nagle ogarnięty typową dla siebie przekorą. Lytol posłał mu długie, rozbawione spojrzenie.

— Ten organizm nie jest rodzimy.

— Nie bardziej niż kotowate — wtrącił D'ram — ponieważ zostały wyhodowane przez Starożytnych.

— Wolałbym nie musieć się martwić, czy nie czają się gdzieś w pobliżu — dodał Wansor, marszcząc czoło.

— Nie wtedy, kiedy Tiroth stoi na straży — stwierdził stanowczo D'ram i poklepał Wansora po ręku.

Erragon odchrząknął i przejął prowadzenie rozmowy.

— Racja. Racja. Cóż, dziękuję wam, F'lessanie i Tai, za przeanalizowanie obrazów, które wam przesłałem. Chciałbym jednak wiedzieć, czy... — Mistrz Gwiazdny zawahał się na moment.

— Czy podejmiemy się regularnej obserwacji południowego nieba — skończył za niego F'lessan. Sądząc po dzisiejszym spotkaniu z T'gellanem — rzucił spojrzenie w stronę Tai — Tai będzie musiała stopniowo powrócić do obowiązków w Weyrze Monako. Ze względu na swoje umiejętności, szybkość i zdolność kontroli zielone smoki niezwykle się przydają podczas Opadu.

Lytol pochylił poznaną bliznami twarz, akceptując ukryte między wierszami stwierdzenie, że F'lessan nigdy nie poleci na czele bojowego skrzydła.

— Może zechciałbyś spędzić Dziewiąty Opad tu z nami, nad Zatoczką, spizowcy jeźdźcze? — zaproponował.

— Mam nadzieję, że wtedy lądowanie będzie mi już lepiej wychodzić — odparł F'lessan, uśmiechając się samokrytycznie.

— Jak sądzę, praktyka czyni mistrza — oświadczył Lytol; w jego spojrzeniu malowało się zrozumienie i współczucie.

— Jednak ja... — tu F'lessan przerwał na chwilę — powinienem poszukać innej przyszłości dla siebie i dla mojego smoka.

—No cóż, dowiodłeś już swojej przydatności jako obserwator nieba — wybuchnął Mistrz Wansor. — Do tego niepotrzebny ci smok —dodał, ale kiedy uświadomił sobie, co powiedział, zakrył usta pulchną dłonią. — To znaczy... wciąż przecież masz Golantha, nawet jeśli on...

— Nawet jeśli jest okaleczony — dokończył za niego F'lessan. —Tak więc proszę was, Mistrzu Wansorze i Mistrzu Erragonie, o pozwolenie mi na studia astronomiczne, aby Honsiu stało się w pełni funkcjonalnym, drugim obserwatorium na Pernie.

— Ajajaj, ale w całej historii Pernu nie było jeszcze jeźdźca astronoma — powiedział

Wansor i zakończył wypowiedź promiennym uśmiechem. — No cóż, do niedawna nie było w ogóle Gwiezdných Mistrzów.

— Tai osiągnęła już prawie status czeladniczki, prawda, Erragonie? — spytał F'lessan, przykrywając jej dłoń swoją.

— Oczywiście — potwierdził Erragon z serdeczną aprobatą.

— Dobrze nam się pracuje w zespole — szybko dodał F'lessan — a jej także potrzebny będzie zawód, gdy skończą się Opady Nici.

— Prawda, wielka prawda — ucieszył się Erragon i z radości klepnął się dłońmi po kolanach. — Jesteście pierwsi z długiego szeregu chętnych.

Nagle, gwałtownie zmieniając nastrój, dodał:

— Ale wyjaśnij nam, F'lessanie, jak żeście się tu dzisiaj dostali z Golanthem?

— Ciekaw byłem, kiedy wreszcie nas o to spytacie — odparł F'lessan.

— Czy to ma związek z tymi nowymi smoczymi zdolnościami, o których Władcy mówili na Radzie? Coś... — Erragon strzelił palcami, zniecierpliwiony, że pamięć mu nie służy — ..na temat umiejętności, których Assigi spodziewał się u smoków i które miały coś wspólnego z odwracaniem zagrożeń w przyszłości...

— Zważywszy, że jak widać, jeźdźcy są pociągani do odpowiedzialności za wszystko, co spada z nieba — odparł F'lessan z pewną ironią — to tak, ma to bezpośredni związek, a także wiąże się z moim żywym zainteresowaniem astronomią.

— A co to takiego? — spytał Erragon.

— Wszyscy byliście świadkami tej umiejętności podczas mojego przylotu.

Spojrzenia D'rama, Wansora i Erragona wyrażały niezrozumienie, ale poznaczona szwami twarz Lytola rozjaśniła się uśmiechem. Skinął głową.

— Tak też myślałem — powiedział.

F'lessan poprosił go gestem, żeby mówił dalej, więc kontynuował:

— Przyjaciele, weźcie pod uwagę, że Golanth odniósł okrutne rany oka i skrzydła. Nie sądzę, by mógł o własnych siłach wystartować nawet z najwyższego tarasu w Honsiu i wzbic się na wysokość odpowiednią do wejścia w *pomiędzy*. Poza tym przybył w towarzystwie pięciu innych smoków. Zachwiał się przy lądowaniu i wyprostował, ale nie korzystając z pomocy osłabionego skrzydła. Pomogły mu tamte smoki. Prawda?

F'lessan przytaknął ruchem głowy.

— Do podniesienia Golantha nie potrzeba aż pięciu smoków, ale unoszenie i stawianie na ziemi wymaga kontroli. Z tego, co mówili nam jeźdźcy z Monako, wynika, że telekineza najlepiej wychodzi parom składającym się ze smoka i smoczycy.

— W dalszym ciągu nie rozumiem — mruknął Erragon, potrząsając głową. — Jak smok z raną skrzydła może latać?

Obok D'ram z otwartymi ustami wpatrywał się w F'lessana i Lytola.

— Mistrzu Wansorze — F'lessan kiwnął głową w jego kierunku — wiem, że pamiętasz fascynację Assigi smokami jako gatunkiem, który porozumiewa się w myślach i potrafi przenosić się z miejsca na miejsce. Nazwał te umiejętności telepatią i teleportacją. Uważał, że powinny posiadać także trzecią zdolność: telekinezę. Bardzo pragnął, aby tak było. Wygląda na to, że cały czas miały tę umiejętność, ale — przerwał, by uśmiechnąć się do oniemiałego D'rama — do czasu ataku kotowatych na Golantha i Zaranth nigdy nie potrzebowały z niej korzystać.

Zwrócił się do Erragona i mówił dalej:

— Dziś widzieliście nieco bardziej wyrafinowane zastosowanie telekinezy. Kontrolowane! — przerwał, by to podkreślić. — Golanth nie potrafi się jeszcze skutecznie posługiwać kontuzjowanym skrzydłem. Dlatego w Honsiu smoki podniosły go w pionie na tyle wysoko, by mógł bezpiecznie wejść pomiędzy, co nie sprawia mu żadnych trudności.

F'lessan usiadł wygodnie w fotelu i obserwował, jak zareagują na te wyjaśnienia: Lytol kiwnął głową, Wansor rozdziawił usta, Erragon zmarszczył brwi, a D'ram uśmiechnął się z aprobatą.

— Dziś odbyła się pierwsza próba kontrolowanego uniesienia innego smoka. Trzeba ćwiczyć, by doprowadzić tę umiejętność do perfekcji. Szczególnie przy lądowaniu. Jestem pewien, lordzie Lytolu, że dzięki praktyce udoskonalimy nasze zdolności.

W końcu dziś była dopiero pierwsza próba, zauważył nieco zirytowany Golanth.

Pewnie, że tak, Golly, uspokoiła go Tai i uszczypnęła F'lessana w gołe ramię.

— Tak samo było z turlajami — F'lessan posłał jej przewrotne spojrzenie.

— Dlaczego Golanth nie umie sam się podnieść? — spytał Erragon.

F'lessan wzruszył ramionami.

— Pewnie dlatego, że za bardzo się przyzwyczał do normalnego wzlatywania. Jak wiadomo lordowi Lytolowi, wejście w *pomiędzy* z ziemi jest bardzo niebezpieczne. Być może Golly będzie musiał po prostu zmienić swój sposób myślenia — powiedział i przerwał. Widać było, że się zastanawia. — Wkrótce wszyscy będziemy musieli się tego nauczyć, bo gdy tylko przestaną opadać Nici, w przeszłość odejdzie myślenie o nas jako o tradycyjnych obrońcach planety przed nieprzyjacielem z powietrza.

— No cóż — Lytol z namysłem pocierał podbródek, ale w jego spojrzeniu skierowanym na spizowego jeźdźca malowała się niecierpliwość. — Tak więc dzisiaj, przy

podnoszeniu Golantha, smoki nadały mu ruch w górę i kontrolowały lądowanie.

— Do pewnego stopnia — potwierdził F'lessan z uśmiechem.

— Czy zastanawiałeś się, spizowy jeźdźcze, w jaki sposób Assigi chciał wykorzystać smoczą zdolność do telekinezy? — zapytał Lytol. Czyżby ten mądry człowiek od razu wyciągnął te same wnioski, co F'lessan?

— Nie spodziewał się chyba, że smoki samodzielnie zmieniają orbitę Czerwonej Gwiazdy? — zdumiał się Erragon.

F'lessan zaśmiał się krótko.

— Nie mam pojęcia, o czym myślał. Jeźdźcy przenieśli na planetę silniki napędzane antymaterią. Wybuch spowodował przesunięcie orbity. Mam inny pomysł, choć nie tak całkiem odmienny.

Erragon klepnął obiema dłońmi po stole z bardzo sceptyczną miną.

— Czy sugerujesz... że smoki mogłyby zmieniać tor fragmentów komet lub asteroid?

F'lessan rzucił mu długie, zamyślane spojrzenie, ale w jego szarych oczach lśniło rozbawienie. Pochwycił podobny błysk w spojrzeniu Lytola. Jeśli będzie go miał po swojej stronie, ten niedorzeczny pomysł zyska pewne szansę na realizację.

— Według zapisów z Yoko, kula ognista była na orbicie zbliżeniowej od miesiący. Gdyby wtedy ją przesunąć, choćby lekkim dotknięciem... jeśli to można tak określić... — F'lessan z trudem hamował szeroki uśmiech — nie doszłoby do zderzenia. Może nawet nie otarłaby się o powierzchnię planety, tylko poturlała się z powrotem w przestrzeń. — ze śmiechem zatoczył koło dłonią, kręcąc sugestywnie wskazującym palcem drugiej ręki.

D'ram, Erragon i Wansor wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. Na ustach Lytola pojawił się uśmiech aprobaty, a Tai z trudem pohamowała głośny śmiech.

F'lessan mówił dalej:

— Nie twierdzę, że można wyćwiczyć ten talent tak, by wywierał znaczący wpływ na wszystko, co pojawia się na niebie. Ale nie znaczy to, że nie warto próbować.

Rozejrzał się, zadowolony z zamyślenia na twarzach słuchaczy. Lytol ze zrozumieniem kiwał głową. F'lessan gwałtownie pochylił się nad stołem, rzucając wzrokiem wyzwanie.

— Wiemy już, że smokom nie szkodzi pobyt w przestrzeni kosmicznej. Wytrzymują piętnaście minut i dopiero potem zaczynają wyczerpywać rezerwy tlenowe. Podnieśliśmy potężne silniki trzech statków kosmicznych i umieściliśmy je w martwym świecie.

Czerwona Gwiazda była o wiele dalej od Pernu niż jakikolwiek obiekt w pasie asteroidów albo pomiędzy pomniejszych planetami. Dlaczego zakładamy, że nie możemy

zrobić nic więcej w najbliższej nam przestrzeni? Wciąż mamy hełmy, kombinezony i urządzenia tlenowe. Chyba warto je konserwować. Moim zdaniem smoki powinny ćwiczyć telekinezę i jej zastosowania.

— I jeszcze jedno — dodał widząc, że D'ram i Erragon w dalszym ciągu mają trudności z zaakceptowaniem jego słów. — Starożytni mieli swoje ślizgacze. My mamy smoki. Nie musimy tracić czasu ani odkrywać na nowo metody produkowania paliw, żeby podnieść smoki z powierzchni planety. Jeśli smok wie, dokąd ma lecieć... — machnął ręką, pozwalając, by słuchacze dokończyli to zdanie w swojej wyobraźni.

— Momencik, F'lessanie — zaczął Erragon, w zakłopotaniu szeroko otwierając oczy. — Nie możemy ryzykować życia smoków...

— Ryzykują za każdym razem, gdy wyruszają do walki z Opadem — powiedział Lytol, bez trudności przyjmując propozycje F'lessana.

F'lessan przytaknął, a uśmiech nie schodził mu z twarzy.

— Mamy Yoko na stałej orbicie. Odbiera meldunki z południowej siatki satelitów. Często zastanawiałem się, dlaczego nie ma północnej siatki.

— Może dlatego, że wybrano kontynent południowy, o większej powierzchni i łagodniejszym klimacie — zasugerował Lytol.

Erragon uniósł dłoń.

— Nie mówcie mi tylko, że w archiwach Assigi są plany dotyczące satelitów pogodowych.

— Ale są — potwierdził Lytol.

— Myślałem o nich raczej jako o połączeniach między obserwatoriami — wtrącił F'lessan — które, jak wiecie, będą nam potrzebne, jeśli chcemy na serio prowadzić obserwacje nieba.

Zakłopotany i zdenerwowany Erragon zakołysał krzesłem; przenosił wzrok to na Lytola, to na F'lessana, to na Tai, czekając na dalsze informacje.

— Czy to nie młody Jaxom chwali się, że Ruth zawsze wie, gdzie jest i zawsze zna czas? — spytał Wansor, zaplatając i rozplatając palce. Napięcie na werandzie narastało.

— Nawet w przestrzeni? — Baryton Erragona ze zdziwienia wszedł w rejestry tenorowe.

— No cóż, nie będzie to dzisiaj, ani może nawet nie w dniu uruchomienia Zachodniego Teleskopu — powiedział F'lessan — ale wyraźnie mamy sposób na wynoszenie obiektów na orbitę! — wskazał na niebo. — Naturalnie, trzeba będzie to wyćwiczyć. Może — rzucił z przekornym błyskiem w oczach — znajdziemy prozaiczne zastosowanie dla tego

smoczego talentu, poza samoobroną przed kotami.

— Oby nigdy więcej nie było to potrzebne! — powiedziała gorąco Tai. Poparły ją głosy trzech smoków z zatoczki.

— Do tego czasu mamy dużo pracy — stwierdził energicznie F'lessan, zbierając raporty i wydruki, które przygotował dla nich Erragon. — Będziemy studiować, by uzyskać stopień mistrzowski — rzucił przekorne spojrzenie Tai — i zmienić nasze nawyki. Musimy zrobić co w naszej mocy, mając takie, a nie inne środki, by Pern stał się dla nas wygodnym miejscem zamieszkania, takim, o jakim marzyli nasi przodkowie.

Poczuł przyływ zapału do wypełniania nowych zadań, jakie właśnie przed sobą postawił. Czuł, że łzy napływają mu do oczu, gdy wyciągnął dłoń do Tai. Wstała, pochylając się ku niemu. Jej oczy również błyszczały. Zobaczył, jak pojaśniała twarz Lytola; stary człowiek już dawno nie wyglądał tak młodo i żywotnie. D'ram i Erragon wstali, a Mistrz Wansor uśmiechał się łagodnie do wszystkich zebranych.

Smoki trąbiły bezustannie, a F'lessan czuł, że ich głosy odbijają się echem we wszystkich weyrach na całej planecie. Smoki go popierały.

— Zrobimy, co będzie trzeba — powiedział łamiącym się z emocji głosem. — Smoki zawsze będą latać po niebie nad Pernem!

PODZIĘKOWANIA

Akcja kolejnych moich książek o Pernie toczy się w coraz bardziej niezwykłych okolicznościach, więc coraz częściej muszę korzystać z pomocy przyjaciół — specjalistów, a nawet ekspertów w najróżniejszych dziedzinach. Przy okazji pisania tego tomu wołanie o pomoc z dziedziny astronomii po raz kolejny trafiło do dr Stevena M. Bearda i do Elizabeth Kerner. Z konieczności dołączył do nich konsultant z dziedziny zderzeń kosmicznych w osobie Scotta Manleya z obserwatorium w Armagh, które odwiedziłam chcąc obejrzeć teleskopy i nauczyć się, w jaki sposób zaaranżować upadek meteorytu w konkretnym miejscu, ze wszystkimi cyfrowymi ozdobnikami i odpowiednimi odczytami. Z przyjemnością również przyjął zaproszenie na kolację do domu dr Billa Napiera i pani Nancy Napier i spędziłam u nich uroczy kwietniowy wieczór na spotkaniu z ich kolegami.

Dzięki Marilyn i Harry'emu Almom oraz niezwykle serdecznej pomocy oceanografa P. Burra Loomisa uzyskałam wspaniałe mapy oraz wykresy, dzięki którym wiedziałam, co jest czym na moim Pernie.

Szczególny dług zaciągnęłam u Georgeanne Kennedy, która uparcie zwracała mnie na trop „właściwej” opowieści, gdy tylko zaczynałam dygresje — bo przecież na Pernie jest tylu różnych ludzi. Dziękuję też Lei Day, Elizabeth Kemer i Elizabeth Ann Scarborough, które były tak miłe, że przeczytały wstępny szkic i nie szczędziły bezcennego poparcia. I wreszcie ostatnie, choć nie najmniej ważne podziękowania dla moich wydawców, Shelly Shapiro i Dianę Pearson, którzy pomogli mi dopracować relację o najnowszych wydarzeniach na Pernie. Jestem niezwykle wdzięczna za ich wkład pracy.

Chciałabym też podziękować <http://science.nasa.gov/headlines/y2000> za ich niezwykle interesujące opracowanie aktualności z całego świata. W czasie pisania słuchałam następującej muzyki:

Jeny Goldsmith *The Ghost and the Darkness* i inne tematy science fiction
Percy Grainger *Piano for Four Hands* (dwie płyty)

Elgar *Enigma Variations*

James Galway wybór kompaktów

Mendelssohn *Symfonia Wiosna*

Inspector Morse

Janis Ian wybór kompaktów

Manuel Barrueco *plays Lennon & McCartney*

Tanya Opland i Mike Freeman Masterharper i inne kompakty